PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DZIESIĄTY. — TOM XXXIX.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1893.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1893.

Errata.

Str. 10* w. 3 od dołu,	zamiast:	czy nie było,	czytaj:	czy nie było luk.
Str. 11* w. 13 od dołu,	„	absystencyę,	„	abstencyę.
Str. 254 w. 9 od góry,	„	Долу крила-ша,	„	Долу крила-та.
Str. 272 w. 11 od dołu,	„	która,	„	które.
Str. 279 w. 3 od góry,	„	taktykę,	„	taktyką.

LICHWA NA WSI W GALICYI.

Społeczeństwa, które nie zdają sobie sprawy ze wszystkich czynników swej egzystencyi — wobec ogólnego rozwoju, wobec coraz zmieniających się warunków życiowych, pozostają w tyle. Ruch wszelki i świadomość siebie — to życie; zastój i fatalizm — to śmierć. Nowoczesny ruch naukowy, uznając niemożność ogarnięcia w pracy jednego życia całej wiedzy o społeczeństwie, wskazał pracownikom swoim, jako jedynie właściwą — drogę zakreślania sobie mniejszych widnokręgów, ale za to zbadania wszelkich zjawisk danej, szczuplejszej przestrzeni, z tą sumiennością i ścisłością, jaka jest nieodłącznym przymiotem wszelkiej pracy naukowej. Tylko wnioski tym sposobem osiągnięte, choć ograniczone ilością i gatunkiem badanych zjawisk, stać się mogą podwalinami dalszej pracy naukowej, tylko one mogą być pomostem łączącym naukę z życiem praktycznem, wskazówką dla ustawodawstwa i inicyatywy społecznej.

Sprowadzając szczerą chęć służenia społeczeństwu do właściwych granic, jęliśmy się opracowania jednej z rozlicznych kwestyj, których rozwiązanie dobie obecnej przypadło.

Może najbardziej zajmującą dziedziną życia ludu wiejskiego, najbardziej nowoczesną, datującą się bowiem właściwie dopiero od chwili zniesienia pańszczyzny, a jednak w szeregu lat ostatnich mało gdzie dotykaną, jest dziedzina kredytu ludowego.

Zajmując się tą sprawą, już na pierwszy rzut oka musieliśmy dostrzedz nader smutne położenie wiejskiego ludu, nie-

opatrznego, ciemnego, a przytem czerpiącego kredyt po większej części na warunkach zbyt wygórowanych, jakkolwiek zapewne mniej uciążliwych niż przedtem.

Tymczasem część społeczeństwa naszego spogląda raczej zadowolonem okiem w przebytą już przestrzeń, niż ku celowi drogi, którą jeszcze odbyć wypada, i chętniej chlubi się wysiłkami przeszłości, niż gotuje do zapasów na przyszłość. Jednych, bezpłodność dotychczasowych usiłowań, przez tylu mężów zasługi i dobrej woli podjętych, zniechęca i zraża, rodząc nieuzasadniony pesymizm i brak ufności do sił własnych; w umyśle drugich wytworzyło się niemal przekonanie o niezbędności bankierów wiejskich, bez których sami żyć nie umieją i dlatego włościan zostawiają pod ich wpływem. Trzeci wreszcie żywią wprawdzie nadzieję lepszych stosunków, ale dopiero wówczas, skoro oświata i dobrobyt ludu w Galicyi dosięgnie tego stopnia rozwoju, jaki już osiągnęły w zachodnich krajach Europy, a choćby w szczęśliwszych od naszego innych krajach koronnych austryackiej Monarchii; zapominają atoli, że nim każda gmina w Galicyi będzie miała własny budynek szkolny, nim choćby większość włościan będzie umiała czytać i pisać, nim pomnożą się usiłowania zmierzające do odpowiedniego wyzyskania bądź naturalnych uzdolnień naszego ludu do rzemiosł i wszelkiego rodzaju przemysłu, bądź nieprzebranych skarbów przechowanych w ziemi naszej — całe pokolenie żyjące, pozostawione samemu sobie, może popadać w coraz większą zależność od lichwiarzy wiejskich, może w coraz większych gromadach opuszczać ziemię ojczystą, pozbawiając ją kapitału pracy, którego utrata niczem powetować się nie da.

Większa część lichwiarzy w Galicyi jest wyznania izraelickiego — komu jednak wiadomo, że chłop katolik w Wyższej Austryi, a prawosławny kułak w Rosyi, niezgorzej trudnią się lichwą, nie położy tego objawu na karb ani religii, ani rasy żydowskiej, zarejestruje jedynie fakt, a zwalczać będzie nie Żydów, ale lichwę i wyzysk. Nauka nie należy do żadnego obozu, hasła chwili nic jej nie obchodzą, jej zasadą: *amicus Plato, magis amica veritas.*

Etyczne dźwignięcie Żydów krajowych przez dostarczenie im duchownych, wychowanych w seminaryum krajowem, skierowanie ich ku uczciwej, produktywnej pracy rolniczej i rzemieślniczej, musi przeto iść ręka w rękę z wydatniejszą niż dotąd opieką nad ludem włościańskim, dostarczeniem mu potrzebnego kredytu w właściwej dlań formie i wszechstronną ochroną przeciwko wszelkiemu wyzyskowi.

Postanowiliśmy przeto skreślić obraz lichwy na wsi w Galicyi, oraz dotychczasowych usiłowań ku zapobieżeniu jej w kraju podjętych, pragnąc tem samem zwrócić uwagę na ogrom pracy leżącej dotąd przed nami. W tem wielkiem zadaniu wsparła nas skuteczna pomoc prof. d-ra Tadeusza Pilata, który sam w swoim czasie kwestyą lichwy długo się zajmował i pracami swemi o licytacyach gruntów włościańskich dostarczył najcenniejszego, bo faktycznego materyału posłom naszym w walce o słuszną sprawę. Prof. Pilat oddał nam bowiem do dyspozycyi nader bogaty, dotąd nigdzie drukiem nie ogłoszony materyał, zużytkowany w pierwszej i drugiej części niniejszej pracy. Wystarczyło materyał ten uporządkować i zużytkować, aby zyskać dokładniejszy od dotychczasowego pogląd na cały stan kwestyi.

Wobec tego poczytujemy sobie za miły obowiązek złożyć w tem miejscu z głębi serca płynącą podziękę profesorowi d-rowi Tadeuszowi Pilatowi, nietylko za łaskawe udzielenie nam odpowiedzi przez Wydział krajowy na rozesłany w r. 1876 kwestyonarz otrzymanych, relacyj starostw i wydziałów powiatowych oraz jednego sądu i listów prywatnych, lecz także za ułatwienie nam korzystania z innych aktów Wydziału krajowego, tudzież za dostarczenie wielu cennych w ciągu pracy tej rad i wskazówek.

Wreszcie z wdzięcznością wspomnieć nam tu wypada nazwisko ś. p. Felicyana Skibińskiego, b. urzędnika „Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych“, za udzielenie nam aktów „Związku“, dotyczących kas sierocińskich.

I.

Kiedy w 5-ym dziesiątku XIX. w. po zaprowadzeniu powszechnej zdolności wekslowej, w całej Europie domagano się zniesienia ustaw przeciw lichwie, wszystkie austryackie sądy wyższe krajowe, z wyjątkiem królestwa Dalmacyi i Lombardo-Wenecyi, otrzymały polecenie zasięgnięcia opinii sądów podwładnych o potrzebie dalszego istnienia patentu przeciw lichwie z r. 1803 i przedłożenia tych opinij z własnem sprawozdaniem ministerstwu sprawiedliwości. Już wówczas oświadczył się wyższy sąd krajowy we Lwowie, tudzież sądy obwodowe w Nowym Sączu i Tarnowie w tym kierunku, że nadużycie niedostatku, niedoświadczenia lub lekkomyślności dłużnika przez wierzyciela jest zarówno niemoralnem i szkodliwem, jak oszukańcze wyzyskanie cudzego błędu; że wstręt do lichwy tkwi głęboko w poczuciu prawnem ludności i że ustawa przeciw lichwie, zarzuconą jej wadę częściowej nieskuteczności posiada na równi ze wszystkiemi ustawami zakazującemi. Zarazem wszystkie sądy galicyjskie z rzadką jednomyślnością przestrzegały przed zniesieniem owego patentu i zaprowadzeniem „swobody“ procentowej. Niemniej podniósł i namiestnik Galicyi w swem sprawozdaniu, że lichwa ogólne w kraju wywołuje skargi, że lichwiarze panują na targu pieniężnym i uprawiają systematycznie ucisk ludności. Sprawozdania te i opinie na tem większą dziś zasługują uwagę, że zostawały w rażącej sprzeczności z opiniami innych sądów i namiestników, jakoteż z panującą podówczas powszechnie doktryną manczesterską — tak więc znaleść mogą wyjaśnienie tylko w odrębnych stosunkach naszego kraju koronnego. Mimo to rozporządzeniem min. z 3 sierpnia 1860, l. 197 dpp. zniesioną została niezaskarżalność pretensyj nad 2 złr. powstałych do gości z tytułu sprzedaży napojów spirytusowych, ustawą z d. 14 czerwca 1868, l. 62 dpp. proklamowano zupełną swobodę procentową dla całej monarchii, a ustawą z d. 27 czerwca 1868, l. 79 dpp. zniesiono wszystkie ograniczenia dzielenia gruntów włościańskich dotąd obowiązujące. Skutki nowych tych ustaw nie dały długo czekać na siebie.

Lichwiarze, którzy dawniej, bojąc się ustawy przeciw lichwie, operowali przynajmniej po ciemku, obecnie nie wahali się wprost zaskarżać najwyższych odsetek i kar konwencyonalnych, tudzież rugować dłużników swych bezlitośnie z posiadanej ojcowizny. Dowodzi tego nadzwyczajny wzrost ilości licytacyj publicznych, wynoszącej w latach 1867 i 1868 w całej Galicyi tylko 164 względnie 271, a już w r. 1873 614, r. 1874 1026, r. 1875 1326, r. 1876 1433, a w r. 1877 aż 2139 [1]. Tak opłakany stan rzeczy wywołał pamiętne dyskusye sejmowe, w których posłowie: ks. Stępek, Zawadowski i Rydzowski tak wybitną odegrali rolę, tudzież ostatecznie dał pochop do ustawy przeciw lichwie, uchwalonej przez austryacką Radę państwa dla Galicyi i Bukowiny w r. 1877. Równocześnie na wniosek komisyi głodowej polecił Sejm krajowy r. 1876 Wydziałowi krajowemu, „aby dla zbadania przyczyn zubożenia powszechnego kraju i zwiększającego się upadku gospodarstw wiejskich, tudzież obmyślenia środków dla podźwignięcia kraju z tego smutnego stanu, zwołał ankietę i wynik jej czynności przedłożył przyszłemu Sejmowi".

W wykonaniu tej uchwały poruczył Wydział krajowy ułożenie szeregu pytań osobnej komisyi, w której skład weszli: członek Wydziału krajowego dr. Wereszczyński, oraz posłowie dr. Gross, Hausner i prof. dr. Tadeusz Pilat, naczelnik kraj. biura statystycznego. Ułożone przez tę komisyę pytania rozesłano po całym kraju, w szczególności zaś także pytania odnoszące się do stosunków ludności włościańskiej. Odpowiedzi dotyczące stosunków włościańskich w liczbie 944 opracował dr. Józef Kleczyński, obecnie prof. statystyki i prawa administracyjnego w Krakowie — z wyłączeniem jednak rozdziału o kredycie, który miał być przedmiotem osobnej pracy.

Dopiero dzisiaj po latach czternastu osobna ta praca pojawić się może, wzbogacona atoli cennym materyałem, jakiego

---

[1] Pilat, Licytacye sądowe posiadłości włościańskich i małomiejskich w Galicyi 1867 i 1868, tudzież w latach 1873 i 1874, 1875—1879, 1880—1883. (*Wiadomości statystyczne*, R. I, Z. 2; R. VI, Z. 1, i R. VIII, Z. 3).

dostarczyły relacye starostw i rad powiatowych o skutkach ustawy z d. 19 lipca 1877, l. 66 dpp.

Do ponownego podjęcia tej sprawy dały pochop badania w Niemczech przedsięwzięte, które mimo istnienia ustawy tamtejszej z 24 maja 1880 r., wydobyły na jaw tak straszne i niespodziewane rezultaty, iż zainicyowanie ścisłych i umiejętnych poszukiwań w tym kierunku i w naszym kraju — ongiś klasycznym kraju lichwy [1] — wydawało się potrzebnem.

Badania owe mianowicie wzbudzić musiały poważne wątpliwości, czy ustawy przeciw lichwie wydane, tj. ustawa dla Galicyi i Bukowiny z 19 czerwca 1877, l. 66 dpp., tudzież ogólna ustawa z 28 maja 1881, l. 47 dpp., osiągnęły cel swój należycie; czy twierdzenie, jakoby lichwa w Galicyi należała już do przeszłości, jest w samej rzeczy uzasadnione, i czy organizacya kredytu włościańskiego jest tego rodzaju, iż zaspakaja wszelkie potrzeby włościanina a lichwę czyni zgoła niemożliwą.

Niestety, na wszystkie te pytania wypadnie nam odpowiedzieć przecząco. Nim atoli do tych rezultatów dojdziemy, przystępujemy do właściwego streszczania odpowiedzi nadesłanych na kwestyonarz Wydziału krajowego.

Potrzeba kredytu zjawia się u naszego włościanina najczęściej na przednowku, po wyczerpaniu zebranych w przeszłym roku zapasów, przed terminem pokrycia podatków i przed wszystkiemi świętami. Przyczyny tego upatrywać należy bądź w nieurodzaju i klęskach elementarnych, bądź w braku zarobku. Uciążliwe ciężary publiczne, jako to: koszta procesowe, wysoka należytość od przeniesienia własności nieruchomej, ogólnie rozpowszechnione i przez pokątnych pisarzy ciągle podsycane pieniactwo naszego ludu, wreszcie huczne chrzciny, wesela i pogrzeby, często już dały powód do zaciągania pożyczek. Obok pożyczek na powyższe cele zdarzały się, jakkolwiek rzadziej, pożyczki na cele produkcyjne, jak np. na zakupno gruntów, bydła i narzędzi rolniczych, na wystawienie albo naprawę budynków domowych lub gospodarczych, a nawet na handel bydłem i zbożem,

[1] Vide Platter, *Der Wucher in der Bukowina*. Jena 1878.

którym jednak trudnili się tylko niemieccy koloniści w powiatach: Borszczów, Gródek, Grybów, Limanowa, Nowy Targ, Sambor, Turka i Wadowice.

Włościanie uzyskiwali w okresie 1868—1877 r. we wszystkich powiatach kredyt przeważnie, w wielu nawet wyłącznie u Żydów. Nadto udzielał kredytu włościanom Bank włościański i inne banki, kasy zaliczkowe i pożyczkowe, włościanie zamożniejsi w 32 powiatach, w 4 powiatach proboszcze a w 17 dwór. Wreszcie majstrowie akordowi, którzy prowadzą włościan na zarobek do Królestwa Polskiego, udzielali im kredytu w pow. żywieckim [1].

Procent pobierany przez Bank włościański, i inne warunki kredytu udzielanego w swoim czasie przez tę instytucyę, przedstawiliśmy na innem miejscu [2]. Procenta pobierane przez Towarzystwo zaliczkowe znane są również z dotyczących prac, ogłoszonych w *Wiadomościach statystycznych* i w rocznikach Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Pozostają tedy jedynie wierzyciele prywatni. Tu, według zgodnego twierdzenia wszystkich korespondentów, należy uczynić różnicę, czy udzielającym kredytu był włościanin czy też Żyd. Wogóle bowiem włościanie zadawalniali się znacznie niższym procentem, najwyżej 24%, w Samborze i Tłumaczu do 30%, podczas gdy zwyczajny procent pobierany przez Żydów obracał się między 50—150%, a w niektórych powiatach dochodził do 400 i 500%. Zwyczajnie obliczano procent od 1 złr. na tydzień; i tak wynosił procent od 1 złr. na tydzień 1 centa (52%) w pow. Horodenka; 1—2 ct. (52—104%) w pow. Borszczów, Brzozów, Dąbrowa, Dolina, Drohobycz, Gródek, Jarosław; 2 ct. (104%)

[1] Podobnie dzieje się dotąd, według Blocha („Ziemia i jej odłużenie w Królestwie Polskiem". Warszawa 1891), i w głębi Rosyi, w gubernii ołonieckiej. Lichwiarz nabywszy pracę ludzką, tj. odrobek, sprzedaje ją po cenie wyższej osobie trzeciej. Taki lichwiarz zowie się tam dziesiętnikiem. Pożycza on w zimie chłopu 15—30 rs. na życie, na wiosnę za to pędzi całe artele robotników do wyrąbywania lasów, holowania statków i na fabryki.

[2] „Bank włościański", nap. dr. Leopold Caro. *(Ekonomista Polski,* marzec i kwiecień 1892).

w pow. Buczacz, Cieszanów, Husiatyn, Kamionka Str., Kołomyja, Łańcut, Lisko, Mościska, Nisko, Podhajce, Przemyśl, Rawa, Ropczyce, Rudki, Sambor, Sanok, Śniatyn, Sokal, Złoczów i Żółkiew. W pow. Czortków wynosił procent zwyczajny $1^1/_2$—2 ct. tygodniowo od 1 złr.; w pow. Kołomyja 1—3 ct. (52—156%), Brody 2—3 ct. (104—156%), Łańcut 1—5 ct. (52—260%), Jasło do 5 ct., Wadowice 2—3 ct. Takie obliczanie procentu od 1 złr. na tydzień bardzo było sprytnie obmyślane. Gdyby się było powiedziało chłopu, że ma płacić 104%, zapewne wywołałoby się w nim nieufność, tak zaś kwota 2 ct. tygodniowo od każdego złr. wydać mu się musiała drobną i sprawiedliwą. Wogóle im mniejszą była kwota pożyczona, tem wyższy procent opłacał dłużnik. I tak w pow. chrzanowskim od 10 złr. opłacało się 1 złr. na miesiąc (120%), od 1 złr., 10 ct. na tydzień (520%); w Rudkach od mniejszych kwot 30—104%, od większych 40—60%; w Podhajcach od mniejszych kwot 25—104%, od większych 24%; w Przemyślu od mniejszych 104%, od większych 20—80%; w Tarnobrzegu 48—160% od mniejszych kwot, podczas gdy przy większych kwotach wierzyciel zadawalniał się 30—36%.

W pow. Bohorodczany i Jaworów dłużnik opłacał od 1 złr. za pierwszy tydzień 10 ct., za dalsze po 2 ct., w pow. Chrzanów od 10 złr. 1 złr. na miesiąc, w pow. Brzesko 2—4% miesięcznie (24—48%), w Gorlicach od 10 złr., 50 ct. miesięcznie (60%), w Grybowie od 100 złr. 6—12 złr. na miesiąc (72—144%). Najniższy procent wynosił 12 od sta, wyjątkowo trafiał się także 10% (Sanok, Myślenice i Grybów) i 6% (Biała, Nowy Targ). W Przemyślańskiem opłacał włościanin w robociźnie (odrobkiem) procent po 50 od sta, podczas gdy gotówką uiszczał włościaninowi tylko 25%, Żydowi 48—100%. Oprócz procentu trafiały się dodatki w naturaliach w powiatach: Brzeżany, Pilzno i Łańcut. W powiecie rzeszowskim czyniło się różnicę między pożyczkami na zastaw gruntów a pożyczkami udzielanemi bez tego bezpieczeństwa. W pierwszym wypadku zadawalniał się wierzyciel 15—25%. Pożyczki udzielało się włościanom zwykle na krótki, z góry umówiony przeciąg czasu: od 3 miesięcy do 1 roku, najczęściej od wiosny do jesieni, do pewnych jarmarków (Ka-

łusz, Nadwórna) lub do czasu odstawienia tytoniu (Śniatyn). Trafiały się i pożyczki na dłuższy okres czasu, i tak w pow. Myślenice do $1^1/_2$ roku, w pow. Biała i Husiatyn na 2 lata, w pow. Brzozów i Kałusz na 3 lata, w pow. Łańcut do 5 lat; z drugiej strony zdarzały się w pow. Buczacz, Chrzanów, Gródek, Kamionka Str. i Łańcut pożyczki na miesiąc, w Dolinie czasem na parę tygodni, a w Przemyślu nawet na tydzień udzielane. Cel krótkich tych terminów pożyczek był jasnym: wierzycielowi chodziło właśnie o to, by dłużnik nie mógł dotrzymać terminu, oznaczał więc termin zbyt krótki lub wybierał termin płatności taki, o którym z góry wiedział, że go dłużnik dotrzymać nie może [1]. Prolongaty bywały tedy na porządku dziennym, a należało je okupić bądź datkami w naturaliach, bądź też odrobkiem. Daniny w naturze stanowiły zwykle: kura, jaja, pszenica, drzewo, nabiał i t. d. Z pow. sanockiego donoszą, iż wierzyciele we własnym interesie udzielają prolongat; z pow. żółkiewskiego, że dłużnik przestrzega tylko pierwszej raty w terminie, a z tłumackiego, że nie wie zgoła o terminie ani nie prolonguje. Każda pożyczka kończy się egzekucyą, nawet przy zwrocie w formie odrobku zdarzają się restancye. Spłata w terminie zdarzała się zaledwie w 18 powiatach i to tylko w kasach gminnych lub towarzystwach zaliczkowych. W Czortkowskiem wierzyciele obałamucali sami włościan co do terminów zapadłości długu, aby policzyć sobie potem odsetki zwłoki i kary konwencyonalne. W pow. brzeżańskim, drohobyckim i gródeckim lichwiarze rzadziej lub nigdy nie odwoływali się do pomocy sądu, wyczekując zadłużenia całego gospodarstwa, które potem za bezcen nabywali. W niektórych powiatach sam dłużnik ułatwiał im ten zamiar w ten sposób, iż odstępował wierzycielowi kawałek gruntu na

[1] Podobnie czynił Bank włościański, oznaczając umyślnie termin zwrotu pożyczek w lutym i czerwcu, tj. wówczas, gdy chłop sam nie miał często na utrzymanie — dla zapewnienia sobie odsetek zwłoki. Por. w tym względzie moją rozprawę j. w.— Bloch opowiada, że chłop lichwiarz w głębi Rosyi t. zw. kułak, oznacza również termin zwrotu pożyczki rozmyślnie na taki czas, kiedy włościanin nie może mieć gotówki, aby tym sposobem zapewnić sobie daniny w naturze lub pracę w polu za darmo lub po cenach niestosunkowo nizkich.

umorzenie swego długu. W sądzie powiatowym halickim było w r. 1877 procesów o zwrot udzielonych pożyczek przeciw włościanom 2750. W sądzie powiatowym tarnobrzeskim było w r. 1867 224 skarg, 88 egzekucyj, liczba ta urosła w r. 1877 do 1652 skarg, 353 egzekucyj.

Wogóle wierzyciel żądał największego bezpieczeństwa, i tak w 51 powiatach dłużnik wystawiał wierzycielowi weksel [1], w 22 żądał wierzyciel aktów notaryalnych, nadto często wymagał ręczycieli lub oddania bądź ruchomości dłużnika, np. odzieży, bądź gruntów w zastaw. W razie prolongowania terminu spłaty, doliczano procenta do kapitału i wystawiano weksel lub inny dokument na kwotę odpowiednio zwiększoną. Przy wypłacie pożyczki wierzyciel z reguły procent za pierwotny termin sobie potrącał. Kapitał czasem spłacano zbożem, przyczem cena zboża, jaką ustanawiał wierzyciel, nie odpowiadała rzeczywistej wartości, ale była niestosunkowo niższą. Grunt dłużnika brał wierzyciel często w używanie zamiast procentu; a donoszą o tem z 47 powiatów. W pow. ropczyckim trafiał się szczególnie uciążliwy warunek: nietylko dłużnik uiszczał z góry część procentu, ale nadto za resztę procentu oddawał wierzycielowi grunt swój w używanie, przyczem sam podjąć się musiał uprawy tego gruntu. O pow. rudeńskim tak pisze jeden z obywateli tamtejszych do prof. d-ra Tadeusza Pilata: „Pożyczka na zastaw gruntów jest tu dosyć częstą; Żyd daje chłopu pewną małą, nigdy prawie wyżej nad 20 złr. nie wynoszącą kwotę i za to za procent bierze w używanie grunt lub łąkę na kilka a nawet dłużej lat: pożyczek zawartych tak, aby dłużnik musiał jeszcze i grunt obrabiać, w pow. sąd. rudeńskim były dwa wypadki, które doszły do wiadomości sądu: umowę unieważniono i wierzyciela z pretensyami oddalono". O włościanach, jako wierzycielach biorących grunta w zastaw

[1] Por. w tym przedmiocie bogatą literaturę, przemawiającą za odebraniem włościanom zdolności wekslowej lub przynajmniej ograniczeniem jej do możności wystawienia weksli własnych terminowych z wykluczeniem weksli ciągnionych umiejscowionych płatnych za okazaniem lub w pewnym przeciągu czasu po okazaniu. W szczególności J. L. (Józef Louis): „Słowo o wekslach włościańskich". Kraków. Odbitka z *Czasu*. 1883.

i używających takowych, wspominają odpowiedzi tylko z pow. Rzeszów i Tarnopol, w szczególności zaś w pow. rzeszowskim za pożyczonych 5 złr. bierze chłop w zastaw jeden zagon i 4 skiby (przestrzeń przynoszącą w tych stronach około 10 złr. rocznego dochodu czyli 200%) [1]. Tu należy zauważyć, że wprawdzie w myśl przepisów ustawy cywilnej (§ 1372 u. c.) umowa tej treści, iż wierzycielowi przysługiwać ma użytkowanie rzeczy zastawionej, pozbawiona jest skutków prawnych, niemniej jednak powszechnie się praktykuje.

Dwór pożyczał włościaninowi gotówkę w niewielkich kwotach lub przychodził mu z pomocą zbożem lub innemi przedmiotami. Pożyczoną we dworze gotówkę zwracał chłop bądź również gotówką, bądź w zbożu, materyale budowlanym lub w naturaliach rozmaitych.

I w tej kategoryi wierzycieli zdarzała się czasem pożyczka na zastaw gruntów; wszakże najczęściej zwracali tu włościanie pożyczkę lub przynajmniej opłacali procent robocizną [2]. Pożyczkę na odrobek znachodzimy rzadko w 35 powiatach. Na nierzetelność chłopów użalają się z pow. pilzneńskiego, śniatyńskiego, tłumackiego i wielickiego.

---

[1] Podobny przykład lichwy przytoczył hr. Krukowiecki d. 18 października 1881 w Sejmie podczas dyskusyi nad statutem Banku krajowego: „W Przemyślu pożycza chłop od chłopa 20 złr., a w zastaw daje mu połojkę, tj. jednę stajȩ. Z tej połojki ma przynajmniej 6 korcy jęczmienia i słomę, co rachując korzec po 5 złr. i słomę wynosi około 35 złr. czyli 175%“. Również i korespondent prof. Pilata pisze, że jeśli chłop zawodowo trudni się lichwą, „to przechodzi jeszcze Żyda“.

[2] Stan. hr. Tarnowski w sławnym artykule p. t. „Porcye“ *(Przegląd Polski* 1874) wystąpił z całym zapałem i patryotyzmem przeciwko szlachcie niektórych powiatów wschodniej Galicyi, trudniącej się lichwą na odrobek. Porcyą była pewna oznaczona cyfrowo kwota, dochodząca w niektórych okolicach do *maximum* 30 złr.: w innych, gdzie lud był uboższy a najem pracy tańszy, wynosząca 17 lub nawet 16 złr. Kwotę tę pożyczoną włościaninowi musiał tenże oddać w gotówce, a tytułem procentu aż do chwili zupełnej spłaty kapitału, jeden dzień w tygodniu wierzycielowi swemu odrabiać. Odpowiadało to, w razie gdy porcya wynosiła 30 złr., stopie procentowej 43·33%, — gdy zaś spadła do 16 złr., stopie proc. 81·25%, licząc 52 dni roboczych po 25 ct. Nadto istniała jeszcze w niektórych okolicach mała porcya, wynosząca 8 złr. dla dorosłego, 5 złr. dla wyrostka lub dziew-

Pożyczki w naturaliach w 33 powiatach często się trafiały. Udzielenie takiej pożyczki przypadało zwykle na wiosnę na czas przednowku, a bez określonej pory roku w razie nieurodzaju. Wypożyczającymi byli więksi właściciele, Żydzi, albo wreszcie śpichlerze gromadzkie. Zwrot udzielonej w naturaliach pożyczki następował bądź gotówką, bądź w naturaliach, bądź wreszcie przez odrobek. Zazwyczaj, jak to z niektórych powiatów nawet wyraźnie zaznaczono, zwrot pożyczki w naturaliach zaciągniętej następował w formie odrobku wówczas, jeśli wypożyczającym był właściciel dóbr tabularnych lub dzierżawca. Wynika to zresztą z natury rzeczy, że tylko wierzyciel tej kategoryi najmuje siły robocze do pracy w polu i dlatego na zwrot pożyczki w tej

---

czyny; dłużnik spłacał tu jednak nietylko procent, ale i kapitał pożyczony w formie odrobku w przeciągu jednego roku przez jeden dzień w tygodniu. Odpowiadało to więc przy pożyczce 8 złr. 62·5%, przy pożyczce 5 złr. 160%.

Smutny ten stan rzeczy, zauważony przez szlachetnego i nieustraszonego patryotę w niektórych ledwie powiatach wschodniej Galicyi, dawno już nie istnieje; pokutuje jednak dotąd w *N. fr. Presse* i pokrewnych jej pismach, ziejących nienawiścią do wszystkiego co polskie. Tem więcej mnie dziwi, że *Kuryer lwowski,* omawiając w szeregu nader życzliwych zresztą dla mnie artykułów książkę moją *Der Wucher* (Lipsk. Duncker i Humblot 1893), czyni mi zarzut z tego, że nie podniosłem lichwy dworskiej opisanej w „Porcyach" i stylizuje ten zarzut w ten sposób, jak gdyby mi chodziło o rozmyślne zatajenie prawdy. Na zarzut ten odpowiedziałem listownie między innemi, że nie uważałem wcale za stosowne, Niemcom, których nienawiści do wszystkiego co polskie, sam z blizka się przypatrzyłem, dostarczać broni świeżej przeciw szlachcie polskiej, którą komisya kolonizacyjna z pruską zaciekłością dziś zwalcza, uważając ją w Prusiech zachodnich i w Poznańskiem słusznie za najsilniejszą zaporę swych germanizatorskich zapędów. Nie mogłem więc i nie powinienem był żadną miarą w dziele po niemiecku wydanem odsłaniać ran naszych przed tymi, którzy w zaciekłości swojej posuwają się tak daleko, iż poważni uczeni ich domagają się aż sprowadzenia Chińczyków i Murzynów z niemieckich prowincyj Afryki na robotników polnych, celem wyparcia żywiołu polskiego z prowincyj rdzennie polskich! (Wniosek d-ra Kaergera na ostatniem zgromadzeniu stow. dla polityki socyalnej 29 marca 1893).

Listu mego z tem wyjaśnieniem, mimo ponownego urgensu, redakcya *Kuryera lwowskiego* nie uważała za stosowne ogłosić, a wobec tego widzę się zmuszonym w tem miejscu rozprawić się z jej recenzentem, nie chcąc pozostawić na sobie zarzutu, iż w dziele naukowem z jakichkolwiek względów zataiłem prawdę.

formie chętnie przystaje, a nawet umyślnie pożyczki w naturaliach udziela na przednowku lub w czasie nieurodzaju, by zapewnić sobie w ten sposób robotnika na później. Niekiedy wszakże i majętniejsi włościanie udzielali uboższym pożyczek w naturaliach, jak np. w pow. podhajeckim i tarnobrzeskim. Tylko w 8 powiatach zwrot pożyczki następował wyłącznie w formie odrobku, a w 35 w formie odrobku obok zwrotu w naturaliach.

W następujących powiatach zwrot pożyczki odbywał się wprawdzie zwykle w naturze, ale z procentu uiszczał się pożyczający robocizną: Bóbrka (wartość procentu odpowiada 30—50%, 1 odp. wyjątkowo bez procentu), Jaworów (od 1 korca 1 dzień robocizny jako procent), Kołomyja (od 1 korca 2 dni robocizny jako procent), Kossów, Lwów, Pilzno (za ćwierć jęczmienia 6—8 dni razem z kapitałem), Podhajce (od 1 korca 2 dni robocizny), Przemyślany (od ćwierci zboża parę dni), Rawa (od 1 korca 2 dni, Żydzi podwójnie), Rohatyn (od 1 garnca 1 dzień robocizny w żniwa), Rudki (za ćwierć jęczmienia [1 złr. 25 ct.] 4 dni, za ćwierć żyta [2 złr.] 5—6 dni razem z kapitałem), Sambor (od 1 korca kilka dni w żniwa), Skałat, Tarnobrzeg (od $^1/_2$ korca żyta 1 dzień w żniwa), Tarnopol (od 1 korca kilka dni), Tarnów, Tłumacz, Trembowla (u chrześcijan od 1 korca 1—2 dni robocze), Turka i Zbaraż (od ćwierci zboża 2 dni robocze).

W gorlickim powiecie istniał zwyczaj, że wartość pożyczonych naturaliów obliczano (według cen targowych czy niższych?) na odpowiednią ilość dni roboczych, które dłużnik odrabiał, procent natomiast uiszczało się w naturaliach.

Zwrot pożyczki następował bez procentu, wedle ceny targowej, tylko w następujących powiatach: Brzesko, Nisko, Pilzno, Rzeszów (w dworach ceny zwykłe), Tarnów i Żółkiew.

W powiatach, w których tak zwrot kapitału jak i procentu następował w naturaliach, zachodziły wielkie różnice w wysokości wynagrodzenia pobieranego przez wierzyciela. I tak za korzec odbierał wierzyciel dwa korce w pow.: Buczacz ($1^1/_2$—2), Husiatyn (przy pszenicy $1^1/_4$—2), Jarosław, Łańcut (u Żydów), Przemyśl, Przemyślany, Skałat ($1^1/_4$—2), Rudki, Sambor ($1^1/_4$—2),

Tarnopol (u Żydów od $1^1/_4$—2), Trembowla ($1^1/_2$—2 przy jęczmieniu), Zaleszczyki ($1^1/_2$—2) i Zbaraż.

Za korzec odbierał wierzyciel $1^1/_2$ oprócz już wymienionych w pow.: Borszczów, Brody, Husiatyn (przy kukurydzy), Jaworów (u Żydów), Kołomyja (od 1 korca $^1/_2$ korca jako procent, ale od ćwierci tylko 2 lub 3 garnce), Rohatyn, Stryj (przy owsie).

Od korca uiszczał dłużnik tytułem procentu ćwierć korca, prócz wymienionych, w pow.: Krosno, Lisko, Mościska, Śniatyn, Sokal (u Żydów), Stare Miasto i Turka (przy owsie).

Od korca uiszczał dłużnik tytułem procentu 4 garnce w pow.: Chrzanów, Drohobycz, Sokal („u chrześcijan"), Tarnopol (przy pożyczkach z śpichlerzy gromadzkich), Tłumacz (atoli od ćwierci $^1/_2$ ćwierci tytułem procentu), Złoczów (przy pożyczkach ze śpichlerzy gromadzkich).

Za 10 garncy zwracał dłużnik w Czortkowskiem 13 garncy, w Wadowickiem procent od korca wynosił 2—3 garnce, a w Jasielskiem i Nowotarskiem 2 garnce. Prawie zawsze procent ten pobieranym bywał za okres czasu półroczny (od wiosny do jesieni albo najdalej za 3 kwartały), wyjątkowo tylko (Drohobycz) czyni się wzmiankę o tem, że podany procent odnosi się do całego roku.

W ogólności o zwrocie w naturze z nasypką, mówi się w pow. dobromilskim i stryjskim.

Za korzec jęczmienia wymawiano sobie korzec pszenicy w pow.: pilzneńskim, trembowelskim i zbarazkim.

Z szeregu powiatów podany jest procent w stopie odsetkowej, bądź dlatego, że zapłata procentu następowała gotówką, bądź też dlatego, że odpowiadający mieli na myśli większą wartość zwróconych naturaliów lub świadczonej robocizny i wartość tę usiłowali oddać w stopie odsetkowej. Podajemy tu spis tych powiatów wraz z zapodanym procentem: Bóbrka (30—50%), Czortków (50%), Dobromil, Drohobycz, Gródek (za korzec owsa wartości 5 złr. bierze wierzyciel w jesieni 7—8 złr. gotówką lub korzec owsa w naturze w cenie 3 złr., 2 złr. gotówką i procent z całej wartości owsa po 5 złr. za korzec, licząc od 1 złr. 1—2 ct.

tygodniowo), Jarosław (za korzec owsa wartości 4 złr. płaci dłużnik 6—7 złr.), Kamionka Str. (aż do 100%), Łańcut, Mościska (za korzec żyta po 6 złr. płaci 10—12 złr.), Myślenice (u Żydów do 100%), Nadwórna, Nowy Targ (8%?), Rawa (10%?), Ropczyce, Rudki (jeśli pożyczkę udzielono na wiosnę a zwrot następuje w jesieni do 200%). Sanok (od każdego złotego wartości zboża 1, 2—3 ct. tygodniowo), Stare Miasto (od 1 złr. 1 ct. tygodniowo).

Po nieurodzaju r. 1875 pożyczano zboże od lichwiarzy żydowskich pod warunkiem zwrócenia im bądź trzykrotnej ilości wypożyczonej, bądź podwójnej wartości zboża w czasie żniw [1].

Ceny robocizny dłużników odpowiadały zwyczajnym, tylko w Stryjskiem i Tarnobrzeskiem ceny były o kilka centów wyższe, a za powód takiego obliczania podawano wielki popyt za robotnikiem w czasie żniw, wskutek czego chodziło o wczesne zapewnienie go sobie. Najczęściej jednak robotnik, który był oraz dłużnikiem, otrzymywał mniej niż taki, który nim nie był. I tak nieznaczną była różnica w pow.: Dolina, Drohobycz, Kamionka Str., Stanisławów, Tarnopol, 1—2 ct. wynosiła w pow. Kolbuszowa, 2—3 ct. w pow. Horodenka, 2—5 ct. w pow. Borszczów, Zaleszczyki, 5 ct. w pow. Mościska, Nowy Targ, Tarnopol, Żółkiew, 5—8 ct. w pow.: Brzesko, Cieszanów, 5—10 ct. w pow.: Chrzanów, Sambor, 10 ct. w pow.: Husiatyn, Kałusz, Mielec, Nisko i Przemyślany, 5—15 ct. w pow. Tarnów, 10—15 ct. w pow.: Kołomyja i Zbaraż. Wyrażona w stopie procentowej różnica wynosiła 6—20% w pow. Kolbuszowa i Nadwórna, 25% w pow.: Cieszanów, Gródek, Horodenka, Husiatyn, Kossów, Sa-

[1] Por. „Nieurodzaj w Galicyi w r. 1875 i jego następstwa", napisał prof. Tad. Pilat (*Wiad. stat.*, III, 1, str. 30). Uiszczenie procentu odrobkiem lub w naturaliach jest na porządku dziennym w odległych guberniach Rosyi, i ekonomiści z zaboru rosyjskiego, jak np. Bloch, poczytują ten sposób pobierania procentu za dowód nizkiego stopnia cywilizacyi. Bloch przytacza następujące przykłady: w pow. ostrogoskim na 400 wypadków w 174 uiszczenie procentu następowało w formie odrobku lub w naturaliach, w 119 wódką i poczęstunkiem, tylko w 107 gotówką. W pow. orłowskim gub. wiackiej, najczęściej procent spłaca się odrobkami, których wartość pieniężna sięga 20—30 rs. za 100 rs. pożyczki.

nok, Stryj, 25—35% w pow. Buczacz, 50% w pow.: Gorlice, (czasem) Kałusz, Kołomyja, Przemyślany, Rohatyn, Rudki, Sambor i Skałat, 50—100% w pow.: Stanisławów, Turka, Zaleszczyki i Złoczów. W innych powiatach cena robocizny niższą była od ceny zwykłej o $^1/_3$ część, mianowicie w pow.: Bohorodczany, Brzeżany, Drohobycz, Kołomyja, Kossów, Limanowa, Lisko, Lwów, Podhajce, Tarnopol, Trembowla, Zbaraż i Żółkiew, o $^3/_8$ części w pow. Czortków. Za wiosenną cenę robocizny odrabiał dłużnik wierzycielowi w żniwa dług swój w pow. Husiatyn. W pow. mieleckim dostawał wprawdzie zwykłą płacę, ale bez wiktu, podczas gdy inni otrzymywali płacę z wiktem. W pow. nadwórniańskim płacili Żydzi dłużnikom swoim 1 złr. za ułożenie pryzmy szutru, podczas gdy zwyczajna cena tej roboty wynosiła 2·50—3 złr.

W przeciągu 10 lat 1868—1877 zaszły zmiany znaczne i to na gorsze — w niektórych powiatach zmiany te były wprost zastraszające; włościanin zubożał i zadłużał się coraz bardziej, wielu musiało grunta posprzedawać, aby tylko zaspokoić długi. Zadłużenie ogólne przewyższało znacznie potrzeby włościanina, to też w Drohobyckiem pierwsze pożyczki Banku włościańskiego poszły na wódkę. Wyjątkowo włościanie nabrali doświadczenia wraz z mnożeniem się kroków sądowych i rzadziej niż z początku zaciągali lekkomyślnie pożyczki (Kossów). Wogóle jednak wzmogła się nieoszczędność i życie bez rachunku (Lisko); zwiększenie podatków i drożyzna oraz wzmożenie się lichwy spowodowało, że i zamożniejsi włościanie zubożeli, proletaryat wiejski wzrósł znacznie (Rzeszów), a grunta uległy rozdrobnieniu (Tarnów). Ogólny wzrost potrzeb przy łatwym kredycie popchnąć musiał włościanina w objęcia lichwy, która doprowadziła go do ostatecznych granic zagłady.

Potrzeba kredytu wszędzie znacznie się wzmogła. Przyczyny tej zmiany były różnorodne, jakoto: nieurodzaj, drożyzna, nieoględność i lenistwo gospodarzy, wygórowane podatki i należytości rządowe, podatki krajowe, powiatowe, szkolne, gminne i opłaty parafialne (specyalnie na wzniesienie budynków parafialnych i szkolnych), wzrost ludności, rozdrobienie gruntów,

wypłata sched spadkowych, zubożenie większych właścicieli, lichwa, niekiedy nabywanie gruntów od większych właścicieli w razie częściowych parcelacyj, wzrost cen, wykwintność w ubiorze. Zwiększona z tak różnorodnych przyczyn potrzeba kredytu, popchnęła lud tu i ówdzie do szukania ubocznego zarobku, jak np. w Nowotarszczyźnie, gdzie górale poczęli trudnić się sznycerstwem, przewodnictwem, rzemiosłami i kramarstwem, po większej atoli części pogrążyła ciemny i nieoświecony lud w zupełną zależność od kapitalistów wioskowych, którzy tym sposobem uzyskali faktyczny monopol w zaspakajaniu potrzeb kredytu ludności włościańskiej. Donoszą o tem z powiatów: Śniatyn, Stryj, Trembowla, Zbaraż, Żółkiew, Żydaczów, Turka („gdyby chłop nie przepijał pieniędzy, nie potrzebowałby kredytu"), Kossów („włościanin potrzebuje oświaty, potem kredytu").

Dawniej sąsiad pożyczał sąsiadowi na słowo (Biała, Wadowice) lub pożyczano we dworze (Kolbuszowa), obecnie (1877 r.) udzielaniem kredytu włościańskiego trudnili się oprócz Żydów: Bank włościański, kasy pożyczkowe gminne i powiatowe, tudzież towarzystwa zaliczkowe. Działalność Banku włościańskiego jak i kas pożyczkowych spotyka się w niektórych powiatach (np. w Bóbrce) z ujemną krytyką; w szczególności uskarżają się w pow. Nisko i Podhajce na agentów Banku, że przychodzą do domów dłużników, aby ich nakłonić do zaciągnięcia pożyczki („łapią klientów"). Plan reformy stosunków kredytowych zawiera jedna odpowiedź z Limanowy: „Należałoby przeprowadzić połączenie towarzystw zaliczkowych z kasami gminnemi i utworzenie Banku centralnego związkowego; dotacyę Banku stanowiłyby fundusze gmin i ubogich spieniężone, złożone w obligacyach połączonego długu państwa". Zarazem odpowiedź ta zaleca zapobieżenie wyzyskiwaniu ludności przez loteryę i losy loteryjne. W Łańcuckiem domagają się w celu reformy stosunków kredytowych, zaprowadzenia śpichlerzy gromadzkich.

Warunki kredytu stawały się w dziesięcioleciu (1868—1877) coraz uciążliwsze; koszta sądowe oraz wysokie procenta, pobierane jawnie wobec zniesienia patentu przeciw lichwie i ustaw ograniczających stopę procentową, dalej nieznane dotąd kary

konwencyonalne na wypadek niedotrzymania terminów spłaty, sprowadzały, zwłaszcza wobec ciągłego uszczuplania hipotek, wywołanego działami spadkowemi, wywłaszczenia pierwotnych właścicieli. W Śniatyńskiem na porządku dziennym był warunek, że dłużnik oddaje grunt w zastaw a nadto płaci 100%.

W następujących powiatach natomiast warunki kredytu były korzystniejsze dla dłużnika niż dawniej: Chrzanów, Dobromil, Drohobycz, Gorlice, Kraków, Lwów, Mielec, Mościska, Nisko, Nowy Sącz, Ropczyce, Rudki, Wieliczka, Zaleszczyki, Złoczów i Żydaczów.

Miało to miejsce głównie z powodu powstania w tych powiatach towarzystw zaliczkowych, kas powiatowych i gminnych, które z większą niż przedtem energią i zasobem funduszów wystąpiły do walki z lichwą i wpłynęły tym sposobem na ogólne obniżenie stopy procentowej. Tylko w pow. mościskim sądzą, że łagodniejsze warunki ustanawiali sami lichwiarze na to, aby „złapać dłużników". W Mieleckiem podają zaprowadzenie przymusu legalizacyi notaryalnej, jako przyczynę łagodniejszych warunków, w mniemaniu, że notaryusz nie pozwoli na postawienie w odnośnym dokumencie zbyt wysokiej stopy odsetkowej lub innych uciążliwych warunków[1]. Odpowiedź z powiatu nadwórniańskiego kładzie nacisk na to, że wierzyciele prywatni wprawdzie żądali mniejszych odsetek, ale za to wprowadzali do umów wysokie kary konwencyonalne i inne uciążliwe warunki, tudzież wymawiali sobie oddanie gruntu dłużnika w całości lub części w zastaw. Uwaga ta mimo mocy obowiązującej ustawy z dnia 28 maja 1881, l. 47 dpp. nie jest i dziś pozbawioną aktualnej doniosłości.

Gdy nie było jeszcze Banku włościańskiego, gospodarz obchodził się częściej bez kredytu, wystarczało mu to, co miał lub zarabiał, a jeśli pożyczał, to na potrzeby gospodarcze, kupno inwentarza lub zboża na przednowku. W roku 1877, tj. ostatnim

[1] Że przypuszczenie to nie jest trafnem i że dla osiągnięcia tego celu potrzeba reformy ustawy notaryalnej, wykazaliśmy w artykułach „O ulgach legalizacyjnych przy wpisach hipotecznych drobiazgowych", nap. dr. Leopold Caro. (*Prawnik* nr. 50, 51, 52 *ex* 1891).

roku powodzenia Banku włościańskiego, w którym weszła również w życie ustawa o lichwie dla Galicyi i Bukowiny, prawie połowa gospodarzy w wielu miejscowościach była zadłużoną a otrzymane pożyczki użyte najczęściej na prażniki, chrzciny i uczty (Bóbrka, Przemyślany). Dawniej tu i ówdzie pożyczano paszę lub zboże na zasiew od sąsiada na mały procent. Po upływie lat 10 od zniesienia ustaw ograniczających stopę procentową (ustawą z d. 14 czerwca 1868, l. 62 dpp.), zmieniły się stosunki do niepoznania; poczęto częściej pożyczać i trudniej oddawać, bo włościanie przez podział gruntów podupadli (Brzeżany, Brody, Gródek, Kołomyja, Tarnobrzeg, Tłumacz) i zapożyczali się u lichwiarzy, co doprowadzić musiało z czasem do zupełnego wyzucia ich z mienia (Brzeżany, Pilzno, Podhajce, Skałat), zwłaszcza że lichwiarz nie zadawalniał się już zyskiem z pożyczek pieniężnych, ale dobijał dłużnika, kupując od niego zboże w jesieni za bezcen i sprzedając mu je na wiosnę po cenie bardzo wygórowanej lub w razie pożyczenia licząc od korca zboża korzec prowizyi. Podczas gdy dawniej chłop winien był chyba arendarzowi za wódkę a dziedzicowi za zboże, po latach 10-ciu rozpoczęła się na dobre walka między wierzycielem-lichwiarzem a dłużnikiem-włościaninem o grunt i inwentarz. Walka ta w różnych stronach kraju, różne wydać musiała rezultaty; niejednokrotnie pomoc z zewnątrz, ostrożność lub opamiętanie się dłużnika, sparaliżowało zamysły wierzyciela i przeszkodziło zagarnięciu gruntu a rzadziej i inwentarza przez tegoż. Wszakże w większej części wypadków wynik tej walki musiał być dla dłużnika ujemnym. Spryt wierzyciela, jego wyższość umysłowa, jego przewaga ekonomiczna, musiały mu zapewnić zwycięstwo nad dłużnikiem nieoględnym, niedbałym, leniwym i łatwowiernym, a klęska dłużników stała się tem powszechniejszą, im mniejszą była u nich świadomość potrzeby działania solidarnie, którą silniejsi pod każdym względem przeciwnicy na każdym kroku uznawali. To też niezmiernie smutne są relacye ze wszystkich stron kraju o zmianach zaszłych w dziesięcioleciu 1868—1877. Dłużnik nie mając z czego oddać pożyczki, wypuszczał wierzycielowi gospodarstwo w dzierżawę za bezcen na

poczet procentów od dłużnego kapitału, zostawiając sobie tylko gumienko i ogród, niebawem ratował się nową pożyczką od niedostatku, a wreszcie odstępował całe gospodarstwo wierzycielowi za połowę wartości (Kamionka Str.). Czasami znów włościanin kupował sztukę bydła, ale niekorzystnie, potem sprzedawał i kupował tańsze, nadwyżkę zaś marnował nie myśląc o długu, w ten sposób zaś przez ciągłą sprzedaż zostawała mu nareszcie koza lub owca. Wskutek tego wzmogła się znacznie emigracya do Ameryki (Jasło), a wierzyciele rozsiedli się na nabytych w ten sposób gruntach (Brzeżany, Skałat i t. d.). Tylko z Przemyślańskiego donoszą, że Żydzi-lichwiarze niechętnie kupują grunta, ponieważ one nie przynoszą im odpowiednich dochodów i dlatego wolą, ażeby grunt pozostał przy dłużniku lub innym włościaninie. Jakkolwiekbądź, zniesienie aresztu za długi i łatwość kredytu spowodowała, że włościanin pożyczał bez celu i planu, (Kamionka Str.) i znacznie więcej niż mu było potrzeba (Jaworów); pożyczki zwłaszcza większe, wprost roztrwaniał (Sambor), tracił ochotę do pracy (Grybów), nadto zaś począł żyć nad stan (Kołomyja). Przyciśnięci ostatnią potrzebą dłużnicy, uciekali się wtedy do Banku włościańskiego albo do Żydów, albowiem zamożniejsi wieśniacy tylko wyjątkowo (Horodenka) przychodzili z pomocą biedniejszym.

Manipulacye prywatnych lichwiarzy cokolwiek odsłaniają nam dwa sprawozdania. W Pilzneńskiem Żydzi chętnie pożyczali gospodarzom samoistnym i to naprzód małe sumy po kilkadziesiąt złotych na 10% miesięcznie, ustawicznemi prolongatami z doliczeniem procentu od procentu doprowadzali do znacznego wzrostu tej pretensyi, a następnie dopiero pozywali dłużnika sądownie. W Błażowej np. zdarzył się wypadek zresztą wcale nie wyjątkowy, że dług pierwotny 25 złr. wzrósł do wysokości 280 złr., poczem dopiero wierzyciel wstąpił na drogę sądową i wystawił gospodarstwo dłużnicze na publiczną licytacyę. Realność dłużnika sprzedaną została za 300 złr., wskutek czego chłop opuścił ojcowiznę swoją z kwotą 20 złr. O podobnej manipulacyi donoszą z Sokalskiego. Pierwsza pożyczka bywała zwykle bez procentu dla zyskania zaufania dłużnika, ale z pewnym terminem.

Terminu tego dłużnik nie dotrzymywał, i wtedy poczynał sobie lichwiarz doliczać dopiero 2 ct. od 1 złr. na tydzień, tj. 104%, a gdy dług wzrósł odpowiednio, wierzyciel zniewalał dłużnika do zeznania mu aktu notaryalnego na obliczoną już za wspólnem porozumieniem pożyczkę. Ponieważ dług tym sposobem ustalony był od razu płatny, skutkiem czego dłużnik nie był w stanie wierzyciela zaspokoić, przeto zgłaszał się włościanin do Banku rustykalnego, pożyczką tamże otrzymaną spłacał prywatnego wierzyciela, ale niebawem zapadały raty bankowe, na które znowu brak mu było gotówki, więc na ich zaspokojenie zaciągał znowu pożyczkę u bankiera wiejskiego, ostatecznym zaś skutkiem takiej nierozsądnej gospodarki już po kilku latach musiało być ogólne, zatrważające zadłużenie dłużnika. W gminie Wołczków w pow. śniatyńskim $^6/_{10}$ mieszkańców pogrążonych było w największej nędzy, a podobne relacye i z innych powiatów mamy przed sobą.

Skutkiem tego odpowiadający zastanawiali się równocześnie nad tem, czy kredyt wogóle jest dla włościanina potrzebny, ewentualnie, jakim uledz ma zastrzeżeniom i ograniczeniom, aby stał się dla niego pożytecznym. W tej mierze niektóre powiaty doszły wprost do rezultatu, że kredyt nawet pod korzystnemi warunkami uzyskany, jest dla włościan zgubny i że dlatego kredyt włościański jest zbędny i wprost za niedopuszczalny uznany być winien (Podhajce, Śniatyn). Inne powiaty uznały wprawdzie potrzebę kredytu, ale bądź zwróciły na to uwagę, że przy teraźniejszym samorządzie gminnym, opieka nad kasami pożyczkowemi oraz nad śpichlerzami gminnemi jest niezmiernie utrudniona (Łańcut), bądź przemawiały za ograniczeniem kredytu realnego, motywując to żądanie okolicznością, że włościanin otrzymaną pożyczkę marnuje (z Limanowy przemawiają za ograniczeniem pożyczki do $^1/_6$ części wartości majątku [1], Nadwórna).

[1] Wychodziłoby to w praktyce na utworzenie z $^5/_6$ części zagrody nieobdłużalnej *(Heimstätte, homestead)*. Sądy pow. w Wadowicach i w Komarnie w sprawozdaniach złożonych ministeryum sprawiedliwości z powodu projektowanej ustawy o spadkach włościańskich, domagały się utworzenia podobnych, nieobdłużalnych zagród, a sąd pow. w Komarnie przed-

Przy kredycie osobistym udzielanym przez kasy powiatowe, niektóre powiaty domagały się ustanowienia kontroli nad użyciem pożyczki ze strony instytucyi udzielającej kredytu (Nadwórna, Nowy Sącz, Sambor). Jest to ta sama myśl, którą Bank włościański przyjął do swego statutu, lecz której nigdy nie przestrzegał [1].

Tylko z niewielu powiatów donoszą o rozsądniejszem i korzystniejszem użyciu wypożyczonych kapitałów w porównaniu do lat dawniejszych. Są to pow.: Bochnia, Drohobycz, Gorlice, Myślenice, Zaleszczyki i Zbaraż.

(C. d. n.).

Dr. Leopold Caro.

łożył nawet szczegółowy projekt ustawy, według której grunta włościańskie od 30 złr. rocznego dochodu katastralnego miałyby być niepodzielne i bez względu na dochód i przestrzeń nie mogłyby być wyżej obciążone nad czwartą część wartości obliczonej według 20-krotnego dochodu katastralnego. (Por. *Beilagen zu den stenogr. Protocollen des Abgeordnetenhauses*, IX. Session all. 87244).

[1] Por. „Bank włościański", jak wyżej, zeszyt marcowy *Ekonomisty polskiego*, str. 280.

HEDENSTIERNA I KIPLING.

Dwóch pisarzy — jeden z pod śniegów północy, drugi z pod żarów indyjskiego słońca — podało nam w ostatnich czasach dwa skromne, na pozór mało znaczące tomiki drobnych powiastek. U obu duch równie czysty i prawy, styl zarazem oryginalny a prosty, obaj mają strunę sobie właściwą, do której mimowoli z innych tonów wracają, a która mogłaby może z czasem przerobić się w manierę, dotąd wszakże stanowi osobny urok, jakoby dźwięk rytmiczny, podobny temu, jaki sprawia wiersz powtarzający się przy końcu każdej zwrotki w niektórych starych baladach.

Ów ton u każdego jest różny: u Szweda Hedenstierny rzewny, o dźwiękach delikatnych i miękkich, jak barwy letniego krajobrazu północy, odzywa się najchętniej przy domowem ognisku, opiewa bóle i radości, w wązkich ramach codziennego życia zamknięte. U Anglo-indyanina zaś, Rudyard Kipling'a, więcej bez porównania siły, zakres szerszy, obrazy barwniejsze, i talent widocznie młodzieńczy, próbujący swych skrzydeł do lotu. Czy go ten lot poniesie na szczyty, czy jak tylu innych zginie gdzie marnie na bezwodnej pustyni albo uwięźnie w gnieździe miękko wysłanem? — powiedzieć dziś trudno. Pierwsza jego dłuższa nieco powieść: *The light that failed*, w której rozbiór nie myślimy dziś wchodzić, zyskała mu artykuł w *Revue des Deux Mondes* — co już jest dla pisarza niemałym pono zaszczytem — nie ściągając nań wszakże zbyt wielkiej pochwały. Szkoda może, iż Kipling nie

postąpił według zdania Bulwera, który twierdził, iż młody autor nie powinienby podpisywać pierwszego dzieła, bo według tegoż nigdy prawie sądzić o dalszych nie można: albo będzie najlepszem, i wtedy autor próżno przez życie całe będzie natężał siły, aby zadośćuczynić własnym wymaganiom i słusznemu oczekiwaniu ludzi, albo też dzieło to będzie tylko słabem preludyum do późniejszych wielkich melodyj, którym jednak może zabraknie słuchaczy, odstraszonych mizernym początkiem. O ile jednak Bulwer miał w tem słuszność lub nie, nas teraz nie powinno obchodzić, skoro mamy na oku nie ową pierwszą długą powieść, którą niech krytykuje kto chce, ale seryę pomniejszych szkiców *Plain tales from the hills* [1], mogących śmiało stawić czoło choćby najzawziętszej krytyce.

I.

O Alfredzie Hedenstierna nie wiemy, czy jest równie młody jak Kipling, ale sądząc z samych utworów, zdawałoby się, że nie. Znać w nich pewne ukojenie umysłu, rzadkie u młodzieży; znać doświadczenie życia i wiele, z ciężkiem sercem, ale bez rozpaczy, bo z modlitwą w sercu, przebytych boleści. Słusznie pisze autor przedmowy do niemieckiego wydania [2] szesnastu powiastek, zatytułowanych „Późni ludzie“, że „tak zdrową strawę dla umysłu i serca, jak w tych skromnych opowiadaniach Hedenstierny, rzadko gdzie w naszych czasach znajdziemy“. Zachwalając w nich bystrość spostrzeżeń, trafność wyrażenia, oraz niemal klasyczną prostotę, umiejącą kilkoma pociągnięciami pióra dokładny nakreślić obrazek, porównywa je do utworów pendzla Ludwika Richtera; „są to perełki, dodaje wkońcu, perełki o tysiącach barw i wiecznie trwałej wartości“. Posiadają nadto tę wielką a rzadką zaletę, że można je śmiało dać w ręce nawet dorastającej młodzieży.

Nie zapuszczając się jednak w dalsze wywody krytyczne,

---

[1] Proste opowiadania z gór.

[2] Na niemieckie tłumaczył Aleksy v. Krusenstierna, przedmowę pisał w kwietniu 1892 r. G. Dreydorff.

przystąpmy od razu do zapoznania czytelnika z treścią powiastek, z której sam najlepiej będzie mógł wysnuć sobie — o ile się da z podwójnego przekładu — ich prawdziwą ocenę. Wybieramy parę najwybitniejszych:

Przez wichry i śniegi.

Wązka, poboczna linia kolei żelaznej liczyła tylko sto kilometrów długości; było do niej trzech maszynistów, którym nie opłacało się dużo dawać na życie, gdyż interesa spółki akcyjnej stały źle, tak źle, że sam pan Dyrektor chodził w surducie mocno wytartym na łokciach, a żona jego sprzedawała rękawiczki z Malmaë.

Mniej więcej w połowie linii leżało małe, bardzo maleńkie miasteczko, kędy szkarlatyna zaglądała regularnie dwa razy do roku, a nowe mody dostawały się dopiero w rok potem, gdy już się dobrze zestarzały w Sztokholmie.

Przy ostatniej uliczce tego miasteczka stał ładny, żółto pomalowany domek, i niby oczami patrzał w świat przez zielonawe ale czysto wytarte szybki, którym doniczki pełne kwitnących pelargonij za powieki służyły. Tu mieszkał Lindahl, jeden z trzech maszynistów przy pobocznej kolei. Poza pelargoniami, wdzięczna a blada twarz jego żony pochylała się nad robotą bez miary i końca, a u stóp maszyny do szycia (kupionej na spłatę ratami) bawił się ich jasnowłosy, trzechletni Gustawek, i kiedy mama jego puszczała w ruch maszynę, a kółko pod jej nogami poczynało się kręcić, Gustawek stawał wyprostowany, z uroczystą miną i podnosząc w tłustej łapce czerwoną chorągiewkę — jak to pan Naczelnik stacyi przy odejściu pociągu zwykł czynić — komenderował: *Zug ab!*

Już cztery lata mijało, odkąd papa i mama Gustawka byli się połączyli i — *Zug ab!* — wyruszyli w nieznane im życie. Nie wiedzieli oni dobrze dokąd jadą, ani planu drogi nie ułożyli na przyszłość, ale jak dotąd ciężaru towarowego mieli z sobą bardzo niewiele, a odległość między stacyami, na których się odnawia zapasy, wydawała im się ogromną. Pomimo tego jechało się wciąż naprzód wesoło i żwawo, gdyż miłość, pełniąc służbę palacza, je-

chała z nimi w pociągu i podniecała ogień tem żywiej, im więcej troska o chleb stawiała przeszkód na drodze.

Rodzina Lindahla uważała go za szaleńca, że przyjął służbę na pobocznej kolei. Bo proszę państwa! Skończył był przecie sześć klas w szkole realnej i byłby z pewnością — po jakich dwudziestu pięciu latach pracy — dostał prawdziwie „piękną“ posadę, gdyby tylko był wytrwał w nauce. Lindahl tymczasem — zajrzał był zbyt głęboko w wesołe, życiem płonące oczy Maryni — wiecie? — córki podchorążego Blomwall'a, i uparł się przy swojem twierdząc, że mu potrzeba czegoś, co mu natychmiast da kawałek chleba, choćby niewielki. I tak się stało, że obecnie oboje, i jeszcze synek w dodatku, mieszkali w owym żółto pomalowanym domku z pelargoniami u okien. Wprawdzie tam schodki były bardzo wysokie, a ręką można było dosięgnąć powały, ale gdy Lindahlowi wiatr na lokomotywie opalił twarz, a śnieg piersi przemroził, dosyć mu było próg mieszkania przestąpić, aby tu, jak na słońcu majowem, odtajać w ciepłej atmosferze miłości, pomiędzy żoną i złotowłosą główką dziecięcia, tulącą się tak serdecznie do jego zrudziałego, skórzanego kaftana.

Lindahl codziennie prowadził pociąg aż do ostatniej południowej stacyi i znów odprowadzał wieczorem, poczem był już wolny aż do dnia następnego. Że zaś mu codzień było bardzo pilno do tej chwili powrotu, więc zawsze raźno i szybko sprawiał się około maszyny i cieszył jak dziecko z każdego obrotu kół, który go zbliżał do domu. Zdziwił się zatem bardzo pewnego poranku pan Naczelnik stacyi widząc maszynistę włażącego zwolna na lokomotywę, z twarzą ponurą i bladą i głęboko podbitemi oczami.

— Cóż tam Lindahl, nie wszystko w porządku?

- Nasz mały Gustaw śmiertelnie chory, panie Naczelniku.— I pociąg ruszył.

Przez cały tydzień czas był okropny. Dziś znowu dął wicher mroźny i straszna szalała zawieja. Pociąg spóźnił się już na pierwszą stacyę, potem za każdym przestankiem spóźnienie zwiększało się znacznie. Za powrotem zdawało się nawet niepewnem, czy tego wieczora będzie można stanąć w miasteczku.

Udało się jednak, i choć z dwugodzinnem spóźnieniem, mały pociąg wsunął się na stacyę z tym swoim pozorem zabawki dziecinnej, właściwym całemu materyałowi kolejowemu, używanemu na naszych wązkich liniach pobocznych. Lindahl podążył do domu, szepcząc w duchu: „Bogu dzięki".

— Panie Lindahl!

— Słucham panie Naczelniku

— Jesteśmy w piekielnym kłopocie, północny pociąg osobowy musiał się wrócić z powodu zawiei, o półtora kilometra stąd. Pięćdziesięciu ludzi do tyla oczyściło tor, że może będzie podobna przez śnieg się przerznąć. Trzeba żeby pociąg ruszył natychmiast, ale Jonsson leży nieprzytomny w gorączce i doktor mówi, że przy tem psiem zimnie na lokomotywie tyfusu się nabawił. Musisz pan więc i północny pociąg poprowadzić.

— Co?.. teraz... w nocy...[1] Panie Naczelniku, jestem przeziębły, przemęczony, sił ludzkich nie starczy...

— Tak, to ciężko, wiem dobrze; ale... w przepisach służbowych nie stoi nic o przemęczeniu. Czy się czujesz tak chorym, że pasażerowie i materyał pociągu byliby w niebezpieczeństwie gdybyś jechał?

— Tak znowu nie... Ale... panie Naczelniku, mój mały Gustaw może umrze tej nocy, jeśli już teraz nie...

— Rzeczywiście bardzo mi przykro, ale i o chorych dzieciach niema wzmianki w przepisach. Czy możesz jechać?

— O której ma pociąg ruszyć, panie Naczelniku?

— O siódmej piętnaście.

— Karlson pal! Za dziesięć minut tu będę!

Tam w domu było bardzo źle. Wilgotne włoski kleiły się na rozpalonej skroni Gustawa, oddech harczał w gardełku, a tłuste piąstki były kurczowo ściśnięte. Pierś poruszała się boleśnie, a oczy patrzały wylękłe, jakby u zranionej ptaszyny. Marynia przestała płakać. Siedziała blada z zaciśniętemi wargami, ocierając krople potu z twarzy dziecięcia. Wszakże gdy Lindahl wszedł, ból jej wybuchnął na nowo, cała drżąca z głośnem łka-

[1] Pociągi w Szwecyi chodzą w nocy tylko na głównych liniach kolei.

niem uwisła na jego szyi, wołając: „On kona, kona! Doktor powiedział, że już niema nadziei — ale on nie powinien umrzeć, on nie może umrzeć! Pan Bóg nie może być tak srogi. Gustawku! moje maleństwo! Papa przyszedł, papa całą noc zostanie ze swoim chłopczykiem. Poznajesz papę, prawda kochanku?“

Zwolna, z trudnością podniosły się krwią nabiegłe powieki, harczenie na chwilę umilkło, cień uśmiechu przemknął po rozpalonej twarzyczce i głosik słaby wyszeptał: „Papuś będzie siedział przy łóżeczku Gustawka“.

. . . . . .

I znowu Lindahl stał na syczącej maszynie, znów dalej — naprzód przez wicher i śnieg! Sam nie wiedział, jak się wyrwał z objęcia Maryni, jak się dostał na lokomotywę; teraz jednak stał na niej z okiem bystro utkwionem w szyny znikające pod śnieżną zamiecią. Na przodzie ostrze maszyny zwycięsko przerzynało zaspy, siejąc na obie strony chmury srebrzyste, i tak samo, zupełnie tak samo, równie ostry, nieubłagany jak to żelazo, ból serce jego przerzynał. Ha! jak tam zimno pod tym zamarzłym śniegiem, i tam głęboko, bardzo głęboko miano położyć jego Gustawka!

Nigdy już nie będzie bawił się „w kolej“ i wołał *Zug ab,* jak pan Naczelnik, już nigdy jego nóżki nie będą stukać po deskach podłogi, spiesząc do ojca, skoro go tylko w przedpokoju posłyszy... nigdy już, nigdy nie zaświegocze jego słodkie: „brywieczór kochany papusiu“... O!...

— Co takiego, panie Lindahl?

— Nic, mój Karlsonie.

— Mnie się zdawało, że pan jakoś żałośnie wykrzyknął.

— Śni ci się człowiecze! Nie powiedziałem ani słowa, pal co się zmieści.

Na następnej stacyi wysiadł z I. klasy otyły jegomość w wielkiem futrze bobrowem, jedyny podróżny w całym pociągu. Stangret oczekiwał go na peronie. Pociąg był krótki i maszynista widział i słyszał wszystko, co około powozu się działo.

— Co tam słychać w domu, Persson? — zapytał otyły jegomość.

— Wszystko dobrze, Jaśnie Panie!

— Moja żona i dzieci zdrowe?

— Wszystko zdrowe, proszę Jaśnie Pana!

Serce maszynisty ścisnęło się boleśniej: ten człowiek w bobrowem futrze i własnych, krytych saniach, spieszył bogaty, zadowolony, szczęśliwy do spokojnego ogniska, jego żona i dzieci przyjmą go wesołe i zdrowe, z okrzykami radości i rozwartemi rękami... On sam zaś, on, biedak, marznący teraz na tej wysokiej maszynie, zastanie w domu cóż? Żonę bólem złamaną i zimne, maleńkie zwłoki w plecionem łóżeczku...

Dalej znów marsz! przez wichry i śniegi! Więcej węgla!... ostatnia stacya!

Pociąg miał wrócić dopiero dnia następnego, aby według telegraficznie nadeszłego rozkazu, „jako pociąg nr. 3 po przejściu zawiei do dawnego regulaminu jazdy powrócić".

Siły natury już się były wyburzyły i zdawały się święcić niedzielę swem słońcem promieniejącem u góry, i olśniewającą powłoką, rozciągniętą po ziemi, nakształt białego obrusa na olbrzymim ołtarzu. Śnieżne brylanty migotały na ciemnej zieleni świerków, pochylonych pod niezwykłem brzemieniem; tor był wolny i jasny, z za okien, przed któremi pociąg przejeżdżał, ludzie o twarzach wesołych wyglądali na drobne, do bawidełek podobne wagony, i zdawali się cieszyć z przywrócenia zwykłej komunikacyi na kolei żelaznej.

Naraz maszynista odwrócił się w bok: dwie ciężkie łzy spływały zwolna po jego zczerniałych policzkach. Czyż i dziś wiatr był tak ostry? O, nie! Ale tuż obok toru w oknie siedziała kobieta, z chłopaczkiem na kolanach i pokazywała mu lokomotywę i pociąg.

Nareszcie, przyjechali! Nie chciał pytać kolegów na stacyi, co tam w domu się dzieje; wolał wyrok swój usłyszeć z jedynych ust na świecie, które mu gorycz tego wyroku osłodzić mogły. Poszedł więc, nie przemówiwszy słowa do żadnego z kolegów. W żółtym domku firanki, podobnie jak wczoraj, wisiały u okien

białe i czyste, a poza niemi widniały jeszcze doniczki ze zwykłemi pelargoniami. Jemu się wszakże zdawało bardzo wyraźnie, jakby nań smutnie kiwały: Gustawek nie żyje, Gustawek nie żyje...

Jednym susem wskoczył na schody i drzwi roztworzył: Marynia szlochając, ale łzami radości, rzuciła się w jego objęcia, a tam na plecionem łóżeczku siedział Gustawek blady i osłabiony, ale bez gorączki ni bólu, i bawiąc się czerwoną chorągiewką, komenderował cichutko:

— *Zug ab! Zug ab!* Mój papusiu!

Pięć koron za obiad, 3·50 za kolacyę.

W czasach, kiedy u zamożniejszego mieszczaństwa nie było jeszcze w modzie obchodzić uroczystości familijne w restauracyi pod *Fenixem* lub w *Berzelius-Keller;* kiedy ceny mieszkań w Sztokholmie nie pożerały większej części intraty ojców rodziny i nie zmuszały ludu do gnieżdżenia się ciasno i rojno jak pszczoły po ulach; w czasach, kiedy gospodynie piękne srebro stołowe i skrzynie pełne bielizny stawiały niemal równie wysoko jak własną cześć i sumienie; kiedy mamy trudniły się departamentem kuchennym, a córki zawierały jaką taką znajomość z darami Bożemi, zanim je stawiano na stole (oczywiście dary Boże a nie córki), — wtedy w skromniejszych domach stolicy było jeszcze dość miejsca, zasobów i zapobiegliwości niewieściej, aby z pomocą doświadczonej kucharki, uroczystości familijne i inne obchodzić u własnego ogniska. Wtedy to były złote czasy dla najmowanych służących[1]; wtedy banalne tapety sali restauracyjnej i banalne twarze ludzi popijających w sąsiedniej kawiarni, nie były ostatniem wspomnieniem, jakie młoda para zabierała z sobą w poślubną podróż.

Ale co mówię? sama podróż poślubna należała wówczas do rzędu wrażeń doznawanych jedynie przez szczupłe grono arystokracyi-milionerów; zwykli, prości ludzie, twoi i moi rodzice, wujowie i ciotki, woleli u własnego, z zamiłowaniem i nadzieją

[1] Po niemiecku *Lohndiener.*

przystrojonego, a nieraz z tęsknotą i niepokojem długo upragnionego ogniska złożyć pierwsze słodkie wspomnienia pobłogosławionej w kościele miłości, owe wspomnienia, które dziś powierzamy pierwszej lepszej hotelowej izbie lub zostawiamy w przedziale wagonu.

Były to, jak mówiłem, złote czasy dla wynajmowanych służących.

We wszystkich zaś kategoryach i departamentach tego cechu, z pomiędzy wszystkich należących doń dostojników, „pan Klingbom“ posiadał niezaprzeczenie najpełniejszą godności powierzchowność, najpiękniejszy frak i największą zręczność; posiadał z cudem graniczącą sztukę przesuwania szczęśliwie samego siebie, 24-ch kieliszków reńskiego wina i paru funtów cukierków, pomiędzy szlifami gwardzisty a wielkim orderem Gwiazdy Północnej, zawieszonym na piersi biskupa. Był zawsze taki sam, czy to przy obchodach żałobnych, czy też weselnych, tylko że przy żałobnych oblicze jego układało się w trzy lub cztery tragiczne zmarszczki, mające zaznaczyć powagę sytuacyi; przy weselnych zaś, pozwalał sobie nieco więcej cukierków nakładać do kieszeni swego fraka i d w i e butelki wina, zamiast j e d n e j, jak nakazywał obyczaj, w kieszeniach paltota wynosić.

„5 koron za obiad, 3·50 za wieczerzę“ było jego — taksą niezmienną, przyczem było mu już obojętnem, czy obchodził wraz z gośćmi jubileusz pastora prymaryusza, czy wesele jakiej pięknej panny z mieszczaństwa, czy też służąc do stołu pomnażał cześć, z jaką — według starej ojców tradycyi — oddawano matce-ziemi zwłoki nieboszczyka.

Wszelako, gdy już uczta była skończona, świece pogaszone i uczestnicy w najlepszym toku dowodzenia sobie wzajemnie, że kochani gospodarze powinni byli to lub owo lepiej urządzić — wtedy w paru izdebkach na poddaszu wśród południowego przedmieścia Bergen[1] panowała niezmierna radość; można tam było wtedy widzieć wesołą postać bez surduta, w białym krawacie, tańczącą, skaczącą, śpiewającą, gadającą i śmiejącą

[1] Dzielnica Sztokholmu, położona na południowym brzegu Mälaru.

się około kołyski zawierającej maleńkiego obywatela z zadartym noskiem, i tuż obok siedzącą ładną, młodą kobietę, która uśmiechała się do wesołego mężczyzny i do małego obywatela w kołysce, z miłością i wielkim podziwem spoglądając kolejno to na młodszego, to na starszego Klingboma.

Na ucztach, kędy usługiwał Klingbom, mogło usposobienie gości być różne, ale epilog odgrywany u niego w domu „bywał zawsze (wyrażając się stylem gazeciarskim) nacechowany świeżym tonem serdecznej i szczerej wesołości i przeciągał się aż w poranne godziny".

Klingbom zaś stawał się coraz sławniejszym i bardziej poszukiwanym; rzadko kiedy zdarzało mu się wieczór w domu przepędzić; mały Janne zaś wyrósł z kołyski, mógł już naprzeciw ojca przybiegać do bramy domu i własnoręcznie po kieszeniach jego fraka czynić poszukiwania za czemś „słodkiem" i „dobrem".

Janne musiał pójść do szkół; musiał z pomocą Bożą wyjść na coś lepszego niż ojciec. O! żeby to można kiedyś widzieć go urzędnikiem takim, jak ci, co tak niedbale a elegancko rozpierają się przy stole, a potem przechadzają się po Norrbro[1] z miną poważną i pełną godności, jak gdyby losy Europy stały wyryte na papierach (po większej części, mówiąc między nami, niezapisanych), wyglądających z ich bocznych kieszeni.

Włos poczynał nieco siwieć u skroni i na dobrze wyszczotkowanej głowie Klingboma; poczynało mu też wydawać się ciężko, gdy po wieczerzy przeciągniętej aż do 1-szej w noc, musiał jeszcze długą drogę odbywać pieszo do domu, aby znów o $7^1/_2$ z rana być napowrót w biurze centralnem. Obecnie jednak Janne był w Upsali, potrzebował wiele pieniędzy i papa Klingbom pragnął jak najczęściej zarabiać swoje „5 koron za obiad" lub „3·50 za wieczerzę".

Z czasem Janne przeszedł egzamin, został urzędnikiem i chodził w lakierkach i cylindrze z tak niesztuczną, przyrodzoną dystynkcyą, jak gdyby ojciec jego nosił miasto tacy, buławę.

---

[1] Norrbro jest najmodniejszem miejscem przechadzki w Sztokholmie.

Oczywiście nie mógł już mieszkać wspólnie z rodzicami, ale za to odwiedziny jego były tem cenniejsze dla tych ostatnich. Stary lokaj wyciągał okulary i lustrował pana Referendarza od stóp do głów: toć przecie on najlepiej wiedział, jak taki modny panicz powinien wyglądać! Wybornie! Takie same kołnierzyki nosi Referendarz w „naszym“ biurze, i to syn samego pana Prezesa! I rękawiczki podobne stary Klingbom jeszcze wczoraj na rozkaz pana Radcy zakupił. Matka zaś siedząc przy synu, nie przestawała gładzić ręką cienkiego sukna na jego rękawie i patrzyć w jego młode, ukochane oblicze. Przytem nie odzywała się wiele, bo też w takich chwilach jedno tylko i zawsze toż samo pytanie obracało się w jej głowie: czy w całym Sztokholmie jest choćby jeden młodzieniec, któregoby można z jej chłopcem porównać?

Z miasta jednak bardzo jest daleko do południowych przedmieść, a Janne skarżył się coraz bardziej, że ma „strasznie dużo do roboty“. To też i odwiedziny w domu stawały się coraz to rzadsze i krótsze. Raz stary Klingbom odwiedził był syna w jego pięknem mieszkaniu na Norrmalm, ale już więcej tego czynić nie myślał. Zastał tam bowiem dwóch innych młodych urzędników ze „swego“ biura, na stole stał pącz, sam Janne zaś wyglądał jakoś bardzo zmieszany.

...Wigilię Bożego Narodzenia zwykł był Janne u rodziców przepędzać, i wtedy odnajdywali go takim, jakim był dawniej, tak serdecznie ściskał dłoń ojca, z taką czułością matkę całował. Ale tym razem nawet na wigilię nie przyszedł. Matka siedziała do 11-tej czekając, ojciec gderał na nieudaną pieczeń wieprzową i najmniej co pięć minut do drzwi wyglądał. W pierwszy dzień świąt przyszła kartka korespondencyjna, na której stało, że Janne rodzicom przesyła życzenia na święta; nie mógł przyjść, bo był na cały dzień proszony do pana radcy B.

Koniec końców upłynął rok, odkąd lakierki Janna po raz ostatni pojawiły się w rodzicielskim domu. Miał tak wiele pracy i innego zajęcia: służba, przejażdżki sankami, maskarady, obiady i kolacyjki. Klingbom *senior* również uczęszczał na swój sposób na obiady i kolacye, ale z tych musiał był już dwie odmówić, do-

wiedział się bowiem przez innego służącego, który roznosił zaproszenia, że „referendarz Klingbom“ miał do uczestników należeć.

Jednego wieczora dał mu znać pewien przyjaciel i „kolega“, że zasłabł i prosi usilnie, aby go Klingbom zastąpił w usłudze do kolacyi u pana radcy Falka. Klingbom po raz pierwszy znajdował się w tym domu. Zaledwie wszedł do salonu, niosąc herbatę, ujrzał Janna u boku córki gospodarza, przewracającego jej kartki nut przy fortepianie. Młody urzędnik spojrzał i zarumienił się; nikt z obecnych nie wiedział, że stary służący był ojcem tego „miłego kawalera“; stary jednak pojął od razu sytuacyę, gdyż przechodząc z tacą obok syna, szepnął mu: „Cicho! nie zdradź się!“

Instynktem właściwym starym sługom, Klingbom czuł, że tego wieczora było w powietrzu coś niezwyczajnego; co to było? nie wiedział — widział tylko, że pan Radca dwa razy wychodził do sali jadalnej i coś mruczał do siebie, jakby przygotowywał mowę. W istocie podczas kolacyi bomba pękła. Radca nożem trącił w szklankę i poprosił obecnych przyjaciół, aby wraz z nim wypili na zdrowie córki jego Idy i pana referendarza Klingboma, których zaręczyny ma zaszczyt dziś wszystkim oznajmić...

. . . . . .

Zwykły w takich okolicznościach hałas, stuk poruszonych stołków, powinszowania, wykrzyki, pocałowania przyjaciółek i uściśnienia przyjaciół, uratowały starego służącego, tak iż nikt nie dostrzegł jak zbladł i stał drżący, z oczami zaszłemi mgłą. Zaręczył się, nie dając o tem znać starym rodzicom! Mój Boże! toć nie byliby się wciskali do jego świetnego towarzystwa; byliby tylko chcieli trochę się wcześniej o szczęściu syna dowiedzieć, aby mogli o niem rozmyślać tam, w swem ubogiem mieszkanku!...

Oczy Janna szukały ojca. Szampan dodaje odwagi: czuł, że mu się na lewo około piersi coś dziwnie porusza, i już, już w szczęściu swojem był gotów zebranym gościom oznajmić, jaki węzeł łączy jego, bohatera tego wieczoru, z usługującym

do stołu lokajem... W tej chwili poczuł czyjąś rękę na swojem ramieniu:

— Jako najstarszemu przyjacielowi Falka, niechaj mi wolno będzie z godnym jego przyszłym zięciem wypić na naszą przyszłą przyjaźń i braterstwo[1] ... Twoje zdrowie, mój chłopcze!

— Dziękuję!... tysiąc razy... tak wielki zaszczyt... hm...

W chwili, kiedy się dopiero co piło na braterstwo z pełniącym służbę szambelanem królewskim, prezentować usługującego lokaja jako swego ojca... Nie! to niepodobna!

Stary sługa patrzał na narzeczoną. Jego... synowa! Wyglądała dobra i miła, jej piękne oczy wyrażały miłość i szczęście, kiedy wsparta na ramieniu narzeczonego przechodziła przez salon. O jakże ta rączka na czarnym rękawie Janna była drobna, delikatna i biała, jakże różna od ręki jego matki, tam w domu! Niech jej Bóg da szczęście!

Goście już byli wyszli, a stary nawpół przytomny stał wciąż przy bufecie.

— Wiele się wam należy za wieczór?

Klingbom wzdrygnął się — był to pan domu. Natychmiast powrócił do swojej roli:

— 3 korony 50 za kolacyę, panie Radco.

Wcześnie dnia następnego przyjechał Janne dorożką do rodziców.

Matka była spłakana, ojciec nieco sztywny.

— Musisz przestać usługiwać, ojcze!

— Czy to jest wszystko co matce i mnie masz do powiedzenia?

— Nie! Chciałem was także przeprosić za to, że was nie uprzedziłem o moich zaręczynach. Oczywiście, miałem zamiar to uczynić, ale... sam nie wiem... rzeczy poszły tak prędko... i...

— Nie troszcz się o nas, mój chłopcze! Niech wam Bóg da być tak szczęśliwymi, jakeśmy z twoim ojcem byli! — mówiła łkając matka.

— Tak! tego mam pewną nadzieję! — odrzekł Janne, wo-

[1] Po niemiecku *Bruderschaftstrunk*, stary zwyczaj dotychczas kwitnący w Szwecyi, a który u nas bodaj nigdy nie istniał.

dząc wzrok z odcieniem litości po szczupłych izdebkach i ubogich sprzętach.

Stary odgadł jego myśl:

— Szczęście nie polega na posiadaniu wielkich pokoi i pięknych rzeczy. Ale powiedzno, z czegóż będziecie żyli? Przecież twoja pensyjka nie może wystarczyć!

— Mój teść daje nam 4000 rocznie.

— To ładnie z jego strony.

— A teraz chciałem jeszcze powiedzieć, że po południu przyjdę tu z moją narzeczoną, ażebyście ją przecież zobaczyli, jak się należy.

— O mój maleńki, najukochańszy Janku, jakiżeś ty dobry! Ale czy myślisz, że ona będzie chciała?

— No! jeżeli nie będzie chciała, to niech nie przychodzi! — zauważył stary.

— Naturalnie że zechce. Ale teraz „papusiu“ już musisz się przestać gniewać! Przecież nie chciałbyś psuć szczęścia twojemu chłopcu?

Nie! tego ojciec z pewnością nie chciał. I stało się, że jaśnie wielmożna panna Falk przyszła w odwiedziny do służącego Klingboma i jego małżonki, że musiała napić się kawy i oglądać maleńkie, dziecinne trzewiczki, które Janne był kiedyś nosił a które matka jego przechowywała w szkatułce obok swojego ślubnego wieńca i zeschłej mirtowej gałązki.

— Kochaj pani zawsze mojego Janka! — szeptała stara gdy już wychodzić mieli.

— Niech mama ją nazywa I d ą, a nie p a n i ą — zauważył Janne.

Było to rzeczywiście bardzo ładnie z jego strony, ale wkońcu wychodziło na jedno, gdyż z tą wizytą wyczerpały się stosunki między starszem a młodszem stadłem Klingbomów. Starzy nie mogli się zdecydować pójść odwiedzić Janka w jego eleganckiem mieszkaniu miejskiem; młodym zaś zdawała się droga do południowych przedmieść tak bardzo, bardzo daleką...

Stary Klingbom nie przestał usługiwać. Wprawdzie młodsze siły odbierały mu już teraz część zarobku, ale nie miał się czego

lękać: oni bowiem podwyższyli swoją taksę, stary zaś pozostał niewzruszony przy swoich „5-ciu koronach za obiad i 3·50 za kolacyę".

Pewnego dnia usługiwał na stypie pogrzebowej jakiejś starej wdowy na Riddarholmie. Zrazu goście zachowywali się cicho i poważnie, jak na taką uroczystość przystoi; powoli jednak poczęto jak zwykle obrabiać bliźniego.

— No! z Falkiem przecież się skończyło i to strasznie! 600.000 *passiva* a 50.000 *activa!* Po prostu paskudnie!

— Prawda! Ale co do djabła pocznie teraz jego zięć Klingbom? Toć oni tylko z kochanego papy żyli.

— Zapewne. To też Klingbom wyglądał bardzo „zmyty"— spotkałem go właśnie przychodząc tutaj. Zdaje się, że wczoraj rzeczy jego licytowali za jakiś rachunek u modniarki.

Kieliszki reńskiego wina zatrzęsły się z głośnym brzękiem na tacy starego Klingboma.

Ze stypy prosto poszedł do syna. Żona tegoż sama otwarła drzwi; oczy jej były czerwone i zapuchnięte od łez.

— Ach! Panie Kli... hm, ojcze! Janna niema w domu; proszę wejść!

— Dziękuję. A tam co? Mały Klingbom?... Wieleż ma miesięcy?... Tak? już piętnaście! Poczekaj! mam ja coś dobrego dla ciebie w kieszeni. Patrzajno, tu! Nie masz się czego bać żałobnych obwódek — cukierki równie dobre jak inne. Cóż mój chłoptasiu, dobry dziadunio, że ci takie rzeczy przynosi?

Za jego plecami ozwało się łkanie. Był to Janne, który wszedł niespostrzeżony i któremu serce rozpłynęło się na widok, jaki miał przed sobą. W tej chwili przypomniało mu się — o tak bardzo żywo! — jak ojciec niegdyś, tam w domu, dla niego samego cukierki wyciągał z kieszeni...

— Ty tutaj ojcze!

— Naturalnie, mój chłopcze! Przecież byłem ciekaw choć raz zobaczyć, jak wam się tu powodzi!

— Bardzo źle, ojcze! Nie mamy już prawie nic! Czyś słyszał?...

— Tak, słyszałem że twój teść musiał... likwidować... —

Stary miał był wiele z prawnikami do czynienia i wiedział, że wyraz bankructwo brzmi bardzo niełądnie.

— Jesteśmy zrujnowani! Wszystko co posiadamy jest sekwestrowane, a w domu ani grosza!

— Wiele masz długów?

— O! nie tak bardzo wiele... Ida dostawała z domu wszystko, czego nam było potrzeba. 5 do 6000 koron najwyżej... ale z czegóż będziemy żyli?

— Właściwie nie trzebaby się żenić, póki się nie ma dostatecznego własnego dochodu; ale o tem kiedyindziej pomówimy. Możeby stary lokaj mógł wam nieco przyjść w pomoc?

— Ty ojcze?

— Tak, ja! Toć to rzecz słuszna, aby kiedy jeden z teściów dawać nie może, drugi zajął jego miejsce, a choć nie mogę być tak szczodrym jak pan... ojciec Idy, to przynajmniej będziecie mogli wasze rzeczy spokojnie zachować i, gdyby było potrzeba, dopóki większej pensyi nie dostaniesz, mógłbym po parę tysięcy rocznie... Ale patrzajcieno! ten malec już spałaszował swój krzyż z karmelka. Poczekaj! masz tu jeszcze piękny nagrobek marcepanowy z pomarańczowym wieńcem, gryź tylko dobrze kochanku!

— Ale ojcze, jakże to być może?...

— Ot widzisz, kiedy się żyje rozsądnie i składa szeląg do szeląga, wtedy z czasem wzrastają z nich sumy. No! proszę już nie płakać, kochana pa... Ido! Stary Klingbom umiał, Bogu dzięki, zręcznie tacą obracać, wszyscy się o niego ubiegają, a jak wiesz Janku, biorę zawsze 5 koron za obiad a 3·50 za wieczerzę!

Trzeba przyznać, że w tej jak i w poprzedniej powiastce autor umie grać na nerwach serca ludzkiego; czyni to jednak bez goryczy i pesymizmu, przez co samo chroni utwory swoje od tragicznej banalności, prześladującej nas w licznych zbiorach polskich i zagranicznych nowelek. Amatorowie tak zw. realizmu, tj. szczegółowego opisu rzeczy brzydkich, może mu będą mieli za złe, że nie odrysował wystających muszkułów na

spracowanej ręce starej pani Klingbom, zapachów kuchennych i innych, rażących powonienie panny Idy w mieszkaniu rodziców narzeczonego, a zwłaszcza, że w tym ostatnim zostawił pierwiastek uczuć szlachetnych, czyniąc go raczej oszołomionym niż złym... My jednak, ludzie prości, wolimy powiastkę taką jaka jest, przypominającą „Baladę jakich wiele“, ale od tejże wyższą tem, iż młodemu winowajcy zostawia pole nietylko do żalu, ale i do poprawy.

Brak miejsca zabrania nam podać choćby w skróceniu treść innych obrazków Hedenstierny, są między niemi wesołe i smutne, humorystyczne i tkliwe. Nie możemy się jednak oprzeć pokusie przetłumaczenia jeszcze jednej, kreślącej w kilku rysach dzieje pięknej duszy i spustoszonej ręką ludzką przyrody. Hedenstierna jest protestantem, ale głęboko wierzącym; to też najwyborniej rozumie, jakie są obowiązki pasterza dusz. Im jednak piękniej z pod jego pióra występuje postać skromnego, w krainie nędzy i śmierci zapomnianego pastora, nie wahającego się narazić wszystko co kocha dla spełnienia swych powinności — tem więcej nam katolikom uwielbiać przychodzi przepisy Kościoła, żądające od wstępującego w stan duchowny młodzieńca wyrzeczenia się naprzód owych węzłów rodzinnych, które z czasem musiałyby hamować jego wolność w spełnianiu służby Bożej, i obarczając jego ramiona brzemieniem podwójnych obowiązków, przytłaczać go mimowoli do ziemi. Ale i tu zostawmy znów czytelnikowi ocenę.

Droga powinności.

Daleko, w jednym z najodleglejszych zakątków Smålandu [1], kędy świst lokomotywy nigdy nie doleciał, kędy nie docisnęło się żadne z nowożytnych upiększeń życia, istniała osada rozrzucona wpośród lasu bez drzew, ponad jeziorem bez wody.

Kiedyś, bez wątpienia, w lesie były drzewa, ale z czasem okoliczni mieszkańcy rozmnożyli się po swoich zagrodach i głód

[1] Szwedzka litera *a* z kółkiem wymawia się jak zwykłe *o*; zaś litera *o* zazwyczaj jak *u*.

do nich zawitał; okrawki pola zaś, wijące się między kamieńcami, pozostały zawsze równie małe, równie nieżyzne, i nawet w latach swoich najbardziej heroicznych wysileń, nie zdołały wydać nic nad cienką słomę i ziarno straszliwej chudości. Ażeby zaspokoić liczne żołądki, czekające po chatach, wieśniacy ujrzeli się w konieczności wywieźć na kolej, furę po furze, nasamprzód wspaniałe belki, następnie podkłady pod szyny, a wreszcie mizerne gonty. I pusto było teraz i smutno na tych płaskich przestrzeniach pokrytych chwastem, głazami i zwirem, kędy sowy siadały na pniach przegniłych i zdawały się między sobą gwarzyć o byłych leśnych olbrzymach i o minionej wspaniałości boru.

W jeziorze, bez wątpienia, była kiedyś woda, ale gdy już las do szczętu się wyczerpał, a pola ani się powiększyły ani stały żyzniejsze, ludzie zaś nie przestali się żenić i na świat wydawać dzieci, które wszystkie wołały chleba, pomimo iż już na Boże Narodzenie zboża nie stawało — spuścili wodę z jeziora i z wielkim znojem, zadłużając się po uszy, osuszyli całe dno w nadziei zyskania nowego pola pod siew i nowej łąki na siano.

Na spodzie jeziora wszakże leżały także grube warstwy kamieni, wśród których ani kłosy ani trawa nie mogły rosnąć swobodnie; za to wzdłuż posępnych, szarych, kamienistych wybrzeży jęły się snuć zjadliwe febry; między chudemi krzakami i rozczochranemi gałęziami karłowatych brzóz czyhała choroba i śmierć. Natura pomściła srogo zburzenie jej własnego porządku, ukarała bez litości tych, którzy jej życie zgwałcili, i wkrótce liczba ust stała się mniej znaczną i głód mniej dotkliwym wśród tego lasu bez drzew, nad tem jeziorem bez wody.

W nieszczęsnej owej części Smålandu stał dworek wicepastora, różniący się gontowym, smołą oblanym dachem od chałup darnią pokrytych. W obórce było miejsca na cztery krowy, ale siana ledwie starczyło na trzy; przed dworkiem rosło sześć krzaków agrestu, które z wiosną stroiły się wprawdzie w drobne, blade listeczki, ale nigdy nie dostarczały jagód dla dzieci wicepastora. W tyle zaś poza domem wznosiło się ośm wysmukłych brzóz, i tym pani wice-pastorowa nadawała wspólne miano parku.

Wice-pastor, Olof Wallander, żył oczywiście w bardzo cięż-

kich i trudnych warunkach — ale bo też był to człowiek bez „wielkich zdolności“. Dla innych jego kolegów, młodych i pełnych nadziei, umiejących przemawiać wzniośle i z namaszczeniem gdy im tego było potrzeba, lub też grubiańsko i szorstko gdy im tak lepiej wypadło, i znów naprzemian potokiem pięknych słów i myśli wspaniałych słuchaczom łzy z oczu wyciskać — dla takich ludzi z „wielkiemi zdolnościami“ nie mogło nawet być mowy o mizernej posadzie w Westanskjog.

Nie trudnem też było dla pastora Wallandera przeprowadzić swą kandydaturę; a zaopatrzenia choć najskromniejszego potrzebował pilno, gdyż już jako suplent predykanta był się ożenił, licząc na łaskę Opatrzności; Opatrzność zaś, choć pono nigdy nie dozwala predykantom umrzeć śmiercią głodową, przecież daje im tego nieraz przedsmak nader wyraźny.

Biedny to był i bardzo nędzny domek, a w nim równie mało wesela jak słonecznych promieni. Trzy izdebki na dole niezmiernie małe, wyglądały pomimo swojej szczupłości, dziwnie pusto i goło. Stoły i stołki z bejcowanej brzeziny, okryte spłowiałą tkaniną, stały rozproszone jak żołnierze w tyraliery i jeden zdawał się pytać drugiego: „Cóż u djabła tu robisz?“ Tylko na pięterku, w kancelaryjce pastora było jakoś przyjemniej i bardziej swojsko. Trochę książek, trzy proste fajki, mapa rozwieszona na ścianie i skromne biurko, nadawały jej pozór odmienny i mniej ubogi.

Co jednak starczyło w tym domu za wesele i słońce — to dzieci. Nie wątpię — gdyby porównywać przyszło — że i w domach bogatych dzieci bywają równie gorąco i żywo kochane; ale tam współzawodniczy z niemi tysiące rzeczy, obrazy, rzeźby, zwierciadła, atłasy i aksamity, próżność i pompa; wśród takiego otoczenia, zaciera się w oczach ludzi wartość prawdziwa dzieci — nikt tam nie wie jak ciężko ich posiadanie opłacać przychodzi w życiu pełnem bied, niedostatku i troski. Ale u biednego pastora w Westanskjog, gdzie wszystko było niesmaczne i brzydkie prócz modrych oczął dziecinnych i świeżych szczebiocących buziaków, gdzie wszystko było szare prócz ich złotowłosych główek, wszystko posępne prócz wesołego dreptania podartych

i połatanych trzewiczków po gołych deskach podłogi; gdzie pastor często, tak często odmówił sobie drugiego talerza zupy, dlatego że Gustawek zgłodniałemi oczami na wazę spoglądał; gdzie dzień po dniu i rok po roku trzeba było byt tych dzieci wywalczać i okupywać zmartwieniem, niepokojem i poświęceniem bez granic — tam one zapełniały całe życie i rozsiewały wokoło światło i radość.

Po dwóch latach, przez wice-pastora Wallandera w parafii spędzonych, nikt już nie wierzył, aby jego zdolności były w istocie tak słabe. Wprawdzie, przyznać należy, nie mówił tak pięknie jak jego przełożony pastor w głównej parafii, ale przemawiał do ludzi jak człowiek, a nie jak urzędnik Pana Boga, przybywający ściągać zadawnione podatki, i kto tylko zechciał spróbować i nie dał się ukołysać i roztkliwić pięknością słowa Bożego, ale z uwagą słuchał słów każącego, ten musiał się zdumieć, jak wszystko co mówił było zrozumiałe i zastosowane do okoliczności codziennego życia. Skoro zaś pastor Wallander przystępował do łoża boleści lub śmierci, wtedy razem z nim wchodziły: pociecha, nadzieja i pokój; samo jego serdeczne pozdrowienie starczyło za połowę kazania, a owe „skromne zdolności", oparte na silnych skrzydłach modlitwy, działały cuda, lejąc prawdziwe skarby jasności na czarną godzinę smutku czy chwilę konania.

Wkońcu pozostało w parafii już tylko jedno serce, które mu się oprzeć zdołało i żywiło do niego nieprzyjaźń, czemu się nawet dziwić było trudno, gdyż serce to zamknięte było wśród ścian wspaniałego, dwupiętrowego domu i miało za sobą pięćdziesiąt lat wiernej pracy w służbie mamony; nadto było ono obwarowane pięknem futrem niedźwiedziem i miało za zbroję bardzo gruby pugilares, więc nie było łatwo do niego się zbliżyć. Pomimo to — pastor Wallander wierzył najmocniej, że serce to nie było gorszem od innych, choć należało do bogatego ławnika z Holma, jego upartego choć niezasłużonego wroga. Ów ławnik był jedynym, majętnym kmieciem w całej okolicy, silnym w radzie gminnej i twardym dla biednych ludzi. Nie żeby pastor był z nim kiedy postąpił surowo, okazał mu niechęć lub usiłował przewagę jego podkopać — o nie! Pastor czuł

wprawdzie nieraz, iż byłoby to jego obowiązkiem, ale — bieda i przekonanie o własnych „skromnych zdolnościach“ uczyniły go bardzo pokornym. Sam jednak oświecający wpływ pastora sprawił, że mniejsi właściciele poczynali szemrać na ucisk wywierany przez wiejskiego tyrana, nawet już parę razy w sprawach, gdzie chodziło o poratowanie ubogich kosztem gminy, odważyli się jego zdaniu sprzeciwić i miłosierniejsze od jego wniosku uchwalić postanowienie. I stąd poszło, że się stał na całe życie zawziętym wrogiem pastora. — Z wiosną zawitała do wsi szkarlatyna. Wtedy grób po grobie jął się otwierać i zamykać nad małemi, białemi trumienkami, które kolejno przenoszono przed oknami pastora, a panią Karynnę przebiegał dreszcz, gdy w niedzielę widziała męża stojącego przy owych trumienkach, otoczonego ludźmi, którzy w tak ciągłej i blizkiej byli styczności z temi zmarłemi dziećmi, z tą okropną wiedźmą zarazy. Inni byli ostrożni i trzymali się zdala, duchowny jednak nie miał prawa się cofać, podobnie jak lekarz. Często też chodził do domów żałoby, aby zrozpaczoną matkę podnieść i podeprzeć na krzyżu Zbawiciela, aby z maleńkim chorym pomówić w jego dziecinnym języku. A gdy potem wieczorem siedział u siebie, z Gustawem na jednem kolanie i z Anną na drugiem, a mała Greta raczkując po podłodze, przyczołgiwała się do nich i usiłowała swemi pulchnemi rączkami wydrapać się także do góry — wtedy serce pani Karynny drętwiało ze strachu, do czyich wrót blady gość dzisiaj zapuka?

I wkrótce gość stanął u wrót wice-pastora. Przyszedł w odwiedziny do Anny, i już po kilku godzinach leżała rozpalona w łóżeczku, wyciągając bez przestanku rączki po szklankę z wodą. Gdy pewnego wieczora pastor Olof powrócił do domu, już tylko dwie pary nóżek wybiegło na jego spotkanie... Rozpoczęła się walka, ciężki bój między miłością rodzicielską a śmiercią. Wprawdzie z dwóch, silniejszą jest miłość, ale jeszcze nie tu, na ziemi. Upłynął straszny tydzień pełny nadziei, trwogi i rozpaczy, poczem mały aniołek tego biednego domostwa otrząsnął pył ziemski ze swoich skrzydełek i znów białą, nową trumienkę spuszczono do grobu obok gęstego rzędu świeżych grobów cmentarza...

Czyś wszedł kiedy do domu, kędy śmierć dopiero co porwała dziecinę? Życie tam staje się podobnem graniu na instrumencie, którego przecięto struny. Rzecz najdrobniejsza, najobojętniejsza, co chwila na nowo otwiera ranę. Widok cukierniczki, do której maleństwo zawsze wyciągało rączkę, gorzkie łzy z oczu wyciska. Ojciec siedzi pogrążony w myślach, z wynędzniałą twarzą i wzrokiem utkwionym w kąt izby, kędy obcy człowiek nic godnego uwagi dostrzedz nie zdoła. On jednak widzi zapomnianego pod kanapą, starego, złamanego bąka; widzi żywe, klaszczące rączki, które się już nigdy nie poruszą do zabawy ni pracy; słyszy świeży szczebiot dziecięcy, wesołe, głośne wybuchy śmiechu nad kręgami z głuchem buczeniem wywijanemi przez starego bąka, śmiechu, który mu niegdyś dolewał życia, jakoby świeże tchnienie powietrza, a który teraz zamarł tam w białem łóżeczku, strojnem kwiatami i wilgotnem od łez. Matka też siedzi niema i patrzy, patrzy wciąż na drzwi łączące alkierz z izbą mieszkalną. Przecież u tych drzwi nic niema dziwnego! Ach! czy nie widzisz tej plamki, na lewo, tu na futrynie? Zdawałoby się, że to cień tylko i pokost w tem miejscu wytarty. Tu zawsze czepiały się krótkie różowe rączęta z dziurkami na każdem zagięciu, czepiały się, aby niezgrabnym, plączącym się nóżkom dopomódz do przebycia progu. A tam w szafie obok świątecznej sukni matki, ta mała bluzka z plamą, za którą było łajanie...! A po miesiącach, po latach, owa pończoszka odnaleziona w składzie starzyzny, pończoszka z dziurą u pięty i wspomnieniem w każde oczko wplecionem!...

Lato minęło, nadeszła jesień; nadeszła, niosąc chłodne dnie i ostre wichry, które wyjąc po pustkowiu goniły. Bardziej szary jeszcze i ponury niż zwykle stał domek wice-pastora na tle brudnego śniegu w smętnem świetle dnia listopadowego. W izbie jednak trzeszczał na kominie ogień, a ojciec i matka z dziećmi siedzieli przy ogniu.

Zatrute wyziewy jeziora bez wody prowadziły dalej swoje śmiertelne żniwo, które postępowało równie gładko i raźno, czy kosa nosiła nazwę szkarlatyny, tyfusu czyli dyfteryi. Obecnie ta ostatnia, najgorsza ze wszystkich zaraza, rozpoczęła była po

chatach swój pochód morderczy, zrazu tylko pomiędzy dziećmi. Pani Karynna przytuliła silniej swego synka do serca i drżąca zwróciła się nieśmiało do męża:

— Olofie, przecież nie potrzebujesz chodzić do chorych małych dzieci? Mój Olofie, mnie strach o Gustawa i Gretę!

— Nie mówmy o tem, Karynno!

— Teraz nam już dwoje tylko zostało!... Dotąd dyfterya bywała tylko u małych dzieci. Jeżeli Pan Bóg da, że nikt starszy nie zachoruje, to przecież nie potrzebujesz chodzić do chorych dzieci... wszak prawda!?

Lekkie drżenie jakoby niemocy i bólu poruszało głos pastora, gdy odrzekł:

— Nie do nich może, ale do strapionych matek i ojców. Wiesz sama, ile rodzicom potrzeba pociechy i miłości w tej najcięższej ze wszystkich prób życia.

Pani Karynna nie śmiała dalej mówić, tylko ruchem niemal kurczowym przycisnęła swego chłopca do piersi, jakby go obronić chciała przed chorobą i niebezpieczeństwem.

— Ktoś przyszedł i chce się widzieć z panem pastorem — zameldowano od drzwi kuchenki.

Pastor wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi od izby mieszkalnej.

— Czego chcesz, mój chłopcze?

— Mam się pokłonić od pani Ławnikowej z Holma i prosić pana pastora, aby natychmiast przyjechał. Pan Ławnik dostał dyfteryi i jest umierający. Konie czekają przed domem.

Pastor wszedł napowrót do izby.

— Do widzenia Karynno. Muszę wyjechać na parę godzin, i nie warto, abyś na mnie wieczorem czekała.

Pani Karynna wstrząsnęła się i chwilę niema patrzała w ogień. Potem nagle skoczyła, zarzuciła mu ręce na szyję i zapytała łkając:

— Dokąd jedziesz Olofie!?

— Tam, gdzie jest droga powinności, Karynno!

(Dok. nast.).

W.

ZWIĄZEK LUDOWY PRZECIW SOCYALIZMOWI

W NIEMCZECH.

Socyaliści krzewią już głośno swoje zasady pomiędzy polskimi robotnikami i rzemieślnikami. Na widok niebezpieczeństwa niejeden głos wzywa do walki przeciw burzliwym żywiołom i niejedna ręka chwyta za broń pióra, żeby odeprzeć ich napaść na odwieczny porządek. Kiedy tak nasze społeczeństwo zaczyna myśleć o swojej obronie, potrzebom obecnej chwili może odpowie opis zbrojnego stanowiska, zajętego przeciw siewcom burzy przez „Związek ludowy katolików niemieckich".

Po wojnie z Francyą, Bismark uniesiony dumą zwycięzcy, zapragnął widzieć u nóg swoich Kościół Powszechny. Zapomniał pomyśleć o tem, czy walka wyznaniowa nie zużyje jego sił na marne wysiłki, zamiast bronić państwa przed groźnym zastępem, prowadzonym przez Marksa i Bebla. A może pieścił nadzieję, że złoto francuskie wygoni z cesarstwa widmo nędzy i zamknie usta wichrzycielom. Więc wytoczył wszystkie działa na „czarnych", a „czerwonym" pozwolił używać swobody. Czerwoni nie zaspali pory stosownej do pracy. Na ich czele stał wtenczas Marks w południowych Niemczech, a na północy wrocławski Żyd Cassel, który zmienił rodzinne nazwisko, żeby zasłynąć pod przydomkiem Lassalle'a. Ten podział na dwa obozy pod osobnymi wodzami rozdmuchiwał żarzewie niesnasek. Żeby ich uniknąć, wiec w Gotha złączył wszystkich w jeden hufiec, nad któ-

rym postawił wspólny Wydział naczelny, wybrany z Marksistów i Lassallczyków i zlał oba pisma poprzednich obozów, *Volksblatt* i *Social-Democrat*, w jeden dziennik *Vorwärts*.

Zjednoczone siły, dzięki niedbalstwu Bismarka, wytworzyły potęgę. Po każdych wyborach Izba widziała na krzesłach poselskich coraz więcej orędowników przewrotu społecznego. Nakoniec jeden z ich przywódców śmiało zapowiedział, że bez przelewu krwi w ich ręce przejdzie ster państwa, bo po niedługim czasie wynik powszechnego głosowania zedrze korony z głów królom i książętom i u stóp wszechwładnego ludu złoży ich berła. Na to nie chciał czekać Hoedel i podniósł skrytobójczą broń na cesarza. Huk wystrzału ocknął żelaznego kanclerza, który rozwiązał Izbę, rozpisał nowe wybory pod hasłem: „przeciw zabójcom cesarza!“ i wezwał naród, żeby słuchał głosu sumienia, kiedy wprowadzi swoich przedstawicieli do nowej Izby. Głos sumienia narodowego zawiódł żelaznego kanclerza: w samym Berlinie kilkadziesiąt tysięcy więcej wyborców poparło teraz socyalistę, aniżeli przy wyborach poprzednich. Bismark, rozsierdzony porażką, chwycił mściwą ręką za broń, którą najwprawniej władał: środków przymusowych za pomocą wyjątkowych ustaw. Darmo Bebel przestrzegał, że walka nie trwoży jego towarzyszy, ani pogromca Francyi nie rozbije jego obozu, który tam liczy sprzymierzeńców, gdzie nikt nie przypuszcza. Nie znalazł posłuchu Windthorst, choć wołał, że przymus nie łamie potęgi duchowej. Bismark powtórzył: dajcie mi do ręki bicz, żebym wysmagał krnąbrnych, a zaręczam o spokoju. Niemcy, nawet Europa cała klęczała wtenczas przed Bismarkiem; Izba chodziła za nim na pasku: ustawy wyjątkowe przeszły.

Jednak sam Bismark w głębi duszy uznawał, że surowe środki nie stłumią ducha przewrotu; prócz ustaw wyjątkowych, ukuł inną broń do walki: ruszył na drogę socyalizmu państwowego. Polityka bata i łakoci nie złowiła nikogo na wędkę. Co trzy lata rósł przy wyborach orszak Bebla w Izbie; w ostatnich dniach zasiadało ich tam trzydziestu sześciu i rozporządzali stu kilkudziesięciu pismami, po części przemysłowemi, w części poli-

tycznemi. Każdy dzień przynosi nowe dowody, że państwowy socyalizm dozna porażki.

Windthorst nie tail przed nikim niebezpieczeństwa i pilnie badał, czy dość skutecznych środków Centrum używa na obronę robotnika katolickiego przed pokusami wymowy Bebla i Liebknechta. Osądził, że dotychczasowe zabiegi Kettelera, Hinzego, Moufanga i innych, ledwo przygotowały pole do pracy, która wyda pożądane owoce. Przeczuwał ją, ale długo ważył swoje myśli, pilnie czytał i zbierał rady, nim wypielęgnował zawiązki nowego pomysłu, którym uwieńczył dzieło swojego życia. Ostatku sił nie szczędził na podróże i narady, aż nakoniec doniósł Głowie Chrześcijaństwa, że na obronę społeczeństwa przed wichrzycielami wystawił nowy hufiec pod nazwą „Związku ludowego niemieckich katolików". Leon XIII. 23-go października 1891 roku pobłogosławił „szlachetne" dzieło, „najodpowiedniejsze potrzebom naszego czasu", i zapowiedział o niem, że „dozna poparcia i opieki wszystkich ludzi dobrze myślących, a nadto pomocy Boga wszechmocnego i najobficiej wyda zbawienne owoce".

Podobne pochwały płynęły z ust dostojników Kościoła niemieckiego i polecały wiernym bitny zastęp, zaopatrzony we wszystko przez swojego twórcę, który przewidział i wskazał, gdzie jaka bitwa wypadnie, kiedy jakiej broni używać, jak śledzić obroty nieprzyjaciela i jak korzystać choćby z drobnego zwycięstwa.

Krótki rzut oka na wewnętrzny ustrój „Związku ludowego" wystarczy, żeby zrozumieć pochwały, z jakiemi świat witał to ostatnie dzieło Windthorsta.

Zupełnie świeża myśl błysnęła w duszy „Małej Ekscellencyi", kiedy badał źródła niemocy, w jaką nieraz popadały związki kupieckie, rzemieślnicze, kółka rolnicze i inne towarzystwa, przez które Centrum usiłowało zachować lud niemiecki od zasad rozstroju. Windthorst spostrzegł, że członkowie jednego kółka albo towarzystwa zbyt na uboczu stali od swoich towarzyszów, zebranych pod inną chorągwią. Stowarzyszeni np. czeladnicy kroczyli swojemi drogami i walczyli swoim porządkiem, bez udziału w walkach i zdobyczach związków kupieckich albo wieśniaczych.

Co gorsza, każdy związek członków poszczególnego stanu albo zawodu, choć miał pierwotnie stanowić jedną rodzinę, łatwo tracił wewnętrzną spójnię, i rozsypany na setki ognisk, zależał wszędzie od miejscowych zarządów, które gospodarowały, jak który chciał i umiał. Dlatego, ile miejscowych odrośli wypuszczał ze siebie związek, na tyle drobnych światków rozrodzony, mimo najlepszych chęci rady nadzorczej, nie z jednego korzenia czerpał soki ani niełatwo mógł jedną myślą tchnąć.

Cóż na to radzić wypadało? Gdyby burzyciele podwalin społecznych gdzieś dopiero za górami szykowali swoje oddziały, w takim razie rada nadzorcza każdego związku, na każdem miejscu miałaby czas rozpatrzyć stosunki i do miejscowych zarządów powoływać członków stosownych. Ale, kiedy wróg już zewsząd naciera, wtenczas kto żyw, chwyta za broń — kto sprężystszy, zbiera i prowadzi swoją garstkę, a władza naczelna musi korzystać z chwili zapału i puszczać na nieprzyjaciela niejeden zastęp mężny pod czyimbądź dowództwem: przez to niejeden podjazd poszedł w rozsypkę.

Windthorst musiał także naprędce ściągać ochotników i rozsypać ich garstkami po całych Niemczech, żeby zaopatrzyć załogą miasta i nawet wsie zagrożone. Skądżeż od razu znaleść wyćwiczonego dowódcę dla każdej placówki? Przeszkodę zwiększał sam liczny skład miejscowych zarządów; do nich wchodziło po kilkunastu członków: więc trzeba było, żeby kilkadziesiąt osób zapisało się od początku do stowarzyszenia; inaczej byliby sami oficerowie bez żołnierzy. Windthorst dał sobie radę na sposób Aleksandra W.: zamiast rozwiązywać, przeciął węzeł i założył „Związek“ bez zarządów miejscowych.

Na pozór ta myśl musiała uchodzić za niewykonalną. W istocie, w innych związkach i towarzystwach trudnoby członków utrzymać w karbach ładu bez miejscowego zarządu, opatrzonego silną władzą. Dokąd wstęp stoi otworem dla ludzi różnego wieku, nawet dla młodzieży, kobiet i dzieci, tam różnorodne żywioły muszą czuć nad sobą w pobliżu głowę i rękę, któraby pilnowała porządku. Windthorst postąpił inaczej: na ochotnika pod swoją chorągiew wzywa tylko mężczyznę pełnoletniego, który ma głos

przy wyborach do Rady państwa. Na ludzi dojrzalszych, szczególnie wyborców, najchętniej poluje zgraja Bebla; na nich oparł także Windthorst potęgę i nadzieję Związku, jako na obywatelach gotowych do czynu, bez szczegółowych wskazówek, bez przymusu zewnętrznego, dla miłości sprawy, do której przystąpili.

W ten sposób mógł Windthorst urządzić „Związek“ bez straty czasu i niewygód, często połączonych z zarządami miejscowemi. Jego dzieło nie przypomina rzeszy udzielnych państewek: tworzy jednolity hufiec pod naczelnem dowództwem jedynego zarządu, zamieszkałego w Moguncyi. Duszą zarządu oczywiście był Windthorst od początku. Po jego śmierci członkowie obrali Franciszka Brandtsa prezydentem, wice-prezydentem Karola Trimborna; Fr. Hitze przyjął urząd pisarza, sekretarzem został dr. A. Pieper, skarbnikiem J. Elkan. W przebiegu dwóch lat brali udział w zarządzie: hr. Ballestrem, dr. Bruell, hr. Galen dr. Galland, dr. Lieber, radca Fritzen, sędzia Groeber, dr. Orterer, poseł Marbé, dr. Porsch, hr. Preising, hr. Hoensbroech, dziennikarze Otto i Stoetzel, i inni przedstawiciele szlachty rodowej, ciał naukowych, duchowieństwa i wpływowych warstw społeczeństwa.

Zarząd przybiera sobie do pomocy tak zwanych „zawiadowców“ *(Geschäftsführer)*, do których należy nadzór nad sprawami „Związku“ w pojedyńczych krajach i dzielnicach państwa, i „powierników“ *(Vertrauensmänner)*, którzy w imieniu zarządu przewodniczą członkom po parafiach. Członkowie mają w ten sposób na miejscu przedstawiciela władzy naczelnej; nie widzą w nim zwierzchnika, tylko rzutniejszego członka, sprężystszego, który nie przyćmiewa nikogo swoją powagą, ani nie odstręcza od pracy umysłów samodzielniejszych, tylko wykonywa rozkazy zarządu, rozszerza pisma, urządza zjazdy i wiece, szuka ochotników i zdaje zawiadowcy sprawę z miejscowego stanu „Związku“.

Członkowie „Związku“ nie wkładają na siebie ciężkiego brzemienia obowiązków. Oczywiście nie wolno im należeć do towarzystw socyalistycznych, nie biorą udziału w zmowach i bezrobociach, urządzanych przez wichrzycieli międzynarodowych, ani nie dają głosu przy wyborach na czerwonego kandydata;

w tej mierze podlegają rozkazom i słuchają wskazówek, dawanych w Moguncyi. Strzegą przed zasadami przewrotu swoją rodzinę i domowników. Nakoniec płacą wkładkę markową za pisma „Zwiazku“ i wstęp na jego wiece i odczyty. Wkładka wpisowa nie jest ciężarem, sprawia jednak, że ochotnik, który żyje z własnej pracy, przecież poważnie bada sprawę, do której ma przyłożyć rękę, i z rozwagą bierze na siebie nowy obowiązek. Także każdego obchodzi żywiej bieg sprawy, którą popiera pieniężnemi środkami. Dlatego członkowie „Związku“ pragną widzieć pożytek ze swoich wydatków dla wspólnego dobra, a im więcej każdemu zależy na zwycięstwie, tem usilniej popiera pracę towarzyszy.

Dochód, zebrany z wkładek wpisowych, opędza wydatki na broń, którą „Związek“ walczy: mianowicie pokrywa nakład na jego wydawnictwa i dostarcza środków, bez których zarząd nie zdołałby urządzać wieców i odczytów.

Wydawnictwa „Związku“ obejmują różne działy pracy pisarskiej.

Co sześć tygodni wychodzi zeszyt czasopisma: *Stimmen aus dem Volksverein für das katholische Deutschland.* Lassalle nie poprzestawał na burzliwych mowach, któremi podniecał mściwe chęci wyzyskiwanych robotników; wiedział, że nad namiętnemi porywami serca może zapanować rozum: do rozumu usiłował wcisnąć jad przewrotnych zasad, zasypał Niemcy pismami, które miały „umiejętnie“ przedstawiać zdobycze prawdy, odkrytej przez Buechnera i Darwina, i taką drogą prowadzić „oświecony“ stan czwarty do walki o byt. Przeciw pożarom rozniecanym przez tych krzewicieli „postępowej wiedzy“, musiał „Związek“ zabezpieczyć społeczeństwo: ten obowiązek przypadł w udziale „Głosom ze Związku“, wydawanym na obronę zasadniczych prawd rozumu i podwalin wiary chrześcijańskiej. Pióra zawodowych pracowników na tem polu chętnie oddają usługi naczelnemu redaktorowi, Leoncyuszowi Niderbergerowi.

To wydawnictwo liczy dopiero trzeci rok, a już zamieściło wiele rozpraw, które, choć przeznaczone dla ludu i nadzwyczaj przystępnym językiem pisane, przecie mogą zdobić prawie każdą

bibliotekę, bo umieją nawet zaciekawić czytelnika z warstw oświeconych, a szczególniej duchowieństwu wyświadczą cenne usługi przy duszpasterstwie.

Rok temu lud rozchwytał już pół miliona egzemplarzy: dziś nakładca A. Riffarth w M. Gladbachu bije miliony egzemplarzy. Dobór treści, czerpanej z różnych źródeł poważnej nauki a przeplatanych opisami wypadków współczesnych i powiastkami, wyjaśnia po części popyt tego wydawnictwa; ale największą w tem zasługę mają sami pisarze, którzy zdolnem piórem, nawet gdy najsuchszego tykają przedmiotu, umieją go ubarwić językiem nieraz prawie mistrzowskim. Zwykle rozprawka któregoś z pierwszorzędnych socyologów niemieckich rozpoczyna zeszyt. Treść tych rozprawek uderza śmiałemi poglądami w duchu bardzo dalekim od zasad państwowego socyalizmu. Ustęp np. pod napisem: *Einkehr*, uderza w struny, poruszane przez francuskich myślicieli: twierdzi, że w Niemczech rząd zawrócił z drogi ucisku i reformami socyalnemi usiłuje zatamować drogę Lassallczykom. To wszystko, czego rząd dokazał w tej mierze dotychczas, to uważają „Głosy“ za dobre, ale wcale nie dostateczne, *wie der Augenschein lehrt*. Zło tkwi zbyt głęboko i zbyt zaraziło krew w ustroju społecznym, żeby można było tę chorobę wyleczyć paljatywami, maściami i plasterkami, pod jakąbądź nazwą. Chorobie ciała można zaradzić, jeżeli lekarz sięgnie wewnętrznemi środkami do jej ogniska i zatka skażone źródło, które sączy z siebie zatrute soki na zewnątrz. Schorzałe na duchu społeczeństwo nie wyzdrowieje, póki rządcy państw używają środków zewnętrznych, poprzestają na drobnostkowych przepisach policyjnych i przymusem państwowym zamierzają zastąpić brak chrześcijańskiego ducha. Gdyby właściciele umieli podnieść serca w górę i wszczepić w nie zarodki miłości dobroczynnej, gdyby tchnęli ewangelicznym duchem, który w bogactwach widzi narzędzie do pracy na chwałę Bożą i dobro bliźniego: o jakże łatwo i prędko rozwiązaliby zagadkę socyalną! Choćby tylko przeważna część ludzi majętnych odżyła temi uczuciami, robotnik odetchnąłby w innym świecie. Tego zwrotu do wiary dobroczynnej żądają „Głosy“ i w jej braku widzą ognisko cho-

roby, korzeń raka, który tak roztoczył społeczeństwo, że wielu zwątpiło o jego powrocie do zdrowia.

W tem świetle rozpatrują „Głosy“ jeden po drugim szczegół w obecnych stosunkach społecznych, wytykają zgubne owoce rozrzutnego przepychu i zbytków nawet w warstwach roboczych, a z drugiej strony groźne następstwa chciwego wyzysku, który woła o pomstę do nieba.

Po rozprawach naukowych, idą urywki z dziejów walki społecznej, obrazki z życia głównych krzewicieli zasad zachowawczych albo przewrotowych, potem przygody robotników, kołatanych burzami, nim zawinęli do przystani Kościoła; nakoniec wiele zeszytów zdaje sprawę ze stopniowego rozwoju „Związku“, z toku obrad, przebiegu prac, ich wyniku i przyszłych nadziei.

Zabawnie musi wyglądać socyalista, kiedy przypadkiem znajdzie pod ręką który z tych zeszytów, a zaciekawiony jakimś ustępem albo niespodzianym zwrotem, przeleci okiem całą stronicę; najczęściej zechce zaglądnąć dalej, a potem już łatwo zapomni, że ma w ręku pismo nieprzyjaciela, a ujęty jego dowcipem i tokiem trzeźwych myśli, ze śmiechem zobaczy siebie samego w obrazie wiernie pochwyconym, i własne zasady zręcznie odparte, a chociaż nie zaraz zmieni sąd, przecie bez gniewu przeczyta prawdę, która w oczy ukole, ale przytem zabawi.

Drugą bronią, za którą chwycił „Związek“, można nazwać jego pisma ulotne. O ich potrzebie nie trzeba wiele mówić: dowodu oczywistego dostarczają sami socyaliści, którzy umieją chodzić koło dzieła, kiedy mają puścić na robotników „dwudziestu kilku żołnierzy Guttenberga“; tak nazywają prasę. I tutaj przyznać trzeba „Związkowi“, że rozporządza niepośledniemi siłami pisarskiemi. Treścią swoją te pisma ulotne wyczerpują przedmioty poważne z dziedziny błędów, najchętniej uprawianych przez dzisiejszą filozofię na wydmach pozytywizmu. Na zagony porosłe zielskiem wysłał „Związek“ głębszych myślicieli, którzy umieją oderwanym prawdom filozoficznym nadać postać z ciała i krwi, wcale nie surową, nieraz wesołą i towarzyską, chociaż nie pobłaża przeciwnikowi i wywraca do góry nogami twierdze mądrości, kleconej przez materyalistów.

Jeszcze większą niespodziankę dla uprzedzonych przeciw niemieckiemu piśmiennictwu przygotował „Związek“ przez dział powieściowy swoich wydawnictw.

Umiał połączyć wdzięk udatnej szaty zewnętrznej, lekkiej prawie jak utwory francuskiego powieściopisarstwa, z jędrną osnową myśli wytrawnych i, w drobniejszych tylko rozmiarach, zgrabnie naśladuje lepsze obrazki angielskich i szkockich wzorów beletrystycznych.

Nakoniec, ale nie na szarym końcu, zasiadają w rzędzie tych prac piśmiennych „listy katolickie socyalno-polityczne“, bezpłatnie pisywane co dwa tygodnie do wszystkich redakcyj pism, popieranych przez Centrum parlamentu niemieckiego. Po te listy „Związek“ zakołatał tylko do najznakomitszych socyologów, i jeszcze wybrednym sędziom kazał dobrze pomyśleć nad każdą pracą nadesłaną, nim pozwoli ją wysłać w swojem imieniu. Dlatego pisma, szczególnie drobniejsze i oddalone od ognisk ruchu umysłowego, za cenne dobrodziejstwo uważają te listy.

Temi drogami postępuje „Związek“ w zakresie pracy pisarskiej. Z żywem słowem staje do obrony prawdy albo na posiedzeniach, na które zwołuje swoich członków, albo na wykładach, których słuchać wolno każdemu.

Posiedzenia członków „Związku“ nie noszą na sobie piętna życia towarzyskiego; poważny ich przebieg odróżnia je zupełnie od zebrań innych towarzystw katolickich w Niemczech.

Nie do koła przyjacielskiego na zabawę albo pogadankę wzywa naczelny wydział wojenną drużynę: rozwija przed nią w zarysie swoje zamiary i widoki na dalsze walki, rozbiera zamysły wroga i obznajmia z jego obrotami, przygotowuje do utarczek, nie krwawych, prowadzonych bronią rozumowych dowodów, ale w których zwycięstwo nad czerwoną chorągwią zabezpieczy tysiące rodzin od przewrotów społecznych i klęsk niemniej dotkliwych dla całych pokoleń, aniżeli porażka w bitwach, rozstrzyganych żelaznym orężem. Mówcy, znani światu z obrony Kościoła na rozprawach sejmu niemieckiego, spieszą na wiece członków „Związku“, żeby przed nimi rozłożyć obraz bojów, toczonych w dziedzinie prawdy między porządkiem spo-

łecznym a marzycielami o raju na zwaliskach świątyń i tronów. Przytem wiece służą za przegląd bitnego wojska: duch członków rośnie na widok ich liczby: poznają, że nie słabą garstką idą na nieprzyjaciela, ale że w zbitych hufcach tworzą potęgę, która zdoła rozbić zapędy wroga nawet silnego. Dalej te wiece „Związku“ budzą życie katolickie. Uczestnicy wiecu słyszą poważne rozprawy o stanie Kościoła, o jego potrzebach i obowiązkach wiernych wobec wrogich prądów, które nurtują dziś w umysłach; poznają powody, dla których Centrum walczy przeciw ustawom majowym, żąda chrześcijańskiej szkoły i tej swobody i praw dla Kościoła, jakich używają innowiercy, nawet Żydzi i socyaliści. Słowem, zgromadzeni członkowie „Związku“ odnoszą ze swoich zjazdów podobny pożytek, jaki płynie w większych rozmiarach z walnych wieców katolickich. Nakoniec zebrani członkowie „Związku“ dostają wskazówki, jak im wypada postępować przy wyborach: w tej mierze idą ręka w rękę z Centrum i zawczasu już od półtora roku przygotowują katolików na wybory. Gdyby dopiero przed samemi wyborami mieli wierni odbywać narady i liczyć głosy sprzymierzeńców, nieraz nagłe przeszkody zwlekałyby sprawę na ostatnią chwilę, kiedy nie możnaby już dość rozebrać ważnych pytań i liczyć na wygraną. Często także możnaby znaleść umysły uprzedzone i niechętne, jeżeli w nich już dojrzał posiew socyalizmu. Z tych powodów „Związek“ czuwa ciągle nad wyborcami, trzyma ich w pogotowiu do stanowczej rozprawy i na swoich wiecach przypomina ich obowiązki i zapala do dzieła.

Prócz tych wieców, co miesiąc odbywanych po okręgach, a co rok zwoływanych z większych obszarów, urządza Wydział naczelny wykłady, tak zwane: *Praktisch-sociale Kursus*, rodzaj wędrownej wszechnicy, otwieranej z kolei po różnych miastach na kilka albo kilkanaście dni. Socyologowie z zawodu miewają odczyty, każdy o szczególnym dziale umiejętności społecznej, o dziejach i teoryach socyalistycznych, o zagadnieniach praktycznych i najkorzystniejszych na razie sposobach, jakiemi możnaby zapobiedz przewrotowi a dźwignąć z nędzy robotnika.

Tak wygląda wewnętrzny ustrój „Związku“; tym orężem

podwójnym: pismami i żywem słowem, zdobywać postanowił wpływ nad ludem, zagrożonym przez spisek międzynarodowców.

Ale czy ten pomysł cały, zastosowany do życia, nie napotkał przeszkód nieprzewidzianych? czy zabiegi, dotychczas podejmowane, żeby rozszerzyć „Związek", rokują pomyślny skutek i zapowiadają, że Niemcy znalazły nakoniec obronę przed socyalizmem?

Krótki pogląd na dwuletni rozwój „Związku" może dać rękojmię, że przynajmniej dotychczas wojsko zebrane przez Windthorsta coraz karniej i liczniejszym zastępem kroczy pod nową chorągwią i wychodzi dotąd chlubnie z drobniejszych potyczek. Nie przebyło jeszcze ogniowej próby: dopiero obecne wybory wezwały „Związek" do walnej rozprawy. Tymczasem jednak zapuszcza korzenie i wypuszcza coraz nowe odnogi, które już sięgają poza kresy, zamieszkałe przez katolików niemieckich: na wschodzie szukają członków między Szlązakami i w W. Ks. Poznańskiem, na zachodzie wzywają do wspólnej pracy francuskich mieszkańców Alzacyi i Lotaryngii.

Na czele ruchu, wywołanego przez „Związek", stanęli katolicy wirtemberscy. Każdy okręg posiada swojego zawiadowcę; niektóre potrzebowały dwóch, trzech i więcej. Dostarczają ich stany: świecki i duchowny; kilku z nich zasiada na krzesłach poselskich, niektórzy piastują urzędy państwowe; za ich przykładem niejeden lekarz, prawnik, kupiec, przemysłowiec albo nauczyciel przyjął na siebie obowiązki zawiadowcy.

Za Wirtembergiem stanęły inne kraje i dzielnice państwa niemieckiego. W przeciągu roku pierwszego „Związek" zebrał członków 100.000 z górą w Westfalii, nad Renem, w Hannowerze, Saksonii pruskiej, Brandenburgii, Prusach wschodnich i zachodnich, na Szląsku, w Hessyi, Oldenburgu, Badenii, Saksonii królewskiej, Bawaryi, Alzacyi i Lotaryngii, Meklemburgu, w drobnych księstwach niektórych i wolnych miastach. Dzisiaj „Związek" rozpostarł swoje latorośle po wszystkich już zakątkach państwa niemieckiego i liczy członków 147.000. Najgromadniej zapisywali swoje imiona katolicy nadreńscy i westfalscy: razem dostarczyli prawie połowy członków, bo ich liczba doszła

do 73.000. Szlązaków stanęło pod chorągwią 3015. W Księstwie Poznańskiem „Związek“ znalazł przed rokiem 510 ochotników, ale podobno do dzisiaj nie zapuścił korzeni między robotnikami Polakami. O nich jednak pamięta; przygotował dla nich dwa pisemka polskie i z pomocą wpływowych naszych rodaków zamierza dalej pracować. Robota jednak w Księstwie idzie dotąd tępo z powodu przeszkód narodowosciowych i językowych. Jeżeli nie będzie można zaszczepić w Księstwie polskiej odrośli „Związku“, Wydział naczelny zamierza usilnie popierać przynajmniej rozwój już założonych towarzystw i kółek robotniczych, rzemieślniczych i innych. Myśli także o związku mężczyzn z różnych zawodów, którzyby razem zgromadzeni słuchali stosownych odczytów, czytali doborowe pisma i t. d. Jakimbądź sposobem trzeba pracować koniecznie nad polskimi robotnikami, oświadczył „Związek“. Obecnie kilkuset zawiadowców i kilka tysięcy powierników pracuje, i pod dowództwem naczelnego Wydziału urządzili liczne poufne narady między sobą, jeden walny zjazd wszystkich członków i do tysiąca wieców miejscowych.

Te zjazdy i wiece najsilniej działają na umysły ludu i najliczniejszych, najgorliwszych krzewicieli zjednywają „Związkowi“. Uczestnicy tych zjazdów i wieców odchodzą z nich zagrzani do czynu, a widok ich zapału i skrzętnej pracy więcej od słów porywa za nimi nieraz setkami nowych ochotników. Taki skutek uwieńczył zabiegi Wydziału naczelnego zaraz na pierwszym zjeździe powszechnym członków, odbytym 15 lutego 1891 roku w Kolonii. Następne wiece, w Monastyrze, Akwizgranie i nawet po małych miasteczkach, wypadły tak pomyślnie, że gdzieniegdzie prawie wszyscy katolicy miejscowi wstąpili do „Związku“, np. w Coesfeld, Luedinghausen i w okolicy Siegu. Po wiecu w Paderbornie przybyło do dwóch tysięcy nowych członków. W Osnabrueck'u po niezrównanych przemowach d-ra Gallanda i Tumbuelta, podniósł głos niespodziewany uczestnik zjazdu i przywódca tamtejszych socyalistów, Fritz. Ten z garstką zwolenników uprosił sobie wstęp na wiec i nie mógł zapanować nad sobą, kiedy chrześcijańscy mowcy zbierali oklaski. Zażądał głosu; tysiące oczu padło na przewodniczącego, barona von Korff-Sutthasen,

z prośbą, żeby pozwolił na ciekawą rozprawę między gościem z obozu czerwonego a którymś z członków „Związku". Baron pozwolił najchętniej. Fritz powstał, żeby powtórzyć znane wywody i oklepane zwroty krasomówstwa; wplótł w nie odważnie wyznanie swojej wiary, słowami: *Ich bin Atheist;* zaręczył, że postępowe zasady jego katechizmu wymiotą ze świata średniowiecznego ducha ciemnoty. Grzeczni słuchacze, żeby uczcić odwagę przeciwnika, zachowali poważny nastrój, choć im nieraz trudno przychodziło bez wybuchów śmiechu czekać końca „umiejętnych" poglądów. Pan Fritz spostrzegł, że nie podbija umysłów; zszedł z mównicy, na którą znowu wstąpił dr. Galland, streścił słowa poprzednika i odpowiedział na nie. Pan Fritz już drugi raz nie prosił o głos; wyszedł — i po nim żaden więcej socyalista nie zaszczycił odwiedzinami późniejszych wieców „Związku". Z daleka tylko śledzą przebieg obrad, nieraz bardzo żywych, czasem powtarzanych raz po raz, jak np. w okolicy Saarbrueck'u, gdzie w przeciągu tygodnia „Związek" dwanaście razy zgromadził członków, żeby wstrzymać groźniejszy w tych stronach wpływ rozpanoszonych wichrzycieli. Nową nadzieję rokuje także francuski odłam „Związku", zgromadzony pierwszy raz w Mecu, jesienią 1891 r. Na niektóre zjazdy uczestnicy napływają tak licznie, że nawet miasta większe nie mogą znaleść dość obszernego miejsca na ich obrady. Tak do Ravensburgu, osobno zamówionemi pociągami, zjechało naraz 8000 związkowych; trzeba było podzielić ich na drobniejsze oddziały i z każdym odbywać osobny wiec. Miasto Horn zawczasu ostrzeżone o przyjeździe 6000 członków, wystawiło dla nich olbrzymi namiot.

Kto nie mógł opuścić domu albo zawodowej pracy, żeby pospieszyć na zjazd, do tego drzwi „Związek" zakołatał z któremś ze swoich wydawnictw, bajecznie tanich. Pisemka ulotne obejmują po parę arkuszy druku, a cena każdego pojedyńczo wynosi tylko pięć fenigów. Nie dziw, że 1,029.150 egzemplarzy znalazło odbyt w pierwszym roku, między niemi 10.000 książeczek polskich, w drugim roku liczba rozszerzonych broszur dosięgła czterech milionów.

Dziś już 230 czasopism ze stronnictwa Centrum korzysta

co dwa tygodnie z „Listów Związku“, które za każdą razą dostarczają bogatej osnowy do kilku rozprawek z dziedziny socyologii.

Mimo nakładów, potrzebnych na druk i honorarya, skarb „Związku“ wszelkim wydatkom podołał i w zapasie na rok następny liczył nadwyżkę 41.407 marek.

Takie początki „Wykładów praktycznej socyologii“ odpowiedziały nadziejom, pokładanym w profesorach przejezdnej „wszechnicy“. Grono trzynastu mężów, wszyscy zarówno uczeni jak doświadczeni, każdy z innego stanowiska społecznego, wystąpili z odczytami i rozprawami pierwszy raz w M. Gladbachu w dniu 20-go września 1892 r. Z różnych także szczebli społeczeństwa stanęło pięciuset ośmdziesięciu dwóch słuchaczy dziesięciodniowego kursu. Z nich znacznie mniejszą część dostarczyło samo miasto M. Gladbach. Zamiejscowych zjechało trzydziestu dziewięciu Niemców, dziewięciu Polaków, dalej ciekawi słuchacze z Austryi, Szwajcaryi, Francyi, Holandyi, Belgii, Danii, nawet północnej Ameryki. Duchowieństwo wszelakich stopni zasiadło także na ławach słuchaczy w liczbie dwustu czterdziestu dziewięciu. Widok tego różnolitego zebrania, żądnego usłyszeć prawdę z ust pierwszorzędnych myślicieli, przypominał opisy średniowiecznych sal wykładowych, gdzie najróżnorodniejsze zawody i narodowości dostarczały zastępu chciwych wiedzy słuchaczy.

Wykłady rzucają światło głównie na żywotną stronę pytań socyologicznych. Kwestya robotnicza zajęła większą część trzydziestu godzin prelekcyj. Profesorowie musieli wyłożyć pojęcie i zakres tej kwestyi, prawa, według których możnaby ją rozwiązać, przyczyny, dla których brakuje do dziś równowagi w stosunkach właścicieli do robotnika. W związku z tą kwestyą rozwijali chrześcijańskie poglądy na sprawę obrony i zabezpieczenia robotników, na różne drogi, po których trzeźwi myśliciele albo utopiści szukają zapewnionego dobrobytu dla skazańców na pracę; przytem rozbierali zawiłe pytanie o pomieszkaniach dla tych biedaków, nie przeoczyli sprawy przeróżnych towarzystw, związków i kółek, ochronek i przytulisk. Nie pominęli zagadnień za-

sadniczych; gwiazdę przewodnią znaleźli w liście Leona XIII. o sprawie robotniczej: na tej podwalinie budowali pojęcia o własności i posłannictwie rządów w dziele naprawy stosunków opacznie nawiązanych; w tej mierze ciasny zakres wyznaczyli przymusowi państwowemu. Szeroko rozbierali obyczajową i prawomocną stronę układów między pracą a przedsiębiorcą; z blizka rozpatrywali sprawę zmowy niezadowolnionych robotników. Jasno wyłożyli obowiązki duchowieństwa, wpływ piśmiennictwa i zasługi Kościoła w walce pomiędzy warstwami społeczeństwa.

Po godzinach wykładowych, wieczorami, umysły zajęte treścią usłyszanych nauk, nie mogły spocząć. Często słuchacze nie chcieli opuszczać sali, i zaraz po wykładzie wzywali profesorów na rozjemców w żywych rozprawach, wywołanych ich poglądami. Gwarna wymiana myśli trwała nieraz do późnej godziny. A nie było to zbiorowisko prostaczków: prócz duchowieństwa, uczęszczało na te wykłady 5-ciu posłów, 13-tu profesorów na wszechnicach, 51-den nauczycieli szkół średnich i niższych, 3-ch sędziów, 11-tu prawników, 8-miu lekarzy, 20-tu dziennikarzy, 21-den słuchaczów różnych wydziałów na wszechnicach, 55-ciu słuchaczy teologii, 16-tu urzędników, 130-tu przedsiębiorców, kupców, właścicieli i t. p.

Przykład M. Gladbachu podziałał z niespodzianym skutkiem. Niejedno miasto urządzało potem dla swoich obywateli podobną ucztę: sam Berlin naśladował wykłady M. Gladbachskie. Przed jesienią b. r. zamierza „Związek“ otworzyć „Wykłady“ w Nisie na Szląsku i w Bambergu.

Rozbudzony zapał do pracy naukowej na polu socyologii zwrócił uwagę Wydziału naczelnego „Związku“ na to, że członkowie potrzebują dobrze zaopatrzonej biblioteki. Odezwa do członków i zamożnych przyjaciół „Związku“ nie przebrzmiała bez odgłosu. W przebiegu kilku miesięcy dość datków i książek wpłynęło do Wydziału, żeby można było otworzyć bibliotekę, jak na początek już nieźle uposażoną, bo liczy już około tysiąca dzieł z wszelkich gałęzi socyologii, dobranych i dla miłośników nauki, którzy postanowili głębiej wniknąć w jej ciemne nieraz tajniki, i dla ludowych czytelników, szczególnie dla tych, któ-

rych obowiązki i stosunki wymagają jasnego poglądu na zasadnicze prawdy socyologii.

W ostatnich czasach Wydział założył tak zwane „Biuro ludowe dla Saarbrueck'u i okolicy". W szerokim promieniu naokoło Saarbrueck'u pracują gęste tłumy robotników po kopalniach i hutach. Dla tych prostaczków po większej części, pozbawionych wszelkiej opieki, wystawionych na łup zdzierstwa, „Związek" założył biuro wywiadowcze. Każdy członek „Związku" bezpłatnie zasięga tu rad, szczególnie w sprawach, w których nieobeznany z księgą ustaw może ponieść dotkliwe straty: więc w sprawach podatkowych, przy sporach o zabezpieczenie w razie choroby, wypadku, starości albo kalectwa, w niesprawiedliwych ugodach i t. d. „Związek" sam opłaca wydatki na potrzebne nieraz podania, świadectwa albo prośby. Łatwo poznać, ile takie biuro może zażegnać burz i w zarodku stłumić gniewów i nienawiści, które w ciemnym tłumie doprowadzają do wybuchów namiętnej zemsty, nawet do krwawych rozruchów.

Słowem, „Związek" idzie przebojem naprzód: gdziekolwiek powiewa czerwona chorągiew, tam połyskuje także oręż w ręku oddziału, wysłanego z M. Gladbachu. Ile drobnych potrzeb, niezaspokojonych przy dzisiejszym stanie stosunków, chmurzy czoło stroskanego robotnika, tyle do jego serca dróg znajdują krzewiciele rozstroju, tyle zasadzek czeka na łatwowiernych, którzy za pochodnię w podróży życia biorą błędne ogniki, idą na lep obietnic Lassalle'a i Bebla. Dlatego w każdy zakątek zaglądają Związkowi, z każdej zasadzki płoszą zaczajonych nieprzyjaciół, roztaczają opiekę nad robotnikiem w całym zakresie jego potrzeb, trosk i niedoli.

Ta zapobiegliwa praca „Związku" nie uszła uwagi stronnictwa przewrotu. Dość wymownie świadczą o tem takie listy, jaki np. z Ravensburgu poszedł od tamtejszych socyalistów do naczelnego zarządu w Stuttgardzie z prośbą o posiłki w ludziach i o nowe zapasy pism i książek po zniżonych cenach, bo, dodają: „musimy walczyć z przeszkodami nieprzebytemi: wpływ ‚Związku ludowego' rośnie nad miarę". Podobne okrzyki trwogi dolatywały tak często do Liebknechta i von Vollmara, że ci

w swoich przemowach przestali występować jawnie przeciw Kościołowi. Dawniej głosili szczerze i wyraźnie, że w swoim obozie nie potrzebują zacofańców, którzy wierzą w Boga, że zostawiają mrzonkę o niebie dla aniołów i klechów, że za jedyną osobę porządną w społeczeństwie chrześcijańskiem uważają złego ducha, i podobnemi bredniami karmili umysły prostaczków. Dzięki pracy „Związku ludowego“, wierni w Niemczech poznali te zasady burzycieli i z pogardą zaczęli odpychać ich od siebie. Wtenczas nastąpiła zmiana: zamiast bezbożnych okrzyków, usłyszał robotnik katolicki inne poglądy, naukę oględniej wyrażaną, żeby zaspokoić jego sumienie i zapewnić, iż socyalizm w niczem nie ubliża Kościołowi, ani nie narusza zasad wiary, bo ją uważa za sprawę osobistą każdego człowieka, w którą nie wgląda.

Na swoje nieszczęście, Liebknecht ze swoim orszakiem zapóźno wdziali na siebie postać niewinnych baranków, którzy nikomu nie mącą wody ani nie odbierają wiary. „Związek“ dokonał swego i robotnik niemiecki już wie, że do raju socyalistów prowadzi droga po zwaliskach kościołów chrześcijańskich. Ani gniewy ani obłuda nie pomogą czerwonej chorągwi zająć napowrót stanowiska, z którego ją spędziło ostatnie dzieło Windthorsta.

Zapewne, ta potężna instytucya „Związku ludowego“ nie da się żywcem przenieść do innych krajów. Jest ona jednak dla wszystkich przykładem energii i systematyczności, z jaką walczyć potrzeba przeciw socyalizmowi. I u nas już wielki czas tę walkę zorganizować: dlatego zdaliśmy tak szczegółowo sprawę z powstania i rozwoju tej pięknej instytucyi [1].

Ks. K. Czaykowski.

[1] Wynik ostatnich wyborów nie zawiódł nadziei pokładanych w „Związku ludowym“. Mimo dziwnie zręcznie prowadzonej walki, socyaliści zyskali nierównie mniej krzeseł, niżeli się spodziewali.

BAŚNIE I FAŁSZE W HISTORYI.

(Ciąg dalszy).

Naród grecki przy swej bujnej fantazyi i wyobraźni poetyckiej wycisnął i na prawdzie historycznej piętno poetyczne. Pominąwszy najdawniejsze dzieje, dawno już do rzędu mitów przez krytykę osądzone, mityczną jest również postać Likurga; dziełem wieków jest przypisane mu prawodawstwo. Niesłusznie wywodzi się nazwę podbitej ludności Lakonii od miasta Helos; nazwa Helotów pochodzi od εἵλωτες, to znaczy jeńcy. Wspólne uczty Spartanów, wedle Curtiusa[1], nie nazywały się συσσίτια, lub je niesłusznie tak nazywano; συσκήνια zwie je tylko Ksenofon, ἀνδρεῖα zwą się podobne uczty na Krecie, w Sparcie zwały się φιδίτια, tj. posiedzenia, przyczem, wedle Schömanna[2], wyraz ten nie ma nic do czynienia z φείδομαι, oszczędzać — Spartanie lubili się najeść ale nie przejadać — lecz pochodzi od ἕζομαι, siedzieć.

Tyrteusz nie był kulawy, tylko zrobiono go takim dla nierówności wierszy, w jego elegiach używanych, tj. heksametru i pentametru. — Drakona prawodawstwo nie było takie drakońskie, jak je niesłusznie osławiono. Nowo odkryta konstytucya Aten Arystotelesa, ukazuje nam Drakona jako postać pierwszorzędną. Ukrócił on przewagę kasty dotychczas panującej, przypuścił do władzy także średnio zamożnych. Ponieważ Solon

[1] *Griech. Geschichte*, I, 637.

[2] *Griech. Alterthümer*, I, 272.

z prawodawstwa Drakona zatrzymał tylko postanowienia karne w sprawach morderstw, potomność zapomniała o innych zarządzeniach starszego ustawodawcy. Nadto Solon wyrósł po wojnach perskich na uwielbianego twórcę demokracyi. Jemu przypisywano początki różnych ustaw, które powstały za Drakona lub Pizystrata, a nawet i później. W tym duchu mimowolnie lub umyślnie przekształcona tradycya usunęła na drugi plan kosztem prawdy nietylko Drakona, ale i późniejszego Kleistenesa [1].

Areopag nie był ani wzgórzem krwi, ani pagórkiem Aresa, lecz miejscem, gdzie doznawała czci Atena, ἀρεία, bogini przekleństwa i przebłagania. Atena Promachos nie była widzialna, jak chcą niektórzy na podstawie źle zrozumiałego tekstu u Pausaniasza [2], z przylądka Sunion, lecz dla tych, którzy przybywali do Aten od strony Sunion. — Ludowe podania ateńskie łączą wspaniałe budowle Peryklesa błędnie z wojnami perskiemi; ale też te wojny, to najpiękniejsza karta w dziejach greckich, nie dziw więc, że najszczytniejsze chwile w dziejach kojarzy wyobraźnia ludowa z najpiękniejszemi płodami swego ducha, nie dziw, że patryotyzm grecki romantycznie upiększa bohaterskie czyny swych przodków. Spartanie mordują posłów wielkiego króla, żądających ziemi i wody na znak poddania się; oczywiście i Ateńczycy nie mogli inaczej postąpić, mniemali epigonowie; wymysł ten podaje nam już Herodot. Opis walki pod Termopilami jest tak dramatyczny, iż mógłby być snadnie na scenie przedstawiony ze wszystkiemi lakonizmami, jak: „Przyjdź a weź je“, lub „Będziem wieczerzać u Hadesa“ i t. d. Także słowa Temistoklesa, rzekomo do Euryliadesa zwrócone: „Bij ale słuchaj“, są anegdotką *ex post* dorobioną, jak termopilskie lakonizmy, znachodzące się tylko u późniejszych pisarzy.

Aspazya, szlachetna towarzyszka i małżonka wielkiego Peryklesa, niesłusznie uchodziła długie czasy za heterę i kobietę lekkomyślną. Była piękna i mądra, była powierniczką pierwszego męża stanu w Atenach, nadto pochodziła z Miletu i jako taka

[1] Ćwikliński, „Konstytucya Aten“.
[2] I, 28, 2.

nie mogła legalnego małżeństwa z Ateńczykiem zawrzeć — to wystarczało, by o niej najgorsze rzeczy wymyślić. Starsza komedya attycka dała początek tym oszczerstwom, kontynuowali je uczeni scholiaści szczególnie w pierwszym wieku po Chrystusie, lubujący się bardzo w różnego rodzaju skandalikach. — Tak plotki nieuzasadnione zeszpeciły piękną postać najinteligentniejszej niewiasty starożytności, i dopiero w najnowszych czasach sumienne studya Adolfa Schmidta [1] rehabilitowały reputacyę uroczej Jonki. Podobnie i żonę Sokratesa niesprawiedliwie osławiono, tak, iż nazwa Ksantypy stała się dziś synonimem złej i zrzędnej żony, sekutnicy. Wiele przez Diogenesa Laërtiusza i Aeliana podawanych o niej anegdotek, jest widocznie na to tylko wymyślonych, by spokój filozoficzny Sokratesa lepiej uwydatnić. Głównie zaś do złej sławy uczciwej i rządnej małżonki filozofa przyczyniła się, jak to dowcipnie wykazał Zeller [2], początkowa głoska jej imienia. Dla łatwiejszego spamiętania alfabetu ułożono mianowicie w niemieckich elementarzach wierszyki rozpoczynające się od pojedyńczych głosek alfabetu po porządku. Ponieważ głoską „X“ żaden wyraz niemiecki się nie zaczyna, więc Ksantypa musiała przyjąć smutną rolę w następującym dwuwierszu:

Xanthippe war ein böses Weib,
Der Zank war ihr ein Zeitvertreib.

Niemniej i postacie filozofów, poetów i pisarzy greckich oplótł legendarny wieniec. Znana powszechnie wieść o trzech wielkich tragikach, jakoby w dzień walki pod Salaminą jeden walczył, drugi tańczył przy obchodzie zwycięstwa, trzeci się narodził, jest płodem bakalarskiej mądrości dla unaocznienia uczniom różnicy w wieku trzech poetów. Dziwaczne także są rodzaje śmierci, jakie przypisuje im wieść późniejsza. Na Eschylesa między innemi spuścił np. orzeł przelatujący żółwia i głowę mu strzaskał. Baśń ta powstała na podstawie wizerunku, apoteozu-

[1] *Das perikl. Zeitalter*, I, 288.

[2] *Vorträge u. Abhandlungen geschichtlichen Inhalts*. Leipzig. Zweite Aufl. 1875, str. 57.

jącego wieszcza. Orzeł wzbijający się w górę jest symbolem porywającej jego muzy, żółw zaś symbolem liry.

Bohaterem tysiącznych anegdot i figli stał się Alcybiades. „Potroić życie musiałby był Alcybiades, powiada najnowszy jego biograf Hoger[1], aby zdołał wykonać wszystko to, co mu przypisuje wyobraźnia komedyopisarzy i retorów. Wszystkie postanowienia przedśmiertne, umierającemu Aleksandrowi W. w usta włożone, są, na podstawie późniejszych wypadków, zmyślone. Jedynem wiarogodnem świadectwem są dyaryusze królewskie, które Arrian jako główne źródło swego dzieła podaje. Wedle nich, w pierwszych dniach choroby Aleksander wcale o śmierci nie myślał, w piątym zaś dniu, kiedy się mu znacznie pogorszyło i wodzowie do łoża umierającego króla przybyli, stracił był mowę, zatem żadnych zleceń im dawać nie mógł. — Już za czasów greckich uchodzą Azya i Europa za imiona własne, a jednak pierwsza nazwa pochodzi od asyryjskiego wyrazu *asu*, co znaczy wschód, druga zaś z semickiego *ereb*, a oznacza zachód, podobnie jak nazwa portugalskiej prowincyi Algarve, powstała z arabskiego *gharb*. Starożytną nazwę Kartaginy, Bosra lub Bazra, oznaczającą gród, Grecy przekręcili na Byrsa = skóra, stąd powstała baśń o skórze wolej królowej Didony.

Im potężniejszy naród, tym większym nimbusem legend i baśni się otacza. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do Rzymian. Dzięki badaniom Niebuhrów, Mommsenów, Langów i t. d. opadła dziś draperya, jaką pierwotne dzieje rzymskie okryła duma narodowa i fantazya rzymskich poetów i historyków. Piękne bajeczki o siedmiu królach i bohaterskich walkach młodej rzeczypospolitej i t. d. i t. d., wszystko to jak bańka mydlana prysło wobec gruntownej krytyki, i dziś tylko w przestarzałych podręcznikach jeszcze pokutuje.—Wiele jednak mamy nieporozumień i przekręceń w tej historyi mniej znanych i mniej głośnych. Już nazwa Roma jest przedmiotem nieporozumienia. Niedorzecznem jest wywodzić ją z greckiego ῥώμη, siła; prawdopodobniej oznacza wyraz ten „miasto nad strumieniem“, gdyż Tyber zwie się pier-

[1] *Alkibiades Vater u. Sohn in der Rethorenschule.* 1887.

wotnie „Rumon“, nazwa odpowiadająca greckiemu Στρώμων, naszemu „strumień“. Być może jednak, iż „Roma“ stoi w związku z „Ramnes“, nazwą najdawniejszych mieszkańców miasta. Nie potrzeba dodawać, że nie Roma od Romulus, lecz Romulus od Romy pochodzi, tak samo jak nasze nazwy: Tarnowski od Tarnowa, Potocki od Potoka. — Na nieporozumieniu polega utarte zdanie, iż Rzym na siedmiu pagórkach zbudowano. Kilka siół w obrębie późniejszego miasta, leżących na Palatynie i Eskwilinie, nosiło nazwę *montes,* dla górskiego terenu. Wspólne święto tych siół, zwane *septimontium,* błędnie odniesiono do całego miasta i do nazwy święta wyszukano pagórki. Pierwszy raz wymienia 7 wzgórzy Rzymu źródło z czasów Konstantyna Wielkiego, przyczem nie wymienia Kwirynału ani Viminału, natomiast cytuje dwie góry na prawym brzegu Tybru, Watykan i Janiculum [1]. Często powtarza się w historyi rzymskiej zjawisko, że do przydomków znakomitych osób dokomponowywano ich historyczne uzasadnienie. Tak Mucius Scaevola stał się bohaterem; w rzeczywistości był tylko mańkutem. Scaevola jest zdrobniałe *scaeva* i było przezwiskiem. Appius Claudius, zwany już w r. 312 „Caecus“, nie był wtedy jeszcze ani stary, ani ślepy. Proces Verginii, jakkolwiek tak dramatyczny, jest niewątpliwie wymyślony. W każdym razie rzecz dziwna, że obie rewolucye z r. 510 i 449 mają dwie wspólne cechy: połączenie się patrycyuszów z plebejami i występek przeciw moralności. — „Żaden okres z historyi rzymskiej nie jest tak zamglony różnemi bajeczkami jak pierwsza wojna samnicko-latyńska“, powiada Mommsen [2]. By wytłumaczyć przydomek *Imperiosus,* kazano synowi T. Manliusza Torkwata przekroczyć rozkaz ojcowski, a ojcu skazać na śmierć własnego syna. Śmierć bohaterska P. Deciusza Musa jest kopią rzeczywistej pod Sentinum z r. 295. Stworzenie floty rzymskiej w pierwszej wojnie punickiej, na wzór wyrzuconej na ląd kartagińskiej pentery, jak i wynalazek pomostów przez Duiliusza, są wymysłami późniejszych retorów. Z penterami mogli się Rzymianie łatwo w Syrakuzach zapoznać, gdzie wcześniej od Kartagińczyków

[1] Mommsen, *Römische Gesch.,* I, 48 i 108, przyp. [2] Tamże I, 516.

pentery budowano, pomosty zaś Duiliuszowe, łacińskie *harpagones* lub *manus ferreae*, znane były Grekom pod nazwą κόρακες [1]. Nad awanturą bohaterską Regulusa już dawno historya przeszła do porządku dziennego; co zaś dotyczy Xantipposa, rzekomego wybawcy Kartaginy, to opowieści o nim mieni być Mommsen echem żołdackich pogawędek. Że potężna postać Hannibala uległa w dziełach rzymskich historyków spaczeniu, nic w tem dziwnego; tak samo jednak bywają w nich i plebejscy konsulowie przez wielkiego Kartagińczyka pobici, niesłusznie poniżani na rzecz swych patrycyuszowskich kolegów. Śmieszną jest bajeczka o skałach, za pomocą ognia i octu przez Hannibala przy przejściu przez Alpy rozsadzanych. Skąd tyle octu i tyle drzewa na śnieżnych szczytach alpejskich? Podobnie i wieść o zniewieścieniu żołnierzy Hannibala w Kapui, jest tylko poetycznem umotywowaniem wolniejszego tempa w wojennej akcyi po bitwie pod Kanami. — Niesłusznie przypisuje tradycya śmierć Hannibala rzymskiemu senatowi, który tak samo nie może być obwiniany o zamordowanie Kartagińczyka, jak Pompejusz o śmierć Mitrydata lub Cezar o zgładzenie Pompejusza. Że Sulla umarł na φθειρίασις, tj. wszączkę, jest wymysłem jego przeciwników, choroba taka wcale nie istnieje [2]. Sulla umarł prawdopodobnie na krwiotok. Ostatnie słowa umierającego Augusta: „Czy dobrze odegrałem komedyę życia“, są żartem skomponowanym przez jakiegoś dowcipnisia, charakteryzującym znakomicie pierwszego z Cezarów. Tacyt nic o tem nie wie, dopiero Suetonius późniejszy dokładniej podsłuchał to, co Augustus umierając rozprawiał, a Dio Cassius kazał jeszcze mu powiedzieć: „Otrzymałem od was Rzym gliniany, a zostawiam kamienny“. Jest to trafny sąd późniejszych Rzymian o zbawiennej działalności Augusta, podobny do naszego o Kazimierzu Wielkim. — Także i Nerona znane słowa przed śmiercią: *Qualis artifex pereo,* lub: *Ergo ego nec amicum habeo nec inimicum* i t. d., są drwinami ludu z tego purpurą Cezarów odzianego półbłazna i półaktora. — Również wieść

[1] K. H. Hermann, *Griech. Antiquitaten*, II, 2, 272, 230, 306.
[2] Mommsen II, 375.

o kazirodczym stosunku Nerona z matką jest tylko ploteczką, jak i owe cyniczne słowa przy zwłokach zamordowanej Agryppiny: „Nie wiedziałem, że miałem tak piękną matkę“. Faktem jest, że zwłoki jej tejże nocy spalono i że Nero wyrzutami sumienia dręczony zrywał się z łoża i oczekiwał niespokojny brzasku następnego dnia. Także nie zgadza się z prawdą, co Dio Cassius o Agryppinie powiada, iż do nasłanego przez syna mordercy rzekła: „Ugodź w ten żywot, Anicecie, ponieważ Nerona na świat wydał“; Anicet bowiem nie mieczem lecz kijem w głowę nieszczęśliwą uderzył, a ogłuszoną *centurio* Obaritus mieczem dobił. Wogóle wiadomości Dio Cassiusa i o innych cesarzach są zabawnemi i dowcipnemi anegdotkami, czy prawdziwemi jednak, to inna sprawa. — Że ostatni z Cezarów zwał się Romulusem i był Augustem, to fakt; Augustulusem zrobiła go ironia późniejszych.

Niema instytucyi, któraby tak była zapoznawana, zaczepiana i wyszydzana od początku swego istnienia, jak Kościół katolicki; jego urządzenia bywają najfatalniej pojmowane, jego słudzy bywają przedmiotem obelg i oszczerstw. Ksiądz zatem zwie się pogardliwie „popem“, po niemiecku *Pfaffe*. Wyraz ten pierwotnie całkiem niewinny i pochodzi z greckiego. Tu rozróżniano dwie formy: πάπας, z czego powstało wyrażenie „papież“, i παπᾶς = *clericus minor*, z czego pochodzi ruskie *pop*. Oznaczało zaś wyrażenie ostatnie nietylko świeckich księży, lecz i uczonych, stąd zwano dawniej w Niemczech Platona i Arystotelesa: *Pfaffen*. Papieżyca zaś Joanna pokutuje jeszcze w romansach, wypożyczanych w antykwarniach krakowskich, poczciwy i niepoczciwy czytelnik wierzy w to, jak w Ewangelię. Głównem źródłem paszkwilów przeciw papieżom średniowiecznym są pisma Huttena, rewolucyonisty z profesyi, a przedewszystkiem przez fanatycznego Flacyusza Illyrika założone „Magdeburskie centurye“. Stąd, jak z pod pieca, różne robactwo fałszu po literaturze się rozchodzi i mimo ustawicznego proszkowania krytyki, wytępić się nie daje. Z tej kuźni kłamstwa, powiada niepodejrzany Wolfgang Menzel [1], „rozpowszechniła się baśń o Joannie

[1] *Geschichte der Deutschen*, I, 242.

papieżycy i inne t. p. bajki, np. o arcybiskupie Hattonie, którego myszy zjadły, tu lichą sprawę cesarza Henryka IV. otoczono fałszywą aureolą". Być może, że Flacyusz, duchowy ojciec tego dzieła, które sami protestanci, jak Baur [1], potępiają, nie kradł pieniędzy, jak go o to współcześni protestanci obwiniają, ale po bibliotekach kradł i wyrzynał z książek co się dało [2]. Tak na nim jak i na jego wspólnikach: Marku Wagnerze i Aventinusie, jak to nowsze badania wykazują, ciąży zarzut umyślnego fałszowania historyi [3]. Natomiast postacie wielkich papieży, takich Grzegorzów, Innocentych, Leonów, Bonifacych i t. d. i t. d., już dawno sami protestanccy uczeni, co chlubnie zaznaczyć trzeba, obmyli z kału oszczerstwa pamflecistów XVI. i XVII. wieku. Nawet tak osławiony papież jak Aleksander VI., wobec najnowszych badań w jaśniejszem występuje świetle. Wprawdzie dzieło Dominikanina Ollivier'a p. t.: *Le pape Alexander VI. et les Borgia,* za daleko się posuwa w obronie papieża kosztem prawdy dziejowej, jak to katolickie pisma same uznały, to jednak przyznają tak poważni badacze, jak Gregorovius i Ranke, że większa część zarzucanych Aleksandrowi zbrodni polega na pogłoskach i paszkwilach. Aleksander VI. był Hiszpanem i jako taki znienawidzonym przez Włochów. Trafnie też powiada Ranke [4], wykazując, z jakich to źródeł płynęły główne zarzuty czynione Borgii: *Soll man einer Schmähschrift glauben, wo sie nur andeutet?*

Nietylko osobistości, lecz i bulle papieskie były przedmiotem zajadłych wycieczek przeciw papiestwu, mianowicie bulla: *In coena Domini,* napsuła wiele krwi przeciwnikom Kościoła. Pochodzi ona z głębi średniowiecza, a zawierała pierwotnie siedm, od r. 1627 dziesięć cenzur kościelnych przeciw herezyi, korsarstwu, fałszowaniu pism papieskich i t. d. Odczytywano ją co Wielki Czwartek, stąd nazwa jej. — Ponieważ głoszenie tej bulli

[1] *Die Epochen der kirchl. Geschichtsschreibung*, str. 50.

[2] *Archiv der Gesellschaft für ält. deutsche Gesch.* 6, 2.

[3] Schulte, *Beiträge zur Entstehungsgeschichte der Magdeburger Centurien. Jahresberichte der Pholomathie.* Neisse 1877. — Nürnberger, *Neues Archiv für ältere deutsche Geschichte.* XI, 29 i 35.

[4] *Kritik neuerer Geschichtsschreiber.* 2. Aufl. 1874.

w wieku Woltera i illuminantyzmu wielką niechęć wywoływało, Klemens XIV. zniósł starodawny zwyczaj w r. 1770. Zarzuty, czynione tej bulli przez le Brets i kompanów w najnowszych czasach, polegają na nieporozumieniu lub umyślnem przekręcaniu tekstu. Nieprawdą jest między innemi, że bulla zakazuje nakładania nowych podatków bez zezwolenia papieskiego, w rzeczywistości zezwolenia takiego wymaga bulla tylko przy wprowadzaniu ciężarów, sprzeciwiających się zagwarantowanym swobodom Kościoła. Zresztą grozi bulla ekskomuniką tym, którzy myta i cła nakładają, nie mając prawa do tego. Jest to zatem cios wymierzony przeciw zuchwałym rycerzom-rabusiom, będącym prawdziwą plagą dla stosunków ekonomicznych swego czasu. Co do ekskomuniki na heretyków, to podlegają jej tylko formalni heretycy i schyzmatycy, tj. ci, którzy z własnej winy nimi zostali. Kto bez własnej winy jest innowiercą i w dobrej wierze sądzi, że jego wyznanie jest prawdziwym Kościołem Chrystusowym, ten nie przestaje być duchowo z Kościołem Bożym połączony; tak uczy katolicki katechizm. Kościół nie przeklina lecz wyklina, słowo techniczne *anathema*, znaczy: „niech będzie oddzielony“ (od Chrystusa i grona wiernych). Każdemu stowarzyszeniu wolno niegodnych członków wykluczać, tylko Kościołowi nie chcą przeciwnicy prawa tego przyznać. Również bulla Bonifacego VIII.: *Unam sanctam* z r. 1302, była źle zrozumiana i przekręcana na niekorzyść oczernianego papieża. Nie była ona może na czasie, lecz nie żądza panowania ją podyktowała[1]. Nieprzyjaciele Bonifacego i umrzeć spokojnie nie dali biednemu starcowi; więc miał w szale i rozpaczy sam siebie przed śmiercią poranić. Na szczęście kiedy w r. 1608 grób jego otwarto, znaleziono ciało zupełnie nieuszkodzone i bez najmniejszego śladu poranienia. Że bulle papieskie już wcześnie fałszowano, wskazuje wspomniana bulla *In coena Domini;* że do tych fałszerzy należał Fryderyk II., a mianowicie, że sfabrykował brewe Klemensa XIII. dla Dauna, dowodzi niezbicie list markiza d'Argens

[1] Wetzer-Welte, *Kirchen-Lexikon*, II, 1038.

do króla pod datą 17 maja 1759 r. [1]: „Nie czytałem nigdy coś równie zabawnego, pisze markiz, jak wasze brewe papieskie. Przetłumaczę je na język łaciński i każę je wydrukować w dwóch kolumnach, po łacinie z jednej strony, po francusku z drugiej: co mu da jeszcze większy pozór prawdopodobieństwa, ponieważ wszystkie brewa papieskie są po łacinie pisane“... Fryderyk chciał przez to nadać sobie pozory bohatera protestantyzmu, chciał wojnie łupieżcej nadać piętno wojny religijnej w oczach współwyznawców. — Tak samo głośna bulla Jana XXII.: *Quia in futurum eventibus,* zawierająca postanowienia, wkraczające w zakres władzy świeckiej, jest niestety falsyfikatem [2]. Jak dalece pewne dzienniki fałszem i podstępem nie gardzą, świadczy publikowana 9 stycznia 1874 r. rzekoma bulla Piusa IX.: *Apostolicae sedis munus* z dnia 28 maja 1873 r. w *Kölnische Zeitung.* Jest to fabrykat na podstawie bulli Piusa VI.: *Cum Nos superiori* z d. 13 listopada r. 1798. Przekupione przez rząd niemiecki indywiduum miało wydaną przez Piusa IX. konstytucyę, dotyczącą obioru papieża, wykraść; nie mogąc tego uskutecznić, skomponowało bullę, wypisując dosłownie całe ustępy ze wspomnianej bulli r. 1798 i popełniając wskutek niezrozumienia pewnych partyj mimowolne błędy, jak to dosadnie wykazała *Germania* pod dniem 21 stycznia 1874 r.

Wiele niepotrzebnego hałasu narobiła w swoim czasie encyklika Piusa IX. z 8 grudnia r. 1864 wraz z Syllabusem, tj. zestawieniem 80 przez tegoż papieża błędów. Jakiego rodzaju była ta wrzawa, najlepiej ilustruje fakt, że np. w tłumaczeniu francuskiem encykliki i Syllabusa, ogłoszonem w *Journal des Debats,* biskup Dupanloup nie mniej i nie więcej jak 70 przekręceń tekstu wyliczył. W ten sposób naprawiali dawniej protestanci, dziś libe-

---

[1] „Je n'ai jamais rien lu d'aussi plaisant, que votre bref du Pape... Je le traduirai en latin et je le ferai imprimer en deux colonnes, le latin d'un côté et le français de l'autre: ce qui lui donnera encore un plus grand air de vraisemblance, parceque tous les brefs du Pape sont toujours en latin“...

[2] W. Selten, *Die Bulle Ne pretereat u. d. Reconciliations-Verhandlungen Ludwigs d. B. mit dem Papste Johann XXII.* Trier 1885—87, I, 44.

rali, dokumenta historyczne, by ukręciwszy bicz z piasku, chłostać nim przeciwników. Tak za pomocą sztucznej suggestyi fałszu podtrzymuje się wśród mas fanatyzm i ślepą nienawiść do Kościoła.

Zarzucają katolikom, że innowierców nazywali kacerzami, a jednak wyrażenie to nie jest wynalazkiem katolików. Καθαροί, tj. czystymi, zwali Nowacyanie w przeciwieństwie do inaczej wierzących. Za nimi tytułowały się tak w XI. wieku manichejskie gminy, powstałe we Francyi, a znane pod nazwą Katarów, z czego powstało niemieckie *Ketzer* i nasze „kacerz". Z nazwą „inkwizycya", łączą się w wyobraźni wielu stosy płonące i ginące na nich postacie kacerzy, a jednak była to tylko komisya śledcza, ustanowiona na trzecim i czwartym soborze lateraneńskim w r. 1179 i 1215, by zapobiedz tumultuarnej procedurze przeciw posądzonym o herezyę. Kierownikami inkwizycyi zostali w r. 1232 Dominikanie. Wymiar kary nie należał do atrybucyj tej komisyi, lecz do sądów świeckich, niegrzeszących, odpowiednio do ducha czasu, ludzkością. Kacerze uchodzili wówczas za coś w rodzaju anarchistów, nie znano więc dla nich litości, jak jej nie znano dla obłąkanych i innych nieszczęśliwych. Rzecz ciekawa, że ów prototyp liberalnych monarchów *à la* Józef II., niebezpieczny wróg Kościoła i papiestwa, cesarz Fryderyk II., był gorliwym popleczníkiem inkwizycyi, jak to wykazuje Winkelmann [1], jego biograf.

Z inkwizycyą nie mają nic do czynienia sądy na czarownice. Nawet tak zwana bulla przeciw czarownicom *(Hexenbulle)* Innocentego VIII. z 9 grudnia 1484 r., odnosi się w pierwszej linii do kacerzy, ubocznie tylko dotyka czarodziejstwa. Inkwizycya hiszpańska, ustanowiona 1481 r., dalej wenecka, są politycznemi trybunałami, narzędziami w ręku korony przeciw ludziom niedogodnym. Twierdzą to między innymi: Ranke, Leo, Guizot, Menzel, a więc protestanccy uczeni [2]. Dlatego też Pombal jest gorliwym obrońcą inkwizycyi, natomiast Leon X. ekskomunikuje

[1] *Gesch. Kaiser Friedrichs des II. u. seiner Reiche.*

[2] *Römische Päpste* I, str. 242. — Leo, *Weltgeschichte* II, str. 431. — Menzel, *Neuere Geschichte der Deutschen* IV, str. 196.

inkwizytorów z Toledo r. 1519 [1]. Co zaś do okrucieństw, jakiemi się splamiła inkwizycya hiszpańska, miałem sposobność w tem samem piśmie przed paru laty wykazać, że po dziś dzień książki historyczne w dobrej lub złej wierze, w każdym razie nie krytycznie to powtarzają, co apostata Llorente był zełgał w swem dziele: *Histoire critique de l'inquisition l'Espagne,* wydanem w Paryżu w r. 1818 częściowo kosztem loży wolnomularskiej. Że inkwizycya nie jest bynajmniej monopolem katolickich rządów, świadczą słowa Kalwina, domagającego się w Genewie inkwizycyi *contre tels hérétiques afin d'extirper telle race de la terre* [2]. Jego „Rada starszych" tak samo skazywała heretyków, np. Michała Servet'a 1533 r., jak inkwizycya hiszpańska. Angielska „Izba gwiaździsta" była niczem innem, jak inkwizycyą kościoła episkopalnego. Absolutyzm wyznaniowy XVI. i XVII. wieku, czy w Genewie, czy w Londynie, czy w Madrycie, wszędzie zarówno domagał się krwawych ofiar.

Znaczenie odpustu i po dziś dzień szerokim kołom innowierczym nie jest znane dokładnie. Ale też sprawa odpustów była powodem wystąpienia Lutra, powodem całej reformacyi! Nie dziw więc, że się rozmyślnie nadużycia jednostek zwala na cały Kościół, że się z niewinnego Tetzla, co sam Luter uznaje [3], robi przekupnia odpustów, że się cytuje z przekąsem Tetzlowe taksy grzechów, jakkolwiek one są wymysłem XVIII. wieku. Czem była rzekoma reformacya, tj. że była pierwszą rewolucyą, macierzą wszystkich innych, których pasmo się przeciąga aż po dzień dzisiejszy, wykazał wbrew wszystkim protestom zmarły przedwcześnie Janssen, a potwierdzają to samo nieuprzedzeni protestanccy uczeni, jak Droysen, który się w następujący sposób o niej wyraża: „Nie było rewolucyi, którąby głębiej wzburzyła, straszliwiej niszczyła, nielitościwiej sądziła. Od razu wszystko się rozluźniło, wszystko zostało zakwestyonowane najpierw w umy-

---

[1] Gams, *Geschichte v. Spanien,* t. v. — Hefele, *Kard. Ximenes,* str. 257—370.

[2] Galiffe, *Nouvelles pages d'Histoire exacte.* Genewa 1802, str. 109.

[3] Evers, *Martin Luther.* Mainz 1883, I, str. 22. — Körner, *Tetzel der Ablassprediger.* 1880.

słach ludzkich, a w ślad za tem w stosunkach ogólnych, w ładzie i porządku publicznym. Wszystko duchowne i świeckie wyszło z fug i popadło w chaos. Była to rewolucya w najstraszliwszej postaci, z której okropny zamęt powstał i zaburzenia“ [1].

Że nie idea wyższa jakaś, lecz instynkta niższego rzędu zjednywały nowej wierze zwolenników, to już dawno nieuprzedzeni protestanci przyznawali. Charakterystyczny sąd pod tym względem wydał Fryderyk II., mówiąc w liście do Woltera: „Książęta północni wiele niewątpliwie mają do zawdzięczenia Lutrowi, albowiem uwolnili się z pod jarzma księży, a przez sekularyzacyę dóbr kościelnych znacznie swe dochody pomnożyli“ [2]. „Jeżeli reformacyę, powiada na innem miejscu król-filozof, sprowadzimy do jej pryncypij, to była ona w Niemczech dziełem interesu. Nie trzeba przypuszczać, jakoby Hus, Luter, Kalwin byli znakomitościami. Z twórcami sekt dzieje się tak samo jak z ambasadorami. Często miernoty osiągają cel, jeżeli tylko okoliczności im sprzyjają. Czasy ciemnoty nadawały się do panowania fanatyków i reformatorów. Elektor Joachim II. uzyskał przez komunię pod obiema postaciami biskupstwa: brandemburskie, hawelberskie i lubuskie“ [3].

Ulubionym przedmiotem oszczerstw byli i są Jezuici, jakkolwiek nieuprzedzeni protestanci sami przyznali, że utarte poglądy o synach Loyoli są jednostronne, stronnicze, zaczerpnięte więcej z romansów i powieści kryminalnych, niż z poważnych dzieł naukowych [4]. Mimo to w książkach szkolnych i naukowych, w gazetach i broszurach ustawicznie czytać można całe litanie zarzutów i zbrodni i doktryn niebezpiecznych, przypisywanych Jezuitom. Ciekawych czytelników najlepiej poinformuje w tej kwestyi wspomniane wyż dziełko Duhra: *Jesuitenfabeln.*

O urządzeniach i sprzętach kościelnych protestanccy uczeni i pisarze szerzą czasami dziwne wyobrażenia. Szyler między

---

[1] *Geschichte der preussischen Politik*, II, 14.

[2] *Oevres*, 21, 64.

[3] *Oevres*, 1, 18.

[4] Büchmann, *Gefl. Worte.* 13. Aufl. Berlin 1882. — Wander, *Deutsches Sprichwörter-Lexikon.* Leipzig 1880. v. B., str. 664.

innemi miesza monstrancyę z kielichem [1]. Körting w swym łacińsko-romańskim słowniku objaśnia *ciborium* jako kielich do przechowywania monstrancyi. Klucze św. Piotra są symbolem władzy papieskiej; istniały jednak rzeczywiste klucze św. Piotra, przesłane Karolowi Martelowi w r. 739 przez Grzegorza III. Otrzymały one swą nazwę dlatego, iż do złota, z jakiego były ulane, domieszano opiłki z oków św. Piotra.

Szczególniejszą uwagę poświęcają niemieccy autorzy „Błędów historycznych" dziejom narodu niemieckiego. Dla nas wielka część tych nieporozumień, o ile one polegają na językowych przekręceniach, jest bez znaczenia. Dotkniemy tylko ważniejszych wykroczeń przeciw prawdzie dziejowej. Ile szowinizm niemieckich patryotów, począwszy od Klopstock'ów aż do Holzmann'ów i najnowszych czasów, fantasmagoryj stworzył o czasach pragermańskich, nie potrzebujemy powtarzać; toć i nasi uczeni w ślad za niemieckimi naciągają biednego Tacyta i jego „Germanię" w sposób więcej niż barbarzyński. Jedni na podstawie Tacyta posuwają siedziby Germanów po Wisłę i Niemen, drudzy na tejże podstawie nad Ren wysuwają osady słowiańskie. W każdym razie nieprzyjemnego figla płata patryotom niemieckim krytyka Mommsena lub Knock'ego [2], udawadniając, że kolosalny posąg Hermanna, z takim kosztem i trudem wystawiony w blizkości Detmoldu, a odsłonięty przez rzeźbiarza Bandela r. 1875, nie stoi na miejscu klęski Varusowej, że zwycięzca rzymskich legionów nie nazywał się Hermann — Arminius zaś jest rzymską nazwą rodową lub przydomkiem i nie ma nic do czynienia ani z *ermin* = wielki, ani z Irminsul — że zatem ani miejsce zwycięstwa, ani nazwa zwycięzcy nie są znane, że wreszcie mianem lasu Teutoburgskiego filologowie zajmujący się Tacytem dopiero ochrzcili znane pod tą nazwą pasmo górskie.

O etymologii starogermańskich nazw, jak: Geci i Goci, o wywodzeniu Burgundów od *Burg* i t. d., możemy śmiało powiedzieć,

[1] *Tell*, akt III, scena 3.

[2] Th. Mommsen, *Die Örtlichkeit der Varusschlacht. Sitzungsberichte der königl. pr. Akad. d. Wissensch.* 1885, v, 86. — Knocke, *Die Kriegszüge des Germanicus in Deutschland.* Berlin 1887.

że tyle są warte, co Mickiewiczowski „Nie Bóg jeno car“ z Nebukadnezara, lub Bielowskiego „Ziemowit“ z Decebula. Warto jednak wspomnieć, że wynalazcą słowa „wandalizm“, dla oznaczenia ślepej żądzy niszczenia, był znany z rewolucyi francuskiej *l'abbé Grégoire*. Anglicy oddają to pojęcie przez *Gothism*. Jedno i drugie wyrażenie jest niesprawiedliwe, gdyż pamiątki Wiecznego miasta nie tyle ucierpiały od Alaryka i Genzeryka, ile od Rzymian samych. Gotów król, Teodoryk, musiał ustanowić stróży, mających czuwać w nocy, by nie kradziono posągów. Nie nęciła przytem, jak się żalił Teodoryk czy jego minister, rabusi wartość artystyczna tychże, lecz spiż, z jakiego wykonane były, i dla kawałka metalu po barbarzyńsku łamali mieszkańcy Rzymu dzieła nieocenionej wartości. Stąd też powiada Cassiodorus[1]: „Posągi nie całkiem są nieme, skoro dźwiękiem swym zwracają baczność stróży, gdy ciosami w nie złodzieje uderzają“. Z tej to uwagi rzymskiego pisarza powstała ciekawa baśń wedle Gregoroviusa[2], jakoby na kapitolu stojące posągi prowincyi uderzały w dzwon, skoro rewolucya wybuchła w odpowiedniej prowincyi.

W podręcznikach szkolnych czytamy zawsze jeszcze: „Początek gminoruchów w r. 375“, a jednak przekroczenie Dunaju przez Wizygotów wskutek parcia Hunnów, jest już ostatnią fazą kilka wieków poprzednich trwającego ruchu wśród barbarzyńskich ludów[3]. Czasy gminoruchów były najpodatniejszym gruntem dla bujnego porostu podań, baśni i legend. Nie brak ich i w późniejszem średniowieczu. Każda większa osobistość, jak: Teodoryk W., Karol W., Otton W., Fryderyk Rudobrody, stał się bohaterem całego cyklu podań i utworów poetycznych. Karola Wielkiego, za sprawą Fryderyka Rudobrodego, kanonizował antypapa Paschalis r. 1165. Kościół kanonizacyę tę tolerował. Wielkiego cesarza pochowano jak innych śmiertelników w trumnie, takie bowiem ma znaczenie *solium*. Wyraz ten oznacza

[1] *Variarum*, lib. VII, 13.
[2] *Geschichte der Stadt Rom im Mittelalter*, I, 279.
[3] G. Kaufmann, *Deutsche Geschichte*, I, 253.

także tron. Stąd powstało podanie, że Otto III., zwiedzając grobowiec Karola, znalazł go siedzącego na tronie. Obraz Kaulbacha w muzeum norymberskiem, przedstawiający tę scenę, jest zatem niehistoryczny, jak tyle innych historycznych obrazów, pojawiających się na wystawach i przechowywanych w galeryach.

Henryk I. nie był ani „Ptasznikiem“, ani „założycielem miast“, ani „wynalazcą turniei“. Także i przydomek Henryka II. Świętego „Kulawy“, polega na późniejszem źródle: *Gesta Trevirorum*. Wedle Giesebrechta [1], przydomek ten rozpowszechnił dopiero Godfryd z Viterbo, który i innych cesarzy przydomkami własnego pomysłu obdarzył. — Małgorzata Maultasch, córka Henryka Karyntyjskiego, miała otrzymać swój przydomek od wielkich ust lub swej niecnoty. Dziedziczka Tyrolu jednakże nietylko była bogata ale i piękna, przydomek zaś jej pochodzi od tyrolskiego zamku *Maultasch*, między Meranem a Botzen [2]. Podanie o Fryderyku Rudobrodym, iż nie umarł, lecz przebywa w górze Kyffhäuser, odnosiło się pierwotnie do wnuka Barbarossy, Fryderyka II., dopiero dzięki baladzie Rückerta z r. 1813, stał się Fryderyk I. legendarnym mieszkańcem Kyffhäuseru [3]. Również upokorzenie się Barbarossy przed Henrykiem Lwem w przededniu bitwy pod Legnano, nie jest historycznie stwierdzone. Wierutnem kłamstwem zaś, przez Centuryatorów rozpowszechnionem, jest opowieść, jakoby papież Aleksander III. upokorzonemu cesarzowi stąpił nogą na kark, by dosiąść swego konia. Bajkę tę wymyślili, wedle Giesebrechta, Wenecyanie [4]. Często bardzo spotykamy się z podaniami o otruciu znaczniejszych postaci dziejowych, jeżeli nagłą lub mniej znaną umarli śmiercią. Mianowicie cesarze niemieccy, których śmierć w zabójczym dla obcych klimacie włoskim zaskoczyła, zginąć mieli wszyscy wskutek otrucia. Na szczęście podania te tyle są warte, co pogłoski u nas o otruciu Barbary Radziwiłłównej lub Stefana Batorego [5].

---

[1] *Geschichte der deutschen Kaiserzeit*, II, 607.

[2] Hormayrs *Taschenbuch für 1832*, str. 37.

[3] Voigt, *Die deutsche Kaisersage. Hist. Zeitschr.* XXVI, 131.

[4] Reuter, *Alexander III.*, 264, 764. — Giesebrecht, *G. d. d. K.*, V, 2, 838.

[5] Tamże I, 2, 761. — *Neues Archiv.*, V, 179. — *Forschungen* XVIII, 570.

Niecną potwarzą zaś, bez najmniejszych podstaw, jest rozpowszechniona dosyć pogłoska o otruciu Klemensa XIV. przez Jezuitów. Puścili ją zaś w obieg nieprzychylni Jezuitom ambasadorowie hiszpański i francuski: Monino i Bernis, obaj bez dowodów; a jakkolwiek obdukcya zwłok wykazała, że Klemens umarł na podobną do szkorbutu chorobę; jakkolwiek współczesne relacye ajenta cesarskiego w Rzymie Brunati'ego i innych, jak duńskiego i neapolitańskiego, przeciwko otruciu się oświadczają i o chorobie papieża pół roku przed śmiercią wspominają; jakkolwiek współcześni, jak Fryderyk II. i protestancki historyk Walch i nowsi historycy, jak Schoell, Reumont i Masson [1], uznają otrucie za bajkę — mimo to u Hubera [2] otacza ponura tajemnica śmierć papieża, mimo to u jakiegoś Uschnera [3], dwóch eks-jezuitów, Andiano i Horista, którzy nie istnieli wcale w całym zakonie, dolali do kawy *Aqua Tofana*, truciznę, o której wiele mówiono, której jednak nikt nie znał i nie widział, i to z rozkazu jenerała zakonu, podówczas uwięzionego i pilnie strzeżonego, tak, iż wszelkie znoszenie się z kimkolwiek było niemożliwe [4].

Ostatnie słowa wybitnych mężów przed zgonem są zbyt charakterystyczne, by miały być prawdziwe. *La mort n'est pas bavarde* (śmierć nie jest gadułą), powiada trafnie Fournier. Charakterystyczne pod tym względem są słowa Husa, rzekomo na stosie wypowiedziane: „Gęś jest słabem i oswojonem zwierzęciem i nie wzbija się na skrzydłach wysoko: silniejsze jednak ptaki, sokoły i orły przyjdą po niej i wysoko się wzbijając, przerwą wszelkie sidła". Wysnuto je z nazwy nieszczęśliwego, gdyż *hus* po czesku znaczy gęś. Luter zastosował tę dykteryjkę do siebie, cytując ją w swej Glosie [5] z r. 1531 w następujący sposób: „Święty (!) Jan Hus prorokował o mnie, gdy pisał z wię-

[1] Masson, *Le Cardinal de Bernis*, p. 297—299.

[2] *Jesuitenorden*, str. 552.

[3] *Clemens XIV.* Berlin 1866, 2. Aufl.

[4] Ginzel, *Kirchenhistorische Schriften.* Wien 1872, II, 250. — Duhr, *Jesuitenfabeln*, I. Liefer., str. 33—45.

[5] *Erl. Ausg.*, 25, str. 87.

zienia w Czechach: Upieką teraz gęś, lecz za sto lat usłyszą łabędzia, którego będą musieli ścierpieć". Proroctwa, *ex post* w usta zmarłych kładzione, powtarzają się często nietylko w poezyi, lecz i w historyi. Znane w Niemczech słowa wielkiego Kurfürsta, rzekomo przy podpisaniu pokoju w St. Germain-en-Laye wypowiedziane: *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor*[1], są tak samo wymysłem, jak umierającego Bolesława Chrobrego prorocze słowa: *Video etiam de longinquo de lumbis meis procedere quasi carbunculum emicantem, qui gladii mei capulo connexus, suo splendore Poloniam totam efficiet relucentem*[2], zręcznem pochlebstwem gładkiego Galla dla Bolesława Krzywoustego. — Ponura osłona tajemniczości osłaniała dość długo tajne sądy w Niemczech t. zw. *Veme*. Szczególnie Getego *Götz von Berlichingen* i nasz „Konrad Wallenrod" potęgują w wyobraźni młodych czytelników to uczucie grozy przed nieubłaganym trybunałem zamaskowanych sędziów. Na szczęście jednak sądy te nie były ani tak tajne, odbywały się bowiem w jasny dzień pod gołem niebem, ani sędziowie nie byli nigdy zamaskowani. Są one zaś wedle gruntownych badań Lindnera[3] nie tyle zabytkiem prastarego sądownictwa ludowego, jak raczej późnym płodem źle zrozumianych przestarzałych stosunków prawnych i dowolnej, lecz szczęśliwie przeprowadzanej uzurpacyi. Tajemniczością zaś, wywierającą urok po wszystkie czasy, otoczono te sądy ze zbiegiem czasu.

(C. d. n.).

Dr. K. Krotoski.

[1] Verg. Aen., 4, 625.

[2] Gallus, *M. P. H.*, I, str. 411.

[3] Th. Lindner, *Die Veme*. Paderborn, Schöningh, 1888.

ALEKSANDER LORENCOWICZ.

Studyum z epoki panegirycznej.

Żadna epoka literatury polskiej nie ściągnęła na siebie tyle wyrzekań i krytyk, ile epoka panegiryczno-makaroniczna. Potępiono w czambuł wszystkie niemal zabytki piśmienne tego okresu i nazwano je krótko potwornością formy i jałowością treści. Jeremiady na bezmyślność i płytkość pojęć, na skażenie i zepsucie smaku, odnoszą się przedewszystkiem do wymowy, zwłaszcza kościelnej. Niema prawie podręcznika literatury, któryby nie zaczynał poglądów na nią od wzmianki o „Młotku duchowym“, o „Pojedynku śmierci z życiem“, o „Podpłomyku Matki Fary“ i t. d. Prawda, że utwory tego okresu małą mają wartość w porównaniu z utworami innych epok, ale czy wszystko, co w tym czasie powstało, jest istotnie tak jałowe i bezmyślne, że nie zasługuje na uwagę?

Im częściej zwracamy wzrok na naszą przeszłość dziejową, tem skrzętniej liczymy się ze wszystkiem, co nam po niej zostało w spuściźnie. Przyszła kolej i na epokę panegiryczną, a przy pilniejszem badaniu pokazało się, że i w tym okresie powstały utwory literackie, których nie można objąć dawną formułką krytyczną. Z pyłów bibliotecznych wydobyto utwory Twardowskiego, Potockiego, Kochowskiego i żywiej poczęto się niemi zajmować. Nawet w ogólnym zastoju umysłowym pierwszej połowy XVIII. wieku odnaleziono ludzi zdrowiej myślących, i niejedną głębszą myśl polityczną wyczytano u Stanisława Karwic-

kiego, Szczuki, Jana Stan. Jabłonowskiego, Stefana Garczyńskiego i innych.

Najmniej uwagi zwracano dotychczas na wymowę tej epoki. Dopiero Mecherzyński zabrał się do studyum nad ówczesną wymową i słuszniej ją ocenił. Podnosi swobodę i siłę wyrażenia u mowców panegirycznych, zamiłowanie rzeczy ojczystych i rodzimy charakter, cechujący płody ówczesnego krasomówstwa. W kaznodziejach chwali śmiałość w wytykaniu wad i karceniu wybryków szlachty, a cały zasób panegirycznych kazań uważa za obfity materyał do historyi życia obyczajowego w Polsce; usprawiedliwia nawet po części spaczenie i wybujałość fantazyi, a pod osłoną potwornych przenośni i alluzyj widzi często myśl zdrową i ostrą przyganę, którejby w innej szacie słuchacze nie przyjęli. Młodzianowskiego i Aleksandra a Jesu uważa nawet za mowców mogących zdobić każdy wiek i najświetniejszą epokę kaznodziejskiej wymowy. W poglądzie Mecherzyńskiego na panegiryzm jest może trochę przesady, i nie na wszystko pisać się można, ale sąd ogólny jest dość trafny.

Do lepszych kaznodziejów panegirycznego okresu należy Lorencowicz; zbliża się on bardzo do Młodzianowskiego, a od wielu współczesnych różni się wybredniejszym smakiem i językiem wolnym od przesadnej napuszystości. W kazaniach jego jest wiele patryotyzmu i zamiłowania rzeczy ojczystych, wiele tła historyczno-obyczajowego, wiele miejsc świadczących o prawdziwym talencie kaznodziejskim; przytem wymowa jego odzwierciedla dokładnie dodatnie i ujemne strony panegirystów, i dlatego jest interesująca.

I.

Aleksander Lorencowicz [1], właściwie Lorencowic, bo tak się podpisywał, urodził się w styczniu 1609 roku we Lwowie.

[1] Krótką biografię Lorencowicza napisał Józef Maksymilian Ossoliński, opierając się na rękopisie cesarskiej biblioteki wiedeńskiej l. 11988: *Historia collegii Leopoliensis S. J. ab anno 1585—1773*, skąd przepisał cały życiorys zamieszczony na str. 305, nie porównując innych miejsc rękopisu. Za Ossolińskim powtórzył biografię Lorencowicza Chodynicki w „Dykcyo-

Ojcem jego był Jan Juliusz, konsul i adwokat, chlubnie zapisany w dziejach mieszczaństwa lwowskiego, zwłaszcza wskutek zajścia w 1619. Awanturnik Niemirycz został wezwany przed sąd rajców miejskich za rozmaite bezprawia. Urażony szlachcic, chcąc wywrzeć zemstę na mieszczanach, napadł burmistrza, Bartłomieja Uberowicza, porwał go z domu i uprowadził. Na wieść o napadzie, Lorencowicz z rotą wojska księcia Zasławskiego puścił się w pogoń za Niemiryczem, uwięził go i z uwolnionym burmistrzem wrócił do Lwowa. Miasto, odwdzięczając się za ocalenie swego honoru, zaszczyciło Lorencowicza wieńcem *ob civem servatum*, oddało mu kamienicę w rynku na lat 20 i wystawiło mu pomnik z napisem: *Joanni Julio Lorencowicz S. P. Q. L.* Pomnik ten zachował się do dzisiaj. Jest to lew Lorencowiczowski u stóp kopca Unii we Lwowie [1].

Jan Juliusz należał do majętnych mieszczan. Zostało po nim 40 wielkich obrazów, 62 bogatych kobierców, stoły marmurowe, skrzynie cyprysowe, nadto wiele złotych i srebrnych naczyń [2]. Był przyjacielem Jezuitów. W stuletnią rocznicę istnienia zakonu wydał swym kosztem dziełko: *Centuria emeritae virtutis*, napisane przez syna, a w jezuickim kościele wystawił ołtarz św. Franciszka Ksawerego [3].

Córkę Reginę [4] wydał za lekarza i konsula lwowskiego, Marcina Anczewskiego, słynnego z bogactw i wzięcia u panów polskich, medyka i faworyta króla Jana III.

---

narzu uczonych Polaków", później wydał ją Bielowski w Dodatku do *Gazety Lwowskiej* 1852. Encyklopedya kościelna i powszechna we wzmiance o Lorencowiczu opiera się także na Ossolińskim. Szczegółów tu niewiele, niektóre mylne, jak np. wzmianka o 16-tu latach zawodu nauczycielskiego, a 6-ciu latach kaznodziejstwa, Lorencowicz bowiem był tylko 5 lat profesorem, a 14 lat kaznodzieją; podobnie mylną jest wzmianka, że Lorencowicz był prowincyałem od 1656—73, rządził bowiem prowincyą tylko lat 3, od 1668—71. W niniejszej biografii opieram się na wspomnianym rękopisie, inne szczegóły opierają się na współczesnych katalogach zakonnych, znajdujących się w archiwum jezuickiem w Rzymie.

[1] W. Łoziński, „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie".

[2] Łoziński, „Złotnictwo lwowskie", str. 11.

[3] Rkp. 11988, str. 210.

[4] Rkp. 11988, str. 321.

Syn Aleksander wstąpił do Jezuitów 24 sierpnia 1626 r. Gdzie się przedtem uczył, nie wiadomo, być może, że w szkole miejskiej. Dwuletni nowicyat odprawił w Krakowie u św. Szczepana, pod ks. Kasprem Drużbickim, znanym pisarzem dzieł ascetycznych i pełnym namaszczenia kaznodzieją, którego później król Kazimierz wzywał na mównicę dworską, ale bezskutecznie, bo sześćdziesięcioletni Drużbicki nie według dworskiej fantazyi układał mowy, i przewidywał, że nie popłacałyby u dworu.

Przykład i wpływ Drużbickiego był zapewne przyczyną, że Lorencowicz ustrzegł się później bombastu i napuszystości w kazaniach. Retoryki uczył się w Sandomierzu pod Wojciechem Zimowskim, następnie słuchał wykładów logiki w Kaliszu, fizyki i metafizyki w Lublinie, cztery lata teologii w Poznaniu, gdzie też został wyświęcony na kapłana w r. 1635. Musiał być uzdolniony, bo wszystkie egzamina dobrze złożył i otrzymał stopień profesa w zakonie. Skończywszy studya, odbył rok tak zwanej trzeciej probacyi w Jarosławiu, a później był profesorem przez cztery lata. Uczył przez rok poetyki w Lublinie, dwa lata retoryki we Lwowie, a w r. 1639 był tamże profesorem matematyki i kaznodzieją. Uczył z powszechnym aplauzem, jak się wyraża kronikarz kolegium.

W roku 1640, gdy zakon obchodził pierwsze stulecie swego istnienia, napisał Lorencowicz z tej okazyi niewielkie dziełko: *Centuria emeritae virtutis militum e minimo Societatis Jesn ordine ad saecularem triumphum decuriata universis eiusdem inclitae Societatis patribus fratribusque e voto Joannis Julii Lorencowicz consulis et advocati Leopoliensis consecrata.* Broszurę tę wydał jego ojciec Jan Julian, ale nie był jej autorem [1]. Są to krótkie napisy pochwalne dla rozmaitych członków zakonu, w rodzaju rzymskich napisów grobowcowych, do których się formą zewnętrzną zbliżają. Pisane prozą, wierszami rozmaitej długości, symetrycznie rozłożonemi, jak na pomnikach. Życiorysy to krótkie i dość ogólnikowe. Jest ich 96. Z Jezuitów polskich

[1] *Bibliotheca scriptorum Societatis Jesu* auctore Nathanael Sotwell. Romae 1676; „Dykcyonarz uczonych Polaków", ks. Ignacy Chodynicki.

wymieniony jest św. Stanisław Kostka, Wąchalski, Herbest, Laterna, Skarga, Warszewicki, Śmigielski i Sarbiewski. Prócz tych spotykamy wiele imion, znanych jedynie w gronie zakonnem. Są to po większej części Hiszpanie lub Francuzi, znani zapewne jako kaznodzieje i profesorowie w swej ojczyźnie, ale nie tak głośni, żeby o nich w Polsce słyszano. Tylko obeznany z historyą zakonu mógł ich żywoty opisywać, o co przecież trudno posądzić rajcę lwowskiego. O zewnętrznej stronie dziełka niewiele można powiedzieć. Styl nieszczególny, łacina ciężka. Autor stara się o lapidarność, stąd częste wyrazy długie, złożone, prawdziwe *sesquipedalia*. Charakterystyczną jest gra słów i częste kontrasty. Tak np. o jednym mówi, że przeniósł śluby zakonne nad małżeńskie: *maritales tedae ne afferrent taedium;* inny, *caduca respuit, ne caderet;* inny zamordowany od Mahometan *maluit capite carere quam fide.*

Tu i ówdzie rażą zbyt naciągnięte przenośnie. Tak np. słynnego teologa Suareza nazywa *monstrum ingeniorum*. Święty Berchmans wedle niego *poetam egit, christianas metamorphoses in aliis effingens* i t. p. Są to pierwsze ślady, że smak spaczony panegiryzmem nie został bez wpływu na Lorencowicza.

Od roku 1640 zaczyna się peryod kaznodziejski w życiu Lorencowicza. Każe po rozmaitych miejscach przez lat 15. Naprzód w Krakowie u św. Piotra do r. 1643, poczem przeniesiony do Lwowa, składa tu ostatnie śluby profesów. Ze Lwowa wysłany do Ostroga, był misyonarzem na Polesiu, później od roku 1644—46 kaznodzieją w Toruniu, wreszcie przeniesiony napowrót do Lwowa, kazał tamże do roku 1654. W burzliwym roku 1648 był kaznodzieją katedralnym w miejsce innego Jezuity, który za obrazę kapituły zagrożony klątwą od biskupa, musiał opuścić Lwów i usunąć się z oczu urażonym.

Przy rozbiorze kazań przekonamy się, że Lorencowicz pojął i zrozumiał dobrze zadanie kaznodziei. Widzi jasno ujemne strony społeczeństwa i przy każdej sposobności karci surowo nadużycia szlachty i mieszczan, do których przeważnie przemawiał. Było to zadanie niełatwe, bo urażano się za byle co, a szlachta upojona pochwałami panegirystów, niechętnie słuchała

nagan. Zanoszono skargi do biskupów na kaznodziejów za każde ostrzejsze słowo, i bywały wypadki, że kaznodzieja musiał z ambony przepraszać urażonych [1]. Echo tej wrażliwości słuchaczy przebija się w jednem z kazań Lorencowicza, gdzie żali się, że kaznodziei trudno zabrzmieć w trąbę Archanioła, „bo uszy u wielu nas tak są pieszczone, że je przerażają głosy wrzaskliwe, głuszeją, gdy co przeraźliwego zabrzmi, łechtaćby się tylko chciały muzyką pokojową“ [2].

Wprawdzie za czasów Lorencowicza nie wszyscy kaznodzieje liczyli się z wrażliwemi uszami swego audytoryum, ale widocznie byli i tacy, co obawiali się użaleń ze strony słuchaczów. „Jak wielu z nas, cośmy prawdę mówić winni, upominać, strofować błędy, wołać na jawne złości! A czynimyż to? Jak wielom jakoby gębę zaszył, ani jej rozdziewiają, choć wiedzą, milczą i prawie zaniemieją“ [3].

Lorencowicz do takich nie należał, krytyki ze strony słuchaczy się nie obawiał, prawdę śmiało mówił; mimo to czyni sobie wyrzuty, że może był zbyt pobłażliwym.

„Będzie się Bóg przypatrywał (na sądzie) tej mojej koszulce (komży), czy się kędy nie pomurzyła, czy barwy swej nie przemieniła, czy z Nazareńczyka nie stał się murzyn jaki! Jako na tej katedrze kaznodziejskiej słowem Bożem gołębiętam karmił, czy szczerą pszenicą nauki zdrowej, bez respektów ludzkich, czy bojąc się urazić łechtały się uszy słuchaczów“ [4].

Wszystkie jego kazania noszą ślady stosunków miejscowych; tak np. w kazaniach wypowiedzianych we Lwowie, zwraca się po większej części do mieszczan, wyrzucając im nadużycia i przepych w strojach; w kazaniach mianych w Lublinie, porusza myśli o nadużyciach w sądach; w kazaniach pogrzebowych piętnuje przeważnie wybryki stanu szlacheckiego. Nie był jednakże gwałtownym i fanatycznym, wskutek tego miał mir i sławę dobrego kaznodziei, wedle świadectwa kronikarza

[1] „Jezuici we Lwowie“, ks. St. Załęskiego, str. 58—62.
[2] „Kazania niedzielne“ t. I, str. 1.
[3] „Kaz. niedz.“ t. I, str. 125.
[4] „Kaz. niedz.“ t. II, str. 250.

kolegium. Przemawia za tem znaczna ilość mów pogrzebowych. Mowy pogrzebowe nigdy nie były tak liczne i niezbędne, jak w czasie grasującego panegiryzmu. Na pogrzebach znakomitości krajowych przemawiali kolejno ludzie świeccy i kapłani. Żegnano zmarłego od króla, senatu, województwa, trybunału, rodziny. Na pogrzeby spraszano najlepszych mowców, a niekiedy zamawiano sobie mowy pogrzebowe jeszcze za życia; Olszewski np. wspomina w kazaniu na pogrzebie biskupa Eustachego Wołowicza, że dwa lata przed śmiercią prosił go biskup o przygotowanie mowy pogrzebowej dla siebie. Lorencowicz więc musiał być popularnym i mieć wzięcie u współczesnych, kiedy go na 28 pogrzebów z kazaniami proszono.

O skutku swych mów wspomina sam kaznodzieja w pięknej dedykacyi „Kazań niedzielnych“, ofiarowanych rodzinnemu miastu. „W zabawie kaznodziejskiej przez lat kilkanaście po różnych miastach i katedrach podrobiwszy sobie, zchodzę już z roboty. Wieczór wieku mego nadchodzi, zestarzały i zasiwiały, na zegarek dociekający poglądając, myśliłem sobie trochę pracy mojej i pisma komu odkażę, komu w opiekę jako sierotę oddam? Alić stawiasz mi się przezacne miasto Korony polskiej, ojczyzno moja kochana, Lwowie, ze wszystkiemi obywatelami twojemi, w którym ja ze zrządzenia Pańskiego i powołania zakonnego przez lat niemało w urzędzie kaznodziejskim robiłem, z jakim pożytkiem, wiadomo to Tobie Boże. A żem widział na ten czas ochotne słuchacze moje i gromadne ludzi orszaki, zbiegających się do słuchania słowa Bożego i bez chluby mówiąc doznawałem *acceptationem prophetae*, lubo *in patria*, temuż *auditorium* tę lichą pracę moję oddać umyśliłem, aby to co w uszach niegdy brzmiało, w piśmie, oczach i sercu zostawało. Ja zaś tak afekt i miłość przeciw ojczyźnie tą małą robotą moją oświadczywszy, dożywotnim bogomodlcą za wszystkich zostanę“...

Obok kaznodziejstwa zajmował się Lorencowicz w tym czasie innemi jeszcze sprawami. Naznaczony prokuratorem kanonizacyi bł. Stanisława Kostki, zbierał przez rok 1647 akta do kanonizacyi po całym kraju i zawiózł je do Rzymu.

Do tego także czasu należy odnieść wzmiankę biografa

o zabiegach Lorencowicza około unii Ormian lwowskich [1]. W czem się jednakże do unii przyczynił, nie wiadomo. Kronikarz przytacza wprawdzie list Kongregcyi Propagandy z r. 1643 do kolegium lwowskiego z podziękowaniem za popieranie biskupa Mikołaja Torosowicza przeciw schyzmatyckiej partyi Ormian, ale Lorencowicz był wtedy jeszcze zbyt młody, żeby mógł około unii skutecznie pracować, zresztą od r. 1640—1643 bawił w Krakowie [2]. Oczyszczenia obrządku ormiańskiego od schyzmatyckich wtrętów, które mu przypisuje historyk kolegium, także nie można brać w szerszym zakresie, bo było to głównie zasługą Teatynów, przysłanych do Lwowa przez Kongregacyę Propagandy, r. 1664, a głównie ks. Klemensa Galani i Alojzego Pidou, prefekta seminaryum, założonego dla młodzieży ormiańskiej [3]. Być może, że Lorencowicz z ambony za unią przemawiał, bo w kościele ormiańskim przemawiali także łacińscy księża, między innymi Jezuici [4]; chociaż i na to niema wyraźnego dowodu, bo z kazań ogłoszonych drukiem żadne do unii się nie odnosi, a osobny cykl kazań, który autor przed śmiercią wykończał i gotował do druku, nie został wydany. Może później jako re-

[1] Rkp. 11988, str. 305: „Pro ea qua pollebat apud omnes aucthoritate tum gratia, maxima ex parte Leopoliensibus Armenis ad Ecclesiam Romanam adiungendis, insuper ex multiplici circa suum ritum superstitione ac errore vindicandis, author fuit".

[2] Rkp. 11988, str. 380. — „Admodum Reverendi Patres! Ex pluribus litteris ad hanc S. Congregationem de Propaganda Fide a R. Nicolao Episcopo Leopoliensi nationis Armenae datis et ex iis, quae ille voce eidem S. Congr. significavit cognoverunt Emm. Patres vestrum studium in eundem Archiepiscopum, vestramque diligentiam in eo a schismaticorum Armenorum factione tutando, qua de re sicut eorum Emm. Paternitatibus V. V. plurimas gratias agunt, ita illas enixe rogant, ut in reducendis schismaticis praefatis, eidem Praelato subditis ad ipsius obedientiam, nullam sinatis ei a V. V. Paternitatibus desiderare operam; hoc enim si favetis, non dubitant Emm. Patres, brevi fore, ut praefati schismatici ad veritatis agnitionem et Sanctae Sedis Apostolicae unionem cum vestra laude perducantur. Valete. — Datum Romae 9 Novembris 1643".

[3] Adolf Pawiński, „Źródła dziejowe" t. II. „Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z Kościołem rzymskim w XVII. wieku".

[4] Od roku 1694 miewali Jezuici stale kazania niedzielne i świąteczne w katedrze ormiańskiej. Przedtem mówili na przemian z Teatynami. (Rękopis 11988, str. 427).

ktor kolegium lwowskiego pomagał arcybiskupowi Tarnowskiemu, który się znacznie przyczynił do utrwalenia unii, a chwiejnego Torosowicza od powrotu do schyzmy powstrzymywał. Są to jednakże czyste domysły, bo wyraźnej wskazówki trudno się doszukać.

Do czasów pobytu we Lwowie odnosi się jeszcze szczegół drobny, ale świadczący, że Lorencowicz miał mir w mieście, między rajcami, do których należał jego ojciec. W r. 1647 starali się Jezuici o powiększenie zabudowań kolegium. Z powodu braku miejsca jedno tylko było wyjście, szło mianowicie o uzyskanie pozwolenia, by zburzyć części murów miejskich. Do negocyacyi między miastem a kolegium użyto Lorencowicza, a gdy sprawę poparł nadto kanclerz Jerzy Ossoliński i kolegium zgodziło się na warunki postawione od magistratu, Lorencowicz w imieniu kolegium złożył akt ugody w ręce rajców lwowskich [1].

Od roku 1654 do końca życia piastuje Lorencowicz z małemi przerwami rozmaite godności zakonne. Zdolnościami administracyjnemi zwrócił na się uwagę przełożonych, i poruczano mu zarząd rozmaitych kolegiów. Od roku 1654—56 był superyorem w Jarosławiu, stąd przeniesiony na rektora do Lwowa, zarządza kolegium do końca 1659 r. Jako rektor kończy spór z proboszczem Zimnej-Wody o jakieś grunta, polubowną ugodą, zawartą wobec biskupa Tarnowskiego. Nieco później przyjmuje uroczyście w imieniu kolegium Czarnieckiego, wracającego z wyprawy na Rakoczego. Przy tej sposobności miał mowę powitalną prowincyał polski Tomaszewski, a w imieniu młodzieży szkolnej winszował Czarnieckiemu zwycięstwa jeden z uczniów kolegium [2].

Ze Lwowa przeniesiony został do Krakowa na kaznodzieję u św. Piotra, gdzie był równocześnie kierownikiem Bractwa Miłosierdzia. Przy końcu listopada 1661 obejmuje powtórnie rektorat kolegium jarosławskiego, poczem w r. 1665 wybrany proku-

[1] Rkp. 11988, str. 225. Władysław IV. wydał dyplom potwierdzający 3 marca 1647. Akt ugody podpisany przez jenerała zakonu Caraffę znajduje się w archiwum prowincyi w Krakowie. Mur miejski wysunięto na 35 łokci poza dawny obręb na przestrzeni 100 metrów. Jezuici mieli nowy mur wystawić swoim kosztem i wybudować wieżę obronną.

[2] Rkp. 11988, str. 262.

ratorem prowincyi jedzie do Rzymu na kongregacyę generalną. W r. 1666 był kaznodzieją w Lublinie i tu po raz ostatni występuje na ambonie. Następnie zamianowany po Młodzianowskim instruktorem Trzeciej Probacyi w Jarosławiu, a od r. 1668 do 1671 zarządza prowincyą polską.

Z listów pochodzących z tego czasu i wydanych rozporządzeń do rozmaitych kolegiów, przebija się pewna przedsiębiorczość i ruchliwość Lorencowicza. Zwraca uwagę na wszystko, począwszy od szkół i wychowania młodzieży, aż do drobnych zajęć domowych. W liście do kolegiów prowincyi polskiej między innemi rozporządzeniami nalega na reformę w wykładach retoryki, greki i matematyki, poleca odbywanie jak najczęstszych misyj ludowych po wioskach i przypomina żeby w listach nie udzielać sobie bezpodstawnych pogłosek o wypadkach krajowych, a wogóle nie pisać o sprawach publicznych, bo to niezgodne z ustawami zakonu [1]. Kolegium gdańskiemu poleca akuratność w obsłudze kościoła, przepisuje czas na kazania polskie i niemieckie, zaleca żeby zbyt nie przeciągano nabożeństw, zwraca uwagę na zarząd dóbr, gani nieroztropne tępienie lasów dębowych przez zbytnią wyprzedaż, nie zapomina nawet o jakimś wysłużonym krawcu i każe mu zapewnić utrzymanie na starość [2]. Innym razem każe rektorowi lwowskiemu zakończyć spór z miastem o jakąś kamienicę, i zgodzić się na warunki mieszczan [3]. W memoryale do kolegium poznańskiego nakazuje rektorowi dokładne prowadzenie ksiąg rachunkowych, restauracyę i utrzymanie szpitala w Stawach, restauracyę kaplicy w Środzie i kościoła w Siekierszczu. Zabrania wpuszczać kogokolwiek do grobu ks. Drużbickiego i zabierać z trumny szczątki sukni lub ciała na relikwie [4]. Obok tego zwracał uwagę na sprawy publiczne, o ile mu powołanie zakonne na to pozwalało. W 1668 r. wydał polecenie do Jezuitów swej prowincyi, żeby odprawiali

---

[1] Rkp. Bibl. Jag. 5195, str. 121, i *Epistolae Jesuitarum*, rękopis ces. bibl. wied. l. 12025, str. 116.

[2] *Memorialia relicta Coll. Gedanensi ab anno 1601—1776.*

[3] Rkp. 11988, str. 290.

[4] *Memorialia relicta Coll. Posn.*, rkp. Bibl. Jag. 5194, str. 99.

publiczne nabożeństwa o spokój w zawichrzonej Polsce; później z rozporządzenia jenerała zakonu poleca nabożeństwo za Kretę, której groziła nawała turecka [1].

Za rządów prowincyalskich Lorencowicza wypadła nowa elekcya króla. Prowincyał poczuwał się do obowiązku złożenia życzeń elektowi i ofiarował mu w imieniu Jezuitów polskich powinszowanie na koronacyę: *Vaticinium regale sub auspicatissima Coronatae Maiestatis primordia Serenissimi Michaelis Korybut Regis Poloniae, inter triumphales patriae applausus heroica poesi celebratum et a Polona Societate Jesu fausti ominis ergo, oblatum.* (Kraków 1669). *Vaticinium* wydano bezimiennie, ale już kilka lat później Sotwel w bibliografii zakonu nazywa Lorencowicza autorem, podobnie jak następne bibliograficzne zapiski. Być może, że wiersz ten pochodził z czasów profesorskich Lorencowicza, później został przerobiony i zastosowany do okoliczności koronacyjnej i do osoby Korybuta. Panegiryk to podobny do wielu innych płodów panegiryzmu, bez wartości literackiej, ciekawy jednak, bo może służyć za wyraz nadziei, jaką pokładał ogół szlachecki w obranym Piaście. Przypatrzmy mu się bliżej.

Na pierwszej stronicy rozparł się szeroko herb królewski, pod nim czterowiersz zawierający myśl, że półksiężyc Wiśniowieckich dotychczas, chociaż był w kwadrze, już Polsce przyświecał; ileż światła zleje się na Polskę teraz, kiedy przechodzi w fazę pełni i z tronu świecić poczyna [2]. Następuje dedykacya prozą, w której Korybut figuruje jako najoświeceńszy z królów, to też nie dziw, że poezya poczuwa się do obowiązku i składa swemu mecenasowi wiązankę heksametrów, jako dar koronacyjny. Główną częścią utworu jest *Carmen fatidicum* z 300 wierszy. Minerwa prowadzi autora do pałacu bogiń Prządek. Niepewny, którędy ma wejść, krąży autor pod murami, dopiero Atropos otwiera żelazne podwoje i wprowadza go do wnętrza.

---

[1] *Liber ordinationum temporalium ab anno 1664—1709*, str. 14. Arch. prow. pol.

[2] Na temat półksiężyca Wiśniowieckich odegrała młodzież szkolna w Poznaniu jakiś dramat czy dyalog w uroczystość koronacyi Korybuta. Rkp. Bibl. Jag. 5198, str. 2.

Przepyszna kolumnada podtrzymuje złocony strop, ściany wyłożone marmurowemi rzeźbami, przedstawiającemi zmienne losy ludzkości. Jest tam i Eneasz uciekający z Troi, jest Hannibal gromiący zastępy rzymskie, są zwycięstwa Aleksandra Wielkiego. Przed oczyma widza odbywają swe *comitia* Rzymianie wpatrzeni w Cycerona deklamującego coś gorączkowo, widać także ruchliwe postaci Greków, kłócących się na zgromadzeniach ludowych. Przybysza mniej to interesuje, chciałby jak najprędzej dowiedzieć się o losach Polski i elekta. Ze zmierzchu dziejów ubiegłych wyłaniają się starożytne rody polskie, ich kontury rysują się coraz wyraźniej; widz poznaje między niemi cienie Wiśniowieckich, Olgierda, Witenesa, Narymunda, Dymitra i innych. Na końcu tego orszaku sadzi na koniu barczysty Jerema, groźny:

Barbarico Tanai, Bactris, Scytiaeque nivali,
Nec non foedifragis post bella exacta Cosacis.

Nawoływa swe szeregi i wskazuje zaciśniętą pięścią na tłoczącą się zewsząd czerń wrogów. Przybysz pragnąłby dłużej paść oczy tym widokiem, ale towarzyszka Atropos budzi go z zachwytu i wprowadza do komnaty, w której pracowały Prządki nad tkaniną płaszcza królewskiego. Atropos pokazuje przybyszowi wspaniałą księgę, na której już z dala błyszczy gwiaździste imię króla Michała. Wieszcz chciałby się przekonać, czy jego przeczucia zgadzają się z literą przeznaczenia i wyrokiem *fatum* — ale niestety księga zamknięta i żaden ze śmiertelnych nie może jej otworzyć! Gdyby nie to, tak zapewnia Atropos, dowiedziałby się, jakie szczęście spotyka Polskę w chwili koronacyi króla, że na samo imię Michała zadrży Konstantynopol, a mieszkańcy z nad Donu pobledną z przerażenia. Zapowiada, że król odnowi tryumfy chocimskie, że Dniepr zaczerwieni się krwią moskiewską, a czerń kozacka dopiero teraz poczuje wędzidło ...

Trudno przypuścić, żeby Lorencowicz wierzył w te wróżby, ale czy do kadzielnicy pochwał nie dosypał jakich aromatów, mających zwrócić uwagę króla na nadzieje w nim położone i przedstawić, czego naród wymaga od elekta? Wszakże przed-

miotem tych wróżb to sprawy piekące, obchodzące żywo każdego Polaka. Napierała na Polskę Moskwa i dopiero rozejmem Andruszowskim uspokojono ją do czasu, na Kozaczyźnie burzyło się po dawnemu, a w powietrzu czuć było burzę nadciągającą od strony Turcyi.

Gdyby Atropos była prawdomowniejszą, wyjawiłaby tryumfy półksiężyca, nie tego, którym się Korybut pieczętował, ale półksiężyca tureckiego, który w niedalekiej przyszłości miał zabłysnąć na wieżach Kamieńca. Pokazałoby się, że król zamiast rozszerzyć, uszczupli granice Polski sromotnym buczackim traktatem. Jedyna rzecz, mająca się spełnić, to wieszczba o odnowieniu tryumfów chocimskich, tylko że bohaterem ich nie miał być Korybut, ale pogromca Turków, Sobieski.

Epilog *Vaticinium* pisany prozą. Jest tu wzmianka o czasach szkolnych króla, mianowicie o czteroleciu w Pradze spędzonem, skąd Korybut miał wynieść przepowiednię przyszłych swych rządów.

Jako utwór poetyczny, *Vaticinium* wypadło nieświetnie. Układem przypomina panegiryk Samuela Twardowskiego: „Pałac Leszczyńskich“, ofiarowany Bogusławowi Leszczyńskiemu. Opis pałacu bogini Sławy w Poznaniu i wyprowadzenie na scenę przodków familii, przypomina pałac Prządek i rzeźby antenatów Korybuta. Heksametry są dość toczone, jest gdzieniegdzie plastyka w opisach (np. pałac Prządek), ale obok tego wiele zawiłych i niedocieczonych alluzyj. Najbardziej jednak razi aureola unosząca się nad skronią elekta. W chwili koronacyi nie była ona rażąca, bo wybór Korybuta, to dzieło szlachty, która po potomku Jeremy bardzo wiele się spodziewała; ale dziś nie można czytać tych kart bez żalu do autora za przesadne pochwały króla, który tak bardzo zawiódł nadzieje w nim położone.

Prócz *Vaticinium*, wydał Lorencowicz za swego prowincyalstwa „Kazania pogrzebne“ (Kalisz 1670), miane w różnych żałobnych okazyach, i dwa tomy „Kazań na niedziele całego roku“. (Kalisz 1671).

Za rządów prowincyalskich Lorencowicza ogłosił Klemens X.

beatyfikacyę św. Stanisława Kostki. Obchód beatyfikacyjny odbył się we Lwowie ze zwykłą na owe czasy wystawnością. W wigilię święta, 12-go listopada 1670 r., odbyła się uroczysta procesya po rynku, z obrazem i relikwiami Świętego. Orszak otwierała młodzież konwiktu na koniach bogato przystrojonych, dalej szli młodsi uczniowie nucąc hymny o Świętym, kler łaciński i ormiański z biskupami i nieprzeliczone tłumy ludu. Ulice ozdobiono transparentami, a na wieży ratusza umieszczono obraz św. Stanisława wśród rzęsistych świateł. Do późnej nocy odzywały się salwy armatnie z murów miejskich i płonęły światła iluminacyi. Lorencowicz, który dawniej jako prokurator beatyfikacyi św. Stanisława zbierał potrzebne do tego akta, zjechał teraz do Lwowa i miał kazanie podczas sumy 13 listopada przed arcybiskupem i natłokiem pobożnych. Obchód beatyfikacyi trwał przez całą oktawę. Młodzież szkolna urządzała dyalogi w kolegium i dawała przedstawienia sceniczne w kościele. Prefekt artyleryi królewskiej urządzał ognie sztuczne na rynku dla pobożnych tłumów; między innemi zaimponował widzom jakiś smok ognisty wyładowany rakietami i buńczuk turecki rozbity w kawałki przy zderzeniu się z krzyżem [1].

Podobna uroczystość odbyła się w rok później — także za rządów Lorencowicza, tj. obchód kanonizacyi św. Franciszka Borgjasza, podczas której Lorencowicz także miał kazanie, nie ogłosił go jednakże drukiem. Obecny wówczas we Lwowie król Korybut z małżonką brał udział w procesyach, bywał na kazaniach, zwiedzał konwikt, podejmowany przez młodzież i księży, przyjął nawet zaproszenie rektorskie i był przy stole w refektarzu zakonnym wraz z królową.

Przy końcu roku 1671 złożył Lorencowicz rządy prowincyi w ręce swego następcy, później był przez krótki czas przełożonym nowicyuszów w Krakowie, a już w lutym 1672 r. objął rektorat kolegium lwowskiego. Ostatni ten rektorat był niepomyślny dla Lorencowicza. Kłopotliwe położenie miasta, i nadchodzące pogłoski o blizkiem oblężeniu zmusiły go do rozpuszczenia szkół i kolegium.

---

[1] Rkp. 11988, str. 293.

Zostało tylko czterech księży i kilku braciszków w ogołoconem z duchowieństwa Lwowie. Wkrótce nieprzyjaciel otoczył miasto, wyczerpane i zniszczone poprzedniemi klęskami wojny. Magistrat zatrwożony zwołuje narady, a na swe posiedzenia wzywa także dwu Jezuitów, między nimi Lorencowicza, i ci — jak się wyraża kronikarz kolegium [1] — mieli się pierwsi oprzeć otwarciu bram miasta przed nieprzyjacielem, do czego bojaźliwsza część rajców już się skłaniała. O ile ta wzmianka zgadza się z prawdą, nie wiadomo; faktem jednakże jest, że w roku 1672 Lwów nie miał tyle zasobów materyalnych ani duchowych do przetrwania oblężenia, jak w r. 1648. Dezercya była tak liczna, że przemocą bramy miasta zamykano przed zbiegami [2], a magistrat był zmuszony domagać się przysięgi od mieszczan, że pozostaną na zagrożonem stanowisku. W czasie oblężenia brali członkowie kolegium czynny udział w straży na murach i utrzymywali swym kosztem kilku zaciężnych. Gdy się zgodzono na okup, Lorencowicz ofiarował imieniem kolegium 40 grzywien i złoty łańcuch, ofiarę dość znaczną, w porównaniu do datków z innych kościołów [3],

[1] Rkp. 11988, str. 298.

[2] Józef Bartłomiej Zimorowicz w dziełku: *Leopolis... anno 1672 hostiliter obsessa*, wspomniawszy o ucieczce dwóch rot żołnierzy zostawionych przez Sobieskiego dla obrony Lwowa, mówi: „Principio fugae a primoribus facto, caeteris quoque animus in pedes abiit. Miserabilis, me hercle, facies Civitatis, ipsique etiam civitati erubescenda ea tempestate fuit: videre non modo umbram suam fugientes puellas, aut iuvenes ferrum lateris sui exhorescentes verum etiam Thrasones, armis coelum quondam territantes, ipsosque Demagogos..... in exilium voluntarium plenis portis ruere“ (karta 14). Mówiąc o zwołaniu rady miejskiej, wspomina, że powołano także dwu duchownych na posiedzenie magistratu, ale nie mówi czy to byli Jezuici czy inni księża.

[3] Fara dała 174 grzywien, Jezuici 63, cerkiew ruska 52, Dominikanie 46, Ormianie 40, inne kościoły po kilka grzywien. Przy odbiorze sreber musiała zajść jakaś defraudacya, tak przynajmniej można wnioskować ze słów kronikarza: „Aurum et argentum templorum cum fraude a privatis in alias necessitates expensum est, non autem in redemptionem civitatis vel litrum pro obsidibus datum“ (rkp. 11988 l. c.). W r. 1648 dali Jezuici lwowscy na okup 140 grzywien, a razem ze srebrem 880 grz.; w r. 1665 między srebrami posłanemi do mennicy królewskiej, były srebra jezuickie wartości 41.890 złr., a między temi część sreber lwowskiego kolegium. (Łoziński, „Złotnictwo lwowskie“, str. 20).

a było o nią tem trudniej, że dobra lwowskiego kolegium zniszczył nieprzyjaciel, a po odejściu wrogów Lorencowicz musiał prosić o wsparcie i zapasy żywności inne kolegia.

Wkrótce po odciągnięciu Turków i Tatarów, Lorencowicz, tknięty paraliżem, przeleżał trzy miesiące, wreszcie uzyskał pozwolenie wyjazdu na jakiś czas ze Lwowa, stąd też nie wiadomo, czy on czy jego zastępca przyjmował w kolegium Sobieskiego, który po zwycięstwie chocimskiem, przypisując je przyczynie św. Stanisława Kostki, słuchał uroczystej wotywy przed jego ołtarzem i posłał do Rzymu zdobyty sztandar turecki, prosząc o przyspieszenie kanonizacyi Stanisława. Zwyczajem ówczesnym witali go przy tej sposobności panegirykami i mowami uczniowie kolegium [1].

Lorencowicz od ataku apoplektycznego coraz bardziej zapada na zdrowiu, tak iż musiano mu dodać do pomocy wicerektora. Skołatany chorobą, nie ustaje jednak w pracy. Musiał mieć sporo kazań niewydanych, kiedy jeszcze do ostatniej chwili krzątał się około przygotowania ich do druku. Zakupił nawet w tym celu nowe czcionki do drukarni jezuickiej za 600 złotych, ale śmierć przeszkodziła zamiarowi [2]. W Wielki Tydzień 1675 r., podczas próby w kościele jakiegoś scenicznego dyalogu na Wielki Piątek, tknięty paraliżem utracił władzę w całem ciele, stracił mowę i tylko prawą ręką dawał znaki otaczającym. Umarł 15 kwietnia, żałowany przez wszystkich. Miasto, odwdzięczając się swemu kaznodziei i rodakowi za prace kaznodziejskie i dedykacyę dwóch tomów kazań, sprawiło mu pogrzeb bardzo uroczysty. Przez trzy dni dzwoniono nietylko w kościołach katolickich, ale i w schyzmatyckich cerkwiach. Napływu duchowieństwa, szlachty i mieszczan nie mógł objąć kościół jezuicki, a przez kilka dni po pogrzebie odprawiało miasto egzekwie za swego kaznodzieję. Być może, że oprócz sympatyi, jaką zjednał sobie

[1] Rkp. 11988, str. 300.

[2] Tamże, str. 305. „Senio laboribus accelerato, laboriosissimo operi continuandarum concionum propriarum in lucem editioni (ediderat enim nuper funebres, tum dominicis diebus aptas) aliisque operosis muniis admovebat non segnis manus“.

długoletnią posługą kapłańską około Lwowian, przyczyniała się do tego pamięć na jego ojca i mir, jakim Lorencowicze we Lwowie się cieszyli.

II.

Przejdźmy teraz do prac, którym głównie się Lorencowicz oddawał, tj. do jego kazań.

Są one charakterystycznym płodem panegiryzmu, zalety i wady epoki dobrze uwydatniają, i dlatego mogą mieć znaczenie w literaturze.

W roku 1670 wyszedł tom „Kazań pogrzebowych", zawierający mów 28, a w rok później dwa tomy „Kazań niedzielnych", zawierające 63 mowy. Prócz tego przygotowywał Lorencowicz do druku inne kazania, zapewne odświętne i okolicznościowe — ale śmierć przeszkodziła ich ogłoszeniu. Tytuły kazań pogrzebowych są ogólne, np.: kazanie na pogrzebie opata, na pogrzebie żołnierza i sędziego wojskowego, na pogrzebie szlachcica rodowitego domu, szlachetnej białogłowy, młodziana szlachetnego i t. p.

Pierwotnie kazania te inaczej musiały wyglądać, co zresztą sam autor przyznaje w przedmowie, w której wygłasza swe zapatrywania na przesadę panegiryczną:

„W tych kazaniach, uczony czytelniku, nie zawodź się szukać wytwornej i na słowach sadzącej się wymowy. Nie udawaj się patrzeć na pochwały domów rodowitych, szeroką pokrewnością i dziedzicznemi klejnoty i herbownemi wywodami ozdobione. Świeckim to panegirystom zostawiono, bo mniej przystojna kościelne i katolickie kazania tym nadziewać i uszy gładką mową głaskać... I luboć wedle zwyczaju te kazania, gdy były czynione, niektórych temata i osnowania z okazyi herbów się brały, bo szczególnym osobom na ten czas służyły, gdy jednak na jaw wychodzą, na powszechny użytek, wszystko to odrzuciwszy, tak się sposobiły, żeby wedle stanu różnym służyć mogły". Zmiana więc była, ale czy znaczna? Prawdopodobnie niewielka, choćby dlatego, że sześćdziesięcioletni już Lorencowicz, obciążony zajęciami prowincyalskiemi, nie miał zapewne czasu i ochoty do przeróbki swych kazań, tem bardziej, że zabierał się do wydania

znaczniejszej o wiele liczby kazań niedzielnych i okolicznościowych; poopuszczał więc prawdopodobnie tytuły, wykreślił miejsca rażące przesadą, ale treści i układu kazań nie zmienił. Pozostały nawet trzy kazania, w których myśli czerpie z osnowy herbów: kazanie na pogrzebie wojownika zacnego i mężnego, pieczętującego się Jastrzębcem — na pogrzebie szlachcica, który miał w herbie Krzyż, i sędziwego starca pieczętującego się liliami.

Kaznodzieja — jak widać z przedmowy — starał się przy ogłoszeniu swych mów zatrzeć ślady osób, nad których grobem przemawiał, mimo to zostawił w nich niemało rysów, dozwalających odnaleść osobistości, których się te mowy tyczyły; nie możemy przeto uważać ich za ćwiczenie pióra kaznodziejskiego i retoryczne impety — jak je nazwał Mecherzyński — chociaż istotnie przychodzi żałować opuszczonych napisów, bo wtedy nabrałyby te mowy większego historycznego znaczenia i budziłyby więcej zajęcia.

Dokładniej można oznaczyć tylko dwie z nich: „Kazanie na obchodzie pogrzeb. Naj. Królowej", wypowiedziane podczas żałobnego nabożeństwa za Cecylię Renatę, i kazanie na pogrzebie przewielebnego biskupa — prawdopodobnie Jakuba Zadzika, zmarłego w Krakowie 1642 r.

Pierwsze ma bardzo mało szczegółów biograficznych, ale wiele ciepła patryotycznego. Zaczyna się od tekstu: „Mów królowi i panującej: ukorzcie się, siądźcie, bo spadła z głowy waszej korona chwały". Od tych słów zaczynano zwyczajnie mowy na pogrzebach królewskich; Skarga np. przytacza je w kazaniu na pogrzebie Anny Jagiellonki i Anny z Rakuz; Olszewski w „Żałobie po śmierci Konstancyi królowej; prócz tekstu jednakże kazanie Lorencowicza nie ma z nimi nic wspólnego. Ładny jest początek, przypominający ustęp z kazania Skargi o miłości ku ojczyźnie.

„Chlubiliśmy się dotąd i szczęśliwie szczycili Opatrznością Bożą nad ojczyzną naszą, w której ją Bóg Wszechmogący z miłosierdzia swego chować raczył, zachowując cale i rozszerzając w niej religią swoję i prawdziwą wiarę; pokojem ze wszystkich stron opatrując, zwycięstwy z pogaństwa i odszczepieńców i in-

nych nieprzyjaciół wsławiając, żywnością, dostatkami pomyślnemi bogacąc, naostatek wysokiemi ozdobami ją zdobiąc. Tegośmy wszystkiego dotąd zażywając, śpiewali sobie wesoło: *Non fecit Dominus taliter omni nationi.* Boże, by nam dalej i jak najdłużej tego błogosławieństwa przyszło zażywać". Dalej, jakby w przeczuciu klęsk, które już nad Polską wisiały i w obawie blizkich zaburzeń, mówi kaznodzieja: „Aleć przerywać nam nadzieję tę naszą i trwożyć jakoś Bóg nas poczyna, kiedy żałosną nowinę obwieszczać nam każe: Mów królowi i panującej, ukorzcie się, siądźcie, bo spadła z głowy waszej korona chwały". W samem kazaniu rozbiera mowca przymioty zmarłej królowy i nazywa ją koroną chwały, piękna i obrony: „Zawarł był i jakoby ukoronował Bóg dobrodziejstwa swoje przeciwko nam chwalebną bardzo koroną, kiedy nam dał za panią, rzekę prawdziwiej, za matkę i patronkę Najjaśniejszą Królową... Cokolwiek ozdoby, zacności, sławy, godności, cokolwiek dobrego i świetnego w Najjaśniejszej krwi jej było i domu tak Rakuskim jak Bawarskim i we wszystkich niemal monarchiach przedniejszych w Europie, do nas i ojczyzny naszej z sobą wniosła i tu złożyła".

Tyczyć się to może oczywiście tylko Cecylii Renaty, nie Maryi Ludwiki, a inna królowa w czasie jego kaznodziejstwa nie umarła. Zmarła „była także *corona protectionis,* która nas nietylko pozorem swym zdobiła, ale od wiela złego i przeciwieństw broniła i zaszczycała". Jak Marya, siostra Mojżesza, modliła się za kraj i błogosławieństwo Boże na ojczyznę sprowadzała. „Miała kiedyś nasza Polska w sobie takie Marye i wiele także dobrego przez nie za ich do Boga przyczyną zażywała, wiela złego uchodziła: onę naprzykład Jadwigę, królową polskę Jagiełła żonę. Pani to była świątobliwa i wielkiego serca na rozszerzenie państwa polskiego... Podczas wojen z postronnymi i kiedy się wojska z nieprzyjacielem ścierały, ona jako niegdy Mojżesz z rękoma do nieba wyciągnionemi, sercem przed Bogiem wylanem padała. I tak więcej sprawiła w kąciku ciemnym przy zakrystyi kościoła krakowskiego na Zamku przed krucyfiksem pokornie porzucona, a niż wielkie pułki żołnierstwa z nieprzyjacielem mężnie czy-

niąc". Podobnie czyniła zmarła królowa: „Zawsze kiedy jeno niebezpieczeństwo jakie na ojczyznę naszę nastąpiło, zaraz modlitwę sobie i swoim domowym stanowiła, na nie jak Marya białogłowy, które mogła zbierała, ordynowała, godzinę każdej naznaczała i tak co po kościołach, klasztorach i indziej czynili drudzy ludzie bogobojni, na odwrócenie karania Bożego, to niemniej ona z chórem swoim białogłowskim czyniła".

Kazania tego nie miał Lorencowicz w czasie pogrzebu królowej, bo nad zwłokami Cecylii przemawiał biskup Andrzej Leszczyński, ale podczas któregoś z żałobnych nabożeństw, odprawianych za zmarłą.

Kazanie na pogrzebie biskupa ma więcej rysów indywidualnych. Zaczyna się od tekstu: „Wstąpił Aaron kapłan na górę Hor, na rozkazanie Pańskie i tam umarł". We wstępie przeprowadza kaznodzieja porównanie między Aaronem i zmarłym biskupem, rozbiera okoliczności śmierci Aarona i dziwi się, dlaczego Eklezyastyk mówiąc o Aaronie pomija jego błędy, tem bardziej, „że miał on jako człowiek ułomny swoje też defekciki, ba i nie małe. Targnął się raz na zwierzchność świecką, także konsens dał na konfederacyą ludziom *diversae religionis*". Przyczyną tego, mówi kaznodzieja, jest różnica sądów Bożych od sądów ludzkich. Bóg, co raz odpuścił, o tem zapomina, i dlatego także Eklezyastyk zamilcza błędy zmarłego. „My na opak czynimy. Za żywota, w oczy kiedy ganić często potrzeba, my chwalimy, pochlebiamy, dudkujemy, kłaniamy się, a po śmierci kąsamy, szczypiemy, szarpiemy".

Następnie przystępuje do obowiązków biskupich, i zastanawia się, jak zmarły biskup je pełnił. „Na tak wysoki w państwie korony naszej i w Kościele Bożym stołek, wstąpił nie z żadnej intencyjej krzywej, prócz samej chęci szczerze przysłużyć się pracą i cnotą swoją Bogu i ojczyźnie. Nie powabiły go do tego stanu splendory, których w domu swoim miał wielki dostatek, bo to pożądliwość i łakomstwo nie miłość jest, gdy kto za posagiem i prowentami się powabiwszy, kapłaństwa i biskupstwa szuka i nabywa... Często obaczyłbyś około jakiego wakansu na biskupstwo wielu konkurentów, rozumiałbyś, że oblu-

bienicy Kościoła szukają, aby w nim Chrystusowi służyć. Na wielubyś się zawiódł. Starania te nie o Kościół i chwałę Bożą, ale o posag i dzierżawy się czynią". Dalej wspomina, że zmarły biskup służąc Kościołowi nie zaniedbywał także obowiązków względem ojczyzny: „Czas niemały statecznie i odważnie przy dworze służył, na komisyje z kosztem wielkim i odwagą zdrowia jeżdżąc, dobro ojczyzny i dostojność pańską na sobie przystojnie ponosząc. Temi przysługami pociągnął na się oko i serce pańskie, że go od mniejszych beneficyów począwszy, aż na biskupstwo swą nominacyą wyniósł". Zmarły odznaczał się gorliwością i występował na sejmach w obronie swobód kościelnych. „O wolność kościelną i krzywdę Bożą i o presyą duchowieństwa świeckim potentatom się zastawiał i prywatnie występnych strofował i na konfesach publicznych *in facie Reipublicae*... Prawda, siła się na niego urażało i za niedyskrecyą, gorącość i popędliwość występną ją sobie rozumieli. Ale niech dadzą słuszne *condano* wrodzonej cnocie jego, uczoności i staropolskiej prostocie... Wielki ten kapłan w klar, jawnie w oczy, co mu się w kim nie podobało zganił, strofował, lubo wiedział, że to obrazę przynieść miało".

Przy końcu nadmienia o hojności i ofiarności zmarłego na kościoły i ubogich, nadto o znacznych kosztach, łożonych na Rzeczpospolitą.

Charakterystyka to trochę za ogólna, ale zgodna z osobistością biskupa Zadzika. Względy Zygmunta III. Zadzik posiadał i piastował kanclerstwo koronne. Był ofiarny dla Rzeczypospolitej, a w r. 1630 pożyczył koronie znaczne sumy na opłatę wojska. Nie skąpił datków ubogim, bo zapisał 100.000 na wsparcie studentów, oprócz uposażenia bursy Jerozolimskiej, szpitali i kościołów. Występował w obronie Kościoła na sejmach; za jego przyczyną zamknięto szkoły Aryanów w Rakowie, a kościoły oddano katolikom. Że mowa ta odnosi się do biskupa Zadzika, można wnosić z obecności Lorencowicza w Krakowie w roku 1642, jako kaznodziei u św. Piotra, i z umieszczenia jej przed kazaniem na pogrzebie Cecylii Renaty, zmarłej we dwa lata później. Wprawdzie na pogrzebie Zadzika przemawiał Starowolski, jednakże mógł i Lo-

rencowicz mieć mowę podczas jednego z licznych nabożeństw żałobnych za Zadzika odprawianych, zwłaszcza że liczne mowy pogrzebowe były wówczas w zwyczaju.

Inne kazania pogrzebowe Lorencowicza trudniej oznaczyć. Występują tu typy szlachty rycerskiej i domatorów, młodzieńców i starców, panien i matron. Co do układu i wymowy nie różnią się wiele od kazań niedzielnych, tu i tam występują te same zalety i braki, jedne i drugie kazania obfitują w rysy z życia obyczajowego szlachty. Szczegółowy ich rozbiór na niewieleby się przydał i byłby zbyt nużącym, dlatego zastanowimy się nad niemi ogólnie.

(C. d. n.).

Józef Sas.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Mikołaja Reja z Nagłowic: Krótka rozprawa między trzemi osobami, panem, wójtem a plebanem. R. 1543. Wydał *Roman Zawiliński.* Kraków 1892. (W „Bibliotece pisarzów polskich", wyd. Akad. Umiej. krak. Tomik 23). (Str. XIII, 81).

Małe to dziełko, przypisywane Rejowi, było dotąd bardzo niedokładnie znane. Wiszniewski i Maciejowski mieli je w swych rękach i podali z niego wyimki. Zresztą było o niem głucho. Dopiero p. Zawiliński, idąc śladem przez Maciejowskiego wskazanym, odkrył jedyny prawdopodobnie egzemplarz w bibliotece hr. Potockich „pod Baranami" w Krakowie, opracował go nader starannie i wydał w „Bibliotece pisarzów polskich".

„Rozprawa" wydana była pod imieniem Ambrożego Korczboka Rożka, ale tak wewnętrzne, jak zewnętrzne powody nakłaniają do przyznania autorstwa Rejowi. Treść „Rozprawy" ma wartość historyczną i obyczajową; literackiej wartości dyalog ten nie ma prawie żadnej. Napisany ciężko, nieudolnie, jak wszystkie dzieła Reja, nie mającego o sztuce żadnego wyobrażenia. Wiersz koszlawy, bez porządnego rytmu, konstrukcye zawiłe, pogmatwane i ciężkie. Jak w innych swych utworach, tak i tu jest Rej rozwlekłym, powtarzającym się aż do znudzenia. Chwyciwszy się jednej myśli, obraca ją jak na rożnie, po sto razy, i powtarza bez końca, a mimo to nie umie jej ani należycie wyrazić, ani całkowicie zgłębić. Rej był samoukiem, bez prawdziwego wykształcenia; z usposobienia zaś lekki, płytki, hulaka (wyjąwszy starość)

i awanturnik. Te same znamiona charakterystyczne noszą na sobie wszystkie jego dzieła.

Za to wartość historyczna i obyczajowa „Rozprawy“ jest o wiele większa aniżeli literacka. Jest w niej naprzód jaskrawy wyraz tych waśni i wzajemnych inkryminacyj stanów świeckich przeciwko duchowieństwu, jak to w XVI. wieku było rzeczą powszechną. Jest dalej bardzo przykry i bardzo bolesny obraz nadużyć i niedbałości, popełnianych przez wszystkich urzędników Rzeczypospolitej, zacząwszy od trybunałów i sędziów, którym „sporo młyny mielą, kiedy sie pamiętnym [1] dzielą“ (w. 498—9), a skończywszy na mytnikach i żupnikach. Nie pominięto i sejmów; a zdanie plebana o nich, już w roku 1543, jest i trafne i głębokie:

Wierę snadź z sejmu naszego
Nie słychamy nic dobrego:
Już to kielka niedziel bają
A w niwczym się nie zgadzają
. . . . . .
Pewnie pospolitej rzeczy
Żadny tam nie ma na pieczy [2].

Jest wreszcie owa staropolska i staroszlachecka filozofia, zawarta w mnóstwie przysłowi, które błyszczą w tem dziełku jako drogocenne brylanty. Nie miejsce tutaj zastanawiać się nad niemi i wyciągać z nich wnioski [3]. Warto jednak bodaj kilka w pamięci sobie podkreślić, np.:

Każdy na swe skrzydło goni [4].

Z nas każdy, gdzie swój wrzód czuje,
Zawżdy mu więcej folguje [5].

...tłusty, jako chce, skacze [6].

A lepiej, iż palec boli,
Niż wszystko ciało w niewoli [7] i t. d.

Ze względu na tę treść swoją „Rozprawa“ jest ciekawym zabytkiem. Dla historyka języka polskiego ma jeszcze tę szczególną

---

[1] „Pamiętne“ oznacza czesne, składane sędziom.

[2] W. 648—655.

[3] Ważniejsze są w wierszach następnych: 133, 640—1, 653, 669, 676—7, 745, 754—5, 889—90, 891—2, 1000, 1002, 1010—11, 1196—7, 1218—9, 1236—7, 1250—1, 1252—3, 1375, 1447, 1744, 1802, 1913—4, 1931—4, 1941—2, 1946, 1978—9, 1989, 1999, 2001, 2005, 2008—9, 2112 i t. d.

[4] W. 653. [5] W. 754—5.

[6] W. 1744. [7] W. 1250—1.

wartość, że zawiera mnóstwo form, zwrotów, wyrażeń wprost z potocznego życia zaczerpniętych, a przeto dozwala mu podsłuchać ten język nieomal tak, jak się podsłuchuje żyjące gwary.

Pan Zawiliński nie żałował pracy, aby „słowniczek“ dołączony do wydania uczynić jak najbardziej wyczerpującym. W istocie nie masz żadnego trudniejszego archaizmu, któregoby wydawca nie umieścił w słowniku i nie objaśnił. Za to uwagi gramatyczne, zebrane na stronie 72—74, są wcale niewystarczające i zanadto mechanicznie obok siebie skupione. Trudno zrozumieć, dlaczego je nazwano „objaśnieniami“, kiedy w istocie bardzo małą tylko część zestawionych form „objaśniają“ na prawdę. W tym względzie tomik dwudziesty trzeci „Biblioteki pisarzów polskich“ nie wyróżnia się korzystnie od wielu innych, którym już niejednokrotnie ten sam zarzut uczyniono. Czy nie byłoby szczególną zasługą tego cennego wydawnictwa, gdyby w uwagach gramatycznych trzymało się metody porównawczej, jakiej użył np. pan A. A. Kryński w wydaniu warszawskiem pomnikowem Psałterza J. Kochanowskiego?

Romuald Koppens.

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. w. Przez *W. Bogusławskiego.* Tom II [1].

II.

Odebranie tylu krajów niemieckich na rzecz Słowiaństwa nie tak to łatwa rzecz. Szczęście, że nie od razu nastąpiła ta postać rzeczy, jaka jest obecnie, że wieków na to było potrzeba, a właśnie tej okoliczności zawdzięcza autor cały swój sukces.

Cofając się wstecz o tysiąc lat (ile, rozumie się, pozwoliły na to średniowieczne roczniki), umiał autor w dziale I. jeszcze dosyć uzbierać tych pomników i śladów minionej przeszłości, i pod powłoką niemiecką wykrył nietylko osady liczne z wyraźnemi nazwami słowiańskiemi, ale także i kilka grup etnicznych, czyli całe plemiona, swoją odrębną nazwę mające, jak: Wirawanie, Pomohanie, Poradniczanie. Oprócz tego, zebrawszy wielką ilość okruchów, czyli nazw bardzo już zepsutych ale jednak niezupełnie pozbawionych piętna słowiańskiego, rzucił z ich pomocą wielkie światło na narodowość pierwszych osadników w tych stronach, tak że dla nieuprzedzonego czytelnika żadna nie pozostaje

[1] Patrz zeszyt czerwcowy, str. 424.

wątpliwość, iż nikt inny tylko Słowianie nasamprzód zagospodarowali owe obszerne włości.

Lecz niedość w tem jego zasługi.

Drugi jeszcze użytek z owych nagromadzonych okruchów lingwistycznych, niemniej świetny i doniosłości wcale pierwszorzędnej, mamy przedstawiony w dziale II-gim tego tomu II-go. Oto z ich pomocą chce nam autor odtworzyć cały ustrój tego pierwotnego osadnictwa naszych przodków, pokazać, jak się urządzili na tej swojej ziemi, jakie były wzajemne stosunki tak mieszkańców jednej osady jakoteż pojedyńczych osad między sobą wzajemnie [1].

Autor wykłada wprzód teoryę, według której nadawano u Słowian nazwy rozmaitym osadom. Jak zaś trojakiego rodzaju były osady, tak też i wszystkie ich nazwy we trzy szeregi ułożyć można. I dziwna rzecz! Nietylko na ziemiach obecnie przez Słowian posiadanych, ale i na obecnie niemieckich, za Łabą, ku Wezerze i ku Dunajowi, są nazwy rodowe i właścicielskie i wysiołków, zapisane w aktach klasztornych. Czy nie nowy to dowód, że nie jako koloniści, ale jako swobodni posiadacze i to od niepamiętnych czasów w tych stronach Słowianie bytowali, gdyż osady tego rodzaju tylko „drogą powolnego rozwoju wytworzyć się w ciągu wieków mogą".

Ale nietylko wyraz życia osobliwego (tak dawniej mówiono zamiast prywatnego), czyli urządzenie się pojedyńczych ludzi lub rodzin odnośnie do posiadania ziemi, był wszędzie ten sam na ziemiach pierwotnie słowiańskich, ale według tychże samych świadectw dziejowych i życie pospolite (publiczne) na ten sam wszędzie sposób było urządzone. Oprócz osad zwykłych, był jeszcze u Słowian „obyczaj" wznoszenia grodów [2] dla potrzeb wspólnych. Słusznie autor uważa, że istnienie grodów z nazwą słowiańską na ziemiach niemieckich jest dowodem, że ziemie te wprzódy były własnością Słowian, bo „jakimże sposobem Niemcy pozwoliliby przybyszom nietylko kraj cały napeł-

[1] Drugi ten użytek, chociaż opiera się na pierwszym, jednak nawzajem wzmacnia go także i objaśnia. Bo jeśli się pokazało, że sposób zamieszkania owych pierwszych osadników ziemi obecnie czysto niemieckiej jest taki sam, jaki zawsze istniał u Słowian, więc wniosek bardzo prosty, że i od tych słowiańskich osadników pochodzące nazwy miejscowościowe tylko ze słowiańskiej mowy wzięte zostały.

[2] Nie trudno poznać, która nazwa odnosiła się do grodu, bo stawiane one były w miejscach niedostępnych, na wyspach lub na skałach i górach; często dodatek *castellum*, *burg* o tem upewnia.

nić swojemi osadami, ale i warowne grody powznosić". Grody te pod rządem Niemców „straciły dawne cechy i powoli przeobraziły się w miasta niemieckie", choć czasem i zwyczajna osada słowiańska, jak Berlin, do godności miasta podniesioną została przez nowych panów.

Z dokumentów starych widzimy dalej, że kraje te dzielono na większe i mniejsze działy, po łacinie zwane *provincia, regio, pagus*... Tłumacząc te nazwy na żupy i kręgi lub grodztwa, autor odtworzył nam obraz ustroju politycznego naszych przodków w Germanii, wprawdzie niezupełnie dokładny, ale bo i materyał zebrany na to nie pozwolił. Wyliczeniem żup uzupełniony został przegląd ludów z działu I-go. Z większąby jednak korzyścią było dla czytelnika, gdyby żupy w tym porządku były wyliczone jak owe ludy. I wogóle bylibyśmy byli bardzo wdzięczni autorowi, gdyby przynajmniej na mapie było wszystko to razem, co do siebie należy, a w książce jest porozrzucane. Systematyczność wykładu wymagała zapewne rozdziału na rozmaite kategorye tego materyału lingwistycznego, wskutek czego nie mógł autor dać dokładnego obrazu geograficznego ziem rewindykowanych. Brak ten jednak mógł uzupełnić na mapie. Tymczasem ani mapa I-go tomu, a tem mniej II-go, celowi swemu dokładnie nie odpowiada. Gdyby wszystkie nazwy, wymienione w książce, ludów, ziem i zwykłych w końcu osad były się znalazły na mapie obok siebie na odpowiednich miejscach, mógłby czytelnik jednym rzutem oka ocenić całą wartość uczonych autora wywodów. Mógłby bowiem zyskać przez to wyobrażenie dokładne, które to kraje były dawniej słowiańskie, jak dalece były one zasiane nazwami słowiańskiemi gór, rzek i rozmaitego znaczenia osad. Potrzeba było tylko zamknąć każdy naród w dobrze odznaczone granice, podzielić jego obszar na żupy (wszystko, rozumie się, o ile wiadomości historyczne na to pozwalają), te na kasztelanie albo burgwardy, i wypisać w nich wszystkie owe nazwy, o których autor na różnych miejscach wspomina.

Dalsze paragrafy tego działu zawierają w sobie opis ustroju społecznego i politycznego mieszkańców ziem przedtem opisanych. Wiele tu pięknych i ciekawych rzeczy, które do zrozumienia wewnętrznej historyi Polski niezmiernie pomagają. Wiele też światła mogą one udzielić zajmującym się reformą socyalną i pauperyzmem, jaki się teraz wytworzył z niezdrowych stosunków społeczeńskich w Europie. Niesłusznie jednak w obrobieniu tej materyi nie uwzględnił autor tego, co mają Cezar i Tacyt o obyczajach i zwyczajach starych Germanów.

Już Maciejowski trafnie zauważył, że Tacyt wykłada prawo polskie [1]. Tak np. mówiąc o panach choręgiewnych i stanie rycerskim, byłby autor z wielkim pożytkiem mógł się zasilić tem co pisze Tacyt [2]. Oprócz tego szkoda wielka, że autor nie we wszystkiem stoi na polu czysto realnem czyli przedmiotowem. Jak długo bowiem trzyma się ściśle źródeł, które ma pod ręką, można za nim iść bezpiecznie i rozkoszować się prawdą, ale jak tylko zaczyna fakta podporządkowywać teoryi, czuć zaraz, że stracił grunt pod nogami i pozorami wojuje. Widocznem to jest w sprawie lechów, lechickiego ustroju, lechickiej Słowiańszczyzny.

Było dawniej ogólnem przekonaniem, że założycielem państwa polskiego był Lech, który skądeś do Wielkopolski przybył i między innemi także gród Brzemię (Bremen) nad Wyzierawą zbudował, żeby ta twierdza graniczna jego państwa powstrzymywała nawał czyli brzemię nieprzyjaciół, z tamtej strony rzeki nadciągających. Nowsza krytyka (wprzód niemiecka, potem i swojska) zaczęła wyśmiewać to tak wielkie państwo z czasów zamierzchłych, a tem samem i jego założyciela, którego imię ma być tylko uosobieniem stanu możnowładców, znajdującego się u wszystkich plemion, ale tylko północno-zachodniej Słowiańszczyzny, którzy rzeczywiście (?) zakładali państwa i bronili tychże przed najeźdźcami: był to stan lechów. Czy autor przyjmując tę teoryę poparł ją jakiemiś dowodami zaczerpniętemi ze starych źródeł, z których tak umie obficie czerpać? Można powiedzieć, że uczynił co mógł, ale że nie ze świadectw tworzył teoryę, tylko przeciwnie, więc nic dziwnego, że niewdzięcznej podjął się roboty.

Ale niech czytelnik sam sądzi. Dowody są dwojakiego rodzaju, jak to jest zwyczajem u autora, i historyczne i lingwistyczne. Trzy stare świadectwa przytacza autor o istnieniu lechów u Słowian północno-zachodnich. Rocznikarz niemiecki z IX. w. wspomina o zabiciu czeskiego wodza imieniem Lech. Lecz czyż imię osobowe ma jaki związek z klasą ludności? Mógł się ten wódz nazywać Frankiem, czy przez to o stałym pobycie Franków między Czechami wnioskować można? Drugi dowód jest ze starej pieśni czeskiej, że na wiec zeszli się kmete, *lesi* i vladyki. Autentyczność jednak i starożytność tego utworu nie jest zupełnie pewna.

Najsilniejszy jednak dowód, który i Maciejowskiemu przemówił

---

[1] „Dzieje pierwotne Polski", str. 162 i nast.

[2] *Germ.* 13 i 14.

do przekonania, jest wzięty z historyi saskiej. Dzielił się ten naród na trzy klasy, które tak się zwały: *edhilingi, frilingi, lazzi.* Otóż *lazzi* albo *lazi* ma być według autora i Maciejowskiego zamiast *lesi.* W taki sposób została odkryta wielka tajemnica dziejowa, tak ważna dla zrozumienia pierwotnych dziejów nietylko polskich ale całej Słowiańszczyzny. Lecz niestety zachodzi tu jedna trudność, której ci panowie usunąć nie zdołają, a która zupełnie niemożebnem czyni ich przypuszczenie. *Lazi,* według wyraźnego twierdzenia kronikarzy z IX. i X. wieku, nie jest obce ale niemieckie słowo, tak samo jak dwa poprzednie: *edhilingi (Edelleute)* i *frilingi (freie Leute).* Tak pisze Nithard w IX. wieku [1]: *Quae gens omnis in tribus ordinibus divisa consistit: sunt enim inter illos qui edhilingi, sunt qui frilingi, sunt qui lazzi illorum lingua dicuntur.* I nie można przypuszczać, że obce słowo Sasi swej mowie przywłaszczyli, gdyż Sachsenspiegel (z XIII. w.) jak najwyraźniej tłumaczy, skąd się ten wyraz wziął i co on znaczy. Dziwić się tylko można, jak p. Bogusławski tego wywodu etymologicznego nie spostrzegł. Widocznie nie chciał go widzieć. Tak brzmi ten ustęp (u p. B. str. 406:) *Unsere vorderen, die her zu lande quâmen und die Duringe vertrieben, die hatten in Alexanders here gewesen... dô sie die duringeschen herren erslûgen und vertrieben, dô lizen sie die gebûre ungeslagen siczen und bestatten (gestatten) in den acker zu alsô getâneme recht, als in noch die lâze hât; dar ab quâmen die lâzen.* Opowiedziano więc tam, że Sasi przyszedłszy do Durynków (słowiańskiego narodu) i ich kraj opanowawszy, naprzód panów wymordowali, a gburów zostawili przy życiu, żeby dla nich rolę uprawiali, i że od tych przy życiu zostawionych gburów pochodzą *lazi*, tyle co zostawieni *(die gelassenen).* W nowszej niemczyźnie takby to wyglądało: *von diesen zurückgelassenen Bauern kommen eben die jetzt* (w XIII. w.) *so genannten lazen, welches Wort also so viel heisst, als die am Leben gelassenen (die man ungeslagen liz).* Co więc z tego można wykrzesać dla lechów?

Silniejszym ma być dowód z lingwistyki wzięty, i o nim się autor dość rozpisał. Sięga on tu aż do samego zawiązku społeczeństwa słowiańskiego. Twierdzi, że obok osad wspólnowładnych, wytwarzał się powoli stan ludzi siedzących na udziałach, które jako własność osobistą dzierżyli, którzy więc gospodarowali na własną rękę i o własnych siłach, i dlatego „nie mogli uprawiać obszernych łąk i pastwisk, jak było w osadach wspólnowładnych, lecz musieli zadawalniać się uprawą

[1] Pertz. II. 668 u Maciejowskiego l. c. str. 97.

niewielkich udziałów, lechami zwanych. Stąd miano lechów powstało“ (str. 408). A w nocie (str. 409) pisze: „nazwa lech jest topograficzną, oznacza ludzi na równinach zamieszkałych i nie mających ustroju rodowego, bo ród nie miałby sposobu do życia na małych zagonach, lechami zwanych“.

Jeśliby takie było pochodzenie lechów, to nie wiemy, dlaczego autor (str. 405) pisze, że „początek tego stanu głęboka tajemnica pokrywa“. Ale mniejsza o to — są tu jeszcze inne trudności. Nie będziemy się z autorem spierać, czy słusznie od takich małych właścicieli wyprowadza późniejszą szlachtę i naszych możnowładców, bo o to nam głównie teraz chodzi, czy rzeczywiście miano lech od lechy pochodzi. Otóż twierdzimy stanowczo, że nie.

Gdyby nasi ojcowie chcieli takich małych właścicieli oznaczyć osobnem mianem, toby ich raczej nazwali lechanami lub lechakami, nigdy zaś lechami; nie byłoby bowiem różnicy (w liczbie mnogiej) między rzeczą a jej właścicielem, i gdyby była mowa o lechach, nie zawsze byłoby można rozróżnić, czy chodzi o ludzi czy o ziemię. 2) Jeśliby nawet chciano nazwać kogo mianem pochodzącem od lechy, to nigdy indywidualnych właścicieli, a co właśnie jest najgłówniejszem twierdzeniem autora. I nietrudno tego dowieść, jeśli się zważy dobrze, jakie było znaczenie słowa lecha. Nie służyła ona nigdy na oznaczenie pomiaru pola, jak słowo łan, włoka, huba, morg... bo i jej obszar nie był dokładnie oznaczony i dla swojej małości nawet na miarę się nie nadawała. A nawet gdyby miarą była, to jednak ciekawe jest twierdzenie, że dla braku rąk do pracy owi pierwsi właściciele tylko maleńką lechą, jako swoim udziałem, się zadawalniali. Wszak z jednego zagonu nikt nie wyżyje, a jedna nawet rodzina kilka potrzebuje łanów i zdoła je obrobić. Najmniejszy zatem udział był kilkołanowy, i raczej od łanu a nie od lechy tacy drobni posiadacze nazwani być mogli.

A jednak był powód (dla cudzoziemców-Rzymian) wyróżniania niektórych plemion słowiańskich (nie pojedyńczych ludzi lub jakiej warstwy społecznej) mianem, które stało w związku z lechą. Takiem mianem jest łacińskie słowo *Lingones*, z którem w związku stoi *lingonizare*. Twierdzimy, że podział pola na lechy, czyli małe zagony, a z czasem nawet grządki ogrodowe, oznacza postęp w uprawie roli, i mógł być i rzeczywiście był używany tak dobrze od indywidualnych właścicieli jak wspólnowładnych dziedziców, czyli od całej ludności. Gdzie tego podziału przy oraniu nie znano albo nie robiono, tam z pewnością nie było starannej uprawy roli, a tem mniej bawiono się tam

w ogrody, jak to istotnie zaświadcza Tacyt o starych Germanach (r. 26): *arva per annos mutant, nec enim cum ubertate soli labore contendunt, ut pomaria conserant et prata separent et hortos rigent.* Niema tu mowy o podziale wielkich łanów *(arva)* na lechy i przeznaczeniu pojedyńczych podziałów to na sad, to na warzywny ogród, to na łąkę dla wypasu bydła. Wogóle gospodarowanie takie, jak je Tacyt opisuje, nie świadczy o wielkim rozwoju rolnictwa, i tak było szczególnie u Serbów nadłabańskich, którzy przeważnie wojenką się trudnili. Kiedy zaś przy lepszem poznaniu naszych praojców przekonano się, że w niektórych okolicach i ogrody istnieją i pole dla lepszego ścieku wody na lechy czyli małe zagony podzielone, mieszkańców owych stron *Lingonami* nazwano. Że nazwa ta stoi w związku z lechą, wynika ze znaczenia słowa *lingonizare*, jakie ono ma jeszcze i w średniowiecznej łacinie. Jarosław Bogorya Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński za Kazimierza W., w sprawie dziesięciny wydał, jak pisze ks. Buliński [1], postanowienie takiej osnowy: *exceptis rapis... et his similibus, quae in hortis suis quis lingonizando plantat...* jest tu mowa o ogrodowiznach, które na lechach czyli grządkach kto sadzi. Właśnie plemiona zwane od swoich Polanami, od Rzymian dostały nazwę Lingonów, bo widać, że u nich uprawa pól lechami i ogrody najwcześniej się zjawiły.

Że słowo lecha nigdy nie znaczyło udziału (choć autor ciągle mu to znaczenie podkłada), ale się tylko odnosiło do sposobu uprawiania pola, wynika i z jego znaczenia r z ę d u, jak np. w tem tłumaczeniu św. Marka [2]: „Siedli tłuszcze lechami po 100 i po 50".

Więc kiedy lech nie pochodzi od lechy, więc jest to stan późniejszego pochodzenia, nie pierwotnego (a zatem ogólnego) ustroju utwór, i kiedy niema dowodu, żeby lesi wszędzie byli i *infinitae multitudinis*, więc wkońcu wyjdzie na to co było dawniej, że lechi to samo co lechici, że są to pierwsi towarzysze Lecha, z którymi on na północ przyszedł i gdzie Lechią czyli państwo Lecha założył. Jak długo nie będziemy mieli przekonywających dowodów, że stare podanie jest nieprawdziwe, musimy odrzucać nowe teorye, z których i tak dla dziejów pożytku niema i które nawet poznanie prawdy utrudniają.

Przebija się też u autora pewna niechęć do duchowieństwa. Wogóle nie widzi on wielkiej korzyści dla państwa i narodu z udziału kleru w życiu publicznem. Na str. 491 pisze: „wiece polskie... stały się

[1] „Historya Kościoła polskiego", t. I, str. 335.
[2] IV, 40.

instytucyą czysto szlachecką, duchem klerykalnym zabarwioną, gdy tymczasem w Czechach z usunięciem duchowieństwa... przybrały fizyognomię bardziej do potrzeb narodu zastosowaną". Czy to stanowisko słuszne? [1].

Widzimy w tem nowy dowód, jak p. B. jeszcze nie ze wszystkiem wyswobodził się z pod rutyny historycznej, a co mu zaciemnia wzrok, by nie dojrzał całej prawdy. Chociaż czemś więcej jak rutyną jest owo dziwne zdanie (na str. 513 wyrzeczone), że przez wprowadzenie chrześcijaństwa pojęcie o władzy zostało u Słowian zmienione, że monarchia zaczęła oznaczać „nieograniczone jedynowładztwo z usunięciem zupełnem uczestnictwa ludu w zarządzie państwa" — to już zupełny brak znajomości prawdziwej nauki Kościoła katolickiego.

Drobne te usterki, które łatwo poprawić, nie ujmują jednak ogromnej skądinąd wartości dzieła pana Bogusławskiego.

Rusin z Pokucia.

Reforma wyborcza. *Dr. Bronisław Łoziński.* Lwów 1893.

Autor ze znakomitej swej książki p. t. *Iuris ignorantia* dał się już poznać jako pierwszorzędny u nas znawca i badacz systemu parlamentarnego: piąty rozdział wspomnianej pracy dowodem jest tego niezawodnym. Chociaż bowiem autor miał tam na względzie tylko stronę ustawodawczą, traktując jednak rzecz po swojemu, to jest gruntownie i wszechstronnie, potrącił o prawdy podstawowe, dotyczące parlamentaryzmu wogóle. Otóż nowa jego praca p. t. „Reforma wyborcza" jest tylko jak najlogiczniejszem wysnuciem wniosków z tych prawd zasadniczych i zastosowaniem ich do systemu wyborczego i projektów jego reform.

Przewodnią myśl tej książeczki stanowi ta zasadnicza prawda, że w ocenie systemów wyborczych i odnośnych projektów reformatorskich nie może służyć za kryteryum mechanizm większości głosów, brutalizm liczby, lecz wzgląd na większy lub mniejszy zasób inteligencyi, mającej wejść do ciała parlamentarnego: *Tantum possumus, quantum scimus.*

---

[1] Warto z tem porównać, co powiedziano we Lwowie niedawno na obchodzie jubileuszowym Ojca św., a przez usta bardzo dostojne: „O tem jestem głęboko przekonany, że nigdy dobrze zrozumiane interesa katolicyzmu z interesami naszego narodu w sprzeczności być nie mogą. Tego nas uczy doświadczenie, tego nas uczy cała historya, ta wielka nauczycielka".

We wstępie autor zastanawia się nad zjawiskiem bardzo charakterystycznem, że wszędzie, gdziekolwiek jest parlament, tam także obok istniejącej ustawy wyborczej tkwi kwestya reformy tejże ustawy pod postacią różnorodnych pomysłów i projektów. Filozoficzny umysł autora nie zadawalnia się zaznaczeniem samego faktu, lecz z głęboką znajomością rzeczy bada faktu tego przyczyny; a z dociekań swych dochodzi do wniosku, że „hydra reformy wyborczej nie da się zgładzić“, a jednej reformie załatwionej stale towarzyszyć musi cień nowego projektu.

Po tych uwagach ogólnych autor przystępuje do projektów, stojących na porządku dziennym sejmu naszego, a tyczących się właśnie reformy wyborczej. Projekty te są: 1) powiększenie liczby posłów miejskich z równoczesnem pomnożeniem głosów wirylnych; 2) zaprowadzenie bezpośrednich wyborów w kuryi gmin wiejskich.

Autor nie jest przeciwny powiększeniu liczby posłów miejskich, występuje tylko przeciw motywom, na których głównie się opierali i opierają inicyatorowie i zwolennicy tej reformy. Motywa te polegają na zestawieniu cyfr, wykazujących wzrost ludności miejskiej i opłacanych przez nią podatków, z cyframi tej samej kategoryi, odnoszącemi się do innych kuryj. Te motywa uważa autor za niedostateczne: „Cóż bowiem znaczy martwa, mechanicznie zestawiona cyfra, gdy się mówi o takim żywym organizmie, jak społeczeństwo?“ Przecież w wyborach do sejmu chodzić tylko może o przysporzenie ciału reprezentacyjnemu tej „statecznej i zdrowej inteligencyi, która ogarnia ogół potrzeb kraju, a przytem liczy się z jego właściwościami i tradycyami“, w cyfrze zaś ludności mieści się także „gromada przybłędów, obcych miastu, żadnym stałym węzłem z niem na przyszłość niepołączonych“. Wreszcie trzeba sobie powiedzieć bez ogródek, że reprezentowanie społeczeństwa przez ludzi bez potrzebnej rozleglejszej wiedzy, „najwięcej przyczynia się do wzrastającego dyskredytowania parlamentaryzmu“.

W sprawie pomnożenia głosów wirylnych chodzi o powołanie do sejmu rektora Politechniki lwowskiej i prezesa Akademii Umiejętności. Autor wierny swemu hasłu: *Tantum possumus, quantum scimus,* stanowczo się przechyla na stronę tego projektu.

W drugiej części „Reformy wyborczej“ autor występuje przeciw bezpośrednim wyborom w kuryi gmin wiejskich. Sprawę tę poruszono w sejmie zeszłego roku w dwóch wnioskach, które nie doczekały się tego parlamentarnego uznania, aby zostały odesłane w pierwszem czy-

taniu do właściwej komisyi. Dr. Łoziński uważał sobie za obowiązek wykazać, że argumentacya wnioskodawców nie była szczęśliwie pomyślaną. Bardzo zajmującą jest obrona dzisiejszego systemu wyborczego wobec zarzutu, jakoby system ten pogwałcał zasadę sprawiedliwości i zasadę równości wobec prawa.

Ponieważ ideałem wspomnianych posłów ma być system powszechnego głosowania, autor wykazuje, do czego głosowanie to doprowadziło we Francyi i w Niemczech, rzecz zaś popiera świadectwami takich powag, jak Paweł Leroy-Beaulieu, J. G. Courcelle Seneuil, Gustaw Rümelin i inni.

Kończy autor swą pracę temiż samemi słowy, od których ją zaczął, słowy pisarza klasycznej ziemi głosowania powszechnego: „Mogą być dobre wybory nawet mimo złej ustawy wyborczej, a złe wybory nawet z najlepszemi ustawami“ [1].

S. K.

Записки Тов. Ім. Шевченка. Частина I. впорядкував Др. Ю. Целевичь. У Львові 1892. (Str. 1 - 212, 8°).

Dziełko to zawiera cztery rozprawy: 1) *Hromaćkij ruch na Wkraini-Rusi w XIII. w.* (M. Sergienka); 2) *Studii nad osnowamy rozkładu bohactwa* (Tadej Rylskij); 3) *Dytynnyj wik T. Szewczenka* (Koniski); 4) *Ukraiński narodni piśni w poezyach B. Zaleskoho* (O. Kołessa).

Powiedzmy najprzód kilka słów o ostatniej rozprawie, gdyż pod wieloma względami należy się jej pierwszeństwo.

Autor oparł swe studyum o Bohdanie Zaleskim na licznych źródłach, tak ruskich jak polskich i rosyjskich, przez co rozprawa, chociaż przedmiotu nie wyczerpuje całkowicie, jednak sumiennie i dość wszechstronnie go przedstawia.

Na wstępie porusza autor pytanie, jaka myśl kierowała licznym owym zastępem polskich literatów, którzy z taką gorącą miłością zwracali się do Ukrainy i w pieśniach swych aż do przesady niekiedy ją idealizowali?

Boże mój, Boże, łzami modlę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę w Niebie [2].

Czy była to, jak mówi Kulisz, Filewicz (Ross.), a także Cybulski [3]: „prosta, li tylko pusta szlachecka zabawka?“ Nie, rzecz była poniekąd bardzo

[1] J. G. Courcelle Seneuil, *La societé moderne.*

[2] Zaleski, „U nas inaczej“.

[3] „Odczyty o poez. pol.“ I, str. 222, 1870.

naturalna. Od połowy wieku XVI. Polacy na Ukrainę nie inaczej patrzyli, jak na integralną część swojej ojczyzny. Wpływ polskiej cywilizacyi niezatartą pieczęcią wycisnął się na ukraińskiej literaturze i mowie, na stosunkach Ukrainy politycznych, socyalnych, ekonomicznych. Dość powiedzieć, że do roku 1862 mieli Polacy na Ukrainie:

W gub. kijowskiej 1.412 majątków (85% całej ziemi),
„ podolskiej 1.194 „ (90% „ „),
„ wołyńskiej 2.887 „ (92% „ „).

Kraj więc był polskim, ziemia polską, a więc i lud ukraiński uważano za polski. Cóż dziwnego, że wśród gorączki, jaka opanowała już w pierwszych dziesiątkach naszego wieku Niemcy, Polskę i inne kraje słowiańskie: aby szukać romantyzmu w pieśniach i podaniach ludu — cóż dziwnego, mówi autor, że wielu poetów polskich, idąc za tym prądem, zwróciło się ku ludowi polskiemu na całym obszarze Polski, a więc i na Ukrainie, zwłaszcza ci, którzy z niej wyszli. Takim był Zaleski. Dla niego więc lud ukraiński był swoim — polskim; jego pieśni, dumy, śpiewy i podania, jego stepy, mogiły, kurhany, jego rycerze i dawni bohaterowie — to wszystko było dla niego swoje, rodzime, polskie. Stąd też i miłość gorąca do ludu ukraińskiego nie była niczem innem, jak miłością własnej ojczyzny.

Po tym wstępie autor mówi o samej treści rozprawy. W szczegółowy rozbiór tej krytyki nie wchodzimy, gdyż rezultat jej mniej więcej taki sam, jak u innych krytyków Zaleskiego. Wiersz za wierszem, pieśń za pieśnią, dumę za dumą przechodząc, wykazuje krytyk, ile Zaleski czerpał i jak czerpał do swej poezyi z pieśni ludowych ukraińskich. Z początku nieśmiało i tylko sama myśl owych pieśni służy Zaleskiemu do poetycznych utworów, następnie widzimy pojedyńcze ustępy lub wiersze dumek ukraińskich w wolnym polskim prześpiewie, a wkrótce potem i całe pieśni występują w poezyach Bohdana, ale jeszcze bez właściwego sobie rytmu, wkońcu i sam rytm narodowy ukraiński przybiera Zaleski do swych poezyj, wiernie go zachowuje i oddaje, z czego powstają najpiękniejsze dumy i dumki czysto ukraińskie w języku polskim.

Autor dokładnie wykazuje pojedyńcze, wyż wspomniane studya talentu Zaleskiego, zatrzymując się z uznaniem szczególnie przy utworach, w których Zaleski starał się oddać całego ducha oryginalnej pieśni ludowej:

... na gody narodowe
W dumie złotej lub piosence

Ruską nutę, polską mowę
Jak dwie siostry, dwie królowe
... wiódł pod ręce.

Nie zawsze jednak szczęśliwie udawało się Zaleskiemu owo przeprowadzenie ruskiej nuty w polskiej mowie, jak to krytyk wykazuje na znanej piosence: *Ne chody Hryciu na weczernyci*, którą Zaleski zbyt niezręcznie oddał w polskim języku:

Nie chodź mój Archory,
Na cudze wieczory i t. d.

Najpiękniejsze też niekiedy w oryginale dumki ukraińskie, pełne naturalnego liryzmu, w prześpiewie Zaleskiego tracą te piękne zalety, a bohaterowie w jego dumach, Kozacy, „są zanadto wymuskani i za salonowi", jak to już i polscy literaci zauważyli.

Jako ujemne strony krytyki można wspomnieć, że autor kilka razy odstępuje od rzeczy (135—138, 144), niekiedy powtarza się, za często odsyła czytelnika do tego, co ma nastąpić; epilog także za słaby. Za to język rozprawy czysty, płynny i dźwięczny. Umyślnie podnosimy w tem miejscu tę zaletę autora, gdyż w innych rozprawach tych zapisków język tak co do jasności, jak co do czystości bardzo wiele pozostawia do życzenia. I tak, już sam tytuł pierwszej rozprawy:

Hromaćkij ruch na Wkraini-Rusi w XIII. w. (Sergijenko) nie wiedzieć właściwie, co ma oznaczać, i dopiero z czytania dowiadujemy się, że autor chce mówić o dążności ruskiego ludu prostego, ażeby od książąt panujących wywalczać sobie różne prawa. Ale czy takie jest znaczenie słów: *hromaćkij ruch?* W ostatnich latach wiele pisano i dziś jeszcze się pisze na temat, ażeby przecież raz ustalić nietylko pisownię języka ruskiego, ale także, ażeby przyjąć jakieś jedno narzecze, któreby dla całej Ukrainy-Rusi służyło za język literacki; jednak do pozytywnego rezultatu jeszcze nie przyszło. Dziś, z wielką szkodą dla ruskiej literatury, z powodu niepewności, jak pisać i w jakiem narzeczu, niejednemu literatowi wysuwają się z pod pióra tak niezręcznie i dziwacznie ukute słowa, tak spaczone deklinacye, konjugacye, takie samowolne tworzenie składni, że nawet dobrze znającemu język ruski, z trudnością przychodzi zrozumieć podobną gadaninę. Dla przykładu wypiszę jedno lub drugie tego rodzaju zdanie: *Takim pobutom pry izolowanosty indiwidualistycznoho stimułu istnuwannia ekonomicznoi obaczności w obmeżowanych hranyciach czasu, punkt riwnowahy w stosunku do kapitału i praci bude toj, w jakomu ricznyj zysk zminnoho kapitału riwniaty met'sia wartosty toho kapitału, rozdiłenoi na take czysło, szczo riw-*

niajet sia czysłu lit, szczo obijmaje ekonomiczna obacznist (str. 65). Wątpię, czy wielu będzie takich, którzyby to zrozumieli. Albo: *produkcyja mensze wdowolniaje... nachyłu (!) serednioho czołowika* (str. 71). Co to za *nachyła serednioho czołowika?!* A takich słów, jak: *naucpaki, stimuł, nasiakaje, spirki, zapowziaćtwo, zdobrinie, sadinie, wysoczili, snaha, kebeta, chyst, rob...* bez liku, jak kamyków w górskim potoku. Niezadługo chyba będziemy musieli robić preparacyę do takich płodów literackich — ale z jakich słowników?

Sama rzecz *hromaćkoho ruchu* niewiele nas oświeca o stosunkach socyalnych ludu ruskiego z XIII. wieku. Sam autor przyznaje się, że o tym *hromaćkim ruchu treba bilsz hadaty aniż konstatowaty* (str. 13). Prawdopodobnie z takiego *hadania* wyszło to, żadnym, choćby najmniejszym dowodem nie poparte zdanie, że przywołanie na Ruś książąt z rodu Warjaho-Rusi jest „wymysłem Nestora“ (str. 2).

Trzecia rozprawa: *Studii nad osnowamy rozkładu bohactwa*, pióra p. Rylskiego, niejasnością języka przewyższa jeszcze *Hromaćkij ruch*. A nadto oprócz tej strony formalnej, nie możemy nie zwrócić uwagi na niektóre błędy, lub przynajmniej niedokładności rzeczowe. Tak na str. 39, mówi autor: „normy ekonomicznego życia (ekonomiczne u autora znaczy bardzo często wogóle: społeczne) nie mają w sobie nic absolutnego“. Że autor zdanie to stawia jako właśnie całkiem absolutne, pokazuje się z całej rozprawy, w której dość jasno przebija się myśl autora, jakoby zasady czyli normy życia społecznego miały tylko wartość względną, czasową, przejściową, różnym podległą zmianom i ewolucyom, jak je pojmuje filozofia materyalistyczna. Dopatrzyć nawet można, zdaje mi się, samego źródła, z którego autor wziął powyższe zdanie. Oto często powołuje się on w swej rozprawie na Marxa. Wiadomą zaś jest rzeczą, jakiej to filozofii użył Marx za podścielisko do swych dzieł: czystej krwi materyalizm ujęty w metodę Hegla i zastosowany do socyologii — oto filozofia Marxa. Jak u Hegla w rzeczywistości niema bytu tylko ciągłe stawanie się, tak i u Marxa — z tą jednak różnicą, że u Hegla stawanie się jest odmianą idei, u Marxa odmianą materyi; absolutnej prawdy niema żadnej. Sądząc więc z tego częstego zastawiania się powagą Marxa, może nie pomylimy się, wnioskując, że i powyższe, wielkiej doniosłości zdanie, przyswoił sobie autor z zasadniczych pojęć materyalistycznej filozofii Marxa.

Drugim filozoficznym błędem jest twierdzenie (strona 39): „że wszystko, cokolwiek wiemy, wiemy nie inaczej, jak na podstawie indukcyi“. Gdyby szanowny autor był spytał chociażby siebie samego,

czy wszystko co wie, wie tylko na podstawie indukcyi, pewnie byłby owo zdanie z gruntu zreformował. Z teoryą wartości, którą autor podaje na str. 50 i 94, też nie we wszystkiem można się zgodzić. O tem jednak, a również i o tem, jak autor pojmuje własność prywatną, może innym razem powiemy, kiedy się ukaże druga część rozprawy. *Ks. Pl.*

Niebo. *Kamil Flammarion.* Przekład z francuskiego *d-ra M. Stefanowskiej.* Warszawa 1892. Gebethner i Wolff.

Pisać dobrze popularnie jest o wiele trudniej niż pisać specyalne rzeczy. Trzeba bowiem pisać nietylko naukowo, ale przytem pięknie, zrozumiale i przystępnie, z szerszym poglądem na świat i życie, a nie jednostronnie i fachowo. Flammarion należy do nie najgorszych popularyzatorów. Wybór zatem nie wypadł, jak to bywa w tego rodzaju wydawnictwach warszawskich, zupełnie źle.

W książeczce tej mamy zebrane pierwsze wiadomości z astronomii popularnej. Zakres materyału nie jest ani zanadto szczupły, ani za obszerny, popularność za to nie najlepiej trafiona. Uderzyły nas przy czytaniu tej książeczki: czasem powierzchowność pewna i niedokładność, nieraz bujanie fantazyi nie mające nic wspólnego z nastrojem poetycznym, niekiedy za wiele gadaniny o rzeczach znanych powszechnie i czytelnikom mało wykształconym, a przedewszystkiem brak poważniejszych myśli. Czyż astronomia nie nastręcza na każdym niemal kroku pełno myśli podniosłych, nastrajających uroczyście umysł człowieka? Weźmy choćby przedostatni rozdział z tej książeczki: „wspaniałość niebios". Czy znajdziemy tam choć jednę myśl z tych, jakiemi widok nieba gwiaździstego napawał takich Kopernika, Kepplerów, Newtonów? Nic tam niema z tego — kilka tylko bardzo jałowych myśli pod koniec rozdziału. Przecież w dziełku popularnem więcej wolno powiedzieć.

Ostatni rozdział: „hipotezy kosmogoniczne", jest już zupełną własnością d-ra M. Stefanowskiej — jest też może najsłabszy. Kto nie zna skądinąd teoryi Kanta-Laplace'a, ten z tego rozdziału dobrego pojęcia o niej nie nabierze. Zauważyć również trzeba, że zdaniem p. S. „ewolucya w biologii jest faktem dowiedzionym". Dodamy do tego to tylko, że nie wypada przedstawiać zdań subjektywnych jako pewnych wyników nauki, zwłaszcza w dziełach popularnych, bo to znaczy nie pouczać, ale w błąd wprowadzać. *J. N.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Elementarstructur und das Wachsthum der lebenden Substanz. Von *Dr. Julius Wiesner*. (8⁰, p. 284). Wien 1892. (Alfred Hölder).

Szczegółowe specyalizowanie stanowi wybitną cechę dzisiejszych badań przyrodniczych. Jest to ich dobrą stroną i wadą zarazem. Wprawdzie ustrój przyrody tem jest doskonalszy, im bardziej wyróżnione posiada narządy, atoli to wyróżnienie organów nie pociąga za sobą rozdziału zupełnego składowych części, owszem łączy się z niem normalnie ściślejsza i doskonalsza jedność ustroju; tymczasem z wyspecyalizowaniem badań idzie w parze pewna nieciągłość, rozdział jakiś, brak całości i ogólnego poglądu. I nie dziw, rzecz to zupełnie naturalna i niedoskonałości umysłu naszego właściwa. Stąd niemałą usługę wyświadczy nauce, kto od czasu do czasu zrobi przegląd niejako ważniejszych i główniejszych badań, ich prądów i kierunków, zbierze je w jakąś syntezę ogólniejszą i zleje w jednę całość, któraby mogła posłużyć do różnych, nieraz wysoce ważnych i daleko idących teoretycznych dedukcyj. Wie się natenczas przynajmniej, dokąd się zaszło i doszło, co się już zrobiło a co jeszcze do zrobienia zostaje.

Wielki krok czyni w tej mierze książka prof. Wiesnera. Dzieło to napisane dosyć przystępnie, omawia bardzo doniosłą kwestyę budowy elementarnej i wzrostu żywiny (istoty żyjącej), uwzględniając ile możności najrozmaitsze prace detaliczne wielu przyrodników. Przyczynek to niemałej wagi do filozofii przyrody, a zwłaszcza do filozofii życia roślinnego.

Punkt zaczepienia niejako stanowi hipoteza „micelarna“ Nägeli'ego. Przyjmowano mianowicie dotychczas powszechnie, głównie ze strony botaników, za Nägelim, że żywiny zbudowane są z cząstek nieprzesiąkliwych, przyciągających bardzo wodę do siebie. Cząstki te Nägeli uważał początkowo za proste drobiny, później za grupy drobin i nazwał je m i c e l a m i. Każda taka micela posiada osłonę wodną, której wielkość jest różna, wedle tego, jakim wielościanem jest sama micela. Przyjęcie to tłumaczyło a raczej zgadzało się ze zjawiskami przesiąkliwości i nabrzmiewania plazmy. Następnie Nägeli przyjmuje wzrost żywiny przez intussuscepcyę; a tłumaczy go w ten sposób, że każda micela rośnie podobnie jak kryształ przez apozycyę, między zaś istniejącemi micelami powstają nowe, które się otaczają stosownie

do swego kształtu i wielkości osłoną wodną. Powstawanie to nowych micel nie jest normalnie zależne od substancyi uorganizowanej, jest tylko prostem wydzielaniem płynu międzymicelarnego; ostatecznie więc cały proces wzrostu jest do pewnego stopnia jakby rodzajem jakiejś krystalizacyi. W teoryi tej tłumaczyło się wszystko molekularnie; botanicy, jak słusznie uważa Wiesner, posługiwali się częściej i bardziej drobinami w badaniach zjawisk życiowych, niż fizycy w zjawiskach fizycznych. Wiesner widzi w tym sposobie pojmowania rzeczy największą tamę dla nauki o budowie wewnętrznej żywiny, twierdząc zupełnie słusznie, że drogą jedynie do tego celu prowadzącą jest postępowanie *a posteriori*, tj. wnoszenie ze znanych zjawisk ustrojowych o głębszej strukturze.

Pierwszem i zasadniczem zjawiskiem życiowem jest dzielenie się. Wyrazem tego jest stara już dosyć zasada: *omne vivens ex ovo*, i nowsza Virchova: *omnis cellula ex cellula*, i bardzo niedawna: *omnis nucleus ex nucleo*. Lecz czy koniec na tem? Badania przyrodnicze postępują raźno, a coraz nowsze doświadczenia przekonywają nas, że i w samych ustrojach niema samorodztwa, że żadne cząstki w ich wnętrzu nie powstają samorodnie. Stąd Wiesner czuje się upoważnionym do postawienia ogólniejszej od poprzednich zasady: że wszystko co jest uorganizowane powstaje bezpośrednio z już uorganizowanego. I ta zasada jest punktem wyjścia rozważań Wiesnera. W rzeczy samej, z rozlicznych spostrzeżeń wynika, że nietylko komórki lub jądra powstają przez podział, lecz że tak samo ciałka zieleni z innemi chromatoforami, a nadto drobniejsze jeszcze ziarenka tak zwane plastydy, ulegają procesowi dzielenia.

Nasuwa się tu mimowoli pytanie, jak daleko sięga dzielenie się żywiny? Wiesner wychodzi od ostatnich cząstek dzielenia; przypuszcza mianowicie, że poza wyróżnionemi i widocznemi częściami, jakie spotykamy w komórkach bądź to roślinnych bądź też zwierzęcych, znajduje się jakiś element wspólny, jakaś jednostka żywotna. Ów prosty niejako składnik ciała żywiny, ale sam jeszcze żyjący, nazywa Wiesner p l a s o m e m. Plasomy więc są prawdziwie elementarnemi organami żywin, mogą nietylko asymilować, rosnąć, dzielić się, ale nadto posiadają zdolność łączenia się w wyższe jedności, podobnie jak komórki pierwotnie odosobnione mogą się zespalać w tkanki. I błona komórkowa i plazma i jądro składają się z takich plasomów. Niema wprawdzie na to dowodów bezpośrednich, jest za to wiele faktów, wiele spostrzeżeń, uwzględnionych skrupulatnie przez Wiesnera, które wykazują naj-

wyraźniej bardzo zawiłą budowę, czy to protoplazmy samej czy jądra komórki. Tak więc komórka i wszystkie jej części składowe, są agregatami plasomów, ale stosunek plasomów do komórki jest taki, jak komórki do całych tkanek i narządów.

Najciekawszy jest rozdział o wzroście żywiny. Rozjaśnia się w nim lepiej hipoteza plasomów i poruszonych jest gruntownie wiele kwestyj ogólniejszych.

Główny nacisk kładzie Wiesner na to, aby nie mieszać wzrostu w szerszem znaczeniu, który i w ciałach nieorganicznych zachodzi z wzrostem właściwym samym ustrojom. Jaka więc zachodzi różnica między wzrostem organicznym a nieorganicznym? Jeden i drugi polega ostatecznie na przybieraniu materyi — i co do tego punktu niema między niemi różnicy; tu i tam siły drobinowe, fizyczne i chemiczne, są bezpośredniemi przyczynami tego procesu; nadto ściśle rzecz biorąc, w obu wzrostach zachodzić może tak apozycya jak intussuscepcya. Mimo to jednak jest między jednym a drugim zasadnicza różnica. Albowiem podczas gdy wzrost nieorganiczny kończy się w całości na przybieraniu materyi, wzrost organiczny posiada bardzo wiele osobliwych własności, które stanowią jego różnice i cechy istotne. Wymieniamy niektóre.

Ciało nieorganiczne rośnie nieograniczenie dalej, jeśli warunki pozostają zupełnie te same; wzrost organiczny ograniczony jest całkowicie czasem i przestrzenią, choćby się dopełniło wszelkich warunków do wzrostu potrzebnych. Stąd we wzroście nieorganicznym niema żadnej rytmiczności, ale ciągła jednostajność, podczas gdy wzrost żywin postępuje zwolna do pewnej największości i od niej spada bez przerwy aż do wartości zera.

Kryształ otrzymuje materyę na przyrost swój wprost z zewnątrz w stanie już gotowym; żywina pokarm swój musi asymilować i zasymilowany dopiero wciela w swoją substancyę.

Kryształ wytwarza się z jakiegoś roztworu, roztopu, par, słowem kryształ powstaje; żywina może rosnąć jedynie przez rozwój danego organicznego założenia, wzrost organiczny jest zawsze dalszym ciągiem już istniejącej organizacyi.

Słusznie zatem Wiesner nazywa wzrost żywinom właściwy e w o l u c y j n y m, na który się składa cały szereg i suma zjawisk rozmaitych. Wzrost organiczny jest p r a w d z i w y m r o z w o j e m, procesem, jakiemu nic odpowiedniego w ciałach nieżywotnych nie znajdujemy.

Jakie są główne czynniki tego wzrostu ewolucyjnego? Kto pragnie dokładniej zapoznać się z tą rzeczą, niech zajrzy do samego Wiesnera. Podajemy tylko najgłówniejsze, opuszczając ich rozprowadzenie i bardzo różne modyfikacye. Za takie Wiesner uważa następujące: 1) apozycyę komórkową, 2) intussuscepcyę komórkową, 3) wyróżnienie pewnych partyj plazmy, aby przeciągnąć wzrost błony komórkowej, 4) zrastanie komórek albo części komórkowych w celu przydłużenia wzrostu. Ostatecznie jednak wszystkie widoczne części komórki i narządy żywin rosną podług teoryi Wiesnera wskutek ciągłego dzielenia się plasomów, plasom zaś sam zwiększa masę swoją jedynie przez wzrost właściwy. Wzrost ten plasomu jest procesem nadzwyczaj zawikłanym i nie mamy nań innego wyrażenia, jak „organizowanie".

Tak więc badania najnowsze, których wyrazem jest do pewnego stopnia teorya Wiesnera, dochodzą do tego samego wniosku, jaki zdrowy rozsądek ludzki od dawna uznawał, do zaprzeczenia pomostu między materyą nieżywotną a żywinami.

Wprawdzie umysł ludzki z natury swej tak jest ustrojony, że wszystko w sobie do pewnego stopnia jednoczy, zespala i brata, że najróżnorodniejsze żywioły do wspólnego mianownika sprowadza; co więcej, odkąd idea ewolucyi stała się nicią przewodnią, punktem wyjścia a często i celem badania przyrodniczego, uganianie owo za jednością posunęło się do ostateczności, rzucono się na zapełnianie wszelkich przepaści między królestwami, typami i t. p., zaczęto szukać bezprzerwnej ciągłości w łańcuchu istot przyrody; z filozoficzną miną powtarzano sobie: *natura non facit saltus,* — tymczasem w rzeczywistości owa jedność, jakiej nasz umysł szuka, to tylko jedność logiczna; w naturze samej, takiej jedności, takiego monizmu nigdzie nie znajdujemy, na każdym kroku spotykamy różne twory, różne osobniki. Jest jeszcze jedna jedność, jedność realna, którą prawdziwa nauka zawsze suponuje i suponować musi, a do której nauka rzekoma przyznać się nie chce — jedność przyczynowa, podstawa wszech rzeczy, Przyczyna ostatnia, *respective* pierwsza.

Niedawne rojenia młodzieńcze zaczynają się już dzisiaj szronem okrywać, nauka poczyna się z nich otrząsać, a za dowód tego otrzeźwienia w nauce, może posłużyć książka Wiesnera. Zimna i trzeźwa nauka nie może nie uznać przepaści tam, gdzie przepaść jest i z natury rzeczy być musi.

Może niektóre fakty, na których się Wiesner opiera, okażą się z czasem niezupełnie zgodne z rzeczywistością, jak tego przykład

mamy na jądrach komórek drożdżowych [1] — może nazwa owego elementarnego ustroju nie przyjmie się, a bardziej będą podobać się „pangeny“ Vries'a, albo „biofory“ Weismann'a: jądro jednak rzeczy najprawdopodobniej utrzyma się, a badania przyszłe przyczynią się tylko do wyjaśnienia i dokładniejszych aplikacyj idei Wiesnera.

J. Nuckowski.

St. Joseph. Dargestellt nach der heiligen Schrift. Akademische Vorträge. Von *Dr. Joseph Schindler*, Professor der Theologie in Leitmeritz. Freiburg im Breisgau 1893. Herder'sche Verlagshandlung. (XVI, 125. 16^0).

Kaznodzieja znajdzie w tem dziełku bogatą i poważną treść do nauk o św. Józefie. Wybrał ją autor z tych źródeł, do których nie każdy ma dostęp: z licznych dzieł egzegetów i Ojców Kościoła; nie odrzucił świadectw, przekazanych w dziełach ascetów, ale przytacza tylko słowa najznakomitszych nauczycieli życia wewnętrznego. W ten sposób uniknął zarzutu, że opiera cześć św. Józefa na domysłach teologicznych, albo na pobożnych mniemaniach. Umiejętny wykład tych miejsc z Ewangelii, które o św. Józefie wspominają, może służyć nietylko dla kaznodziei ale także dla egzegety za wzór, jak można odkrywać cenne prawdy w Piśmie świętem, jeżeli badamy je w świetle tradycyi. Encyklika Leona XIII., przed czterema laty wydana: *Quamquam pluries*, przewodniczyła autorowi na jego drodze egzegetycznej.

Pięć rozdziałów objęło jędrnie bogatą treść. Pierwszy, pod napisem: św. Józef z Nazaretu, syn Dawidów i cieśla, przedstawia tło dziejowe, na którem występuje święty Opiekun rzemieślników. Trzy następne: św. Józef dziewica, Oblubieniec Maryi, św. Józef Ojciec Jezusa Chrystusa, św. Józef Głowa Przenajświętszej Rodziny, rozwijają dogmatyczne prawdy. Ostatni: nadzwyczajna wielkość cnót św. Józefa, dostarcza najobfitszej osnowy do nauk moralnych i ascetycznych.

[1] Cfr. *Über den Zellkern und die Sporen der Hefe*, von Dr. H. Moeller. (W *Centralblatt für Bacteriologie u. Parasitenkunde.* 1892. Nr. 16).

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Niemieckie wybory. — Mowy le Say'a i Constansa. — Walka z socyalizmem. — Socyalistyczny skandal w Bernie. — Pielgrzymki jubileuszowe.

NIEMIECKIE WYBORY.

Trochę trudne jest położenie piszącego te słowa, bo ma dopiero przed sobą przygotowania, prognostyki, a kiedy czytelnicy wezmą do ręki *Przegląd*, już będzie po wojnie. Jednakowoż obecna chwila kotłowania jest też w wysokim stopniu interesująca i warto zeszkicować ją w kilku słowach.

Nietylko w Niemczech, nietylko w katolickich kołach, ale w świecie całym zwrócone są dziś oczy wszystkich na wybory do berlińskiego parlamentu. Słychać wszędzie z niepokojem powtarzane pytania: „Co wybory te nam przyniosą? — czy *Centrum* utrzymać się zdoła przy dotychczasowej sile i znaczeniu? — czy i jakie nastąpić będzie musiało nowe ugrupowanie stronnictw i interesów?“ Pytania to niezmiernej wagi; z dniem każdym, wśród rosnącego chaosu sprzecznych manifestów, agitacyj i rewelacyj, do rozwiązania trudniejsze. Manifest wyborczy, wydany przez zarząd stronnictwa *Centrum*, powtarza — nieco może za obszernie — znany program katolików niemieckich; tłumaczy, dlaczego posłowie katoliccy, mając wzgląd na ekonomiczne wycieńczenie ludności, nie mogli zgodzić się na wniosek wojskowy Capriviego, równie jak na wniosek Huenego;

wreszcie przypomina, jak znaczne jeszcze zabytki z walki kulturnej pozostały, jak koniecznym jest obowiązkiem każdego prawdziwego katolika dążyć wszelkiemi siłami do ich usunięcia.

„Przedewszystkiem — czytamy w manifeście — zniesionem być musi wyjątkowe prawo przeciw Jezuitom i zakonom wrzekomo z nimi spokrewnionym. Zrezygnowaliśmy w swoim czasie z obrad nad tym wnioskiem, aby nie utrudniać Zedlitzowi przeprowadzenia przedłożonego przezeń projektu do nowego prawa szkolnego; następnie rozwiązanie parlamentu znowu obrady nad nim powstrzymało; obecnie w najkrótszym czasie przyjść wreszcie do obrad tych musi i żadne polityczne względy od tego powstrzymać nas nie zdołają. Nie przestaniemy o prawo to nasze się upominać, a upominać tak długo, dopóki parlament i rządy związkowe nie zrozumieją wespół z nami, że rozstrzygającą rolę grać tu powinny nie wyznaniowe jakieś przesądy i niechęci, ale oparte na konstytucyi prawo wolności religijnej, ale fundamentalne prawo, jakie każdy ma do swej ojczyzny; dopóki zrozumieć nie zechcą, że po zniesieniu praw wyjątkowych, skierowanych przeciw socyalnej demokracyi, tem bardziej razić i rozgoryczać musi utrzymanie praw przeciw zakonnikom i zakonnicom".

Na ten punkt manifestu, podobnie jak na następny, odnoszący się do zwalczania wszelkiemi siłami rosnącego jak na drożdżach socyalizmu, zgodzili się bez zastrzeżeń wszyscy dawni członkowie *Centrum*. Niesnaski, które niestety! nie zmniejszają się z dnia na dzień, ale raczej zwiększają, obracają się na razie głównie około popieranych przez rząd projektów wojskowych, choć niektórzy z dysydentów wciągnęli już w ich zakres i inne, z dawna leżące sobie na sercu, wobec powagi Windthorsta nie śmiejące dotąd na światło dzienne wyjrzeć, kwestye i kwestyjki. Szlązcy posłowie: hr. Ballestrem, br. Huene, dr. Porsch i inni cofnęli się lojalnie, a nie mogąc pogodzić swych przekonań z przekonaniami i karnością swego stronnictwa, oświadczyli, że kandydatury do parlamentu nie przyjmą. Natomiast najgorzej bruździ i mąci br. von Schorlemer-Alst, z którym, jak opowiadają, miał już Windthorst niejednę ciężką i niemiłą przeprawę. Na przedwyborczem zebraniu w Monasterze, oświadczył się

Schorlemer, w imię jakoby niedość troskliwie bronionych interesów rolniczych, wręcz przeciw programowi i przeciw kandydatowi postawionemu przez zarząd partyi. W kilka dni później wystąpił z obszernem, rozesłanem do gazet oświadczeniem, w którem kruszy kopię za wnioskiem wojskowym wedle formułki podanej przez Huenego. Wespół z ojcem agitują w mowach i broszurach dwaj jego synowie: Klemens i Hubert; co gorsza i dziwniejsza, pierwszy z nich walczy w Metzu, stojąc na czele liberalnych i konserwatywnych szeregów, przeciw katolickiemu kandydatowi. Smutnych tych laurów pozazdrościł Schorlemerom hr. Franciszek Matuschka, i oświadczył za pośrednictwem konserwatywno-protestanckiej *Kreuzzeitung,* że zrywa stanowczo z *Centrum,* „przekształcającem się zwolna w demokratyczno-opozycyjne stronnictwo". Nadomiar zamieszania, parę szląskich okręgów z o wiele przeważającą ludnością polską, które dotąd głosowały zgodnie za naznaczonym sobie katolickim kandydatem niemieckim, zażądały obecnie kandydata Polaka i rozwinęły w tym kierunku agitacyę na bardzo szeroką skalę. Bodajby przynajmniej, wśród wszystkich tych walk i waśni, nie wyszli najlepiej wspólni nieprzyjaciele katolickich Niemców i Polaków, konserwatystów i liberałów, dziś już z przyszłych niezawodnych tryumfów głośno przechwalający się socyaliści!

MOWY LE SAY'A I CONSTANSA.

Ciężkie chwile przyszły, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa cięższe jeszcze chwile i przejścia czekają niemieckich katolików. Zapewne, w krytycznych takich epokach łatwiej mówić o konieczności niezrażania się i wytrwania na raz zajętem stanowisku, niż zasady te w czyn wprowadzać; wszakże, jeżeli co dodać może sił i ufności wystawionym na, bądź co bądź, twardą próbę przywódcom, to przesuwająca się przed ich oczami w ostatnich latach i miesiącach historya wepchniętej przez Leona XIII. na zupełnie nowe tory, katolickiej akcyi w sąsiedniej Francyi. Ileż razy już odzywały się głosy, ileż razy zdawało się rzeczywiście, że program przedłożony przez Papieża doprowadzi może do rozbicia w atomy dawnego legitymistycznego stronnictwa, ale sprawie katolickiej pomódz nie

zdoła, dobrze jeśli stanowczo jej nie zaszkodzi. Tak zdawać się mogło, bo istotnie równie rząd, lub, jeśli kto woli, rządząca we Francyi sekta, jak i skrajne żywioły monarchistycznych partyj, robiły co mogły, aby udaremnić papieskie usiłowania. Na szczęście, ani Papież ani rosnąca z dniem każdym garstka, która koło papieskiego programu się skupiła, nie dała niczem zrazić się lub odstraszyć, a dziś — w chwili zbliżających się wyborów — może z zadowoleniem sobie powiedzieć: „Nie jesteśmy bez znaczenia i siły, kiedy tak wszyscy na nas się oglądają, tak się nami zajmują i dbają o nasze łaski". Bardzo charakterystycznym symptomatem w tym kierunku są zwłaszcza dwie mowy, zajmujące dziś na pierwszym planie uwagę całej Francyi: Leona Say w Paryżu i Constansa w Tuluzie. Pierwszy zwrócił się w bardzo stanowczych wyrazach przeciw arcy-nierepublikańskiej nietolerancyi, zamykającej szczelnie i zazdrośnie bramy rzeczypospolitej dla chcących do niej wnijść dawnych przeciwników.

„Jakiem prawem — pytał mowca — moglibyśmy ich od siebie odpędzić?... Czy nie narazilibyśmy się w takim razie na usłyszenie aż zbyt słusznego pytania: ‚więc ostatecznie dla kogóż założyliście rzeczpospolitą? Sądziliśmy dotąd, że dla Francyi; tymczasem czyż istotnie założyliście ją jedynie dla siebie samych?'... Starzy republikanie mają nadto jeszcze jednę, bardzo oryginalną pretensyę. Tak u nas wszystko przesiąkło pedagogią, że chcieliby zmusić młodych do składania przed sobą egzaminów, do otrzymywania ze swych rąk republikańskich stopni. Oni, i oni wyłącznie mają mieć prawo stopnie te rozdzielać. Maluczko, a rzeczpospolita przemieni się w religię — oczywiście zlaicyzowaną — i każdy z jej stronników będzie się musiał wykazać kartką od spowiedzi".

Donioślejsze mają znaczenie i o wiele większe wrażenie i wrzawę wywołały słowa Constansa na bankiecie w Tuluzie; wrzawę tem większą, że chwilowo niepopularny zwycięzca „bulanżyzmu" uważany jest jednak powszechnie za jedynego może męża stanu, na którego energię i polityczny rozum może Francya w trudniejszych okolicznościach rachować. Constans długi czas przypatrywał się w cichości i z daleka powstającym i upa-

dającym — jak na teatrze maryonetek — ministeryom; przypatrywał się i, aby użyć słów jednego z paryskich dzienników, ręce sobie zacierał, widząc jak najzaciętsi jego rywale i wrogowie wzajemnie sami siebie zjadają, niezaradnością swą i słabością budzą tęsknotę za silniejszym rządem, a tak wbrew woli swej i chęci drogę mu torują. Obecnie, uznał widocznie, że teren dość już przygotowany; zrozumiał, jak ważna rola przypaść musi w udziale świeżo utworzonej katolicko-republikańskiej partyi i postanowił na partyi tej do pewnego stopnia się oprzeć. Pierwszym owocem tego planu, trudno nie przyznać że sprytnie obmyślanego, jest właśnie mowa tuluzka. Pełno w niej jeszcze zastrzeżeń, omówień, niedość wyraźnych zwrotów; bo istotnie niemałej trzeba było dozy dyplomacyi, aby zyskując nowych zwolenników, dawnych nie zrazić; głosząc zasady tolerancyi, nie narazić się na podejrzenie o przeniewierzenie się republikańskim tradycyom. Rzuciwszy kilka ogólnych uwag o potrzebie porządku z jednej strony, tolerancyi z drugiej, Constans tak dalej wyłuszczał swe idee:

„Przez długie lata katolicy, mieszając religię z polityką, walczyli przeciwko nam; przez długie lata potykać musieliśmy się z katolikami, choć zawsze umieliśmy uszanować umowę, zowiącą się konkordatem. Dzisiaj katolicy, posłuszni rozkazowi wydanemu przez Głowę Kościoła katolickiego, oświadczają, że zaprzestają nieprzyjacielskich kroków. Chętnie staniemy z nimi na nowym tym terenie, bo żadnego nie mamy interesu w utrzymywaniu niezgody między dziećmi jednej ojczyzny.

„Nie łudźmy się jednak, nie oszukujmy się sami! Kiedy republikanin — chodzi mi o to, aby jasno i szczerze to powiedzieć — omawia kwestyę pokoju religijnego, to myśleć on nie może o jakiemś cofnięciu się wstecz, o naruszeniu choćby jednego punktu z całości praw naszych demokratycznych..., zachować chcemy całe dziedzictwo nasze, bez ujmy, bez szczerby; jak również nie chcemy naruszać czyjejbądź wolności. Niechaj każdy obywatel, jeżeli jest katolikiem, może iść swobodnie na Mszę; iść na kazanie, jeśli jest protestantem; do synagogi, jeżeli jest Żydem. To są wszystko sprawy obchodzące sumienie a nie państwo...

„Dawnym przeciwnikom nie poruczymy straży nad rzeczą-pospolitą; ale przyjmiemy ich, ponieważ nie mamy ani prawa, ani środków, aby bramy im zamknąć; ponieważ zniósłszy wszystkie przywileje, nie wypada nam ich obecnie wskrzeszać na naszą korzyść; ponieważ wreszcie w ten jedynie sposób stronnictwo republikańskie nie zerwie ze swemi zasadami i ze swoją przeszłością“...

Prasa oportunistyczna przyjęła ten program okrzykami radości; radykalna zrozumiała w lot, że istotne połączenie się wszystkich żywiołów konserwatywnych byłoby otwartym grobem dla jej zasad i dążeń, i rzuciła się zjadliwie na tuluzkiego mowcę; wreszcie prasa katolicka, czyniąc naturalnie niezbędne i konieczne zastrzeżenia, zgodziła się, że słowa Constansa otwierają nowe, pomyślniejsze horyzonty, i powitała je z uznaniem. Bądź co bądź, i na to godzą się wszyscy, mowa ta „pełna — jak słusznie charakteryzuje ją *le Monde* — obietnic na prawo, obietnic na lewo“, ułożona jest zgrabnie i z należytem zrozumieniem obecnej sytuacyi. To samo, że czerwoni radykali tak gwałtownie przeciw niej się oświadczają, najlepszem jest poleceniem Constansa i jego programu, dla drżącego na myśl o jakichś socyalistyczno-anarchistycznych burzach i przewrotach ogółu Francuzów.

WALKA Z SOCYALIZMEM.

Socyalistyczne prądy, nurtujące od dawna, tem niebezpieczniej, że po cichu i w ukryciu, wydobywają się obecnie w całej niemal zachodniej Europie wszelkiemi porami na jaw, zmuszając do zastanowienia się, skąd i dlaczego burza ta idzie, jakie jej przyczyny, jak, jakiemi sposobami możnaby przyczyny te usunąć, burzę zażegnać? Niebezpieczeństwo wszyscy widzą i głośno się na nie uskarżają; do walki, do obrony biorą się jedynie katolicy, a przynajmniej ludzie przejęci szczerze ideami chrześcijańskiemi, bo rzeczywiście w imię tylko tych idei, w imię zasad przez Chrystusa głoszonych, można do boju tego iść i zwycięstwa się spodziewać. We Francyi ruch socyalno-katolicki, nie od dziś tutaj krzewiący się, coraz bardziej rozwija się i stawia pewną przynajmniej tamę socyalistycznym zapędom. Kilku uczonych i energicznych księży przebiega Francyę wzdłuż

i wszerz, urządzając po znaczniejszych miastach konferencye i odczyty o kwestyi socyalnej, dysputując zwycięsko z socyalistycznymi przewódcami. Zbawienniejsze jeszcze, bo trwalsze owoce, przynoszą rozsypane po całym kraju „robotnicze kółka katolickie“. Szóstego czerwca zebrali się członkowie „kółek“ w Paryżu na ogólny wiec, poświęcony wyłącznie kwestyi socyalnej. Jeden z zaproszonych uczestników, p. Verghaegen, redaktor dziennika „Lud Gandawski“, nakreślił nader ciekawy obraz socyalistycznej propagandy we Flandryi belgijskiej, bojów z socyalistami staczanych, obraz pełen praktycznych nauk, ważnych podobno i dla nas spostrzeżeń:

„Długo, zbyt długo — opowiadał mowca — uchodzili socyaliści w Gandawie za jedynie uprzywilejowanych obrońców klasy robotniczej; założyli osobny dziennik, krytykowali bez miłosierdzia istniejące urządzenia, stawiali pod pręgierz prawdziwe i nieprawdziwe nadużycia; zakładali stowarzyszenia, przynoszące istotnie robotnikowi materyalną pomoc i korzyść. A katolicy tymczasem cóż robili? Organizowali bractwa, czy towarzystwa, wyborne same w sobie, ale które miały przedewszystkiem cechę patronatów i szkoły absolutnej rezygnacyi; lękali się robotniczych spółek, mogących wzbudzić niezadowolenie między kilku bogatymi kupcami; utrzymywali dziennik, karmiący swych czytelników jedynie codzienną kroniką... Nadeszło prawo z 1887 r., ustanawiające przemysłowe i robotnicze rady; przy wyborach do nich socyaliści otrzymali 6500 głosów, a antysocyaliści tylko 2500. Była to klęska, ale ta klęska otworzyła na szczęście oczy katolikom. Niezadługo potem odbył się kongres w Liège; założono w Gandawie dziennik *Hel Volk;* utworzono na szerokie rozmiary zakrojone stowarzyszenie robotnicze, do którego wstęp wolnym był dla wszystkich, z wyjątkiem socyalistów. Skutki czynnej tej propagandy nie dały długo na siebie czekać; przy ostatnich wyborach do rady przemysłowej i robotniczej, antysocyaliści zyskali 1600 głosów więcej, niż przed trzema latami“.

Czy nie najwyższy czas, aby podobną, jeśli można bardziej jeszcze energiczną akcyę, rozwinąć nietylko w Gandawie, nietylko w Paryżu, ale wogóle wszędzie, gdzie socyalizm rzucił już

zgubne swe nasiona i głosi nienawiść ku wierze, ojczyźnie, wypowiada wojnę wszelkiej powadze, wszelkiemu społecznemu porządkowi? Do ostatnich czasów ukrywał się on niekiedy pod maską umiarkowania, oburzał się, gdy kto jego zwolenników piętnował nazwą anarchistów; obecnie, gdziekolwiek w siły nieco wzrośnie, maskę tę zrzuca, a najdosadniejszym, bardzo często jedynym argumentem, którym dowodzi i szerzy swe teorye, zaczynają być dzikie, pijane wrzaski, poparte pięściami i kijami. Tej metody używali już od dawna socyaliści francuscy; spróbowali jej niedawno temu krakowscy „towarzysze“ na zgromadzeniu katolickiego stowarzyszenia „Praca“; ćwiczą się w niej socyaliści poznańscy, zrywając jedno po drugiem przedwyborcze zgromadzenie; doprowadzili ją do ostatnich konsekwencyj socyaliści z Berna, w czasie uroczystego obchodu papieskiego jubileuszu przez miejscowy „Związek patryotyczny“.

SOCYALISTYCZNY SKANDAL W BERNIE.

Podobnie jak w Krakowie 30 kwietnia, tak w Bernie 28 maja, wcisnęły się długo przed oznaczoną godziną na salę redutową, w której projektowany obchód miał się odbyć, liczne zastępy socyalistów, prowadzonych przez swych dowódców, na pierwszem miejscu przez Żyda d-ra Ingwera. Kiedy przewodniczący, hr. Stolberg, powitał zgromadzonych pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“, odpowiedzieli socyaliści okrzykiem: „Wiwat Darwin!“ Po pierwszych słowach, wypowiedzianych przez posła barona di Pauli, powstał hałas nie do opisania. Baronowie di Pauli i Morsey zwrócili się teraz wręcz do socyalistów, wyrażając zdziwienie, że partya, która chełpi się ze swej nieograniczonej miłości dla wolności słowa, sama wolności tej nie umie uszanować, i energicznie zażądali spokoju. Pod wpływem tych słów, hałasujący umilkli; owszem zobowiązali się solennie: „Przeszkadzać wam nie będziemy!“ Istotnie br. di Pauli mógł dość spokojnie dokończyć swej mowy; br. Morseya wyświstano jedynie przy ustępie, w którym wskazał na księży, jako na naturalnych przywódców na polu socyalnem; dopiero kiedy biskup berneński, dr. Bauer, wstąpił na trybunę, odezwały się na nowo krzyki, świstania i prawdziwie

nieludzkie ryki, i trwały z krótkiemi przerwami, stosownie do haseł wydawanych przez hersztów, do samego końca przemowy. Najgłośniejszy i najwstrętniejszy hałas towarzyszył ostatnim słowom mowcy; hałas ten zmienił się w piekielny jakiś ryk, gdy ks. Bauer, nie zważając na smutną tę manifestacyę, udzielać począł oburzonym, ale nie wiedzącym co począć katolikom, papieskiego błogosławieństwa. Nie czekając na nie, opuścili tymczasem socyaliści salę w zwartych szeregach z „pieśnią pracy“ na ustach. To zupełne podobieństwo między tym postępkiem socyalistów w Bernie a burdą krakowską, naprowadza na myśl, że ta ostatnia nie była wymysłem p. Daszyńskiego, ale że istnieje u socyalistów jakiś z góry powzięty planik w tym rodzaju. Dobrze o tem wiedzieć...

Kto wie zresztą, czy to i nie dobrze, że sceny takie zaczynają się coraz częściej, z coraz większą brutalnością powtarzać; lepiej gdy wrzód na wierzch wyjdzie, niż gdy ukryty we wnętrzu organizmu, niepostrzeżenie jad roztacza.

PIELGRZYMKI JUBILEUSZOWE.

Wedle spisu ogłoszonego przez rzymskie organa, stanęło w Watykanie, począwszy od 16 lutego aż do 1 czerwca, 29 pielgrzymek. Szereg tych hołdów, składanych Ojcu św. z powodu Jego jubileuszu biskupiego, otworzyły dwie pielgrzymki włoskie, z których pierwsza liczyła 10.000, druga 7000 uczestników. Dalej szły z kolei następne pielgrzymki:

21	lutego	irlandzka	800 uczestników
23	„	węgierska, urugwajska i argentyńska	700 „
25	„	szkocka	200 „
26	„	angielska	1200 „
9	marca	z Grenobli	80 „
2	kwietnia	rumuńska	40 „
8	„	węgierska	250 „
12	„	Tercyarzów franciszkańskich	4000 „
13	„	z Bergamo	350 „
„	„	z Wenecyi	120 „
„	„	z Bolonii	100 „
14	„	polska z Galicyi	800 „
„	„	austryacka	1000 „

15	kwietnia	pielgrzymka zdążająca na kongres eucharystyczny do Jerozolimy	1000	uczestników
18	„	Konferencye św. Wincentego à Paulo .	800	„
„	„	francuskie stowarzyszenia katolickie . .	2500	„
21	„	belgijska	500	„
„	„	włoska	200	„
26	„	czeska	400	„
„	„	włoska	400	„
29	„	z Metzu	300	„
„	„	ze Strassburga	500	„
4	maja	szwajcarska	1000	„
„	„	hiszpańska	34	„
„	„	niemiecka	1000	„
9	„	chorwacka	30	„
11	„	holenderska	400	„
14	„	polska z archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej	150	„
18	„	z Tryestu	200	„
21	„	maltańska	800	„
„	„	Tercyarze z Holandyi	50	„
25	„	węgierska	250	„
„	„	australska	30	„
29	„	ruska	150	uczestników.

O najbardziej interesujących nas pielgrzymkach: ruskiej, obu polskich, galicyjskiej i poznańskiej, byłoby do powiedzenia wiele pięknego i pocieszającego; jeżeli powstrzymujemy się od wypisywania tych szczegółów, jeżeli nie podajemy nawet tak nadzwyczaj doniosłej — mającej niezawodnie stanowić jednę z najpiękniejszych i najważniejszych kart w historyi Unii — przemowy Papieża do pielgrzymów ruskich, to dlatego, że, jakeśmy już nieraz powiedzieli, nie jest zadaniem naszego *Przeglądu* powtarzać po gazetach codziennych to co już czytelnikom naszym dokładnie z nich jest znane. Dla tej samej racyi nie dotykamy brutalnego napadu na ruskich biskupów w Wiedniu. Bolesny to był fakt; może powszechne oburzenie, jakie wywołał w całym kraju i daleko poza jego granicami, otworzy choć w części oczy i zatrzymać zdoła na śliskiej drodze nietylko bezpośrednich — bo ci, młodzi i uwiedzeni, stosunkowo najmniej winni — ale przedewszystkiem pośrednich jego sprawców!

Ks. Jan Badeni.

Kilka dni na Elbie.

Wiek XIX., zwany powszechnie wiekiem pary i elektryczności, możnaby również słusznie nazwać wiekiem wystaw. Każdego roku we wszystkich niemal europejskich krainach urządza się po kilka „ekspozycyj“ różnego rodzaju w większych lub mniejszych ogniskach oświaty i przemysłu. Rok ubiegły w samej tylko Austryi zaznaczył się mnóstwem *Ausstellung*'ów, że wymienimy jedynie główniejsze, muzyczno-teatralną w Wiedniu, przemysłową w Ołomuńcu i ogrodniczą w Aussig (Ustiu). Ta ostatnia pomiędzy wielu innymi ciekawymi i mnie również skusiła, tem bardziej, że Aussig leżało mi na drodze do Saksonii, dokąd właśnie dążyłem. Dnia 28 sierpnia wysiadłem rano na dworcu w Ustiu (Aussig) i zasięgnąwszy niektórych wskazówek co do gmachu wystawy, skierowałem się w głąb miasta. Ponieważ była to niedziela, więc ulice roiły się licznym tłumem, przeważnie miejscowej robotniczej ludności, która cały tydzień spędza w fabryce lub kopalni, w święto zaś tylko wysypuje się z domów, napełniając powietrze gwarem rozmów, śmiechów i okrzyków. Jak dopływy jednej rzeki zlewają się z różnych stron do jej łożyska, tak też cały ten tłum z rozmaitych ulic i uliczek wezbraną falą płynie ku rynkowi, gdzie właśnie poważne dźwięki dzwonów dekanalnego kościoła wzywają wiernych na nabożeństwo. Śliczna ta świątynia w czystym stylu gotyckim sięga roku 1384. Chociaż niejednokrotnie byłem już w Ustiu, w tym dniu jednak po raz pierwszy, jako w dzień świąteczny, udało mi się zobaczyć główną ozdobę tego Bożego przybytku, to jest prześliczną Madonnę. Obraz ten, znany w artystycznym świecie jako jedno z arcydzieł Carla Dolce, stanowi wspaniałe *pendant* do *Ecce Homo* Guido Reniego. Bogaty ów dar zawdzięcza Ustie Józefowi Mengs, nadwornemu malarzowi króla saskiego i polskiego, Augusta II., który go przywiózł z Drezna w r. 1727. Przecudny, nadziemski prawdziwie wyraz oblicza Bogarodzicy, który niezrównana miękkość i delikatność kolorytu jeszcze bardziej uwydatnia, nietylko w duszach wierzących budzi uczucie gorącej pobożności, ale nawet, jak mi się zdaje, musiałby przemówić do serca najzatwardzialszego heretyka.

Drugi kościół, księży Dominikanów, teraz właśnie świeżo odnowiony, jest również piękną świątynią w stylu Odrodzenia. Stary zaś i opuszczony niemal zupełnie kościołek, pod wezwaniem Najświętszej

Panny, przemawia do obecnych pokoleń językiem odległej przeszłości, niegdyś bowiem, przy końcu XIII. oraz na początku XIV. wieku, służył za punkt zborny dla tamtejszych Krzyżowców [1].

Co do samego miasta, to bardziej jeszcze odległe pamięta ono czasy. Gdy w roku 1186 margrabia Miśnii, Otton, obchodził tam swe zaślubiny z córką czeskiego księcia, wówczas była to zaledwie malutka mieścina, która po nieszczęsnej bitwie pod Bihaną znikła niemal zupełnie z powierzchni ziemi. Ale we trzy lata później odbudował ją zwycięzca Jakub Wřesowic, jeden z najzagorzalszych ówczesnych sekciarzy. Nieraz jednak jeszcze mury biednego Ustia kruszyły się pod ciosami nieprzyjaciół i dopiero od wojen napoleońskich miasto to zaczęło cieszyć się spokojem. Powoli mury opasujące je niegdyś dokoła, runęły, rowy się wypełniły, ulice rozszerzyły się i pomnożyły, poczem cicho, nieznacznie, ale zwycięsko przemysł i handel rozpostarł nad miastem swą władzę. Niebawem sieć kolei żelaznych oplotła całą okolicę, żegluga zaś doszła do niesłychanego dotąd stopnia rozwoju, i w taki sposób biedna nadelbiańska mieścina stała się jednym z najważniejszych portów, łączących Austryę z Niemcami.

W przeciągu krótkiego stosunkowo czasu, mieszkańcy tego miasta z dawnych rolników i właścicieli winnic przerobili się w bogatych handlarzy i przemysłowców. W r. 1842 Ustie miało zaledwie 2100 obywateli, dziś po upływie lat pięćdziesięciu cyfra ta w dziesięćkroć się pomnożyła. Tak szybki przyrost ludności wraz z ciągłem wzmaganiem się dobrobytu zawdzięcza ono przeważnie czarnym dyamentom, czyli węglowi kamiennemu, którego obecność przypominają na każdym kroku bądź wagony i galary napełnione nim po brzegi, bądź posępne postacie górników, lub wreszcie niezliczone szyldy, na których obok nazwiska firmy mieści się młot i kilof.

Tak, wszędzie, wszędzie tam w łonie ziemi spoczywają niewyczerpane pokłady węgla kamiennego. W dziejach ekonomicznego rozwoju Ustia i jego okolic niepoczesny ten minerał odegrał tak ważną rolę, o jakiej Franciszek Nitsche, pierwszy górnik, który w sąsiednich Trmicach (Türmitz) w r. 1763 wynalazł węgiel brunatny, nie mógł mieć nawet najlżejszego pojęcia. Ruch jednak w tej nader ważnej gałęzi przemysłu bardzo powoli się budził. W pierwszej połowie bieżącego stulecia z kopalń miejscowych eksploatowano zaledwie po 500.000 centnarów rocznie,

[1] Rich. Brandeis, *Aussig und seine Umgebung.* Aussig 1884. G. A. Ressel, *Elbe zwischen Leitmeritz und Dresden.* Aussig 1888. Str. 46—49.

bojąc się wyczerpać cennych pokładów tego opałowego materyału. A dziś? Dziś codziennie przez całe lato tysiąc wagonów węgla ładuje się na galary, nie rachując innych środków wywozu, którego cyfry mogłyby nie jednego przyprawić o zawrót głowy.

Proporcyonalnie do eksploatacyi węgla wzrasta też przemysł tego miasta, należącego do najbardziej przemysłowych miast w Czechach, a może nawet w całej habsburskiej monarchii. Tysiące robotników pracuje w przędzalniach wełny i bawełny, farbiarniach, młynach parowych, garbarniach, browarach, fabrykach słodu, maszyn do szycia, fortepianów, świec, mydła, narzędzi rolniczych, rafineryach cukru, warsztatach do budowy parowców i t. p. Na uwagę zwłaszcza zasługuje fabryka szkła, założona w r. 1872 i zatrudniająca przeszło 700 robotników, jak również fabryka wytworów chemicznych. Ta ostatnia z całym szeregiem domków dla robotników, ochronek, przytulisk, ogródków, stanowi sama przez się jakby małe miasteczko, w którem się uwija codziennie 1800 ludzi. Przedsiębiorstwo to prowadzone wybornie, tak pod względem technicznym, jak też i handlowym, rozsiewa wprawdzie dokoła siebie niezbyt przyjemny zapach, lecz wielką miastu przynosi korzyść. O ogromie jego dają najlepsze pojęcie cyfry, dotyczące rozmaitych dokonywanych tam wyrobów. Głównym produktem jest soda sproszkowana, krystaliczna i bryłowa, której corocznie się wyrabia około 300.000 centnarów. Bardziej zaś jeszcze imponujące są liczby ściągające się do wytwarzania siarki, kwasu siarczanego, solnego i saletrzanego, antychloru, chlorku wapna, witryolu i t. p., coroczny ich bowiem wyrób dosięga cyfry dwóch milionów centnarów. Każdego też roku materyał niezbędny zostaje przywożony do fabryki na 33.000 wagonów, z których połowa dostarcza jedynie węgla kamiennego [1].

Ze względu, że przemysł waży tak wiele na szali materyalnego dobrobytu mieszkańców Ustia, nic dziwnego, że najwspanialszym gmachem w całem mieście jest szkoła przemysłowa. W niej to właśnie i sąsiednim ogrodzie urządzono wystawę ogrodniczą. Wystawa to jakich wiele, niczem wybitnem się nie odznacza. Wśród mnóstwa zieleni i kwiatów, tworzących malownicze grupy, przeplatane tu i ówdzie rozmaitemi owocami i jarzynami, przechadza się przy dźwiękach muzyki nader liczna publiczność. Młodzież wyraża głośno uwielbienie dla prześlicznych róż najrozmaitszych odcieni i gatunków, gosposie niemieckie zachwycają się okrągłemi marchewkami i olbrzymiemi głów-

[1] Rich. Brandeis, *Aussig und seine Umgebung.* Aussig 1884.

kami kapusty, dzieci wyciągają dłonie do przepysznych winogron miejscowej kultury. Wreszcie przy dźwiękach hymnu *Gott erhalte* wystawa zostaje zamknięta, ale, niestety, w tejże samej chwili na wieży ratuszowej wybija czwarta po południu, o której statek odpływający do Drezna miał podnieść kotwicę. Dzięki więc *Ausstellungowi* musiałem *bon gré mal gré* jeszcze kilkanaście godzin przepędzić w Ustiu.

Dla zabicia czasu wychodzę na przechadzkę po stokach góry panującej nad miastem i noszącej nazwę Humboldtshöhe. Ognista tarcza słoneczna zatacza się coraz bardziej na zachód, gdzie czernieją w dali wystrzępione szczyty gór Kruszcowych. U stóp góry rozpościera się miasto z nadelbiańskiem wybrzeżem, na którem, jak zwykle, panuje ruch i życie. Fala głuchych dźwięków rozbija się co chwilę o strome stoki góry. Na brzegu pokrytym grubą warstwą miałkiego węgla, prześlizgują się od czasu do czasu pociągi śpieszące ku miastu. Najprzód z komina lokomotywy wydobywa się mały obłoczek pary, poczem ostry, przeciągły świst, unoszony na falach powietrza, uderza niemile ucho. Ponad Elbą tymczasem roi się jak w mrowisku. Cicho i niepostrzeżenie odczepiają się od brzegu galary naładowane węglem i płyną z prądem rzeki. Po chwili z monotonnym zgrzytem przybija do brzegu parowiec, wlokąc za sobą cały szereg czółen, które prują głęboko nurty Elby, pieniące się pod ich dotknięciem. Pomiędzy czarnemi, niezgrabnemi galarami uwijają się leciuchne łodzie, pomalowane na biało i zielono, jak eleganccy dżentelmeni wśród zakopconych robotników. Dalej nieco, na placu handlowym, leżącym również ponad Elbą, olbrzymie żelazne windy z prawdziwie tytaniczną siłą ładują na czółna lub wyładowują z nich przeróżne towary ze wszystkich części świata. Codziennie niemal na tem wybrzeżu można napotkać setki worów z kokosami i daktylami, ze skórą bawolą, galicyjskiem zbożem, kwasem bornym z dalekiego zachodu, kamforą z wysp azyatyckich, obok nich zaś materyał budowlany z północno-amerykańskich lasów i olbrzymie bryły piaskowca z poblizkiej Saksonii. Całemi godzinami możnaby z samotnego górskiego wierzchołka spoglądać na ten kalejdoskopowy obrazek ludzkiego życia i pracy. Widzowi jednak nie biorącemu żadnego w nim udziału, mimowoli nasuwa się pytanie: Czyż w tej ciągłej pogoni za zyskiem leży szczęście człowieka? czyż ona przeciwnie coraz bardziej od niego nie oddala? Wobec ludzkiego mrowiska, roztaczającego się u dołu i rażącego nieraz swemi konturami estetyczne nasze poczucie, jakże piękną wydaje się dzika górska przyroda, nie zeszpecona jeszcze dłonią samolubnego spekulanta! Jak wielkiego uroku nabiera

uroczysta cisza, rozlana w samotnem ustroniu, a tak zrozumiałym niekiedy umiejąca przemawiać językiem!...

Delikatna, przezroczysta mgła otulała jeszcze swemi zwojami nawpół uśpione Ustie, gdy nazajutrz rano zbliżałem się do statku, który miał mię unieść do saskiej stolicy. O piątej rano na parowcu rozlega się trzykrotny odgłos dzwonu, koła zaczynają skrzypieć i zgrzytać, a po chwili statek, kołysząc się z lekka, wypływa na środek łożyska pięknej słowiańskiej Łaby. Tu i ówdzie w powietrzu unoszą się opary, walcząc z natrętnemi promieniami wschodzącego słońca, i powoli rozpraszają się, opadają, nikną. Wreszcie wspaniała tarcza słoneczna wyłania się z poza krańców widnokręgu w całej swej okazałości i rzuca snopy złocistych promieni na zielony brzeg rzeki, wabiący wzrok swą malowniczością. Powoli, coraz szerzej a szerzej roztacza się tafla Elby, muskana lekkim porannym wietrzykiem, który piętrzy drobniutkie jej fale, mieniące się na słońcu szafirem i złotem. Dzień prześlicznie się zapowiada, oby tylko dotrzymał swej obietnicy.

Na statku towarzystwo jest bardzo różnolite. Jakiś ksiądz, którego wyraziste rysy zdradzają słowiańskie pochodzenie, spore grono Niemców i Niemek, kilka rodzin czeskich, kilkunastu robotników jadących do Saksonii, a wreszcie paru Francuzów i jakiś Anglik, przypadkiem zabłąkany w te strony, stanowią pasażerski personal. Z powodu ślicznej pogody, wszyscy podróżni pozostają na pokładzie i z początku patrzą na siebie z ukosa, poczem stopniowo zaczynają się zbliżać, tworząc rozliczne kółka i kółeczka. Uprzejmy kapitan przebiega od jednej grupy do drugiej, zwracając uwagę na piękności krajobrazu, ksiądz zaś z jednym z robotników zawiązuje rozmowę w języku niemieckim.

— Skąd pan jesteś rodem? — zapytuje między innemi.

— Z Przybramia.

— No, to w takim razie musisz pan umieć po czesku?

— Tak, jestem nawet Czechem, ale od dzieciństwa obracałem się w niemieckiem otoczeniu i w języku rodzinnym straciłem już wprawę, chociaż bardzo tego żałuję.

— Nie masz pan czego żałować — odzywa się na to jakiś otyły Niemiec — bo z niemieckim językiem dasz pan sobie wszędzie radę. *Es ist ja eine Weltsprache!*

— Przepraszam pana — odpowiada wówczas ksiądz po czesku — języka niemieckiego niepodobna nazwać wszechświatowym, bo tego

znaczenia nie ma i nigdy nie zdobędzie. Wyjedź pan naprzykład do Francyi, Hiszpanii, Włoch albo Rosyi, a zobaczymy, o ile się panu przyda mowa Getego i Szyllera.

— Kto nie rozumie naszego języka, zasługuje na nazwę barbarzyńca — woła zaperzony Niemiec. Co do mnie, to chociaż umiem po czesku, nigdy jednak nie mówię, bo mowa ta skazana na wymarcie, podobnie jak wszystkie niemal słowiańskie języki. Jakże zabawną w oczach wszystkich rozsądnych ludzi — ciągnął dalej — jest pretensya malutkich słowiańskich plemion do utrzymania swego narzecza nietylko w życiu prywatnem, ale nawet w publicznem, w dziennikarstwie i literaturze! Cóż za ograniczone głowy muszą mieć ci, którzy dotychczas nie mogą zrozumieć, że habsburska monarchia, to jednolita Austrya, a nie jakieś tam drobniutkie odrębne prowincye, z których każdaby pragnęła zdobyć hegemonię, że tu niema Czechów, Polaków, Chorwatów, ale są i muszą być tylko prawdziwi Austryacy!

Dalsza polemika narodowościowa w takim samym toczyła się tonie, z tą jedynie różnicą, że ksiądz czeski prowadził ją poważnie i bezstronnie, Niemiec zaś coraz bardziej się roznamiętniał, zapominając nawet niekiedy o elementarnych zasadach przyzwoitości. Wreszcie gdy potomek dawnych wojowniczych Germanów tak dalece się zapalił, że omal nie wrzucił w nurty Elby kapłana-patryoty, nagle łańcuch kotwiczny zazgrzytał u brzegu i jeden z urzędników parowca zapowiedział nam stacyę Schönpriesen. Był to właśnie cel podróży utrapionego Niemca, którego wszyscy bez wielkiego pożegnaliśmy żalu.

W przystani tej codziennie powiewają flagi kilku przynajmniej statków, naprzeciw zaś niej wznosi się śliczna góra Marienberg, cała z jasnopopielatego fonolitu. Pomiędzy stromemi, skalistemi jej stokami a krawędzią Elby przed wybudowaniem na tem miejscu toru kolejowego, ciągnęły się dawniej winnice, które dostarczały wybornego wina, zwanego „Podskaler". Wino to natychmiast po sfermentowaniu miało kolor czerwonawy, później przybierało barwę jasno-zieloną i pieniło się wcale nie gorzej od epernajskiego szampana, niedługo jednak przechowywać się dawało. Około roku 1800 butelka tego wina kosztowała talara, co na owe czasy znaczną stanowiło kwotę.

Co do samego Schönpriesen, to dawna ta posiadłość zakonu Johannitów, darowana mu w roku 1188 przez hrabiego Hroznotę [1],

[1] G. A. Ressel, *Elbe zwischen Leitmeritz und Dresden.* Aussig 1888, str. 52.

przechodziła przez czas długi niezbyt szczęśliwe koleje i dopiero od połowy bieżącego wieku zaczęła z amerykańską prawdziwie szybkością urastać w ładne miasteczko. Główną jego ozdobą jest zamek hrabiego Kolowrata, okolony przepysznym parkiem i posiadający wspaniały kościół z r. 1600.

Naprzeciw Schönpriesen leży mała wioseczka Wolfschlinge, na końcu zaś jej, do stóp wyniosłej skały tuli się stary młyn, do którego pieniąc się i szumiąc spada woda z poblizkiego potoku. W młynie tym około r. 1700 ujrzała światło dzienne późniejsza małżonka ostatniego potomka rodziny Medyceuszów, Jana Gastona, syna toskańskiego księcia Cosimo III. Młody ten książę mieszkał w sąsiednich dobrach swych Swadowie (Schwaden) i wbrew woli rodziny ożenił się z córką młynarza. Pewnego razu księżna wraz z jedynym synkiem i zaufanym służącym przechadzała się po stokach góry Wostrej, gdy nagle padło kilka strzałów i biedna kobieta odniósłszy ciężkie rany, wkrótce potem w chatce leśnika, dziś jeszcze istniejącej, zakończyła życie. Śmierć jej, zadana skrytobójczą dłonią, doprowadziła księcia niemal do rozpaczy, tak że zabrawszy z sobą syna, wyjechał do Włoch. Tam stosunki rodzinne zmusiły go do nadania swemu dziecięciu tytułu hrabiego Medyolanu, w którego rodzinie dziś jeszcze portret prababki z Wolfschlingenskiego młyna z szacunkiem się przechowuje. Romantyczne te dzieje zostały opisane wierszem przez miejscowego poetę niemieckiego, Held'a, lecz utwór ten świadczy niezbyt pochlebnie o poetyckim talencie swego autora [1].

Z Schönpriesen po kwadransie żeglugi dopływamy do Swadowa (Schwaden), gdzie w r. 1845 odkryto ogromne, pogańskie cmentarzysko. Miejscowość to dziwnie malownicza i przykuwająca do siebie uwagę turysty. Nad samym brzegiem sterczą dumnie zwaliska starego zamku, prawdziwie pańskiej siedziby, która niegdyś wiele pięknych dni oglądać musiała. Że założenie tego zamczyska sięga bardzo odległej epoki, o tem świadczy kronika Hajka, w której pod rokiem 826 czytamy co następuje: „Pewien bogaty człowiek imieniem Ruszyswad a rodem ze wsi Buczynka, zbudował nad Elbą ogromną osadę, nazwał ją Swadowem i obwarował od napaści Niemców". W XII. wieku, Swadów już jako jeden z najbardziej obronnych zamków, otrzymali w darze Johannici. Najjaśniej jednak gwiazda jego świeciła wówczas, gdy się

[1] G. A. Ressel, *Elbe zwischen Leitmeritz und Dresden.* Aussig 1888, str. 53, 54.

dostał w posiadanie toskańskiego księcia Gastona, którego żona kazała go odnowić i wzniosła śliczny kościół, dziś już leżący w gruzach. Po śmierci księżny, stare zamczysko zostało opuszczone, grunta zaś przyległe rozparcelowano pomiędzy wieśniaków [1].

Okolice Swadowa obfitują również w pamiątki przeszłości, niekiedy bardzo piękną opromienione tradycyą. Zaraz poza tą miejscowością spostrzegamy nad brzegiem Elby zwaliska zamku Warta, który był gniazdem starej szlacheckiej rodziny Doubów i podczas wojen husyckich zamienił się w zgliszcza. Na przeciwległej skale o 545 metrów nad poziomem morza, widnieją zdala ruiny zamku Blankenstein. Zamek ten, podług tradycyi, połączony był drutem z sąsiednią Wartą, i posiadacze obu tych grodów, za pomocą tak prymitywnego telegrafu, ostrzegali się nawzajem o nadciąganiu nieprzyjaciela.

Dalej nieco, na lewym brzegu Elby, wyziera ciekawie z pośród zieleni ładna wieś Mojžíř (Mosern), rozrzucona u podnóża skały, na szczycie której stoi kaplica ze zgrabną, wysmukłą wieżą. Przed stu laty kaplicę tę wyciosał z piaskowca pewien stary inwalid, który się odznaczał gorącem nabożeństwem do Najświętszej Panny, i przez czas długi była ona celem pobożnych pielgrzymek. W r. 1859 za pomocą hojnych składek wszystkich okolicznych mieszkańców, odnowiono ją starannie, oraz obecne nadano jej kształty.

Stopniowo okolica staje się nieco dziką, do czego przyczynia się głównie mnóstwo olbrzymich odłamów bazaltu, najrozmaitszego, niekiedy bardzo fantastycznego kształtu, któremi całe wybrzeże jest usłane. Wpośród mniejszych i większych głazów króluje góra Hradiška, z pięknym, wysokim krzyżem, dalej zaś nieco wspaniały kościół, odzwierciedlający się w falach Elby. Do miejsca tego bardzo sympatyczna przywiązana jest legenda. W r. 1570 miał się tam odbyć pojedynek pomiędzy braćmi, Fryderykiem i Henrykiem von Salhausen, których spór o ojcowiznę uczynił sobie wrogami. Henryk przybył pierwszy na miejsce utarczki, a znużony skwarem, usiadł pod drzewem na krawędzi skały i usnął. Tak znalazł go Fryderyk, któremu jedno lekkie pchnięcie wystarczyłoby do pozbycia się na zawsze nienawistnego przeciwnika. Szlachetny jednak rycerz nie był zdolny do tak zbrodniczego czynu. Obudził więc brata, mówiąc, że czas już rozpocząć walkę; ale Henryk, przekonawszy się o szlachetności współza-

[1] A. Stolle, *Bilder aus Nord-Böhmen*: XLI. Schwaden. Aussig 1889, str. 85—89.

wodnika, rzucił włócznię daleko od siebie, i ze wzruszeniem podał mu rękę. W taki sposób pojednali się dwaj bracia, przed chwilą pałający ku sobie nienawiścią, i na pamiątkę tego dnia tak uroczystego dla obu, zbudowali świątynię, w której zawiesili swe włócznie. Przed pięćdziesięciu jednak laty jedna z tych włóczni zaginęła [1].

Po kilku minutach żeglugi pomiędzy płaskiemi brzegami, falującemi rozmaitemi gatunkami zboża, przed wzrokiem naszym znowu prześliczny roztacza się krajobraz. Na lewym brzegu Elby piętrzy się zuchwale stroma i zupełnie naga góra Ziegenberg, której szczyt już od dawna migotał nam z oddali. Na prawym, w głębokim wąwozie rozpościera się stacya klimatyczna Březno (Grosspriesen), otoczona z trzech stron zielonym szańcem lesistych, górskich stoków.

— Ach, jak tu ładnie — zawołałem mimowoli, patrząc na groźne ściany Ziegenbergu i malutką jakąś wioseczkę, leżącą u ich podnóża. — Cóż to za rozkosz mieszkać w tak ślicznem ustroniu!

— Przed stu laty z pewnością nie powiedziałbyś pan tego — odrzekł z uśmiechem jeden z obecnych.

— A to dlaczego?

— Bo wówczas mieszkańcom tej wioski częste trzęsienia ziemi nader niemiłe wyrządzały niespodzianki. Najsilniejsze z nich dało się uczuć w nocy z dnia 5 na 6 stycznia 1770 r., gdy cała wieś, odległa przedtem od Elby na $^1/_8$ kilometra, przesunęła się nagle na sam brzeg rzeki, o czem mieszkańcy nazajutrz rano dopiero się przekonali. Tegoż samego dnia przybiła łódź rybacka do brzegu i wioślarze przywiązawszy ją do słupka, udali się na spoczynek, następnego zaś rana znaleźli łódź na wzgórzu, które się utworzyło nagle skutkiem trzęsienia ziemi. Kaplica, którą pan widzisz opodal, temu właśnie wypadkowi winna swe założenie.

W Březnie (Grosspriesen) następuje dłuższy niż dotąd wypoczynek i grono pasażerów powiększa się o kilku tamtejszych kuracyuszów, pragnących zrobić *einen Ausflug in die sächsische Schweiz*. Wesołe, rumiane twarze nowych przybyszów świadczą, że powietrze tego *sanatorium* dobry wpływ musi wywierać na zdrowie. A śliczny to istotnie zakątek, złożony z całego szeregu eleganckich will i pałacyków, rysujących się wdzięcznie na ciemnem tle zieleni. Elba nawet zdaje się być zwolenniczką uroczej tej miejscowości, bo, to na chwilę od niej się oddala, to znowu stęskniona wraca, zakreślając w swym biegu najdziwaczniej-

[1] Dr. J. V. Grohman, *Sagen aus Böhmen*. Praga 1889.

sze linie. Silne też wrażenie na wrodzony każdemu zmysł piękna wywiera wybitny kontrast pomiędzy falistemi, łagodnemi stokami, tulącemi w zielonym swym płaszczu malutkie ludzkie gniazdeczka, a posępnym, marsowym Ziegenbergiem, który spogląda na nie jak starzec na rozbawioną młodzież. Góra ta, wznosząca się o 379 metrów nad poziom morza i 250 metrów nad powierzchnię Elby, przypomina nieco swym kształtem słynną górę Piłata nad jeziorem Czterech Kantonów w Szwajcaryi.

O kilka kroków dalej ciągnie się do samej Elby głęboki wąwóz zwany Tolle Graben. W wąwozie tym znajdują się najrozmaitsze odmiany piaskowca, bazaltu, trachitu i różnorodnych konglomeratów tych minerałów, tu i ówdzie zaś w rozpadlinach można napotkać odłamy zeolityczne, jak analcym, natrolit, albin, filipsit i t. p., jak gdyby umyślnie ręką ludzką nagromadzone. Słusznie też dr. Franciszek Reuss zowie ten wąwóz prawdziwą skarbnicą dla geologów i mineralogów [1].

Po gładkiej powierzchni rzeki, „nabijaną światłem drogą, łódka nasza zwolna płynie“, wzrok zaś błądzi z upodobaniem po prawdziwym wieńcu gór, zamykających z obu stron widnokrąg. U podnóża ich ukazują się kolejno wioski i pojedyńcze kolonie z mnóstwem owocowych ogródków, okolica ta bowiem słynie w całych Czechach z obfitości i dobroci swych owoców. Wreszcie pod Kleinpriesen, Elba nagle zwraca się na północ, wijąc się wężykowato u stóp góry Rostoky (Rongstock). O górze tej w r. 1787 słynny uczony Schaller pisał co następuje: „Niegdyś znajdowała się tam kopalnia srebra, która przez czas długi była opuszczoną, gdyż praca w niej za mało się wynagradzała, w ostatnich wszakże czasach zaczęto stamtąd znowu wydobywać srebro“ [2]. Eksploatacya ta niedługo widać trwała, gdyż w opisach Czech z pierwszej połowy bieżącego stulecia nie znajdujemy już wzmianki o tej kopalni.

Za Rostokami rysuje się na prawym brzegu wyniosła sylwetka stromej, fonolitowej skały przewierconej nawskróś tunelem, z którego

---

[1] Porów. Reuss'a *Mineralogische Geographie Böhmens,* t. I. Praga 1793.

[2] Porów. Schaller'a *Topographie des Königreiches Böhmen,* tomów 16. Praga 1785—1791. Nawiasem dodać musimy, że Schaller, jeden z najznakomitszych uczonych czeskich (ur. 1738 w Konopiszczu w powiecie taborskim, zmarł 1809 w Pradze), ukończywszy studya gimnazyalne w Benešzowie, wstąpił do Zgromadzenia XX. Pijarów i w r. 1761 wyświęcił się na kapłana, poczem resztę życia poświęcił badaniom naukowym, których owocem było dzieło powyższe.

właśnie ze świstem i łoskotem wybiega lokomotywa. Zupełnie nagi szczyt tej skały, zwanej niegdyś Sperlingsteinem, teraz zaś Mädchensteinem, wieńczą trzy krzyże, będące w tym razie nietylko symbolem naszego Odkupienia, ale także pamiątką legendowego wypadku, o którym w okolicy następujące obiega podanie:

Dawno, bardzo dawno już temu, na zamku Sperlingstein mieszkał pewien szlachetny rycerz czeski, Jeszko Wrabinec. Małżonka jego umarła wcześnie, pozostawiwszy mu trzy córki, które się wychowywały na zamku, w cnocie i bojaźni Bożej. Wielu rycerzy, usłyszawszy o niezwykłej piękności dziewcząt, ubiegało się o ich rękę, ale zabiegi te były daremne, bo rycerz Jeszko pielęgnował swoje trzy lilie jak najdroższe klejnoty i nie chciał oddać ich byle komu. Wówczas właśnie właścicielem zamku Schreckenstein był słynny zbójca, którego synowie przybyli pewnego dnia do Jeszka, prosząc o rękę jego córek. Stary rycerz, oburzony tą myślą, aby jego cnotliwe i niewinne dziewczęta miały zostać żonami słynnych w okolicy złoczyńców, odprawił ich szorstko, wzbraniając na przyszłość wstępu do swego domu. Opryszki ze złością w sercu opuścili zamek, poprzysięgając zemstę staremu Wrabincowi i obiecując sobie przemocą zdobyć jego córki.

Pewnego wieczora o zachodzie słońca, zapukało do bram zamku dwóch pielgrzymów, których przyjęto gościnnie i zatrzymano na nocleg. O północy, gdy wszyscy mieszkańcy w głębokim śnie byli pogrążeni, dwaj pielgrzymi wymknęli się ukradkiem ze swej izdebki i wkrótce potem cały zamek stanął w płomieniach. Domownicy zbudzeni znienacka, pospieszyli na ratunek płonących budynków, gdy nagle na podwórze wtargnęła gromada uzbrojonych opryszków z dwoma pielgrzymami na czele, którzy ubiegłego wieczora tak serdeczną w zamku znaleźli gościnność.

Przy świetle pożarnej łuny Jeszko Wrabinec poznał w nich bandytów ze zbójeckiego gniazda na Schreckensteinie. Wbiegł więc do pokoju córek, chcąc je uprowadzić tajemnemi schodami, gdy tymczasem wierni jego słudzy rozpoczęli z napastnikami rozpaczliwą walkę, ażeby pokryć ucieczkę swych panów.

Biedni zbiegowie dotarli do podziemnego przejścia, wiodącego na nadelbiańską dolinę i już mieli się za ocalonych, gdy dzikie okrzyki doleciały ich uszu, odbijając się w sercach tysiącznem echem.

Odkryto ich, ścigano!... Obejrzawszy się poza siebie, nieszczęśliwi ujrzeli w świetle płonącego zamku trzech braci ze Schreckensteinu, którzy z nieludzkiem wyciem ku nim się rzucili.

— Uciekajcie, dzieci! Ratujcie się jak możecie! Ja zatamuję drogę złoczyńcom, abyście zyskały na czasie! Chyba po moim trupie dostaną was w swe ręce! Niech Bóg czuwa nad wami, biedne moje sieroty!

Były to ostatnie słowa dzielnego Jeszka. Przerażone dziewczęta pobiegły co sił starczyło, potrącając się nawzajem. Tymczasem zbóje natarli na bezbronnego prawie starca, który po bohaterskim oporze uległ przemocy i padł na progu rodzinnego gniazda, nurzając się w krwi własnej.

Teraz złoczyńcy puścili się w pogoń za dziewczętami. Nieszczęśliwe wbiegły właśnie na szczyt stromej skały, wznoszącej się nad Elbą, skąd żadnego nie było dla nich wyjścia. Już przestrzeń pomiędzy niemi a prześladowcami coraz bardziej się zmniejsza, już słyszą za sobą szydercze ich śmiechy i ohydne okrzyki. Jakiż los oczekiwał nieszczęsne w ręku rozpustników? Ale dziewice nie wahały się dłużej. Lepiej umrzeć, niż stać się pastwą nikczemnych opryszków, wyciągających już krwią zbroczone dłonie po bezbronne ofiary!

Wówczas trzy siostry ostatnim splatają się uściskiem i poleciwszy swe dusze Bogu, rzucają się ze skały w głębokie nurty rzeki.

Zdziwieni zbójcy zatrzymują się na skale i przeklinając los, który im wydarł upragnioną zdobycz, wracają do domu. Lecz zimne fale nie chciały pochłonąć ciał trzech bohaterek niewinności i cnoty, owszem złożyły je łagodnie na brzegu wysepki, którą dziś jeszcze tam widać. Ze zdumieniem ocknęły się dziewice z długiego omdlenia i postanowiły odtąd resztę życia poświęcić Bogu, aby miłosiernemi uczynkami odwdzięczyć Mu się za swe ocalenie. Wszystkie trzy umarły w podeszłym wieku, postawiwszy trzy krzyże na krawędzi skały, jako pamiątkę okropnego wypadku.

Co do zbrodniarzy, tych zasłużona nie ominęła kara. Po licznych zbójeckich wyprawach, po wielu morderstwach popełnionych na bogatych kupcach i podróżnych, nienasycona żądza złota popchnęła ich do spisku przeciw panującemu księciu. Schwytano ich więc i ręka kata położyła koniec występnemu życiu zbrodniarzy. Zbójeckie gniazdo na Schreckensteinie również rozpadło się w gruzy, i podobnie jak trzy krzyże na dziewiczej skale, przypomina żyjącym sprawiedliwość Bożą [1].

Tyle nam mówi podanie, bardzo zresztą do prawdy zbliżone.

[1] J. W. Schaffran, *Der Jungfernsprung.* Eine Sage aus dem Elbethale. *Nord-böhm. Touristen-Zeitung.* Aussig 1890. Str. 165—168.

Wiarogodności tej tradycyi nie przeczą nawet Niemcy, chociaż na średniowieczne ich rycerstwo, oraz na jego stosunki ze szlachtą słowiańską niezbyt korzystne rzuca ona światło. Wprawdzie niektórzy utrzymują, iż to są po prostu krzyże misyjne z XVII. wieku, lud jednak, a za nim i większa część inteligencyi, pozostaje wierną powyższej legendzie. Wogóle urocze brzegi Elby, najeżone niezliczonemi opokami i zwaliskami, z których każde bez wyjątku ma swoją historyę, są jedną z najbogatszych skarbnic dla badaczy słowiańskiego ducha, którzy nie poprzestając na pisanych dziejach, umieją sięgnąć głębiej do tej, jak mówi poeta:

...arki przymierza
Między dawnemi a nowemi laty,
W której lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

Lecz żegnaj już romantyczny Mädchensteinie, coś mi nasunął takie myśli nie licujące bynajmniej z warunkami czasu i okoliczności. Chciałoby się pozostać długo u twego podnóża, podumać nad zamierzchłą przeszłością, ale nieubłagany dzwonek parowca nagli do pośpiechu, a posłuszny mu statek mknie znowu, byle prędzej, byle dalej!

Od dziewiczej skały, zwanej również przez niektórych nadelbiańską Loreley, łańcuch górski stopniowo obniżać się zaczyna. Elba ścieśniona dotąd pomiędzy skalistemi brzegami, powoli coraz szerszem rozlewa się korytem i piękne wprawdzie, lecz bądź co bądź posępne górskie stoki nie zasklepiają widnokręgu. Jest to, jak mi się zdaje, wrażenie wspólne wszystkim mieszkańcom równin, że znalazłszy się wśród gór, podziwiają wprawdzie ich kształty pełne grozy i majestatyczności, a jednak skoro wzrok zmęczony ostremi konturami spocznie na łagodnej, zielonej płaszczyźnie, wówczas mimowoli z pewnem uczuciem ulgi wolniejszą oddychają piersią.

Niedługo jednak trwa ten wypoczynek. Poza niewielką osadą Malschwitz-Neschwitz i ładnem miasteczkiem Rosawitz z gotycką kaplicą, kryjącą w swem wnętrzu, jak mi mówiono, grobowce hrabiowskiej rodziny Thunów, witają nas znowu strome grzbiety gór z zamkiem Deczyńskim na szczycie. Tu statek nasz zwalnia stopniowo dotychczasowe tempo, a wreszcie zawija do przystani, w której prawie nigdy nie braknie podróżnych, Dečin bowiem ze swemi górami jest jakby przednią placówką łańcucha tak zwanej czesko-saskiej Szwajcaryi.

— A pan nie wyląduje? — zapytuje mię kapitan. Nie warto pominąć tak pomyślnej sposobności zwiedzenia najpiękniejszego zakątka

Czech i Saksonii. Radziłbym też panu puścić się z Dečinu na pieszą wędrówkę po tutejszej okolicy, która z pewnością nie zmęczy pana zbytecznie, a opłaci się sowicie poznaniem cudów przyrody, o jakich gdzieindziej niepodobna mieć wyobrażenia. W przeciągu dnia jednego z licznemi wypoczynkami możesz pan dotrzeć do komory celnej w Šandowie, gdzie pojutrze i ja przybędę z mym statkiem. Czy zgoda?

Trzymając się zasady, że dobra rada cenniejszą jest od złota, dziękuję za nią uprzejmie poczciwemu kapitanowi i niezwłocznie w czyn ją wprowadzam. Rad byłem nawet z tego *intermezzo* w mojej podróży, które miało znacznie ją urozmaicić. Siadam więc raźno do łodzi, która po paru minutach wyrzuca mię na ląd i z werwą prawdziwego turysty rozpoczynam moją odysseę.

(Dok. nast.).

Tytus Sopodźko.

Amerykański prospektor.

Prospektora prawdziwego cechuje przedewszystkiem cierpliwość bartnika (pszczelarza); pośpiech mu też nieznany, chyba że przez szarego ścigany niedźwiedzia *(grizzly)*, albo w ucieczce przed Indyanami, gdy ci szczególniejszą okazują skłonność do umiejętnego zdjęcia jego skalpu (czupryny). Zawód jego, to zawód, w którym prędkość do celu nie prowadzi. Choć pośród zajęcia swego bardzo powolnym się wydaje, prospektor umysłowo czynnym jest ciągle, uwaga jego bezustannie skupiona.

Przybory jego, pożywienie i narzędzia bardzo są skromne i niekosztowne, składają się zaś z kilku grubych, wełnianych koców (kołder), garnka żelaznego do zaparzania kawy, patelni do smażenia, kilofa, łopaty, miski do płókania złota i korytka rogowego. Strzelba na drobną zwierzynę jedynem jego uzbrojeniem, ale gdy zapuszcza się w okolice, w których źli Indyanie grasują, nie zapomina nigdy o karabinie, rewolwerze i pasie z amunicyą. Słonina i mąka to podstawa jego pożywienia; do tego przychodzi fasola, cukier, herbata, kawa, garść soli i pieprzu; niektórzy zabierają dodatkowo jeszcze kilka funtów suszu, jak brzoskwiń suszonych, jabłek albo śliwek.

Zapakowawszy wszystko to na grzbiet osła, z hiszpańska *burro* zwanego, prospektor gotów jest do drogi. Gdy raz miasto i ludzi za sobą zostawił, dom jego i spoczynek jego odtąd tam będzie, gdzie osła rozsiodła i gdzie ogień rozpali. Wszyscy przypominacie sobie za-

pewne wyborną zgodę, jaka panowała pomiędzy Sanczo Panczą a jego wierzchowcem; o prospektorze to samo da się powtórzyć, a mianowicie, że pomiędzy nim a jego nierozłącznym towarzyszem-osłem, jak najdoskonalsza i najzupełniejsza panuje harmonia i zdawaćby się prawie mogło, jakoby *burro* stworzony był przedewszystkiem na użytek prospektora. Zwierzę to powolne i cierpliwe, we wszelkich warunkach czuje się zadowolone, a chociaż trawa z nad źródeł górskich i z ponad brzegów strumieni, delikatna, zielona, soczysta najmilszem jest dla niego pożywieniem, *burro* filozoficznie rzeczy pojmuje, i gdy jej nie ma, bez krzywienia się i dąsań napełnia żołądek gorzkiemi i kolczastemi krzewami, którychby, z wyjątkiem jedynego chyba wielbłąda, żadne inne nie dotknęło się zwierzę.

I pośród najdzikszych gór czuje się osieł swobodnym; nic w tem dziwnego, gdy się zważy, że przodkowie jego pochodzą ze Syryi, Mezopotamii i Arabii północnej. Koczowniczy żywot, jaki z prospektorem wiedzie, czyni go czujnym, szybkim i nader rozważnym i budzą się w nim naówczas instynkta i cechy charakterystyczne, uśpione od wieków w jego rasie, a które w tak wysokim stopniu zdobiły dzikich jego przodków, że aż wzbudzały podziwienie u Joba.

Węchem szybko odkrywa zbliżanie się Indyan, skradanie się niedźwiedzia szarego albo też obecność lwa kalifornijskiego. Burro, który młodość swoją spędził na prospektowaniu, wybornym jest stróżem w nocy. Skoro tylko zwietrzy niebezpieczeństwo, zagrażające czy to ze strony Indyan, czy też dzikich zwierząt, porzuca pastwisko i bieży obudzić swego pana. Burro obawia się przedewszystkiem szarego niedźwiedzia; strach przed jego pazurami i zębami budzi w nim od razu świadomość, gdzie ucieczki i ratunku szukać, i gdy raz w karyerze swojej jako towarzysz prospektora spotkał się z *grizzly* i znalazł bezpieczne schronienie pod opieką swego pana, odtąd i w każdem innem niebezpieczeństwie, we dnie czy też w nocy, do niego udawać się będzie.

Osieł nieocenionem jest stworzeniem dla użytku prospektora w bezwodnych pustyniach Wielkiego Zagłębienia *(Great Bassin)*. Nie ulega szkodliwemu wpływowi alkaliów, których ani muły ani też konie znosić nie mogą. Po dzikich praojcach swoich, osłach Persyi i Arabii, odziedziczył smak do traw słonych i wód słonych, i pić będzie ze smakiem wodę, którejby ani koń, ani muł nigdy się nie tknął.

Powiedziałem powyżej, że prospektor prawdziwy posiada cierpliwość bartnika; dodać mi tu teraz trzeba, że podobnie jak bartnik lubi samotność, gdy pracuje. Tylko w takich okolicach, w których nieprzy-

jaźni Indyanie przebywają, trzymają się prospektorzy gromadnie. Jest to aksyomatem pomiędzy górnikami, że im więcej ludzi znajduje się w jakiej partyi, tem oporniej roboty poszukiwawcze naprzód postępują. Co głowa to rozum, powtarzają. Samotny prospektor zwykle najlepiej pracuje.

Najlepszą do prospektowania porą w bezwodnym pasie kraju, położonym pomiędzy Górami Skalistemi *(Rocky Mountains)* a górami Sierra-Nevada, jest rychła wiosna, po zimie bardzo śnieżnej, gdy wodę do płókania i przemywania zwiru w każdym prawie strumieniu i wąwozie napotkać można. W niektórych częściach tej krainy tak mało wody w letnich znajduje się miesiącach, że nawet wodę do picia musi prospektor ze sobą zabierać.

Procesu płókania z pomocą miski, zażywa prospektor nietylko w zamiarze odkrycia zwirów złotodajnych. Wzrok jego zaprawiony od wielu lat do śledzenia za żółtym kruszcem — cielcem złotym naszego świata — od razu i niezawodnie mu powiada, gdzie jest nadzieja odkrycia pokładów napływowych złotych. Proces płókania z pomocą miski (panwi) pożytecznym i pomocnym mu jest w poszukiwaniu żył kruszcorodnych kwarcowych, przedewszystkiem zaś takich, które są znane pod nazwą żył ślepych *(blinde letges)*, tj. takich, które nie wystają ponad powierzchnię ziemi, albo też takich, które pokryte zostały i pochowane pod gruzem i rumowiskiem, staczającem się z miejscowości wyżej jeszcze położonych. Gdy każdy wąwóz i strumień górski przecinać musi wszystkie żyły kwarcowe napotkane po drodze (leżące w jego linii rozciągłości), więc gdy która z tych żył zawiera złoto, złoto znaleść się powinno w materyale spoczywającym na spodzie wąwozu lub na dnie potoku. A gdy żyły srebrodajne kwarcowe w tej krainie zawierają w sobie złoto w znacznej ilości, prospektor, który odkrył złoto w wąwozie, musi być pewnym, że gdzieś powyżej niego znajduje się żyła kruszcowa, za którą warto się obejrzeć.

Bryły kwarcowe i odłamki kwarcu luźnie leżące są mu także wielką pomocą i wyborną wskazówką. Odłamki takie, znalezione w potoku albo wąwozie lub też na skłonie góry, powiadają mu, że powyżej znajduje się żyła, z której pochodzić muszą. Ale w potoku albo wąwozie znajdować się mogą odłamki, pochodzące z kilku żył kwarcowych. Gdy panwia prospektora pokazała mu, że w wąwozie złoto się znajduje, wtedy cały interes prospektora zwraca się ku temu, aby odkryć gatunek kwarcu, z którego złoto to pochodzić może. Mając wodę pod ręką, wnet ten problem rozwiązuje, rozbijając i krusząc bryły

kwarcu za pomocą innych kamieni i skruszony materyał poddając płókaniu w panwi albo też korytku rogowem.

Odkrywszy raz gatunek kwarcu, złoto zawierający, prospektor rozpoznaje go już potem na pierwszy rzut oka, i chociażby tam wzdłuż strumienia lub gardzieli górskiej leżały odłamy kwarcu, pochodzące choćby z żył pół tuzina, on bez pomyłki odróżnić potrafi kwarc żyły, którą odkryć pragnie. Już umysłem objął jego kolor, teksturę, krystalizacyę i każdą inną cechę charakterystyczną, a oznaki te, jak nić Aryadny, przyprowadzą go nieomylnie do celu. Umie on nawet powiedzieć od razu z wyglądu zewnętrznego bryły kwarcowej, azali ona pochodzi z grubej żyły czy też cienkiej. Cierpliwość należy do kardynalnych cnót prospektora, i cierpliwość jedynie prowadzi tu do szczęśliwego rezultatu. Prędki, niespokojny, niecierpliwy człowiek nie może spodziewać się sukcesu jako prospektor.

Przebiegnie prawdopodobnie dziesięć razy tyle kraju w danym czasie, co prospektor prawdziwy, ale jeśli coś odkryje, to chyba przypadkiem. Rzeczywisty, urodzony prospektor nigdy się nie zniechęca. Gdy zbadał jakąś okolicę i nic nie odkrył, pociesza się myślą, że tam nic nie było do odkrycia. Gdy na dobre znaki natrafił, rozpoczyna regularne oblężenie. Powolne to prawda, to jego dzieło oblężnicze, ale rezultat niezawodny.

Prospektor prawdziwy starannie poszukiwania czyni, aż napotka na ślad, na luźny kawał kwarcu oderwany od żyły i przez wodę na dół uprowadzony, albo na kilka ziarnek złota, a gdy raz na ten ślad wpadł, już go nie zgubi i prędzej nie spocznie, aż żyłę odkryje.

Prospektor z okolic bezwodnych, jest zwykle człowiekiem średniego wieku, o konstytucyi Kujota. Innego dachu nie zna prócz gwiazdami utkanego niebios sklepienia, a głodu nigdy się nie obawia. Gdy konieczność zmusi go do tego, wszystko, co tylko lata lub się czołga, za pożywienie służyć mu będzie. Obawia się tylko pragnienia, ale tu ostrożność wierną mu jest towarzyszką i nigdy go nie opuszcza. Jeśli mu przypadkiem niebezpieczeństwo śmierci z powodu braku wody w oczy zajrzy, będzie się mu bronił lepiej, aniżeli ktokolwiek inny. Szukać będzie wilgoci w mięsistych łodygach kaktusów, i bez wahania pić będzie krew jakiejkolwiekbądź istoty żyjącej, która mu w rękę wpadnie. Z pomocą wydrążonej trzciny jest w stanie ssać wodę z wilgotnego piasku, a za pomocą garnka żelaznego do kawy i rurek strzelby destylować umie wodę pochodzącą z bagien alkalicznych, której na-

pić się w stanie surowym byłoby dlań to samo, co wydać się na łup śmierci.

Rzadko się zdarza, aby bardzo starzy ludzie mieli odwagę puszczać się na pustynię albo w góry dzikie za prospektowaniem; młodzi nie lubią też zrzekać się towarzystwa i przyjemności życia miejskiego i wieść samotny i koczowniczy żywot pośród dzikich okolic. Prospektor z krwi i kości należy do szczególnego typu ludzi, mającego też pewne pokrewieństwo z trapperami.

Myśli jego za dnia, a marzenia senne w nocy, obracają się i koncentrują około wielkich i bogatych żył drogich kruszców; jest on też zwykle ścisłym badaczem natury i potrosze filozofem. Nic nie ujdzie jego baczności w czasie poszukiwalnego przez pustynie pochodu. On nietylko ściśle obserwuje każdą skałę i każdy kamyk pod nogami się walający, ale też uwagę zwraca na każdy odcień zabarwienia skłonów albo ścian gór odległych, a każdy odcień koloru posiada dlań osobne znaczenie. Z koloru gór i ich konfiguracyi jest też w stanie rozpoznać, azali się w nich woda znajduje.

Panwia (miska) i korytko rogowe wystarczają mu zupełnie na zbadanie napotkanych materyałów, azali się w nich złoto znajduje, aby zaś dowiedzieć się, czy w napotkanej rudzie srebro się także znachodzi, ma ze sobą buteleczkę z kwasem saletrowym, flaszkę florencką i kilka rurek szklanych *(Reagenzgläser)*, albo jeśli się zna na użytku dmuchawki, jej pomocy używa gdy się znajduje w okolicy, w której występują kruszce z rodzaju takich, jakie hutniczemu procesowi topienia podlegają (np.: połączenie srebra z galmanem i rudami miedzi).

Gdy prospektor na kawał bogatego kwarcu napotkał i następnie zabrał się do śledzenia żyły, z której ów kwarc pochodzi, wtedy to dla towarzysza jego, osła, dobre nastają czasy. Pasie się naówczas w pobliżu tymczasowego domu, który pan jego dla siebie wystawił. Gdy żyła, za którą prospektor śledzi, należy do rzędu żył ślepych *(blinde veins)*, często pracować musi ciężko, zanim ją odkryje. Wspinając się w poszukiwaniu za żyłą po pochyłości pagórka albo góry, wnet dochodzi do punktu, gdzie występowanie odłamów kwarcowych ustaje, gdy te ziemią i rumowiskiem pochodzącem z wyżej położonej części góry przykryte zostały. Wtedy to nie pozostaje mu nic innego do zrobienia jak wcisnąć się za pomocą wązkiego rowu w bok góry. Przy rozpoczęciu tej roboty kopalnej, luźne odłamy kwarcu, które zniknęły z powierzchni, znajdą się w głębokości kilku zaledwie cali pod powierzchnią ziemi. W miarę jak ten przekop naprzód postępuje,

wzmaga się ciągle głębokość znachodzenia odłamów kwarcowych, a gdy wkońcu znajdą się bezpośrednio na skale, z której się góra składa, wtedy prospektorowi wiadomo, że praca jego wnet się skończy i że znajduje się w pobliżu żyły.

Tak wygląda prospektor w życiu powszedniem, codziennem, bez domieszki romantyzmu, i taka jest jego w górach praca. Wiele o nim pisano jako o pionierze cywilizacyi, a w świetle tem tyle razy przedstawiło go nam pióro prawdziwych mistrzów, że przedmiot ten z tej strony za wyczerpany uważać należy.

Prospektora wielu w opowieściach swoich stawiało obok żeglarza Sinbad'a i barona Münchausena, ale zdaje się, że daleko słuszniej należałoby mu się, z powodu pustelniczego i samotnego życia, na jakiem często cały żywot mu schodzi, imię Robinsona Crusoe, a wiernemu jego towarzyszowi w oślej skórze imię Piętaszka.

Prospektor ma też wszelkie prawo uchodzić za najgroźniejszego Indyan wroga, a sposób jego potykania się z czerwonoskórcami przypomina metodę wojenną Partów, tj. walkę na śmierć i życie w chwili cofania się. Opowiadania jego o walkach staczanych z Indyanami, są prawie zawsze opowieściami o mistrzowskiem cofaniu się, kończącem się regularnie prawie straszliwą klęską dla ścigających go Komanszów, Apaczów i tym podobnych plemion autochtonów amerykańskiego kontynentu.

Modest Maryański.

Druk ukończony 28 czerwca 1886 r.

WRAŻENIA Z WIECU KATOLICKIEGO W KRAKOWIE.

Czy wiec katolicki w Galicyi jest potrzebny, jest możebny? Nie tak dawno jeszcze temu przechodziło społeczeństwo nasze i prasa nad tem pytaniem po prostu do porządku dziennego; później, zwłaszcza od czasu wiecu katolików austryackich w Wiedniu, a bardziej jeszcze od czasu kongresu toruńskiego, płodnego w oczywiste, namacalne rezultaty, odzywać się poczęły bardzo poważne głosy: „Nietylko jest potrzebny, możebny, ale nawet konieczny“; głosy te znajdowały z dnia na dzień coraz szerszy i szczerszy oddźwięk; aż znaleźli się ludzie energiczni i rozumni, którzy nie zadawalniając się powtarzaniem powszechnych życzeń, przybrali je w konkretną formę; miasto utyskiwać: „My zawsze za innymi daleko w tyle musimy pozostawać“, postarali się o usunięcie samychże fundamentów tej skargi i dowiedli już nie słowem, lecz czynem, że mieli racyę ci, którzy utrzymywali, że wiec katolicki w Galicyi był możebny, że do pewnego stopnia był potrzebny.

Dziś, kiedy zakończyły się już, a zakończyły się tak wspaniale i podnosząco, obrady i uroczystości wiecowe, dwóch zdań w tym względzie być nie może, i istotnie niema. Mogły być, a do pewnego stopnia przy pierwszym, próbnym niejako wiecu, musiały być w szczegółach pewne braki, pewne cienie, ale całość obrazu wypadła tak pięknie, że cieni tych ani znać nie było, i przynajmniej w czasie samego wiecu nikt nie miał z pewnością chęci, z mozołem ich odszukiwać. A i po wiecu, po ochłonięciu

z pierwszych wrażeń, najsurowszy nawet i najmniej przychylnie usposobiony sędzia przyznać musi i powtórzyć, co powtarzali uczestnicy wszelkich stanów, najrozmaitszych usposobień, ze wszystkich stron kraju przybyli: „Wiec w całości swej tak się udał, że przeszedł najśmielsze oczekiwania".

Wygląda to na frazes, na oklepany nieco komplement, który dobre wychowanie nakazuje wypowiedzieć, po ukończeniu każdej, mniejsza o to materyalnej, czy moralnej uczty, jej organizatorom i gospodarzom. Kto na wiecu był i brał sumiennie udział w jego nietylko uroczystych zebraniach, ale bardziej jeszcze w sekcyjnych obradach, ten poświadczyć może, że nie jest to ani frazes, ani komplement. „Przyjechałem — słyszeć można było raz po raz — z obawą, z niedowierzaniem, wahałem się czy przyjechać; dziś Bogu dziękuję, że tym obawom ucha nie dałem". Zresztą wystarczyło rozglądnąć się po salach, w których cisnęli się wiecownicy: po olbrzymiej sali „Sokoła", po zbyt ciasnych, niestety! salkach w gimnazyum św. Anny; wystarczyło przypatrzyć się ich twarzom zainteresowanym, nieraz rozjaśnionym, połykającym słowa prelegenta; przysłuchać się, jak żywy udział w dyskusyi brali, jak później, po ukończonych już urzędowych posiedzeniach, w ściślejszych kółkach i kółeczkach, między sobą dysputowali! Takim udziałem i zainteresowaniem się, nie wiem czy wiele innych zjazdów mogłoby się pochlubić; a przecież najnieomylniejszy to może znak, że zgromadzenie jakieś ma racyę bytu; najpewniejszy prognostyk, że bez rezultatów nie minie.

Prawda, że wszedłszy raz w koło tych obrad, niepodobna było niemi się nie zainteresować. Znam takich, którzy sobie obiecywali, że na jedno tylko pójdą posiedzenie, że w czasie sekcyjnych obrad będą li tylko niemymi spektatorami i ust bądź co bądź sami nie otworzą. Ba! łatwo zrobić takie postanowienie, ale jak go dopełnić, gdy program każdego uroczystego posiedzenia tak ciekawy i pociągający; gdy na sekcyi — mniejsza o to, prasowej, czy szkolnej — wrzeć zaczyna dysputa o kwestyach dziś najważniejszych, najbardziej aktualnych, poruszających wszystkie myślące umysły? I jakże się dziwić, że poprzednie postanowienia szły w niepamięć, i że jeżeli w czem największa

była trudność, to w zaciśnięciu dyskusyi w granicach nakreślonych z góry przez referentów; trudność zwłaszcza, w wielkim nawale materyałów z jednej strony, a w braku czasu z drugiej, który nie dozwalał przyjrzeć się każdemu z przedłożonych punktów tak dokładnie i spokojnie, jakby to w interesie rzeczy było pożądanem.

Z powodu właśnie tego wielkiego — czy nie za wielkiego?— nawału materyałów, podzielił się wiec aż na ośm sekcyj. Obradowały one mniej więcej jednocześnie, tak, że kto w paru lub kilku chciał brać udział, znajdował się w bardzo kłopotliwem położeniu, nie mogąc się nieraz zdecydować, gdzie skierować kroki. Sam pamiętam, w jakim byłem kłopocie pierwszego zaraz dnia. Do sekcyi szkolnej ciągnął mię referat o szkole wyznaniowej, po którym, jak zapewniano wokoło, wywiązać się musiała ożywiona i zasadnicza dyskusya. W sekcyi „życia katolickiego“ miał ks. dr. Gorazdowski referować w sprawie towarzystw i instytucyj dobroczynnych, zalecić Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, przedłożyć potrzebę zakładania domów przymusowej pracy dla włóczęgów i żebraków, kolonij rolniczych dla nieletnich przestępców. Ciekawy to temat, ale czy i jak znowu opuścić niemniej chyba aktualny i doniosły wykład d-ra Jordana, w sprawie opieki nad terminatorami; niemniej interesujący, zwłaszcza dla kogoś, co z piórem i atramentem, książkami i dziennikami musi mieć wciąż do czynienia, referat d-ra Sternala, o polskiej beletrystyce? Ostatecznie, choć z bólem serca, zdecydować się musiałem na ograniczenie się do wzięcia udziału w obradach jednej, dwóch co najwyżej sekcyj. Zresztą nie piszę obecnie sprawozdania z wiecu; uczyniły to w lot gazety codzienne, uczyni to jeszcze, a wyczerpująco „Książka pamiątkowa“, nad której wydaniem już się pracuje. Nie myślę również pisać panegiryku wiecu. Wiec pochwały nie potrzebuje, bo się udał; komitet urządzający, a mianowicie dusza jego, ks. prałat Chotkowski, *qui portavit onus diei,* również pochwały nie potrzebują, bo do tego rezultatu ponad wszelkie spodziewanie doprowadzili. A że nie mógł wszystkiego przewidzieć, przygotować, obrobić, jakby nam się zdawało najlepiej — to nie temu się dziwować trzeba,

ale temu, że tyle przewidział, przygotował i zdziałał! Któż nie wie, że zorganizowanie czegokolwiek w naszem społeczeństwie nie idzie od ręki? a cóż dopiero pierwszy wiec katolicki? Skreślę więc tylko po prostu swoje wrażenia, bądź na zebraniach, na których udało mi się uczestniczyć, bądź poza niemi odniesione, tak dodatnie jak i ujemne: nie dlatego żeby kogokolwiek krytykować — bo tu, jak powiedziałem, o niczyjej krytyce mowy być nie może — ale dlatego, że to pierwszy, a da Bóg, nie ostatni nasz wiec, i zależy na tem, żebyśmy sobie powiedzieli, na co więcej zwracać uwagę na przyszłość, i żeby się samowiedza kraju o sprawie wiecowej wyrabiała.

Cóż się więc działo po sekcyach? Pierwsza, naprzeciwko wejścia gmachu św. Anny, wpadała w oczy sekcya szkolna. Ścisk w niej nadzwyczajny.

Już przed wiecem toczyły się w poufnych kołach nieraz długie pogadanki, czy i jakie stanowisko wiec zająć powinien w tak żywo całą katolicką Austryę obchodzącej sprawie szkoły wyznaniowej. Nie chodziło tu oczywiście o samą zasadę, co do której dwóch zdań być nie mogło; lecz o to jedynie, czy na razie będzie rzeczą praktyczną i pożyteczną, kwestyę tę ze zbytnim naciskiem na jaw wywodzić, czy opinia, przez liberalną prasę na manowce wprowadzona, nie zlęknie się nazwy: „wyznaniowa szkoła“, i będąc w gruncie z pewnością za samą rzeczą, niepopularnej nazwie w ofierze jej nie złoży. Osądzono jednak bardzo słusznie, że wiec, dający wyraz opinii katolickiej kraju, musi właśnie tę kwestyę wyjaśnić i dlatego postawiono ją zasadniczo. Otóż kwestya ta spotkała na wiecu przyjęcie nierównie lepsze, niż się spodziewano. Wszystkie głosy, jakie się odzywały w sekcyi, tak za, jak przeciwko referatowi, z największą jednomyślnością uznawały zasadę; referent powiedzieć mógł z radością na końcu, że widocznie duch odrodzenia katolickiego wieje od kilku lat w naszem szkolnictwie. Referat ten, z powodu ważności rzeczy, podajemy niżej w całości. Po tej kwestyi zasadniczej podniesiono wiele spraw praktycznych i potrzeb bieżących: o religijnem wychowaniu ludowych nauczycieli i młodzieży w szkołach średnich; o opracowanych w duchu katolickim podręcznikach

szkolnych; o potrzebie założenia w obu uniwersytetach krajowych osobnej katedry filozofii chrześcijańskiej, z której na pierwszem miejscu i obowiązkowo korzystaliby kandydaci stanu nauczycielskiego. Referenci — wszyscy bez wyjątku ze szkołą nietylko teoretycznie, ale i praktycznie zapoznani — stawiali wnioski nieraz bardzo daleko idące, a wnioski te nietylko nie raziły, nie spotykały się z krytyką, lecz przeciwnie wywoływały bardzo żywe, powszechne uznanie.

Osobnej sekcyi socyalnej, której na żadnym z zagranicznych kongresów katolickich zwykło nie brakować, nie było na naszym wiecu; nie było przynajmniej sekcyi, któraby urzędowo nazwę tę nosiła. Dlaczego? Przyznajemy się, że jesteśmy w pewnym kłopocie co do odpowiedzi na to pytanie; nie dlatego przecież, jak ktoś z boku nieco naiwnie wytłumaczyć mi pragnął, aby nie przyznać się przed zagranicą, że i u nas już kwestya socyalna istnieje; aby nie dać naszym socyalistom powodów do przechwałek: „Widzicie, jaką jesteśmy siłą, kiedy wiec katolicki musiał z nami się rachować i z nami wojować". Inne musiały być racye, może i słuszne, ale kiedy ten brak wielu wiecownikom wpadł w oczy, trudno i nam milczeniem go pominąć, boć ani nam, ani czytelnikom naszym, ani tem mniej organizatorom wiecu nie chodzi tutaj o sztuczną reklamę na cześć wiecu, której nie potrzebuje; o hymn pochwalny na cześć jego wzniesiony, na który sobie zresztą ze wszech miar zasłużył, ale który w gruncie mniejszą zwykł bywać i bywa pochwałą, niż jasne, bez ogródek, raczej za surowe, niż za łagodne słowo krytyki. Prawda, że do pewnego stopnia wypełniała ten brak sekcya przemysłowo-ekonomiczna, wypełniały niektóre referaty w sekcyi życia katolickiego, również wygłoszone na uroczystych zebraniach mowy: bardziej teoretyczna ks. prałata Gnatowskiego, i sięgająca do wprost praktycznych pytań d-ra Jordana; ale mowy te i referaty wypełniły, powtarzamy, tę lukę tylko do pewnego stopnia. Opieka nad terminatorami, udział duchowieństwa w stowarzyszeniach rzemieślniczych, uregulowanie zbytu wyrobów przemysłowych i rękodzielniczych, zawiązywanie stowarzyszeń współdzielnych a w szczególności produkcyjnych, świę-

cenie niedzieli, unormowanie prawa instytucyi uczniów przemysłowych, rozwinięcie politycznych stowarzyszeń przemysłowych w zakresie rękodzieł; — któż nie przyzna, że to wszystko kwestye ważne, tak ważne, iż każdej z nich z osobna wartoby osobną sekcyę, osobny może i wiec poświęcić? Ale któż też, kto bywał na posiedzeniach tej sekcyi, nie przyzna, że parę — bynajmniej nie wszystkie — z odczytanych sprawozdań, były zanadto fachowe, sięgające w szczegóły, mogące zainteresować tylko szczupłą garstkę ludzi, oddanych specyalnie pewnym zawodom, a tem samem mniej odpowiednie na wiec katolicki, który z natury rzeczy opierać się musi na szerszych warstwach, poruszać przedmioty obchodzące ogół, obchodzące wszystkich katolików, jako katolików? Z drugiej znów strony, jak zaprzeczyć, że niektóre nawet z najważniejszych kwestyj, interesujących do najwyższego stopnia zebranych, których poruszenia czekali, jako rzeczy samo z siebie się rozumiejącej, i o których w prywatnych rozmowach wciąż było słychać, zostały ledwo że dotknięte lub dotknięte tylko na uroczystych posiedzeniach, na których z natury rzeczy nie mogło być duskusyi, a więc tak cennego wspólnego porozumienia się i omówienia poruszonych pytań? Jak zaprzeczyć, że np. walka przeciw agitacyi socyalistycznej, mniejsza o to po miastach czy po wsiach, w tej czy w innej objawiająca się formie, przez tych czy przez innych agitatorów prowadzona, nie została gruntowniej i dokładniej omówioną i przygotowaną, plan jej w głównych liniach i wspólnemi siłami wytyczony, broń i środki oznaczone? A przecież dziś, kto wie, czy nie najżywotniejsza to u nas sprawa; kto wie, czy ona właśnie nie wymaga zwrócenia na siebie najbaczniejszej uwagi katolickiego naszego społeczeństwa?

Jak zresztą kwestya socyalna, w najogólniejszem tego słowa znaczeniu, jest doniosłą, aktualną i wszystkie inne zagadnienia przenika i wszystkie umysły zaprząta — tego najlepszym dowodem, że referaty stojące z nią w dość ścisłym stosunku, znalazły miejsce aż w trzech sekcyach: przemysłowo-ekonomicznej, życia katolickiego i rolniczej. Będziemy mogli spokojniej patrzyć na płynące z Zachodu socyalistyczne prądy, będziemy mieli drzy-

najmniej uprawnioną nadzieję, że po wsiach gruntu dla siebie nie znajdą, jeżeli — jak domagał się tego poseł dr. Herman Czecz — zapewnić potrafimy samoistny byt gospodarstwom włościańskim; jeżeli — o czem znowu referował p. Stanisław Dąbski — udzielimy jak najusilniejszego poparcia chrześcijańskim sklepikom wiejskim. Po miastach i miasteczkach, a w części i po wsiach, wałem takim ochronnym jest utrzymywanie istniejących, zakładanie nowych towarzystw i instytucyj dobroczynnych, organizowanie katolickich czytelń, rozwój bractw kościelnych. Dalej wzrokiem sięgając, do rozsianych już dziś po świecie całym: w Niemczech, Australii, Ameryce północnej i południowej — kolonij polskich wychodźców, niezbędnem jest, i to jak najrychlej, obmyśleć dla nich odpowiednią pomoc duchowną, jeżeli roztopić się nie mają w żywiole nam obcym nietylko narodowością, ale zazwyczaj i religią; jeżeli, wracając później do ojczyzny, lub choćby z daleka, przez listy swe i wpływy nie mają się w niej stać rozsadnikiem zasad najzgubniejszych, idei socyalistycznego przewrotu. Dwa, uzupełniające się nawzajem referaty: ks. M. Czermińskiego: „O potrzebach duchowych wychodźców polskich w różnych częściach świata“, i prof. Thullie'go: „O opiece nad wychodźtwem i Towarzystwie św. Rafała“, odkryły, mówiąc dokładniej, przypomniały tę wciąż jątrzącą się ranę; zapytywały, jakich użyć lekarstw, aby ranę tę uleczyć, uleczenie jej przynajmniej, wedle sił i możności, przyspieszyć. Obaj referenci — pierwszy mówiąc o emigracyi polskiej w ogólności, drugi o Brazylii w szczególności — zgodzili się, że obecnie jedną z najgłówniejszych potrzeb jest zakładanie wśród polskich osad, polskich klasztorów, które stałyby się tam niezdobytemi twierdzami moralności, wiary, a wespół z nią i narodowości. Daj Boże, żeby myśl ta znalazła oddźwięk, doczekała się wykonania i to jak najprędszego.

Najbardziej może ożywione obrady toczyły się w sekcyi dziennikarsko-piśmienniczej; wrzało tu czasami jak w ulu, jak w redakcyi dziennika, gdy tuż przed oddaniem go pod prasę ważne wiadomości napływać zaczynają. Głównie nad trzema

punktami — a nie wiedzieć który z nich ważniejszy — toczyły się tu rozprawy: nad usunięciem wszelkiego rodzaju niewłaściwości i wykroczeń przeciw wierze, a bardziej jeszcze przeciw moralności w polskiej beletrystyce, teatrze, gazetach, galeryach obrazów; nad nadaniem prawdziwie katolickiego kierunku ludowemu piśmiennictwu i skierowaniem na bardziej wybitne katolickie tory krajowego dziennikarstwa.

Na główne zasady, wyrażone przez referentów, zgadzali się naturalnie wszyscy bez zastrzeżeń; a jeżeli raz czy dwa wyszło na jaw lekkie jakieś zastrzeżenie, pokazało się niebawem, że wypływało ono po prostu z nieporozumienia. Boć istotnie, jakże kto mógł nie przyklasnąć np. d-rowi Sternalowi, kiedy tenże domagał się, aby polska prasa i wogóle polskie piśmiennictwo, starało się zapoznać swych czytelników z powieściami pisanemi w chrześcijańskim duchu; aby czytająca publiczność unikała książek sprzecznych z nauką katolickiego Kościoła? Jak było oburącz nie przyklasnąć i całem sercem nie podziękować prof. Thullie'mu, kiedy w równie świetnie, jak gruntownie opracowanym referacie, piętnował straszną i smutną propagandę niemoralności za pomocą złych książek, fotografij, obrazów, utworów dramatycznych, i wzywał całe katolickie społeczeństwo, katolicką prasę i stowarzyszenia do wspólnej walki z tą zarazą? Podobnież nikt protestować nie mógł przeciw przewodnim ideom zawartym w referatach ks. Korzeniowskiego i d-ra Czaykowskiego o naszem dziennikarstwie; nie protestowali przeciw nim obecni przedstawiciele konserwatywnych pism krakowskich, owszem najzupełniej, z wszelkim naciskiem godzili się i podkreślali sami, że dzienniki usuwać powinny z swych łamów wszystko, co szkodliwie oddziałać może na wyobraźnię, na moralność; że starać się winny o rozwinięcie żywszej jeszcze niż dotychczas akcyi w duchu katolickim. Nie mogło nakoniec być i nie było dwóch sprzecznych zdań o niezmiernie ważnej roli, jaką piśmiennictwo ludowe już zajmuje, a w każdym razie zajmować powinno; nie mogło być wątpliwości, że wielkie to swoje zadanie spełnić potrafi należycie jedynie wtedy, jeżeli — jak to obszernie, z fachową znajomością rzeczy wyłożył prof. Matusiak — utwierdzać będzie w ludzie

wiarę katolicką, na jej podstawie rozwijać świadomość narodową, umacniać zgodę i miłość wszelkich stanów, a wreszcie, uwzględniając ubóstwo naszego kraju, mieć na oku nietylko moralne, ale i ekonomiczne podniesienie ludu.

Co innego, gdy z ogólnych tych zasad przejść należało do poszczególnych, praktycznych zastosowań i wniosków. Łatwo powiedzieć i wszyscy obecni mówili i powtarzali: trzeba, aby dzienniki nasze żywiej zajmowały się interesami Kościoła, aby zasady katolickie afirmowały zawsze jasno, stanowczo; pożądanemby było utworzenie agencyi informacyjnej dla sprawdzania wiadomości z Rzymu; pożądanem i nader pożądanemby było założenie materyalnie niezawisłych, popularnych a tanich gazet i gazetek katolickich, któreby mogły wystąpić do zwycięskiej walki z mnożącą się z dnia na dzień i szerzącą się po wsiach, miastach i miasteczkach prasą socyalistyczną, skandaliczną, radykalną. Dobrem, pożądanemby to było; ale kto, gdzie, jakiemi środkami ma dzienniczki te zakładać; kto i jak zająć się ma utworzeniem owej agencyi; kto i w jaki sposób przeprowadzić owe żywsze rozbudzenie katolickiego ducha w istniejącej już prasie, tej przynajmniej, która sama „katolicką“ się zowie, i w głównych liniach z pewnością katolicką jest. Żywe debaty toczyły się nad temi pytaniami, poruszono mnóstwo zagadnień, podniesiono wiele zarzutów — nie zawsze, zdaje nam się, usprawiedliwionych, ale zawsze z pewnością z najlepszej woli płynących, a zawsze również z największą zwalczanych uprzejmością. Do ostatecznych, ściśle praktycznych rezultatów narady te nie doprowadziły; za mało do tego było czasu a za wielka stosunkowo liczba uczestników; proponowany nawet przez referenta wybór osobnego „wykonawczego komitetu“ nie przyszedł do skutku, bo istotnie wobec zbyt różnych zdań, które w toku dyskusyi się objawiły, wobec widocznie bardzo podzielonych przekonań licznie zgromadzonych słuchaczów o tem, jak praktycznie do reformy dziennikarstwa w duchu katolickim wziąćby się należało, dojść, prawdę mówiąc, trudnoby było, co właściwie ów wykonawczy komitet miałby wykonywać.

Czyż dlatego długie te, gorące rozprawy były bezowocne?

Przeciwnie, — jak zauważył bardzo prawdziwie redaktor *Czasu*, p. Chyliński — już samo zetknięcie się tylu światłych, tylu szczerych katolików z przedstawicielami prasy; już samo wspólne omówienie wspólnych interesów, wzajemnych żądań i postulatów, musi być dla katolickich dzienników nadzwyczaj cenną i ważną rzeczą: odsłania im w jaśniejszem świetle żądania i potrzeby katolickiego społeczeństwa, daje wskazówki, jak tym żądaniom w miarę sił i możności odpowiadać. Nie wyrosną zapewnie od razu po tych rezolucyach katolickie organa i katoliccy pisarze jak grzyby po deszczu; ale też najniesłuszniejszem byłoby przypuszczenie, że ziarno tu zasiane żadnego owocu nie wyda. Kto bacznie przysłuchiwał się nietylko urzędowym naradom ale i prywatnym rozmowom uczestników, ten potwierdzić może, że w ostatnich godzinach wiecu panował nastrój o wiele korzystniejszy dla konserwatywno-katolickiej naszej prasy, aniżeli w pierwszych; że wielu pozbyło się dla niej niejednego uprzedzenia, złożyło niejedną niechęć. Szczęśliwy to prognostyk, i o to teraz tylko chodzi, aby i same te dzienniki, szczęśliwemu temu zwrotowi starając się odpowiedzieć, utrzymać go i wzmocnić, o ile można energicznie i jawnie wprowadziły w praktykę wiecowe rezolucye!

Przechodząc z sekcyjnych obrad w gimnazyum św. Anny, z wązkich i nizkich ławek szkolnych do ogromnej sali „Sokoła“, w której wieczornemi godzinami odbywały się uroczyste zebrania, odmienny spotyka się widok, inne wrażenia jedne za drugiemi się cisną. Na sekcyach bywało zazwyczaj po kilkudziesięciu uczestników, wyjątkowo — jak na sekcyi szkolnej, prasowej, gdy ciekawsze referaty na stół przychodziły — po paruset; w „Sokole“, kto przezornie pół godziny naprzód miejsca nie zajął i wytrwale go nie pilnował, ten napróżno za krzesłem się oglądał; w przedniej części sali formalny panował ścisk. Na galeryach, zajętych przez panie, jeszcze większe niemal przepełnienie; biada tej, która nie przyszła zająć miejse zawczasu.

Miejsc wolnych więc nie było w sali, ale czy nie było w składzie tej publiczności? Rzucając po niej okiem, spostrzegało się od razu pewne braki. Duchowieństwo zebrało się ze

wszystkich części kraju; ale to nie dosyć; wiec jest przedewszystkiem akcyą społeczeństwa świeckiego, a w sali uderzał pewien brak licznego obywatelstwa, które się przecież dość licznie przedtem zebrało na wyścigi. Wiemy doskonale, że to nie obojętność dla sprawy katolickiej, ale może jakieś niedowierzanie w dojście do skutku pierwszego wiecu, może niedość liczne i niedość wczesne rozesłanie uwiadomień po prowincyi. Zapisujemy tylko fakt dla przestrogi na inny raz. Więcej jeszcze dziwił nas brak krakowskich przemysłowców i rzemieślników. Tu może w grę wchodziły jakieś niczem nie usprawiedliwione uprzedzenia, a może i agitacye wręcz przeciwko wiecowi skierowane. Są ludzie, którym zależy na tem, aby nie dać przypatrzyć się prawdzie. Również brakowało w sali sukman chłopskich. Pierwszego dnia było jeszcze dość włościan, przybyłych na zjazd Kółek rolniczych; ale następujących dni znikli, podobno także odwiedzeni. Innym razem będzie się można postarać zawczasu o poważny zastęp włościan, który się nie da byle czem zbałamucić, a rozniesie po wsiach wiadomość, jak szczerze dolą pracujących i ubogich zajmują się katolicy. Najdotkliwiej może uderzał brak młodzieży, zwłaszcza akademickiej — której tu może najbardziej było potrzeba. I tu jeszcze nie obwinialibyśmy tyle obojętności z ich strony, jak raczej może brak rzuconego między nich hasła, zawezwania. Podobno też niektórzy z profesorów uniwersyteckich wpłynęli na tę absystencyę, nie przerywając w ciągu tych dni swoich wykładów. Pewnie, że te wykłady są ważne, ale kiedy przerywać się mogą dla takich obchodów jak pogrzeb Lenartowicza i t. p., to i pierwszemu wiecowi katolickiemu w kraju ustąpić mogły. Młodzież, którą się uznaje za dojrzałą do ciągłego parlamentowania w czytelniach i innych uniwersyteckich towarzystwach, tem bardziej dojrzałą jest do wzięcia choć biernego udziału w tak znaczącym i pouczającym objawie katolickiego życia kraju, jakim jest wiec katolicki.

Jeszcze nadmienić chcieliśmy o niefortunnym braku przedstawicieli z Wielkopolski — ale już dosyć o tych brakach. Sala i tak jest przepełniona. Każdy stan, każda warstwa społeczeń-

stwa ma w niej choć szczupłą reprezentacyę. Estrada, przeznaczona dla prezydyum wiecu, dla świeckich i duchownych dostojników, zlewa się w jeden obraz z purpury, fioletów i różnobarwnych kontuszów i delij. Kto z galeryi, z muzycznego chóru mógł okiem objąć całą salę, przypatrzyć się z jaką uwagą tysiączni słuchacze, w mówców wpatrzeni, słowa ich chwytali, jak niedwuznaczne dawali dowody prawdziwego entuzyazmu, które słowa te w nich wzbudzały, — temu serce musiało róść w piersi i bądź co bądź — czy poprzednio należał do zwolenników, czy do przeciwników zwołania katolickiego wiecu — przyznać musiał, że miał on racyę bytu, kiedy tak zapala i wzrusza, miłość dla Kościoła i wszystkiego co wzniosłe ożywia; umysł i serce podnosi.

Entuzyazm ten niczem niepowstrzymany objawiał się zwłaszcza i do zenitu dochodził przy kilku przemowach, które — jak ktoś prawdziwie się wyraził — były nie tak mowami, jak raczej czynami, i to wielkiej doniosłości, w rozwoju naszych dziejów. Trzy mowy, wypowiedziane przez trzech książąt Kościoła: krakowskiego Kardynała, ormiańskiego Arcybiskupa i ruskiego Metropolitę, są, na pierwszem miejscu choć każda w innym rodzaju, z innego punktu widzenia, takiemi czynami. Kardynał Dunajewski wyjaśniał na wstępnem zebraniu wielkie cele wiecu, roztaczał program przyszłej katolickiej działalności; zamiarem i pragnieniem naszem: nie toczenie walki, ale utrwalenie się w obowiązkach, nie pognębienie innych, ale umocnienie się w zasadach, któremi silni ojcowie nasi potrafili ojczyznę pod Częstochową od zagłady obronić. Arcybiskup Isakowicz okazał całą pełnię miłującego swego serca w podniosłem przemówieniu, wzywającem naród do walki ze złem, do przejęcia się zasadami wiary we wszystkich objawach życia, do przelania jej w czyny. Bardziej szczegółowych potrzeb i pytań, stających mimowoli wciąż przed oczami każdego miłującego swą wiarę i kraj Rusina czy Polaka, dotknął ks. metropolita Sembratowicz; a dotknął widocznie po bożemu, rozumnie i z miłością, kiedy przemowa jego po rusku wygłoszona, przemieniła się w nieprzestanną, wspaniałą owacyę. Bo też rzeczywiście, przemowa ta, to zarazem najpiękniejszy i najrozumniejszy polityczny i narodowościowy

program — program płynący z głębokiego zrozumienia wspólnych dawnych dziejów i dzisiejszych interesów, a którego, daj Boże! abyśmy wszyscy bez wyjątku, mniejsza o to na wschodnich czy na zachodnich kresach naszej prowincyi, równie silnie i wytrwale się trzymali. — „Tylko w katolicyzmie, zatwierdzał i przestrzegał mowca, jest przyszłość Rusi; wie ona o tem, i boleśnie dotykać ją musi, gdy tak często podejrzewają ją o skłonność do schyzmy. Podejrzenia takie nie przynoszą Unii pożytku ni pomocy, a jednak pomocy, wobec licznych z wielu stron grożących jej niebezpieczeństw, bardzo potrzebuje; do niesienia tej pomocy wszyscy bracia Polacy poczuwać się winni. Mogły zachodzić pewne spory między Polakami a Rusinami w innych kwestyach, ale w rzeczach wiary sporów być nie mogło i nie było. Jeśli własne obopólne dobro istotnie na sercu nam leży, to nie rozdwajajmy się, ale łączmy się, ale wzajemnie sobie dopomagajmy“...

Uroczysty nastrój, porywający entuzyazm, jaki panował w czasie tego prawdziwie pasterskiego przemówienia, porównać się tylko da z nastrojem i entuzyazmem, wywołanym mową hr. Tarnowskiego: „O niebezpieczeństwach grożących Kościołowi w naszym kraju“, wypowiedzianą na zakończenie wiecu. Przemówienie to ciepłe a podniosłe, tak po prostu wyprowadzające z katolicyzmu wszystkie nasze obowiązki polityczne i prywatne, a nasze wady i zboczenia od tej normy katechizmowej tak wybornie karcące — świetnem było zakończeniem, pieczęć na obradach całego wiecu przyłożyło, zatarło w pamięci cokolwiek może, przez cały przebieg obrad, mogło komu mniej przypadać do serca i przekonania. Każdy już zapewne czytał tę mowę w gazetach, ale jeżeli kiedy, to w tym przypadku prawdą jest, że drukowane słowo nie zastąpi żywego. Jedynie uczestnicy wiecu wiedzą, z jak uroczystą powagą a z jakim przytem ogniem przekonania płynęły jedne po drugich te wzniosłe zdania i jaki zapał wzniecały w publiczności, wyrażający się w nieustannym grzmocie oklasków, których echa jeszcze długo odbijały się w rozmowach po wiecu.

Na końcu jakże miło było widzieć papieskiego Nuncyusza,

otoczonego gronem dygnitarzy kościelnych i panów w polskich strojach, a mówiącego po łacinie do narodu o misyi Polski względem katolicyzmu. Przypominało to lepsze czasy, kiedy nuncyusze tak mawiali w sejmach — i budziło jakąś nadzieję w duszy.

Wiec skończył się, zostawiając po sobie, jak powiedzieliśmy na początku, najlepsze, krzepiące i podniosłe wrażenia, jak uznała jednomyślnie poważna prasa w kraju i poważna prasa za granicą; więcej niż wrażenia zostawił, bo ziarna jasnych myśli i zdrowych przedsięwzięć, które, da Bóg, nie zamrą w glebie naszej.

Ks. Jan Badeni.

REFERAT O SZKOLE KATOLICKIEJ.

Religia chrześcijańska tem się różni od innych wierzeń i kultów, że nie jest tylko doktryną, dogmatem, ani zbiorem modlitw i obrzędów, ale jest organizmem, religią uspołecznioną, Kościołem. A katolicyzm tem się jeszcze od innych wyznań chrześcijańskich wyróżnia, że jest organizmem żyjącym, czynnym, nie zamykającym swej żywotności w świątyniach i klasztorach, ale rozlewającym ją na cały ustrój i wszystkie funkcye społeczeństwa.

Kościół, katolicy wszyscy, o ile są Kościołem, dążą do zrealizowania królestwa Bożego na ziemi, i w tym celu mają różne aspiracye, różne wymagania praktyczne, porywają się do różnych przedsięwzięć. Wymagania te i przedsięwzięcia mogą w konkretnych szczegółach zapędzać się za daleko, zbaczać nawet pod wpływem ludzkich namiętności i rozmijać się z celem; ale panuje zawsze nad niemi i przez najwyższe organa Kościoła prostuje ich kierunek ten *Spiritus Veritatis*, ten Duch Boży, który tak dziwnym, tajemniczym a przecież widocznym sposobem utrzymać umie Boską istotę Kościoła wśród ziemskiej gliny i ludzkich naleciałości. Odróżniać zawsze trzeba w tych dążnościach zasady — i zastosowania tych zasad wśród wiru życia społeczeństw. Te ostatnie podlegać mogą krytyce; pierwsze są zawsze czystemi, stałemi, niewątpliwie bożemi ideami, przed któremi uchylić musimy czoła.

Otóż między temi zasadniczemi dążnościami i wymaganiami Kościoła, jest, było i będzie wymaganie szkoły katolickiej.

U nas zapanowały szczególne jakieś do szkoły katolickiej, i wogóle do wyznaniowej, uprzedzenia; tak dalece, że samo wymienienie tej sprawy wywołuje w wielu umysłach niechęć i odwrócenie uwagi. — Skądże ta niechęć? Przecież wogóle dla spraw katolickich jesteśmy życzliwi? Otóż rozszerzyły się u nas (może po części z winy nas księży) fałszywe o tej szkole wyobrażenia — strachy na Lachy. Szkoła wyznaniowa, wystawiają sobie, to cofnięcie się do stanu szkolnictwa, jaki był przed rokiem 60-tym — to pomnożenie nabożeństw i godzin religii z uszczerbkiem innych przedmiotów, których wyuczenie więcej czasu wymaga — to nadewszystko panowanie księży nad szkołą! Przymieszywa się też do tego drobna lokalna polityka: jeden chce przez wspólność szkoły spolonizować Żydów; drugi boi się tendencyj pewnych księży ruskich i t. d. i t. d. Ale pod temi wszystkiemi racyami i wyobrażeniami, tkwi głębsza przyczyna: doktryna liberalizmu, którąśmy przesiąkli za młodu, którą nam wpajały studya filozoficzne, prawnicze, nawet literackie (i dlatego trudno dziś niejednemu inaczej myśleć) — doktryna przedstawiająca religię jako rzecz prywatną, rzecz jednostki, a konsekwentnie uspołecznienie i wszystko co do niego należy, jako bezreligijne, bezwyznaniowe.

Otóż w tem jest radykalne przeciwieństwo, punkt wyjścia wszelkich nieporozumień między liberalizmem a katolicyzmem. Katolicyzm, Kościół, stoi, jak już nadmieniłem, na wręcz przeciwnej zasadzie: że społeczeństwo jako takie, powinno być chrześcijańskiem — nietylko jednostki każda dla siebie, ale cały ustrój ich uspołecznienia. A jeśli społeczeństwo powinno być chrześcijańskie, to w pierwszym rzędzie powinno dzieci swe na chrześcijan wychowywać. W tej jedynie suppozycyi Kościół je chrzci w niemowlęctwie. Wiecie, panowie, że póki społeczeństwo, w przeważnej liczbie pogańskie, nie dawało rękojmi chrześcijańskiego wychowania, póty Kościół chrzcił jedynie dorosłych. W tej myśli i wy też przynosicie swe dzieci do chrztu, nie czekając aż same sobie wyznanie wybiorą: bo wiecie, że to nie jest rzeczą dowolną, lecz powinnością ich jest być katolikami, a waszą — na katolików ich wychować.

Ale nietylko wy rodzice wychowujecie, wychowuje też szkoła — tem samem, że bierze te dzieci, kiedy sprawa wychowania jeszcze nie ukończona, a często kiedy ledwo zaczęta. Szkoła wychowuje przez pojęcia, jakie podaje młodocianym umysłom, przez środki, jakiemi działa na ich serca, aby od nich pewną miarę pracy i karności osiągnąć, przez osobisty wpływ nauczyciela, niemniej przez wpływ współuczniów, którzy są całym małym światem dla dziecka.

Najwięcej wychowuje szkoła niższa, mniej średnia, jeszcze mniej wyższa; bo naturalnym porządkiem wpływ wychowawczy maleje z latami, a przeważają studya, i to coraz samodzielniejsze. Dlatego to Kościół nie zrzeka się katolickich uniwersytetów, ale daleko mocniej domaga się katolickich szkół średnich, a najmocniej, zawsze i najpierwej katolickich szkół ludowych.

I czego się istotnie Kościół domaga? czy żeby sam był panem szkoły? — Kiedy państwo nie myślało jeszcze o opatrzeniu tej potrzeby społeczeństwa, Kościół zakładał szkoły, uczył, i był oczywiście panem w szkołach przez siebie założonych. Dziś, kiedy państwo dość powszechnie podejmuje się szkolnictwa, w krajach, gdzie uczy w duchu antyreligijnym, zostawiając jednak drugim wolność nauczania, jak we Francyi np., Kościół stara się obok państwowych, swoje szkoły zakładać; gdzie zaś państwo przywłaszcza sobie faktyczny monopol nauki, Kościół mu powiada: ucz, ale twe szkoły muszą być katolickie w katolickiem społeczeństwie. Tego jednego Kościół się bezwarunkowo domaga; a jeśli kiedy czego więcej żądał, to tylko warunkowo, o ile to w danych okolicznościach do zapewnienia tego jednego było potrzebnem.

A co to znaczy: szkoła katolicka — albo według ogólniejszej, dziś utartej formuły, szkoła wyznaniowa? Czy to, że w niej uczyć mają między innemi przedmiotami religii katolickiej? Aleć może szkoła bezwyznaniowa, może mahometańska zrobić katolikom tę grzeczność. A czy lekcya religii stanowi całe wychowanie, jakie szkoła daje?

Szkoła katolicka, to znaczy najpierw: że w niej wszystkie

przedmioty wykładają się po katolicku: tj. bez naruszenia żadnego z przekonań ani uczuć katolickich, z takim poglądem na rzeczy i sądem o nich, jaki mieć może uczony ale wierzący katolik. Bo, jak powiedzieliśmy, pojęcia o rzeczach, jakie się młodzieńczym umysłom wpaja, są pierwszym czynnikiem wychowawczym. — Rozumie się, że z tej samej przyczyny i podręczniki wykładów temuż prawu podlegają.

Szkoła katolicka, to znaczy po drugie: że całe etyczne prowadzenie uczniów, pobudki jakiemi się na nich działa, praktyki do których ich się zaprawia, oparte są prawdziwie na katolickiej etyce: bo, jakeśmy widzieli, to działanie na serce jest drugim, jeszcze ważniejszym od pierwszego, czynnikiem wychowawczym.

Szkoła katolicka, to znaczy po trzecie: że zawiera wyłącznie dzieci katolickie — i po czwarte, że nauczyciel jest również katolik; co suponuje, że dzieci innych religij mają osobne dla siebie wyznaniowe szkoły. Dwa te warunki muszą oczywiście pojedyńcze w praktyce przypuszczać wyjątki, nie uwłaczające zasadzie; ale zresztą nie wiem, czy w jakiem państwie łatwiej ten podział podług wyznań dałby się przeprowadzić, z *minimum* wyjątków, jak w państwie austryackiem. Warunki zaś te są równie jak dwa pierwsze niezbędne i szkole wyznaniowej istotne, bo bez nich i pierwsze byłyby niedorzeczne teoretycznie, a praktycznie niemożliwe. I jakżeż, proszę, wśród atmosfery szkoły mieszanej kiełkować ma w sercu i umyśle dziecka prosta, niezachwiana wiara i zakwitnąć pobożnością? Kolegując z towarzyszami różnych wyznań, może poddane nauczycielowi obcej religii, dziecko nabywać musi w tej szkole, nie obywatelskiej tolerancyi dla ludzi innych przekonań, bo ta z wiekiem dopiero przychodzi, ale obojętności dla samej religii, a przynajmniej nawpół świadomego wyobrażenia, że jedno wyznanie tylko względnie lepsze od drugiego — a to już jest podcięciem korzenia wiary.

Te więc cztery warunki stanowią istotę szkoły katolickiej, względnie wyznaniowej. Rozumie się, że Kościół, postawiony od Chrystusa jako najwyższy nauczyciel i stróż religii, ma rdzenne prawo do nadzoru nad szkołami pod tym względem; ale fałszem jest, żeby w nich domagał się koniecznie gospodarki, panowania

księży. Nawet z owego nadzoru ustępuje on w miarę, jak czy państwowa czy prywatna instytucya daje rękojmię, że po katolicku uczy i wychowuje. Tak dawnym autonomicznym wszechnicom w średnich wiekach, a niektórym aż do przeszłego stulecia, zaufał zupełnie, i nawet doktrynalne ich orzeczenia największem otaczał uszanowaniem. Dziś, kiedy przemaga system szkół państwowych, czy biskupi mają jak niegdyś programy nauk kreślić? czy mianować nauczycieli ludowych, jak to czynił biskup wrocławski na całym Szlązku aż do kulturkampfu? — to kwestye czasu, miejsca, praw nabytych; czy godziny religii mają być pomnożone, czy pensye katechetów podwyższone — to kwestye pedagogiki i finansów publicznych, które z tych punktów widzenia dyskutować się mogą; ale, jakkolwiek się te i tym podobne kwestye rozstrzygną, zawsze i bezwarunkowo szkoły katolickiej Kościół domagać się musi, a szkoły bezwyznaniowe, szkoły mieszane musi potępiać.

Wiadomo, jak często błogosł. pamięci Pius IX. w przemówieniach i listach swoich do tego przedmiotu wracał. Streścił zaś te swoje odezwy w dwóch tezach *Syllabusa*, 45-tej i 47-mej, w których liberalną doktrynę, przedstawiającą szkoły publiczne od wpływu Kościoła i wiary wyzwolone, jako wykwit cywilizacyi, surowo napiętnował [1]. — Dziś panujący nam Leon XIII. tę samą lekcyę niemniej często a bardziej może wyraziście potężnym swym głosem światu powtarza. „Kościół, — pisze on między in-

[1] *Syllab.* Prop. 47: „Postulat optima civilis societatis ratio ut populares scholae, quae patent omnibus cuiusque e populo classis pueris, ac publica universim instituta, quae litteris severioribusque disciplinis tradendis et educationi iuventutis curandae sunt destinata, eximantur ab omni Ecclesiae auctoritate moderatrice vi ac ingerentia, plenoque civilis ac politicae auctoritatis arbitrio subiiciantur ad imperantium placita et ad communium aetatis opinionum amussim".

Prop. 45: „Totum scholarum publicarum regimen in quibus iuventus christiana alicuius reipublicae instituitur, episcopalibus dumtaxat seminariis aliqua ratione exceptis, potest ac debet attribui auctoritati civili, et ita quidem attribui, ut nullum alii cuicunque auctoritati recognoscatur ius immiscendi se in disciplina scholarum, in regimine studiorum, in graduum collatione, in delectu aut approbatione magistrorum".

nemi w encyklice *Nobilissima*[1] — który jest stróżem i obrońcą „nieskazitelności wiary, który powierzoną sobie od Boga założyciela swego władzą wszystkie narody wodzić powinien do „chrześcijańskiej mądrości, i czuwać zarazem nad prawidłami „i instytucyami, w jakich kształci się młodzież do niego należąca — Kościół zawsze tak zwane szkoły mieszane „i neutralne otwarcie potępiał".

Kościół potępia szkoły mieszane, Kościół żąda szkół katolickich, wyznaniowych — to znaczy: nietylko Papież, nietylko księża, ale my wszyscy katolicy, o ile katolikami jesteśmy, tak sądzimy, do tego dążymy; nie wszędzie równie czynnie i równie samowiednie; ale gdziekolwiek katolickie życie gorętsze jest i więcej uświadomione, tam dążność ta objawia się czynami, walkami, ofiarami, zwycięstwami. Patrzmy dokoła po świecie: szkoła wyznaniowa świeci zawsze na czele katolickich programów.

Jeżeli do tej wysokiej racyi: że to jest wynikiem katolicyzmu, że się to należy prawdzie i Kościołowi i Bogu, godzi się dołączyć racyę utylitarną — to przypomnę starą prawdę, że społeczeństwo bez religii żyć nie może. Już mędrcy Grecyi — któż o tem nie wie? — tak nauczali; ale dziś nas jakoś ta prawda do żywego przypieka, kiedy ojcowie nasi, wierząc naiwnie liberalizmowi, spróbowali postawić społeczeństwo na innym fundamencie — a my dziś widzimy: tu socyalizm podkopujący wszystko, gdzie tylko resztki religijnego gmachu nie stawiają mu jeszcze oporu — tam rozkład moralności publicznej, dochodzący aż do szalonych rozmiarów Panamy. Jeżeli zaś pewnem jest, że społeczeństwo nie może żyć bez religii, to również pewnem i jasnem jest, że religia ostać się nie może bez religijnego wychowywania dziatwy i młodzieży.

---

[1] „Ecclesia integritatis fidei custos et iudex, quae delata sibi a Deo auctore suo auctoritate debet ad sapientiam christianam universas vocare gentes, itemque sedulo videre, quibus excolatur praeceptis institutisque iuventus quae in ipsius potestate sit, semper scholas quas appellant mixtas vel neutras aperte damnavit". *(Encycl. Nobilissima 8 febr. 1884 ad eppos Galliae).*

Cóż więc czynić mamy?

Swoją drogą starać się o to gorliwie, aby w istniejących stosunkach prawnych ulepszyć nasze szkoły w kierunku religijnego wychowania, zbliżyć je ile możności do wzoru szkoły katolickiej. Dzięki szczęśliwszym warunkom naszej prowincyi, przynajmniej w szkołach ludowych wszystkie prawie wymienione postulata katolickiej szkoły urzeczywistnić możemy; — o czem dalsze referaty szczegółowe podadzą wnioski. Ale przedewszystkiem, jako zgromadzeni na wiec katolicki, wyznać powinniśmy katolicką zasadę: że szkoła winna być w określonem znaczeniu katolicką, względnie wyznaniową; że więc ustawa państwowa z fatalnego roku prawodawczego 1868 winna być zmienioną.

Powinniśmy tę zasadę wyznać, bo ona, jak już wiemy, należy do katolicyzmu. Powinniśmy ją wyznać, bo ustawa przeciwna jest zła, przez wrogów katolicyzmu na jego szkodę wprowadzona, szkodzi już strasznie współobywatelom naszym w innych krajach koronnych, gdzie prawne jej wyniki ściślej się wykonywają; nam też dziś więcej złego robi niż sobie może wystawiamy; a przyjdzie chwila, kiedy i nam się da boleśnie we znaki, jeżeli póki czas, póki pewną siłę mamy, nie postaramy się o jej uchylenie. — Powinniśmy wyznać tę zasadę, nie dając się odstraszyć przejściowemi trudnościami i względami małostkowej polityki; bo ludzie zasad, nie odstępują od nich dla okolicznościowych niedogodności. Wskazałem zresztą, że te obawy są płonne i z mylnego rozumienia wymagań szkoły katolickiej wysnute. — Powinniśmy wkońcu wyznać tę zasadę, bo nasze dotychczasowe stanowisko względem niej nie zbudowało katolickiego świata. Nie chcemy tu sądzić w imieniu Wiecu naszych przedstawicieli politycznych. Oni, jako partya polityczna, szli za tem co uważali za polityczną potrzebę chwili. Ale tem bardziej my tu zgromadzeni, aby interesa katolickie naszego kraju roztrząsnąć a jego przekonaniom katolickim dać wyraz, powinniśmy uroczyście oświadczyć, że w spólności ducha z całym Kościołem, jesteśmy w zasadzie za szkołą katolicką.

Przedkładam więc następującą

Rezolucyę zasadniczą:

Wiec katolicki w Krakowie, łącznie z całym katolickim światem oświadcza się za zasadą: że szkoła wogóle, a przedewszystkiem ludowa, powinna być katolicką dla dzieci katolickich; to znaczy: (1) że dzieci katolickie powinny mieć szkoły oddzielne od dzieci innych wyznań — (2) nauczycieli wyłącznie katolików — (3) że wszystkie przedmioty w tych szkołach powinny się wykładać z uwzględnieniem katolickich przekonań — i (4) że wszystkie środki, jakiemi się wpływa na ich serca i kształci je moralnie, powinny być na katolickiej etyce oparte. Konsekwentnie Wiec wypowiada przekonanie, że państwowa ustawa szkolna z r. 1868 wymaga zasadniczej zmiany.

Ks. Maryan Morawski.

LICHWA NA WSI W GALICYI.

(Ciąg dalszy).

II.

Po wydaniu ustawy z dnia 19 lipca 1877, l. 66 dpp., Wydział krajowy zażądał od rad powiatowych a Namiestnictwo od starostw relacyj o skutkach tak tej ustawy jak i o zapobieżeniu pijaństwu z dnia 19 lipca 1877, l. 67 dpp. wydanej. Przystępujemy więc do streszczenia tych relacyj, o ile one do pierwszej ustawy się odnoszą.

A. Relacye Wydziałów powiatowych o skutkach ustawy przeciw lichwie.

I. *Jaki był stan zadłużenia?* Zadłużenie nie wzrastało w powiatach, w których ogółem nie było wcale lichwy, jakoto w pow.: Biała, Krosno, Myślenice, Nowytarg, Wadowice, następnie w pow.: Cieszanów, Kossów, Nisko, Sambor, Skałat, Sokal, Stryj, Tarnopol, Tłumacz. W powiatach ostatnich zadłużenie było wprawdzie znaczne — w kossowskim sięgało do połowy ogólnego majątku — ale nie wzrosło; w jasielskim wzrosło zadłużenie, jakkolwiek nie było tam lichwy (?); w pow.: Dąbrowa od r. 1872 zmniejszało się zadłużenie, ale w latach 1876—1878 wzrosło znów do dawnej wysokości; z dwóch powiatów konstatują relacye zmniejszenie się wysokości pożyczek od chwili wydania ustawy o lichwie z dnia 16 lipca 1877, l. 66 dpp. (Husiatyn, Kołomyja). Zadłużenie oznaczają jako zatrważające i groźne w pow.: Grybów, Jarosław, Podhajce, Przemyśl i Staremiasto, gdzie zadłużenie przewyższać

miało wartość ruchomego i nieruchomego majątku. Równie opłakane było w tym czasie położenie włościanina w pow.: Bohorodczany, Czortków, Horodenka i Zaleszczyki, w których każdy włościanin był wówczas zadłużonym, bądź w Banku włościańskim, bądź w ruskim (ogólnym Zakładzie rolniczo-kredytowym dla Galicyi i Bukowiny). W pow.: Stanisławów i Rohatyn ledwie $^1/_{10}$ część ludności wolną była od długów, a w szczególności w rohatyńskim przypuszczalnie około $^4/_{10}$ części ludności zadłużonych było do 25%, a około $^4/_{10}$ do 50% wartości swego majątku. W innych powiatach $^2/_3$ części ludności (Rawa) lub przynajmniej połowa ludności była zadłużoną. Ogółem zadłużenie wciąż wzrastało, w niektórych powiatach (Lwów) tylko przez przyrost procentów, w innych także przez zaciąganie nowych pożyczek.

II. i III. *Jakie stanowisko zajęli kapitaliści wobec zbliżającej się ustawy i jakie stanowisko zajęli kapitaliści po wydaniu ustawy z dnia 16 lipca 1877, l. 66 dpp.?* Ustawa z dnia 16 lipca 1877, l. 66 dpp. wywołała zrazu w szeregach lichwiarzy straszny popłoch (Brzesko, Sokal). Zrzekali się znacznych kwot, by tylko zawrzeć umowy niepodejrzane, np. ugody sądowe (Brzesko, Dąbrowa, Drohobycz), wypowiadali pożyczone kapitały (Nadwórna) lub zupełnie zaprzestali interesów pieniężnych (Czortków, Drohobycz, Husiatyn, Tarnów i Wieliczka) i poczęli lokować swoje kapitały na 8% w Towarzystwach zaliczkowych (Brzesko). Stopa procentowa uległa znacznej redukcyi w pow.: Husiatyn i Rohatyn (dawniej 25—100%, teraz 12—18%). Jednak w większej części powiatów zniżenie stopy procentowej odnosiło się tylko do dawniej udzielonych pożyczek, które wierzyciele, nie wiedząc o tem, że ta ustawa wstecz nie działała, z obawy przed nią pragnęli bądź co bądź, choćby ze stratą zlikwidować a przynajmniej nie zaskarżali wyższych odsetek (Kolbuszowa). W Łańcuckiem wierzyciele zadawalniali się 12 procentem, „wogóle tem, co sąd przyznał“; w powiecie liskim nie wymieniali wcale procentów, „spuszczając się na sąd“. Procesa oczywiście lichwiarskie w wielu sądach zupełnie ustały (Przemyśl, Tarnobrzeg). Ale i kredyt ogólnie został zatamowany. W niektórych powiatach włościanie z obawy utracenia kredytu poczęli pilniej niż dotychczas płacić

raty lichwiarskie, mając w tem interes, aby to jedyne, acz mętne źródło ich kredytu całkiem nie wyschło (Kałusz, Podhajce, Przemyślany, Stanisławów)[1]. W tych powiatach ustawa osiągnęła skutek wprost przeciwny zamierzonemu, przysparzając lichwiarzom dalsze zyski, którym właśnie zapobiedz usiłowała. Skutek ten byłby nie nastąpił i ustawa mogła była wydać zbawienne owoce, gdyby była weszła w życie razem z należytą organizacyą kredytu włościańskiego. Tak zaś w okolicach uboższych i skazanych wyłącznie na czerpanie kredytu u lichwiarzy, ustawa powyższa spowodowała tylko twardsze warunki onegoż, lichwiarz bowiem doliczał sobie teraz pewien procent jako ryzyko na wypadek wejścia w konflikt z sądem karnym; i tak w pow: Kossów, Nowy Sącz, Rzeszów, zażądał oddania mu w zastaw a właściwie na używanie gruntów włościańskich, a w pow.: Dolina, Kałusz i Turka oddania mu bydła lub koni na przezimowanie a właściwie także w używanie. Nadto zaś odtąd pożyczał tylko takim włościanom, o których wiedział, że nie pójdą do sądu np. dlatego, że kiedyś sami odsiadywali już kary więzienne i t. p. (Brzozów), a nadto zastrzegał sobie ścisłą tajemnicę (Sambor). Tym sposobem wprawdzie lichwa na pozór się zmniejszyła i zjawiała się odtąd chyba tylko wyjątkowo na widok publiczny (przy drobnych kwotach do 10 złr., od których włościanie uiszczali dalej 1 ct. na 1 tydzień i 1 złr., np. Kołomyja), atoli w gruncie rzeczy istniała i wierzyciele zajęli tylko wyczekujące wobec ustawy stanowisko (Drohobycz, Sambor). Skoro zaś przekonali się, że ustawa ta nie działa wstecz, poczęli śmiało zaskarżać dawne wierzytelności (Tłumacz) a przy udzielaniu nowych pożyczek obchodzić poczęli ustawę najrozmaitszemi sposobami.

IV. *W jaki sposób lichwiarze obchodzili ustawę z dnia 16 lipca 1877, l. 66 dpp.?* 1) Przez używanie oddanych w zastaw gruntów ze strony wierzycieli w pow.: Jasło („biorą w zastaw grunta,

[1] Rusini mieszkający w komitacie ungwàrskim na Węgrzech dotąd płacą 60 złr. od stu złr. za czas od wiosny do żniw czyli okrągło 120%, choć wiedzą że to procent wygórowany, nie chcąc tracić kredytu na przyszłość. Dowiedziałem się o tym szczególe od chłopa z Vólkaya, udającego się do Ameryki.

do których dłużnik nie wraca"), Kossów, Kraków, Mielec, Nadwórna, Nowy Sącz, Nowytarg, Podhajce, Rawa, Rzeszów, Sanok, Trembowla („chłop pożycza 6—7 złr. i pozwala za to wierzycielowi używać gruntu tytułem procentu"), Złoczów, Żółkiew.

2) W Rawskiem i Żydaczowskiem trafiała się t. zw. „sprzedaż na lata". Nie było to oddanie w zastaw dłużniczego gruntu, lecz użytkowanie tegoż ze strony wierzyciela na pewien, z góry określony przeciąg czasu, a to bez względu na choćby wcześniejszy termin oddania długu.

3) Przez zawieranie kontraktów kupna i sprzedaży z zastrzeżeniem prawa odkupu po cenie znacznie wyższej na rzecz włościanina w pow.: Czortków, Jasło, Kossów, Sambor, Zaleszczyki, Zbaraż. Jeżeli chłop w terminie oznaczonym nie mógł zapłacić wyższej ceny lub jeśli nabywca przed nim się ukrywał, gospodarstwo przepadało bezpowrotnie na rzecz pierwotnego nabywcy, lichwiarza.

4) Przez przyjęcie bydła na wyżywienie zamiast procentu w pow.: Dobromil, Dolina, Kałusz, Turka.

5) Niekiedy przyjmował dłużnik obowiązek obrabiania pola wierzyciela tytułem dalszego procentu tak, że lichwiarz nietylko wypasał bydło swoje na polu dłużnika, ale i za robociznę na własnem nic mu nie płacił (Dobromil, Kałusz). Mimo że tym sposobem włościanin spłacił z górą połowę wartości pożyczonego kapitału, zysk ze sprzedaży wołu lub krowy osiągnięty zagarniał lichwiarz wyłącznie dla siebie.

6) Przez potrącanie lub dopisywanie z góry lichwiarskich odsetków na wekslach i innych dokumentach w pow.: Bochnia, Kamionka Str., Mielec, Nadwórna, Nowy Sącz, Podhajce i Złoczów. W pow. gorlickim zawierał wierzyciel z dłużnikiem osobną ustną umowę o procent i wymuszał dotrzymanie tej umowy groźbą zaskarżenia kapitału.

7) Przez kredytowanie towarów po cenach wygórowanych. Sposób ten wszędzie praktykowany, gdzie lichwiarze wiejscy trudnią się oraz kramarstwem i wogóle drobną sprzedażą wiktuałów i innych przedmiotów codziennej konsumcyi, dozwalał wierzycielowi w cenie towaru zawrzeć lichwiarski procent. O tym

sposobie obchodzenia ustawy donoszą jednak tylko w pow.: Brody i Ropczyce.

8) Przez pożyczki na zastaw ruchomości w t. zw. pokątnych zakładach zastawniczych w pow.: Bóbrka (bez kwitu zastawniczego i bez świadków), Bohorodczany (przy wykupnie każe sobie wierzyciel płacić 2—3 razy więcej niż dał), Gródek, Jaworów, Kossów, Rawa (zastaw odzieży).

9) Przez pobieranie procentów w naturaliach (nabiał, drób, zboże): Grybów, Mielec, Podhajce, Rawa, Rzeszów, Sanok (oprócz tego grunta w zastaw), Tarnobrzeg, Złoczów.

10) Przez oznaczenie miejsca zapłaty poza obrębem mocy obowiązującej ustawy: Chrzanów (porównaj w tym względzie relacyę starostw).

11) Przez kupno za bezcen spodziewanych plonów z wymową zapłacenia znacznie wyższej ceny, czasem wprost wygórowanej, po większej części przyszłej ceny targowej w żniwa w razie niedotrzymania terminu dostawy, w pow.: Bochnia, Kamionka Str. („kupują na kilka lat naprzód zbiory"), Sambor [1], Sokal, Tarnobrzeg i Tarnopol.

12) Przez wzięcie gruntów dłużnika w dzierżawę za bezcen w pow.: Sambor, Tarnobrzeg, Ropczyce („dłużnik jeszcze sam musi obrobić i obsiać pole wydzierżawione wierzycielowi za procent"), Rawa, Skałat, Żydaczów (na dłuższy szereg lat).

13) Przez wysokie kary konwencyonalne: Jaworów, Lwów.

14) Przez rozmaite sposoby bez bliższego wyszczególnienia w pow.: Biała, Brzesko, Buczacz, Chrzanów, Dąbrowa, Grybów, Jarosław, Lwów, Pilzno, Przemyśl i Wieliczka.

W niektórych powiatach wskutek braku czujności ze strony władz lichwa grasowała jak dawniej, a sądy przeciw lichwiarzom wcale nie występowały. Miało to miejsce w szczególności w pow.: Brzesko, Dąbrowa (sąd przyznaje 24%), Staremiasto (za 30 dni od 6 złr. przyznał sąd 1 złr. jako procent, tj. 24%). Natomiast w innych powiatach, jak: Borszczów, Brzozów, Dolina, Nisko,

[1] Niedawno sąd obwod. w Samborze rozstrzygał sprawę o lichwę tego rodzaju niejakiego Wolfa Landauera.

Stryj, w których sądy pilnie przestrzegały ustawy, wypadki naruszenia jej bardzo rzadko się zdarzały.

V. *Czy włościanie znajdowali po wydaniu ustawy o lichwie kredyt u prywatnych kapitalistów?* Mimo rozlicznych sposobów obchodzenia ustawy powyżej przedstawionych, kapitaliści prywatni tylko z trudnością udzielali kredytu włościanom w 32 powiatach: Biała, Bóbrka, Brody, Bohorodczany („bo niema już na co kredytu udzielać"), Borszczów, Buczacz, Chrzanów, Cieszanów, Dolina, Drohobycz, Gródek, Jasło, Jaworów, Kałusz, Kolbuszowa, Kołomyja, Kossów, Kraków, Lisko, Mościska, Myślenice, Nadwórna, Nisko, Rawa („już na wiosnę nie będzie kogo wyzyskiwać"), Rudki, Stryj, Tłumacz, Trembowla, Wieliczka, Zbaraż, Złoczów i Żółkiew. Cokolwiek utrudnionym był kredyt w pow.: Gródek, Horodenka, Husiatyn. W pow. Lisko chłopi nie szukali już kredytu, lecz sprzedawali i rozdrabiali grunta kawałkami. W pow. wadowickim pożyczali w tamtejszej Kasie oszczędności: w pow.: Żółkiew i Złoczów dawnych lichwiarzy zastąpili zamożniejsi włościanie, stawiający niemniej uciążliwe warunki; w innych powiatach czerpali włościanie z instytucyj finansowych, a to bądź z Banku włościańskiego, bądź z towarzystw zaliczkowych, bądź z kas pożyczkowych i t. d. Ostatnie udzielały kredytu włościanom w pow.: Cieszanów, Dąbrowa, Drohobycz, Husiatyn, Kamionka, Krosno, Limanowa, Mielec, Mościska, Nowy Targ, Rudki, Rzeszów (z trudnością), Sambor, Tarnów, Wadowice i Żydaczów.

B. Relacye starostw o skutkach ustawy przeciw lichwie.

Niektóre starostwa ograniczyły się do relacyj o skutkach ustawy przeciw pijaństwu z dnia 19 lipca 1877, l. 67 dpp., co do której rząd krajowy również złożenie sprawozdań zarządził, pomijając zupełnie kwestyę skutków ustawy przeciw lichwie. Były to starostwa: bocheńskie, gorlickie, jaworowskie, rzeszowskie i żywieckie. Z pozostałych 69-ciu powiatów, w 5-ciu, a mianowicie w pow.: Biała, Jasło, Krosno, Nowy Targ i Wadowice, nie mogło być mowy o skutkach ustawy przeciw lichwie, ponieważ w powiatach tych lichwy wogóle nie było, albo trafiała się tylko przygodnie i wyjątkowo. Również nie wielkim był wpływ

ustawy z powodu nieznacznych rozmiarów lichwy w pow.: Brody, Grybów („gdzie nie było gruntu dla lichwiarzy z powodu jałowej gleby“) i Kraków („gdzie liczne instytuty kredytowe a nadto zaś starostwo z funduszu laudemialnego W. Ks. Krakowskiego udzielały pożyczek, tak że od czasu powstania tych instytucyj dawniejszy procent 100—200% zniżył się na 20—44%, a dłużnicy zastawione przez siebie grunta tylko z powodu kilku lat nieurodzajnych nie wszędzie zdołali jeszcze wykupić z rąk lichwiarskich“).

W 3-ch wreszcie powiatach ustawa przeciw lichwie nie odniosła żadnego skutku, mimo istnienia lichwy. Były to: Kossów, Ropczyce i Staremiasto. Starostwo kossowskie w szczególności zauważyło, że lichwiarze wyzyskują dalej lekkomyślność Huculów, ponieważ sądy nie rozwijają żadnej energii w ściganiu lichwiarzy.

We wszystkich innych powiatach w liczbie 58-miu jest do zanotowania pomyślny wpływ ustawy, a w niektórych, jak mianowicie: Brzesko, Czortków, Dąbrowa, Dolina, Gródek, Horodenka, Husiatyn, Kołomyja, Kałusz, Nadwórna, Podhajce, Rawa, Rudki, Sanok, Skałat, Śniatyn, Sokal, Stryj, Tarnobrzeg, Tarnopol, Tarnów i Wieliczka, w liczbie 22-ch, ustawa przeciw lichwie wywołała w szeregach lichwiarzy prawdziwy popłoch. I tak w pow. brzeskim zgodzili się lichwiarze na znaczne opusty, byle tylko zawrzeć umowy niepodejrzane na resztę pretensyi. Tym sposobem ludność z małemi wyjątkami wyswobodziła się z rąk lichwy i wywiązała się z dawnych zobowiązań, szukając trwałego kredytu w Banku włościańskim (!), kredytu zaś o krótszych terminach w towarzystwach zaliczkowych, które w roku 1878 włościanom pożyczyły 22.000 złr., tudzież w kasach pożyczkowych gminnych. Lichwiarze w tym powiecie tak dalece wycofali się z wszelkich interesów lichwiarskich, że poczęli lokować kapitały swoje w towarzystwach zaliczkowych na 8%. W pow. czortkowskim lichwiarze zaprzestali zupełnie interesów pieniężnych z włościanami, wskutek czego ludność włościańska poczęła więcej pracować, przez co byt jej się polepszył. I w pow. dąbrowskim regulowali lichwiarze skwapliwie dawne interesa, poprze-

stając na samym kapitale z zupełnem opuszczeniem odsetek. W powiecie d o l i n i a ń s k i m znaczna część lichwiarzy zubożała w krótkim czasie zupełnie i zmuszoną była szukać innego zarobku, albo opuszczała kraj, udając się do Wołoszczyzny; świadczy o tem ilość paszportów zagranicznych, wydanych Izraelitom przed wydaniem ustawy a po wydaniu tejże. W niektórych gminach tego powiatu, gdzie ludność miała zarobek w miejscu, poosiedlało się dawniej po kilkadziesiąt rodzin izraelickich i niemal każda rozporządzając małym kapitałem, żyła z niego wygodnie; po wydaniu ustawy jedna po drugiej poczęły się wyprowadzać. W pow. g r ó d e c k i m ukaranie kilku najbardziej niesumiennych lichwiarzy miało ten pomyślny skutek, że odstraszyło i powstrzymało resztę od podobnych interesów. W pow. H o r o d e n k a Żydzi zupełnie przestali się trudnić pożyczaniem pieniędzy włościanom, tak że niepoprawni marnotrawcy i pijacy odtąd w tym powiecie tylko w ten sposób mogli otrzymać pieniądze, że poczęli rozsprzedawać ziemię kawałkami. I w pow. h u s i a t y ń s k i m lichwiarze przenieśli kapitały swoje, podobnie jak w brzeskim, na inne pole. W pow. k o ł o m y j s k i m przynajmniej w znacznej części zaprzestali się trudnić lichwą. W pow. k a ł u s k i m również ustawa zatamowała prawie zupełnie kredyt osobisty ludu wiejskiego, a lichwiarze poczęli się zwracać ku przedsiębiorstwom handlowym. W pow. n a d w ó r n i a ń s k i m wierzyciele wypowiedzieli wszystkie kapitały i zaprzestali zupełnie udzielać pożyczek. I w pow. p o d h a j e c k i m zrazu zapanował popłoch, niebawem jednak lichwiarze ochłonęli ze strachu, przekonawszy się, jak ustawa niedbale była stosowaną i że nie działa wstecz, jak pierwotnie sądzili. To też pobierali dalej po 1—2 ct. od 1 złr. licząc na to, że dłużnik woli płacić regularnie procent w gotówce lub naturaliach, niż narazić się na utratę kredytu. Przy tym stanie rzeczy tylko w nielicznych wypadkach wierzyciel, mający monopol kredytowy, potrzebował uciekać się do pomocy sądowej, a w takim razie zaskarżał tylko umiarkowane odsetki. Przy umowach o pożyczki większe, które strony, czy to dla zapewnienia pożyczce prawa zastawu na dłużniczej realności, czy też wogóle przez ostrożność wierzyciela zawierały przed notaryuszem, wierzyciel wymawiał sobie wprawdzie

odsetki wcale niewygórowane, ale za to lichwiarski zysk pobierał w ten sposób, że zamiast kwoty rzeczywiście pożyczonej w kapitale, wstawiał w dokumencie inną, znacznie wyższą, którą następnie dłużnik jako rzeczywiście odebraną kwitował. Stąd starostwo podhajeckie słusznie zaznaczyło, że przy braku innych źródeł kredytu, sami wyzyskiwani przeszkadzają w spółce z lichwiarzami wyśledzeniu prawdy, obawiając się zupełnej utraty kredytu, do którego w ciągu czasu już przywykli. W pow. rawskim również Żydzi zaprzestali udzielać pożyczek, wskutek czego chłopi uciekali się niekiedy do sprzedaży zbędnego zboża lub bydła w gwałtownej potrzebie, a w szczególności na zapłacenie podatków. W pow. Rudki lichwiarze zaprzestali również udzielać pożyczek, wskutek czego lud począł się garnąć do towarzystw zaliczkowych, a sądom ubyło bardzo wiele procesów lichwiarskich. W pow. sanockim wielu Żydów, którzy trudnili się lichwą, poskładało arkusze podatkowe, i jak sprawdzono, innym oddało się zajęciom. W pow. skałackim lichwiarzom odjęła ustawa zupełnie chęć do ryzykownej spekulacyi, wskutek czego włościanie za jednym zamachem (?) uwolnili się od następstw lichwy. Tak samo i w pow. śniatyńskim lichwiarze poczęli odmawiać udzielania pożyczek. W pow. sokalskim ustawa przeciw lichwie przeraziła lichwiarzy i odstraszyła ich od dawania pożyczek. W pow. stryjskim położenie było takie same, a lichwiarze nie tyle przez obawę skutków karnych, ile bojąc się utraty lub ograniczenia swoich pretensyj, zaniechali zupełnie udzielać kredytu. W pow. tarnobrzeskim sprawy lichwiarskie w sądach zupełnie ustały. W pow. tarnopolskim lichwiarze przestali lekkomyślnym osobom pożyczać, a ukaranie sądowe kilku lichwiarzy odstraszyło od pożyczek lichwiarskich. W pow. tarnowskim lichwiarze z obawy przed karą zupełnie zaniechali tego interesu; a tak samo w pow. wielickim nowa ustawa podziałała odstraszająco na lichwiarzy, którzy odtąd przestali zupełnie trudnić się tym interesem.

W powiatach tych wydawało się lichwiarzom, że są po prostu niezbędni i że zupełnem zaniechaniem udzielania kredytu wywołają cofnięcie lub przynajmniej zmianę ustawy. Tymczasem

grubo się omylili. W powiatach: Brzesko, Cieszanów, Mielec, Rudki i Sokal pomyślnie poczęły się rozwijać kasy i towarzystwa zaliczkowe, udzielające kredytu pod znacznie korzystniejszemi warunkami; w innych, jak mianowicie: Czortków, Nadwórna, Przemyślany, Rawa, Sambor, Sokal i Tarnopol, włościanie pod wpływem koniecznej potrzeby i z braku kredytu poczęli garnąć się do pracy i przestali oddawać się pijaństwu, w szczególności zaś w powiecie sokalskim od lat 30-tu nigdy nie było tak łatwo o robotnika, jak właśnie po wydaniu ustawy przeciw lichwie.

Niestety, stosunki te pomyślne nie potrwały długo. Lichwiarze przekonali się niebawem, że ustawę stosują sądy tylko w nader rzadkich wypadkach, i poczęli się obawiać, aby skutkiem zaniechania kredytu lud włościański zupełnie się od ich pomocy nie odzwyczaił; wobec tego zaś po krótkiej przerwie nastąpiło znowu na całej linii podjęcie dawnej akcyi lichwiarskiej, wszakże z zachowaniem pewnych ostrożności i z doliczaniem wyższego procentu na ryzyko. W szczególności o pożyczkach z zastrzeżeniem ścisłej tajemnicy, wzmiankują relacye z pow.: brzozowskiego i samborskiego. W pow.: chrzanowskim i doliniańskim dostrzegły starostwa wprost obchodzenie ustawy, w pierwszym w ten sposób, że dłużnik ustanawiał miejsce zapłaty pożyczki poza obrębem Galicyi i Bukowiny, tj. krajów koronnych, na które moc obowiązująca ustawy przeciw lichwie z r. 1877 się rozciągała.

Kredytu nie zatamowała, ale w każdym razie go utrudniła i pomyślny wpływ na odnośne stosunki wywarła ustawa w następujących powiatach: Bóbrka, Bohorodczany, Borszczów (wstrzymano lekkomyślne pożyczki), Brzeżany („skargi na lichwę niemal ustały, w sądach żadnych doniesień"), Brzozów („ustawa poskromiła butę lichwiarzy"), Buczacz („ludność rzadziej uczęszcza do szynków, bo nie może łatwo uzyskać kredytu"), Cieszanów („lichwiarze niechętnie pożyczają"), Dąbrowa, Dobromil („kapitaliści zamknęli kieszenie"), Drohobycz („bezpośrednim skutkiem ustawy było mnóstwo skarg, które jednak kończyły się ugodą, lichwiarze zajęli stanowisko

wyczekujące“), Jarosław, Kamionka („ale kredyt nie ustał“), Kolbuszowa („wstrzymują się od udzielania kredytu“), Lisko („w sądzie wierzyciele skłonniejsi do zawierania ugód, nadto przy nowych pozwach spuszczają się na sąd co do procentów, nie wymieniając takowych“), Lwów („ustawa ocaliła niejednę własność, lichwiarze wstrzymali się w operacyach“), Mielec, Nisko („skutki dotąd nie wszędzie w równej mierze widoczne, lecz położono tamę przynajmniej rażącemu wyzyskiwaniu; zwrot ku lepszemu“), Pilzno, Przemyśl („nie słychać o żadnym jaskrawym wypadku“), Sambor (podobnie jak w pow. drohobyckim, lichwiarze zajęli stanowisko wyczekujące, wstrzymując kredyt i przenosząc gdzieniegdzie fundusze swoje na inne pole), Stanisławów („lichwiarze wstrzymali udzielanie pożyczek lekkomyślnym włościanom, bądź z obawy przed karą, bądź wskutek utrudnionej egzekucyi wierzytelności“), Tłumacz („ustawa ścieśniła znacznie kredyt osobisty, wskutek czego odtąd tylko kredyt realny wszedł w użycie“), Turka („ustawa przerwała machinacye ku wywłaszczeniu wymierzone, wpływ jej błogi wzrośnie w miarę skuteczności ustawy przeciw pijaństwu“), Zaleszczyki, Zbaraż, Złoczów, Żółkiew i Żydaczów („są jednak i obecnie wypadki karygodnych interesów“).

W szczególności wpłynęła ustawa na zniżenie stopy procentowej od pożyczek w pow.: Chrzanów, Husiatyn (na 12%), Kolbuszowa, Łańcut do 12% („niema wypadku, żeby się o wyższy procent upominał, w razie procesu zadawalnia się wierzyciel zwykle procentem, jaki sąd przyznaje, podobnie jak w pow. liskim, byle się tylko z drogą karną nie spotkać“); Rohatyn (12—18%), Sanok.

Zaznaczyliśmy już wyżej, że główną przeszkodą w osiągnięciu pomyślnych skutków ustawy było nienależyte stosowanie jej ze strony sądów; przyczyna ta, jakkolwiek najważniejsza, nie wyczerpuje jednak wszystkich powodów, które wpłynęły na słaby i ledwie przejściowy rezultat tej ustawy. W pierwszym rzędzie wymienić tu należy zły wpływ uprzywilejowanych instytutów kredytowych, a w szczególności Banku włościańskiego, trudniącego się udzielaniem kredytu rolnikom pod bardzo uciążli-

wemi warunkami. O tym wpływie, który paraliżował skutki ustawy i w miejsce prywatnych kapitalistów wprowadzał uprzywilejowaną instytucyę, wzmiankują relacye tylko z pow.: jarosławskiego i kałuskiego, wiadomo nam jednak skądinąd [1], że szkodliwa akcya tego Banku rozciągała się na całe terytoryum ustawą przeciw lichwie objęte. W niektórych tylko powiatach, jak: Brzesko, Cieszanów, Mielec, Rudki i Sokal pomyślny wpływ kas zaliczkowych, w innych np. w pow. jarosławskim opieka sumiennych notaryuszów przychodziły ludności włościańskiej z pomocą, chroniąc ją od lichwy. Wogóle wziąwszy, ustawa przyszła za późno, co z powiatów: Dobromil i Zbaraż wyraźnie zaznaczają, co jednak do całego niemal kraju się odnosi, jak ze znacznej części innych relacyj wypływa. Prawdziwą zaś przyczynę, dla której ustawa przeciw lichwie tak nierównomiernie i niedbale była stosowaną, odsłania nam starostwo rohatyńskie, zaznaczając, że określenie stopy procentowej byłoby bardziej pożądanem. Rzeczywiście § 1 ustawy przeciw lichwie, wymagający nietylko stwierdzenia przymusowego położenia, słabego umysłu, niedoświadczenia lub rozdrażnienia u dłużnika, ale także dowodu złej wiary po stronie wierzyciela, jak niemniej wykazania, że wymówione korzyści majątkowe zdolne są sprowadzić lub przyspieszyć ruinę gospodarczą dłużnika, za wielkie stawia wymagania od sędziego wyrokującego, od zbyt licznych warunków czyni zależnem istnienie występku lichwy, a przynajmniej stosowanie skutków cywilnych tej ustawy, pozostawiając przytem sądowi cywilnemu zupełną swobodę ocenienia, jakie korzyści majątkowe uznać ma za wygórowane, a jakie za niezdolne do sprowadzenia lub przyspieszenia ruiny gospodarczej dłużnika. Nie ulega kwestyi, że ustanowienie taksy maksymalnej, poza którą procent pobierany należałoby bezwzględnie za wygórowany uznawać, podobnie jak to wnosił ś. p. poseł Rydzowski, jakkolwiek samo w sobie nie pozbawione dowolności, byłoby jednak uprościło znacznie dzia-

[1] Por. powołaną rozprawę dr. Leopolda Caro „O Banku włościańskim“, (*Ekonomista polski* marzec i kwiecień 1892).

lanie sądów i umożliwiło wszechstronne i skuteczne przestrzeganie ustawy [1]. Wkońcu streszczamy w tem miejscu;

C. Relacyę c. k. sądu powiatowego w Komarnie o skutkach ustawy przeciw lichwie.

Reskryptem z dnia 19 września 1877 l. 11350, poleciło ministerstwo sprawiedliwości sądom powiatowym przedkładać roczne wykazy o czynnościach sądowych, spowodowanych ustawą przeciw lichwie i pijaństwu, oraz udzielać spostrzeżeń o zastosowaniu i skuteczności tych ustaw. Polecenie to dało powód c. k. sądowi powiatowemu w Komarnie, a właściwie sędziemu panu Zygmuntowi Nawratilowi do ułożenia sprawozdań za lata 1878, 1879 i 1880. Sprawozdania te zostały następnie litografowane i jedno takie sprawozdanie, obejmujące 100 stron 8°, mamy właśnie przed sobą. Jakkolwiek teren będący przedmiotem obserwacyi autora jest nader szczupły, obejmuje bowiem tylko jeden powiat sądowy, to jednak spostrzeżenia jego mają wszędzie cechę prawdziwości i bezpośredniości i sprawdzają się w ogólnych zarysach w różnych częściach kraju. Okoliczność ta zniewala nas do streszczenia wywodów szan. autora, a czynimy to tem skwapliwiej, że praca ta nigdy w druku się nie ukazała, a przeto szerszemu ogółowi zupełnie jest nieznaną. Spostrzeżenia pana Nawratila schodzą się po większej części ze spostrzeżeniami wydziałów powiatowych i starostw:

Przez pierwsze miesiące wstrzymali wierzyciele wszędzie udzielanie pożyczek, skutkiem czego włościanin pozbył się prawie całego swego ruchomego dobytku, sprzedawał inwentarz, zboże na pniu za bezcen, byle tylko przetrwać przednowek, i szukał w sądzie protekcyi do lichwiarzy, by mu na nowo udzielali pożyczek. Wobec tak objawionej gwałtownej potrzeby kredytu u naszego ludu, tudzież faktycznego monopolu kapitalisty wiejskiego w jego udzielaniu, ustawa o lichwie rzadko tylko mogła znaleść zastosowanie. Dłużnik zależny od swego wierzy-

[1] Por. w tym względzie obszerniejsze wywody i wnioski w dziele mojem *Der Wucher* (Lipsk, Duncker i Humblot 1893), rozdział II. i IV.

ciela, prawie nigdy go nie zdradzał, wierzyciel zaś po owej przerwie, która miała przekonać lud o jego bezradności, a niezbędności własnej, pod osłoną największej tajemnicy dalej wykonywał swe praktyki, wymawiając sobie przytem jeszcze wyższą niż dotąd cenę usług, a to tak ze względu na ryzyko, jak na ubytek ostrożniejszych lub bojaźliwszych konkurentów. Ażeby jednak być zupełnie pewnym i bez narażenia się na straty materyalne lub nawet karę więzienia, co więcej, bez interwencyi sądu módz zapewnić sobie ściągnięcie swej pretensyi, wierzyciele odtąd poczęli udzielać pożyczek tylko na zastawy. Potworzyły się w pow. komarnieńskim — a dodajmy od siebie, w całym kraju — pokątne zakłady zastawnicze [1], które przyjmując w zastaw: bydło, zboże, buty, kożuchy, sukmany, świty świąteczne, korale, kosy, płótno, przędzę, słowem wszystko, co stanowiło dobytek chłopski i posiadało jakąkolwiek wartość, pożyczały na takowe drobne sumy, wymawiając sobie ulubiony procent po cencie lub dwa od 1 złr., ściągając takowy punktualnie co tygodnia i zastrzegając przytem bezwarunkową przepadłość zastawu, w razie niedotrzymania terminu płatności długu. W razie zapłacenia długu w terminie, co atoli należało do rzadkości, chłop odbierał zastaw często zamieniony, a zawsze zniszczony i zaledwie $^1/_3$ część pierwotnej wartości przedstawiający. W znacznie częstszych wypadkach, w których zastaw przepadał na rzecz wierzyciela, włościanin zmuszony był w miejsce przepadłego kożucha lub sukmany kupić nowe odzienie, a ponieważ nie miał pieniędzy, kupował je na kredyt w pokątnym zakładzie zastawniczym za drogie pieniądze, w których mieścił się ponownie lichwiarski procent i premia asekuracyjna. W roku 1880 na 1665 pozwów drobiazgowych do sądu komarnieńskiego wniesionych, 1300 miało za przedmiot zapłacenie ceny kupna za sprzedane na kredyt przedmioty codziennej potrzeby, jakoto: buty, kożuchy, kosy i t. d., a tylko 180 pozwów drobiazgowych wniesiono z tytułu pożyczki, co w porównaniu z cyfrą około

[1] Dla pow. rudeńskiego stwierdza to także list prywatny, pisany do prof. d-ra Tad. Pilata.

1200 pozwów w latach przed 1877 r. wnoszonych świadczy o tem, że lichwiarze w tym kierunku nie szukali pomocy sądu [1].

Ten przerażający stan rzeczy kończy się pospolicie wywłaszczeniem — czasem sądowem, częściej dobrowolnem przez sprzedaż najlepszych części gruntu dla zaspokojenia wierzyciela. Zwiększona podaż pociągnąć za sobą musiała obniżenie wartości gruntów, coraz bardziej się rozdrabniających.

Stosunki te skłaniają autora wkońcu do krytycznego omówienia ustawy przeciw lichwie. Sądzi on słusznie, że nierównomierna praktyka sądów, będąca naturalnym wynikiem ustawy z dnia 19 lipca 1877, oddziaływa niekorzystnie na społeczeństwo i że jedynie ustawa z dokładnem ograniczeniem najwyższej stopy procentowej, stawiająca pewien kres ogólnie zrozumiały, byłaby zdolną wraz z ścisłem przestrzeganiem ustawy przemysłowej przez władzę polityczną, zaradzić złemu. Obecna zaś ustawa dlatego jest bezskuteczną, że dłużnik z niej nie korzysta, zwłaszcza, że wynik skargi jest wątpliwy, dochodzenie mozolne, a szukanie pomocy w sądzie równa się dla niego bezwarunkowej utracie kredytu, do którego już przywykł i bez którego widocznie obejść się nie może.

Trafność uwag sędziego komarnieńskiego stwierdza w zupełności korespondent z sąsiedniego powiatu, z Rudek, o którym w przypiskach wyżej już kilkakrotnie była wzmianka. Według niego w Komarnie i Rudkach 18 Izraelitów zostało przez staro-

[1] Na sesyi sejmowej w roku 1880 poseł Teofil Merunowicz zwrócił publicznie uwagę na pokątne zakłady zastawnicze, usuwające się z pod kontroli władz sądowych, politycznych i skarbowych, i żądał wydania ustawy, regulującej kredyt na zastawy ręczne, po poprzedniem przeprowadzeniu rewizyj policyjno-sądowych u osób poszlakowanych o utrzymywanie pokątnych zakładów zastawniczych. Ustawa taka musiałaby ułatwiać powstawanie publicznych koncesyonowanych zakładów zastawniczych, a z drugiej strony rozciągnąć opiekę prawa nad wysokością oprocentowania podobnych pożyczek, jakoteż nad bezpieczeństwem zastawionych przedmiotów. Wnioskodawca żądał wreszcie, ażeby podobnie jak dla wekslowych interesów kredytowych zaprowadzone zostały w drodze ustawy także obowiązkowe blankiety na kartki zastawnicze, na których każdy przyjmujący zastaw, musiałby poświadczać stronie biorącej pożyczkę wzięcie fantu w przechowanie.

stwo ukaranych grzywnami za utrzymywanie pokątnych zakładów zastawniczych; zastawy pokonfiskowano i sądowi oddano. Skutek tej energii starostwa miał być ten, iż wielu lichwiarzy pozwracało przedmioty zastawione stronom, nawet z opustem od kapitału pożyczonego, aby tylko uchronić się od doniesień.

Środki zaradcze, jakie zaleca korespondent rudeński, są następujące: zakładanie śpichlerzy gromadzkich i powiatowych, utworzenie stowarzyszeń konsumcyjnych dla zbytu płodów surowych, nadewszystko zaś założenie powiatowego banku zastawniczego, który uczyniłby zadość najpilniejszej potrzebie ludności włościańskiej.

III.

Dla ocenienia doniosłości ustaw przeciw lichwie wydanych, nieodzownem jest zbadanie, przeciw ilu i jakim jednostkom ustawy te dotąd były stosowane. Wiadomości te, o ile z jednej strony dadzą miarę skuteczności tych ustaw, o tyle z drugiej rzucić mogą światło na stosunki osobiste lichwiarzy, a przeto z obu tych względów zasługują na uwagę. Zestawiamy przeto daty odnośne w trzech tablicach *A. B. C.*, ułożonych na podstawie urzędowych publikacyj centralnej komisyi statystycznej [1].

Tablice *B.* i *C.* dotyczą stosunków osobistych zasądzonych za występek lichwy w Galicyi, a w całej Austryi; tablica *A.* daje obraz oskarżonych i zasądzonych za występek lichwy w Galicyi, a w całej Austryi.

Centralna komisya statystyczna ogłosiła daty dotyczące tylko za lata 1882—1887, te przeto daty jedynie powtórzone są w tablicy *A.* Za rok 1880 i 1881 podać możemy tylko ilość zasądzonych, a mianowicie w r. 1880: 17, z tych 15 w Galicyi, 2 na Bukowinie, w r. 1881: 54, z tych 52 w Galicyi, 2 na Bukowinie. (Por. tabl. *A.*, str. 177).

Według tablicy *A.* oskarżonych o występek lichwy było w całej monarchii w latach 1882—1887 658, z tych przypadało na Galicyę 381 czyli blizko 58%, zasądzonych było w tym samym

[1] *Ergebnisse der Strafrechtspflege* (Tom VI, XI, XV, XIX i XXV, Zeszyt 3).

czasie w całej monarchii 370, w Galicyi 204 czyli zwyż 55%. Z pomiędzy 204 zasądzonych w Galicyi, 13 ukarano aresztem nad trzy miesiące, 44 aresztem od jednego do trzech miesięcy, 79 aresztem nad dni 8 do jednego miesiąca, 29 aresztem do dni 8, a 39 karami majątkowemi.

Tabl. **A.**

Rok	Ilość oskarżonych o zasądzonych za występek lichwy				Z pomiędzy zasądzonych w Galicyi zasądzono na areszt				karę majątkową
	w monarchii austr.	w Galicyi	w monarchii austr.	w Galicyi	nad 3 miesiące	1–3 mies.	nad 8 dni do 1 mies.	8 dni i mniej	
1882	96	80	59	47	3	15	11	15	3
1883	109	72	64	40	3	4	17	3	13
1884	129	61	70	33	1	5	15	3	9
1885	138	81	70	39	3	7	16	4	9
1886	117	64	64	33	3	11	15	1	3
1887	69	23	43	12	—	2	5	3	2
1882—1887	658	381	370	204	13	44	79	29	39

Ustawa przeciw lichwie przepisuje karę kumulatywną: areszt i grzywnę, a to za występek z § 1 ust. z 28 maja 1881 l. 47 dpp. areszt od 1—3 miesięcy i grzywnę od 100—500 złr., za występek z § 2 tejże ustawy areszt od 3—6 miesięcy i grzywnę od 500—1000 złr., w razie ponownego zasądzenia areszt do 1 roku i grzywnę do 2000 złr., a w razie trudnienia się lichwą zwyczajowo lub w sposobie zarobkowania areszt do 2 lat i grzywnę do 3000 złr., a nadto zaś dopuszcza karę wydalenia *(Abschaffung)*. Tymczasem praktyka przedstawia się wcale inaczej. Ostatnia, najdotkliwsza kara: usunięcia lichwiarza z terytoryum jego operacyi, nie została w latach 1882—1887 ani razu orzeczoną[1]; grzywnę zaś orzeczono nie kumulatywnie obok kary aresztu, ale zamiast takowej, czyniąc w tej mierze w 39 wypadkach użytek z § 261 u. k. (z powodu okoliczności zasługujących na szczególne uwzględnienie). Przy wymiarze kary zastosowano

[1] Przynajmniej niema o tem wzmianki w odnośnych publikacyach.

w 147 wypadkach na 204 czyli 72·05% prawo nadzwyczajnego łagodzenia kary w myśl §§ 260 i 266 u. k.

Stosunki osobiste zasądzonych w Galicyi za występek lichwy przedstawia tablica *B.*, która jednak obejmuje tylko daty 1882—1886, tj. za lat pięć, a to z tego powodu, że centralna komisya statystyczna w ostatniej swej publikacyi [1] nie podaje już stosunków osobistych karanych za poszczególne występki według krajów koronnych, ale osobno stosunki osobiste karanych za występki wogóle według krajów koronnych, następnie zaś stosunki osobiste karanych za poszczególne występki ale już w całej monarchii. Dlatego obok tablicy *B.*, zestawiającej wyniki dotyczących obliczeń statystycznych dla naszego kraju koronnego, podajemy w tablicy *C.* daty dotyczące stosunków osobistych karanych za występek lichwy w całej monarchii, a to za lata 1880—1887, gdyż cyfry ogólne za rok 1887 znachodzą się, jak wspomniano, w ostatniej publikacyi centralnej komisyi statystycznej, daty zaś dotyczące lat 1880 i 1881, a odnoszące się tylko do Galicyi i Bukowiny, mieściły się we wstępie ogólnym *Ergebnisse der Strafrechtspflege* za rok 1882. (Tabl. *B.* i *C.*).

Na ogólną ilość zasądzonych w Galicyi w pięcioleciu 1882—1886 za występek lichwy 192 indywiduów, było 24 czyli 12·5% katolików, 87·5% Żydów, pod względem zawodu 38 właścicieli gruntowych lub dzierżawców, 3 oficyalistów prywatnych, 5 należało do niższej służby przy roli lub trudniło się dziennym zarobkiem; kupców samoistnych było 103, pomocników kupieckich 18, właścicieli domów i kapitalistów 10, urzędników publicznych i nauczycieli 2, 1 był służącym a 12 należało do innych zawodów lub nie miało określonego sposobu zarobkowania.

Na ogólną ilość zasądzonych w całej monarchii austryackiej w ośmioleciu 1880—1887 za występek lichwy 441 indywiduów, przypadało 164 czyli 37·1% chrześcijan, 227 czyli 62·9% Żydów, pod względem zawodu było właścicielami gruntowymi lub dzierżawcami 64, oficyalistami prywatnymi 8, zarobnikami przy roli 16, kupcami samoistnymi 212, pomocnikami kupieckimi 28, właści-

[1] Tom XXV, zeszyt 3.

cielami domów i kapitalistami 32, urzędnikami publicznymi i nauczycielami 2, służącymi 4, należało do innych zawodów lub nie miało określonego sposobu zarobkowania 75.

Z porównania tych cyfr okazuje się, że udział Żydów w ogólnej liczbie karanych za lichwę przewyższa w Galicyi o blizko 25% udział ich w ogólnej liczbie karanych za ten występek w całej monarchii.

Wogóle rolników karanych za lichwę było w Galicyi w latach 1882—1886 46 czyli 23·9%, w całej monarchii w latach 1880—1887 88 czyli 19·95%; kupców wogóle w Galicyi w latach 1882—1886 121 czyli 63%, w całej monarchii w latach 1880—1887 240 czyli 54·42%; właścicieli domów i kapitalistów w Galicyi w latach 1882—1886 10 czyli 5·2%, w całej monarchii w latach 1880—1887 32 czyli 7·25%.

Cyfry te pozwalają wnosić także o zawodzie lichwiarzy poszczególnych wyznań i o terytoryum, na którem lichwa się najczęściej odbywa. W szczególności większa ilość rolników i kupców w zastępie lichwiarzy w Galicyi, niż w całej Austryi zdaje się wskazywać na to, że tak rolnicy jak kupcy w przeważnej liczbie uczestniczą w owych 87·5% karanych za lichwę Żydów, a w przypuszczeniu tem utwierdzić musi okoliczność, iż w niektórych okolicach Galicyi tak większa jak średnia i drobna własność ziemska w wyższym niż w innych prowincyach procencie, znajduje się w rękach żydowskich, pomiędzy kupcami zaś przeważną ilość u nas również dotąd stanowią Żydzi.

Najdogodniejszem miejscem operacyi dla lichwiarzy galicyjskich zdaje się być wieś, świadczy o tem nietylko większy udział rolników w ogólnej liczbie karanych za lichwę u nas, niż w całej monarchii, ale także i większy udział stanu kupieckiego, który w kraju przeważnie rolniczym, liczącym tak mało właściwych kupców, byłby co najmniej zastanawiającym, gdyby nie okoliczność, że u nas handlarze wiejscy niewłaściwie podają się za kupców i tym sposobem wywołują wyższy procent udziału w tym zawodzie.

Między karanymi za występek lichwy było w Galicyi w latach 1882—1886 129 czyli 67·19% analfabetów, 63 czyli 32·81%

umiejących czytać i pisać, ani jednego człowieka z wyższem wykształceniem. W całej monarchii austryackiej było w latach 1880—1887 182 czyli 41·26% analfabetów, 256 czyli 58·06% umiejących czytać i pisać, 3 czyli 0·68% ludzi z wyższem wykształceniem. Różnice tu zachodzące wytłumacza dostatecznie brak szkół i fanatyzm starowierców galicyjskich, obchodzących dotąd najczęściej ustawę o przymusie szkolnym. Cyfra analfabetów między lichwiarzami w Galicyi nie odbiega zresztą daleko od cyfry analfabetów w Galicyi w ogólności (64·87% mężczyzn, 71·60% kobiet, według ostatniego spisu ludności z 31 grudnia 1890 r.).

Między karanymi za występek lichwy w Galicyi w latach 1882—1886, nie posiadało żadnego majątku 62 czyli 32·29%, w całej monarchii w latach 1880—1887 147 czyli 33·33%; było średnio zasobnych w Galicyi 111 czyli 57·81%, w całej monarchii 239 czyli 54·19%; zamożnych w Galicyi 19 czyli 9·9%, w całej monarchii 55 czyli 12·38%.

Cyfry te świadczą również o rozwielmożnieniu się lichwy w Galicyi przeważnie na wsi. W całej monarchii udział lichwiarzy zamożnych jest o blizko 3% znaczniejszy niż w Galicyi — a gdy zamożni ludzie przeważnie kupią się w miastach, więc z niejakiem prawdopodobieństwem przyjąć wypada, że największą część karanych za lichwę — a dodajmy od siebie, trudniących się wogóle lichwą — w Galicyi stanowią Żydzi, biedni lub posiadający szczupłe ledwie fundusze, nie umiejący ani czytać ani pisać żadnym żyjącym językiem, i będący właścicielami drobnych posiadłości ziemskich lub drobnymi handlarzami wiejskimi.

Pomiędzy zasądzonymi za występek lichwy było w Galicyi 150 czyli 78·12% niekaranych, w całej monarchii 326 czyli 73·92% niekaranych; w Galicyi 36 czyli 18·75% karanych już poprzednio za występek lub przekroczenie, w całej monarchii 85 czyli 19·27% karanych poprzednio za występek lub przekroczenie; w Galicyi 6 czyli 3·13% karanych poprzednio za zbrodnię, w całej monarchii 30 czyli 6·81% karanych poprzednio za zbrodnię [1].

[1] Dla uzupełnienia obrazu podajemy tu ilość zasądzonych za przekroczenie lichwy (§ 15 ust. z 28 maja 1881, l. 47 dpp.):

Na podstawie cyfr powyższych mogłoby się wydawać, że lichwa obecnie należy do przeszłości, i że ustawa położyła jej kres zupełny, skoro w sześcioleciu 1882—1887 było w Galicyi zasądzonych za lichwę tylko 204 czyli przeciętnie na rok 34 indywiduów! W rzeczywistości jednak rzecz się ma wcale inaczej.

Przemawiają za tem przedewszystkiem relacye wydziałów powiatowych, stwierdzające, że już w pierwszej chwili po wydaniu ustawy z r. 1877, lichwiarze nietylko nie zaprzestali swych praktyk, ale zoryentowawszy się szybko w jej treści, poczęli ją najrozmaitszemi sposobami obchodzić. Skoro tedy dotąd obowiązuje ustawa z 28 maja 1881 r., l. 47 dpp., w głównych zarysach identyczna z ustawą z 16 lipca 1877, l. 66 dpp., a ustawa ta, jak pouczyło doświadczenie, pozostała znacznie w tyle za pomysłowością lichwiarzy, więc już *a priori* nasuwa się wniosek, że stosunki, w relacyach owych opisane, istnieć muszą i nadal, o ile inne, odrębne zgoła okoliczności w poszczególnych wypadkach nie położyły kresu operacyom lichwiarskim.

Ale i inne spostrzeżenia, zaczerpnięte również z dziedziny statystyki, stwierdzają stanowczo to przypuszczenie.

Naprzód w Galicyi i na Bukowinie, z powodu wielkiej ilości analfabetów między włościanami, największa jest łatwość a z nią pokusa oszukania ich, a pokusę tę zwiększa jeszcze chorobliwe zamiłowanie ludu naszego w niepomiernem używaniu gorących napojów, wyrażające się w liczbie zasądzonych za przekroczenie ustawy z d. 19 lipca 1877, l. 67, wydanej celem zapobieżenia

w r. 1883 79
„ 1884 118
„ 1885 314
„ 1886 132
„ 1887 31

Cyfry te jednak nie mają dla kwestyi lichwy na wsi żadnego znaczenia, albowiem przekroczenia lichwy dopuszcza się tylko ten, kto żąda obietnicy dopełnienia zobowiązania z interesu kredytowego pod słowem honoru, przysięgą lub podobnemi zaklęciami od dłużnika małoletniego lub takiego, dla którego niedotrzymanie zobowiązania pod słowem honoru zaciągniętego pociągnęłoby za sobą utratę stanowiska służbowego — popełnienie zaś takiego przekroczenia względem włościanina jest niemożliwe.

pijaństwu. I tak w samej Galicyi (bez Bukowiny) było zasądzonych za to przekroczenie:

w r. 1877	5.587
„ 1878	18.346
„ 1879	17.848
„ 1880	17.475
„ 1881	18.995
„ 1882	20.863
„ 1883	20.718
„ 1884	23.985
„ 1885	22.228
„ 1886	25.075
„ 1887	26.252
1877—1887	217.372
czyli przeciętnie rocznie	19.761 osób.

Powtóre Galicya wykazuje nietylko stosunkowo, ale i absolutnie największą a nawet anormalnie wysoką ilość sporów drobiazgowych w porównaniu do innych krajów koronnych monarchii, którą można wytłumaczyć chyba wybujaniem lichwy w naszym kraju koronnym, tudzież, acz w mniejszym stopniu, pieniactwem podżeganem przez pokątnych pisarzy, a to zwłaszcza wobec braku żywszego u nas ruchu w handlu i przemyśle; niemniej wykazuje Galicya anormalnie wysoki procent ugód sądowych, jakiemi spory drobiazgowe kończą się u nas a zwłaszcza w Galicyi wschodniej.

I tak[1] liczba sporów zwyczajnych i sumarycznych w dziesięcioleciu 1875—1885 zmalała w całej Austryi o 36·5%, liczba sporów drobiazgowych natomiast wzrosła o 93%; w szczególności:

Rok	Ilość sporów według postęp. zwycz. i sumarycz.	Ilość sporów drobiazgowych
1875	282.536	538.861
1882	185.506	852.928
1883	176.586	921.930
1884	171.374	975.238
1885	179.287	1,065.534
1886	185.994	1,077.311
1887	181.682	976.603

[1] *Ergebnisse der Civilrechtspflege,* wydawnictwo centralnej komisyi statystycznej.

Z powyższych sporów drobiazgowych przypadało na:

Rok	Galicyę zachodnią	Galicyę wschodnią	Czechy	Dolną Austryę
1882	314.649		209.272	113.049
1883	359.259		175.237	107.594
1884	122.870	314.718	178.881	123.253
1885	132.707	342.830	198.798	136.138
1886	135.925	342.773	201.936	133.470
1887[1]	120.521	284.897	191.700	132.808
1882—1887	2,471.149		1,155.824	746.312
przeciętna	411.858·17		192.637·33	124.385·33

Zestawiając ilość skarg drobiazgowych w Galicyi a w innych krajach koronnych, dochodzimy do rezultatu, że Galicya wykazuje przeciętnie przeszło 200.000 skarg więcej niż Czechy, a blizko 300.000 wyżej niż Dolna Austrya. Nie może ulegać wątpliwości, że wyjątkowa ta i niezmierna przewaga skarg drobiazgowych w Galicyi w porównaniu do innych krajów koronnych monarchii, bogatszych i z bardziej ożywionym handlem i przemysłem, wytłumaczyć się nie da jak tylko przyjmując, że przeważny w nich udział mają skargi pochodzące z interesów lichwiarskich na wsi.

Skarga drobiazgowa nie jest tu mianowicie sposobem dochodzenia prawa istniejącego już w chwili wniesienia skargi, lecz częstokroć ma jedynie na celu wywołanie wyroku lub ugody sądowej z dłużnikiem o nieistniejącą jeszcze pretensyę, poczem dopiero następuje wypłata pożyczki w dowolnej wysokości.

Sposób ten obchodzenia ustawy, będący zwłaszcza u nas na porządku dziennym, piętnuje prawo jako szczególnie niebezpieczny (§ 2. ust. z d. 28 maja 1881, l. 47), mimo to statystyka kryminalna nie wykazuje osobno tego rodzaju lichwiarzy. Niemniej nie wykazuje ona niestety już począwszy od r. 1882, ilu pomiędzy zasądzonymi za przekroczenie pijaństwa, karanych było

[1] Nagły ubytek sporów drobiazgowych w r. 1887, wynoszący w zachodniej Galicyi 11%, we wschodniej 17%, a na Bukowinie 21·3%, przypisuje centralna komisya statystyczna obawie wojny, nadto zaś skutkom noweli egzekucyjnej z dnia 10 czerwca 1887, l. 74 dpp., która z powodu ubóstwa panującego między ludem, pozbawiła mobilarną egzekucyę widoków realnych, a wskutek tego wiele skarg uczyniła zbędnemi.

za zawieranie umów pozornych lub żądanie wystawienia dokumentów, np. weksli, za dostarczenie napojów gorących w czasie, gdy dłużnik poprzedniego długu tego rodzaju u tego samego wierzyciela nie zaspokoił (§ 5. ust. z d. 19 lipca 1877, l. 67 dpp.).

Tylko za lata 1877—1882 podać możemy liczbę oskarżonych i zasądzonych za tego rodzaju przekroczenia. Było ich:

Rok	oskarżonych	zasądzonych
1877	2	—
1878	24	9
1879	4	2
1880	59	31
1881	12	9
1882	10	5

Cyfry te, zdumiewająco nizkie, podobnie jak liczba oskarżonych i zasądzonych za występek lichwy, świadczą raczej o niemożności osiągnięcia dotyczących stosunków przez ustawę obowiązującą, niż o korzystnych stosunkach na wsi, które byłyby wprost opłakane, gdyby nie postępy, jakie uczynił kraj w międzyczasie na polu organizacyi kredytu włościańskiego.

(C. d. n.).

Dr. Leopold Caro.

ALEKSANDER LORENCOWICZ.

Studyum z epoki panegirycznej.

(Ciąg dalszy).

Jest to jedną z cech kaznodziejstwa polskiego, że między mowcami liczy wielu takich, którzy przemawiając do słuchaczy o obowiązkach chrześcijanina, mówili także o obowiązkach jednostek względem ojczyzny, a wykazując brzydotę moralną występków, wykazywali skutki, jakie na kraj ściągają. Po Skardze i całym cyklu jego kazań patryotycznych, tradycya nie zaginęła. Mowcy panegiryczni zatracili wprawdzie formę i styl skargowski, ale miłość ojczyzny u nich nie wygasła. Karcą nieraz bardzo surowo społeczne błędy, ale obok tego krzepią i podtrzymują ducha narodowego. Birkowski, Starowolski, Radawiecki, Olszewski, Aleksander a Jesu, Młodzianowski i inni piętnują w kazaniach wady narodowe z całą siłą i oburzeniem. Wyrzucają społeczeństwu polskiemu nierząd i brak karności, swary i najazdy, pychę rodową i nadużycia względem poddanych, zbytek i zniewieściałość, ale równocześnie nowe wskazują środki na odrodzenie ojczyzny.

Mówi się zwyczajnie, że panegirzyści przesadnemi pochwałami i schlebianiem magnatom stępili w społeczeństwie polskiem zmysł moralności — ale mówi się bez dostatecznej podstawy i znajomości literatury panegirycznej. Chwalili panegirzyści szlachtę w mowach pogrzebowych, boć niepodobna nad świeżym grobem,

wobec rodziny i znajomych, wywlekać błędy zmarłej osoby wbrew prawu przyrodzonemu i Bożemu, podnosili więc dodatnie strony, które każdy człowiek w większej lub mniejszej ilości posiada; podnosili może zbyt wysoko małe cnoty i w tem ich wina — ale żeby zawsze i wszędzie schlebiali magnatom, tego bez rozminięcia się z prawdą twierdzić niepodobna. Razi nas dziwaczność form panegirycznej wymowy, ale w tych potwornych kształtach kryje się często myśl poważna, a ostra satyra na zepsute obyczaje wieku, owija się w symbole, aluzye i niepochwytne przenośnie, które jednakże słuchacze rozumieli. Że poprawa była nieznaczna, to już nie wina kaznodziejów, ale społeczeństwa.

Jednym z tych, którzy jasno widzieli ujemne strony narodu i śmiało prawdę mówili, był Lorencowicz. Po wszystkich jego kazaniach rozsiane są miejsca, z których widać przywiązanie do kraju rodzinnego i żal, że tyle złego toczy jego organizm. Przypatrzmy się im bliżej.

Poglądy na ustrój państwa i stosunek jego do Boga zawarł w kazaniu na niedzielę wtórą po Trzech Królach. Udowadnia tam, że państwo niedługo się ostoi, jeżeli zerwie z Bogiem, i dlatego baczyć powinno, żeby ustawy państwowe nie sprzeciwiały się prawom Bożym. Przywodzi dwie przyczyny: pierwsza, że Bóg jest najwyższym i ostatnim celem każdej rzeczypospolitej, stąd sprawy państwa muszą być podporządkowane pod cel wyższy. „Bóg kiedy zleca ludziom i podaje w ręce i administruje ich Rzeczpospolitą, kiedy przenosi królestwo od narodu do narodu, jednemu narodowi dla grzechów jego weźmie koronę, drugiemu ją da, nie tak ją daje ludziom, żeby sam siebie miał prywować i żadnego na nie prawa sobie nie zostawić“ [1]. Myśl tę rozbiera obszernie i dowodzi, że ci którzy mówią codziennie: Przyjdź królestwo Twoje, „ci królestwa swe, dobra pospolite pod nogi tego, którego najwyższym monarchą swym znają, poddawać winni i z onemi wielkiemi królami, których widział

[1] „Kazania niedzielne“ I, str. 54.

Jan św., korony z głów swoich złożywszy, przed majestat jego porzucić".

Druga przyczyna: że dobro pospolite każdego królestwa jest nierozdzielnie spojone i złączone z dobrem Boga, ze czcią Jego i zachowaniem przykazań Bożych. Myśl tę popiera przykładami ze Starego Testamentu. Następnie mówi o groźbie Bożej na państwa, które gwałcą jego prawa: „Wszystkie książęta ich, którzy mówili: posiądźmy dziedzictwem świątnicę bożą, Boże mój, połóż je jako koło" — wykłada znaczenie tekstu i trzema porównaniami je objaśnia.

„O Rzeczypospolitej każdej możem pomyślić, jakoby wozem jakimś była, który Bóg rządem i opatrznością swoją kieruje i gdzie chce i jako chce obraca. O jako rzecz żałosna widzieć królestwo przedtem zacne, potężne, mądre, bogate, kiedy na skaranie grzechów jego, Bóg niem rządzić więcej ojcowską swą opatrznością nie chce. Obaczysz, a ono ciągną zbestwione animusze, potargawszy wodze posłuszeństwa; na zwierzchność nic nie dadzą. Niezgody ich wadzą, prywaty ich dobijają; niemasz nieszczęścia, któreby Rzeczpospolitą większe potkać mogło. Zewsząd będzie uszczerbiona, tu ją szarpią swoi właśni za prowenta, tu nieprzyjaciel pustoszy, w niewolę bierze, tu ekspedycya się nie poszańcuje. Skądże ta odmiana? Jedyna przyczyna, że na sejmach swoich śmieli się targnąć na rzeczy Bogu poświęcone".

Następnie przyrównywa państwo nierządzące się ustawami Bożemi „do cygi abo wartałki, którą dzieci się bawią. Rady, konsultacye, deliberacye, zjazdy, sejmy ich będą jako cyga. Wszystko w koło będą radzić o tymże i na jednych i na drugich sejmach, sejmikach, a egzekucyi żadnej, ani skutku dobrego nie będzie. Czemu? Nie masz tam wewnątrz dusze, nie masz Pana Boga... Ale jest duch między nimi *spiritus vertiginis*, wartogłów, który wierci, miesza, mąci ludzkie mózgi. Bo przepuści Pan Bóg jednego abo drugiego wartogłowa, co to jako biczykiem wymownym językiem i wykrętami Rzeczpospolitą dokoła będzie obracał. Czemuż? jeden grzech, jedna sejmowa konstytucya przeciw Bogu i Kościołowi sprawuje to karanie".

Trzeci obraz takiej Rzeczypospolitej, to podbiał, „który po łąkach rośnie, liścia żadnego nie ma, na wierzchu tylko ma pałkę właśnie jakoby z kwapu... ledwo dmuchniesz, aż wszystko zaraz na wiatr poleci. Tak i Rzeczpospolita. Niech pana jako głowę ma najwyborniejszego, senat mądry, urzędniki pilne, wojska wielkie, twierdze, zamki, miasta obronne; dlatego że jest coś między nimi przeciw Bogu, dmuchnie raz Bóg na to, a wszystko pójdzie z wiatrem".

Takie są zapatrywania kaznodziei na stosunek państwa do Boga. Niema tu siły i wysłowienia Skargi, ale nie brak trafnych uwag, a opis sejmu, w którym kilku przewodzi i mąci, zaczerpnięty z czasów współczesnych i wiernie oddany.

O sejmach mówi jeszcze na innem miejscu i żali się, że uchwały sejmowe nie popierają należycie katolicyzmu i wymierzone są na pokrzywdzenie duchownych. „Sejmy nasze zaczynamy pospolicie od egzorbitancyi. Naprzód pytamy się, czemu to, czemu owo, nie przystępować do niczego, aż tego naprzód poprawią, to w ryzę wprawią, to skasują. Jestże też tam między tak wielą egzorbitancyi która o religii, o chwale i czci Bożej? Pytać się naprzód, niż do czego przystąpią, czemu tak wiele kościołów katolickich w Koronie i w Wielkiem Księstwie spustoszonych, czemu ten pan jeden w swoich majętnościach tak wiele ich i chwałę Bożą w nich zniszczył, kapłany wygnał, srebro, aparaty kościelne zabrał. Czemu w miastach koronnych królewskich pod panem katolickim samym katolikom niewolna publiczna religii profesya, czemu takie opresye, angarye cierpią o to samo od urzędu, czemu w mieście z drugimi miejsca mieć nie mogą. Widział kto z was takie artykuły do religii, do wiary, do chwały i czci Bożej należące między egzorbitancyami? Ja nie wiem. Ale powiadają co czytają, że tego tam nie bywa, owszem coś opak innego. Cości *de regno Dei* mówią, jeno nie *quaerendo,* ale *perdendo.* Bywa tam snać napisano: nie przystępować do niczego, aż panowie duchowni na konfederacyą się podpiszą, nie odstępować tego artykułu: żeby duchowni majętności nie kupowali; kościołom nic nie legować, pannom do klasztoru posagu nie dawać, upominać się, aby na trybunałach

ksiąg heretyckich choć zakażonych nie palono, bluźnierstw ich nie sądzono, pytać się czemu ministrowie z miasta katolickiego ustąpili... Takie wprzód na początkach deliberacye, takie na sejmach, sejmikach propozycye, na tych czas trawią i znać po skutkach i powodzeniu tych rad i sejmowania, iż się nam nie udają".

I niżej: „U nas wszystko na opak. O wojnach sejmując, o obronie przeciw nieprzyjacielowi radząc, konstytucye za heretykami knujemy; na wyprawę wojenną ubóstwu, nędzy, chłopkom, rzemieślnikom, przekupkom od garści krup, od kufla piwa, od sztuczki roli poborów tak wiele dawać każemy, sami od sta tysięcy intraty, Boże uchowaj, szeląga rzucić! Tak królestwa Bożego, tak chwały jego szukamy i tak nam się też źle dzieje!"

Dalej wskazuje klęski, nieurodzaj, zubożenie ogólne, jako karę Bożą za lekceważenie Jego przykazań. „Nie masz się w co odziać, próżno między ludzie, trudno z domu się wychylić, nie masz w czym. Źle w kramie, na warsztacie, w towarze, w rzemiośle źle, nic się nie zarobi, choć też czasem i targi i zarobki będą, przecie nie sporo, nic się nie schowa, wyda się wszystko. Na tak wiele trzeba, to na pobory, to na szose, to na czwarty grosz, na naprawkę drogi, na mur, nie wiem na co pierwej pójdzie to wszytko, co się zebrało. Na złe czasy utyskują, nie idą handle, nie masz pieniędzy między ludźmi, porty zamknięte[1]. Drudzy na nieprzyjaciela, na opresyą i łupiestwo od swoich, drudzy na nierząd, na tego, na owego narzekają. Ale nie patrzcie niesposobności powietrza, na niepogody, susze, nie! Uważcie dla czego Bóg przepuścił tak złe czasy. Nie składajcie na złą czeladź, nieprzyjaciela, nierządy, domową swawolę, to rozstrzygnijcie, a znajdziecie że wszystkiego przyczyną są drogi wasze"[2].

Dotychczas przytoczone ustępy odnosiły się do spraw ogólniejszych; jest ich stosunkowo niewiele, bo kaznodzieja nie miał sposobności ich rozwijać. Na sejmach nie przemawiał, kaznodzieją królewskim nie był, to też ubocznie tylko o nie potrącił.

[1] W czasie wojen kozackich i późniejszych przecięta była komunikacya ze Wschodem, na czem kupcy lwowscy wiele ucierpieli.

[2] „Kaz. niedz." t. II, str. 199.

Zwyczajne jego audytoryum to nie mężowie stanu, przed którymi mógłby rozwijać swoje poglądy na ustrój społeczny, ale w znacznej części mieszczanie i szlachta po miastach zamieszkała, których pożytek miał przeważnie na oku. Najczęściej też do nich się zwraca i w mniejszym zakresie stara się o poprawę wad rozpowszechnionych. Sam szlachcicem nie był, ale też nie był uprzedzony do szlachty, owszem wymawiał często słuchaczom, że klejnot swój herbowy plamili.

„Urodzi się drugi wysoko, sławne, zasłużone mając przodki. Cóż potym, nie zażyje tego, nie wychyli się z domu; z charty, ze psy, przy kartach i przy kuflu w próżnowaniu wiek swój przetrawi, żadną przysługą pamiątki nie zostawi... Szlachectwa użyje na opresyą i kontempty innych, na swawolą i rozpustę, na krzywdę i obrazę Boga, na turbacyą i zgubę ojczyzny“ [1]. Niestety, nie były to wypadki sporadyczne tylko, ale wada grasująca, i dlatego nieraz godzili w nią kaznodzieje. „Już ty maluj ojca, dziada, pradziada jako chcesz na twoich rozturchanach; ozdoba to jest kubków, ścian, mis, talerzów, tobie nie pomoże, — wołał Radawiecki — ojciec twój we zbroi, w szyszaku z kopiją, z buławą, nieprzyjaciela gromi, o ojczyźnie radzi, dla wiary piersi swe ochotnie niesie. A ty w maszkarze z cytarką drgasz, kuflami się obkładasz, przy tuzach, przy rozpuście w kącie brzydko gnijesz“ [2].

„Nie po swawoli — mówił Starowolski — nie po wygolonej ordyńskiej czuprynie ani po krzywych napiętkach u butów, nie po kutasie jałowatym ani po przezwisku ma być poznawan prawy szlachcic, bo tego lada chłop dostać może, ale po cnocie, która i przodkom naszym szlachectwo dała i nas tylko sama może poczynić znacznymi, między niższymi, którzy się złością, zbytkami i niecnotą parają“ [3]. W tym tonie przemawiali także i inni. Widać więc, że ambona nie schlebiała zawsze rodowej dumie, owszem, starała się ją wyzyskać i na lepsze skierować tory.

---

[1] „Kaz. pogrz.“, str. 87.
[2] „Prawy szlachcic“, kazanie na pogrzebie Andrzeja Stadnickiego.
[3] „Prawy rycerz“.

Charakterystycznem jest, co mówi Lorencowicz o szlachcie zaściankowej, o jej ciemnocie i zaniedbanem wychowaniu dzieci. „Głupimi są wieśniacy owi, gburowie na wsiach, ale i szlacheckim się to trafi, co owo nigdy z chałupy abo ledwie za płoty wynidzie; na wiejskich tylko posługach go bawią, w mieście między ludźmi nie postoi, abo jeśli kiedy pojedzie, powiezie kogo, jakby też nie był. Pas za półtorak abo kukiełkę mu kupią, nie zostawią go tam, do szkoły nie dadzą, nie przypatrzy się obyczajom i policyi, coby człowiekiem mógł zostać, prostak będzie po staremu Maćkiem“ [1].

W innem kazaniu zwraca się do bogatszych i żali się, że młodzież szlachecka, zamiast wstępować w ślady przodków i pożyteczną pracą służyć ojczyźnie, trwoni swe zdolności na marne, a oddana hulaszczemu życiu, przynosi wstyd rodowi i gotuje zgubę ojczyźnie. „Kogóż serce nie zaboli widzieć młodzieńca szlachetnego, w domu w pięknych obyczajach wychowanego, w szkołach skromnego, pilnego, mądrego filozofa, jurystę biegłego, oratora wymownego. Szczęśliwi rodzice, jakaż to będzie pociecha wasza, jaka podpora twoja ojczyzno, jaka okrasa koła rycerskiego, izby poselskiej ozdoba, senatu światło!... Poczekaj jeno trochę, ujrzysz, w co się też nadzieja ona obróci. W kieliszkach filozofia zatonęła, retoryki chyba na bunty i rozerwania zgody, na deklamacye przeciw duchownym używa. Jurisprudencyą przez nogę prostych przerzuca, nabożeństwo zwłoszało. Nie zostało jedno sromota rodzicom, wstyd mistrzom, familii skaza, ojczyźnie zaraza, samemu zguba i wieczne zginienie“ [2].

Lorencowicz szlachectwo inaczej pojmował, brał je może trochę za idealnie, ale nie przeszkadzało to, żeby z całą otwartością powstawał na wybryki szlacheckie. Charakterystyczne pod tym względem jest kazanie na pogrzebie szlachetnej białogłowy, w którem rozwija kaznodzieja poglądy na szlachectwo. Kazanie powiedziane na tekst: „Nad rzekami Babilońskiej ziemie tameśmy siedzieli i płakali, gdyśmy wspominali na Sion“. — „Nie

[1] „Kazania pogrzebne“, str. 95.
[2] „Kaz. niedz.“ t. I, str. 83.

wiem, jakie to były rzeki babilońskie — mówi we wstępie — i skąd taką moc miały wywodzić tak obfite łzy z oczu ludu Bożego. To wiem, że nie miejszą mieć mogą do tegoż, te rzeki przed oczy nasze rozlane, o tych mówię herbowych rzekach, ojczystych klejnotach szlachetnej tej białogłowy zmarłej. Usiądźmyż nad niemi trochę, a dla porządku i pamięci pojedynkiem każdę z osobna uważmy".

W pierwszej części porównywa z rzeką życie człowieka, w drugiej stan szlachecki, w trzeciej życie chrześcijańskie.

„Stan szlachecki to rzeka. Nie mówię o nabytym, dostanym zasługami, przywilejem abo kupnem, abo czasem cherchelem, spowinowaceniem, abo tam inaczej uroście, kto szlachcicem jak grzyb o noc jednę, ale mówię o starym, dawnym... Jest dukt długi cnoty i zasług, który począwszy od starego przodka której familii i rodu, idzie przez potomki z niego zrodzone; własna rzeka, jeno że w rzece woda, w szlachectwie krew, abo ze krwią cnota płynie".

Jakież początki szlachectwa? Nieznaczne, jak źródła rzek. „Początki moralne abo polityczne domów szlacheckich nie wielkie. By nie tak częste inkursye tatarskie popaliły dwory szlacheckie, pańskie, znalazłby tam niejeden gdzie pod słomianą strzechą kozicę pradziadowską abo rzemieślniczy warsztat swoich przodków".

Szlachectwo nie wieczne, całe rody zanikają, jak rzeki w morzu. „Z pospólstwa i prostej czerni, jak morze niespokojne, burzliwe, wychodzą domy i familie szlacheckie, w pospólstwo się zaś obracają. Kto z was w leciech starszy, rzuć pamięcią na tak wiele domów zacnych, starych, bogatych, możnych, na które niedawno jak na rzeki wielkie patrzał, gdzie się podziały, jak w ziemię przepadły, ledwie pamiątka ich została i tej po chwili nie będzie... Jeżeli nie słuszna usieść i zapłakać rzewno, kiedy nam te rzeki polityczne upływają, giną i uchodzą, a często w pogańskie morza, niewolstwa więzy się dostają! O wielkaż to szkoda i nam i całej ojczyźnie i prawie ostatnia i najcięższa na państwo, na królestwo plaga, którą gromił Bóg i karał za grzechy: *Omnes nobiles Juda occidit*".

Nad zacnością i pożytkami stanu szlacheckiego tak się rozwodzi: „*Utile est reipublicae nobiles esse* — powiedział orator rzym-

ski, choć pono nie rad, bo jako *homo novus* był stanowi szlacheckiemu nieprzyjazny, ale trudno miał taić słońce w południe. A któż nie widzi, że tu w tym stanie wszystko Rzeczypospolitej i obywateli szczęście, z tych obmyślania wszystkie dostatki, handle, kupie pochodzą, w tych straży złotej wolności prawa, sprawiedliwość, pokój kwitną. W tych ręku obrona, bezpieczeństwo od nieprzyjaciela. Z słów własnych nam wały stawią, piersiami szturmy, nawałności odpierają, krwią nakoniec swoją rzeki czyniąc, przystępu bronią".

To nie wszystko, jest i odwrotna strona medalu. „Prawda, bywać też czasem z nich jako z rzek wielkich szkoda, kiedy zwłaszcza się nadmą, zbiorą i z brzegów wyleją. Pozna ich niejeden. Temu sztukę roli, łąk, lasu urwą. Owemu zboże zamulą, obalą domy, wsi zniesą, co niemiara szkody bywa. Złe sąsiedztwo z rzekami a mianowicie wielkiemi! Ale to nie rzek ani szlachectwa wina. Tych co wylać z brzegu dopuszczą, wałów, grobel będąc powinni nie czynią, abo nie strzegą i niemi tych powodzi nie wspierają".

W czasach gdy to mówił kaznodzieja, zapóźno już było na sypanie wałów i grobel, niepodobna już było ująć w karby buty rodowej i wybujałej fantazyi szlacheckiej, ale że ze słów powyższych tchnęła myśl zdrowa i trzeźwy pogląd na stan szlachecki, o tem dziś chyba nikt nie wątpi.

Napomknął tu mowca o wylewie rzek, mając na myśli najazdy szlacheckie i ucisk poddanych. Na innych miejscach wypowiada sąd wyraźniej o stosunku szlachty do podwładnych i ujmuje się za uciśniętym ludem. W obronie ludu nie on jeden występował. Sprawę tę wielu kaznodziejów poruszało, zwłaszcza Birkowski, Starowolski, Olszewski, Młodzianowski. Ucisk chłopów wyrzucali kaznodzieje słuchaczom nieraz, i z powołania swego stawali w obronie uciśnionych.

„Próżno się między sobą bracia nazywacie — mówi Birkowski — starym obyczajom oddajcie te stare nazwiska. Czyż to braterska, żydom braci waszych przedawać, myta i pobory zastawiać? Możecież patrzyć gdy żyd szydersko towary ubogiego chłopka bantuje. Do stołów siąść nie umiecie, aż go wprzód ży-

dowska ręka przykrasi i miasto kwiecia krwią ubogich poddanych potrzęsie“ [1]. — Olszewski to samo mówi, ale trochę przenośnie: „W Polszcze i Litwie chłop własny osieł, pełni się w nim ona trefna powiastka. Jeśli kogo niedźwiadek ukąsi a on to do ucha osłowi poszepce, wolen sam od bolu zostawa a na osła niemoc przechodzi. To się prawdziwie u nas iści. Kiedy na pany dokuka od poborów, nakładów na Rzpl., prac, ciężarów, tedy oni to poddanym do ucha poszepcą: Chłopi trzeba pobór dać, trzeba stacyą żołnierzowi składać, trzeba ją podwodami za niemi wieść. I tak panowie od bolu wolni a chłopi bolejąˮ [2]. Naturalnie że tak się wszędzie nie działo, ale że były pod tym względem rażące nadużycia, to rzecz wiadoma. Cierpiał lud wiele, zwłaszcza od przechodzących wojsk, cierpiał w czasie rokoszów i związków wojskowych, kiedy brak żołdu starano się wynagrodzić zdzierstwem wieśniaków. Znane są z Paska owe pochody sierpem, zatrzymywanie się bez potrzeby po włościach dla wygodnego utrzymania konwoju. Jest o tem bardzo wiele świadectw także u kaznodziejów.

„Są którzy z zaciągu pieniądze na służbę biorą i udawają, że do obozu idą, a tymczasem prostego gościńca nie pilnują, ale krzywemi liniami te i owe dobra nawiedzają, już duchowne, już szlacheckie, tymczasem kiedy się oni wycieczkami bawią, nieprzyjacielowi rozpościerać się dopuszczająˮ — mówi Olszewski [3]. „Nie dziwujcie się panowie wojskowi, że teraz przed chłopstwem oprzeć się nie możecie — mówił Kochanowski r. 1650. — Darliście chłopów, chłopi też wam żywot wydzierają. Oni nie mogli się ostać przed wami w chałupie, wy się przed nimi ostać nie możecie w obozie, wyście im rzeczy po komorach rabowali, a oni je wam z waszych odbierają skarbnych wozów, wyście ich kurki i bydło w ciągnieniu płaszali, a oni was teraz w potrzebie płaszają“ [4]. Podobne użalania się spotykamy u Młodzianowskiego: „Ubogi chłopek jako drugiego sądnego dnia, tak się przyjazdu

[1] „Kaz. niedz.“ t. I, str. 199.
[2] „Harmonia nieba i ziemie“, str. 29.
[3] „Tryumf konwokacyi wileńskiej“, str. 101.
[4] „Mężna śmierć, mężnego żywota płód“, str. 26.

żołnierza boi“ (II. 232). „Żołnierz bardziej złupi niżeli nieprzyjaciel zagraniczny“ (III. 158). „Gdyby Pan Bóg wszystkie łzy ludzi ubogich po Polsce dla uciemiężenia i niesprawiedliwości wylane w kupę zebrał, mógłby człowiek w nich utonąć. Miła Ukraino! czemżeś utonęła? łzami ubogich! Miły Kamieńcu, czemużeś przepadł? Na łzach ubogich ludzi wpłynął do ciebie zawój turecki“ (II. 325).

Lorencowicz nie z taką siłą, ale nie z mniejszem współczuciem bierze lud w obronę, głównie w kazaniach pogrzebowych, w których podnosi gdzie może ludzkość w obchodzeniu się z chłopami i zachęca do niej słuchaczów: „Nie trąciły podarki składane kościołom — mówi na pogrzebie zmarłej matrony — cudzym potem, abo krwią z poddanych wyciśnioną. Ze łzami opowiadają właśni jej poddani, którym ona nie panią ale matką była, macierzyńskim prawie affektem je miłowała, litowała, broniła, wspomagała z gumna, spichlerza... Jako się panowie obejdą z poddanymi, tak im odmierzą. Są to panów najpewniejszy *amici*, którzy ich mają przyjąć *in aeterna tabernacula* i dlatego sposobić się sobie każe Bóg. *Facite vobis amicos*“ [1]. W innem miejscu chwali zmarłego senatora i urzędnika koronnego, że nie chciał krzywdy poddanych: „Poddani niech świadczą, z jaką łaskawością, ludzkością, miłością onych zawiadował, bracią je swoją zowiąc. Raz ktoś radził mu odmienić się z poddanymi na role, że się sposobniejsze nad pańskie dla blizkości być zdały. Nie chcę, prawi, tego, też to bracia moi, nie mogę im jedno jako sobie życzyć“ [2].

Za to samo chwali kilku wojskowych: „W żadnych łupach nie korzystał, — mówi o jednym z nich — ludzi nie ciemiężył, stacyami nie obarczał, spokojnie z rotami i pułkami przechodził, płaczu na się ludzkiego i klątew nie brał“ [3]. Ale nie o wszystkich mógł się podobnie wyrażać. W kazaniach pogrzebowych, w których się zwykle dodatnie strony podnosi, nie miał sposobności rozwodzić się na ten temat. Gdzieindziej ostrzej występuje. Przy-

[1] „Kaz. pogrz.“ str. 143.
[2] „Kaz. pogrz.“ str. 17.
[3] „Kaz. pogrz.“ str. 41.

równywa panów znęcających się nad poddanymi do Kaliguli, zabijającego niewolnika w cyrku: „Wielki bohatyr! Co plugawszego, jako wszystkiego niemal świata monarsze z jednego człowieczka małego tryumfować! Tak właśnie czynią wiele z naszych, u których męstwo i sława chłopka, rzemieślnika, mieszczanina bezbronnego, gdy ich co od niego spotka, a często bez żadnej winy zdespektować, porwać, więzić, tyrańsko mordować. *Quam foeda de vili sanguine palma!*“ [1] — Powstaje także na zdzierstwa żołnierzy, grozi pomstą Bożą i przepowiada, że chleb ubogim wydarty klęskę na wojsko sprowadzi: „Niech jedno chleb cudzy a zwłaszcza ubogich ludzi własny, z krzywdą ubogich wydarty, od gęby głodnym odjęty, niech taki chleb dostanie się i wpadnie do obozu, do wojska, nie inaczej jakby też sam nieprzyjaciel wpadł. Miecz to nieprzyjacielski, chleb cudzy niesprawiedliwie wzięty“ [2].

„Jest tam gdzieś w budynku waszym zła cegła, — mówi w innem kazaniu — bo podobno cudza, orcel sąsiedzki, miasto wapna podobnoś krwie bliźniego z poddanych przymieszał. Nie spoi się to, wypadnie i drugie pójdą za niemi“ [3].

Przejdźmy teraz do dumy rodowej i przypatrzmy się, czy panegirzysta jej schlebia? Styl Lorencowicza nabiera werwy i żywości, ilekroć o tę grasującą wadę potrąca, czasami zakrawa na gorzką satyrę i piętnuje występek z całą siłą. Ze słów kaznodziei pokazuje się, że widział smutne następstwa szlacheckiej buty. To też nie liczy się z pieszczonemi uszami słuchaczy i nie cofa się przed obowiązkiem wypowiedzenia słowa prawdy.

W mowach pogrzebowych przypomina słuchaczom, że śmierć i sąd Boży zrówna wszystkie stany. „Tu tylko różnie sądzimy, prawa inne na się, inne na drugich knujemy. A pókiż to trwać będzie? Po śmierci rzeką: nie masz tu pana ani ubogiego, nie masz rycerskiego stanu, wolności, ani niewoli chłopskiej, nie masz ani publiki, ani nie prywaty... Otwórzcie trumnę,

[1] „Kaz. niedz.“ t. II, str. 250.
[2] „Kaz. pogrz.“ str. 50.
[3] „Kaz. pogrz.“ str. 89.

obaczcie jeśli się nie zrównało szlachectwo z szpitalnego gnojka kalectwem“ [1].

„Niech będzie najszlachetniejszy, najrodowitszy, wielmożny, oświecony, najjaśniejszy, z tej chwały nic z sobą nie weźmie, żadnym z swych klejnotów herbić się nie będzie! Daremna tam wywodzić genealogie, na starożytność tam nic nie dadzą, o szlachectwo się nie pytają, wolności, swobody tam łamią, *etiam non victum iure* kaptiwują. Herby te, łupież to śmierci, które ona z zwyciężonego zdarłszy, na tryumf pokazuje“ [2].

„Po śmierci braku person nie będzie, tak tam ważą najważniejszego pana, jako i prostego chłopka, nie rozeznać kości szlacheckich od plebejuszowskich“ [3].

Przypomina słuchaczom, że przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie zdać sprawę jak używali przywilejów szlacheckich: „Pójdzie Pan i do ludzi stanu wielkiego, rycerskiego, szlachetnego, co bez jarzma wolno sobie po paszach bujają. Ludzie to uprzywilejowani, w jarzmie nie ciągną, pociągnąć się i przywieść do tego nie dadzą. Te pany obejrzy na sądzie swym, czy te rogi, przywileje, wolności, dostatki, potencye, które z dobroczynności Pańskiej pobrali, w dobre im się obróciły. Jako ich zażywali, czy na rozszerzenie chwały Bożej, wiary, na pomoc i poratowanie nędznych, czy pono te rogi, które od Boga mają, obrócili na samegoż Boga, na sługi jego, na mniejszych, co się obronić nie mogą, nad tymi się pastwią i rycerstwa dokazują“ [4]. Nasuwają się tu mimowolnie słowa Aleksandra a Jesu: „Nie dlatego bezpieczni bądźcie, żeście się herbownemi otoczyli rycerzami, murami, lwami, lampartami, toporami. Tych samych waszych herbownych znaków na zgubę waszą śmierć zażywa. Waszymi Toporami was podcina, waszymi Nałęczami, jako na gardło skazanym, oczy wam zawięzuje..., waszymi Kluczami groby wam otwiera, waszym Lwom, Lampartom, Niedźwiedziom na pożarcie was daje“ [5].

---

[1] „Kaz. pogrz.“ 32. [2] „Kaz. pogrz.“ 64.
[3] „Kaz. pogrz.“ 86. [4] „Kaz. niedz.“ II. 250.
[5] „Topór na podcięcie wyniosłych cedrów“...

Przepych i okazałość szlachecka objawiała się głównie przy występach publicznych, wjazdach na trybunały i zgromadzenia sejmowe. Starano się tłumom przez to zaimponować, a sobie wzięcia przysporzyć. Nie pomija tego milczeniem kaznodzieja. „Co przedniejszy między wami panowie, głowy wasze, kiedy przyjdzie im wchodzić abo wjechać do jakiego zgromadzenia, pospolitego koła, na sejm, sądy, sejmiki, rady, z taką to pompą czynią, z powagą, komitywą przed sobą, zewsząd orszaku pełno, strojno, świetno, bogato, barwiano na sobie, na pachołkach, jakoby procesye stroili, w rezach, ornatach, pstrocinach, a to dlatego, żeby wszędzie ich czczono, wenerowano, kłaniano się, bardziej niż owym obrazom, co ich na procesyach noszą. Pycha, na którą dobra swoje, bogactwa obracali!“ I zgorszony woła: „O Boże, jaki my rachunek damy, patrząc, jakie zbytki, wczasy, pieszczoty, pychy nasze, używania, muzyki, częstowania, wyprawiania. To wszystko nie godziło się w starym zakonie, nie mówię lada komu, człowiekowi pospolitemu, ale ani co najcelniejszym, panom najwyższym. Dlatego kazał Bóg prorokowi wołać na to, łajać, gromić i t. d... A teraz się to wszystko i więcej daleko znidzie. Komu? Nie panom, senatorom, królom, ale kto żywnie zechce, a tak się zejdzie, że oto teraz mówić próżno. Nie zeszłoby się teraz wołać kaznodziejom: *Vae qui opulenti estis.* Nie uszłoby mu to. Dlatego, dla tej waszej pychy, dla waszych strojów, dla kosztów tak wielkich na swoje wczasy, na bankiety, pijaństwo, dlatego Bóg was poda w niewolą pogańską. Przyjdzie nieprzyjaciel wasz i niedługo zażenie was jako bydło. Nie godziłoby się tak teraz odzywać i grozić“ [1].

Kaznodzieja wiedział, że dotyka strony bardzo czułej i wrażliwej, to też chętnie posługuje się słowami Pisma św., parafrazuje je, opowiada, jak groził prorok Żydom, ale każdy widzi, że ubocznie zwracał się do obecnych.

Życie wystawne musiało pociągać za sobą niemałe wydatki, a nierzadko i utratę fortuny. Przedstawia to kaznodzieja w jednem z kazań, w typowym obrazku ówczesnego utracyusza:

---

[1] „Kaz. niedz.“ II. 34.

„Dobrze wyrazili pychę dawniejszy z pogan mędrcy, malując ją o jednej tylko nodze, z parą wielkich skrzydeł, a rogów miała wiele bydlęcych na głowie. Skrzydła dwoje, a rogów wiele, bo lata wysoko, a innych bodzie. Nogę jednę ma, bo słabo stoi, oprzeć się nie może, prędko się obali. Zaraz jako prędko wzbije się wzgórę skrzydłami, rogami tryksać pocznie, tamże upadnie, zepchną go na dół, ani się na miejscu zostanie. Naprzykład: obaczysz pana młodego, kiedy owo wylatuje wzgórę, bujno lata, rozszerzy skrzydła; kocze poszóstne, barwiano czeladź, wachlarze, kity, powodne konie, wszystko górno na jednę wyprawę; w zaloty tysiączno lata, ba i bodzie, nie przystępuj, rogów pełno, bij, strzelaj! A długoż tego? Nie długo. Nie obaczy się, aż on na ziemi leży, podłużył się, pozastawiał. Skądto? Nie podobna ostać się było na jednej nodze, nie było tylko jedna wioska, a kazać na nie tak wiele“ [1].

Stroić się lubiła nietylko szlachta, ale i mieszczaństwo, zwłaszcza bogatsze, szło o lepsze z wyższemi stanami. Tyczy się to przeważnie mieszczan lwowskich. O strój bogaty nie było trudno we Lwowie, bo do drugiej połowy XVII. w. mieszczanie byli zamożni, a bogate materye wschodnie leżały w składach kupców lwowskich. Ubierano się też z całym przepychem, obracając na to niemałe sumy [2]. Ślady tego spotykamy w kazaniach Lorencowicza. W kazaniu o jałmużnie, zbijając wymówki tych, którzy niechętnie podawali rękę ubogiemu, mówi: „Porachuj się z tym co masz, a coć potrzeba; zbędzieć co, dajże. A coć po tej szóstej, dziesiątej sukni, że darmo leży w skrzyni, jeżeli możesz trzema się odziać i ustroić, właśnie jak ci przystoi. Co drugiemu po aksamicie za dwadzieścia złotych łokieć, jeżeli mogą go znać w falendyszu za złotych sześć. Kiedy szeląg da który z was ubogiemu, jakoby wszystką dał i stracił substancyą, tak to sobie ważycie“ [3].

„Kiedy kto był chudym pachołkiem, na jednej sukni dość mu było, kontentował się baranem. Został mości panem, aż

[1] „Kaz. niedz.“ I. 37.
[2] Wł. Łoziński, „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie.
[3] „Kaz. niedz.“ II. 30.

trzeba tak wiele par lisów, rysiów, soboli. Obrano kogo na urząd, abo się dokupił, aby był panem radnym, aż trzeba koni, marmurków, kamienic w rynku“ [1].

I na innem miejscu: „Tak często nie masz na potrzeby swoje, abo swoich, Rzeczypospolitej, ubogich, kościołów, bo się wyda na niepotrzebne zbytki. Mało po tym byś najwięcej miał, jeżeli *multi sunt qui comedunt.* Masz tak wiele gąb prócz tej jednej, co w twarzy. Gęba na głowie, gęba na szyi, gęba na grzbiecie, na ręku, na nogach. Wszędzie co niemiara tych gąb, a wszystkie bardzo siła trawią. Gęba co na głowie, jak wiele zje: pelikany, orły złote, perły i gruszki i kamienie dyjamentowe; na szyi wstąże, kanaki i zawieszenia złote i łańcuchy; ręce także tak wiele pierścieni, maneli (trawią); nuż na grzbiecie gęba sobole je, rysie, bławaty. Najlepiej tedy porachować się z tem co Bóg da, a wedle tego spendować“ [2].

Nie są to rysy przesadzone. Że przodkowie nasi lubowali się w przepychu i starali się o okazałość, to rzecz wiadoma; że wiele na strój łożyli, mógłby posłużyć za dowód choćby zrabowany przez kozaków obóz pod Piławcami, i wyprawa pod Beresteczko.

Pasek, którego nie można przecież posądzić o kaznodziejski zapał, ani o zbytnie uprzedzenie do pięknych ubiorów, bo sam się rad stroił, wyznaje jednak, że moda wiele pochłania. „Taki zwyczaj u nas w Polsce, że choć kto suknią na nice wywróci, to mówią, że to moda i potem ta moda ma wielką komplacencyą u ludzi, póki nie przyjdzie do prostych. Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, czapkach, butach, szablach, nawet w czuprynach, gestach, stąpaniu. O Boże święty, nie spisałby tego na dziesięciu skórach wołowych! To jest największa płochość narodu naszego i wielkie stąd pochodzi zubożenie“ [3].

---

[1] „Kaz. niedz.“ I. 130.

[2] „Kaz. niedz.“ II. 144.

[3] „Reszty rękopismu Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska“. Wilno 1854, str. 55.

Twardowski w „Wojnie domowej“, między przyczynami klęsk, wylicza także przepych w ubiorach i dziwi się, że po tylu doświadczeniach niema poprawy. „Przecież się świecimy, przecież od soboli grzbiety nasze szumieją i materyi złotych“. O wyrzucaniu grosza na niepotrzebne stroje, wspominają nie w jednem miejscu satyrycy ówcześni: Opaliński i Rysiński, a w trzy lata po śmierci Lorencowicza obiegała po Polsce satyra: „Nowe zwierciadło modne dzisiejszego stroju akkomodowane damom polskim“, Jakuba Łącznowolskiego. Nie przesadził więc kaznodzieja, powstając na przepych w ubiorach.

Skutkiem dumy rodowej i jednym z objawów szlacheckiego animuszu, był nierząd wewnętrzny, sarkania na króla i władzę, spory sąsiedzkie o byle co, zajazdy, warcholstwo. Wady to zbyt bijące w oczy, a ich skutki zbyt opłakane dla kraju, żeby w kazaniach nie potrącić o nie. Utyskiwali na nie współcześni pisarze świeccy i ludzie, którym szło o dobro publiczne; kaznodzieja, który prócz dobra państwa miał dobro ogólne na oku i z powołania swego powinien był zwalczać zboczenia moralne, nie mógł pominąć milczeniem błędów tak rażących. Piętnuje też je z nieudanem oburzeniem i głębokim żalem.

„Taki właśnie jest lud mój i królestwo Izraelskie, jak gołębica — mówi Pan. Najgrubsze narody na trwogę, na niebezpieczeństwa się opatrują, sam ten naród jak gołębica, bez serca, zapamiętały. Przyjdzie kiedy chce pogaństwo, póki chce zagony rozpuszcza, ziemię pustoszy, krwią poi, oblewa, więźnie i łupy prowadzi, a on nic. Zdybano je nieopatrzne tak wielekroć, zabrano, a do kupy nie chcą. Szalony narodzie! Jakie ty syny masz, którzy tylko na się gruchają, na pana skrzydłami biją, a na kanie, orły i sępy inne nie dbają. O słówko, o żart, o nieposzanowanie, niezdjęcie czapki takie czynią gniewy, turby, tak często owe bywają zawody, zbierania wojska, sypanie pieniędzy. Na kogo? Na Pana, na brata, na sąsiada! O cóż? O skibę roli, o psa, o prywatę, a gdy idzie o gardła, o koronę, o kościoły, o wiarę, o Boga — nic, nic na to głupie gołębie. Nie wiemci, jeśli to wszystko naszej Polszcze nie służy, sami sędziami bądźcie,

a gniewy, zajadłości wasze pod uwagę słuszności i przyczyny, które was do niego pobudzają, poddawajcie!“ [1]

To samo powtarza prawie dosłownie w kazaniu na niedzielę 23-cią po Świątkach [2].

Że nie przesadził i nie minął się z prawdą, tego smutnym dowodem wewnętrzne zamieszki, nieudałe wyprawy wojenne, i dla braku subordynacyi zmarnowane tyle razy zwycięstwa.

Rozpowszechniony zwyczaj krytykowania władzy i zaściankową politykę dosadnie i rubasznie wyśmiewa, mówiąc o buncie w obozie Mojżesza.

„Oto jedna baba z jednym księdzem (tak nazywa siostrę Mojżesza Maryę i Aarona) rzucili się językiem na wielkiego hetmana. Szpetna rzecz i nieznośna słyszeć. A ono jedna wyrwawszy się z pod kądziele abo z warząchwią w ręku, a drugi od pacierzy i gdzieś z zakrystyi z trybularzem, poczną nosić tak dzielnego, świętego, sławnego męża i o niem rokować, że to nie dobrze, oto nie umie hetmanić, próżnuje, nic nie czyni, lud traci, z nieprzyjacielem jakoby kointelligencyą miał, nie bije się, nie lada hetman. A miła pani Marya, a miły ojcze Aaronie, rozumiecież się na tem co mówicie? Mieliście kiedy ten urząd, szykowaliście kiedy wojska, przypuszczaliście kiedy do szturmu, dobywaliście kiedy miast, staczaliście bitwy? Nie. A jakoż śmiecie przyganiać w tym biegłemu, ćwiczonemu, walecznemu, wojownikowi biegłemu?“ [3].

Następuje zastosowanie przykładu do naszego usposobienia. „To tak zawdy, abo pospolicie w tych szemraniach naszych przeciw przełożonym bywa, co się na ten czas trafiło. Kto szacuje urząd, burmistrze, wójty i inne przełożone?... Burmistrz który, urząd drugi? Nie wierzę, chybaby nazbyt zapamiętały, coby nie pomniał czego sam próbował, jakich trudności zażył przy urzędach. Tak trudno dogodzić wszystkim, jako nie zawdy

[1] „Kaz. niedz.“ II, 139.

[2] „Kaz. niedz.“ II, 264.

[3] Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że Marya i Aaron, to królowa Marya i jednooki prymas; czy jednakże podobieństwo to zupełnie przypadkowe, czy może alluzya do stosunków krajowych, nie wiadomo, bo kazanie nie ma daty i nie wiadomo gdzie było wypowiedziane.

się powiedzie, choćby najlepiej chciał. Któż tedy? Jeden tam za kuflem siedząc Hans, knecht, jeden pan młodszy, towarzysz na warsztacie, jedna między garkami smolarka. Kto ludzie rycerskie, hetmany szczypie, kto przygany daje? Hetman, który rejmentował kiedy, piastował buławę? Nie, chyba maczugę za wołmi w polu, abo jeszcze drugi dopiero rózgę na grzbiecie w szkole deklinując. Kto na rządy pańskie, królewskie, koronne, dworskie następuje? Monarcha który, abo co nosił kiedy na sobie Rzeczpospolitę całą, administrował państwa, rządził koroną? Nie wiem, by kto od takich słyszał, aby drugiemu przyganiać mieli? A to bywa czasem wyrwie się kto z zapiecka, abo od kominka z grzankami piwo pijąc, abo co doma nim żona rządzi, z pachołkiem nie wie co czynić, chłopy porozganiał, ten rząd Rzeczpospolitej gani i tak o drugich. Żałosna bardzo i niegodna, że lepsza w tym kondycya każdego rzemieślnika, aniż najwyższych magistratów i przełożonych“ [1].

Pomijając nieodpowiedni sposób wyrażenia, i nie licującą z powagą ambony rubaszność, trudno nie przyznać słuszności słowom kaznodziei. Znał dobrze polską naturę i trafnie ją scharakteryzował, tak, że dziś, po dwustu latach przejść i zawodów, możnaby z małą zmianą sąd panegirzysty o nowszych powtórzyć stosunkach.

Myśl o krytykowaniu władzy porusza jeszcze w jednem kazaniu, gdzie rozbiera odpowiedź św. Jana, daną wysłańcom żydowskim. „Pytaj tego, co na własną zwierzchność, na pany najwyższe tak śmiele się rzuca niewstydliwym językiem, skąd mu ta moc, *Elias est tu?* Temu samemu Bóg zlecił hetmany strofować i złe króle słowy i plagami karać. Czy ciebie też na to Bóg obrał? Odpowie: *Sum;* wolno mi to, jestem syn koronny, *sum.* Pytaj owego, co każe się jak Bóg adorować, nie zdejmieszli czapki, rzeczeszli co wolno, obrazisz, już piorunami miotać będzie, bić w łeb, strzelać, mścić się i w piekło wtrącać będzie. Więc wy panie czynicie się Bogiem? *Deus est tu?* Tak, wolno mi to, urodzenie, honor mój, poczciwość, eksystymacya, trzeba mi tego

[1] „Kaz. niedz.“ II, 194.

bronić, *sum*. Tak wiele tych sumów, co mają i głowę i gębę jak sum, wielką, nadętą, choć grzbiet i cały wszytek na piędzi“ [1].

Nie wiadomo jakby wyglądał Zagłoba, gdyby był istniał wpośród śmiertelnych, zdaje się, żeby miał głowę i gębę jak sum, wielką, nadętą, zwłaszcza w ważniejszych chwilach życia, gdy przybierał pozę bohatera i z całą świadomością siebie wymawiał: Zagłoba *sum*.

Dla uzupełnienia tła historyczno-obyczajowego kazań Lorencowicza, pozostaje krótki rys o sądownictwie. Tematowi temu poświęca kazanie na niedzielę czwartą po Wielkiejnocy, oprócz kilku wzmianek na innych miejscach. Od sędziego wymaga kaznodzieja dwóch przymiotów: sumienności i biegłości w prawie, przyczem zbija tych, którzy praktykę palestrancką uważali za dostateczne wykształcenie sądowe. „Musi przypłacić człowiek niewinny, czego sędzia się nie douczy. Trzeba mu się uczyć czytać, słuchać, wiedzieć co w księgach jest. Ale *praxi* się nauczy... Prawda, byle *praxim* tej nie brał i uczył się dopiero w ten czas i na tym kogo sądzi, bo by to foremna była. Właśnie jakobyś przyszedł do którego z rzemieślników leczyć się i radzić na chorobę. Miły bracie, dajże mi lekarstwo, boć nie wiem co ze mną się dzieje, gorączkę miewam. Dobrze, rzecze on: Jać wprawdzie na tem się nie rozumiem, bom ja Galena się nie uczył, w Padwiem [2] nie bywał, młotem abo dratwą się tylko bawił. Ale nauczę się panie na was. Wezmę z apteki tego, owego, pomieszam, zagrzeję i dam wypić wam. Sprobuję jako mi się uda, nauczę się na was i będę miał *praxim*. Daleko gorzej uczyć się prawa i jako sądzić samym aktem sądzenia i osądziwszy kogo jużby to, jako mówią, po osiecku“ [3].

Spotykamy także wzmianki o korrupcyi w sądach:

„Delikacka bardzo źrenica, choć mały afekt, który małe czynią podarki; zawadzi jej, zasłoni, że prawdy dojrzeć jako

---

[1] „Kaz. niedz.“ I, 17.

[2] Lekarze lwowscy kształcili się po większej części we Włoszech, zwłaszcza w Padwie, i mieli doktoraty włoskich uniwersytetów. Por. Łozińskiego „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie“.

[3] „Kaz niedz.“ II, 46.

trzeba nie może. Niechaj będzie człowiek najmędrszy, coby prawa, procesy, sprawy umiał na palcach — i tych zaślepią podarki“ [1].

I niżej: „Starzy sztychowali sędziego, co rad podarki brał, jedną przypowieścią: *Bovem habet in ore* (wołem nazywali wszelki podarek, abo osobliwie pieniądze, na których wybijano woły). Wlazł mu wół w gębę, pewnie nie wymówi, coby trzeba. Miasto tego coby miał mówić: pokradł, obwiesić go; rzecze: pokładł, uwolnić go i napiszą w dekrecie: *Ex quo posuit, liber*. Miał rzec: zdrajca, mówi zwajca i tak mniejszą *poenam* nakażą. Miano na gardle karać, ledwo się po mieszku dostanie“.

Albo gdzieindziej: „Nie dobraby to rzecz na sędziego, kiedyby on tak za gardło miał chwytać, jako wilk pospolicie owce, bydło chwyta i głos odejmować, kiedyby sprawy dostatnie przełożyć stronie każdej nie dopuścił. Chce kto sąd w sprawie informować, a on zawoła: Precz z tym! Ledwie pocznie mówić: Macie wiedzieć mości panowie, a on: precz z tym! — tak tam dukty idą: precz z tym! — Nie dobra to. Gorsza, kiedyby jeszcze przedtem, niż sprawa przypadnie, sędzia z stroną się jedną porozumiewał i kiedy zaczną kontrowersye, słuchać nie chciał, mówiąc: już ja wiem tę sprawę, ma ten sprawiedliwą“ [2].

Dostaje się i przekupnym prokuratorom sądowym: „*Labia dolosa*, to języki złych i Boga nie bojących się prokuratorów, przedajne, najemne, co na obie strony sieką, lubo na tę, lubo na ową, bądź wedle sumienia, bądź przeciw sumieniu, nie dbają o to; jako szalki gdzie więcej włożą, by najmniej przełożono na tę stronę idą, za nią prawią. Takie usta — mówi Dawid — niech zaniemieją“ [3].

Matactwa sądowe, jak wszędzie, tak i w Polsce nie były rzadkością. Kaznodzieje i w tym punkcie spełniali swoje zadanie i starali się poruszyć sumienia sędziów. Wystarczy przytoczyć dla porównania Aleksandra a Jesu:

„Nie jednemu u sądu dać trzeba. Trzeba kancelarystom

[1] „Kaz. niedz.“ II, 71.
[2] „Kaz. niedz.“ II, 150.
[3] „Kaz. niedz.“ II, 180.

za pracę, woźnemu za relacyą, trzeba sędziemu i pani sędziny, bo przez nie u sądów wskórasz. Trzeba tym wszystkim siła, ale i jurystom niemniej. Kiedy mi się przy sądach trafiło być, widząc kiedy jurystowie jaką sprawę agitują, ten ją tak, ten owak ciągnie, ten ją broni, drugi ją impugnuje. Zdało mi się, że oni właśnie tak czynią, jako owi, co chusty wyżymają. Przypatrzcie się im, a ten na jednę, a drugi na drugą stronę chustę kręci. Spytacie ich na co to czynią: chcą wodę wyżąć. Kręcą jurystowie i tak i owak sprawą, i któraby się za jeden termin skończyć mogła, oni ją dilacyami, appelacyjami zwłóczą, żeby z cudzych mieszków pieniądze wyżęli. Ubogi, który i jednego worka nie ma, wskórać i wygrać darmo się spodziewa“ [1].

Żeby wyczerpać wszystko, na co Lorencowicz powstawał, należy wspomnieć o obmowach i nadużyciach stołu. Pod tym ostatnim względem nie było jeszcze w Polsce tak źle, jak za czasów saskich, ale też nie grzeszono zbyteczną wstrzemięźliwością; kaznodzieja jednakże tylko dwa razy o pijaństwie wspomina. „U nas w Polszcze uczty nie są już *convivia*, ale *combibia*, ten najlepiej uczęstuje, kto goście za stołem uśpi... Nie chcę ja tu determinować, jako kiedy częstować kto kogo ma. Nie chcę potraw starych i postanowionej liczby gości przywodzić. Nie chcę waszych własnych ojców wskrzeszać, starych Polaków, co się na groch a sztukę mięsa praszali. Nie chcę w skarbowych regestrach wertować i czytać wam między expensami stołu królewskiego: na bankiet *pro domino rege duos grossos pro vino, quia habebat hospites*. Nie chcę ja tego po was, bo czasy inaksze i okoliczności różne sposoby też inaksze przywodzą. To tylko przypominam, żeby zbytków nie było, aby nie był większy *promus* niż *condus*. Przypominam i to, aby uczty chrześcijańskie i biesiady nie zjadały ubogich obroku, bo nie chrześcijańskie to uczty, które poddani głodem przepłacają“ [2].

Hulaszczej młodzieży przypomina, że „śmierć zatai się między półmiskami, kieliszkami, uciechami, żarty, zaloty, tańcami.

[1] „Niebieskie planety górnym oddane sferom“, str. 22.
[2] „Kaz. niedz.“ I, 62.

Porwie tego z za stoła, onego od kieliszka, drugich z najlepszej myśli. Co skok do śmierci krok“ [1].

O błędach języka mówi na kilku miejscach; wystarczy przytoczyć ustęp o obmowie: „Tak wiele jest ludzi co tajemnie i pokątnie namówią się złego o ludziach, naszkalują, sławy dobrej naszczypią, zelżą, spotwarzą, i co było i co nie było napowiedzą. Przyjdą tymże w oczy, któremi niedawno gębę wymywali, ni słówka nie pisną, zaniemieją“. Przywodzi przykład: „Niedawno, na bankiecie jednym grono ludzi siedziało zacnych, byli i senatorowie przedni, jako to w takich konfessach u nas pospolicie bywa. Poczęli snać wszyscy o pewnych osobach niecnotliwie mówić, co im usiadszy ktoś na języku do gęby przyniesie: tacy, owacy, to czynią, owa co najgorszego może być, już tam było. W tym, też osoby, o których rzecz była, do izby z trefunku wnidą. Wszyscy oni jakby je porzezał, jedni zaniemieli i słówka z onych długich rozmów nie prowadzili, drudzy z kortezyą z za stoła się porwą, ochotnie przywitają, posadzą; ukłonów co nie miara“ [2].

Zebraliśmy dotychczas wszystkie mniej więcej rysy ujemne społeczeństwa polskiego, o które potrąca Lorencowicz. Nie odnoszą się one do ogółu i nie mogą posłużyć do dokładnego obrazu, bo kaznodzieja wytykał jedynie i wykazywał braki moralne wedle swego obowiązku, a nad pochwałami się nie rozwodził. Rysów ciemnych jest może za wiele, ale jeżeli się zważy na czasy, w których przemawiał, na pogmatwane stosunki i nieład wewnętrzny w kraju, nie będziemy się dziwić, że czasem ostrzejsze słowo wyrwie się kaznodziei. Satyrycy świeccy ujemną stronę społeczeństwa bardziej jeszcze uwydatniają, nie szczędzą żółci i sarkazmu, a gdybyśmy wedle ich świadectw chcieli odtworzyć obraz stosunków społecznych, wypadłby okropnie.

Lorencowicza nie można pomówić o przesadę i brak wyrozumiałości, bo błędy przedstawiał objektywnie. Od słuchaczy nie

[1] „Kaz. pogrz.“ 85.
[2] „Kaz. niedz.“ II, 180.

domagał się rzeczy nadzwyczajnych, ale żądał wypełnienia obowiązków stanu: „Nie mamy rozumieć, żeby to świątobliwość miało coś być dziwnego, po powietrzu latać, świętym być, wzgórę nogami chodzić, cuda robić, ale tak żyć, robić, cierpieć, co po tobie twoja kondycya i stan wymaga“ [1].

Takich, którzy tylko zewnętrznem nabożeństwem się zadawalniają, przyrównywa do pływaka na głębi, co „ręką i nogą nie ruszy, jedno gębę otworzywszy dyszkuruje, że mu trzeba na drugą stronę przepłynąć. Bracie miły, ty gębą nie przepłyniesz, trzeba do tej sprawy ręku, inaczej im gębę bardziej rozdziewasz, tym prędzej się zalejesz i na dno pójdziesz. Nie mniejsze głupstwo ludzi, co się Bogu zalecić i nieba dostać mniemają tylko gębą samą, wiarą i wyznaniem, paciorkami, zwierzchownym nabożeństwem“ [2].

Na innem miejscu powstaje na faryzaizm: „Świętoszkowie, tak wiele nabroiwszy mniemacie, że te zbrodnie swoje okupicie, szeląg który ubogiemu dawszy, a pono jeszcze coście go drugiemu wydarli, abo też strawy co wam zbywa i jeść sami nie możecie. Jak szalone głupstwo wasze! To w ten sposób rozumieją niektórzy z ludzi chrześcijańskich, co tak wiele każą na swoje posty, jak lutrowie na swoję wiarę. Choćbyś co najgorszego zrobił, nic to, byleś wierzył, zbawion będziesz. Takież i tych postników nabożeństwo i doskonałość: mazowiecka abo raczej ruska. Najwiętszy grzech, z którego nie lada pop rozgrzeszy, oskromić się. Ni dzieciom, ni chorym, robotnym, nikomu zgoła jeść nie pozwolą, jako zaś spościsz sprawiedliwie, jużeś święty i wolnoć wszystko. Już to nie po mazowiecku, abo po rusku, ale po turecku, pogańsku“ [3].

„Poklęknie się na jednem kolanie trochę, przeżegna, paciorek zmówi, wnet Pana Boga odprawi jedną krótką chwilką, ladajaką... Do wiary prawdziwej i dzielnej trzeba pokuty i dobrego żywota, bo złe sumienie i zaniedbanie powinności przyprawuje o niedowiarstwo. Doznawamy tego, patrząc często na

[1] „Kaz. pogrz.“ 164.
[2] „Kaz. pogrz.“ 63.
[3] „Kaz. niedz.“ 1, 110.

słomiane katoliki. Zowią się, pokazują, z wierzchu ceremonie katolickie odprawują, wewnątrz potajemnie abo błędów grubych pełno, abo zwietrzało bardzo katolictwo. Faworami, obroną, promocyą odszczepieństwa i rebelie czyniąc przeciw zwierzchności kościelnej, znalazłby takich potroszę, by nie w zakrystyach i ornatach“ [1].

Czyta się często, że pobożność w XVII. wieku zasadzała się jedynie na zewnętrznych praktykach i ceremoniach religijnych, co nie przeszkadzało wcale, żeby w życiu domowem i publicznem nie dopuszczano się licznych bezprawi. Przyczyną tego spaczenia sumień mieli być kaznodzieje.

Czy tak było w istocie?

Że w społeczeństwie polskiem XVII. w. były braki moralne, tak jak we wszystkich społeczeństwach każdego czasu, to nie ulega wątpliwości, ale żeby przyczyną tego byli kaznodzieje, na to trudno się zgodzić. Można zarzucać im wszystko, co się tyczy formy i smaku, ale o minięcie się z powołaniem nie można wszystkich winić. Byli i między panegirzystami tacy, którzy podobnie jak Lorencowicz roztrząsali sumienia ogółu, a nie zadawalniając się zewnętrzną stroną praktyk religijnych, sięgali głębiej, nawoływając słuchaczy do reformy życia domowego i publicznego. Przytoczone przy rozbiorze kazań ustępy, są dość wymownym tego dowodem; jest ich oczywiście więcej między staremi drukami, ale niepodobna wszystkich uwzględnić, bo nie wchodzą w obręb niniejszej pracy.

Przytoczyliśmy wybitniejsze miejsca z kazań Lorencowicza, odnoszące się do życia obyczajowego, by dać poznać główne kierunki jego kaznodziejskiej działalności. Dla uzupełnienia studyum pozostaje jeszcze zastanowić się nad właściwościami stylu i nad zewnętrzną stroną kazań Lorencowicza.

(Dok. nast.).

Józef Sas.

[1] „Kaz. pogrz.“ I, 22.

HEDENSTIERNA I KIPLING.

(Dokończenie).

II.

„Od dwóch czy trzech lat dopiero — pisze w *Revue des deux Mondes* Th. Bentzon — poczęto w świecie mówić o Rudyardzie Kiplingu, a stał się już niemal sławnym; krótkie jego szkice, pełne męskiej energii, ognia, siły dramatycznej i opisowej, zajęły uwagę tysiąca czytelników i obudziły ich ciekawość do poznania życia Anglików w Indyach". Pomimo tak pięknego wstępu, nie zgodzilibyśmy się w całości na dalszą ocenę w artykule Bentzona zawartą. Zarzuca on Kiplingowi brak etyki, choć Bóg widzi, że ten moralnością i czystością pióra przewyższa wszystkich niemal obecnych powieściopisarzy francuskich. Najlepszym na to dowodem jest, że z 40-tu powiastek zatytułowanych: *Plain tales from the Hills,* jedna tylko (i to oczywiście ta, którą w lutym 1892 r. w przesadnem tłumaczeniu podała *Revue des deux Mondes),* nie kwalifikuje się do rąk panieńskich. W drugiej seryi: *My own people* (Moi) można takich znaleść aż dwie; reszta, choć czasem samą treścią nieco niebezpieczna i śliska, przecie kreślona tak lekką i tak zręczną ręką, że nikogo zgorszyć nie może. Bentzon dalej oburza się na samą wzmiankę o nazwisku Dickensa w zbliżeniu do 23-letniego Kiplinga; w istocie, porównania robić nie można, a jednak jest coś pokrewnego w tych obu talentach, tylko że drugi jest dotąd miniaturą pierwszego.

Czy Kipling polskim czytelnikom podobać się będzie? — to wielkie pytanie. Oryginalności nikt mu zaprzeczyć nie może, ale ta oryginalność właśnie nie każdemu do smaku przypada. Często bardzo kryje się pod nią głęboka rzewność i litość, nigdy nad własną boleścią autora, ale nad cierpieniami Europejczyków, pracujących pod żarem nieznanego im słońca, „w tych Indyach, o których tyle śpiewają poeci, a gdzie ludzie umierają tak prędko, lub tak straszne a dziwne ponoszą męczarnie". Niema w Kiplingu jednak ani śladu *Weltschmerz*'u. Opisy jego są niesłychanie barwne czy to wchodzi w szczegóły życia wojskowego w Indyach, które, przez swoje przyjacielskie stosunki, zna równie dobrze jak gdyby sam chodził w szkarłatnym mundurze; czy nam dozwala jakoby przez szpary zajrzeć w głąb uczuć i obyczajów krajowców, czy wkońcu podaje nam obrazki z życia towarzyskiego w Indyach, obrazki może mniej przyciągające od innych, ale niemniej żywo skreślone. Styl jego jest piękny, ale co najmniej dziwny; zdania porąbane bez względu na przyjętą ogólnie modłę znaków pisarskich, wielka pogarda dla wykrzykników i domyślników, które, w miejscach patetycznych, tak wielkie innym autorom oddają usługi; wszystko razem niesłychanie trudne do tłumaczenia, tam nawet, gdzie wyrazy indyjskie (w niektórych szkicach zbyt gęsto przychodzące) nie stawiają dla zakamienialego Europejczyka nieprzebytej przeszkody.

Powiastki Kiplinga nie były jednym ciągiem pisane; dwadzieścia ośm z nich ukazało się kolejno w *Civil and Military Gazette*, zanim je zebrał w całość i do innych dwunastu dołączył. Wybraliśmy z nich trzy, aby je podać naszym czytelnikom, czyniąc to jednak z pewnym wstydem i strachem, bo z uczuciem, że tłumaczenie nie daje jak się należy wyobrażenia o oryginale. Są rzeczy, których przetłumaczyć dokładnie prawie niepodobna; do tych np. zaliczyć trzeba opowiadanie żołnierza Mulvaney'a. Jest to osobistość powracająca w kilku szkicach Kiplinga, typ wyborny, z którym czytelnik, przerzuciwszy tom cały, zna się doskonale i żywi doń pewną sympatyę, pomimo iż rzeczony Mulvaney niegdyś zdegradowany był za pijaństwo, i bywa dotąd za różne brewerye karany, prawdę powiedziawszy, ku wielkiej zgryzocie pułkownika

i oficerów, bawiących się dowcipami a zarazem chłopsko-filozoficznym rozumem starego wiarusa. Wykręca się on ze wszystkiego sianem, z każdej matni potrafi wyjść cało, raz nawet obudziwszy się (wskutek zbyt długich a dość nieprawdopodobnych przygód) w świątyni indyjskiej i zagrożony niechybną śmiercią, owija się na podobieństwo posągu Buddy w różową haftowaną firankę, i odegrawszy przez chwilę rolę objawiającego się bożka, wynosi się tryumfalnie z pośród olśnionego i korzącego się w prochu tłumu indyjskich księżniczek. Najgrubszą w oczach naszych wadą Mulvaney'a jest, że mówi i opowiada zawsze dyalektem żołnierskim a wymową irlandzką, którą autor z wytrwałością godną lepszej sprawy, sili się ortograficznie odtwarzać. Akcent ten czyni mowę starego żołnierza z początku niełatwą do zrozumienia, przyczem zwroty niespodziewane, dodające wiele barwy w oryginale, trudne są bardzo do oddania w przekładzie, i niejednego już odstraszyły tłumacza. Nie kusząc się o ich dosadność, podajemy na samym wstępie jedną z tych żołnierskich „historyj", w nadziei że nie odstręczy czytelników od dwóch następnych. — Drugi szkic: *A bank fraud* (Oszustwo w banku) zdołałby sam jeden zasłonić autora przed oskarżeniem o brak zmysłu moralnego. Trzecia, jest charakterystycznym obrazkiem, malującym z jednej strony całą bezczelność dumy rasowej Europejczyka, wychylającej się naiwnie ze wszystkich słów autora, z drugiej zaś, dozwalającym się domyślać, po jakich stopniach — w miarę przymieszki krwi czarnej — ta duma rasowa się żniża.

Córka Pułku.

— Kto nie zna Czerkieskiego Klubu, ten — nie przymawiając nikomu — nie powinien do niego się drapać.

Tak mówiła Miss Mac-Kenna i to samo wyrażały oczy siedzącego naprzeciw mnie sierżanta. Bałem się panny Mac-Kenny. Była wysoka na sześć stóp, cała piegowata i ruda, do tego skromnie ubrana, miała białe atłasowe trzewiki, różową muślinową suknię z jasno-zieloną wełnianą szarfą, czarne jedwabne rękawiczki i żółte róże we włosach. Dlatego też uciekłem od panny

Mac-Kenny i poszedłem do mego przyjaciela, gemajnera Mulvaney'a, który stał przy kanty... przepraszam: przy bufecie.

— Aha! toś pan tańczył z Hansią Mac-Kenną, co to wychodzi za kaprala Slane'a? Kiedy się pan spotka z waszymi lordami i wielkiemi damami, musi się pan pochwalić, żeś tańczył z małą Hansią. Jest się z czego popysznić!

Ale ja się nie pyszniłem. Było mi czegoś wstyd. Czytałem z oczu Mulvaney'a, że ma całą jakąś historyę w zanadrzu; zresztą wiedziałem, że jeżeli trochę dłużej pobędzie przy stole, to znów zarobi sobie na kozę. Spotkać zaś zacnego druha, zarabiającego na kozę, gdzieindziej jak w żołnierskiej kwaterze, to trochę ambarasujące, zwłaszcza jeżeliś jest właśnie w tej chwili z jego starszym.

— Wyjdźmy na plac, — mówię do niego — tu jakoś gorąco. Opowiesz mi wszystko o pannie Mac-Kennie. Co to za jedna, skąd się wzięła i dlaczego ją nazywają Hansią?

— To ma znaczyć, żeś pan nigdy nie słyszał o córce Starej Kuli. I panu się zdaje, że cośkolwiek umiesz!... Zaraz, tylko fajkę zapalę... no, jużem gotów!

Wyszliśmy pod gwiaździste niebo. Mulvaney usiadł na pontonie i zaczął opowiadać zwykłym swoim sposobem, tj. z fajką w zębach, z rękami złożonemi i wsadzonemi między kolana i z czapką mocno wepchniętą na tył głowy:

„Kiedy teraźniejsza pani Mulvaney była jeszcze panną Shad, pan byłeś daleko młodszy niż jesteś teraz, a i w wojsku wiele rzeczy było inaczej. Chłopcy teraz nie mają po co się żenić, to też w armii mamy tak mało poczciwych, szczerych bab, coby to klęły jak się należy, a miały miękkie serce, twardą pięść i ciężkie nogi, jakie bywały za moich czasów, kiedy byłem kapralem. Zdegradowali mnie później — ale to nic nie szkodzi — byłem kiedyś kapralem. Wtenczas to człowiek żył i umierał przy swoim pułku i żenił się jak Pan Bóg przykazał gdy miał lata po temu. Kiedy byłem kapralem — Matko Najświętsza! ileż to razy od tego czasu pułk nasz wymarł i odrodził się! Naszym fenrychem (chorążym) był stary Mac-Kenn, człowiek żonaty. A jego żona Mac-Kenna — jego pierwsza żona,

bo on się trzy razy żenił, — to była Brygida Mac-Kenna, rodem z Portarlington, stąd i ja. Nie pamiętam już, jak się nazywała po ojcu, ale w kompanii B. przezwaliśmy ją Starą Kulą [1], bo miała pysek okrąglusieńki, nieprzymierzając jak nasz wielki bęben! Otóż ta kobieta — niech jej Bóg da chwałę niebieską — ustawicznie rodziła dzieci; to też kiedy piąte czy szóste zapisali do rejestru, Mac-Kenn zaklął się, że już nie będzie im dawał imion tylko numera. Ale żona uprosiła, żeby im dawał nazwy według miejsc kędy przychodziły na świat. I tak jednego ochrzczono Kolaba Mac-Kenn, drugiego Muttra Mac-Kenn, aż mieliśmy całą prowincyę Mac-Kennów, licząc w to i tę Hansię co tam dzisiaj tańcuje. Kiedy dzieci przestawały się rodzić, to umierały; bo widzisz pan, jeśli dziś nasze dzieci sną jak ryby — to wtenczas padały jak muchy. Wtedy i ja straciłem mojego Shad'ka — ale co tam, nie ma o czem gadać. Już to temu bardzo dawno, a pani Mulvaney'owa więcej dzieci nie miała.

„Wracam do rzeczy. Jednego piekielnie gorącego lata, przyszedł szalony rozkaz od nie wiem już którego jenerała, żeby pułk poszedł dalej w kraj. Może chcieli na nas spróbować nowej kolei żelaznej. Ot i spróbowali, jak Boga kocham spróbowali! Stara Kula dopiero co była pochowała Muttrę Mac-Kenna — czas był niezdrowy — tak że już jej tylko jedna Hansia została; miała wtenczas cztery lata.

„Pięcioro dzieci stracić w czternastu miesiącach, to trochę ciężko, nieprawda?

„Wyruszyliśmy tedy na ten okropny skwar — bodaj na rozpalonym ruszcie zginął ten łotr, co wydał taki rozkaz! Chyba nigdy nie zapomnę tej drogi!... Dali nam dwa małe pociągi na cały pułk, a nas było siły na 870 ludzi. W drugim pociągu były kompanie A, B, C i D, a z niemi dwanaście kobiet — żadnych pań oficerek — i trzynaścioro dzieci. Mieliśmy jechać sto pięćdziesiąt mil, a koleje były jeszcze wtenczas nowością. Całą noc siedzieliśmy w gardzieli pociągu, żołnierze rozebrani do koszuli szaleli z gorąca, pili co im tylko w ręce

[1] Po angielsku *Old Pummeloe* od *Pummel* — kula od siodła.

wpadło i żarli niedojrzałe owoce; nie mogliśmy ich od tego utrzymać — ze świtem wybuchła cholera.

„Proś pan wszystkich Świętych niebieskich, żebyś nigdy nie widział cholery w wojskowym pociągu! To istny sądny dzień, piorun z pogodnego nieba! Przyjechaliśmy na jakiś przystanek — podobny do Ludianny, tylko bardziej pusty i dziki. Komendant wysłał o czterdzieści pięć mil depeszę, prosząc o pomoc. Bóg świadkiem, że nam jej było potrzeba, bo ledwie pociąg stanął, co tylko było ludzi, tj. co ich się ciągnęło za pułkiem, uciekło aż się za nimi kurzyło, a nim oficer napisał telegram, już też ani jednego czarnego nie było na stacyi, prócz samego telegrafisty, a i ten dlatego tylko został, że go za jego podły czarny kark przytrzymali na stołku. Dzień rozpoczął się wśród okropnego zgiełku w wagonach i na peronie; ludzie idąc na służbę, padali jak który stał, z bronią i ze wszystkiem. Nie mnie opowiadać, jaka to była cholera; może doktor byłby ją mógł opisać, gdyby sam nie był padł u drzwiczek wagonu, kiedyśmy z niego wyciągali nieboszczyków. I on zmarł razem z innymi. Kilku chłopaków umarło w nocy. Wynieśliśmy ich siedmiu, a kiedyśmy tych wynosili, to ze dwudziestu było już chorych. Kobiety tuliły się po kątach i krzyczały ze strachu.

„Komendant — zapomniałem jak się nazywał — powiada:

— Weźcie kobiety na tę górkę, tam pod drzewa! Zabierzcie je precz z obozu! Tu nie miejsce dla nich!

„Stara Kula siedziała na swoim tłomoku i głaskała Hansię.

— Precz stąd, tam na górę — krzyknął na nią oficer. — Nie zawalać drogi żołnierzom!

— A niech mnie djabli wezmą jeżeli pójdę! — zawołała Stara Kula.

„Mała Hansia przykucnęła przy matce i też zapiszczała:

— A niech mnie djabli wezmą jeżeli pójdę!

„A Stara Kula obróciła się do kobiet i mówi:

— A wy flądry jakieś! to tu chłopczyska będą umierać, a wy tam będziecie bankietować?! Im wody trzeba, dalej do roboty!

„I mówiąc to, zakasała rękawy i poszła do studni za obo-

zowisko, a za nią mała Hansia dreptała z jakimś garnuszkiem i ze sznurem; inne kobiety szły jak owce z konewkami i wiadrami. Gdy nabrały wody, Stara Kula ciągle na czele swego pułku, pomaszerowała znów do obozu, a był on w tej chwili podobny do bardzo podłego pobojowiska.

— Mac-Kenn! — krzyknęła takim głosem jak jeneralska komenda — każ się chłopcom uspokoić, Stara Kula będzie ich ratować i będzie im wodę i wódkę roznosić.

„Wtedyśmy krzyknęli: niech żyje Kula! i krzyk nasz był głośniejszy od jęku tych chorych biedaków... Ale nie o wiele mocniejszy.

„Widzi pan, wtedy jeszcze był nasz pułk bardzo młody i nieostrzelany, nie wiedzieliśmy jak się brać do tej choroby, to też byliśmy do niczego. Żołnierze chodzili jak błędne owce, czekając kto z nich pierwszy upadnie i szepcąc do siebie: Co to jest? Na miłość Boską co to jest? — Było okropnie! Wśród tego wszystkiego jednak Stara Kula chodziła tu i ówdzie roznosząc wodę i co jeszcze zostawało gorzałki; w trop za nią chodziła mała Hansia, co ją ledwie było widać z pod hełmu jakiegoś nieboszczyka, a rzemyk od podpinki zwieszał jej się aż na brzuszek.

„Chwilami Stara Kula stawała i mówiła: Moje wy biedne, moje ukochane, umarłe chłopcy! I łzy toczyły się jak groch po jej zaczerwienionych, okrągłych policzkach. Ale potem znów dodawała serca żołnierzom, aby się tęgo trzymali; a mała Hansia szczebiotała do wszystkich, że ‚rano będzie im lepiej' — nauczyła się tak mówić od matki, kiedy Muttra leżał w gorączce. Rano! toć to wieczysty poranek na tamtym świecie miał zaświtać dla dwudziestu siedmiu dziarskich żołnierzy, a dwudziestu innych leżało śmiertelnie chorych pod tem strasznem, piekącem słońcem. Kobiety tymczasem pracowały jak anieli z nieba, a mężczyźni jak czarci, aż wreszcie dwóch doktorów przyszło z gór. Byliśmy ocaleni.

„Chwilę przedtem nim przyjechali, Stara Kula klęcząc przy jednym chłopcu z mojego plutonu — ten co to sypiał przy mnie na prawo, w koszarach — i odmawiała z nim modlitwę Kościoła św., który żadnego człowieka nie opuszcza; naraz krzyknęła:

— Chłopcy, trzymajcie mnie! Bardzo mi źle!... Słońce to zrobiło, a nie cholera.

„Zapomniała, iż ma tylko swój stary czarny kapelusz na głowie, i umarła na rękach męża, a chłopcy aż się zanosili od płaczu kiedy ją spuszczali do grobu.

„Tej nocy wiał silny wiatr, wiał i wiał aż namioty powywracał, ale też i rozwiał cholerę tak, że już ani jeden nie zachorował przez cały czas cośmy czekali na miejscu — dziesięć dni kwarantanny. Nie będziesz pan wierzył, ale szlak jakim cholera szła po obozie był jak kiedyby kto cztery razy przeszedł pomiędzy namiotami nakształt wielkiej ósemki. Powiadają, że to Żyd wieczny Tułacz nosi ze sobą cholerę, i ja temu wierzę.

„To więc — kończył nie bardzo do rzeczy Mulvaney — jest przyczyną, dla czego Hansia Mac-Kenna jest tem czem jest. Po śmierci ojca chowała się u żony kwatermistrza, ale zawsze należała do naszej kompanii, a to wszystko co panu opowiedziałem — i jeszcze coś więcej o pannie Mac-Kennie — kładłem jak łopatą w głowę każdemu nowemu rekrutowi. Ot i ja zrobiłem, że się kapral Slane dziewczynie oświadczył.

— Nie może być?

„Jak Boga kocham! Nie jest ona piękna na oko, ale to córka Starej Kuli, więc miałem obowiązek los jej zapewnić. Dzień przedtem, nim Slane został kapralem, zawołałem go i mówię: Słuchaj Slane! Jutro już nie mógłbym cię ukarać wedle subordynacyi, ale ci przysięgam na pamięć Starej Kuli — Panie świeć nad jej duszą! — że jeżeli mi nie dasz słowa honoru, że teraz zaraz pójdziesz i oświadczysz się jej córce, to ci jeszcze dziś wieczór żelaznym prętem kości z ciała obłupię! To hańba dla naszej kompanii, że dotąd nie wyszła za mąż! — Powiedziałem — i cóż — czym miał pozwolić, żeby taki trzeciorocznik śmiał mi się sprzeciwić, kiedy raz powiedziałem? Nie! Slane poszedł i oświadczył się. To dobry chłopak ten Slane. Niedługo pewnie dostanie się do Komisaryatu, a wtedy będzie mógł sobie jeździć za to, co sobie uskłada... Ot tak, i zapewniłem los córce Starej Kuli — a teraz może pan pójdzie jeszcze raz z nią potańczyć?“

I poszedłem...

Czułem pewne uszanowanie dla Miss Hansi Mac-Kenny; później byłem też i na jej weselu.

Może wam kiedyś co o tem opowiem.

Oszustwo w banku.

Gdyby Redzio[1] Burke był teraz w Indyach, toby się na mnie złościł, że go wydaję, ale że siedzi w Hong-kong i nie przeczyta nigdy tego co tu piszę, mogę opowiadać bezpiecznie. On to popełnił wielkie oszustwo w banku *Sild and Sialkote*. Był wtedy naczelnikiem filii tego banku gdzieś w głębi kraju, miał otwartą i tęgą głowę i wielkie doświadczenie w interesach kredytowych z krajowcami. Umiał godzić wesołe życie światowe z obowiązkami swego stanu, a przytem mieć się dobrze. Redzio Burke jeździł wierzchem na wszystkiem, co dało wsiąść na siebie, tańczył również świetnie jak jeździł, to też w mieście nie obeszła się bez niego żadna zabawa.

Jak sam mówił i jak wielu przekonało się z wielkiem swojem zdziwieniem, było w nim dwóch Burke'ów, obaj zawsze gotowi do usług: „Redzio Burke“ od godziny 4-tej po południu do 10-tej zrana, ochoczy do wszystkiego, czy to do spokojnej gry w dnie nazbyt gorące, czy do przejażdżki konnej i podwieczorku z paniami; od 10-tej zaś do 4-tej: „Mister Reginald Burke, zawiadowca filii bankowej Sild and Sialkote“. Mogłeś z nim po południu grać w *polo* i słyszeć, z jaką znajomością rzeczy się wyrażał, kiedy ktoś niewłaściwie uderzył, a nazajutrz rano pójść do niego i otrzymać pożyczkę 2000 rupij na policę asekuracyjną wartości 500 funt. szt. z 50 funtami na dywidendę. Onby cię pewnie poznał, ale ty jego — trudno.

Dyrektorowie banku, mającego główne siedlisko w Kalkucie i wpływ bardzo znaczny nawet u rządu, znali się wybornie na ludziach. Wypróbowali oni Reginalda, doprowadzając go do ostatecznych granic pokusy, i ufali mu też o ile tylko dyrekto-

---

[1] Zdrobniałe od Reginald.

rowie mogą ufać głównym swoim urzędnikom. Zobaczycie sami, o ile ta ufność ich była uzasadniona.

Dom filialny, rządzony przez Reginalda, założony był w jednej dość znacznej stacyi kolonialnej[1] i składał się ze zwykłego sztabu: naczelnik biura, rachmistrz, obaj Anglicy, kasyer i zgraja podrzędnych pisarczyków krajowców, nie licząc patrolu policyjnego, czuwającego w nocy koło domu. Roboty było bardzo wiele, gdyż w całej okolicy panował niezmierny ruch; urzędnik ze słabą głową nie mógłby sobie dać rady w takiem miejscu i z takiemi interesami; urzędnik zaś, choćby najmędrszy, ale nie znający doskonale swoich klientów i ich spraw osobistych, gorszy jest w tem położeniu od zupełnie głupiego. Redzio był młody, gładko wygolony, ze sprytem w oczach i głową, którą chyba garniec Madery i to z biedą mógłby zamącić.

Pewnego razu na wielkim obiedzie powiedział mimochodem, że Dyrekcya przysłała mu ciekawy okaz historyi naturalnej, z Anglii, w osobie rachmistrza; i miał zupełną słuszność. Pan Sileas Riley, rachmistrz, zasługiwał istotnie na nazwę ciekawego okazu; był to sobie długi, niezgrabny, kościsty obywatel z Yorkshiru, pełen domorosłej zarozumiałości, kwitnącej w tej najpiękniejszej dzielnicy Wielkiej Brytanii. Arogancya, to zbyt słaby wyraz na oznaczenie umysłowego usposobienia pana Sileasa Riley'a. Po siedmiu latach, dorobił się był posady kasyera w Banku Huddersfield'skim, i całe jego doświadczenie w interesach ograniczało się do spraw bieżących w północnej Anglii. Byłby może przydatny w Bombaju, gdzie ludzie zadawalniają się zyskiem półprocentowym, ale w górnych Indyach, w kraju pszenicy, gdzie trzeba bystrego umysłu, dużo rzutkości, a nawet fantazyi, aby można dojść do korzystnego bilansu, był zupełnie do niczego.

Był w interesach niesłychanie ciasny, i nie znając kraju, nie miał pojęcia, jak dalece sprawy bankowe w Indyach są różne od takichże spraw w Anglii. Podobnie jak większość

[1] Kipling, podobnie jak inni Anglicy piszący o Indyach, nazywa zawsze miejsca pobytu *the Station*.

ludzi zdatnych, wyrosłych o własnych siłach, miał w sobie wielki zasób naiwności; to też otrzymawszy listownie nominacyę, wziął zupełnie na seryo zwykłe formułki grzeczności w tym liście zawarte i wyobraził sobie, że Dyrekcya mianowała go z powodu jego świetnych a osobliwych zdolności i że wielkie w nim pokłada nadzieje. Wyobrażenie to nabrzmiało w nim niepoślednio i stwardniało w guz, stanowiący niemały dodatek do jego yorkshir'skiej zarozumiałości. Prócz tego był słabowity, cierpiał na jakiś nieporządek w płucach, był niecierpliwy i prędki.

Przyznacie, że Redzio miał słuszność, nazywając swego nowego rachmistrza ciekawym okazem. Ci dwaj ludzie nie mogli się zgodzić. Riley uważał swego pryncypała za waryata, za idyotę, za letkiewicza oddającego się Bóg wie jakiej rozpuście w podejrzanych miejscach, np. w tak zwanych menażach, za człowieka zupełnie niezdolnego do poważnych i uroczystych funkcyj bankowych. Nie mógł się pogodzić z młodą twarzą i dziarską postawą Reginalda, nie mógł znieść jego przyjaciół, tęgich, wesołych oficerów, którzy zjeżdżali się do banku na wielkie śniadania niedzielne i opowiadali takie anegdoty, że Riley musiał wstawać i wychodzić z pokoju. Riley ustawicznie uczył Reginalda, jak ma interesa prowadzić, tak że Redzio musiał parę razy przypomnieć mu, iż siedm lat czynności między Huddersfield a Beverley nie kwalifikują jeszcze człowieka do sterowania wielkiemi sprawami pieniężnemi w Indyach. Wtedy Riley się zżymał, nazywał sam siebie filarem banku i osobliwym przyjacielem Dyrekcyi, a Redzio chwytał się za głowę. Jeżeli w tym kraju przełożony nie może liczyć na swych angielskich podwładnych, to prawdziwie ciężkie na niego przychodzą czasy, gdyż pomoc, jakiej może się spodziewać od krajowców, jest bardzo ograniczona.

W zimie Riley chorował na piersi przez całe tygodnie, co Reginaldowi niemało dodawało roboty; wolał jednak to, niż ustawiczne starcia z Riley'em zdrowym.

Jeden inspektor odkrył te przerwy w służbie i doniósł o nich Dyrekcyi. Riley *notabene* dostał był swoją posadę w banku za pośrednictwem członka parlamentu, który potrzebował po-

parcia jego ojca; stary Riley znów, pragnął przeniesienia syna do cieplejszego klimatu, z powodu jego piersi. Ów członek parlamentu miał pieniądze w banku, ale jeden z dyrektorów pragnął posunąć jakiegoś własnego kandydata, i skoro ojciec Riley'a umarł, wykazał jasno jak słońce innym dyrektorom, że rachmistrz ustawicznie chory, przez połowę roku niezdolny do pracy, powinien ustąpić miejsca zdrowemu urzędnikowi. Gdyby Riley był znał historyę swojej nominacyi, byłby może zachował się przyzwoiciej, ale nie wiedział o niczem, to też cały czas wolny od choroby obracał na ciągłe mieszanie się do wszystkiego i drażnienie Reginalda wszelkiemi sposobami, na jakie tylko zarozumiałość stojąca na podrzędnem stanowisku zdobyć się może. Redzio wybuchał kiedy był sam, i wtedy tak strasznie klął, że aż włosy stawały na głowie, sprawiało mu to niejaką ulgę; nie łajał jednak nigdy Riley'a, bo sam powiadał, iż „Riley, to taka słabowita bestya, że połowę jego obrzydliwej zarozumiałości trzeba kłaść na karb jego choroby".

Przy końcu kwietnia Riley naprawdę ciężko zachorował. Lekarz opukał go i wygniótł na wszystkie boki i powiedział mu, że niedługo będzie zdrów. Ale potem poszedł do jego pryncypała.

— Czy pan wie, że pański rachmistrz jest bardzo słaby?

— Nie! — odrzekł Redzio — ale im mu gorzej, tem lepiej, niech go moje oczy nie widzą! Nie można z nim wytrzymać kiedy zdrów! Daruję panu całą kasę bankową, jeżeli potrafisz tak zrobić, żeby mi dał spokój przez czas upałów!

Ale doktor się nie śmiał:

— Panie, — rzekł — ja nie żartuję. Myślę, że mu zostaje ze trzy miesiące do życia i to w łóżku; może się jaki tydzień przeciągnie... Słowo honoru daję, że dłużej żyć nie może. Suchoty w całej pełni!

Twarz wesołego Redzia zmieniła się nagle na poważne oblicze „pana Reginalda Burke".

— Co mogę dla niego zrobić? — zapytał doktora.

— Nic — odpowiedział. — Dla wszelkiej pracy człowiek ten jest już umarłym. Trzeba go utrzymywać w usposobieniu

spokojnem i wesołem, i wmawiać weń, że wyzdrowieje. To wszystko. Oczywiście będę go odwiedzał aż do końca.

Doktor wyszedł, a Redzio usiadł i zaczął przepatrywać wieczorną pocztę. Pierwszy list, jaki otworzył, był od Dyrekcyi, i oznajmiał mu, że Riley ma za miesiąc opuścić posadę, a zapowiadał drugi list wprost do Riley'a z wypowiedzeniem służby, a zarazem rychły przyjazd nowego rachmistrza, którego Redzio znał dobrze i lubił.

Redzio zapalił cygaro, i zanim je skończył, w myśli jego powstał w zarysie plan wielkiego oszustwa. Odłożył, a raczej „uchylił" list dyrektora i poszedł pogadać z Riley'em, który był kwaśny jak zwykle i trapił się tem, co się stanie z bankiem w czasie jego choroby. Ani na chwilkę nie pomyślał o podwójnem brzemieniu pracy, spadającem na barki Reginalda, tylko o opóźnieniu własnego swego awansu. Redzio jął go zapewniać, że wszystko pójdzie dobrze, i że on sam, Redzio, będzie przychodził do niego codzień naradzać się nad sprawami banku. Riley był nieco pocieszony, ale dał bardzo wyraźnie do zrozumienia, że ma słabe wyobrażenie o zdolnościach Reginalda do interesów. Redzio okazał się pokornym, chociaż miał w biurku tak pochlebne listy od Dyrekcyi, że niemi byłby się mógł słusznie poszczycić nawet taki Hardie lub Gilbarte!

W wielkim, przyciemnionym domu, dzień mijał za dniem; nadszedł list od Dyrekcyi z dymisyą Riley'a, i był znów „uchylony" przez jego szefa, który co wieczór przynosił księgi do pokoju chorego i pokazywał mu wszystko, co się robiło, a Riley gderał. Redzio czynił co mógł, aby zdawać przyjemne raporta, rachmistrz jednak był przekonany, że bez niego bank musi przepaść. W czerwcu, gdy ciągłe leżenie coraz silniej wpływało na jego humor, zapytał, czy w Dyrekcyi zauważono jego brak. Redzio odpowiedział, że od dyrektorów przychodziły listy pełne współczucia, wyrażające nadzieję, że wkrótce znów będzie mógł rozpocząć swą drogocenną dla nich służbę. Pokazał listy Riley'owi, który zauważył, że dyrektorowie powinni byli pisać wprost do niego. W kilka dni później Redzio odebrał pocztę Riley'a wśród zmroku panującego w jego pokoju i podał mu

list, bez koperty, pisany do Riley'a, niby przez Dyrekcyę. Riley powiedział, że byłby wdzięczny, gdyby Redzio nie tykał jego osobistych papierów.

Następnie humor Riley'a wszedł w nową fazę. Jął Reginaldowi prawić morały o jego złych obyczajach, jego koniach i towarzyszach.

— Oczywiście, panie Burke, że leżąc tu wznak, nie mogę pana trzymać w porządku, ale kiedy wyzdrowieję, spodziewam się, że pan będziesz mnie słuchał.

Redzio, który zaprzestał obiadów, gry w *polo*, w *tennis* i innych zabaw, żeby tylko pielęgnować Riley'a, odpowiedział, że za wszystko żałuje, poprawił poduszkę pod jego głową i słuchał dalej jego gderań i przycinków, rzucanych twardym, suchym, przerywanym szeptem, nie okazując ani najlżejszego znaku niecierpliwości. I to po ciężkiej biurowej pracy za dwóch, i w drugiej połowie czerwca.

Skoro nowy rachmistrz przyjechał, Redzio wytłumaczył mu jak rzeczy stoją, i oznajmił Riley'owi, że ma gościa, który przyjechał do niego na pewien czas. Riley mruknął, że Redzio mógł był mu więcej względów okazać i nie wybierać tej chwili dla bawienia się ze swymi „przyjaciółmi z pod ciemnej gwiazdy". Wskutek tego Redzio kazał nowemu rachmistrzowi sypiać tymczasowo w Klubie.

Przybycie Carron'a ulżyło mu w pracy i dało więcej czasu, aby czynić zadość wymaganiom Riley'a, aby mu tłumaczyć, pocieszać go, zmyślać, urządzać i poprawiać mu posłanie, i... aby fałszować nowe pochlebne listy z Kalkuty. Przy końcu pierwszego miesiąca Riley wyraził życzenie, że chciałby posłać pewną kwotę pieniędzy matce do Anglii. Redzio wysłał czek do Londynu. Przy końcu drugiego miesiąca pensya Riley'a nadeszła w zwykłym porządku. Redzio wypłacił ją ze swojej własnej kieszeni, a razem z nią wręczył Riley'owi napisany przez siebie śliczny list od Dyrekcyi.

Riley był w istocie bardzo chory, ale płomyk jego życia błyskał bardzo nierówno. Chwilami bywał wesół i pełen ufności w przyszłość, snuł plany podróży do domu, żeby odwiedzić matkę.

Redzio po skończonej robocie słuchał go cierpliwie i utwierdzał w nadziei.

Innym razem Riley żądał, aby Redzio czytał mu Biblię i ponure pisma metodystów, z których wyciągał znowu morały dla swego szefa, a oprócz tego znajdował zawsze dość czasu, aby go nudzić sprawami banku i wykazywać mu słabsze punkta w każdym interesie.

To życie w pokoju chorego, brak świeżego powietrza i ciągłe natężenie osłabiły bardzo Reginalda, znużyły jego nerwy, i grę w bilard zniżyły o 40 punktów. Ale praca tak w biurze jak przy łożu chorego musiała iść swoim trybem, pomimo iż termometr wskazywał 45 stopni w cieniu.

W końcu trzeciego miesiąca Riley już gasł widocznie i zaczynał sobie zdawać sprawę z tego, że jest bardzo chory. Ale ta sama zarozumiałość, która mu kazała tak ustawicznie trapić Reginalda, była również powodem, że nie domyślał się całkowitej prawdy.

— Potrzeba mu czegoś, coby go ożywiło moralnie, jeżeli chcecie, aby jeszcze dłużej pociągnął — mówił doktor. — Starajcie się, aby się wciąż interesował życiem i tem, co go otacza.

Wskutek tego Riley, wbrew wszelkim prawom finansowym i obyczajom bankowym, otrzymał od Dyrekcyi podwyższenie pensyi o 25%. Ten „kordyał moralny“ podziałał cudownie. Riley był szczęśliwy i wesół i, jak to często bywa u suchotników, tem zdrowszy na umyśle, im ciało jego było słabsze. Żył jeszcze przez cały miesiąc, gderając i trapiąc się o los banku, mówiąc o przyszłości, słuchając czytania Biblii, prawiąc Reginaldowi kazania o grzechu i pytając, kiedy będzie mógł wyjechać?

Przy końcu września jednak, pewnego straszliwie gorącego wieczora, podniósł się nagle na łóżku i rzekł z pośpiechem:

— Panie Burke, ja umieram. Sam to czuję. W piersiach mi pusto, nie mam czem oddychać. O ile wiem, nie zrobiłem nic, coby mi na sumieniu ciężyło. Dzięki Bogu, zostałem ochroniony od grubszych grzechów i panu radzę, panie Burke...

Tu głosu mu brakło i Redzio pochylił się nad nim.

— Poślij pan moją pensyę wrześniową mojej matce... był-

bym wielkich rzeczy z bankiem dokazał, gdyby... zła polityka... nie moja wina...

Obrócił się do ściany i skonał.

Redzio nakrył twarz trupa prześcieradłem i wyszedł na werandę, mając w kieszeni nowe fałszerstwo: list pełen współczucia i sympatyi od dyrektorów, teraz już niepotrzebny.

— Gdybym był przyszedł o dziesięć minut wcześniej — pomyślał — byłbym mu dodał dość animuszu, aby choć o jeden dzień dłużej pociągnął!

W szczęśliwej chwili.

Jeżeli wyjdziesz z części miasta gdzie stoją budynki rządowe, jeśli następnie miniesz dzielnicę handlową i poza nią pójdziesz jeszcze daleko, daleko od wszystkiego coś mógł poznać i od wszystkich których mogłeś napotkać w twojem cywilizowanem życiu — przekroczysz niepostrzeżenie po drodze linię graniczną, do której dopływa ostatnia kropla krwi białej, a poza którą krew czarna już pełnym płynie strumieniem. Łatwiej jest mówić z bankierówną świeżo uksiążęconą, niż z ludźmi zamieszkującymi, a raczej tworzącymi ową linię graniczną, żeby nie obrazić ich uczuć lub obyczajów. Pomieszanie krwi białej z czarną dziwną pod niektóremi względami wytwarza całość. Niekiedy krew biała objawia się wybuchami dziwacznej, dziecinnej próżności — jest to jedyna pozostałość skrzywionej dumy rasowej — niekiedy znów krew czarna wypływa na wierzch w objawach dziwaczniejszej jeszcze uniżoności i pokory, w zwyczajach nawpół pogańskich i w jakichś dzikich, nieobliczalnych pociągach do zbrodni. Kiedyś, kiedy ta ludność wyda jakiego powieściopisarza lub poetę, wtedy dowiemy się, jak oni żyją i co czują; lecz zanim to nastąpi, żadne o nich opowiadanie nie może być zupełnie dokładne, tak co do faktów jak i co do wrażeń.

Miss Vezzis przybyła do miasta z poza linii granicznej do dzieci jednej pani za tymczasową piastunkę. Pani ta żaliła się, że Miss Vezzis jest brudna i niedbała; nie przyszło jej nigdy na myśl, że Miss Vezzis może mieć własne, osobiste troski

i własne sprawy, które same tylko mają w jej oczach jakąkolwiek wartość. W istocie mało pań zastanawia się nad tem. Miss Vezzis była czarna jak but i według naszych wyobrażeń ohydnie brzydka. Nosiła perkalowe barwne spódnice i dziurawe trzewiki, a kiedy się rozgniewała na dzieci, łajała je w swojej mieszanej mowie: po części angielskiej, portugalskiej i indyjskiej. Uroczą nie była zapewne, ale znała swoją godność i lubiła być nazywaną Miss Vezzis.

Co niedziela stroiła się aż strach i szła odwiedzać swoją matkę, która większą część życia przepędzała na starem trzcinowem krześle, owinięta w szlafrok z brudnego a wypłowiałego indyjskiego jedwabiu. Dom, w którym mieszkała, był istną królikarnią rojącą się od rodzin z portugalskiemi nazwiskami, jak: Pereira, Ribiera, Lisboa i Gonsalvez, nie licząc zmieniającej się co dnia populacyi włóczęgów; to wszystko gnieździło się w pośród resztek pozostałych z każdodziennego targu, jakoto: czosnku, jakiegoś dziwnie pachnącego kadzidła, sukien rozrzuconych po ziemi, spódnic rozwieszonych na sznurach zamiast parawana, nadtłuczonych butelek, cynowych krzyżyków, gipsowych figurek Świętych, wyschłych nieśmiertelników, kapeluszy bez denek i osierociałych szczeniąt. Miss Vezzis brała dwadzieścia rupij miesięcznie za swoją służbę w mieście, i kłóciła się co tydzień z matką, wiele z tych pieniędzy ma oddać na wspólny domowy użytek. Gdy kłótnia była skończona, Michele D'Cruze przełaził przez nizki, z surówki uklecony mur, dzielący wspólny dziedziniec, i starał się o rękę panny Vezzis, co według obyczajów tej klasy odbywa się z wielką ceremonią. Michele był biedny, chuderlawy i bardzo czarny, ale znał swoją godność. Nie chciałby za nic w świecie być zdybanym na paleniu *huki*, krajowcami zaś gardził jak przystało na człowieka mającego w żyłach $^1/_{10}$ część krwi europejskiej. Rodzina Vezzis'ów również miała z czego być dumną. Wywodzili oni swój początek od jakiegoś mitycznego blacharza, który kiedyś pracował przy moście Sone podczas gdy w Indyach zaprowadzano koleje żelazne; umieli też cenić swe pochodzenie angielskie. Michele był telegrafistą z pensyą 35 rupij miesięcznie, a fakt, że był u r z ę d-

nikiem rządowym, wystarczał aby Mrs. Vezzis uczynić pobłażliwą na plamy ciążące na jego przodkach.

Obiegała kompromitująca legenda, którą krawiec Dom Anna był przywiózł z Punani: że kiedyś jeden z rodziny D'Cruze ożenił się z czarną Żydówką z Kochinu; wszystkim zaś znaną tajemnicą było, że wuj Mrs. D'Cruze pełni w klubie w południowych Indyach jakąś upadlającą służbę około kuchni. Posyłał siostrzenicy 7 rupij miesięcznie, mimo czego jednak nie mogła ona nie odczuwać bardzo boleśnie hańby, jaka stąd spływała na rodzinę.

Po kilku tygodniach jednak, Mrs. Vezzis zdecydowała się, nie zważając na te braki, pozwolić na małżeństwo córki z Michelem, pod warunkiem że zdobędzie sobie wprzódy stanowisko z dochodem najmniej 50 rupij miesięcznie. Ta chwalebna przezorność musiała być odziedziczona przez rodzinę wraz z yorkshirską krwią mitycznego blacharza; na linii granicznej bowiem ludzie mają sobie za chlubę, żenić się wtedy kiedy chcą, a nie wtedy gdy mogą.

Ze względu na widoki, jakie Michele miał w swojej karyerze, Mistress Vezzis mogła była równie dobrze żądać od przyszłego zięcia, aby poszedł i wrócił z księżycem w kieszeni. Ale Michele był bardzo zakochany, co dodawało mu cierpliwości i siły. Poszedł z narzeczoną na Mszę w niedzielę, a po Mszy powracając do domu wśród skwaru i pyłu, przysiągł jej na imię różnych Świętych, że jej nigdy nie zapomni; ona zaś przysięgła również na swoją cześć i na imię Świętych (rota przysięgi jest dość ciekawa: *In nomine Sanctissimae N.* i t. d., a zakończona trzykrotnym tradycyonalnym pocałunkiem), przysięgła że wiary narzeczonemu nie złamie.

W tydzień potem Michele został przeniesiony na inną posadę, a Miss Vezzis skropiła łzami stopnie wagonu, w którym wyjeżdżał.

Jeżeli spojrzysz na telegraficzną mapę Indyj, zobaczysz na niej długą linię ciągnącą się wybrzeżem pomiędzy Bakergunge a Madrasem. Michele był posłany do Tibasu, maleńkiej, do tej linii należącej stacyjki, skąd miał słać dalej depesze z Berhampur do Chikakola, dumając przytem o swej bogdance i o sposobach zarobienia 50 rupij miesięcznie w godzinach wolnych od

służby. Za całe towarzystwo miał szum dochodzący od Zatoki Bengalskiej i jednego bengalskiego *Babu* [1], a poza tem, nic. Słał tedy do Miss Vezzis bardzo rozmarzone listy z krzyżykami pozatykanemi w kopercie.

Po kilku tygodniach pobytu w Tibasie przyszła nań szczęśliwa chwila.

Nie trzeba nigdy zapominać, że krajowiec w Indyach o tyle tylko pojmuje czem jest władza i jak jest niebezpiecznie jej nie słuchać, o ile ma przed oczami widome tej władzy oznaki. Tibas, była to osada drobna i zapomniana, zamieszkała przez kilku Orisańskich Muzułmanów. Ci, nie słysząc przez czas dłuższy o Sahibie, tj. Poborcy, a żywiąc najgłębszą pogardę dla miejscowego sędziego Indyanina, urządzili sobie rewolucyjkę *sui generis*; Hindusi jednak wypadli na nich i zaczęli bić. Że zaś ruchawka zasmakowała obu stronom, przeto zaburzenie stało się wkrótce ogólnem; jedni drugim rozbijali sklepy i mścili się za osobiste krzywdy wśród ogólnego zgiełku. Była to brzydka sprawa, ale jednak za mało znacząca, aby się miała dostać do gazet.

Michele pracował w swojem biurze, gdy nagle usłyszał głos, którego człowiek nigdy w życiu zapomnieć nie zdoła, krzyk wydany przez rozhukaną tłuszczę: *Ah-jah*! (Skoro ten krzyk zniża się o trzy tony i zamienia w grube, przeciągłe wycie, wtedy kto je usłyszy a jest sam, dobrze zrobi jeśli ucieknie i schowa się). Miejscowy indyjski inspektor policyi wpadł i powiedział Michelowi, że całe miasto wre buntem i gotuje się zburzyć biuro telegraficzne. Bengalczyk, będący przy tem, nałożył czapkę i cichaczem wysunął się przez okno. Inspektor policyi zaś, wierny instynktowi swej rasy, umiejącej rozpoznać w człowieku choćby kropelkę krwi białej, zwrócił się do telegrafisty i rzekł:

— Co *Sahib* rozkaże?

Wyraz Sahib zdecydował Michela. Chociaż sam strasznie wylękły, czuł że w tej chwili on, pomimo swej babci Żydówki i wujaszka kucharza, był w mieście jedynym przedstawicielem angielskiej władzy. Pomyślał też o narzeczonej, o swoich 50 ru-

[1] *Babu* w Indyach znaczy tyle co wyraz „pan“ lub „obywatel“.

piach i postanowił wziąć na siebie odpowiedzialność. W Tibasie było siedmiu policyantów krajowców, a na nich cztery starożytne strzelby. Wszyscy posinieli od strachu, ale zdolni jeszcze do zrozumienia rozkazów. Michele schował klucz od telegrafu i na czele swej armii wyszedł naprzeciw buntowników. Kiedy wrzeszczący tłum doszedł do zakrętu drogi, Michele dał ognia, równocześnie zaś ludzie za nim stojący, nawpół machinalnie, strzelili.

Cała banda, tchórze do szpiku kości, zawyła i uciekła, zostawiając jednego zabitego i jednego konającego na drodze. Michele pocił się ze strachu; przezwyciężył jednak swą bojaźń i poszedł dalej w miasto, koło domu, gdzie się sędzia był obwarował. Ulice były puste, Tibas było w większym strachu niż Michele; motłoch bowiem został powstrzymany w właściwej chwili.

Michele powrócił do biura telegraficznego i posłał depeszę do Chikakoli, prosząc o pomoc. Zanim odebrał odpowiedź, przyszła doń deputacya od starszyzny miasta, oświadczając mu, że zdaniem sędziego postępowanie jego było „niekonstytucyjne"; chcieli go zastraszyć. Ale serce Michela D'Cruze było wielkie i silne, jużto miłością panny Vezzis, piastunki, jużteż tem, że po raz pierwszy w życiu zakosztował odpowiedzialności i powodzenia, dwóch rzeczy bardziej upajających i bardziej niebezpiecznych niż wódka. Michele odpowiedział, że sędzia może gadać co mu się podoba, ale że do chwili przyjazdu wyższego urzędnika, telegrafista stanowi w Tibasie władzę rządową, i że starszyzna będzie odpowiedzialną za dalsze wypadki. Wtedy pokłonili się głęboko i prosili „o łaskę", poczem odeszli z wielką trwogą, zwalając jeden na drugiego początek tumultu.

Z brzaskiem dnia, po całonocnej straży na czele swych siedmiu policyantów, Michele z bronią na ramieniu, wyszedł na drogę, na spotkanie urzędnika, który przybywał poskromić Tibas. Ale wobec tego młodego Anglika, Michele czuł, że zwolna, coraz bardziej włazi znów w skórę krajowca i pomimo największych wysileń, opowieść jego o buncie w Tibasie zakończyła się strumieniem łez. Płakał z żalu, że zabił człowieka, ze wstydu, że nie czuł się tak mężnym jak przeszłej nocy, z dziecinnego gniewu na samego siebie, że słowa jego nie odpowiadały jego wielkim

czynom. Była to ostatnia kropelka krwi białej, zamierająca w żyłach Michela, z czego on jednak nie mógł sobie zdać sprawy.

Ale Anglik zrozumiał wszystko; to też gdy dał nauczkę mieszkańcom Tibasu i rozmówił się z sędzią tak, że ten godny urzędnik aż pozieleniał ze wzruszenia, znalazł jeszcze dość czasu, aby wysłać list oficyalny, opisujący postępowanie Michela. List, przepłynąwszy przez należyte kanały, doszedł do celu i sprawił, że Michela przeniesiono w głąb kraju z cesarską pensyą 66 rupij miesięcznie.

Zaczem Michele i Miss Vezzis pobrali się z wielkiemi ceremoniami i pompą, a dziś jest już kilku małych D'Cruzów, wywracających koziołki na werandach centralnego biura telegraficznego.

Choćby mu jednak dawano wszystkie dochody sekcyi urzędowej, przy której służył, Michele nie byłby już nigdy, nigdy w stanie dokazać po raz drugi tego, co ongi w Tibasie dla miłości panny Vezzis uczynił.

* * *

Druga serya: *My own people*, zawiera utwory bardzo nierównej wartości. Niektóre z nich odznaczają się głębszym, a zwłaszcza szerszym od pierwszych poglądem; inne, daleko słabsze, jak np. *Without the benefit of elergy* (jeden z dwóch, których panienkom dawać nie trzeba), przypomina zbyt żywo Loti'ego *Madame Chrysanthème*, lub jeszcze *Le Mariage de Loti*, tylko że scena przeniesiona na grunt indyjski. Widzimy w tej powiastce bałwochwalczą miłość młodej niewolnicy do swego pana, słyszymy w chwili jej konania bluźnierstwo, nawet w ustach Mahometanki rażące. ...Za to śliczny jest szkic, opisujący odwiedziny sławnego, posiwiałego nad piórem autora, u trzech młodziuchnych oficerów, przybyłych z Indyj do Londynu na urlop: autor, który zrazu przemawiał do nich tonem protekcyonalnym, zwolna, w miarę ich odpowiedzi, nabiera przekonania, że ci chłopcy, pomimo wysypujących się dopiero wąsów i dziecinnej prawie prostoty, więcej poznali życia, więcej przebyli przygód i zaznali wrażeń, niż on w swej długoletniej pisarskiej karyerze. Widzi z ich opowiadań, że pomimo swego realistycznego kierunku, istotnej prawdy życia od-

dać nie był w stanie. Odchodzi więc od nich w najgorszym humorze, przeklinając swój zawód i zamierzając na zawsze porzucić pióro, w którem to chwalebnem postanowieniu trwa statecznie do... nazajutrz rana. *Qui a bu — boira*, mówi przysłowie francuskie: manja autorska zaś jest pono silniejszym od pijaństwa nałogiem.

Inny szkic: *The man that was*[1] dotyka tak żywo niejednego polskiego wspomnienia, że niepodobna nam pominąć go milczeniem. Na wstępie Kipling zaznacza, że Rosyanie, którzy są ludźmi najprzyjemniejszymi dopóki chcą być uważani za najbardziej zachodni naród Wschodu, stają się nieznośnymi skoro się starają być najbardziej wschodnim ludem Zachodu. Treść powiastki smutna, a dla nas jakoś dziwnie znajoma. Wpośród uczty wyprawionej przez oficerów pułku Białych Huzarów w północnych Indyach, na której zaproszony podróżujący oficer rosyjski spija się i zasypia pod stołem — nagle straż przyprowadza człowieka nawpół żywego, w łachmanach, którego schwytano gdy się wślizgiwał do zabudowań fortecznych. Po długich badaniach Anglicy poznają w nim oficera, należącego niegdyś do ich własnego pułku; w chwili jednak, gdy czynią to odkrycie, Moskal wyłazi z pod stołu, a wtedy nieszczęsny przybysz na widok kozackiego munduru rzuca się na kolana i poczyna pełzać, błagając o litość. Jeden z oficerów podnosi go i mimowolnym ruchem rozsuwa na plecach łachmany, z pod których ukazują się pręgi regularne i głębokie, tj. blizny, jakie po sobie zostawia jedno tylko narzędzie — knut. Usta biedaka, zamknięte na zapytania współbraci, otwierają się teraz posłusznie i trwożnie na groźny dlań dźwięk mowy rosyjskiej. Badany przez Moskala, opowiada, że pojmany pod Sewastopolem, wyrządził obelgę jakiemuś pułkownikowi rosyjskiemu i nie chciał go za nią przeprosić; pułkownik zaś umiał się zemścić. Zanim przyszło do wymiany jeńców, jego porwano na okręt, wywieziono w dal, na Sybir i tu przez lat 30 od katorgi do katorgi włóczono, aż w końcu uciekł i tułając się po lasach jak dziki zwierz, dostał

[1] Były człowiek.

się na wolność, do swoich. Wrócił, i pomiędzy nimi skonał spokojnie po trzech dniach cichej radości... Historya ta dla nas nie potrzebuje komentarzy, nie zadziwi nikogo. Za to wolno nam zapytać, czy Kipling nie łudzi się, kładąc na tejże uczcie w usta Indyanina służącego w wojsku angielskiem wyrazy nienawiści do narodu rosyjskiego, i zapewnień, że w razie wojny Indyanie staną po stronie angielskiej? Nam dotąd się zdawało, że każdy lud uciemiężony woli obcych przybyszów niż obecnych, znanych mu dobrze ciemięzców, i że wskutek tego sympatye Indyan musiałyby inny od wskazanego tu przybrać kierunek. Kipling jednak mniema w dobrej wierze, iż Anglicy raczej chronią lud indyjski od ucisku ich własnych, drobnych tyranów, że mu niosą cywilizacyę i oświatę; skarży się przytem na każdym kroku na rząd centralny, twardszy według niego dla własnych urzędników i indyjskich poddanych, niż dla azyatyckich krajowców.

Jak widzimy, umie Kipling niekiedy i w strunę polityczną uderzyć; jest przecież u niego inny jeszcze rodzaj powiastek, najpożądańszy może wśród powodzi nowoczesnych płodów łzawej literatury: rodzaj wesoły.

Przed temi jednak pióro tłumacza musi się wstrzymać z obawy, aby nie odjęło im wszelkiej barwy i woni, nie przemieniło w rubaszność tego, co w oryginale jest tylko zabawne. Zostawiamy też czytelnikom umiejącym po angielsku śliczne historyjki, a raczej anegdotki, jak: *His wedded wife, The taking of Lungtugpen, The rout of the White Hussars*, albo *The arrest of Lieutenant Golighty* i inne.

Nie myślimy również robić porównań krytycznych i decydować, kto wyżej stoi: Kipling czy Hedenstierna? O tem niech już każdy z czytających sam sądzi; nam bowiem chodziło tylko o wskazanie tych dwóch autorów uwadze naszego społeczeństwa, łaknącego — nie już wrażeń, jak w pokoleniu romantyków bywało, ani też jak przed dziesięciu laty filozoficznych wywodów na tle banalnej powieści — ale prawdziwych, zdrowych, uczciwych, nie zaczernionych pesymizmem obrazów życia.

T. W.

ECHA WIOSENNE z SARBIEWSKIEGO.

DO PAWŁA KOZŁOWSKIEGO [1].

(Lyricorum libri IV. ode 35).

Już dawno ciepłym wiosny oddechem
Wionął na pola wietrzyk majowy,
W krasę wiosenną stroją się łąki,
Łąki kwieciste, dąbrowy.

Wilia zasłana statkami z zbożem
Przez bujne łany cicho się toczy,
A tu w pobliżu płynie ze wzgórza
Śpiew ptasząt gwarny, uroczy.

Tam znów pastuszek siadł na kurhanie,
Chwycił fujarkę, dumki wygrywa,
A wiatr na Wilii w żagle uderzył,
Wioślarz odpoczął — i śpiéwa.

[1] Ks. Paweł Kozłowski, kolega zakonny Sarbiewskiego, późniejszy autor książki o Kongregacyi Maryańskiej, ogłoszonej drukiem w r. 1643 pod tyt.: „Snopek nabożeństwa Kongregacyi N. M. P.“. Książka ta doczekała się wielu wydań w Warszawie, Krakowie i Gdańsku, jużto po polsku, jużto w łacińskim przekładzie.

Iam pridem tepido veris anhelitu
Afflarunt reduces arva Favonii:
Iam se florida vernis
Pingunt prata coloribus.

Stratus frugiferis Vilia puppibus
Grato praeter abit rura silentio,
Quamvis proximus omni
Collis personet alite;

Quamvis et viridi pastor ab aggere
Dicat graminea carmina fistula,
Et qui navita debet
Plenis otia carbasis.

Pawle, czas spocząć; przerwij swe prace,
Jutro, gdy tylko błyśnie w lazurach
Słonko poranne złotem obliczem,
Pójdziemy błądzić po górach;

Na szczyt Łukiszek[1] pójdziem zielony —
Dęby wyniosłe dźwiga na skroniach
I słucha z góry szumu potoków,
Co wartko krążą po błoniach.

Stamtąd ze szczytu, stamtąd z wysoka
Ujrzymy całe Wilno przed nami,
Wilię ujrzymy, co wkoło Wilna
Krętemi płynie wodami;

Stamtąd w oddali ujrzym świątynie,
Kopuły w blaskach — każda olśniona,
Górą dwa zamki, a w dal — tam Litwa!
Wielkiego kraj Palemona.

Jak łatwo naród rośnie w potęgę
Gdy nad nim pokój skrzydła rozwinie!
W trzech oto latach za ojców naszych,
Trzy się dźwignęły świątynie[2],

I to zamczysko Gedyminowe,
Co na potężnych piętrzy się stokach,
Kapitol Litwy, te baszty, wieże,
Co dumnie toną w obłokach.

---

[1] Łukiszki, jedno z przedmieść Wilna; mieli na niem Jezuici swą letnią willę.

[2] Por. artykuł Wincentego Korotyńskiego w „Encyklopedyi powsz." Orgelbranda p. t.: „Wilno" — Świątynie.

Aequas Palladiis, Paule, laboribus
Interpone vices. Cras, simul aureo
Sol arriserit ore,
Summorum iuga montium

Scandemus viridis terga Luciscii,
Qua celsa tegitur plurimus ilice,
Et se praetereuntium
Audit murmura fontium.

Illinc e medio tota videbitur
Nobis Vilna iugo, tota videbitur
Quae Vilnam sinuosis
Ambit Vilia flexibus.

Illinc picta procul quae radiantibus
Fulgent fana tholis et geminam super
Despectabimus arcem
Magni regna Palaemonis.

Ut longo faciles pacis in otio
Se tollunt populi! nam tria tertio
Surrexere sub anno
Priscis templa Quiritibus:

Et qua conspicuis se Gediminia
Iactant saxa iugis, et Capitolium,
Et quae tecta superbis
Intrant nubila turribus.

Wszystko co wielkie wzrasta w pokoju,
I drobna praca w pokoju rośnie;
Spojrz na zielone grzbiety pagórków,
Rozkwitłe w słońcu i w wiośnie.

Topól co teraz wiatrem faluje,
Spała przez zimę śniegiem okryta;
Fala co płynie — stała bez ruchu
W mroźne kajdany spowita.

Łan co dziś kwitnie róży purpurą,
Leżał niepłodny w długiem uśpieniu;
Ptaszę co z wiosną mile szczebiota,
Zimę przetrwało w milczeniu.

A więc nie zwlekaj i na dzień cały
Odejm się troskom. — Wieczór pogodny!
Jutro godziny końmi białemi
Dzionek przywiozą swobodny.

Auget magna quies; exiguus labor
In maius modico provenit otio;
Hinc et terga virentum
Lata prospice collium.

Quae nunc mobilibus nutat etesiis
Segni cana stetit sub nive populus;
Qui nunc defluit, alta
Haesit sub glacie latex;

Qui nunc purpureis floret ager rosis
Immoto sterilis delituit gelu;
Verno quae strepit ales
Hiberno tacuit die.

Ergo rumpe moras et solidum gravi
Curae deme diem, quam tibi candidus
Spondet vesper et albis
Cras horae revehent equis.

DO PIEWIKA [1].

(Lyricorum IV. 23).

W splotach topoli siedzisz u szczytu,
Pijesz rosiste łezki błękitu,
Sam się swym głosem bawisz ochoczo,
W gajach ożywiasz ciszę uroczą.

Po długiej zimie lato tak krótkie!
Na lekkich kołach toczy się rzutkie...
Spiesz się piewiku za słonkiem złotem,
Dzwoń mu przeciągle gwarnym ćwierkotem.

Każdy dzień szczęścia prędko przeminie,
Ledwo zawitał — zrywa się, ginie...
Ach! czas rozkoszy zawsze tak krótki,
A takie długie bole i smutki!

---

[1] *Cicada,* nie jest to nasz konik polny, jak się często mylnie tłumaczy, ale piewik, zwany także mannikiem, wysławiany tylekrotnie przez starożytnych poetów. (Cfr. Anacr. 19: Εἰς τέττιγα). Żyje w południowej Europie; przebywa na drzewach, jest dość duży i pięknie ubarwiony. W czasie skwarów letnich kryje się w liściach i osobnym narządem wydaje głośny świergot. — Wiersz ten, albo przynajmniej jego pomysł, pochodzić musi z czasów pobytu Sarbiewskiego we Włoszech.

O quae populea summa sedens coma,
Caeli roriferis ebria lacrimis,
Et te voce, cicada,
Et mutum recreas nemus.

Post longas hiemes, dum nimium brevis
Aestas se levibus praecipitat rotis
Festinos, age, lento
Soles excipe iurgio.

Ut se quaeque dies attulit optima
Sic se quaeque rapit: nulla fuit satis
Unquam longa voluptas;
Longus saepius est dolor.

DO ROSY [1].

(Silviludium II).

O roso poranna, miluchna, urocza,
Z jasnego opadasz niebiosów przezrocza
I kwiaty drobniuchne,
Listeczki miękuchne
Okrywasz, ubierasz oczkami;
Rozlana po łące w tysiącznych kropelkach,
W zielonem traw morzu, w kwiecistych muszelkach
Przyświecasz do słońca perłami.

O mleko ty śnieżne złocistej jutrzenki!
Jutrzenka swe piersi, złotawe swe pęki
Do drobnych usteczek
Kwiatuszków dziateczek
Troskliwie przytula jak matka;
A kwiaty dokoła na wargach rumianych
Zawisły przy piersiach jutrzenki różanych,
I wonna się karmi gromadka.

---

[1] Wiersz napisany w Solecznikach, gdy król Władysław IV. wyruszał o świcie na łowy. Soleczniki (Wielkie i Małe) leżą w powiecie wileńskim, przy trakcie z Wilna do Lidy nad rzeką Solczą i jej dopływem Wisińczą.

Placidi rores matutini,
Qui sereno lapsi caelo
Mollia florum
Versicolorum
Ocellatis folia;
Qui florentibus in conchis
Late virentis
Aequore prati gemmulatis.

Nitidum flavae lac Matutae!
Cum luteolas papillas
Tenero florum
Inserit ori:
Odorati pupuli
Coloratis cum labellis
Rosea circum
Ubera matris nutriuntur.

O roso, z ogrodów zorzanych błękitu
Jak czujny ogrodnik, raniutko co świtu
Srebrnemi dzbanuszki
Polewasz kwiatuszki,
Odwilżasz ich usta spragnione.
Jutrzenki wschodzącej deszczyku ty cichy,
Kropelki wy drobne na kwiatów kielichy
Ze skroni niebiosów zronione.

O nocy gasnącej urocze gwiazdeczki
Kryształki rosiste, niebieskie roseczki,
O gwiazdki świetlane
Po polach rozsiane,
O gwiazdy, o perły, o rosy!
O łezki kwiatuszków co płaczą nad ranem
Nad nocy-rodzicy żałobnym kurhanem,
I ciche ślą skargi w niebiosy.

Hej roso poranna, ślad błędnej zwierzyny,
Co rankiem po trawach wracała w gęstwiny,
Zdradź wiernie przed nami,
Pewnemi szlakami
W lesiste zaprowadź pomrocza;
Do zwierza kryjówek przez kręte manowce
Po śladach, po tropach wiedź strzelce i łowce,
O roso poranna, urocza!

Vigiles hortis ab eois
Florae, rores, olitores
Arida pratis
Ora rigatis
Urnulis argenteis;
Vos aurorae fulgurantis
Tacitus imber,
Guttulae caeli desudantis.

Stellulae noctis decedentis!
Stillae rorum, caeli rores
Sidera ruris,
Sidera rores,
Flosculorum lacrimae,
Cum madenti liquent ore,
Diraque lugent
Funera noctis occidentis.

Antra petentum vos ferarum
Pressa vago signa pede,
Limite fido
Prodite rores;
Certa per vestigia
Ad latentem venatores
Ducite praedam,
Placidi rores matutini!

DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY [1].

(Lyricorum II. 26).

Królowo nieba! Z błękitnych stoków
Zstąp na Mazowsze promiennym smugiem,
W śnieżnym rydwanie lekkich obłoków
Spłyń ponad Bugiem!

Niech przyjdzie z Tobą dziecina Boża,
I złote chóry anielskich gości,
Zdrowie i pokój i pełen zboża
Róg obfitości.

MIŁOŚĆ [2].

(Epigramma XXX).

Po co szukamy cienia w południe, w nocy światłości?
Miłość jest cieniem w skwarnym upale, światłem w ciemności.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

[1] W wielu wydaniach Sarbiewskiego spotyka się wzmiankę, że wiersz ten pochodzi z czasów, kiedy Polskę trapił głód, zaraza i wojna. Tymczasem napisany on był jeszcze we Włoszech. W rękopisie, zawierającym najstarszą redakcyę liryków (Bibl. Barber. MS. xxx, 14, ode viii), czytamy jak następuje:

Urbium custos, populique Virgo
Romuli colles Tiberimque late
Nubium curru... etc.

Później dopiero zmienił Sarbiewski wzgórza Romulusa na równiny Mazowieckie, a Tyber na Bug:

Aurei regina Maria caeli!
Moesiae valles, Hypanimque late
Nubium curru super et nivosis
Vise quadrigis.

Aureus tecum Puer et coruscis
Aureae pennis properent catervae.
Et salus et pax et aperta pando
Copia cornu.

[2] Quid nocti lumen, luci quid quaerimus umbram?
Nocte dies nobis est amor, umbra die.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Na około ziemi. Przez *Karola hr. Lanckorońskiego.* W Krakowie. Gebethner i Spółka. 1893.

Do zadomowienia skłonni, spóźniamy się z uczestniczeniem w ruchu wędrownym, który zda się ludzkość zawracać ku szlakom koczowniczego życia. Oczywiście, gorączka ta ma swoje skrajne niebezpieczeństwa, lecz wraz ma i piękne i korzystne strony. Źle byłoby odbiegać ustawicznie domowego ogniska, źle szukać wrażeń, zamiast stałej imać się pracy, źle toczyć się jałowym kamieniem naokoło ziemi, zamiast w niej stałe zapuszczać korzenie. Ale skądinąd, niemasz ważniejszego czynnika w umysłowym rozwoju, skuteczniejszego środka zahartowania ciała, wykształcenia ducha, nad podróże i wycieczki w świat daleki. Niedość bierzemy w rachubę korzyści płynące z zetknięcia się z ludźmi, z rozszerzenia widnokresów, a bodaj i z samychże trudów podróżnych. Jak niemasz zdrowszej dla młodzieży lektury nad podróżne zapiski, niemasz i lepszego uwieńczenia studyów młodzieńczych nad podróż, choćby naokoło świata.

Zaczynają i z piastowskiej zagrody wędrowne wylatywać ptaki, czego nasz *Przegląd* najświetniejszy snuje obecnie przykład. I rzeczywiście, zdanie hr. Lanckorońskiego, że ziemia ostatecznie jest bardzo małą, stwierdza się spotkaniem jego, gdzieś w dalekim porcie Japonii, z młodym podróżnikiem, który nas udarza wspomnieniami z wędrówki swej po Azyi. Książę Paweł Sapieha ciekawszy ludzi i miejscowych stosunków, hr. Lanckoroński przeważnie studyuje zabytki sztuki, ob-

cuje z głazami, ocenia ewolucye smaku i stylu, szuka pomników i pamiątek zamierzchłej przeszłości. „Wrażenia i poglądy", których nam udziela z podróży odbytej naokoło świata w latach 1888—1889, przenoszą nas z Indyj do Chin, z Chin do Japonii, z Japonii do San Francisco i Nowego Jorku, wielkim szlakiem opierścieniającym ziemię, którym zwykli kroczyć pielgrzymi, żądni okrążenia naszej marnej kuli. Hr. Lanckoroński należy do rzędy najruchliwszych *grobe trotter*'ów, żeby użyć utartego angielskiego wyrazu, ekwiwalentu polskiego obieżyświata. Stąd nadmiar porównań, które niewiele objaśniają czytelnika, znającego często równie mało europejskie ciekawości jak azyatyckie dziwy. Stąd też pewna nerwowa gorączkowość i pośpiech w pędzeniu naprzód, w zaskarbianiu na prędce olbrzymiego zasobu przeróżnych wrażeń, nie wyczerpując ich zgoła. Jedne Indye dłużej nieco naszego podróżnika zatrzymują, co im się z wieku i z urzędu należy, jako kolebce starożytnego świata i aryjskich przodków naszych. Piętrzą się przed nami cudne świątynie, pyszne grobowce, wspaniałe pałace, kult Buddy roztacza przed zdumiałem okiem całą jaskrawą świetność swych pomników, pochodów i obrzędów. Autor nie zdaje się odczuwać bolesnego wrażenia, narzucającego się czytelnikowi wobec tylu hołdów składanych żarliwie fałszywym bóstwom, tyle czci i uczuć zmarnowanych, tyle świadectw omylnej miłości, takiej wspaniałej hojności dla błędu i fałszu, kiedy prawda jedyna w ubóstwie nieraz i zapoznaniu, nie ogarnęła dotąd kresów świata, nie wywiodła milionowych ludności z doliny cieniów śmierci i pogaństwa.

Autor zetknął się w Indyach z krzewicielami onej prawdy, z naśladownikami św. Franciszka Ksawerego, którego kości spoczywają w Goa. Kędyś w Himalajach opisuje nam gościnę u francuskiego misyonarza, Jezuity Ojca Desgodius'a, którego zastał przy rzemieślniczej robocie, pokostującego klatkę schodową domku swego, a w którym wnet poznał uczonego autora ciekawych dzieł o Tybecie. Po latach dobrowolnego wygnania i ciężkiej pracy, zakonnik ten nie był nic utracił z właściwego Francuzom wykwintnego wdzięku i godności: *Gesta Dei per Francos* utrwalają się za pomocą takich ludzi i takich poświęceń.

Niedarmo hr. Lanckoroński umieścił na tytule swej książki, iż pragnie z czytelnikiem się podzielić nietylko „wrażeniami", lecz i „poglądami". Te ostatnie bywają nieraz bardzo uderzające, zdradzając wysokie znawstwo i ukochanie piękna, oraz głębszy umysł podróżnika, który nietylko okiem ciała patrzy, lecz zaostrzonym artystycznym zmy-

słem przenika zmienne obrazy w długiej oglądane podróży. W rzeczach sztuki, w zakresie piękna, wytrawny sędzia nieraz znakomite wysnuwa i podsuwa uwagi, poglądy i wnioski. Nie spodziewać się po nim szablonowych zachwytów, uwielbień dla rzeczy wsławionych łatwemi innych podróżników pochwałami. Uderzyło nas np. niepodległe jego ocenienie okrzyczanego Taju, grobowca cesarskiego w Agra. Matematyczna symetrya tej doskonałej budowy drażni nerwy hr. Lanckorońskiego, który tu wzdycha za harmonijnym na Akropolu nieładem, słusznie podnosząc wyższość harmonii nad symetryę. „Ten co zbudował Taj, mógł być wielkim budowniczym, lecz nie wielkim artystą; nad podobnemi płodami sztuki zawsze górować będą takie, co swemu twórcy płyną z duszy, i najwyższej harmonii szukają, chociażby jej nawet nie znalazły".

Autor podziwia administracyę angielską olbrzymiego Hindostańskiego państwa, unosi się nad małą liczbą europejskich urzędników, którzy nieskazitelną cnotą zachowują moralną przewagę nad dwustumilionową wschodnią ludnością. Natomiast nie pochwala zgoła systemu edukacyjnego, żywcem przeniesionego z Anglii do Indyj. Zachodnia mądrość, przefiltrowana przez wschodnie Medium, chyba nie przyniesie pożądanych owoców i lękać się należy, aby Anglicy nie wytresowali swych uczniów jak małpy lub papugi, zamiast ich należycie wykształcić. Już w Bombaju naszego podróżnika razi widok ciemnoskórych uczniów szkoły sztuk pięknych, którym dają do odrysowywania gipsowe odlewy Laokoona lub Wenery, kiedy raczej należałoby ich kształcić w narodowym kierunku i pojęciach piękna, na motywach miejscowych, tak bogatych w niewyczerpanej swej rozmaitości.

Chiny i Stany Zjednoczone w przelocie tylko muśnięte, krótko zajmują autora niniejszej pociągającej książki. Natomiast dłuższy ustęp poświęca Japonii, wbrew zwyczajowi, nie zamykając się w ściśle artystycznym zakresie, lecz i politycznych nie szczędząc poglądów. Dowiadujemy się np. nieco ciekawych szczegółów co do przełomu dopełnionego w Japonii przed dwudziestu pięciu laty. Rok 1868 dla tych wysp ma mniej więcej jedno znaczenie co rok 1789 dla Francyi. „W Japonii mniej krwi popłynęło, lecz skutki tu i tam jednakie. Niemożliwy nadal stan polityczny i społeczny, który zbyt długo trwał, nagle został przekształcony, i z dnia na dzień zmieniono jedną ostateczność w drugą, nie zadawszy sobie trudu aby zbadać, czy też znaczna część dawnych urządzeń nie posiada jeszcze żywotności, i czy służyć nie może za podstawę nowacyom? Rewolucya zamiast ewolucyi". Przytem, dodaje

autor, Japończycy sobie w niejednem tak postąpili jak i Francuzi przed stu laty, tam nawet gdzie rzeczy zmienić nie mogli, zmieniając nazwę, i sądząc że wielkiego dokonają dzieła, nazwawszy inaczej miesiące; zaczem np. zniknęło historyczne miano stolicy Yeddo, przezwanej dowolnie Tokio, czyli stolicą Wschodu, tak jak nowe imię dla Kioto, Saikio, oznacza stolicę Zachodu. Wogóle uderza autora podobieństwo Japończyków z Francuzami, oraz ich przeciwieństwo z Chińczykami, którym zawdzięczają religię, literaturę. filozofię i sztukę, a różnią się tak rdzennie pochwytnością zewnętrznych wrażeń, idei i pojęć, kiedy tymczasem Chińczycy opierają się od lat tysięcy wszelkim obcym wpływom. W Japonii do tyla zachodnie przemagają prądy, iż między innemi religijne prześladowania niektórych sekt buddaistycznych zupełnie tam przybierają kształty kulturkampfu europejskiego, znoszeniem klasztorów, pozbawianiem kapłanów dochodu i dotacyi, burzeniem nawet świątyń, rozpraszając po świecie cenne zabytki i pamiątki.

Cała Japonia wydaje się naszemu autorowi jednym wielkim bazarem osobliwości, a barwne pióro, jeszcze barwniejsze snuje opisy tej dziwnej krainy, gdzie każdy zdaje się być zadowolniony z własnego losu, gdzie niema nędzy, bo niema potrzeb żadnych, gdzie drobiazgowość życia i sztuki zniża polot duszny, ale pieści oko miłemi szczegółami. Może i klimat na pogodę usposobień tam wpływa. Uśmiechy niebios z pewnością i ludzkie mnożą uśmiechy. „Jeśli niema nędzy w Japonii, to dlatego głównie, iż nikt nie ma jej świadomości. Jak wogóle u wszystkich ludów starej cywilizacyi, żyjących głównie pod gołem niebem, czuć się tu daje daleko mniej niż u nas różnica stanów, a piękny węzeł uszlachetnionych obyczajów i dobrych manier łączy wielkich i maluczkich".

Nie opisuje nam autor swej żeglugi po cichych Pacyfiku falach. Lotem pary przebiega północną Amerykę, od San Francisco do Nowego Jorku, kilku rysami maluje nagły wzrost urządzającego obecnie targowisko wszechświata Chicaga, trafne ustawia porównanie między dwoma republikami starego i nowego świata, całe na korzyść Stanów Zjednoczonych, gdzie wolność stawioną jest ponad równość, kiedy tymczasem Francuzi równość nad wolność przenoszą, nie bacząc, iż jest ona zaprzeczeniem wolności. Nie skończylibyśmy, chcąc uszczknąć rozsiane w tej pospiesznej podróży aforyzmy i zdania, świadczące głównie o wytworności smaku i zasadach estetycznych autora. W jednem np. miejscu, z powodu katedry w Montreal, będącej zredukowaną kopią św. Piotra

w Rzymie, słusznie uważa, iż jak się nad ołtarzami umieszcza najczęściej kopie sławnych obrazów, tak należałoby przedewszystkiem odtwarzać piękne kościoły, zamiast silić się na budowę szpetnych, oryginalnych świątyń.

Zgrozą przejmują cerkiewne kopuły, znaczące na wschodnich kresach zaborcze Rosyi marzenia i zamiary. Śmiesznie wydają się stylowe zakusy młodej społeczności amerykańskiej, cofającej się poza gotyk, aby mieszkaniom swoim nowożytnym nadać cechy feudalnych zameczków. W Southampton nasz podróżnik ląduje, ale dopiero po drugiej stronie kanału właściwie się czuje w Europie, Londyn bowiem swym ogromem, zbiorami i portem, należy do wszystkich naraz części świata.

Spis geograficzny, dwie mapy i ozdobne nagłówki uzupełniają tę piękną i zajmującą książkę, otwierającą jednocześnie przed czytelnikiem bezkresne artystyczne i geograficzne widnokręgi.

M.

Pisma Seweryny Duchińskiej (Pruszakowej). Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1893. Tom I. (W 8-ce, str. 437).

Tom ten zawiera „Pamiętnik“ i „Poezye“, drukowane dotychczas w *Bibliotece Warszawskiej, Kłosach, Tygodniku illustrowanym* i *Kronice rodzinnej*.

Każdy pamiętnik, pisany zwłaszcza w późniejszym wieku, jest jak zwierciadło, w którem odbija się dusza i charakter piszącego. Autor opisuje bowiem te tylko wypadki, które w ciągu jego życia silniejsze na nim zrobiły wrażenie. Wypadki, nie czyniące na nas wrażenia przez to, że nie są przedmiotem naszych uczuć i myśli, łatwo zacierają się w pamięci; pozostają te tylko, które znalazły oddźwięk w naszej duszy i wstrząsnęły nią do głębi. Pamięć takich zdarzeń nie gaśnie, lecz świeci płomieniem jasnym i wielkim, odżywiana częstem rozmyślaniem, podsycana uczuciem, tak że zdaje się nam później, jakby one same tylko były treścią naszego życia.

Pamiętnik Duchińskiej świadczy o tem najlepiej. Nie jest to opowiadanie ciągłe, pisane stylem kronikarskim, redukujące się, jak wiele pamiętników, do suchego wyliczania faktów, mających pewne znaczenie dla autora, a nudnych i obojętnych dla czytelnika; jest to raczej kilka obrazów naszkicowanych z prawdą, ubarwionych szczerem uczuciem, kilka chwil życia, których nie zapomina się nigdy, jeśli się czuje tak, jak autorka. Biograf niewieleby z niego skorzystał. W opowiadaniu są przerwy długie, obejmujące przeciąg lat kilkunastu. Widocznie prawdą jest, co powiada autorka na wstępie, że: „jeden podźwięk pochłonął

wszystkie inne i z całą potęgą odbrzmiewa dotąd w sercu i pamięci. Tem żywotnem echem z przeszłości — to miłość ojczyzny, głęboka wiara w jej przyszłe odrodzenie".

Pamiętnik rozpoczyna się sympatyczną sylwetką dziadka autorki Seweryna Trzcińskiego, niegdyś rotmistrza Konfederatów barskich. „Gorący to był patryota; żył Polską i dla Polski. W młodości z garstką zuchów zdeptał całą ziemię mazowiecką, przyśpiewując z braćmi, jako wierny *Sodalis Marianus*, pieśń do Królowej naszej:

Polska korona srodze utrapiona,
Niechże nie będzie przez Cię opuszczona".

Po powrocie z Sybiru, gdzie dwa lata przecierpiał, osiadł na wsi w Gostyńskiem i pojął za żonę pannę Kurowską. Jedna z córek była matką autorki. Ojca nie pamięta Duchińska; umarł, gdy dzieckiem jeszcze była. Smutne też były jej lata dziecinne. Matka żyła odosobniona, zajęta administracyą majątku, Seweryna chowała się więc sama, mając za nauczycielkę kobietę surową i niezbyt wyrozumiałą. Nic tedy dziwnego, że dla zapełnienia czasu wolnego od nauki, chwytała młoda sierota pierwszą lepszą książkę z biblioteki stryja i zatapiała się w czytaniu. Ciekawa to była lektura. Obok biblii Wujka, kodeks praw, obok kazań Skargi korespondencye Woltera. Autorka przypomina sobie, z jaką zgrozą wydarła jej matka z ręki Woltera i zamknęła w szafie, ku wielkiemu zmartwieniu chciwego wiedzy dziecka. W dziewiątym roku życia wyjechała Seweryna do Warszawy pod opieką matki i umieszczoną została na pensyi p. Wilczyńskiej. Pensya była wzorowo prowadzona i profesorów miała znakomitych. Kurs moralności wykładała Klementyna Hoffmanowa, fizykę i nauki przyrodnicze prof. Waga, literaturę polską i gramatykę prof. Koncewicz.

Nadszedł rok 1830, z nim powstanie listopadowe. „W tych czasach — pisze o sobie autorka — przebyłam nową szkołę, kipiącą życiem, ktora na dziecinnym umyśle wycisnęła niezatarte piętno... Tysiące wrażeń chwytanych na gorąco, zastąpiło szkolną naukę... Po wielu latach doświadczenia, dziś powiedzieć mogę śmiało: rok ten nie był dla mnie stracony". I widocznie potężne musiało być to wrażenie, jeśli w umyśle jej potrafiło zatrzeć pamięć następnych wydarzeń. Szereg późniejszych lat szesnastu pomija Duchińska milczeniem. Dalszy wątek opowiadania podejmuje dopiero od roku 1847, tj. od chwili, kiedy pochwyciła pióro, by popróbować sił swoich na polu literatury. Skłonił ją do tego Woycicki. „Pani pisać będziesz — wyrzekł stanowczo. — Znasz nieszczęśliwy stan kraju naszego; potrzeba nam gromadzić wszyst-

kie siły; ktokolwiek zdoła udźwignąć cegiełkę, niech ją podejmie śmiało i przynosi na ogólny pożytek — pani pracować musisz". Autorka poszła za tem wezwaniem. Woycicki był odtąd jej mistrzem; pod jego kierunkiem zapoznawała się z utworami literatury ojczystej, korzystając z wzorów i czerpiąc z nich natchnienie, a nadto miała sposobność w domu jego poznać wszystkich prawie literatów warszawskich. Bywali tam: Maciejowski, Bartoszewicz, Korzeniowski, Kraszewski, Lenartowicz, Dmochowski i wielu innych, których nazwiska błyszczą w literaturze naszej.

W opowiadaniu znów długa, piętnastoletnia przerwa. Autorka zatrzymuje się dopiero na roku sześćdziesiątym trzecim. W chwili, kiedy „potężny prąd elektryczny przebiegał całą Polskę", nie mogła przepomnieć, że cała jej rodzina cierpiała za sprawę narodową. Toż kiedy powstała organizacya kobiet połączonych w piątki dla niesienia pomocy rodzinom powstańców, Duchińska weszła w skład pierwszej, jaka się zawiązała, i do ostatniej chwili pracowała gorliwie. Upadek powstania zmusił ją do ucieczki za granicę. Czas jakiś mieszkała w Wiesbadenie, a w grudniu przybyła do Paryża, gdzie dotąd jeszcze bawi. Dwukrotny pogrom ukochanej ojczyzny, który sama widziała, nie zdołał wyziębić jej serca, ani wydrzeć nadziei, że „prędzej czy później wybije godzina odrodzenia". Tą myślą przejęta pracuje ciągle na obczyźnie, dzieląc trudy życia i smutek wygnania z Franciszkiem Duchińskim, znanym już od dawna z licznych prac etnograficznych. Pamiętnik kończy autorka wierszem, który napisała w dzień 25 rocznicy swych powtórnych zaślubin, gdyż wiersz ten, jak sama powiada, jest niejako streszczeniem życia jej na wygnaniu.

Opowiadanie szczere, barwne, a więc i zajmujące. Od autora, który pisze swój pamiętnik, wymagamy przedewszystkiem szczerości, gdyż inaczej pamiętnik utraci swą cechę znamienną i stanie się powieścią; można go ożywić uczuciem, tchnąć weń całą duszę, podnieść jego estetyczną wartość przez dobranie wykwintnego stylu, przez nadanie mu pięknej formy, ale nie można go barwić fantazyą i zmyśleniem, nie można czynić go zajmującym kosztem prawdy. Główną zaletą pamiętnika Duchińskiej jest właśnie ta prostota w opowiadaniu i ogrom uczucia.

To samo uczucie przebija się także w jej utworach poetycznych. Najdłuższy z nich, „Konfederat", jest powtórzeniem tego, co mówiła autorka w pamiętniku o dziadku swoim Sewerynie Trzcińskim. Znajdujemy tu tylko szczegółowszy opis ostatnich chwil życia dzielnego konfe-

derata. Skończył, jak żył — z imieniem Polski na ustach, z modlitwą o jej wskrzeszenie. Wiersz ośmiogłoskowy, potoczysty i gładki. Na szczególniejszą uwagę zasługuje opis ludów ruszających pod Napoleonem na wyprawę w r. 1812: „Pająk“ i „Serce Brucego“, rzecz wzięta ze znanych podań szkockich o królu Robercie Bruce. Sposób przedstawienia piękny, jednak sam wiersz staje się monotonnym i nużącym przez ustawiczne powtarzanie męskich końcówek. W „Ostatnich chwilach Cyda“ kreśli Duchińska zgon bohatera według romancero hiszpańskiego; w „Zaklętem słowie“ zachęca rodaków do mozolnej pracy nad odbudowaniem ojczyzny, którą przedstawia pod alegoryą zburzonego gmachu. „Popas w Piotrkowie“, jest to obrazek dramatyczny z życia Kazimierza Brodzińskiego. Z reszty poezyj drobniejszych na szczególną wzmiankę zasługują: „Marsz pogrzebowy w Ischii“, „Zima w Paryżu“, „Gołąbki bez gniazda“, „Na wieży Eiffel“, „Osina“. Wszystkie zresztą wierszyki pisane gładko, stylem potoczystym, tchną szczerem uczuciem i każdy z nich zawiera myśl głębszą.

Duchińska nie ma wprawdzie tej formy wykwintnej co Konopnicka, ale za to posiada niezwykły dar obrazowania, a głębią uczucia o wiele jest sympatyczniejszą.

Aleksander P.

Sylwetki historyczne. *Dr. Antoni J.* Serya VIII. Kraków (Warszawa). Nakład G. Gebethnera i Sp. 1892. (Str. 404, w 8-ce).

Znany autor dorzucił do obrazu Polski kilka nowych rysów, kreślonych, jak zawsze, piórem sumiennego badacza. Poważniejsi czytelnicy tak szczerze podziękują autorowi za seryę ósmą jego szkiców i sylwetek, jak ciekawie czytali poprzednie; a może jeszcze wdzięczniej wspomną o tych postaciach, wydobytych przez autora z pomroki dziejów Podola i Bracławszczyzny, niż o dawniejszych opowieściach kresowych, bo ocenią owoc pracy coraz mozolniejszej, szczegóły coraz zmudniej wydobywane z archiwów nie bardzo ponętnych dla pisarza mniej wytrwałego od d-ra J. Cenne wiadomości przepełniają opis naddniestrzańskich i nadbużańskich stosunków, dość barwnie odmalowanych w ostatniej seryi, ale niezawodnie najsilniej zaciekawią czytelników szczegóły odkryte przez autora o unieśmiertelnionym teraz Panu Wołodyjowskim.

Nie ujmie sławie autora uwaga, że ostatni plon jego pracy mniej od dawniejszych posiada zalet literackich. Jeżeliby ten brak miał stanowić wadę w oczach czytelników bardzo wymagalnych, w takim razie

ta wina spada już nie na autora, tylko na materyał, mniej przydatny tą razą do ram powieściowych, ale za to tem cenniejszy dla znawcy, tem przydatniejszy dla poważnego badacza dziejów ojczystych.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Moralphilosophie. Eine wissenschaftliche Darlegung der sittlichen, einschliesslich der rechtlichen Ordnung. Von *Victor Cathrein S. J.* Zweite, vermehrte und verbesserte Auflage 2 Bände (in 8°, XX, 538; XVI, 662). Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. 1891.

Zgodnie z mnóstwem innych pism, *Przegląd Powszechny* [1] pochwalił już powyższe dzieło za umiejętny wykład nauki poważnej, za dobór treści znacznie obfitszej niż zwykle podają podręczniki etyki, za światło rzucone na przedmiot sporów, poruszonych w najświeższej dobie przez krzewicieli etyki wyzwolonej albo burzycieli ustroju społecznego.

Nie można wątpić, że i drugiemu wydaniu znów ktoś zarzuci brak miłości chrześcijańskiej z powodu, iż autor tak ciężko dokucza pozytywistom i chciałby w nich wtłoczyć swoje pojęcia. Po pierwszem wydaniu poważnie zarzucił to ks. Cathreinowi prof. Giżycki w *International Journal of Ethics* (1891, str. 251), i twierdzi, że „miłość nie pożąda swoich pożytków, ale transcendentalna łapczywość niektórych teologów nie przestaje pożądać swojego dobra". Prof. Jodl w Pradze w podobnym duchu narzeka, że autor, wprawny w dyalektyce, narzuca drugim swoje poglądy. Nową ci panowie znaleźli broń do walki przeciw poglądom chrześcijańskim: zarzucają brak miłości, jeżeli kto niezbitym dowodem ich zawstydzi!

Co do treści, nie przedstawia drugie wydanie nic istotnie nowego; paru rozdziałami, albo całkiem nowemi, albo zupełnie przerobionemi, autor rozszerzył etykę ogólną; szczegółowiej, zwięźlej wyraził niektóre ustępy.

Der Wucher. Eine socialpolitische Studie. Von *Dr. Leopold Caro.* Leipzig. Verlag von Duncker & Humblot. 1893. (in 8°, XV, 311).

Autor we wstępie do swojej pracy kreśli smutny obraz upadku gospodarstw wiejskich, sprawionego przez lichwę w różnych krajach

[1] Por. tom XXXI. (zeszyt sierpniowy 1891 r.), str. 262.

niemieckich; dodaje, że lichwa sprowadziła podobne klęski w ziemiach polskich, na Węgrzech, we Włoszech, w Rumunii, w Irlandyi i nawet w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Obraz to nie wymalowany na tle domysłów albo poglądów osobistych, ale złożony ze szczegółów po części danych przez poważnych statystów, po części zebranych i wydanych z poręki rządowej. Oparty na tym obrazie skutków lichwy, autor żąda, żeby społeczeństwo, z mieczem sprawiedliwszych ustaw w ręku, stanęło do obrony rolników, wystawionych na łup zdzierstwa i wyzysku.

Ale jakaż ustawa zdoła zagrodzić lichwiarzowi drogę do zagrody rolnika, który zagrożony nędzą uważa za dobrodziejstwo pożyczkę na kilkadziesiąt od sta, a nawet jeszcze bardziej lichwiarską? Czy państwo ma wyznaczyć stopę odsetek godziwych, żeby inne karać jako lichwę? Nawet dość nizka stopa przewyższy średnie dochody rolnika, który ledwo w latach urodzajnych zdoła zaspokoić wierzyciela, a przy przeciętnych zbiorach zwolna musi zabrnąć w długi i nakoniec zwinąć gospodarstwo: więc dla niego ani niska stopa nie wystawi tamy przed powodzią długów lichwiarskich. Przeciwnie, w niektórych gałęziach przemysłu albo kupiectwa śmiało zaciągnięta pożyczka na wysokie odsetki nie naraża dłużnika na żadne niebezpieczeństwo, i owszem, stanowi dobrodziejstwo istotne ze strony wierzyciela, którego dla tego nie można uważać za niesumiennego lichwiarza. Więc jakież prawodawstwo ustali pojęcie odsetek lichwiarskich? Jakokreśli samo pojęcie lichwy?

Temu pytaniu poświęcił autor swą pracę i odpowiedział na nie bardzo szczęśliwie. Jeżeli wolno jednak zrobić pewną uwagą ze względu na metodę, zdaje nam się, że autor byłby wygodniej doszedł do tej odpowiedzi, gdyby w układzie rozdziałów swojej książki zachował ten porządek, w jakim się odbył pochód jego myśli na wstępie. Ogólnie rzucony obraz lichwy i jej zjadliwego wpływu na rolnika naprowadził autora na wniosek, że czas już ująć w ściślejsze karby swobodę lichwiarskiego wyzysku. Szczegółowy ten i mozolnie obrobiony obraz lichwy, rozpanoszonej w naszym kraju, mógł był od razu posłużyć za źródło odpowiedzi na pytanie, czem jest lichwa. Tymczasem ten obraz zajmuje ostatnie miejsce w książce, o której piszemy, i na rozwój pojęcia lichwy wcale nie wpływa. Z tych danych, tak mozolnie i umiejętnie zebranych, jakże łatwo można było rozpatrzyć objawy tego wyzysku przy pożyczkach, odkryć jego znamiona wspólne, zebrać ich treść i związać ją w jedno pojęcie ogólne: lichwy. Takim sposobem wywiódłby autor jej pojęcie przedmiotowe, niezależne od osobistych poglądów ekonomistów,

którzy nie mogą się zgodzić w jej określeniu. Z tego stanowiska przedmiotowego, mógłby był autor pewną drogą przejść do treści rozdziału trzeciego, w którym rozbiera przeróżne i na pozór sprzeczne ze sobą określenia lichwy, dzisiaj rozpowszechnione; łatwo już wytropiłby w nich jądro prawdy, a następnie wytknąłby obecnemu prawodawstwu różnych państw, w czem ich dzisiejsze ustawy pobłażają lichwiarzom.

Taki układ pracy zapobiegłby zarzutowi, że pojęcie lichwy, podane w czwartym rozdziale, nie spoczywa na niezachwianej podstawie. Autor bystrem okiem przeniknął wspólną myśl, zawartą w rozmaitych pojęciach lichwy, znakomicie odróżnił odsetki godziwe od lichwiarskich i doszedł do wniosku (str. 146), że pod nazwą lichwy należy właściwie rozumieć takie warunki pożyczki, które przewyższają korzyść, jaką pożyczający osiągnąć może z pożyczonych sobie pieniędzy.

Trudno nie przyklasnąć badaczowi, który umiał w tegoczesnym zamęcie pojęć tak dobrze określić zbrodnię, od wieków skazaną na pogardę nawet u pogańskich prawodawców i mędrców, w chrześcijańskiem prawodawstwie obłożoną najsurowszemi karami, której jednak od półtora wieku bronią rozgłośni ekonomiści.

Autor sam z tego nie zdał sobie może sprawy, jak dalece jego książka odpowiada nauce etyki katolickiej o lichwie, mianowicie, że ją stanowią wszelkie odsetki, pobierane od pożyczki w ścisłem, naukowem znaczeniu tego słowa; robi tylko słuszną uwagę, że nie możemy dziś ślepo przyjmować pojęcia lichwy od pisarzy dawnych, którzy nie mogli przypuszczać, jakie stosunki panować będą przy obrocie pieniędzy, wskutek rozwoju przemysłu i postępu wynalazków. Czyli że w naszych czasach trzeba brać pod uwagę zmianę środków wyrobu i łatwe drogi zbytu, które przy postępie nauk przyrodniczych ułatwiają wyzysk bogactw. Co dawniej uchodziło za bogactwa martwe, przydatne do jednorazowego użytku, który je trawi, to dzisiaj może należeć do bogactw wydajnych, których pożytek wielokrotnie rośnie w ręku przemysłowca. Dlatego dzisiaj łatwiej, niż temu parę wieków, włożyć pieniądze do spółki zyskownej, i każdy wierzyciel może godziwie żądać udziału w korzyściach, odniesionych z obrotu pożyczonemi pieniędzmi. Te pieniądze, złożone u przedsiębiorcy, kupca i t. p., nie są bynajmniej wyświadczeniem jedynie przyjacielskiej przysługi, ale nakładają obowiązek, żeby wierzycielowi, jako wspólnikowi, wypłacić część dochodów, otrzymanych ze wspólnego przedsiębiorstwa. Pożyczka w ścisłem znaczeniu, przenosi na dłużnika czasową własność pieniędzy, tak że jeśli giną, przynoszą stratę jemu, a nie wierzycielowi, i tak samo pod względem

korzyści. Pożyczka zaś, w szerokiem znaczeniu, którą właściwiej można nazwać wkładem do spółki, zostaje własnością wierzyciela, z jego stratą ginie w przedsiębiorstwie niepomyślnem, w pomyślnem na jego dochód przynosi pożytek. Dlatego słusznie autor żąda, żeby stopa odsetek zależała od miary dochodów z pieniędzy, korzystnie obracanych przez dłużnika.

Autor tak śmiało tego żąda, że rozbiera wypadek, gdy dłużnik zebrał mniejsze dochody od potrzebnych na odsetki według stopy państwowej: w takim razie, według jego zdania, ustawa miałaby orzec, że sędzia może w takim wypadku zniżyć stopę odsetek, a przeciwnie podnieść ją, gdyby wierzyciel dowiódł, że dłużnik ciągnie zbyt wielkie zyski z obrotu pieniędzmi.

Niezawodnie lichwiarze nie ssaliby ludu, gdyby ciała prawodawcze karały jako lichwę każdy odsetek, nałożony nad siły dłużnika i nad miarę jego dochodów, pobieranych z obrotu pożyczonemi pieniędzmi. Ale cóż autor powie o pożyczce na użytek wcale nie wydajny? Niejeden rzemieślnik przebywa tygodnie bez zarobku, a musi żywić rodzinę i czeladź, więc zaciąga dług na życie. Pieniądze tak pożyczone nie przynoszą żadnych dochodów: czyż ustawa ukarze jako lichwę odsetki pobierane od takiej pożyczki? Nie można jej bowiem uważać za spółkę wierzyciela z rzemieślnikiem na przedsiębiorstwo wydajne. Czy autor będzie uważał każdą pożyczkę procentową w takim przypadku za lichwę? czy też usprawiedliwi pewien procent stratą albo ubytkiem dochodu wierzyciela? Jeżeli to ostatnie, to wrócilibyśmy do utartego pojęcia pożyczki z procentem. Pragnęlibyśmy w tej mierze trochę więcej wyjaśnienia.

Drobną uwagę jeszcze trzeba zrobić z powodu błędu, w który autora wwiedli pisarze, przytoczeni na str. 139, za których powagą autor powtarza, że św. Augustyn nie uznawał wolnej woli w człowieku. Zbyt to oczywisty błąd, żeby dłużej o nim mówić.

Bądź co bądź, jest to dzieło niepospolite, które uważamy za znaczący wypadek w dzisiejszej literaturze socyalno-ekonomicznej. Rzuca ono na sprawę lichwy światło nieznane w dzisiejszem prawodawstwie, jasne i łagodne. Głęboko pomyślana treść dowodów prowadzi do wniosków, zgodnych z wrodzonem poczuciem sprawiedliwości. W poważnym toku myśli autor zachowuje nastrój pogodny; jego zasady mile uderzają czytelnika, np. uwaga, że sprawę socyalną rozstrzygnąć tylko może obrońca uciśnionych i słabych, że wolność musi słuchać rozkazów słuszności, że na tyle trzeba z każdym równo postępować, ile każdemu

oddawać, co jego; nakoniec wieje z tej pracy nadzieja, że ciała prawodawcze wywalczą sprawiedliwą obronę warstw wyzyskiwanych i nie zawiodą ludów, które po nich oczekują należnej na zdzierców kary.

Звукове, лирически стихотворения отъ Ивана Вазовъ. София 1893. (Dźwięki, utwory liryczne Jana Wazowa. Sofia 1893).

Minęły już czasy wielkich poetów, genialnych wieszczów, których słowa w całym ucywilizowanym świecie znajdowały odgłos i żywszem tętnem wszystkie poruszały serca. Czy czasy te znikły bezpowrotnie, o tem wyrokować nie będziemy. Natomiast rzecby można, że duchy minionych geniuszów rozdrobniły się obecnie na nieprzeliczone atomy, z których każdy uważa się za skończoną w sobie całość, roszcząc pretensye do niepośledniego stanowiska w królestwie poezyi. Skutkiem tego królestwo to, niegdyś dla wybranych tylko dostępne, zamieniło się obecnie jakby w jakąś liberalną rzeczpospolitę, w której każdy powołany i niepowołany ma prawo do głosu. Codziennie też niemal na półkach księgarskich, a zwłaszcza na szpaltach literackich czasopism, napotkać można coraz to nowych poetów, o których wczoraj nikt jeszcze nie wiedział i którzy jutro może zapomniani zostaną. Dlatego też nie dziw, że z pewnem uczuciem niedowierzania i nieufności bierze się do ręki każdy nowy zbiór poetyckich utworów, stawiając sobie mimowolne pytanie, czy się tam znajdzie istotne kwiaty poezyi, czy też szablonową, codzienną prozę w rymowanej tylko szacie.

Musi więc nam p. Wazow wybaczyć, że i jego *Zwukowe* nasunęły na pierwszy rzut oka taką samą mniej więcej wątpliwość. Należy jednak przyznać, że powyższa obawa zupełnie w danym wypadku okazała się płonną. Pan Wazow to nie nowo zaciężny szeregowiec w orszaku muz, ale poeta-myśliciel, umiejący piękne idee w również piękną przyoblekać formę. Gamę dźwięków jego poetyckiej lutni rozpoczyna cykl niewielkich, ale charakterystycznych utworów, oznaczonych ogólną nazwą Поетъ (Poeta). W cyklu tym mieszczą się jakby sylwetki najwybitniejszych pieśniarzy, utwór zaś każdemu z nich poświęcony, został skreślony w takim duchu, w jakim dany wieszcz byłby go napisał. Naczelny wiersz obala twierdzenie, jakoby poezya w naszej dobie nie miała już racyi bytu, gdyż wszystko na świecie jest już tak stare i znane, że braknie niemal tematu do poetyckich kreacyj. O nie! — woła z zapałem poeta:

..... ne e iszczerpano do kraj
Ni tajni-tie na taz priroda swiata,

Ni toz żiwot-użasen p'k'ł-raj,
Ni głąbini-tie wsiczki na dusza-ta:

Cieł swiet, ot taz wselenna pò-szirok,
Si krïe joszcze tajnstwen w'w gąrdi ni:
Nij rowim go — toj stawa pò-dąłbok,
Nij swietnem mu — pò-t'men ni se czini [1].

Słusznie też dodaje poeta, że dopóki na świecie będzie istniało dobro i piękno, dopóki wzrok ludzki ku górze będzie się podnosił, dopóty przetrwa poezya, chociaż poetów może już nie stanie.

Następnie, uchwyciwszy nader zręcznie charakterystyczne cechy najwybitniejszych wszechświatowych pieśniarzy, p. Wazow składa własne swoje *Credo* w pięknej modlitwie do Tego, „który mu dał duszę dla ukochania ideałów". Poeta błaga tam Boga o rzecz jednę jedyną, ale mieszczącą w sobie wszystko, to jest o silną wiarę, aby widok tryumfów, odnoszonych na ziemi przez fałsz i zło, nie dał mu zwątpić o istnieniu wiecznego Dobra i Prawdy.

Wogóle religijne uczucie cechuje niemal wszystkie utwory tego sympatycznego bułgarskiego pieśniarza. Zarówno w „Pieśniach majowych" (Пѣсни прѣзъ май) i „Wiosennych sonetach" (Прѣдпролѣтни Соннети), jak w licznych utworach odzwierciedlających najsubtelniejsze uczucia duszy ludzkiej, myśl poety ustawicznie zwraca się do Boga. Nigdzie jednak jego religijność nie znalazła tak pięknego wyrazu, jak w wierszu „Poemat" (Поема-та), wplecionym w szereg wrażeń z gór Rylskich (Въ Рила):

Wesden po urwi, w'rchowe prizwiezdni,
Po karpi, iz gori w'rwisz, błużdaesz,
Pri ezera stoisz, kliczisz nad bezdni,
Iz Riła sz'tasz, miszlisz i mecztaesz!

Rabòti twoja-t um w'z czudna tema
Każi szczo gotwisz s tołkowa trewoga?

---

[1] ..... nie zdołano wyczerpać skarbnicy
Niezgłębionych, wielkich tajników przyrody;
Nie zbadano dotąd życia tajemnicy,
Lub ponętnej głębi ludzkiej duszy młodej.

Jakiś świat nieznany się ukrywać zdaje
Przed umysłem naszym tajemnice wieszcze;
Zaczniemy go zgłębiać — on się głębszy staje,
Rzucimy nań światło — on ciemniejszy jeszcze.

— Ne, grandiozna az czetą poema.
— Ot Gete? Dante? Omira?
— Ot Boga [1].

Ogólny nastrój utworów p. Wazowa tchnie głębokim bólem nad nędzą, niedolą i moralnym upadkiem ludzkości. Nie jest to wszakże nieubłagany, rozpaczliwy pesymizm, ale raczej gruntowna znajomość życia i jego cierpień, okupiona może niejednem bolesnem doświadczeniem. Wprawdzie w prześlicznym przekładzie wiersza Vrchlickiego pod tytułem: „Zwińcie skrzydła!“ (Долу крила-ша!), poeta mianuje sztukę jedyną dźwignią ludzi i społeczeństw, gdy jednak jest samym sobą, wówczas jako arkę, zdolną uratować z powodzi różnorodnych zgubnych prądów, wskazuje wiarę i modlitwę, określając potęgę tej ostatniej następującemi słowy:

Newołno otbich se w'w Bożija chram —
Kat' pątnik otpadnał pod sienczica chładna;
Sweszczenna molitwa w'zlizasze tam
I lejsze mir sład'k w dusza-ta mi stradna.

Nawedoch smireno, pokorno gława;
Smuszczenïe tajno obze me newołno,
I niekakwi czudni i nowi słowa
Iz moe-to s'rdce izwirachą bołno.

Az molach se żeżko k'm Boga welik
Za pomoszcz', utiecha w żiwota mi teżki, —
Za mene, za bratia, za wsieki kletnik,
Za wsiczkija strażduszczi rod czełowieszki.

I molach na kr'sta raspetij Christa
Da wd'chne men swoj-ta lubow' i t'rpeń'e...
I d'łgo joszcz' sz'pniachą moj-tie usta,
I leko i swietło stawasze na mene... [2].

---

[1] Przez dzień cały od świtu po gór Rylskich stoku,
Wciąż się błąkasz samotny, rozmyślasz i marzysz,
Albo wodze puściwszy niesytemu oku
W toń jeziora spoglądasz, z przepaściami gwarzysz.

Jakiż dziwny twój umysł tak zajmuje temat,
Czemu błyska w twym wzroku to zachwyt, to trwoga?
— Nie, ja tylko wspaniały dziś czytam poemat.
— Skreślony przez Dantego? Homera?...
— Przez Boga.

[2] Mimowolnie świątyni przekroczyłem raz progi,
Jak podróżny ochłody szukający po znoju,
Tam zaś odgłos modlitwy tajemniczy a błogi,
Do zbolałej mej duszy przelał balsam spokoju.

Pod względem artystycznym największą może wartość posiadają reminiscencye z pobytu wśród gór Rylskich, gdzie śliczne opisy przyrody wiążą się niemal ciągle z mnóstwem trafnych aforyzmów, niekiedy gorzką zaprawionych ironią. Nader oryginalnym między innemi jest wiersz pod tytułem: „Chór u stóp góry Mussałły“ *(Chor'-t na Mussałła)*, w którym szeroki łańcuch górski, rozpostarty dokoła najwyższego szczytu noszącego tę nazwę, składa mu swe hołdy. Jakże głęboką satyrę zawiera ostatnia zwrotka, gdzie szczyty gór Rylskich wołają do cypla panującego nad niemi:

I gordi sme s's teb', pried koj sme siczki mali,
I chora da sme nij — nij bichme te rugali! [1]

W innym ustępie wzniosły, majestatyczny wierzchołek Mussałła przenosi poetę w czasy pierwotnej świetności jego ojczyzny, gdy ta ostatnia była najpotężniejszym krajem we wschodniej Europie i daleko obszerniejsze niż obecnie zajmowała obszary. Ustęp ten przytaczamy w całości:

Wisoko w'zwiszawaj se,
O gordij welikan,
Nadmienno ustremiawaj se
W nebesnij okean!
Szczo gledasz tam otgori-tie,
Iz chaosi-tie tam?
Szczo dižisz w krągozori-tie.
Wnimatelen i niam?
Welik si, nepostigasz se,
No kazał bi czowiek —

Więc bezwiednie ku ziemi pochyliła się głowa,
I ucichły uczucia w wiecznej z sobą rozterce,
A nieznane dotychczas, czarodziejskie mi słowa
W Najwyższego przybytku dyktowało wciąż serce...

Długom Boga wielkiego prosił rzewnie, gorąco
O pociechę lub siłę w życiu pełnem katuszy,
Potem modlić się jąłem z głębi serca i duszy
Za nieszczęsnych swych braci i za ludzkość cierpiącą.

Długom błagał Chrystusa, który cierpiał bez skargi,
By mię natchnął miłością, rezygnacyą swą własną,
I wciąż szeptem modlitwy poruszały się wargi,
Aż się w duszy zrobiło cicho, lekko i jasno...

[1] Jesteśmy dumni z ciebie, boś wielki, a my mali,
Gdybyśmy ludźmi byli — tobyśmy cię szarpali!

Na pr'sti joszcz podwigasz se,
Da widisz pò-dalek.
— Zaszczo mi iskasz tajni-tie?
Kazà giganta starija, —
Izgleždam az bezkrajni-tie
Granici na B'lgarija! [1]

Niemałą zasługę p. Wazowa stanowi to, iż w utworach swych stara się otrząsnąć o ile możności od rosyjskiego wpływu, który w tworzeniu się nowożytnego literackiego bułgarskiego języka tak wielką odgrywa rolę i zwraca się raczej do form lub wyrażeń staro-bułgarskich, co mu za zaletę poczytać należy. Tak naprzykład zamiast zrusyfikowanego wyrazu *wiera*, znajdujemy tam zawsze *wiara*, zamiast *bieła — biała* i t. p.

Sądzimy, że przytoczone przez nas powyżej ustępy dają dostatecznie poznać kierunek treści i wdzięk formy, które sprawiają, że ze *Zwukowe* jak najkorzystniejsze pod etycznym i estetycznym względem odnosi się wrażenie. Nie noszą one wprawdzie na sobie piętna geniuszu, ale świadczą o niezaprzeczonym talencie, który pozwoli z pewnością swemu posiadaczowi stać się nader pożytecznym pracownikiem, jakich każdemu społeczeństwu tak bardzo teraz potrzeba.

Tytus Sopodźko.

---

[1] Wysoko wzniósłszy głowę,
Olbrzymie, spójrz wokoło,
W przestworze lazurowe
Swe dumne podnieś czoło.
Co widzisz, druhu stary,
W bezbrzeżnym tym odmęcie,
Nurzając grzbiet swój szary,
W błękitnym firmamencie?
Bo chociaż w majestacie
Nikt z tobą się nie zmierzy
Wciąż rosnąć zdasz się, bracie,
By widzieć dalej, szerzej...
— Dlaczego — olbrzym rzecze —
Chcesz wiedzieć tajemnicę?
Ja śledzę, marny człecze,
Bułgaryi granicę!

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wybory niemieckie. — Centrum bawarskie. — Dalszy rozwój programu Leona XIII. we Francyi. — Zwycięstwa włoskich katolików. — Dwa pisma papieskie. — Kwestya powrotu zakonów do kolonij portugalskich.

WYBORY NIEMIECKIE. Niemieckie wybory, które w ostatnich kilku tygodniach pochłaniały powszechną uwagę, wypadły stosunkowo lepiej, niż się tego spodziewać było można, ale jednocześnie odsłoniły dający wiele do myślenia obraz niezawsze wesołych wewnętrznych stosunków, niebezpiecznych a silnych prądów, nurtujących tak na zewnątrz potężne cesarstwo. Dwa wielkie obozy: socyalistyczny i katolicki, między któremi, zdaniem tak socyalistów, jak największych katolickich myślicieli, ma się rozegrać, może już niezadługo, stanowcza walka — stanęły naprzeciw siebie oko w oko i zmierzyły swą siłę, usuwając na bok stronnictwa niezdecydowane, walczące w imię przebrzmiałych, pustych, co tak jasno niemoc swą wykazały, liberalnych haseł. Największą klęskę ponieśli postępowcy; miasto zbitej falangi, złożonej z 70 posłów, stanęli w nowym parlamencie jako dwie między sobą rozdzielone, nieliczne grupy; pierwsza pod wodzą Richtera liczy 24, druga pod Rickertem tylko 12 członków. Nacyonalno-liberalni zyskali wprawdzie 8 mandatów, ale względne to zwycięstwo nie wynagrodziło im ani w części strasz-

nej klęski z roku 1890, kiedy z najpotężniejszego stronnictwa w parlamencie stopnieli do cyfry 45 posłów. Centrum wyszło zwycięsko w 96 okręgach wyborczych; straciło zatem tylko 8 mandatów, daleko mniej, niż trzeba się tego było obawiać wobec wewnętrznych starć, ostentacyjnego cofnięcia się lub zajęcia wręcz niechętnego stanowiska przez prawe swe skrzydło, wobec demokratycznego ruchu w Bawaryi i wogóle w całych południowych Niemczech. Mając na uwadze wszystkie te trudności, dziękować tylko Bogu należy, że Centrum zdołało, choć nie bez trudności, utrzymać się na zajmowanej dotąd przez siebie pozycyi, że jest w możności stawić czoło rosnącym w przerażający sposób skrajnym, radykalnym stronnictwom.

One to święcą w ostatnich wyborach prawdziwe tryumfy. Socyaliści zdobyli 44 mandaty, a więc o ośm więcej niż w poprzedniej sesyi parlamentarnej; antysemici 16, a zatem o dziesięć więcej, pomimo bezprzykładnej klęski, jaką Ahlwardt poniósł w parlamencie, a zdawało się, że ponieść powinien w opinii publicznej. Rezultaty te w innem, o wiele jeszcze groźniejszem przedstawiają się świetle, jeśli policzymy nie nazwiska posłów, którzy wyszli z urny, ale gałki, które na nich padły. Przy pierwszem głosowaniu, dającem właściwe wyobrażenie o usposobieniu ludności, bo nie wchodziły tu jeszcze w grę późniejsze kompromisy i układy, stosunek wotów, oddany przez odrębne stronnictwa, przedstawiał się w następujący sposób:

Socyaliści	1,714.547	głosów
Centrum wespół z Gwelfami	1,365.820	„
Postępowcy	1,064.969	„
Konserwatyści	984.779	„
Nacyonalno-liberalni	957.280	„
Demokraci	328.206	„
Antysemici	283.227	„
Polacy	218.851	„
Grupa Huenego	113.156	„
Alzatczycy	109.101	„
Głosy rozstrzelone	256,720	„

Antysemici otrzymali około 200.000 głosów więcej, niż przed trzema latami. Socyaliści wzrośli od ostatnich wyborów o 373 tysięcy głosów, a jeśli pomimo największej liczby odda-

nych wotów mają tylko 44 posłów, podczas gdy Centrum ma 96, zawdzięczać to jedynie należy szczęśliwej zapewne w tym wypadku, ale ostatecznie przypadkowej, czy sztucznie obmyślanej geometryi wyborczej, która zawsze służyć może tylko do pewnego czasu, i to za bardzo niedostateczną paljatywę. Cóż dziwnego, że wobec takich wyników, wobec tryumfów socyalizmu we wszystkich większych centrach przemysłowych, na pierwszem miejscu w Berlinie — oczy wszystkich zwracają się ku katolikom, którzy jedni przedstawiają zwartą potęgę, mogącą zmierzyć się ze wspólnym nieprzyjacielem? Wyznaje to sam urzędowy organ socyalistyczny *Vorwärts*, kiedy przechodząc z kolei jedno po drugiem stronnictwo i wyrażając się o nich z pogardą, jako o zwyciężonych, umierających — przed jednem Centrum schyla głowę i przyznaje, że jest to partya żyjąca, partya istotnie polityczna, z którą rachować się trzeba. Niemniej wymowny, a z wręcz odmiennego punktu widzenia dowód w tym kierunku dał pewien protestancki pastor w liście ogłoszonym w dziennikach na parę dni przed wyborami. „Niesnaski wybuchłe w łonie Centrum — pisze ów pastor — muszą każdego mocno zasmucić. Zawsze byłyby one bolesnemi, tem bardziej teraz, kiedy rząd bez żadnej racyi i potrzeby cofnął swój wniosek szkolny, kiedy protestancka teologia zaczyna coraz jawniej zrywać z pojęciem i z wiarą w Bóstwo Chrystusowe. Jedynie Centrum niczem nierozdzielone, wspólnie do tych samych celów dążyć, zachować może i obronić chrześcijańskie Niemcy. Skoro Centrum zabraknie, powiedzieć chyba będziemy musieli: ‚Chrześcijańskie Niemcy, bywajcie nam zdrowe!‘ Konserwatywni gotowi przysłuchiwać się z całym spokojem mowcom zaprzeczającym na ambonach i katedrach Bóstwo Chrystusowe; dworski kaznodzieja Stoecker, ani myśli o opuszczeniu krajowego swego Kościoła, chociaż raz po raz zaręcza, że panujące w nim stosunki coraz są straszniejsze, że zbliżać się zaczynają do stosunków panujących między dzikimi. Jeżeli niezgoda przyprowadzi Centrum do upadku, natenczas niewiara odniosła zwycięstwo i nad protestantyzmem. Przeciwnie, silnie stojące Centrum jest i dla protestantyzmu podporą i nadzieją lepszej przyszłości“.

Im prawdziwsze to słowa, im ważniejsza rola w obronie już nietylko katolicyzmu, ale i chrześcijaństwa w Niemczech, przypada silnemu i zjednoczonemu Centrum, tem większy żal zbiera, że znalazła się w jego szeregach pewna, dzięki Bogu, drobna liczba odstępców. Kto nie godził się na nienowe może, tylko silniej dziś na jaw występujące prądy, które przeważają obecnie między członkami Centrum, ten mógł bez wątpienia cofnąć się z życia publicznego; mógł powiedzieć otwarcie dawnym swym przyjaciołom: Dalej z wami w tym kierunku nie pójdę. Tak postąpili sobie hr. Ballestrem, dr. Porsch, i nikt im z tego zarzutu nie robi. Ale jak wytłumaczyć kampanię, przedsięwziętą przez Schorlemer-Alsta, o której wspominaliśmy już obszerniej w numerze lipcowym; jak wytłumaczyć młodego hr. Matuschkę, który nie poprzestaje wojować w protestanckich organach przeciw Lieberowi, przeciw „demokratycznemu“ Centrum? Obok Matuschki stanął, jako wierny jego giermek, do zapasów z katolickiem stronnictwem, mniej, a raczej zupełnie dotąd nieznany baron Fechenbach-Laudenbach i w artykule nadesłanym do protestanckiej *Kreuzzeitung*, rozwinął projekt utworzenia „nowego katolickiego Centrum“ w przeciwieństwie do „demokratycznego Centrum Liebera“. *Kreuzzeitung* przyjęła oczywiście te wynurzenia z niemałą radością; a radość ta tak ją oszołomiła, że nie zawahała się zapowiedzieć ze swej strony wybuchu nowego kulturkampfu. „W niedalekiej przyszłości, oznajmia swym czytelnikom, będziemy musieli się zdecydować na odnowienie zaczepnej polityki przeciw Kościołowi katolickiemu, na zaatakowanie go od razu wewnątrz i zewnątrz“. Jasna to zapowiedź. Ci, którzy bruździą dziś w obozie katolickim i niezgodę w nim sieją, nie będą mogli się następnie wymawiać, że nie przestrzeżono ich, że nie przypuszczali, jakie skutki może za sobą pociągnąć smutna ta ich zabawka.

CENTRUM BAWARSKIE.

Jednym ze smutnych tych, dziś już dających się uczuć skutków rozdwojenia między katolikami w Niemczech, jest ustąpienie Centrum bawarskiego z dominującego stanowiska, jakie dotychczas zajmowało w monachijskim sejmie. Chodzi tu

wprawdzie tylko o 7 mandatów, utraconych na korzyść nowo powstałej partyi, tytułującej się „katolicko-demokratycznym Związkiem ludowym“, ale utrata ta właśnie sprawiła, że Centrum samo w sobie nie ma już odtąd w sejmie absolutnej większości i wchodzić musi, rade nierade, w ugody i kompromisy z innemi stronnictwami. Zmienia to, rzecz prosta, zupełnie sytuacyę; osłabia powagę partyi i zmusza bawarskich katolików do zaniechania niejednego pożytecznego projektu, który bez trudności mogliby przeprowadzić, gdyby tak jak dawniej nie potrzebowali się oglądać na żadną obcą pomoc.

ROZWÓJ PROGRAMU LEONA XIII. WE FRANCYI.

Francuska opinia publiczna wciąż żywo jest zajęta kwestyą „połączonych“ z rzecząpospolitą konserwatystów i zgodzić się nie może, czy i jakiemi okruchami przynajmniej z bogatego stołu rządowego, należałoby ich w nagrodę za to przystąpienie uraczyć. Rozumniejsi republikanie proszą i domagają się: „Nie zamykajcież im drogi do rzeczypospolitej, bo niełądna to wyłączność, czy zawiść, która wyjść może tylko na wspólną naszą niekorzyść!“ Domagał się tego z naciskiem Spuller na uczcie wydanej przez „Narodowy Związek republikański“; domagał się nawet, choć niebardzo jasno, prezes ministrów Dupuy, w paru mowach wygłoszonych w Albi, któremi usiłował zatrzeć niefortunne wrażenie, wywołane poprzedniemi swemi wystąpieniami. Wolne to, ale z dnia na dzień widoczniejsze zwycięstwo na całej linii programu Leona XIII., irytuje niemało tak czerwonych radykalistów, jak nieprzejednanych ultrarojalistów; tej irytacyi przypisać też bez wątpienia trzeba dość grzeczną w formie, tem za to gwałtowniejszą w treści, mowę hrabiego d'Haussonville, skierowaną wręcz przeciw pojednawczej akcyi papieskiej.

„Nigdy — zaręczał pełnomocnik hrabiego Paryża — nigdy ani przed, ani po wyborach, nie zrzeczemy się prawa propagowania idei monarchicznej... Istotnie we Francyi niema dziś nikogo, powtarzam, nikogo, nawet między republikanami, nawet między „połączonymi“, czy „zrezygnowanymi“ (niemała różnica zachodzi między dwiema temi nazwami), który uwierzyćby mógł

w trwałość dzisiejszego stanu rzeczy. Jedni marzą o rzeczypospolitej socyalistycznej, inni o katolickiej, inni jeszcze o cezaryańskiej, ale co się tyczy rzeczypospolitej parlamentarnej, to wszyscy bez wyjątku są przekonani, że otrzymała ona już cios śmiertelny, i to z ręki tych samych, którzy wyzyskiwali ją przez lat piętnaście. Przypatrywać się, prawdopodobnie, będziemy musieli niezadługo zaciętej walce, którą różne te rzeczpospolite będą wzajemnie ze sobą toczyły. Monarchiści stawać będą zawsze w tych walkach po stronie zagrożonego porządku; ale ocalić go nie potrafią, bo rzeczpospolita niezdolną jest do naprawienia złego, które sama zrodziła. Wtedy z pośród zamieszania, z pośród chaosu, wywołanego przez te walki, powstanie i z niczem niepohamowaną siłą zawładnie umysłami wielka owa idea, prosta, jasna, która do przekonania przemówić musi, którą streścić można w następującem zdaniu: kraj monarchiczny w całej swej historyi, w urządzeniach swych administracyjnych, w swem usposobieniu i temperamencie, musi powrócić do monarchii, jeżeli nie chce w anarchię się pogrążyć, jeżeli nie chce stanowczo zrzec się roli przypadającej sobie w monarchicznej Europie".

Monarchiści, zebrani koło hr. d'Haussonville, gorąco przyklasnęli tym wywodom i tym proroctwom, nie pierwszy zresztą zapewnie i nie ostatni jeszcze raz wygłoszonym; szerszego echa w katolickiej Francyi nie znalazły. Za wielkie i zbyt ważne w grze są interesa, aby z rozwiązaniem ich czekać można było do chwili, w której rzeczpospolita, przygnieciona ciężarem własnych win, w kawały się rozpryśnie i ustąpi miejsca innej formie rządu. Dziś można jeszcze niejedno uratować; bezbożne prawa, mające na celu odchrześcijanienie Francyi, nie zdołały jeszcze wniknąć w krew i szpik narodu, ale któż ośmieli się zaręczyć, że nie wnikną za lat kilkanaście, a któż wie, czy nie kilkadziesiąt, kiedy, dajmy na to, odrodzi się monarchia na gruzach rzeczypospolitej? A jeżeli nikt takiego zaręczenia dać na seryo się nie ośmieli, czyż wolno stać uparcie na raz obranej ścieżce, nie bacząc co dokoła się dzieje; czyż rozumnie to

w czasie pożaru bronić przedewszystkiem i wszelkiemi siłami ogrodowej altanki, i od jej uchronienia czynić zależnem uratowanie całego, ze wszech stron już palącego się domu?

ZWYCIĘSTWA WŁOSKICH KATOLIKÓW.

Przeprowadzone w drugiej połowie czerwca wybory municypalne w kilku największych miastach włoskich, wypadły dla katolików bardzo pomyślnie. Pierwsze miejsce zajmuje tu sam Rzym, gdzie *Unione Romana* zaleciła dwunastu kandydatów, a z tych jedenastu wyszło z urny; podobne, również świetne zwycięstwa odnieśli katolicy w Medyolanie i Turynie, a sądząc po żałobnym tonie liberalnej i radykalnej prasy, odniosą prawdopodobnie i w wielu innych miastach. Jaka przyczyna tego zwrotu? Jednomyślnem prawie zdaniem tak nawet skrajnych i niechętnych Kościołowi dzienników, jak *Fanfulla* i *Popolo Romano,* wyborcom dojadła już zanadto do żywego wolnomularska gospodarka; ze wszech stron ciśnięci i obdzierani, chcieliby się raz wreszcie otrząsnąć z gniotącej tyranii sekty, i choć wcale nie wszyscy, którzy głosowali za listami katolickiemi, uchodzić mogą za żarliwych synów Kościoła, rzucili na katolików swe gałki, bo oni jedni dawali im gwarancyę uczciwości i sumienności. Jeszcze bardziej pouczające są gorzkie treny, któremi wynik wyborów przywitała *Riforma.* „Watykan, żali się i dzwoni na alarm organ Crispiego, może się cieszyć: Włochy cofają się, a papiestwo posuwa się wciąż naprzód i u nas i za granicą. Po Turynie przyszła kolej na Rzym; po dawnej stolicy na Miasto Wieczne. I jakby tego dość jeszcze nie było, przedarł się i w Medyolanie znaczny hufiec klerykałów do rady miejskiej; moralna stolica naszego kraju wespół z Rzymem i Turynem splotła się w pełną trójcę reakcyi. Przyczyny tych katolickich tryumfów szukać należy przedewszystkiem w nieufności dla istniejących instytucyj; nieufności wywołanej polityką, która gorszą już chyba być nie może, która z jednej strony osłabia wiarę w liberalne stronnictwo i zasady przez nie bronione, z drugiej strony pędzi wszystkich niezdecydowanych, samolubów i obojętnych w ramiona naszych klerykalnych wrogów. Wobec polityki, będącej negacyą wszelkiego rozumnego rządu, opierającej się na intrydze

i despotyzmie, a siejącej pogardę i zwątpienie, zaczyna wielu myśleć o własnej swej korzyści i pytać, czy nie byłoby lepiej i roztropniej zbliżyć się znowu do dawnych panów?... Jeszcze kilka kroków dalej, jeszcze kilka podobnych etapów wstecz, a dojdziemy do wielkiego, do wspaniałego wyniku: do włoskiej konfederacyi pod przewodnictwem papieskiem i pod protektoratem wielkich mocarstw".

Riforma odczuwa zapewne, swym zwyczajem, nieco za sangwinistycznie poniesione klęski; przemawia z nieco za silnym patosem i trochę niezgrabnie korzysta z okazyi, aby napaść na rząd dzisiejszy, niemiły Crispiemu; — pomimo to warto było słowa jej przytoczyć, bo okazują one, jakie zamieszanie sprawił wynik ostatnich wyborów w antykatolickim obozie. Aby ulżyć sobie trochę i złemu humorowi dać folgę, urządziło paruset medyolańskich radykałów burzliwą manifestacyę: odśpiewali na jednym z głównych placów miejskich parę pieśni o „nietykalnym Rzymie", wytłukli okna w redakcyi katolickiego pisma *La Lega Lombarda,* obrzucili błotem papieskie herby, wyryte na fasadzie katolickiego kasyna. O innych jakichś bohaterskich czynach manifestantów dzienniki nie opowiadają; dodają tylko stereotypową wzmiankę, którą regularnie kończą się opisy wszelkich tego rodzaju manifestacyj: „Policyi w czasie całego zajścia nigdzie dostrzedz i odszukać nie było można".

DWA PISMA PAPIESKIE. Poruszonej niekoniecznie szczęśliwie i właściwie kwestyi zniesienia parafialnych szkół katolickich w amerykańskich Stanach Zjednoczonych, położył wreszcie stanowczy koniec list papieski do kardynała Gibbonsa, pod datą 31 maja b. r. Papież — jak to z góry było oczywistem — zaleca w dokumencie tym z całym naciskiem trzymać się ściśle dekretów trzeciego synodu baltymorskiego, a zatem starać się wedle sił o utrzymywanie i zakładanie szkół katolickich, wyznaniowych. Zdarzyć się mogą bez wątpienia wypadki, w których katolickie dzieci uczęszczać są zmuszone do szkół publicznych, a rzeczą miejscowego biskupa jest zadecydować, czy i o ile w jego dyecezyi

konieczność taka zachodzi; ale jako ogólną regułę, jako ideał, do którego wszyscy zmierzać mają, przyjąć trzeba zasadę postawioną przez synod baltymorski: „Dzieci katolickie kształcić i wychowywać się mają w katolickiej szkole“. Jasne to słowa; miejmy nadzieję, że zamkną one raz na zawsze niemiły, dla rozwoju Kościoła w Ameryce z pewnością niekorzystny okres, zbyt już długo drażniących i rozdwajających walk o szkołę.

Niemniejszej wagi jest *breve* z 24 czerwca, w którem Ojciec św. zaleca zakładać w Indyach seminarya duchowne. „Dopóki w Indyach — czytamy w tem piśmie, spełniającem wreszcie dawne plany św. Franciszka Ksawerego, dawne, najgorętsze prośby i marzenia misyonarzów — utrzymywać wiarę i apostołować będą tylko zagraniczni, europejscy misyonarze, dopóty wiara nie będzie mogła zakorzenić się i rozszerzyć w należyty sposób. Zawsze będzie ich za mało, zawsze ze zbyt wielkiemi trudnościami, nie znając języka, zapoznając się dopiero zwolna z krajowemi zwyczajami i obyczajami, będą musieli walczyć. Dlatego Kościół od najdawniejszych, bo od apostolskich czasów starał się w świeżo powstających chrześcijańskich koloniach o wykształcenie miejscowego kleru; dlatego i kilka już indyjskich synodów wydało w tym względzie cały szereg ważnych i praktycznych dekretów. Różne przeszkody nie dozwoliły dotąd uchwał tych w czyn wprowadzić; dziś, gdy już dzięki Bogu przeszkody te w znacznej części usunięte, gdy pożądana zgoda na nowo zakwitła i hierarchia kościelna zaprowadzona i uporządkowana, czas najwyższy wziąć się na seryo i wszelkiemi siłami do tego wielkiego, świętego dzieła. Prawda, — kończy Ojciec św. swe pismo — że niemałych tu potrzeba materyalnych środków, ale wątpić nie można, że jeśli gorliwi katolicy sprawą tą się zainteresują i zrozumieją, jak bardzo zakładanie duchownych seminaryów w Indyach przyczynić się może do rozszerzenia chwały Bożej, to nie dozwolą, aby środków tych zabrakło. A zatem, ufając w pomoc Bożą i w ofiarność dusz miłujących Boga, przyczyniajmy się wszyscy wedle sił i możności do pomyślnego rozwoju tej sprawy!“

ZAKONY W KOLONIACH PORTUGALSKICH.

W Portugalii rozwija się od kilku miesięcy silna agitacya za zniesieniem prawa, zabraniającego zakonom osiedlać się w zamorskich koloniach. Domagające się tego, krążące po całym kraju petycye, pokryły się już tysiącami i tysiącami podpisów; Geograficzne Towarzystwo Lizbońskie oświadczyło się również za tym aktem sprawiedliwości; w Izbie panów oświadczył się za nim stanowczo margrabia Pombal w świetnej mowie, która rozeszła się głośnem echem daleko poza granice portugalskie i stała się poniekąd zadośćuczynieniem za winy zbyt niestety! głośnego w historyi przodka mowcy, jednego z pierwszych, co w zeszłym wieku dał hasło do walki przeciw zakonom, przeciw religii.

„Z radością stwierdzić mogę, — mówił prawnuk wszechpotężnego ministra, sceptycznego filozofa z wieku zeszłego — że z dnia na dzień rośnie w kraju pomyślniejszy prąd dla przedłożonego przez nas projektu; a nie trudno wyjaśnić przyczynę tego prądu. W kryzys, którą obecnie przechodzimy, wszyscy zwracają oczy ku koloniom i uznają gwałtowną konieczność zakładania w nich stacyj misyjnych, zostających pod kierunkiem zakonników, a mających na celu uleczyć te kolonie z marazmu, w który wpadły od r. 1834. Przesądy przeciw zakonom zwolna nikną, ponieważ wszyscy przekonywają się o niezmiernych korzyściach, jakie oddają społeczeństwu. Z drugiej strony, bardzo wielu przerażonych groźną kwestyą socyalną, rozumieć zaczyna, że jedynie idąc wiernie za radami udzielonemi przez Leona XIII. w genialnych jego encyklikach, dojść można do rozwiązania trapiących nas trudnych zagadnień, uleczyć można dręczące nas choroby. Niemałe to dla nas szczęście, to rozbudzenie się chrześcijańskich zasad w ukochanej naszej ojczyźnie, ponieważ, jak poucza nas historya, chwała i zwycięstwa nasze połączone były zawsze z chwałą i zwycięstwami Kościoła. Zdobycze, odkrycia przez nas czynione, miały zawsze na celu rozszerzenie wiary; dlatego też i tą właśnie drogą tak pomyślnym skutkiem bywały uwieńczane. Ufam silnie, że Portugalia weźmie się na nowo do spełniania poruczonej sobie przez Opatrzność misyi, do szerzenia wiary między niewiernymi za pośrednictwem zakonów, a tak

podźwignie kolonie z upadku, odnajdzie dawną swą kolonialną potęgę".

Ciekawa rzecz, czy i w jakiej mierze rząd portugalski zastosować się zechce do tych powszechnych, a tak jasno wyrażonych życzeń? Przed kilku miesiącami, zapytany o swe zdanie w tym kierunku, złożył publiczne oświadczenie, że w gruncie rzeczy nie jest ani za, ani przeciw zakonom i że pragnie tylko spełnić wolę narodu. Dziś nie może być wątpliwości, jaka jest wola narodu; pytanie tylko, czy ministeryum lizbońskie będzie miało dość odwagi i dobrej woli, aby, nie uląkłszy się gróźb garstki agitatorów, logicznie i stanowczo wolę tę spełnić i z danej przez siebie obietnicy się wywiązać?

Ks. Jan Badeni.

List z Anglii[1].

Szkoci mają stary przepis kucharski na przyrządzenie szczupaka, tej treści: Najprzód złowić rybę, potem ją ugotować, potem wybornemi nadziać ziołami, potem... za okno wyrzucić.

Bardzo podobny los czeka projektowaną, i w parlamencie z dnia na dzień najmozolniej opracowywaną ustawę, któraby miała zmienić formę rządu w Irlandyi. Bil pana Gladstone'a nie ma ani cienia szansy przejść do księgi statutowej: izba gmin ślęczy nad nim już z górą trzy miesiące, ślęczeć będzie drugie trzy — potem odłoży resztę ślęczenia do sesyi przyszłego roku. W roku przyszłym, gdy bil się wyłoni z izby niższej należycie przygotowany (do smaku gladstońskiej większości) i zostanie podany na stół izby wyższej, lordowie — ślęczeć nad nim nie myśląc — odrzucą go. Że tak będzie, a nie inaczej, i że wszystkie groźby i rodomontady skrajnych radykalistów, chcących nastraszyć izbę dziedziczną, nie mają w sobie ani źdźbła trzeźwego rozsądku; że zawieszenie wszelkiej pracy prawotwórczej gwoli tegoż bilu irlandzkiego — bilu p. Gladstone'a — jest *per se* i w oderwaniu olbrzymią stratą cennego czasu — o tem wszystkiem wie doskonale każdy mąż stanu i poseł każdy. A jednak... mężowie stanu i posłowie roz-

[1] Podajemy ten list bez żadnych zmian, choć nie na wszystkie zawarte w nim zapatrywania zgodzić się możemy, ponieważ daje wierny a bardzo ciekawy obraz prądów panujących niemal że wyłącznie w społeczeństwie angielskiem. *(Przyp. Redakcyi).*

bierają niezmiernie szczegółowo każdy artykuł projektu, każde zdanie, każdy jego wyraz nawet — prowadzą nad bilem dyskusye wyczerpujące: wołają radykaliści, by ministrowie nie pozwalali opozycyi rozwałkowywać debatów w nieskończoność, by jak najczęściej zastosowywali regulamin przymusowego zamykania rozpraw... pierwszy minister radykalistów nie słucha, i obradom, poprawkom końca niema. Zawiera bil ten 40 artykułów: w tej chwili, i od pięciu tygodni, izba poci się codzień nad artykułem trzecim!

Zamierzam odpowiedzieć czytelnikowi na dwa pytania: 1) Dlaczego izba lordów odrzuci, prawie bez namysłu, ten bil irlandzki p. Gladstone'a, w jakiejkolwiek on się jej przedstawi formie ostatecznej? i 2) dlaczegóż więc izba niższa trwoni czas niezmiernie kosztowny, a gabinet zaniedbuje inne sprawy palące, niedotrzymuje swych pięknych obietnic? Zanim jednak odpowiem, muszę się poskarżyć na siebie samego i porządnie się wyłajać!...

Im się bardziej starzeję, tem mniej rozumiem ten rodzaj „polityki", który zdaje się polegać na zasadzie takiej: Jeżeli ciebie obdzierają ze skóry i biją cię w pięty, a przyjacielowi twemu odmawiają poduszki pod głowę, to wrzeszcz z bólu własnego i równocześnie lituj się nad bezpoduszkowym przyjacielem, płacz nad nim i... wymyślaj, co się zmieści, na osobę odmawiającą poduszki przyjacielowi — albowiem sfolguje ci oprawca, lub popłacze nad tobą przyjaciel. Innemi słowy, nie rozumiem wcale tonu prasy naszej, zwłaszcza zachowawczej i szczerze katolickiej, ilekroć omawia kwestyę irlandzką i stosunek dzisiejszej W. Brytanii do Irlandyi. Tem mniej, choć z wielce odmiennego powodu, rozumiem głos prasy nieszczerze katolickiej i mającej pretensyę do zmonopolizowania dla siebie sztandaru postępowego. Gdybym Irlandyę i polityczne dzieje Anglii znał tylko z jakiejś „Historyi powszechnej w trzech tomach", i gdybym mieszkał na Marsie, i tam otrzymywał i czytał same tylko dzienniki warszawskie, poznańskie i galicyjskie, to o Irlandyi dzisiejszej miałbym wyobrażenie takie: Kraj, zamieszkały przez ludność celtycką, i szczerze katolicką, wyzyskiwany w swych zasobach naturalnych przez wrogich krajowcom kolonistów, naród uciskany od siedmiu wieków na roli i w przemyśle, wypierany z tej roli, z tego przemysłu i z ojczystego kraju — pozbawiony wszelkiej pomocy w swym rozwoju cywilizacyjnym, dławiony moralną przewagą państwowego protestantyzmu, zapierany w swych dążnościach narodowych. Nad tym krajem zlitował się nakoniec genialny p. Gladstone i postanowił dać mu narodowy samorząd; p. Gladstone jest

w Anglii, Walii i Szkocyi „dzielnym starcem“: kochają go tam, podziwiają, wierzą weń i ogromnie się dużo po nim spodziewają — dlatego, głosując za nim, głosowano i za jego irlandzkim projektem, dano mu większość w parlamencie. Z tą większością zbija p. Gladstone opozycyę, złożoną z wstecznych zachowawców, a słuchającą rozkazów *sir* Balfour'a, który rządził w Irlandyi „z brutalnem okrucieństwem“ sześć lat, broniąc interesów landlordyzmu i protestantyzmu. Irlandyi stanie się zadość: bil gladstoński przejdzie przez izbę niższą, a jeśli lordowie zapragną wyrzucić go — no, to ich izba będzie *mended or ended,* zreformowana lub zniesiona... królowa podpisze akt nowej konstytucyi irlandzkiej i —

I będzie przykład dla Wiednia, Berlina, dla wszystkich nas, obdzieranych ze skóry i bitych w pięty, co tylko lamentować umiemy i lamentujemy, jak świat szeroki, od Kamczatki — na zachód, aż do San Francisco... będzie przykład, co to można zdziałać, z jakiej się można wydostać niedoli, gdy się... jest O'Connelem, Parnellem, MacCarthym, nie zaś organizatorem „skarbu narodowego“, geheimratem, lub Płoszowskim.

Takbym sobie rozumował, siedząc na Marsie i czytając o Irlandyi z gazet stemplowanych i cenzurowanych. Ale siedząc w Londynie, po kilkuletniem siedzeniu w Irlandyi, patrząc w oczy Irlandczykom i Szkotom, Walijczykom i Anglikom — Londyniakom i Liverpoolakom, radom miast i radom hrabstw — tonu prasy naszej nie rozumiem i dlatego jestem na siebie zagniewany! Bo — proszęż ja czytelnika — jedno z dwojga: albo prasa nasza jest doskonale obeznaną z dzisiejszemi stosunkami brytańsko-irlandzkiemi, albo też nie jest. Jeśli nie jest, to czemuż informacye czerpie dla swej dobrodusznej publiczności z tych właśnie gazet i pism zagranicznych, które, bez znajomości Irlandyi, lub ze znajomością i smutnie i komicznie spaczoną, na to jedynie egzystują i dlatego mają abonentów, ponieważ są tak bezwzględnie i wytrwale szowinistycznemi i anglożerczemi. Mam na myśli dzienniki i czasopisma francuskie, te zwłaszcza, które — jak *Temps, Débats, Figaro* i... *Univers* — pilniej są czytane w Warszawie i w dwóch redakcyach galicyjskich, aniżeli niemieckie czy austryackie. Co się bowiem tyczy pism niemieckich, to już — mądrze czy nie mądrze — opinia o ich stanowisku względem kwestyi irlandzkiej jest u nas urobioną z góry: jeżeli nie są bezwarunkowo za tem wszystkiem, co się u nas pojmuje przez *homerule*, to dlatego, ponieważ mają powody bać się wyrzutu — *et tu quoque!*... i na odwrót. A miałbym też słówko do

powiedzenia Warszawie *pro domo sua:* jeżeli prasa tamtejsza nie urzeczywistnia sobie istotnych stosunków irlandzko-brytańskich, to... dalipan, nie rozumiem, po co ja jej o nich donoszę, jak mogę najsumienniej, od lat tylu? po cóż ona te donosy stale umieszcza, nic sobie z nich nie robiąc, nic z nich nie robiąc dla swej publiczności i jeszcze... *pari passu* z mojemi artykułami, w jednych i tych samych numerach, drukując płytkie, skoczne i pretensyonalne *points de vue* paryskie? Drażni to moją miłość własną, bo zaczynam podejrzywać, że... biorę honorarya, bynajmniej ich godnym nie będąc.

A jeśli prasa nasza jest doskonale obeznaną z dzisiejszą kwestyą irlandzką? Jeśli, oprócz przyzwoitej świadomości dziejów, od Milezyanów do Henryka II., od tegoż do „plantacyi ulsterskiej" Jakuba I., od tej do Cromwella, i do bitwy nad rzeką Boyne, i do irlandzkich konszachtów z masoneryą francuską — jeśli prasa nasza posiada nadto coś więcej nad dziennikarskie rozumienie bolesnych zawodów O'Connella i otwartego sojuszu Parnella, z kryminalnemi związkami O'Donovana Rossy, coś więcej nad oportunistyczne pojmowanie „planu kampanii" Dillona i W. O'Briena... to, doprawdy, zjem własną głowę, zanim zrozumiem stanowisko, jakie obrała między kwestyą irlandzką a swymi czytelnikami! Kiedy, w r. 1888, *Times* ogłosił był mój list do p. Gladstone'a, mający na celu zbicie argumentów ówczesnego szefa opozycyi liberalnej, który Polskę Kongresową przedstawiał, jako kraj i społeczeństwo „bez porównania szczęśliwsze" od Irlandyi — jedno z najszczerzej katolickich i zachowawczych pism naszych dało mi uprzejmą burę, którą tu przepisuję, bo jest dosadnie charakterystyczną: „Słuszną jest rzeczą, że Polacy zamieszkali w Anglii protestują przeciwko oryginalnym poglądom byłego premiera angielskiego na stosunek Polski do Rosyi, mianowicie przeciwko dziwacznemu zdaniu, wedle którego większość niezmierna narodu, z wyjątkiem klas wyższych, bardzo jest szczęśliwa ze swego położenia, ale to ich nie uprawnia bynajmniej do... nieprzyjaźnego występowania wobec Irlandyi i do odmawiania praw, które im się najsłuszniej należą". A w końcu: „Tym, co się sami skarżą na ucisk, skarg cudzych podejrzywać lekkomyślnie nie wolno"[1]. Podkreślenie jest mojem.

Choć minęło lat pięć po tej admonicyi drukowanej, trwa ona do tej pory i czytam ją codzień między wierszami artykułów naczelnych

[1] *Kuryer Poznański* z 25 sierpnia 1888.

we wszystkich bez wyjątku dziennikach polskich... i gryzę się, że, jak jej nie rozumiałem w r. 1888, tak jej sobie wytłumaczyć nie umiem w r. 1893. Pomijam fakt, że „lekkomyślnie“ skarg irlandzkich z przed lat pięciu nie podejrzywałem, jak ich lekkomyślnie nie podejrzywała wtedy Stolica Apostolska, ale błagam i zaklinam: niechże mi ktokolwiek wskaże, gdzie i kiedy i jak „występowałem wobec Irlandyi nieprzyjaźnie“, lub jej „odmawiałem praw, które się jej najsłuszniej należą?“ *Sic vos non vobis!* Niechże mi będzie wolno być na chwilę, jak najnaiwniej szczerym i otwartym: dziwią się redakcye nasze, że coraz rzadziej i coraz niechętniej zarabiam na kawałek chleba pracą dla nich, że do pism naszych pisuję coraz mniej i nieśmielej. Pytam: na co pisać, kiedy tej pisaniny nikt nie czyta, kiedy się ona nie zdaje na nic? Toż od lat czternastu mam zaszczyt być stałym korespondentem wielu pism naszych, które mimo to, nie zbankrutowały! Czyż odmawiałem w nich praw słusznych Irlandyi? Toż rozpisywałem się o tych prawach długo i szeroko, i w niniejszym *Przeglądzie* i w *Bibliotece Warszawskiej*, a czy dostrzeżono w artykułach „nieprzyjaźnego występowania?“ Toż nawet, osobną zrobiłem powieść „na tle stosunków obecnych w Irlandyi“, by i grosza zarobić i za jednym zamachem puścić w świat szerszy swoje poglądy, a czy znaleziono w nich cień nieprzychylności względem społeczeństwa irlandzkiego?

Aż dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę, że tyle atramentu i czasu strwoniłem marnie, prorokiem w kraju własnym nie zostałem... Inaczej mnie osądziły pisma angielskie i irlandzko-protestanckie (oranżystowskie). *The Northern Whig*, organ loży oranżystowskich, wychodzący w Belfast, zarzucił mi (w n-rze z 12 września 1888) *a grave fallacy:* błąd poważny, ten mianowicie, że „Irlandyę chciałbym widzieć równie szczęśliwą w zabiegach jej narodowych, jakbym chciał widzieć Polskę“. Przyznał mi nawet *Saturday Review* (15 września), najwięcej cyniczny organ angielskiego toryizmu, że „upatruję słuszną sprawę irlandzką i mówię o traktowaniu Irlandyi przez Anglię w czasach minionych, jako o rzeczach, z których dziś cały naród angielski jest głęboko zawstydzony“. Jeden tylko, jedyny Irlandczyk do tego się stopnia oburzył na brak z mej strony bezwarunkowego wielbienia agitacyi p. Gladstone'a, że list swój do mnie tem zakończył zdaniem: „Jestem rzymskim katolikiem, alebym wolał żyć wiecznie w ogniu piekielnym, jak siedzieć w niebie obok tak głupiego kłamcy i nizko urodzonego pasibrzucha, jakim ty jesteś; co wieczór modlę się do Naj-

świętszej Panny, żeby cię djabeł wsadził w najgorętszy kąt piekła, w miejsce, którego unika nawet najpodlejszy kozak i... Polak!“ [1].

Przypuszczam na chwilę moralną wartość zdania: „tym, co się sami skarżą na ucisk, skarg cudzych podejrzywać nie wolno“. Rozróżniam atoli: są skargi — i skargi, jak są różne skarżących się potrzeby. Gdyby między położeniem naszem pod berłem carów, a położeniem Irlandyi pod rządem parlamentu brytańsko-irlandzkiego zachodziła jakakolwiek analogia, cień analogii — gdyby celtycka i katolicka część irlandzkiej ludności była w czemkolwiekbądź uciskaną, lub choć wstrzymywaną na najszerszej drodze do równego z Anglią rozwoju cywilizacyjnego — to, w oderwaniu i niezależnie od możliwych względów politycznych i ogólno-społecznych, wypadałoby prasie naszej potępiać głośno rząd uciskający, zaznaczać naszą dla wysileń irlandzkich najserdeczniejszą życzliwość, i wypadałoby bez wątpienia stawiać sobie za przykład charakter narodu, ludu, jego szermierzów, organizacyi wreszcie i „agitacyi“. Ale właśnie faktem jest niezaprzeczonym i zaprzeczyć się nie dającym, że od lat dawnych (a choćby tylko od ćwierci wieku) o żadnym ucisku Irlandyi i w Irlandyi mowy być nie może; że najupartszymi wrogami normalnego rozwoju zasobów i instytucyj krajowych są ci, co spaczywszy zmysł moralny ludu, ludowi się narzucili w charakterze przodowników, wyzyskują bezlitośnie i z cynizmem bez granic ludu tego szczere przywiązanie do kraju, do ziemi, do dziejowej pamięci... wyzyskują tego ludu prostą, szczerą wiarę świętą, w celach zupełnie osobistych. Jest w tem jakaś straszliwa ironia, że właśnie nasze społeczeństwo nie chce uwierzyć w zmianę fundamentalną i organiczną, jaka zaszła i w politycznym bycie i w społecznych dążnościach starego Erynu! Wszystkie przecież prądy rozkładowe, antyspołeczne, przeciw którym wysila się u nas rozum narodowy, trzeźwość i świadomość życia polityczna, która potępia i potępiać będzie Kościół św. — wszystkie one podmywają i minują przyszłość społeczeństwa irlandzkiego, jako narodu, i jako narodu chrześcijańskiego, katolickiego.

---

[1] Przytaczam dosłownie to zdanie, bo jest ono wybornym okazem tej sprzeczno-komicznej gwary, właściwej Irlandczykom, którą literaci zowią „hibernianizmem“: „I am a Roman Catholic, but would live for eternity in hell-fire rather than sit in heaven in company with such a besotted liar and low born sycophant as yourself; my nightly prayer to the Holy Virgin is that the Devil may put yon in the hottest corner of hell, a place shunned by even the vilest Cossack and the lousiest Pole!“ *(Sheffield Daily Telegraph*, 29 sierpnia 1888).

Twierdzenia to są daleko idące. *Durus hic sermo.* Słyszę aż stąd wykrzyki niedowierzania, słyszę czytelnika mówiącego: „Gdyby tak było, jak asan piszesz, to: 1) katolickie duchowieństwo w Irlandyi nie stałoby na czele ruchu narodowego; a 2) nie byłoby w W. Brytanii męża stanu i stronnictwa, idących ręka w rękę z przodownikami i agitatorami Młodej Irlandyi!“ Przyznaję, że te przeciwstawienia czytelnika muszą wydawać się decydującemi i że one to właśnie, źle zrozumiane, lub wcale nie zrozumiane, nadają ton prasie naszej, artykułom takiego np. Józefa Keniga w *Słowie* warszawskiem, artykułom w pismach naszych i katolickich i bezwyznaniowo-„liberalnych“. Przyznaję też (i nadewszystko), że pogodzenie tych przeciwstawień z mojemi twierdzeniami nie jest rzeczą łatwą. A nie jest nią z dwóch powodów naczelnych: co się tyczy stanowiska duchowieństwa w Irlandyi, ogromnie wiele wyjaśnićby należało... *ut non omnia conferunt, non omnia aedificant!* Co zaś do ministeryalnych i parlamentarnych w Londynie kombinacyj, to wyjaśnienie, mogące zadowolić każdego czytelnika, wymagałoby napisania dziejów zakulisowych westminsterskich i dublińskich, przynajmniej od r. 1885—1886, tj. od pory, w której pan Gladstone, przekonany o bezsilności parlamentu wobec Irlandyi, postanowił rozpocząć dzieło kolosalne: wprowadzenia całokształtu administracyjnego trójkrólestwa na tory nowe. Spróbuję jednak wytłumaczyć obie pozorne sprzeczności, jak mogę najzwięźlej.

W pierwszem miejscu, odnośnie do hierarchii i duchowieństwa w Irlandyi, stały czytelnik *Przeglądu* przypomni sobie może, com w latach poprzednich zaznaczył z naciskiem: hierarchia ta i całe duchowieństwo bez wyjątku wyszło z ludu, z jego warstw średnio-niższych, i ma za sobą wielką tradycyę znaczenia trwałego i niezmiernie doniosłego. Wszystkie sympatye kleru są z ludem: nie mówię „z narodem“, bo narodu irlandzkiego niema pod słońcem nigdzie, akurat tak samo, jak niema „narodu“ tureckiego. W Irlandyi niema stanów; może będą kiedyś. Dziś, do tego stopnia celtyzm gaelicki odczuwa siedmiowiekowy niebyt polityczny, że wystarcza być w Irlandyi właścicielem znaczniejszego majątku, by już nie być uważanym za takiego samego Irlandczyka, jakim jest kupiec z ludu w mieście, lub wyrobnik z ludu na rolnej osadzie, i to nawet choćby się było kością z kości gaelickich, nosiło się imię dziejowego rodu, choćby się było i najszczerzej katolikiem i najwybitniej typowym celtem Erynu! [1]

[1] Fakt ten przebija się jaskrawo we wszystkich powieściach autorów irlandzkich na tle swojskiem. Godnem też jest zaznaczenia, że mimo wiel-

Niema zapewne drugiego kraju na kuli ziemskiej, w którymby kapłan katolicki był tak wybitnie i niezaprzeczenie opiekunem ludu, nauczycielem, rzecznikiem, doradcą — jak w Irlandyi. Wieki to sprawiły, sprawiła to owa długa noc dziejowa, która nad Wyspą Świętych zawisła w pierwszej połowie XVI. stulecia, której ostatnie cienie znikają w naszych czasach i odsłaniają, że wszystko tam runęło, wszystko się wykoleiło, krom przywiązania do ziemi przodków i ich wiary. Ale i w rzeczach sumienia, lud irlandzki stawił raz na zawsze granicę między sobą i sprawcami owej dziejowej nocy. Kapłan nie spotka się tam z oporem tak długo, dopóki nie wzbudzi podejrzenia, iż przestał być absolutnie bezwzględnym stronnikiem ludu. Mieliśmy tego liczne przykłady w latach 1879—1892. Wszakżeż zamilknąć musiał proboszcz miasta Tipperary, kilkakrotnie podniósłszy głos surowy przeciwko organizacyi osławionego „planu kampanii“ — zamilkł nawet ksiądz biskup z Limerick, dr. Donnelly, po kilku próbach spełnienia, co uważał za najoczywistszy obowiązek pasterski. Bo, wątpić nie można, że setki przyczyn złożyły się na to, iż gdyby dziś duchowieństwo irlandzkie dało ciemnym, grubo ciemnym masom ludu do myślenia, że nie idzie z niemi tak samo ręka w rękę, jak szło przez blizko 400 lat nocy dziejowej, to masy te, roznamiętnione skrytą agitacyą swoich i irlandzko-amerykańskich emisaryuszów, zdemoralizowane przez tych, co po O'Connellu zasiedli w Dublinie i Westminsterze — wyłamałyby się bez wahania z pod...

Czy z pod powagi kapłanów, jako sług Bożych i szafarzów skarbnicy Kościoła katolickiego? Bynajmniej. Bezwarunkowo: nie. Ale usunęłyby się z pod tych zbawiennych i, po ludzku mówiąc, niezmiernie dodatnich wpływów, jakiemi duchowieństwo w Irlandyi ratuje te masy ludowe od aż nazbyt licznych i zawsze gotowych czynników zniszczenia, wyplenienia. Bóg nie dał temu ludowi kraju żyznego, klimatu sprzyjającego i tak już biednym warunkom rolnej uprawy, nie dał bogactw w ziemi, nie obdarzył też rasy gaelickiej stalową wytrwałością w pracy o kawał chleba, ani zmysłem przedsię-

---

kiej liczby powieściopisarzy Irlandczyków, od lat około 12-tu, tj. od czasu, kiedy agitacya polityczna wzięła sobie za podstawę wyzyskiwanie społecznego rozdziału między ludem i obywatelstwem, nie ukazała się ani jedna powieść, charakteryzująca obecne stosunki i kierunki w Irlandyi. Justyn Mac-Carthy, szef obozu parlamentarnego i bardzo płodny powieściopisarz, nie obiera nigdy tematu, trącącego czembądź irlandzkiem. A przecież, gdzież jeśli nie w Irlandyi, jest prawdziwa nadobfitość tematów powieściowych?

biorczym. Obdarzył ją zaś tą krewkością, która daje Kościołowi odważnych misyonarzy i męczenników, a ojczyźnie — bohaterów. Na zachodzie Wielkiej Brytanii, tuż obok rasy zimnej, wyrachowanej, nad wyraz energicznej i przedsiębiorczej, ostała się garść plemienia, odrębnego wszystkiem, nietylko od tej rasy, lecz i od którejkolwiek innej w świecie: plemienia, co uderzone obuchem tyranii przed 400 laty, zapadło w stan komatyczny i w nim trzymane było cztery wieki, i za naszych czasów zerwało się zeń i powstało, wieku męskiej dojrzałości nie zaznawszy... Duchowieństwo w kraju takim i nad ludem takim jest jego arystokracyą (raczą mnie rozumieć... nie-arystokraci!) i jego demokracyą: ono jedno nie spało letargiem, i dopóki lud nie otrzeźwieje, nie wejdzie na drogi normalne postępu, rozwoju i świadomości swych obowiązków i celów, dopóty też, w logicznem następstwie przeszłości, odpowiedzialność duchowieństwa i praca mają w Irlandyi pole bez porównania szersze niż indziej, niż np. u nas, którzy posiadamy ciągłość dziejową, narodowy układ społeczny, stany wreszcie, reprezentujące bieg naszej przeszłości, świadome swych obowiązków i celów.

Błędem politycznym kleru irlandzkiego była wiara w nieszczere (jak się okazało) protestacye Parnella i wynikająca z niej abdykacya. W dziesięcioleciu dyktatorstwa Parnella, które dużo zjednało krajowi korzyści i zdobyczy, a obiecywało więcej, nie słyszeliśmy o górującej przewadze wpływów duchowieństwa. Zdało się ono bowiem, a przynajmniej zdało pracę około politycznych i materyalnych interesów w ręce człowieka genialnego, który jednakże żadnym się nie powodował skrupułem, intrygował skrycie i posługiwał się tajnemi związkami, i przez swe automatyczne narzędzia, przez „kolegów“ parlamentarnych, przykutych do siebie pensyami i cieniem znaczenia, demoralizował lud do szpiku, ostrzył jego najniższe instynkty. Po Parnellu, duchowieństwo usiłuje dziś wydrzeć ster interesów krajowych z rąk ludzi, którzy (partya Redmonda, a między makartystami: Sexton, Dillon, O'Brien i około 24 innych) dobro ojczyzny, jeżeli można, lecz zadowolenie własnych ambicyj przedewszystkiem, osięgnąć chcą na gruzach moralności publicznej. Duchowieństwo wybrało sobie w po-Parnellowskiej spuściźnie reprezentanta, takiego, jaki się mu nasunął: jest nim Tymoteusz Healy, człowiek bardzo uzdolniony, bardzo pracowity i ruchliwy, ale trawiony nieposkromioną żądzą władzy, przez lud irlandzki znienawidzony. Jeżeli wybór ten był dyktowany koniecznością, to konieczność musiała być o tyle nieuniknioną, o ile godną opłakania. Ale ślepy chyba nie widzi, że duchowieństwo, poznawszy swe omyłki i błędy, posługuje się tą

sekcyą reprezentacyi parlamentarnej, jaka mu pozostaje, w celu — stopniowego przywrócenia równowagi w ogólnem rozprzężeniu pojęć narodowych i dążności. Pojęć — o tem, co jest godziwem, a co niem być przenigdy nie może; dążności — jakie Irlandyi dyktować powinien trzeźwy rozsądek...

Niewielu zdań potrzeba na usunięcie mylnego wyobrażenia, jakoby dzisiejszy bil p. Gladstone'a miał za sobą większość głosów publicznej opinii, jakoby sam wielki mąż stanu, lub którakolwiek frakcya parlamentarna w W. Brytanii szła ręka w rękę z agitatorami Młodej Irlandyi. Bo, nasamprzód, p. Gladstone dlatego tylko dzierży dziś władzę, ponieważ tak chcą posłowie irlandzcy: pierwszy minister angielski nie rozporządza bynajmniej większością głosów angielskich i szkockich, te bowiem wypadły z urny na stronę obozu unionistycznego. Izba gmin składa się z 670-ciu członków; jeżeli z liczby tej odciągniemy 84-ch Irlandczyków homerulerów, to stronnictwo opozycyjne będzie o 42 głosy silniejsze od ministeryalnego. I na odwrót: kto czyta sprawozdania parlamentarne, ten wie, że gabinet liczyć może tylko na 42 głosy większości po swej stronie, czyli na połowę obozu irlandzkiego! Którą połowę? i z jakich złożoną sekcyj, nienawidzących się i podkopujących wzajemnie?

Niema też ani jednej frakcyi politycznej w W. Brytanii, któraby wspierała koło irlandzkie szczerze i rzetelnie. Pominąwszy okoliczność (która się niebawem czytelnikom wyjaśni), że popierać nie może rzetelnie, co jest do przeprowadzenia absolutnie niemożliwem... jedynym powodem, dla którego sekcye liberalno-radykalistyczne głosują na oślep za bilem p. Gladstone'a, jest, że chcą i muszą koniecznie pozbyć się tego bilu w jakibądź sposób, aby potem zmusić gabinet do spełnienia reszty obietnic jego, aby wziąć się do prawodawstwa nad strasznie palącemi kwestyami, obchodzącemi Anglię, Walię i Szkocyę. Osłupiałyby redakcye pism naszych, gdyby choć raz jeden odczytały, co angielska, walijska i szkocka prasa pisze z dnia na dzień obecnie, kiedy trzymiesięczne rozprawy nad bilem otworzyły jej oczy i przekonały ją o dwóch prawdach: 1) że bil p. Gladstone'a jest potworną niedorzecznością, zredagowaną bez najmniejszego względu na najżywotniejsze interesy W. Brytanii; 2) że mimo tego nie zadawalnia wcale wyraźnych życzeń i dążności trzech części obozu irlandzkiego. Prasa radykalistyczna nie ukrywa oburzenia swego na... zawód wielki: Ów bil, trzymany lat tyle w tajemnicy, a zapierający wszystką robotę polityczną monarchii, okazał się — użyję wyrażenia radykalisty Stead'a *(Review of Reviews*

z kwietnia t. r.): *a most idiotic conception*, „pomysłem najwyższego idyotyzmu!“ A redakcye nasze... wiedzieć o tem nie chcą, czytać nie chcą! Dlaczego? Bo nas obdzierają ze skóry i biją nas w pięty dzisiaj — a Irlandczyków bito w pięty przed stu laty z górą.

Jeżeli o akcyi duchowieństwa irlandzkiego powiedziałem, co mi przekonanie powiedzieć kazało, to nie mogę zamilczeć o stanowisku, jakie względem agitacyi irlandzkiej zajmuje i duchowieństwo i całe społeczeństwo katolickie w W. Brytanii. Z mało, lub wcale nieznaczącemi wyjątkami, katolicy angielscy i szkoccy oświadczają się stanowczo przeciw bilowi i potępiają głośno charakter irlandzkiej agitacyi. Wprawdzie świątobliwej pamięci kardynał Manning, który do spraw irlandzkich nie mieszał się prawie wcale, był w pewnej mierze gladstonistą w polityce i był nim otwarcie w kwestyi irlandzkiej. Ale... kardynał zeszedł z tego świata 15 miesięcy przed publikacyą bilu: nie domyślał się on, jak się nie domyślali nawet najbliżsi powiernicy p. Gladstone'a, jak się z pewnością nie domyślał sam wielki Gladstone — czem będzie bil, gdy go przyjdzie zredagować! czem będzie bil, mający pogodzić organiczne interesy brytańskiego imperyum z żądaniami 84-ch posłów irlandzkich...

Powie kto może: katolickie społeczeństwo brytańskie jest, jak wiadomo, arystokratycznem, złożonem z obywatelstwa ziemskiego, z rodzin zamożnych, a więc konserwatywnych i, całkiem naturalnie, dających swe głosy stronnictwu torysowskiemu. Choćbym jednakże przyjął taki pogląd zasadniczy, to nigdy nie powiem, powiedzieć nie mogę, by w tej kwestyi irlandzkiej *sicut est*, katolicy brytańscy powodowali się jakimkolwiek względem stronniczym. Wystarcza wiedzieć, jak gorącym, nieustraszonym i pełnym zaparcia się jest katolicyzm angielski, by o tem być najzupełniej przekonanym. Zresztą, gdyby tu chodziło o wyzwolenie ludu katolickiego z pod jakiegoś ucisku w Irlandyi, gdyby chodziło o daleko sięgające interesy Kościoła św. na północno-zachodnim krańcu Europy — to katolicy brytańscy zdołaliby bez wątpienia, zdołałaby ich hierarchia kościelna, poczynić wszelkie ofiary... Nie widzą atoli ani cienia ucisku, a nie mogą nie uznać, że każdy tryumf dzisiejszych władców gladstońskiego obozu jest tryumfem społecznego przewrotu, jest wynagrodzeniem 12-letniej pracy nad demoralizacyą mas, i jest ciosem, zadanym bezpieczeństwu i powadze ich własnej ojczyzny.

Nietrudno mi teraz będzie odpowiedzieć na pytanie: dlaczego izba lordów wyrzuci ten bil irlandzki p. Gladstone'a, prawie bez namysłu i w jakiejkolwiek on się jej przedstawi formie ostatecznej?

Przedewszystkiem uwzględnić musimy ten powód zasadniczy, że ponieważ niema tu mowy ani o całkowitem odłączeniu Irlandyi od W. Brytanii, ani o nadaniu jej charakteru kolonii, lub ustroju kanadyjskiego, więc zarówno racya stanu, jak wzgląd na doświadczenia przeszłości sprzeciwiają się (w opinii większości wyborców brytańskich) zaprowadzeniu nowej formy rządu, i to formy autonomicznej, w jednej tylko części Zjednoczonego Królestwa, i to w tej właśnie części, która najmniej daje gwarancyi, iż z formy tej korzystać chce i będzie bez zakłócenia spokoju i bezpieczeństwa we własnych granicach i w monarchii. Jeżeli mówię o formie rządu autonomicznej, to jużcić nie chcę dać do myślenia, jakoby Irlandya tej formy nie posiadała dziś już, zwłaszcza od r. 1885, odkąd do parlamentu wysyła stosunkowo więcej posłów, aniżeli i Szkocya i Walia, a nadto cieszy się temi samemi instytucyami polityczno-administracyjnemi wewnątrz kraju, jakie istnieją w Anglii i Szkocyi [1]. O co chodzi w Irlandyi, to o to, aby jej władze autonomiczne nie były praktycznie poza krajem, by zależały wyłącznie od krajowej reprezentacyi, i aby zostawały w rękach irlandzkich. Izba lordów, a z nią większość głosów brytańskich wolałaby ten eksperyment rozpocząć... albo równocześnie we wszystkich trzech królestwach i w Walii, albo przynajmniej nie w kraju i nie z ludnością, którą przyzwyczajono do uważania Anglii za śmiertelną nieprzyjaciółkę! To powód zasadniczy. Obok niego są dwie grupy innych powodów, dla których izba lordów bil odrzuci.

Do pierwszej należą okoliczności, które poprzedziły wniesienie bilu; w drugiej leżą same szczegóły bilu. Izba lordów, jako decydująca, najwyższa i niezależna instancya prawodawcza, widzi w biegu wypadków od r. 1879 nieustanną i wysoce niemoralną koercyę, akcyę przymusową, prowadzoną przez agitatorów irlandzkich przeciw ludowi irlandzkiemu i rządowi W. Brytanii. Faktem niezaprzeczonym jest, że lud w Irlandyi był więcej niż apatycznym dla idei homerule'u przed rokiem 1879, a pozyskany został dla niej jedynie skutkiem agitacyi agrarnej. Takimże faktem jest, że do tej pory nawet, do chwili obecnej [2],

---

[1] Nie posiada Irlandya jeszcze rad obwodowych *(County-councils)*, bo nie przeszedł odnośny bil konserwatystów w r. 1892 i przejść nie mógł wobec wielkich obietnic samorządu p. Gladstone'a.

[2] Ceremonialne protestacye lojalności, jakie posłowie czynią w izbie od czasu do czasu — ile możności rzadko — nie mają najmniejszego znaczenia wobec ich mów publicznych w Irlandyi i codziennych artykułów ich prasy. Rada municypalna Dublina, której większość składa się z najwy-

posłowie irlandzcy wskazywali i wskazują na Anglię, jako na nieubłaganego wroga narodowości irlandzkiej, któremu, jakiekolwiek się wydrze ustępstwo, wydrze się gwałtem, i taktykę wyzyskiwania stronniczych interesów brytańskich i namiętności. Faktem jest, że w proporcyi do liczby swej ludności, Irlandya posyła znacznie więcej reprezentantów do parlamentu, aniżeli Szkocya i Walia — że nadto każda kampania wyborcza w Irlandyi prowadzoną była od r. 1885 z brutalną nieszczerością, z użyciem skandalicznem intymidacyi... wszelkiego rodzaju, z wyzyskiwaniem zabobonności i grubej ciemnoty [1] mas wyborczych. Faktem jest, że ci sami mężowie stanu angielscy, którzy dziś ulegli nieprzejednanemu centrum irlandzkiemu w Westminsterze, byli zarówno z dzisiejszą opozycyą silnie przekonani o głębokiej niemoralności agitacyi, że sam p. Gladstone zapewniał wyborców swych uroczyście w r. 1885, iż „nigdy nie przyłoży ręki do dzieła (homerule'u), które W. Brytanii usiłuje narzucić partya zbrodniczych agitatorów", że „partya ta dąży przez rabunek i rozbój *(through plunder and rapine)* do rozćwiertowania brytańskiego imperyum". Faktem więc jest... (inaczej być nie może), że mąż stanu, który te zdania wypowiedział w 77-ym roku życia, po półwiekowej karyerze politycznej, zmienił nagle swe zapatrywania i zmienił je w przeciągu trzech miesięcy... (na wiosnę 1886) jedynie w celach osobistej żądzy władzy, że — by być zupełnie otwartym i szczerym — uległ był wtedy zbyt wielkiej ponęcie zdobycia na swą stronę głosów irlandzkich, bo nie miał ani jasnego pojęcia o istotnych trudnościach pogodzenia żądań irlandzkich z interesami ogólno-państwowemi, ani... wyraźnej intencyi zadowolenia tych żądań. Faktem jest nakoniec, co już wskazałem, że nawet w parlamencie dzisiaj — większość posłów brytańskich bil ten potępia i odrzuca, że więc tu nawet p. Gladstone projektuje zmienić organicznie wzajemny stosunek całego państwa do jednej jego części... za pomocą reprezentantów tej tylko części, a wbrew znacznej większości reprezentantów reszty monarchii.

---

bitniejszych członków parlamentu, odrzuciła temi dniami (w połowie czerwca) wniosek wysłania powinszowań w dzień ślubu syna następcy tronu z księżniczką Teck. Uzasadniła krok swój uchwałą, w której oświadcza, że niema powodu cieszyć się z uroczystości angielskich... dopóki nie przejdzie bil samorządu: że nadto przejścia tego nie uprzedza, bo... nawykła „niedowierzać mężom stanu brytańskim!"

[1] Statystyka oficyalna jest pod tym względem bardzo ciekawa: na każdy tysiąc wyborców przypada analfabetów: w Anglii 13·2, w Szkocyi 0·982, a w Irlandyi 214·97.

Te są walne i doniosłe powody, dla których izba lordów nie może nie odrzucić bilu. Cóż zaś mam powiedzieć o bilu samym? o tym „pomyśle najwyższego idyotyzmu", jak go nazwał jeden z najgorętszych skądinąd stronników i wielbicieli p. Gladstone'a? Przypuszczam, że czytelnikowi znaną jest treść tego projektu konstytucyi — *for the better government of Ireland* — dlatego, i by nie przedłużać tej pracy nazbyt, ograniczę się do wskazania na to w bilu, co jest bez wątpienia... niemądrem.

Artykuł IX. bilu — nad którym izba niższa rozprawiać będzie za dwa miesiące, lub później jeszcze — stanowić musi sam przez się o ostatecznym losie całego projektu. Omawia on warunki, w jakich Irlandya ma być reprezentowana w parlamencie imperyalnym. Zasadę tego artykułu streszcza w taki sposób: Irlandya pozostaje integralną częścią monarchii; dla spraw swych krajowych mieć będzie swe własne ciało prawodawcze w Dublinie; zaś, ponosząc wespół z Szkocyą, Anglią i Walią ciężary ogólnopaństwowe z ich korzyściami i odpowiedzialnościami, musi brać udział w gospodarstwie ogólnopaństwowem: musi mieć reprezentacyę i głos w parlamencie imperyalnym.

Zasada słuszna — nieprawdaż? Dzisiejsi posłowie irlandzcy woleliby obejść się bez tej reprezentacyi, bo to... dałoby ich ciału prawodawczemu w Dublinie daleko więcej znaczenia i pozwoliłoby im pozbyć się stopniowo ostatnich śladów statutowej interwencyi wice-króla. Ale otwarcie tego nie wypowiadają i, zmuszeni popierać zasadę, która uwydatnia zwierzchnictwo W. Brytanii, usiłują nie dopuścić, by zwierzchnictwo to stało się w praktyce doraźnem. Chodzi bowiem o naznaczenie liczby tych imperyalnych reprezentantów Irlandyi. Artykuł IX. głosi, że być ich ma 80-ciu; na mniej nie zgodzą się nigdy obozy irlandzkie. Z tych 80-ciu, około 15-tu przypadnie na północne okręgi w Ulsterze, okręgi protestanckie i odrzucające dziś samorząd, który będzie samorządem ciemnej i zdemoralizowanej większości nad bardzo liczną mniejszością. Koło więc ludowe w Westminsterze składać się ma z 65-ciu posłów. Cała ta reprezentacya nie ma zabierać głosu w sprawach, obchodzących samą tylko Anglię, lub Walię, lub Szkocyę; ale głosować będzie w sprawach ogólno-państwowych, dotyczących Irlandyi zarówno z resztą monarchii.

Pomijam teraz, niezmiernie ważną wprawdzie, lecz i wielce zawiłą kwestyę (którą izba niższa musi jednak załatwić), co stanowić będzie sprawę ogólno-państwową, a co nie — i, zamiast długich argumentów, chcę czytelnikowi dać do zrozumienia praktycznie, w czem

leży „idyotyzm“ artykułu IX. Izba westminsterska, złożona z 647-miu członków, mieć będzie w tej liczbie 15-tu ulsterczyków i 65-ciu narodowców. Przypuśćmy, że po ogólnych wyborach, stosunek wzajemny stronnictw brytańskich będzie podobny do dzisiejszego: że więc konserwatystów będzie 295-ciu, a liberałów 272-ch. Izba zasiada i większość konserwatywna tworzy z pomiędzy siebie ministeryum. Operacya ta należy atoli do spraw — ogólno-państwowych, więc biorą w niej udział i Irlandczycy, którzy torysom wieczną poprzysięgli zagładę... i głosują z mniejszością. Rezultat jest ten: torysi z ulsterczykami, w liczbie 300 — są pobici przez liberałów z narodowcami, w liczbie 337. Salisbury ustępuje miejsca Gladstone'owi.

Zaraz potem izba przystępuje do programu prawodawczego, nad którym wyborcy Anglii, Walii i Szkocyi głowy sobie nałamali i w ciągu wyborów rozbijali... Gladstone wnosi bil kasaty anglikanizmu, lub przymusowej wstrzemięźliwości, lub absolutnie bezpłatnej oświaty. Projekt to nie obchodzący Irlandyi — Irlandczycy się z izby wynoszą. Rezultat: Gladstone odnosi porażkę i jedzie do Windsoru. Z Windsoru przyjeżdża Salisbury i... wprowadza budżet imperyalny: Irlandczycy wchodzą do izby. Rezultat: Salisbury pobity, górą Gladstone. Zaledwie zasiadł w ministeryalnym fotelu, aliści wyrzucają go zeń konserwatyści, odnosząc brytańskie zwycięstwo nad kwestyą... kanału i tunelu pod rzeką Clyde, między Anglią i Szkocyą. Nie cieszą się tryumfem ani dwóch godzin, bo w sprawie ceł herbacianych, miażdży ich z Irlandczykami obóz liberalny — i t. d., i t. p. „Matka parlamentów“ ucywilizowanego świata będzie pośmiewiskiem świata. W. Brytania zależeć będzie od trzech prowincyj irlandzkich — panami 30,000.000 Brytańczyków będzie $3^1/_2$ miliona Celtów i.., John Bull, nie mogący głosować w Dublinie, ministerya swe przyjmować będzie musiał z woli, zapewne pod daleko sięgającym naciskiem Dublina! A ileż w ustroju takim będzie pola do intryg i politycznej demoralizacyi?

Artykuły omawiające finansowość w przyszłej Irlandyi, pozbywam tem zdaniem: nie zgodzi się na nie W. Brytania, bo obarczają ją zbyt wielkiemi ciężarami, bez należytych gwarancyj; Irlandczycy odrzucają je jednomyślnie, bo grożą skarbowi dublińskiemu upadłością w pierwszym zaraz roku. Odrzucają je purytańscy i wstrzemięźliwi stronnicy p. Gladstone'a, bo tyle tylko zabezpieczają Irlandyi dochodu ponadbudżetowego, ile... rząd irlandzki ściągnie podatku od wódki i piwa! Arcykomicznem jest więc, że stronnictwo, obowiązane ukrócić nadużycie trunków upajających w W. Brytanii, miałoby głosować za takiem

„ufinansowaniem“ Irlandyi, któreby zależało od ile możności największej zachęty, dawanej... konsumentom alkoholu!

Przyznam się, że nie widzę powodu, dlaczegobym w tem właśnie piśmie rozbierał szczegółowo i specyalnie każdy artykuł bilu gladstońskiego. Wykazałem dwie jego niedorzeczności, a jest ich dużo więcej. Wolę odpowiedzieć temu czytelnikowi, który znów kiwa głową i pomrukuje sobie: „Pisz ty waść, co cierpliwy papier zniesie, ale... skądże nabrałeś więcej rozumu od Gladstone'a? Nie może ten bil tak być ‚idyotycznym‘, boć nie idyota go wymedytował i wypracował“. Odpowiadam: Redakcya bilu jest operacyą pióra, a pomysł należy do celek mózgowych. Jeżeli przypuszczę, że p. Gladstone nietylko jest niezrównanym krasomówcą i człowiekiem nieskończonych ambicyj, i... człowiekiem z cielesnej urobionym gliny, lecz że jest nadto szczerym — to powiem, że: nie domyślał się w r. 1886, kiedy podawał w izbie zarys tego projektu, i nie domyślał się tego roku, gdy urzędnicy ministeryalni pracowali nad zredagowaniem bilu, jaka różnica zachodzi między *velle* i *perficere*. Ja sam, proszę czytelnika, śpiewam sobie nieraz myślą sto tysięcy razy piękniej od... (fraszka Reszkowie!) dwunastu orkiestr tego świata, a gdy przyjdzie chęć gardłem to uczynić, to — od kota'm mizerniejszy. Może i p. Gladstone jest podobnym do mnie marzycielem.

Jeżeli zaś „dzielny starzec“ jest... mniej szczerym, to — czas odpowiedzieć na drugie pytanie, stawione u wstępu tej pracy: Czemuż gabinet i izba trwonią czas kosztowny nad rzekomo bezcelowemi debatami? Najprzód dlatego, bo się to solennie obiecało wyborcom: obiecało się usunąć zaporę irlandzką. Potem i z tej racyi, że w parlamencie siedzi i ruszyć się zeń nie myśli... 84-ch irlandzkich narodowców. Może też p. Gladstone zamierza... zabić cały projekt kilkomiesięcznem nad nim rezonowaniem, niecierpliwością W. Brytanii, lub niesfornością, jaka rozdziera wszystkie sekcye „obozu“ irlandzkiego. A może też istotne znaczenie bilu tego w tem jest, że uwydatni on najpierwszą i najniezbędniejszą potrzebę ogólno-państwową — potrzebę, spowodowaną nadmiernym rozrostem potęgi i odpowiedzialności państwowych: zdecentralizowania władzy prawodawczej w całem Zjednoczonem Królestwie. Ciążą i skłaniają się ku temu najznakomitsze powagi wszystkich stronnictw. Niechże ma swą izbę administracyjno-prawodawczą Irlandya — lecz niechże ją ma równocześnie i Anglia, i Szkocya, i Walia. A wtedy westminsterski parlament imperyalny przestanie być, czem jest dziś: maszyną bezużyteczną, bo przeciążoną własnym ogro-

mem — a nie będzie tem, czem bil... wielkiego marzyciela miałby go zrobić: jarmarczną budą dla fars bezustannych.

Londyn, 20 czerwca.

Edmund Naganowski.

Kilka dni na Elbie.

(Dokończenie).

Przedewszystkiem wypada zwiedzić zamek wznoszący się nad Dečinem, bo uchybienie temu obowiązkowi znaczyłoby to samo, co być np. w Krakowie, a nie widzieć Sukiennic. Wpośród ślicznych, cienistych alei podążam na dziedziniec zamkowy, ciesząc się w głębi duszy, iż na wieży nie powiewa żadna chorągiew, świadcząca o bytności pana, która w takim razie niezbyt jest pożądaną.

Zamek deczyński, noszący pod względem architektury monotonny nieco charakter zamków z XVII. w., tylko prześlicznemu położeniu na ogromnej stromej skale zawdzięcza swą malowniczość. Chociaż jednak na zewnątrz nie odznacza się wcale pięknością lub oryginalnością architektury, wnętrze jego wszakże posiada wszelkie cechy prawdziwie magnackiej rezydencyi. Oprócz bardzo ładnej kaplicy zawiera on bogatą bibliotekę, galeryę obrazów, gabinet numizmatyczny, zbrojownię, teatr i t. p. Przed oknami jego roztacza się, jak kobierzec, przepyszny ogród, którego główną ozdobę stanowi obfita kolekcya róż, kamelij i roślin paprociowatych, wraz z wybornie prowadzoną kulturą ananasów.

Miasteczko Dečin (Tetschen), leżące u podnóża góry zamkowej, jest niezaprzeczenie jednem z najstarożytniejszych miast czeskich, bo już w pierwszej połowie XI. w. wznosiło się na południowej stronie zamku, gdzie dziś istnieje wioska Altstadt. Po okropnej powodzi w roku 1059, która go najzupełniej zniszczyła, Dečin został przeniesiony na przeciwległą stronę skały. W XIII. wieku należał nawet do najbardziej kwitnących czeskich grodów, dobrobyt zaś jego mieszkańców, dzięki ułatwionej komunikacyi pomiędzy Czechami a Saksonią, coraz bardziej się wzmagał. Echo wojen husyckich nie obiło się prawie o mury tego miasta, lecz wkrótce rozpoczęła się wojna trzydziestoletnia, wiodąc za sobą głód, mordy i pożogę. Od roku 1628 miasto to wraz z zamkiem pozostaje w ręku hrabiowskiej rodziny Thun'ów, pochodzącej ze Szwajcaryi [1]. Dziś Dečin znowu w kwitnącym znajduje się stanie,

[1] Robert Manzer, *Die böhmische Schweiz,* w czasopiśmie *Rundschau für Geographie und Statistik.* Drezno 1889. — G. A. Ressel, *Bilder aus dem nördlichen Böhmen.* XVIII. Tetschen-Bodenbach. Aussig 1887, str. 103—105.

handel i przemysł coraz większe czynią postępy, liczne zaś zakłady naukowe przemawiają na korzyść zamiłowania oświaty u mieszkańców.

Najpiękniejszą bodaj rzeczą w całym Dečinie jest ogromny i wspaniały most łańcuchowy, łączący to miasto z sąsiednim Bodenbachem. Prześliczny też jest widok z tego mostu na dwa przeciwległe miasta, jak również na dolinę Elby i dalsze okolice, przerznięte pasmem gór, których stożkowate kształty świadczą o wulkanicznem pochodzeniu.

Bodenbach czyli czeski Podmokly, jest to niewielka, ale bardzo zamożna i przemysłowa mieścina. Pomiędzy nią a jej siostrzycą z przeciwległego brzegu Elby ogromna istnieje różnica. W Dečinie na każdym niemal kroku uderza piękno przyrody, umiejętnie ręką ludzką podniesione, które mimowoli jakoś wznioślej i poetyczniej nastraja duszę. W Bodenbachu przeciwnie, uczucie to ustępuje miejsca wrażeniu, iż się znajdujemy wśród pracowitych mrówek, którym ciągła walka o byt codzienny nie pozwala dbać o zadowolenie estetycznych wymagań. Całe niemal życie i wszystkie myśli mieszkańców ześrodkowują się w kilku fabrykach, stanowiących dla nich jedyne źródło zarobku. Najgłówniejsza z tych fabryk jest własnością pana Leonhardi. Nazwisko to warto zapamiętać, on bowiem połowie przynajmniej literatów, osiadłych w granicach Austryi, dostarcza niezbędnej ingredyencyi do ich utworów, to jest atramentu.

Właśnie dochodziłem do jednej z fabryk, gdy dzwon wieczorny zapowiedział koniec całodziennej pracy, a mnóstwo robotników i robotnic wysypało się na ulicę z posępnych budynków. Wśród ludzi tych zwrócił moją uwagę pewien wysoki, szczupły mężczyzna z długiemi, szpakowatemi włosami i w starej sukmanie, przypominającej swym krojem wielkopolskie ubiory. Ciekawość moja jeszcze bardziej się zaostrzyła, gdy usłyszałem, jak do idącej obok siebie kobiety odezwał się po polsku:

— Napracowałaś się dziś, moja Kasiu, hę?

Trudno wysłowić, jak miłego i silnego wrażenia doznaje się wówczas, gdy wpośród cudzoziemców usłyszymy niespodzianie dźwięki ojczystej mowy. Posłuszny temu wrażeniu, zbliżyłem się do robotnika i pozdrowiłem go zwykłemi słowy powitania:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odparł zagadnięty, ze zdziwieniem we mnie się wpatrując.

— Skądeście to, mój człowiecze? — zapytałem.

— O, z daleka, panie, z daleka, bo aż z pod Poznania, dokąd już

nigdy człek nie wróci — rzekł głosem złamanym, jakby go łzy dławiły. Żona tymczasem ocierała fartuchem zwilgotnione oczy.

— A jakimże trafem znaleźliście się tutaj? — ciągnąłem dalej.

— Oj, długa to, panie, historya, ale kiedy pan łaskaw, to proszę do naszej izby. Ubogo u nas, to prawda, ale pan wybaczy, boście przecie swój, a nie obcy.

— O tak, panie, chodźcie — poparła prośby męża kobieta — człek przynajmniej przemówi choć kilka słów po polsku, bo wśród tych Niemców przyszłoby nam nakoniec swojej mowy zapomnieć.

Nie opierałem się wcale zaprosinom poczciwych ludzi. Wkrótce też pierwsze lody pękły i serdeczna, przyjacielska potoczyła się gawędka. Biedny Wawrzek Bocian, przezwany od dawna przez swych towarzyszy Lorenzem Botzanem, opowiadał mi smutne dzieje swego życia, wspólne tylu synom nieszczęśliwej Polski. Jest to jedna z licznych ofiar bismarkowskiego *ausrotten*. Przed dwudziestu laty przesiedlił się on z Kongresówki do Wielkopolski, gdzie w pewnej wiosce nabył kawał gruntu, ożenił się, a w kilka lat później Pan Bóg obdarzył go dwojgiem dzieci. Ponieważ niewielki obszar gruntu nie wystarczał na wyżywienie całej rodziny, każdej więc zimy Wawrzek udawał się wraz z innymi sąsiadami do Saksonii na zarobek. Po kilku latach szczęśliwego pożycia, starszy synek, zmaltretowany w szkole niemieckiej przez nauczyciela, umarł. Odtąd rozpoczął się dla Wawrzyńca i jego żony cały szereg trosk i nieszczęść. Następnego roku, gdy jak zwykle zimą pracował w Saksonii, zaczęto z jego wioski wydalać mieszkańców, urodzonych poza obrębem Niemiec. Losowi temu uległ między innymi ojciec i brat Wawrzyńca, żona zaś widząc, że i z nią lada chwila toż samo stać się może, uciekła pewnego dnia z kilkoletnią córeczką, i po wielu cierpieniach dotarła do męża. Wkrótce potem jeden z bodenbachskich przemysłowców ogłosił, że potrzebuje robotników, Wawrzyniec więc zgłosił się do niego i w taki sposób biedni wielkopolscy wieśniacy znaleźli się niespodzianie w północnych Czechach.

— Wiedzie nam się tu nie źle, — ciągnął dalej mój gospodarz — ale coś zawsze korci człowieka.

— Oj, że korci, to korci — dodała żona, krzątając się żwawo koło skromnego posiłku. — Zdaje się, że tu i słonko Boże nie tak jasno świeci i ptaszęta nie tak ładnie śpiewają, jak u nas. A my już tego słonka i tych ptasząt nigdy nie zobaczymy, i Jaguś nasza zamiast wyjść za mąż za jakiegoś dziarskiego parobka, zostanie może żoną Niemca!

— O Boże! za coś nas tak okropnie ukarał!—westchnął stary i kilka grubych, serdecznych łez stoczyło się po pomarszczonej jego twarzy.

Długo jeszcze ciągnęła się rozmowa z poczciwymi ludźmi, a gdym odchodząc ścisnął rękę Wawrzyńca, ten ostatni zwyczajem polskiego wieśniaka objął mię za nogi i zawołał:

— Pomódlcie się tam, panie, na waszym Wawelu, żeby Pan Jezus nad nami się zlitował i pozwolił nam złożyć kości na polskim cmentarzu!

Biedni ludzie! a jest ich tylu, ach! tylu, rozproszonych po świecie! Czyż istnieje bowiem choć jeden na ziemi zakątek, w którymby się nie znalazło kilku polskich tułaczy, podobnych do jaskółek, które dziki jastrząb wygnał z rodzinnego gniazda!...

Nazajutrz rano pociąg osobowy dowiózł mię do Hrenska (Herrnskretschen). Oryginalne to miasteczko ciągnie się na długim i wązkim pasie ziemi pomiędzy Elbą z jednej strony, a wyniosłemi skałami z drugiej. Niewiele chyba znajdzie się miejscowości, któreby na każdym kroku tyle przedstawiały niespodzianek. Tu jakiś domek przyczepiony do skały, jak orle gniazdo, tam na znacznej wysokości skalisty taras, otoczony balustradą i służący za *Aussichtspunkt*, o kilka kroków dalej malownicza grota, opleciona bluszczem i wabiąca swą tajemniczością. Na wybrzeżu snują się tłumy strojnych pań i panów, Hrensko bowiem jest jedną z najulubieńszych willegiatur na pograniczu Saksonii. O ile jednak latem mieścina ta tętni życiem i gwarem, o tyle w zimie wydaje się pustą, smutną i prawie bezludną.

Już słońce wysoko wzbiło się na widnokrąg, gdy uzupełniwszy o ile się dało moje geograficzne wiadomości co do najbliższej okolicy, powędrowałem do Żandowa (Schandau) *per pedes apostolorum*. Dzień był prześliczny, droga wiodła nad brzegiem Kamnitzbachu, wpadającego w Hrensku do Elby. Po półgodzinnym pochodzie znalazłem się w dolinie Edmundsgrund, którą Humboldt nazywa najpiękniejszą na świecie. Środek jej przerzyna bystry, górski potok, granice zaś zamykają skały o najdziwaczniejszych kształtach. Prześliczne jodły i buki, odzwierciedlające zielone korony w krystalicznej powierzchni wód, ogromne bryły piaskowca, sterczące z łożyska potoku i porośnięte mchem albo paprocią, a wreszcie cudowna gra kolorów, wywoływana oscylacyą promieni słonecznych pomiędzy ciemną zielenią drzew a srebrzystą taflą wody, wywierają wrażenie, które niełatwo zaciera się w pamięci.

Słysząc niejednokrotnie pełne zachwytu opowiadania o czesko-saskiej Szwajcaryi, myślałem sobie, iż nazwa to niezasłużona, a przy-

najmnej zanadto przesadna. Dopiero znalazłszy się w samem sercu gór, noszących to miano, przekonałem się, że domysł mój był najzupełniej mylny. Istotnie chyba tylko szwajcarskie Alpy mogą pod względem piękności i rozmaitości kształtów współzawodniczyć z fantastycznym górskim łańcuchem, ciągnącym się po obu brzegach Elby od Dečna aż do Pirny. Na dziwaczność, a zarazem majestatyczność tych gór składa się głównie poziomy układ warstw najważniejszego ich składowego materyału, to jest piaskowca, jak również poziomy kierunek rozpadlin i szczelin, oraz niezwykła porowatość i zdolność wietrzenia, cechująca ten minerał. Samotne górskie szczyty, których nagie ściany wyłaniają się groźnie z zielonej gęstwiny lasów, wązkie głębokie wąwozy, opasane prostopadłemi lub pochyłemi, wyszczerbionemi i wyzębionemi stokami, z mnóstwem grot, gzemsów, naturalnych wieżyczek i kopuł, a wreszcie leśna flora, zdumiewająca niezwykłem bogactwem, lub skarłowaciała w walce z wiatrem i burzami — wszystko to miesza się, łączy ze sobą, tworząc całość wprawdzie dziką, lecz niepospolicie piękną. Ostrość konturów każe nam zapominać o nie dość znacznej ich wysokości i zaczynamy rozumieć, dlaczego mieszkańcy prześlicznych tych okolic oznaczają je z dumą nazwą Szwajcaryi. Miano to zresztą, jak się później dowiedziałem, zostało nadane tym górom przez rodowitych Szwajcarów, malarza Graffa († 1816) i rytownika Zingga († 1813), którym skalisty labirynt, rozpostarty na pograniczu Czech i Saksonii, wydał się jakby miniaturą pięknej ich ojczyzny.

O stoki tych gór, zwanych również Elbe-Sandsteingebirge, uderzały niegdyś fale ogromnego jeziora, które zajmowało całe niemal wnętrze Czech. Skutkiem wulkanicznych wybuchów w stożkowatem dzisiejszem Středohoří, wody tego jeziora pod wpływem nagłego wstrząśnienia i parcia przedarły się przez warstwy piaskowca, na których już od dawna swych sił próbowały i wyżłobiły sobie głębokie łożysko. Łożyskiem tem jest Elba, płynąca z Czech do Niemiec i dzieląca łańcuch z piaskowca na dwie nierówne części [1]. Do szerokiego koryta Elby zlewa swe fale mnóstwo strumieni, przerzynających niejedną miejscowość, której może nigdy ludzka nie tknęła stopa. Lasy olbrzymich drzew pokrywają góry i doliny, a na niejednym odłamie skały, który, jakby się zdawało, nie zdołałby najlichszej trawce dostarczyć niezbędnych soków, wzrastają wspaniałe drzewa, oplatając twarde głazy swemi konarami. Przez gęsty dach igieł i zielonych liści zaledwie pro-

[1] R. Manzner, *Die böhmische Schweiz.*

mień słońca może się przedrzeć, rzucając blade, niepewne światło, a w półcieniu tym rozwijają się jedynie rośliny nie lubiące słońca, jak mchy i paprocie. Tu i ówdzie wpośrodku łożyska rzeki występuje zapora z piaskowca, zdając się urągać śmiałemu wioślarzowi: Ani kroku dalej! Lecz woda potrafiła przebić tę tamę i płynie sobie dalej, skacząc po kamieniach. Ona to również przewierciła w niejednem miejscu pokłady piaskowca, oraz nadała skałom dziwaczne ich kształty. Całość zaś tych brył skalistych, nagromadzonych chaotycznie i jakby rzuconych dłonią jakichś przedhistorycznych olbrzymów, jest niemem świadectwem okropnych kataklizmów w przyrodzie, które nie przypadek, lecz wyższa, niepojęta i niezwyciężona wywołała Siła.

Lecz oto i *Prebiska brama (Prebischthor),* najciekawsza chyba i najbardziej godna widzenia igraszka natury w całym tym labiryncie olbrzymich brył i głazów. Wyobraźmy sobie dwie ogromne skały, odległe od siebie o 15 metrów i połączone u góry niezbyt grubą warstwą piaskowca. Naturalna ta brama, zwana przez niektórych *Porta Bohemica,* wygląda prawdziwie wspaniale. Wysokie zaś skaliste szańce, przeplatane tu i ówdzie grupami drzew i ciągnące się opodal we wszystkich kierunkach, stanowią jakby tło do tego obrazu. Głęboka cisza, jaka zwykle tam panuje, potęguje jeszcze piękno dzikiej, dziewiczej przyrody.

Gdyby Ujejski — pomyślałem sobie — widział urocze to ustronie, nie potrzebowałby w jednym ze swych utworów wołać z rozpaczą prawdziwego mizantropa:

Pod ziemię! pod ziemię! daleko od ludzi,
O byle cichego gdzieś schronu!
Ich głos mnie tak męczy, ich gwar mnie tak nudzi,
Jak odgłos grobnego podzwonu;

tu bowiem znalazłby ów niczem nie zamącony spokój, którego tak pragnął,

By módz choć raz zostać ze swemi myślami,
Ze swemi myślami i z Bogiem!

Puściwszy wodze marzeniom, zelektryzowanym niezwykłym czarem okolicy, szedłem coraz dalej i dalej nie spostrzegając, że we wszystkiem, co mnie otaczało, jakaś stopniowa, ale dość szybka następowała zmiana. Wiatr miotał coraz gwałtowniej gałęziami drzew, jaskółki obniżyły lot, unosząc się nad samą niemal ziemią, na niebie zaś, tak niedawno jeszcze najmniejszą nie splamionem chmurką, ukazały się złowróżbne obłoki, które wicher szarpał, gonił i zlewał jedne z drugiemi w brzydką, szarożółtą masę.

— Oj źle — westchnąłem, oglądając się dokoła, czy nie dostrzegę

gdzie w pobliżu jakiegoś ludzkiego siedliska. Zamiast niego ujrzałem o kilkadziesiąt kroków drugiego towarzysza niedoli, który niebawem zrównał się ze mną i rzekł ocierając chustką spocone czoło:

— *Uff! mein Gott! wie müde bin ich doch!*

Niespodziany mój towarzysz, odznaczający się przedewszystkiem okazałą tuszą, był, jak się później dowiedziałem, pruskim hofratem, któremu lekarze dla zmodyfikowania nieco jego obwodu, kazali używać jak najdłuższych przechadzek po górach i wertepach. Ponieważ nieszczęście zbliża ludzi, prędzej więc niż w jakichkolwiek innych okolicznościach, zabraliśmy ze sobą znajomość i zaczęliśmy się naradzać nad wspólną biedą.

— Jak się panu zdaje, czy zdołamy jeszcze przed burzą dotrzeć do Schandau? — zapytał po chwili mój interlokutor.

— O, z pewnością nie — odparłem, przypatrując się zadyszanemu Niemcowi.

— No, to w takim razie musimy gdzieindziej poszukać schronienia. Czekaj pan — dodał — mam tu mapę najbliższej okolicy, nakreśloną przez mego *Hausarzta;* zobaczymy, czy nie znajdzie się w pobliżu jaka wioska lub osada.

To mówiąc, systematyczny Niemiec usiadł na kamieniu, wydobył z jednej kieszeni okulary, z drugiej zwój papierów i po długiem szukaniu pokazał mi z tryumfem pożądaną mapkę.

— Jest! jest! — zawołał po chwili — ot tu w kierunku południowo-wschodnim, nie... południowo-zachodnim, przeczytaj pan tylko, jak się to nazywa, bo ja coś nie dowidzę.

— *Niedergrund* — przeczytałem — to jakaś wioska.

— A może tu będzie lepiej — rzekł, wskazując palcem inny punkt na mapie.

— Nie mamy czasu do stracenia — zauważyłem, uwagę zaś moją poparł donośny grzmot, który się rozległ opodal.

Ruszyliśmy więc naprzód, ale daleko szybciej od nas postępowała burza. Grzmoty, które dotąd huczały z daleka, stały się coraz silniejsze, nagle nawet zaczęło się ściemniać, a gdy pierwsza błyskawica przedarła szarą oponę chmur, przerażony hofrat zawołał:

— *Aber du mein Himmel!* czyż już nigdy nie dojdziemy?

— Jeszcze kawałek drogi—rzekłem na pociechę Niemca, spostrzegłszy na przeciwległem, choć dość dalekiem wzgórzu, jakieś zabudowania.

Ale, niestety, zadyszany hofrat musiał się zatrzymać dla złapania oddechu i po długiej dopiero chwili puścił się w dalszą drogę.

Wprzód więc, niż zdołaliśmy dotrzeć do podnóża góry, lunął deszcz jak z cebra, połączony z tak gwałtownym wichrem, żeśmy obaj z największą trudnością posuwali się naprzód. Wreszcie przemokli do nitki, dostaliśmy się do jakiejś oberży, którą jak zbawczą powitaliśmy przystań.

Po chwili siedzieliśmy już w dużej izbie, gdzie, pomimo iż to było w sierpniu, płonął wesoło ogień, wkrótce zaś służąca przyniosła na tacy dwie szklanki i butelkę wina.

Rozgrzawszy się nieco winem i siedzeniem przy piecu, hofrat zaczął się oglądać dokoła i znacząco kręcić głową.

— No — odezwał się po chwili — możemy sobie powinszować, żeśmy się dostali do prawdziwej dziury. Spojrz pan tylko na ten stół o trzech nogach i kulawe stołki, na ten brudny, obszarpany tapczan, mający reprezentować sofę.

— W takiej górskiej oberży, jak tutejsza, — odparłem z uśmiechem — niepodobna wymagać wielkiego komfortu, i jeżeli nam tu dadzą trochę chleba i mięsa, oraz czystej słomy na posłanie, to powinniśmy najzupełniej być zadowoleni.

— Co? ja mam spać na słomie!? — krzyknął przerażony Niemiec. — Czyż tu niema łóżek?

— Tego nie wiem, — odrzekłem sucho — ale zaręczam panu, że i na słomie wyśpimy się wybornie, zwłaszcza po takiem zmęczeniu.

— Otom się wybrał! — westchnął rozpaczliwie hofrat. — Jakież nieszczęsne fatum zagnało mię tu dzisiaj! W dodatku — dorzucił półgłosem, zwracając się do mnie — o tutejszym gospodarzu opowiadają w Schandau okropne historye. Ma on utrzymywać stosunki z przemytnikami i złodziejami, a nawet niejedno życie ludzkie cięży mu już na sumieniu. Nora zaś jego — zakończył, oglądając się dokoła — wygląda, jak prawdziwe zbójeckie gniazdo.

W tej chwili na progu ukazała się znowu służąca, niosąc zakopconą blaszaną lampkę, której słaby promyk wydzielał nader silną i niemiłą woń nafty. Za nią wszedł gospodarz, wołając od progu:

— Dobry wieczór, moi panowie! Deszcz musiał nie złą sprawić panom kąpiel?

— Naturalnie — odrzekłem z uśmiechem, chociaż i na mnie niezbyt miłe wrażenie wywarła powierzchowność gospodarza, którego brzydkie i nieregularne rysy przy migotliwem świetle lampki bardziej jeszcze niesympatyczny przybrały wyraz. Nie chcąc jednak zdradzić swego niepokoju, zapytałem z udaną swobodą, co dostaniemy na wieczerzę.

— Niewiele panowie u mnie znajdziecie, bo oprócz chleba, ma-

sła i szynki, niczem więcej służyć nie mogę. Wina jednak — dodał z naciskiem — mogę dostarczyć panom, ile się podoba, bo go nigdy u mnie nie braknie.

— Może jaka trucizna albo narkotyk — szepnął hofrat tak, aby oberżysta nie mógł go usłyszeć.

Niebawem ukazała się na stole szynka, chleb i masło, które pomimo niepokoju wybornie nam smakowały.

Po odejściu gospodarza, hofrat, który na jego widok cofnął się o kilka kroków, zbliżył się do mnie i rzekł półgłosem:

— Wiesz pan, ten nicpoń wygląda doprawdy, jakby się niedawno urwał z szubienicy. Co za nieszczęście, żeśmy się dostali do tej wilczej jamy!

— No, zapewne nie jest on podobny do belwederskiego Apolina — odparłem siląc się na uśmiech, aby nie dać poznać po sobie, że i mnie również było niewesoło.

— Pana żarty się trzymają, a tu tymczasem możemy się spodziewać, że ten kaliban zechce nas w nocy wyprawić z tego świata, i nikt nawet się nie dowie, co się z nami stało.

— Nie warto tak czarno zapatrywać się na rzeczy, — pocieszałem mego towarzysza — zresztą nie jesteśmy sami, bo na dziedzińcu słychać jakieś głosy.

— Tak, to zapewne wspólnicy tego łotra, którzy się go pytają, czy dziś wieczorem będzie jaka gratka.

To mówiąc, hofrat coraz bardziej przerażony, zdjął zegarek ze złotym łańcuszkiem, zawinął go w papier i schował do buta. Potem wyjąwszy parę złotych reńskich na zapłacenie rachunku, w tę samę drogę wyprawił pugilares.

— Radzę panu uczynić to samo — odezwał się do mnie, zajęty jeszcze ukrywaniem swych precyozów — gdyż jeżeli...

Dalsze słowa zamarły mu na ustach, bo w tej samej chwili wśród wieczornej ciszy rozległ się świst tak przeraźliwy, że mimowoli obaj zerwaliśmy się z miejsca i uzbroiliśmy się w noże, leżące na stole.

Jednocześnie wszedł gospodarz i wpatrując się w nas badawczo, zapytał:

— Czy panowie oczekują tu kogo dziś wieczorem?

— O tak — zawołał hofrat, nabierając animuszu — dwaj oficerowie z Schandau mają się tu z nami dziś spotkać.

— Doprawdy? przy takiej burzy i o tak spóźnionej porze? — rzekł gospodarz niedowierzająco. — No, o tem zaraz się przekonamy —

dodał, wyjmując z szafy długi róg myśliwski. Potem otworzył okno i gwizdnąwszy trzykrotnie, wpatrzył się w ciemną przestrzeń, w której po chwili jakieś tajemnicze światełka, podobne do błędnych ogników, ukazywać się zaczęły.

— A więc i dziś jeszcze! tegom się nie spodziewał, — mruknął jakby do siebie i wyszedł z pokoju.

Niebawem na ganku rozległy się głosy.

— *No, wos is denn dou?*

— *Wir seins, macht a Bissl of.*

— *Wos wollt denn so speite dou?*

— *Wir wolln og amou die Pfeife oglemm.*

— *So? ich mache nei of, wir schlaufen schon.*

— *Nee, macht og of, wir müssn amou undasuchen, ob dou drinne fremde Lojte sein.*

Po chwili wszedł oberżysta, mówiąc z ironicznym nieco uśmiechem:

— Rzeczywiście przybyli do mnie goście, ale to, jak sądzę, nie są pańscy znajomi.

— Co? — zawołał przestraszony hofrat — i pan śmiesz jeszcze to mówić?

— Dlaczegóżby nie?

— Któż to są ci ludzie? — zapytałem w celu zamaskowania trwogi mego towarzysza.

— Nie sądźcie — przerwał rozdrażniony hofrat — aby w Schandau nie wiedziano, że tu dziś jesteśmy, i biada wam, jeżeli coś złego przeciw nam knujecie.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się serdecznie gospodarz — coś podobnego jeszcze mi się nigdy nie zdarzyło! Jeżeli panowie chcecie tak koniecznie wiedzieć, kto przybył w tej chwili, to powiem szczerze, że przemytnicy, poczciwi zresztą ludziska, pracujący w pocie czoła na kawałek chleba.

— Gdzież będziemy spali? — zapytał hofrat nieuspokojony wcale tą odpowiedzią.

— Tam — odparł gospodarz, wskazując pod sufitem wejście na strych, do którego przystawiona była drabina.

— W takiej dziurze? jak pan możesz przypuszczać coś podobnego?

— Gdzież więc — zawołał zniecierpliwiony gospodarz. — Tu na dole rozlokują się przemytnicy, więcej zaś ubikacyj nie posiadam. Zresztą — dodał — łóżka tam są czyste i dobrze usłane, nocleg więc wcale zły nie będzie. Uprzedzam tylko, że światła palić nie wolno, bo w razie pożaru nie zdołalibyście go ugasić.

Chcąc nie chcąc wdrapujemy się po drabinie i omackiem trafiamy do łóżek.

— Dobranoc, przyjemnych snów! — woła z dołu gospodarz, odsuwając drabinę.

— Masz tobie! złapał nas jak myszy do pułapki — krzyknął zrozpaczony mój towarzysz.

Tymczasem z dołu dolatuje do nas coraz częstszy odgłos otwierania i zamykania drzwi, rzucania pakunków, suwania mebli, brzęku talerzy i szklanek. Pomimo tej wrzawy, dzięki zmęczeniu, zasnęliśmy na twardych siennikach, które nam się wydały królewskiem posłaniem.

Nagle, gdy już w najlepsze zacząłem składać hołdy Morfeuszowi, obudziło mię silne wstrząśnienie i szept hofrata.

— Słyszysz pan, tu ktoś jęczy?

— Eh! to panu tak się zdaje — odpowiadam nawpół śpiący.

— Ale gdzietam się zdaje, posłuchaj pan tylko.

Nadstawiam więc ucha. Rzeczywiście w pobliżu rozlega się jakiś przytłumiony dźwięk, podobny do jęku lub łkania.

— A co? — mówi tryumfująco hofrat. — Dobrze, że mam nóż przy sobie — dodaje umyślnie podniesionym głosem — bo przynajmniej nie dam się zamordować jak owca i drogo sprzedam swe życie.

Po tych słowach usłyszeliśmy znowu też same dźwięki, a po nich jakby szydercze, przytłumione śmiechy. Wreszcie wszystko ucichło i niepostrzeżenie dobroczynny sen skleił nam powieki. Nie słyszeliśmy nawet odjazdu przemytników, bo dopiero o ósmej rano zbudził nas głos gospodarza.

— Wstawajcie panowie, prześliczny mamy ranek.

— Bogu dzięki, ale za to noc była okropna, nigdy jej nie za pomnę! — odrzekł nadąsany hofrat, gramoląc się z drabiny. Wreszcie stanąwszy na podłodze zapytał, mierząc gospodarza badawczem spojrzeniem:

— Powiedz mi pan, czy na strychu nikogo oprócz nas nie było?

— W pokoju, gdzie panowie spali? tak...

— Kłamstwo! tam był ktoś jeszcze — krzyknął zaperzony hofrat, któremu światło dzienne widocznie dodawało odwagi.

— Aha! rozumiem o co chodzi — odrzekł śmiejąc się gospodarz. — Rzeczywiście mieliście panowie towarzystwo, ale oddzielone od was przepierzeniem. Może zechcecie zabrać z niem znajomość? *Minna! Gretchen! kommt mal her, meine Kinder* — zawołał uchylając drzwi.

Po chwili wbiegły do pokoju dwie kilkunastoletnie dziewczynki, patrząc na nas z ironicznym uśmiechem.

— To wy, figlarki, nie dałyście nam spać tej nocy? — zapytuję starszej. — Pocóżeście tak okropnie jęczały?

— Aleśmy wcale nie jęczały — wołają obie, trącając się łokciami.

— A przecie ja wyraźnie słyszałem pisk — dodaje hofrat.

— I nie piszczałyśmy również, tylkośmy musiały zatkać sobie usta chustkami, aby się powstrzymać od śmiechu.

— Z czegóż miałyście się śmiać?

— Bo pan się tak strasznie bał i tak zabawnie wygrażał nożem — odparła starsza i pociągnąwszy za sobą siostrę wybiegła z pokoju.

Po tych słowach spojrzeliśmy po sobie nieco zmieszani, a wreszcie głośnym parsknęliśmy śmiechem.

Wkrótce potem nocne strachy przyniosły nam śniadanie, gospodarz zaś oświadczył, że może nas na swym wózku odwieźć do Żandowa.

Tak się skończyła moja wycieczka w głąb czeskiej Szwajcaryi.

Żandow (Schandau), to północna kończyna pięknej ziemi Czecha, ale bynajmniej nie kres dawnych ziem słowiańskich, wszędzie bowiem wzdłuż koryta Elby napotykają się miejscowości, których nazwy, choć znacznie przekręcone, świadczą niewątpliwie o tem, że Słowianie pierwsi założyli tam osady i wprowadzili kulturę. Później dopiero zaborczy potomkowie Germanów zdobyli mieczem to, co zdziałała praca łagodnych i spokojnych plemion, oraz cudze dzieło za własną poczytali zasługę.

Tę przewagę silniejszego nad słabszym czułem już zresztą od dawna w całych północnych Czechach, zwanych przez Niemców *Deutschböhmen*, gdzie obcy język i zwyczaje rozpościerają się coraz bardziej na niekorzyść tubylców, oraz gdzie wszelki objaw umysłowego życia ze strony prawdziwych synów tej krainy niemal za zbrodnię jest poczytywany. Świeżo jeszcze miałem w pamięci złośliwe napaści i szykany, powtarzane chórem przez wszystkie niemieckie dzienniki w północnych Czechach, które nie mogły znaleść dostatecznych wyrazów oburzenia z powodu, iż w Moście (Brüx) zaczęło wychodzić czeskie czasopismo, pomawiane przez germańskich kulturträgerów o zamiary *der Tschechisirung*.

Ze smutnem więc wrażeniem opuszczałem ziemię czeską, złączoną z naszą ojczyzną tyloma dawnemi węzłami; ziemię, z której przyszedł do nas chrystyanizm i która później na władców swoich zapraszała naszych Jagiellonów.

Pośpiech, towarzyszący zwykle podróży, przerwał niebawem wątek posępnych mych rozmyślań. Niezwłocznie po przybyciu do Żandowa

należało pomyśleć o wyszukaniu statku, odpływającego do Drezna. Wraz ze mną weszło na pokład kilku urzędników z saskiej komory celnej dla dokonania rewizyi pakunków, która w nader grzeczny odbyła się sposób. Niebawem parowiec podnosi kotwicę i płyniemy dalej po srebrnej toni, która coraz szerszem rozlewa się łożyskiem. Ładne domki i wille stacyi klimatycznej w Żandowie zdają się umykać przed nami i kryć poza zieloną kotarą drzew. Na prawym brzegu ciągną się kamieniołomy, które wprawdzie dostarczają materyału do budowy drezdeńskich pałaców, ale na tle wspaniałego górskiego łańcucha wyglądają jak na futrze miejsca, uszkodzone przez mole. Kamieniołomy te dochodzą aż do góry Lilienstein, zwanej niegdyś przez Słowian Kamenem św. Iliji. Jest to skalisty olbrzym, sterczący na 404 metry ponad powierzchnią Elby i z powodu niezwykłej majestatyczności uważany za prawdziwą perłę saskiej Szwajcaryi. Naprzeciw niego na lewym brzegu rzeki wita nas szereg domów miasteczka Kralów Kamen (Königstein), przypartego do podnóża skały, na szczycie której na wysokości 360 metrów wznosi się twierdza tegoż nazwiska. Dawniej warownia ta mogła urągać zuchwale najśmielszym napastnikom, dziś z powodu znacznych ulepszeń techniki wojennej nie odpowiada już pierwotnemu swemu przeznaczeniu i została zamieniona na cytadelę. W więzieniu tem odsiadywało karę wielu politycznych przestępców, lub niepoprawnych utopistów, jak naprzykład kanclerz Krell, Liflandczyk Jan Patkul, socyalista moskiewski Bakunin, a wreszcie alchemicy Klettenberg i Böttger. Nawiasem zaznaczyć możemy, że ten ostatni uwięziony w Königsteinie za nieszczęśliwe próby robienia złota, później w okolicach tego miasta wynalazł porcelanę.

Za Königsteinem krajobraz coraz bardziej staje się urozmaicony. Od strony prawej na stromej skale czerniejąą zwaliska zamku Altrathen, leżącego w gruzach od r. 1530. U podnóża jego rozpościera się wesoła mieścina Rathen, otoczona ogrodami i winnicami. Tu i ówdzie tylko nieszczęsne kamieniołomy psują ogólną harmonię i piękność krajobrazu. Dalej mijamy kilka mniej lub więcej ładnych wsi lub miasteczek, rozrzuconych pomiędzy odnogami górskiego łańcucha, który się ciągnie aż do Perny (Pirna). Miasto to, założone, jak twierdzą ogólnie, przez Wendów czyli Serbów łużyckich, leży u podnóża góry Sonnenstein, na której już w pierwszej połowie XIII. wieku wznosił się zamek, zamieniony w r. 1811 na szpital dla obłąkanych. Co do samej Perny, to należała ona przez czas długi do Miśnijskiego biskupstwa, w roku zaś 1074 dostała się w posiadanie Czech, w którem pozosta-

wała aż do czasów Jerzego Podjebrada. Wojny szwedzkie niemało temu miastu dały się we znaki, później zaś Napoleon kazał silniej jeszcze niż poprzednio obwarować twierdzę na Sonnensteinie, którą wojska skoalizowanych mocarstw kilkakrotnie oblegały. Dziś mieścina ta liczy przeszło 12.000 mieszkańców i jest ogniskiem dość ożywionego przemysłu.

W Pernie wsiadł na nasz statek jakiś staruszek z harfą w ręku i złożywszy głęboki ukłon całemu personalowi, zaczął śpiewać miłym, choć drżącym głosem znaną balladę Uhlanda:

Es stand in alten Zeiten ein Schloss so hoch und hehr,
Weit glanzt es über die Länder bis an das blaue Meer,
Und rings von duftigen Gärten ein blüthenreicher Kranz,
Drinn sprangen frische Brunnen im Regenbogenglanz.

Poważny, melodyjny śpiew nowożytnego barda harmonizował tak wybornie ze szmerem fal i pięknością nadbrzeżnych okolic, że po skończonej pieśni wszyscy podróżni obsypali śpiewaka rzęsistemi oklaskami. Zwłaszcza sentymentalne Niemki prześcigały się w okrzykach: *Ach wie schön, wie entzückend!* marki zaś i fenigi sypały się obficie do kapelusza starca.

Jakby na podziękowanie, nadelbiański trubadur wziął znowu kilka smętnych akordów i kalecząc wprawdzie wyrazy, lecz zachowując wyśmienicie charakterystykę melodyi, odśpiewał ukraińską dumkę:

Dolaż moja, hirka dola,
Widkil ty wziłasia?
Skaży dola, de ty buła,
De ty wrodyłasia?...

— Skąd pan to umiesz? — zapytałem pieśniarza, gdy przestał śpiewać — wszak, jeżeli się nie mylę, jesteś pan Niemcem?

— Tak, jestem Niemcem z pogranicznego miasteczka Presnitz w północnych Czechach, piosnki zaś tej nauczyłem się od Kozaków podczas wyprawy moskiewskiej do Kaszgaru.

Tu starzec zaczął opowiadać o ekspedycyi dokonanej przez Rosyan nad brzegi Tarymu. Z początku z niedowierzaniem słuchałem słów jego, później jednak przynajmniej w głębi duszy musiałem prosić go o przebaczenie. Opowiadanie jego przygód, obrazy walk azyatyckich przezeń kreślone odznaczały się taką prawdą i życiem, że niepodobna było brać je za wytwór wyobraźni, zwłaszcza u dość prostego i niewykształconego człowieka. Dotarł on istotnie z Rosyanami do Kaszgaru, wprawdzie nie z szablą lub bagnetem, ale z harfą i skrzypcami. Jako naczelnik dość licznego grona presnickich muzyków i śpiewaków, spę-

dził lat kilka w ogromnej kolonii niemieckiej Sarepcie nad Wołgą, potem w Saratowie i Astrachaniu, grając lub śpiewając Rosyanom, Niemcom, Tatarom, Armeńczykom, Persom i Hindusom. Wreszcie wraz z tylną strażą oddziału generała Kaufmana dostał się nad brzegi Tarymu. W azyatyckiej pustyni wiodło się wcale nieźle tak jemu, jak też i jego gromadce. Dlatego też z pewnem upodobaniem mówił o rosyjskich oficerach i żołnierzach, dni zaś, w których wojsku wypłacano żołd i po których następowały wesołe nocne uczty, wyryły się w jego pamięci wraz z rublowemi papierkami.

— A dokądże pan teraz podążasz? — zapytałem presnickiego minstrela.

— Do Hamburga, a stamtąd do Nowego Jorku, gdzie moja córka Resi, także śpiewaczka, wychodzi teraz za mąż i mnie na ślub zaprosiła. Mam tam i drugą córkę Fanny, ale ta nie chce zostać żoną żadnego Jankesa i na wiosnę prawdopodobnie wróci ze swą kompanią do Presnitz.

Z dalszego opowiadania dowiedziałem się, że corocznie połowa prawie ludności malutkiej tej mieściny, liczącej zaledwie 4000 mieszkańców, dzieli się na grupy i wędruje do rozmaitych krain świata. Każda taka gromada muzyków i śpiewaków składa się przynajmniej z 50 osób i rządzi komunistycznemi zasadami. Na czele tego *fahrendes Völkchen* stoi dowódca, zwykle w podeszłym wieku, którego obowiązki są nader liczne i skomplikowane. Jest on zarazem ministrem spraw wewnętrznych i finansów, gdyż rozdziela dochód, oraz kieruje wydatkami i domowem gospodarstwem, ministrem komunikacyi, urządzającym „artystyczne wycieczki“, a wreszcie ministrem wojny, zmuszonym toczyć walki z chciwymi oberżystami i natrętnym tłumem. W sprawach innego rodzaju wyrokuje zwykle większość głosów. W ciągu takich wypraw wiele śpiewaczek wychodzi za mąż i do Presnicy wraca niekiedy zaledwie połowa wędrownych artystów. Po skończeniu czwartego krzyżyka każda taka ludowa śpiewaczka, której się nie udało wyjść za mąż za granicą, musi już zawiesić na ścianie swej chaty harfę, gitarę lub skrzypce. Mężczyźni o kilkanaście lat dłużej wiodą swe rzemiosło, poczem wracają do domu, żywiąc ciało dorobkiem uzbieranym na obczyźnie, duszę zaś — dawnemi miłemi wspomnieniami.

— I dla mnie już wkrótce nadejdzie ta pora — zakończył z westchnieniem starzec.

Na pogadance ze śpiewakiem czas upływał niepostrzeżenie, tak, że zdziwiłem się niemal ujrzawszy w oddali mury saskiej stolicy, oblane ognistą łuną zachodzącego słońca. Zbytecznem byłoby poświęcać choć

słów kilka opisowi miasta, które już tylekroć zwiedzano i opisywano, a z którem łączy nas pewna nić sympatyczna, dla wielu bowiem naszych rozbitków, miotanych srodze falami życia, stało się ono przystanią. Od dawna też Drezno jest jednem z główniejszych ognisk umysłowego ruchu Wendów, mających tam nawet swe stowarzyszenie pod nazwą *Jednota*. Z pobratymczem tem plemieniem zabrałem wkrótce ściślejszą znajomość podczas wycieczki na Dolne Łużyce i Błota *(Spreewald)*; wrażeniami zaś stamtąd odniesionemi mam nadzieję podzielić się w przyszłości z czytelnikami *Przeglądu*.

Tytus Sopodźko.

Korespondencya Redakcyi.

W „Sprawach Kościoła“ z maja, pisząc o wiadomych konszachtach ks. Wincentego Vanutellego z Pobiedonoscewem, wspomnieliśmy o tem, że ten Vanutelli wydalony został z Zakonu św. Dominika i tuła się po Rosyi i innych krajach, bez żadnej misyi kościelnej lub zakonnej, celem tylko zwrócenia na siebie uwagi i zrobienia sobie reklamy. Że ta rzekoma misya pojednawcza Vanutellego, te rady, jakie dawał księżom katolickim na Podolu, były zupełnie samozwańcze, o tem mieliśmy informacye z najlepszego źródła; że zaś ten Vanutelli wydalony został z zakonu, o tem słyszeliśmy od poważnych tegoż zakonu członków za granicą, z okazyi skarg na fałszywe wiadomości, jakie pisał o innych krajach, podobnie jak o naszym.

Tymczasem dostajemy temi dniami z Rzymu następujący list:

Dans le numero du mois de Mai de la Revue Universelle (Przegląd Powszechny) de cett' année, il y a à ma charge des affirmations et des insinuations compromettants. Quand on se respecte, on ne descend pas à des bassesses semblables. Si on n'a pas d'autre argument pour réfuter mes écrits, c'est signe que j'ai dit la verité. Je ne m'abaisserais pas à combattre ou dementir ce qui a été écrit contre moi dans votre Révue. Si on veut des informations sur mon compte, il est bien facile d'en avoir et je n'y perdrai rien.

Je compte sur votre honneteté pour l'insertion de ce billet, pour ne pas être forcé à recourir à d'autres mesures.

Rome Collège Aplique des Dominicains
de Ste Marie Majeure 8 *P. Vincent Vanutelli O. P.*
7 Juillet 1893.

Do tego listu dołączony był drukowany spis rozmaitych dzieł tegoż autora z pochwałami różnych biskupów i gazet. Ponieważ jednak ten spis zawiera tylko książki i pochwały starej daty, z lat 1884 i 1885, co nic nie mówi o obecnej sytuacyi autora, więc udaliśmy się po informacye do Przeora tutejszego klasztoru OO. Dominikanów, a ten odesłał nas do Ojca magistra św. Teologii Gundysława Feldnera, zapewniając, że na jego informacyach zupełnie polegać możemy. Otóż O. Gundysław Feldner oświadczył nam stanowczo, że ks. Wincenty Vanutelli jest wydalony z zakonu.

Jak widać, jeśli może wiadomość, którąśmy podali, nie była pewną, to przynajmniej wiele miała za sobą prawdopodobieństwa.

Redakcya.

Druk ukończony 29 lipca 1893 r.

OPOWIADANIE WYZNAWCY.

Piękna to była wieś, proszę Jegomości, te Szpaki w Siedleckiem, koło Łosic; porządnie zabudowana; piękne ogródki koło chałup. A ziemi było dosyć, Bogu dziękować, i dobrze się mieli gospodarze. Miałem 24 morgi... Ale cóż! kiedy na to wszystko przyszedł taki koniec — aż boleść pomyśleć! Ale niech już tam wszystko będzie na wolę Boską.

Zaczęło się to tak. Było temu lat jakie dwadzieścia; słychać po wsi, że dziekan jeździ po księżach i rozdaje im pieniądze od Moskala. Zaraz my uczuli, że to jakieś licho idzie, i zeszło się dużo luda w cerkwi naszej w Kornicy, opodal Szpaków. I przyszedł też nasz ksiądz; było mu: Cypryan Hanitkiewicz. I zaczęlimy go pytać, czy to prawda, że on wziął pieniądze? A on się zafrasował i powiedział, że prawda. I pytalimy go jeszcze, co to będzie z tego na naszą wiarę; a on mówi, że nic, tylko że zakazano dzwonków do mszy i organów. Tedy kobiety zaczęły szlochać, a chłopy mówili, że nie dadzą organów tknąć. I jęlimy księdza prosić i całować po rękach i po kolanach, żeby nic nie dał ruszyć, bo jak się jeno zacznie ruszać, to niewiadomo, do czego to zajdzie. A ksiądz sturbował się bardziej, i popłakał się, i dobył pieniądze i rzucił w cerkwi: niech Moskal, mówił, bierze wszystko! Ja chciałem mu tylko dzwonki i organy ustąpić; bo ten nowy biskup, co z Galicyi przyjechał, tak przykazał; ale kiedy nie chcecie, to już wam będę po dawnemu nabożeństwo odprawiał. Niech się dzieje, co Bóg dopuści.

No i co? Zjechał naczelnik Hołowiński; księdza naszego gdzieś wywiózł; chciał też organy wynieść, ale chłopi nie dali. A jak zaczął wydziwiać, tak go kobiety ostro obstąpiły, że się przeląkł i prędko wskoczył na bryczkę. Jeno cerkiew zamknąć kazał; ale wnet potem drzwi się do niej wyłamały, i chodzilimy tam śpiewać godzinki.

Później przysłali nam popa brodatego z Galicyi, który dużo nas namawiał, ale nikt go nie słuchał, jedno paru pijaków, których częstował. Bywało, że jeden pijak był na jego nabożeństwie, a on pisze do urzędu, że chodzi dwudziestu, trzydziestu. My zaś przystali wszyscy na łacińskie, i zacny kanonik z Łosic (świeć mu Panie Boże!— było mu: Marcin Wojciechowski) przyjmował nas do spowiedzi i komunii św. i chrzcił dzieci. A Moskal ściągał i ściągał z niego kontrybucye; a on przecie chrzcił po nocach i spowiadał. Wkońcu go gdzieś indziej przenieśli — i wtedy zaczęło być ciężko o spowiedź.

Tak było ze dwa roki; aż przyszła na nas ciężka dola. Wracam ja jednego dnia w zimie, około Bożego Narodzenia, furą z miasta. Patrzę — a tu chmara Moskali zaległa Szpaki. Było z 500 wojska: 200 kozaków z końmi, a reszta z piechoty, i rozmieścili się kwaterunkiem po czterech, po pięciu u każdego gospodarza, żeby nas zniszczyć i zmusić do cesarskiej wiary. Uchowaj Boże, co oni z nami wtedy nie robili! Wyjadali ludziom cały dobytek; bili jednego wołu po drugim; marnowali chleb, masło, wszystko co było. Konie swoje zapędzali do stodoły, dawali im żreć nietylko owies, ale i żyto. A jakoś Pan Bóg dawał, że człowiek niczegoś nie żałował; chcieli wołu, człowiek im dawał lepszego z dwóch, niczego przed nimi nie chował: bierzcie wszystko, co chcecie, zmarnujcie człowieka do reszty; dla wiary św. niczego mi nie żal. Robić też zmuszali ciągle, dniem i nocą. Konie moje były dzień i noc w zaprzęgu; gdzie kazali, tam się jechało bez wypoczynku; a jeszcze bili po drodze parobka, jak konie ustawały. Trzeba było je karmić samym owsem. Nawet dzieci, dziewczynki po lat 10 i 12, pędzili do zmiatania śniegu z drogi, gdzie miał przejechać naczelnik; albo zamykali je na noc po chlewkach — a zima była okrutna. Ja-

koś Pan Bóg dawał, żeśmy się trzymali. Jeden z pierwszych, co przeszli na ich wiarę, to był nasz wójt ze Szpaków, jeszcze młody i tęgi człowiek. A wnet potem umarł — co mieli wszyscy za karę Bożą.

Kiedy te gnębienia i robocizny nic nie wskórały, zaczęło się straszne bicie. Bili co drugi dzień. Najprzód na dworze bili chłopów rózgami po odzieniu; a potem jednę chałupę na tę katownię przeznaczyli, i kazali się rozbierać do naga — kłaść na ziemi, i bili okrutnie knutami. A były knuty grube jak mały palec, okręcone drutem, i miały na końcu ołowiany krążek, co wyrywał płatki ciała. Pan Bóg cudowny dał, że w naszej wsi nikt nie skonał pod nahajkami, ale opowiadali nam, że się to zdarzyło we wsiach sąsiednich.

Najprzód bili gospodarza; a wtedy wszystkich z chałupy wypędzali; tylko żona i dzieci musiały patrzeć. Dawali tak ze 20 albo 25 knutów; potem trocha wytchnienia i namawiania do prawosławia; potem znów bili tak samo drugi raz — i trzeci — że aż ciało było poorane brózdami, a krew het po ścianie i po ziemi. Po mężu, żonie kazali się rozbierać, i bili tak samo; a musiał patrzeć mąż i dzieci. — Którzy z kozaków mieli ludzkie serce, to aż płakali, aby ich nie zmuszano do bicia; ale tych brał Moskal precz, a znajdował zawsze takich jak dzikie zwierzęta.

I bluźnili przy tem biciu okrutnie, aż w serce kłuło. Przy rozbieraniu znajdowali szkaplerze, różańce — to przedrzeźniali się: Czy też one was ochronią od nahajek? Co wam pomagają te krakowskie Serca, w które wierzycie? (obrazki Serca Jezusowego) — i deptali po nich, mówiąc: Ot, gadacie, że to są świętości, a co się nam złego dzieje? Jednę starszą kobietę, Maryannę Piotrowską, gdy ciężko zbili nahajkami, ona się tażała i wołała: Matko Boska, ratuj mię! Na to mówili Moskale: Dać jej jeszcze Matkę Boską! — i bili ją znowu tak, że aż nieprzytomna leżała i piana się z jej ust puściła. Wynieśli ją jak nieżywą i ksiądz jej oleje święte dawał. Ta stara, rachowaliśmy, że wzięła ze 300 nahajek, na trzy zawody, co ją katowali.

Raz też dziewczyny spędzili do bicia i namawiali na swoją

wiarę. A one mówiły między sobą: Która z nas pierwsza pójdzie pod nahajki? I jedna krzyknęła: Ja pierwsza pójdę! A Moskal dał pokój. Dzieci też, które ledwie biegały po ziemi, łapali, wiązali i chrzcili drugi raz. Jeden chłopak dziesięcioletni tak im się bronił i do oczu skakał, że nie mogli mu dać rady; aż wpędzili go w kąt chałupy i korzuch na niego zarzucili, i tak go dopiero przychwycili; a on wrzeszczał, że się z tego chrztu obmyje w rzece i nic na nim z tego nie zostanie. Bywało też, że okrutnie wyrywali dzieci z ramion matek, żeby je nieść do popa. Jedna tak trzymała, a kozak tak szarpał, iż zdawało się, że rozerwą dziecko; a ona mówiła: Niechaj umrze, a nie będzie wasze! Potem jej przecie dziecko wykradli i ochrzcili w cerkwi. Wtedy ona je zaniosła i rzuciła popowi pod nogi. Kiedyście mi splugawili dziecko, mówiła, to już róbcie z niem, co chcecie. Pop odwiózł je później swojemi końmi do jej chałupy i położył pode drzwiami. Jedna z moich córek, co już była za mężem, Barbara, trzy razy była bita i strasznie pokaleczona, że nie dawała chrzcić dziecka. Do dziś dnia żyje, ale wciąż jeszcze od tego bicia niedomaga.

Zdarzało się też czasem, że Pan Bóg cudownie pocieszał ludzi. Raz pędzono nas wszystkich gospodarzy na pole przed chałupę, gdzie mieszkał naczelnik; otoczono nas kozakami i kazano nam czekać bez czapki. I staliśmy tak bez czapek 24 godzin, a mróz był taki ostry, że kozacy ręce i nogi poodmrażali; na termometrze we dworze było tej nocy 31 gradusów. Przecie Pan Bóg dał, że nam się nic nie stało.

Raz znowu bili srodze dziewczynę, która wychowywała dzieci swego brata już przedtem wywiezionego, ażeby te dzieci dała chrzcić u popa; a ona nie chciała i nie chciała. Wtedy wuj jej, który już był przeszedł na prawosławie, srożył się na nią i mówił: Trzeba lepiej bić, tak żeby ciało od kości odpadało. — Dwa tygodnie później on sam tak jakoś brzydko zachorował, że mu ciało gniło i odpadało od kości. I mówili jemu wszyscy, że to kara Boża. A przy jego pogrzebie koń się spłoszył i trup wypadł z trumny do błota; ażeśmy się wszyscy śmiali — choć to nie do śmiechu były czasy.

Trwała ta katownia z jakie dwa miesiące, aż do Wielkiego Postu. Wtedy zdarzyło się, że ksiądz łaciński z Górek przejeżdżał koło tej chałupy, gdzie było bicie i więzienie. Słyszy tam jęki, każe stanąć, wchodzi, widzi krew, rany gnijące: biedne ludziska rzucają mu się do nóg, proszą o ratunek. Ksiądz śmiało kozaków łaje: Taka to wasza wiara, mówi, że ją knutem napędzacie? Wy poganie! okrutniki! — Napisał relacyę do Warszawy, i bicie zaraz ustało, ale księdza po dwóch tygodniach gdzieś daleko przenieśli.

Na nieszczęście, przyjazd tego księdza z Górek przyszedł za późno. Już pod koniec tych dwóch miesięcy katowania, wielu zaczęło mięknąć. Hołowiński spróbował przemawiać do ludzi po dobremu. Brał się na wszystkie sposoby, bo po wsiach okolicznych, gdzie tylko chciano ciągnąć ludzi do podpisu, wszyscy odpowiadali: My za Szpakami idziemy; jak Szpaki, tak i my. I w naszych Szpakach, skoro jeden i drugi gospodarz puścił jakie słowo przed naczelnikiem, zaraz drudzy mówili: Jak oni, tak i my. I ja też tak samo gadał, myśląc, że to słowo na wiatr.

Ale drugiego dnia naczelnik chciał, żeby to wszystko spisać przed popem, i żeby się każdy podpisał, że się zapiera Ojca św. i rzymskiej wiary, a przystaje na wiarę cesarską. A tu żona moja i dzieci całowały mnie po rękach, żebym nie podpisał. Ja też, Bóg widzi, nigdy w sercu nie chciałem. Kiedy przyszło do podpisu u popa, był tam naczelnik z kozakami; wzywają jednego, drugiego, trzeciego, czwartego... I ci biedacy, co się tyle nacierpieli, podpisują het, jak barany jeden za drugim. Jak przyszło na mnie, tak ja wstaję i powiadam: Niech się dzieje wola Boska, ja nie odpiszę się wiary. — Taki powstał wrzask w tej chwili, jak gdyby się piekło ruszyło. Pop zaczyna mię łajać, kozactwo lżyć i szturkać, ludziska prosić. Naczelnik Hołowiński wstał i ugodził mnie pięścią w twarz, tak że mi krew poszła i dwa zęby wypadły. Ja ażem się zatoczył, alem znowu stanął, i: Nie podpiszę, gadam, i nie podpiszę. I trwała ta wrzawa z jakie pół godziny.

Później, kiedy już bicia ustały, jak mówiłem, po donosie tego księdza łacińskiego, zaczął Moskal wywozić tych, co się

nie podpisali, do więzienia do Siedlec. Ze Szpaków powieźli 18 mężczyzn, a kobiet 12, niektóre z dziećmi przy piersiach. Dwie też były między niemi dziewczyny, które musiały za siebie odpowiadać, bo były bez rodziców. Wszystkich razem było w tem więzieniu za wiarę z różnych stron przywiezionych: czterystu bez jednego. Po sześciu tygodniach wypuścili kobiety, a później 45-ciu chłopów przewieźli do Biały, jako twardszych, żeby drugich nie podtrzymywali.

Tymczasem w więzieniu chcieliśmy zaraz pościć, bo już się był post łaciński zaczął; a my sobie tak uważali, żeśmy już przeszli na łacińskie. Oni zaś nam dawali z mięsem, bo ruski post zaczynał się tego roku dużo później. Więc my im to wszystko odrzucali, a samym chlebem i wodą żyli. Jak przyszła Wielkanoc łacińska, tośmy ją święcili jak mogli w więzieniu. Przyniosły nam baby kiełbas, któremiśmy się dzielili, i jedliśmy w oczach kozaków; a oni klęli z gniewu i zazdrości, bo im jeść nie było wolno. Następnych dni żądaliśmy mięsa, bośmy już byli po poście; ale oni nam nie dali, jeno zmuszali nas do swojego postu; więc znowużeśmy przestawali na chlebie i wodzie. Nachodzili nas też często popi i wciąż nas namawiali — ale wszystko darmo.

Trwało to więzienie przez rok. Nakoniec wywieźli nas z Siedlec i Biały do chersońskiej gubernii. Były też przy tem przewiezieniu ciężkie przeprawy. I tak, z Biały pędzili ich skutych w kajdany po dwóch, jak złodziei, przez dwa dni. Jeden z gospodarzy ze wsi Osowy, gdy go okuli razem ze synem, ukląkł, pocałował kajdany i dziękował głośno Panu Jezusowi, że był godny Go naśladować. A Moskale na to zębami zgrzytali, że się niby porównuje z Bogiem. Kiedy ich pędzono, to aż krew ciekła po drodze.

Wkońcu dojechaliśmy koleją aż do Mikołajowa nad Czarnem morzem, a stamtąd pieszo, jeno już nie w kajdanach, do Chersonu. W Chersonie namawiano nas do roboty w kamieniołomach. Był tam jakiś wielki właściciel kamieniołomów, w porozumieniu pono z gubernatorem, który liczył na to, że po naszym przyjeździe będzie miał robociznę za pół darmo; przygo-

towal nawet dla nas domostwa i ogrody. Ale myśmy nie chcieli żadnej roboty przyjąć i musiał nas Moskal darmo żywić. Spodziewaliśmy się, że tym sposobem nas prędzej wypuści. Ale nic z tego.

Dowiedzieliśmy się wtedy, że tam są konsulowie innych mocarstw, i skarżyliśmy się do nich, że za wiarę cierpimy. Pisał też o nas konsul angielski do Moskala, ale on mu odpowiedział, że ci ludzie nie są w areszcie, jeno nie mają chleba w domu i przyszli tu zarabiać. Aż drugi raz niektórzy z naszych poszli do konsula i ten drugi raz napisał; wtedy dopiero porozstawiali nas po wsiach u chłopów, po jednym, po dwóch na wieś, niby na kwaterze. I wtedy jeszcze nie chcieliśmy u chłopów pracować, tylko musieli nas darmo żywić. Ciężko nam jeno było na sercu, że nie mieliśmy nigdzie kościoła. Byli tam jednak nad morzem koloniści niemieccy, do których przyjeżdżał ksiądz dwa razy na rok, i wtedy mógł się człowiek wyspowiadać. Niemcy ci dawali nam znać i byli bardzo dobrzy dla nas.

Nakoniec po trzech latach tego wygnania, a w cztery lata po naszem uwięzieniu, pisali nam z domu, że już tam mało pilnują, i zaczęliśmy uciekać jeden po drugim. Szliśmy pieszo przez kilka dni, potem wsiadali bądź gdzie na kolej i jechali prosto do domu.

Ledwom stanął w Szpakach, a już tu nazajutrz żandarmi za mną. Ale Bogu dzięki, byłem ostrzeżony i, rozumie się, szukali mię napróżno. Przez dwa tygodnie jeszcze przebywałem w okolicy, kryjąc się to po lasach, to po stodołach. Ale widziałem wnet, że nie potrafię się utrzymać i musiałem zostawić żonę i dzieci, i umknąć do Krakowa. Wkrótce potem dostałem tu wiadomość o śmierci mojej żony (świeć jej Panie Boże!); i służyłem koło Krakowa w różnych miejscach przez lat 4 czy 5.

Potem znowu się u nas jakoś uspokoiło, i wróciłem do Szpaków, gdzie utrzymałem się tą razą półtora roku. Z początku jakoś się żyło, ale zaś było coraz gorzej i coraz trudniej się ukrywać, bo Moskal coraz częściej nas nawiedzał i trapił, i wywoził ludzi ze wsi, jednych po drugich, tym razem do Orenburga.

Umrze kto w chałupie, ludzie sami grzebią po nocy; ale zaraz policyant wie i każe płacić kontrybucyę. Jest kobieta przy nadziei, już pilnują o chrzest dziecka, żeby im nie umkło. Pytają chłopa: Skąd ślub? A on mówi: Krakowski. Powiadają, że nieważny, i znów płać kontrybucye i kontrybucye. I popa trzeba opłacać i wujta prawosławnego opłacać, aż się ludzie zniszczą. Bywało też parę razy, że rozerwali małżeństwo i zagnali męża w jedną stronę, a żonę z małem dzieckiem w drugą stronę.

A nad to wszystko, jeszcze wywozili jednego po drugim, kogo sobie upatrzyli, już nie do Chersonu, jeno do Orenburga. Oj! srogi to był postrach we wsi, każdy taki zajazd furmanek rosyjskich. Ludzie się niczego nie spodziewają, a tu jadą i jadą, z dzwonkami, przynajmniej 15 furmanek rzędem. Wszystko ucieka, nawet kobiety i dzieci, do żyta, do lasu; czasem dwa dni o głodzie czekają. A furmanki biorą tylko jednego człowieka, albo jedną rodzinę, i jadą. I tak samo drugi raz i trzeci i czwarty... Nigdy człowiek nie był bezpieczny w domu, ani pewny jutra. Jeden chłop z naszej wsi, Harasim Suszko, który dwa razy uciekał z Chersonu i Orenburga i dwa razy był pojmany, jeszcze stawił się ostro i dał jednemu z Moskali w pysk. Tego przywiązali okrutnie do dwóch kłód drzewa, i tak go zawieźli do więzienia siedleckiego. Tam nie dali mu nic jeść ani pić, i do tygodnia im zmarł. Kobiety, które chodziły do Siedlec, aby się z nim widzieć, dowiedziały się o tem na pewno od stróża więzienia.

Nareszcie już dłużej ukrywać się nie mogłem i musiałem już na dobre porzucić dzieci i dobytek, i pójść za granicę, na łaskę Bożą. I oto tu jestem, przy zdrowiu, Bogu dziękować.

Opowiadanie to przejąłem temi dniami z ust starego Pawła Szyszkowskiego, obecnie stróża naszego domku na Przegorzałach pod Krakowem. Pomagałem mu jedynie pytaniami, aby w porządku swą rzecz opowiedział. A starałem się spisać jak najwierniej, nietylko treść z wszystkiemi szczegółami, ale same nawet ile możności zwroty i słowa sędzi-

wego Podlasiaka. Po tylu latach spędzonych w Galicyi, Paweł wiele już stracił z tej wdzięcznej mowy ludu podlaskiego, której nasłuchać się nie można; wysłowia się jednak mile i jasno. Przy nim jest jedna z jego córek, która była świadkiem tych samych wypadków, i służyła mi do kontrolowania opowiadań starca.

Przegorzały 29 czerwca 1893.

Ks. Maryan Morawski.

LICHWA NA WSI W GALICYI.

(Ciąg dalszy).

IV.

Dla dopomożenia ludności włościańskiej, dotkniętej klęską nieurodzaju, rząd już z końcem ubiegłego i z początkiem bieżącego wieku nosił się z myślą przymusowego zaprowadzenia szpichlerzy gromadzkich, na wzór wprowadzonych patentem ces. z dnia 9 czerwca 1788 r. w Czechach i Morawii. Wskutek sprzeciwienia się politycznej władzy krajowej, poprzestano (rozporządzenie ces. z d. 23 lipca 1821, ponowione 2 kwietnia 1832) na zaleceniu aby wprowadzać te szpichlerze w drodze dobrowolnej umowy między dominiami i gromadami, jak niemniej polecono użyć wszelkich wpływów, aby dominia i gromady do tego zachęcić. Wszystkie te usiłowania jednak pozostały bez skutku, z wyjątkiem bowiem szpichlerzy założonych w dobrach kameralnych, gdzie stosunkowo najlepiej się rozwijały, szpichlerze zakładane przez gromady lub dominia zwykle w krótkim czasie po rozpożyczeniu pierwszego zapasu upadały, tak że przy oddaniu pozostałych szpichlerzy reprezentacyom gminnym, nieznaczna tylko ilość ich i najczęściej z zapasem rozpożyczonym od lat niepamiętnych przeszła w administracyę autonomiczną. Dziś jest w kraju zaledwie 682 szpichlerzy gminnych, a i z tych

135 ma być niebawem zwiniętych i przemienionych na gminne kasy pożyczkowe przeważnie na żądanie samych rad gminnych. Zboże powyższych szpichlerzy z nieznacznym wyjątkiem jest w zupełności rozpożyczone [1].

Pierwsze miejsce między instytucyami trudniącemi się udzielaniem kredytu pieniężnego włościanom, zajmują gminne kasy pożyczkowe [2]. Fundusze ich powstały ze sprzedaży obligacyj otrzymanych przez gminę za zniesioną służebność pastwiska lub lasu, ze zwinięcia szpichlerzy gminnych, sprzedaży pastwisk, lasów, płodów lasowych lub gruntów do gminy należących pod budowę kolei, gdzieniegdzie z funduszu ubogich miejscowych, dobrowolnych składek, kar pieniężnych, zapisów i darów, oraz z wynagrodzenia za roboty nadobowiązkowe około dróg publicznych.

Kasy te jednak od dawna znajdowały się w stanie zupełnego rozkładu skutkiem tego, że zarządy ich rozpożyczywszy pieniądze, nie troszczyły się następnie o ściąganie pożyczek a dłużnicy nie płacili ani kapitału ani odsetek. Chcąc temu stanowi rzeczy zapobiedz, rząd opracował i przedłożył sejmowi w r. 1880 projekt zbiorowych kas pożyczkowych dla gmin, który jednak załatwiony nie został, a ten sam los spotkał dwukrotne przedłożenie Wydziału krajowego w tym samym przedmiocie (w r. 1881 i 1882). Oto są słowa sprawozdania Wydziału krajowego z r. 1882: „Z publikacyj krajowego biura statystycznego w ubiegłych latach Wys. Sejmowi przedłożonych wiadomo, jak znaczną, bo nie krociową lecz już milionową sumę reprezentują fundusze pożyczkowe gmin. Nie wywierają one wskutek złego zarządu tak zbawiennego wpływu na stosunki drobnego

---

[1] Por. Sprawozd. z czynności I. dep. Wydz. kraj. za rok 1892.

[2] *Wiadom. stat.* Zeszyt wstępny: Kasy pożyczkowe gminne i powiatowe, fundusze zaliczkowe dla przemysłowców i towarzystwa zaliczkowe 1873, przez prof. d-ra Tad. Pilata. *Wiadom. stat.* R. II. (1876): Stan gminnych kas pożyczkowych w Galicyi, przez prof. d-ra Tad. Pilata. Alegaty do stenograficznych sprawozdań Sejmu krajowego 92/80, 21/81, 12 i 134/82 i 150/87.

kredytu, jakby spodziewać się należało, gdyż w jednych kasach fundusze pożyczkowe służą tylko wpływowym osobistościom gminy, w innych pożyczki udzielane bywają dowolnie, bez kontroli co do potrzeby i celów, często nawet bez żadnego ubezpieczenia. Nadto i w sposobie ściągania wierzytelności dzieją się nieprawidłowości, wskutek których w wielu funduszach pożyczkowych zamiast ciągłego przyrostu okazuje się stagnacya albo nawet ubytek. Wobec faktu, że zarząd tych kas pożyczkowych należy w zupełności do zakresu organów gminnych, wszystkie przez wyższe organa autonomiczne dotąd podejmowane usiłowania około zreorganizowania zarządu i zaprowadzenia ściślejszej kontroli tylko w nielicznych wypadkach doprowadziły do pomyślnego rezultatu".

Mimo takiego stanu rzeczy komisya sejmowa nie zgodziła się z wnioskiem Wydziału krajowego względem utworzenia zbiorowych kas pożyczkowych, a to z tego powodu, iż przymusowe odebranie gminie zarządu kasą pożyczkową i przelanie jej funduszów do innej instytucyi finansowej z zatratą charakteru samoistnego poczytywała za nieuzasadnione uszczuplenie praw, jakie pojedyńcze gminy posiadają względem swych kas i obawiała się wywołania w wielu okolicach silnej przeciw nowej ustawie opozycyi. Natomiast wypracowała komisya (sprawozdawca poseł Skałkowski) projekt ustawy, której myślą przewodnią było rozszerzenie ingerencyi władz wyższych nad kasami pożyczkowemi, polegające na przyznaniu wydziałom powiatowym prawa objęcia w tymczasowy zarząd kas pożyczkowych gminnych źle i nieprawidłowo administrowanych. Ustawa ta nie została jednak uchwaloną, a to ani w formie nadanej jej przez komisyę, ani też w formie, którą nadał jej w rok później (1883) ś. p. Henryk hr. Wodzicki, występując z projektem samoistnej ustawy.

O tyle jednak sprawa posunęła się naprzód, że sejm wbrew wnioskowi komisyi bankowej uchwalił przekazać wniosek hr. Wodzickiego Wydziałowi krajowemu do zbadania, zasięgnięcia w tej sprawie opinii Wydziałów powiatowych i przedłożenia sprawo-

zdania wraz z datami dotyczącemi stanu gminnych kas pożyczkowych najbliższemu sejmowi. Wydział krajowy istotnie okólnikiem z dnia 16 września 1884 zażądał opinii Wydziałów powiatowych o wniosku ś. p. Henryka hr. Wodzickiego, a rezultat, jaki zarządzenie to wywołało, był nad wyraz smutny. Przekonano się, że kasy pożyczkowe gminne wszędzie były źle i nieprawidłowo administrowane [1], a fundusze tych kas po części już stracone, po części zaś w niebezpieczeństwie, a to skutkiem tego, że dłużnicy nigdzie nie przestrzegali terminów płatności kapitału i odsetek, wystawiali skrypta bez ręczycieli, a co gorsza, niejednokrotnie fundusze ginęły po prostu przywłaszczone przez wójtów i pisarzy gminnych, którzy w razie zarządzonej przez Wydziały powiatowe lustracyi, podsuwali kontrolerom sfałszowane skrypta dłużne [2]. Wobec tego wypadało co rychlej pomyśleć o sanacyi dotyczących stosunków. Gdy zaś myśl kas zbiorowych spotkała się już poprzednio w sejmie ze stanowczą i zasadniczą opozycyą, hr. Wład. Koziebrodzki podjął na nowo myśl d-ra Skałkowskiego i Henryka hr. Wodzickiego, występując z projektem ustawy względem objęcia w tymczasowy zarząd kas pożyczkowych gminnych, źle i nieprawidłowo funkcyonujących.

Już w myśl ustawy z dnia 18 lutego 1875 (l. 14 dz. u. kr.) modyfikującej pierwotny tekst (§ 98 u. gm.), przysługiwało Wydziałowi krajowemu upoważnienie do objęcia kasy pożyczkowej gminnej w swój zarząd, w razie gdyby zagrażało jej marnowanie funduszów; nadto zaś wolno było w takim razie w myśl § 103 pow. ust. Wydziałowi powiatowemu ustanowić zastępcę, celem rewindykacyi funduszów pożyczkowych w drodze prawa. Jednakowoż myśl kreowania płatnych posad inspektorów czy lustratorów gminnych tylko wyjątkowo wchodziła w życie, a Wy-

[1] Dobrze administrowane były wówczas kasy pożyczkowe gminne tylko w Wadowickiem, Kamioneckiem i Tarnobrzeskiem.

[2] Wspomniał o tem poseł ks. Siczyński w dyskusyi nad wnioskiem hr. Koziebrodzkiego 20 stycznia 1887. To samo stwierdza relacya Wydziału powiatu limanowskiego o wniosku ś. p. Henryka hr. Wodzickiego.

dział krajowy nie uważał się (na zasadzie § 98 u. gm.) za uprawniony do odbierania zarządu kasie pożyczkowej gminnej, a przelewania go na Wydział powiatowy. Tak więc wydanie nowej ustawy na zasadzie wniosku hr. Koziebrodzkiego okazało się wobec relacyj Wydziałów powiatowych nieodzownem, i tym też relacyom zawdzięcza swe przyjście do skutku ustawa z dnia 19 czerwca 1887 r. l. 44 dz. u. kr.

Postanawia ona, że Wydział powiatowy ma prawo przejąć w tymczasowy zarząd kasy pożyczkowe gminne, których wadliwa administracya zagraża utratą części zakładowego majątku tych kas lub też już ją spowodowała, również kasy pożyczkowe gminne tak zarządzane, iż nie można spodziewać się po nich statutem wskazanej pożytecznej działalności dla ogółu członków gminy, winien jednak po dokonanem uporządkowaniu kasy pożyczkowej gminnej, oddać ją napowrót gminie.

Wskutek uchwały sejmowej z dnia 18 listopada 1889 rozesłał Wydział krajowy do Wydziałów powiatowych okólnik z dnia 25 lutego 1890 l. 48.035, w którym zapytywał, jakie rezultaty co do polepszenia administracyi i działalności kas pożyczkowych gminnych odniosła kontrola nad temiż kasami z ramienia Wydziałów powiatowych wykonywana. Mniej lub więcej korzystnie brzmią relacye tylko z 21 powiatów, a mianowicie z powiatów: Bóbrka, Bochnia, Borszczów, Brzesko, Brzeżany, Brzozów, Drohobycz, Jarosław, Kamionka, Krosno, Kolbuszowa, Nowy Sącz, Nowy Targ, Ropczyce, Skałat, Sokal, Stanisławów, Tarnobrzeg, Tarnopol, Tarnów i Żydaczów. We wszystkich innych powiatach [1] uskarżają się na wadliwą lub wprost złą administracyę kas, wykonywaną bezpłatnie przez funkcyonaryuszów gminnych, a w szczególności przez pisarza i wójta, nie posiadających zazwyczaj nawet elementarnej oświaty; na protekcyę przy rozdzielaniu pożyczek i brak energii przy ich ściąganiu; wreszcie na brak funduszów, które porozpożyczane mię-

[1] W powiatach: bialskim i krakowskim niema wcale gminnych kas pożyczkowych.

dzy członków gminy, wyjęte są całkowicie z obrotu i figurują jedynie w księgach kas gminnych. Skargi te kulminują w opinii Wydziału pow. myślenickiego, iż byłoby najwłaściwszem wszystkie kasy poznosić, tudzież pilzneńskiego, iż uporządkowanie przymusowe kas nie rokuje żadnych nadziei, bo kasy dla braku sił fachowych napowrót popadną w bezrząd, wobec czego tylko objęcie w ustawiczny zarząd byłoby najwłaściwszem.

Objęcie znacznej liczby kas pożyczkowych w tymczasowy zarząd, w myśl ustawy z dnia 19 czerwca 1887 l. 44 dz. u. kr., bądź już nastąpiło, bądź zostało przynajmniej uchwalonem w 34 powiatach, w 9 powiatach zachodziła wprawdzie konieczna tego potrzeba, ale nie przystąpiono do rzeczy dla braku sił kancelaryjnych (Bohorodczany, Buczacz, Jasło, Podhajce, Przemyślany, Rudki, Staremiasto, Zbaraż i Złoczów). W szczególności w pow. bohorodczańskim, zdaniem Wydziału powiatowego, większą część kas należałoby objąć w zarząd, w pow. jasielskim wszystkie, ale właśnie dlatego nie objęto żadnej [1], a w pow. przemyślańskim nie wykonywano nawet kontroli dla braku sił kancelaryjnych.

Kontrolę nad kasami wykonywały Wydziały powiatowe bądź przez honorowych kuratorów i kontrolerów z grona obywatelstwa i duchowieństwa, bądź przez urzędników własnych, bądź wreszcie przez osobno płatnych lustratorów powiatowych. W ostatnim zwłaszcza wypadku rezultaty bywały pomyślne (jak np. w Tarnowie). W pow. brzeskim Wydział powiatowy zezwolił na pobór połowy ściągniętych procentów gminom na cele gminne; w pow. dąbrowskim przeznaczył 2% tytułem wynagrodzenia za ściąganie; Wydział powiatowy doliniański wprost zaznacza, że byłoby do życzenia, „by kasyerom przyznać pewne wynagrodzenie, gdyż za darmo pracować nie chcą“. Gdzie nie było zachęty materyalnej, tam i kontrola wykonywana rzadko, niedbale i bez energii, nie odniosła pomyślnego skutku.

Ilość kas pożyczkowych wzrasta z każdym rokiem, a za-

[1] Relacya Wydziału pow. jasielskiego: „nie objęto żadnej kasy, bo należałoby objąć wszystkie“.

razem wszędzie spostrzedz się daje ustawiczne obniżanie stopy procentowej.

W r. 1875 było kas zaledwie 1246 z kapitałem łącznym 1,100.000 złr.; w r. 1887 2389 z kapitałem 2.936.023 złr.[1]; w roku 1888 2428 z kapitałem 3,501.586 złr.[2]; w roku 1889 wreszcie wzrosła ilość kas gminnych do 2521 z kapitałem zakładowym 3,768.117 złr.[3], więc ilość kas przeszło w dwójnasób, a wysokość kapitału przeszło w trójnasób w porównaniu z rokiem 1874.

Tablica *D.*, ułożona na podstawie księgi kas pożyczkowych gminnych, prowadzonej w Wydziale krajowym, a sprostowana na podstawie relacyj Wydziałów powiatowych (na okólnik Wydziału krajowego z d. 25 lutego 1890, l. 53.115), daje obraz kas pożyczkowych gminnych w Galicyi i stopy procentowej przez nie pobieranej.

Obecnie jest w kraju, na ogólną liczbę gmin 6230, 3350 kas pożyczkowych gminnych, z pomiędzy których atoli tylko przy 2244 wymieniony jest pobierany przez nie procent. Kapitał zakładowy tych gminnych kas pożyczkowych wynosi łącznie 5,114.587 złr., oprócz kapitału gminnych kas pożyczkowych pow. żółkiewskiego, który Wydziałowi krajowemu wykazu stanu funduszów kas swoich nie przedłożył.

18% pobiera dotąd kasa gminna w Stodółkach (pow. Gródek), 15% pobierają kasy gminne w Tyszkowcach, Czortowcu, Żywaczowie, Piotrkowie, Hanczarowie, Niezwiskach i Isakowie (pow. Horodenka), w Borszowie (pow. Przemyślany) i w Jaworniku *ad* Niebylec (pow. Rzeszów), 12% pobiera kas 385, 11% jedna kasa, 10% 453 kas, 9% 21 kas, 8% 323 kas, $7^1/_2$% 1 kasa, 7% 96 kas, 6% 863 kas, 5% 61 kas, 4% 29 kas. Żadnego procentu nie pobiera kasa pożyczkowa w Haliczu.

W wielu kasach gminnych ulubioną jest spłata tygodniowa, najczęściej trafiają się spłaty po 2 ct. od 1 złr. tygodniowo (na

---

[1] Wobec czego przeciętnie na jednę kasę wypadło 1458 złr.
[2] Wobec czego przeciętnie na jednę kasę wypadło 1442 złr.
[3] Wobec czego na jednę kasę wypadało przeciętnie po 1494 złr.

procent i kapitał, podczas gdy u lichwiarzy spłaty te szły na sam procent) przez 50 tygodni, w 51 i 52 tygodniu po 4, 3, $2^1/_2$ lub 2 ct., co odpowiada 8%, 6%, 5% lub 4%.

W Pogozinie (pow. Rzeszów) ma miejsce spłata w ratach miesięcznych, a to przez 20 miesięcy po 5% od pożyczonego kapitału a przez 4 miesiące po 9% (czyni to 18% na rok); nie rzadko zdarzają się spłaty kwartalne, półroczne a nawet i roczne.

Najwięcej kas pożyczkowych jest w powiecie jasielskim (147), brzeskim (106), następnie w rzeszowskim (103), mieleckim (96), dąbrowskim (92), bocheńskim (89), limanowskim (88), złoczowskim (85), tarnowskim (82), krośnieńskim (80), wcale ich niema w bialskim i krakowskim, jednę kasę znajdujemy w turczańskim, po dwie kasy w wadowickim i żywieckim, po cztery kasy w chrzanowskim i liskim, 6 kas w nadwórniańskim, po 8 kas w cieszanowskim, dobromilskim i gródeckim, po 10 kas w mościskim, rudeckim i żółkiewskim.

Najwięcej kas znajduje się w powiatach między Dunajem a Sanem (747), południowo-wschodnich po lewym brzegu Dniestru (679), i na zachodniem podgórzu (630); pośrednie miejsce zajmują powiaty wschodnio-środkowe (340), po lewej stronie Dunajca (307) i południowo-wschodnie po prawym brzegu Dniestru (302); najmniej kas pożyczkowych znajduje się w powiatach północno-wschodnich (185) i na wschodniem podgórzu (160).

W obrębie każdej z tych stref charakterystyczny jest stosunek wzajemny ilości kas pożyczkowych, pobierających różne procenta.

Kas pożyczkowych gminnych, których stopa pożyczkowa jest nam znaną, pobierało 6% lub mniej:

w powiatach	po lewej stronie Dunajca	90·4 %
„	na zachodniem podgórzu	71·13%
„	między Dunajcem a Sanem	45·5 %
„	połud.-wschod. po lewym brzegu Dniestru	41·7 %
„	północno-wschodnich	30·4 %
„	połud.-wschod. po prawym brzegu Dniestru	25·1 %
„	wschodnio-środkowych	14·1 %
„	na wschodniem podgórzu	12·4 %

Jeśli się zważy na rzeczywisty przychód z ziemi, nie przenoszący nigdy 6%, jedynie powyższe kasy pożyczkowe uznać wypadnie za bezwzględnie pożyteczne, chyba, że należałoby poczytać zwyczajny stan rzeczy, iż chłop nie z przychodu ziemi, lecz z dziennego zarobku dług swój spłaca, za normalny i odpowiadający słuszności, choć z drugiej strony zaprzeczyć nie można, że i kasy pobierające wprawdzie więcej niż 6%, ale zawsze jeszcze znacznie mniej od lichwiarzy zawodowych, wpływają już tem samem niewątpliwie na ogólne obniżenie stopy procentowej i skutecznie współzawodniczą z bankierem wiejskim.

Największy procent kas pobierających 12% wykazują powiaty wschodnio-środkowe (37·1%); następnie idą powiaty po lewym brzegu Dniestru (35·7%), na podgórzu wschodniem (20·66%), po prawym brzegu Dniestru (14·28%), tudzież północno-wschodnie (11·26%). Najmniejszy procent kas pobierających po 12% od sta, wykazują powiaty między Dunajcem a Sanem (1·84%), po lewej stronie Dunajca (1·6%), i na podgórzu zachodniem (0·59%).

Największy procent kas pobierających 10 od sta, wykazują powiaty północno-wschodnie (35·1%); następnie idą powiaty południowo-wschodnie po prawym brzegu Dniestru (27·02%), powiaty wschodnio-środkowe (25·64%), powiaty na podgórzu wschodniem (23·14%), powiaty między Dunajcem a Sanem (22·5%) i powiaty południowo-wschodnie po lewym brzegu Dniestru (16·8%). Najmniejszy procent kas pobierających po 10 od sta wykazują i tu powiaty na zachodniem podgórzu (11·6%) i powiaty po lewej stronie Dunajca (3·2%).

Największy procent kas pobierających 8 od sta, wykazują powiaty od Dunajca do Sanu (25·2%); następnie idą powiaty południowo-wschodnie po prawym brzegu Dniestru (23·93%), powiaty północno-wschodnie (20·53%), wschodnio-środkowe (17·94%) i powiaty na podgórzu wschodniem (9·9%). Najmniejszy procent kas pobierających 8 od sta wykazują powiaty na podgórzu zachodniem (7·4%), po lewej stronie Dunajca (4·8%) i pow. południowo-wschodnie po lewym brzegu Dniestru (4·33%).

Nierównomierny rozkład kas pożyczkowych gminnych po

całym kraju, brak ich w okolicach, w których najuporczywiej rozsiadła się lichwa, nienależyta ich administracya, brak sprężystości i energii w ściąganiu zaległego kapitału i odsetek, który radeby Wydziały powiatowe zastąpić uzyskaniem dla wierzytelności kas pożyczkowych prawa egzekucyi politycznej, wreszcie brak ludzi inteligentnych, którzyby bezinteresownie lub za małem wynagrodzeniem wzięli na siebie zarząd kas pożyczkowych, osłabia niesłychanie zbawienne skutki, jakie należycie administrowane kasy pożyczkowe gminne musiałyby wywołać. Wobec tego zaś trudno większą przywiązywać wagę do pożądanego skądinąd zjawiska, iż w wielu powiatach każda lub prawie każda gmina posiada kasę pożyczkową, jak to ma miejsce np. w pow. brzeskim, czortkowskim, dąbrowskim, gorlickim, horodeńskim, husiatyńskim, jasielskim, krośnieńskim, limanowskim, mieleckim, rzeszowskim, skałackim, tarnopolskim i tarnowskim. Skoro kasy pożyczkowe posiadają wytknięte tu braki, samo istnienie ich nie czyni wcale zbędną dalszą w tym kierunku pracę.

Jeżeli prawdą jest, że skuteczna konkurencya z dotychczasowym bankierem wiejskim zależy od ofiarowania co najmniej tych samych dogodności, jakie ostatni dłużnikowi swemu nastręcza, a więc szybkości, braku formalności i blizkości, to właśnie kasy pożyczkowe gminne najbardziej odpowiadają wszystkim tym wymaganiom. Jedynie one zdolne są dostarczyć włościaninowi kredytu natychmiast, w chwili, kiedy go potrzebuje, bez straty czasu i chodzenia do miasteczka powiatowego; jedynie one znając stosunki miejscowe, zdolne są ocenić zasobność i przymioty moralne petenta, stanowiące o jego kredycie, a przeto obejść się mogą bez uciążliwych formalności. Zalety te są oraz wskazówką, jaką być winna przyszła organizacya kredytu włościańskiego i na jakich instytucyach w piewszej linii oprzeć ją wypada, jeśli ma się naprawdę zdążać do zupełnego wyrugowania lichwy.

Instytucyj powiatowych w naszym kraju rozróżniamy cztery rodzaje: kasy pożyczkowe powiatowe, powiatowe kasy oszczę-

dności, towarzystwa zaliczkowe i kredytowe, i kasy sieroce, przy sądach powiatowych prowadzone.

Pożyczkowych kas powiatowych obecnie funkcyonujących, jest w naszym kraju koronnym 11, a mianowicie:

Stan z końcem r. 1891 [1]	złr.	ct.
Dobromil	26.049	72
Drohobycz	62.241	47
Horodenka	2.915	73
Kossów [2]	45.107	—
Nadwórna [3]	17.393	79
Pilzno [4]	20.000	—
Sambor [5]	142.735	18
Turka	56.103	21½
Wieliczka [6]	106.364	39
Złoczów	10.634	—
Żydaczów	25.671	48
	515.215	97½

Oprócz powyżej wymienionych istniały według księgi kas pożyczkowych, prowadzonej w Wydziale krajowym, jeszcze kasy następujące, o których jednak w relacyach Wydziałów powiatowych na okólnik Wydziału krajowego z dnia 25 lutego 1890, l. 53115, bądź zupełnie niema wzmianki, bądź jest wiadomość, że przestały funkcyonować [7]. Są to kasy:

---

[1] Ze Sprawozd. dep. I. Wydz. kraj. za r. 1892.

[2] Obejmująca kilkanaście gmin, należących niegdyś do połączonych dóbr kameralnych Kossów, Kuty i Pistyń; rok założenia 1871, kapitał zakładowy 21.445 złr. 89 ct.

[3] Kapitał zakładowy 14.839 złr. 44 ct.

[4] Dla 40 gmin tego powiatu, rok założenia 1870, kapitał zakładowy 10.093 złr. 93 ct., fundusz rezerwowy 4.568 złr., kasa ta ma przeobrazić się na powiatową kasę oszczędności.

[5] Rok założenia 1870; kapitał zakładowy 1.800 złr.

[6] Obrót wynosił w r. 1889 147.000 złr., rok założenia 1869, kapitał zakładowy 4.171 złr. 8 ct., w r. 1889 udzielono pożyczek 643 dłużnikom w wysokości 49.000 złr.

[7] Rada powiatowa w Stryju uchwaliła założenie powiatowej instytucyi kredytowej, a Wydział powiatowy w Stanisławowie oświadczył Wydziałowi krajowemu, że dążyć będzie do założenia powiatowej kasy pożyczkowej.

L. porz.	Siedziba kasy powiatowej	Procent pobierany	Rok założenia	Kapitał zakładowy zł.	ct
1	Borszczów . . .	8	1870	1.500	—
2	Brzesko.	6	1870	1.609	76
3	Czortków	10	1875	1.000	—
4	Dąbrowa	10	1868	1.131	10
5	Jarosław	6	1868	1.000	—
6	Jaworów	12	1874	13.510	—
7	Łańcut	?	?	2.428	90
8	Myślenice [1] . . .	10	1873	975	80
9	Rudki [2]	?	1872	6.676	38
10	Sanok [3]	11	1881	1.000	
11	Staremiasto . . .	?	1878	703	83
12	Tarnobrzeg . . .	12	1872	1.000	—
13	Tłumacz	?	1869	1.000	—
14	Żórawno [4]. . . .	6	1875	2.100	—

Jakkolwiek kasom powiatowym nie brak ludzi inteligentnych, od miejscowych stosunków niezależnych, a wskutek tego przynajmniej kontrola z użycia funduszów dłużnikom pożyczonych, tudzież energiczne ściąganie zaległości ratalnych łatwiej, niż w kasach gminnych może nastąpić — to jednak rzeczywistość nie wszędzie odpowiedziała oczekiwaniom.

Brak funduszów i kredytu w centralnych instytucyach finansowych oraz brak kontroli sprężystej u góry, stoją na przeszkodzie rozwinięciu się szerszej działalności kas powiatowych.

Kas oszczędności mamy dziś w kraju 27, a mianowicie: we Lwowie (założona 1844), Tarnowie (1861), Rzeszowie (1862), Samborze (1864), Krakowie (1866), Stryju (1867), Przemyślu, Stanisławowie i Jaśle (1868), Tarnopolu (1870), Nowym Sączu (1871), Bochni (1873), Kołomyi (1875), Wadowicach (1876), Drohobyczu (1879), Wieliczce (1879), Krakowie (kasa powiatowa 1882), Myślenicach (1882 z powiatowej kasy pożyczkowej), Ropczycach (1882), Trembowli (1882), Kałuszu (1883), Białej (1883), Bochni

[1] W r. 1882 przemieniona w kasę oszczędności.

[2] W r. 1876 zwinięta.

[3] W r. 1884 zwinięta.

[4] Dla 11 gmin tego powiatu, temi są: Żurawno, Pobereże z Adamówką, Mazurówka, Włodzimirce, Dubrawka, Tarnawka, Mielnicz, Bujanów, Manasterzec, Kotoryny i Protessy.

(1885), Dolinie, Samborze (kasa powiatowa), Brodach (1891) i Żywcu (1892). Z pomiędzy tych kas, jest kas oszczędności powiatowych 11, a mianowicie: w Wadowicach, Wieliczce, Krakowie, Myślenicach, Ropczycach, Trembowli, Kałuszu, Bochni, Samborze, Dolinie i Brodach. Prócz kałuskiej, samborskiej, doliniańskiej i brodzkiej, wszystkie inne mają zastępstwo Banku krajowego [1]. Podajemy tu wreszcie wykaz powiatowych i miejskich kas oszczędności, według Spraw. dep. I. Wydz. kraj. za r. 1892. (Str. 321, tabl. *E.* i *F.*).

Tak pożyczkowe kasy powiatowe, jak powiatowe kasy oszczędności, zadawalniają się małym zyskiem i zostają pod kontrolą i gwarancyą powiatów, przeznaczone są do odegrania wybitnej roli w przyszłej organizacyi kredytowej, a to o b o k gminnych kas pożyczkowych.

Sieć towarzystw zaliczkowych i kredytowych [2] wzrosła znacznie w ciągu ostatnich lat 15. W chwili wejścia w życie ustawy przeciw lichwie dla Galicyi i Bukowiny, było w kraju 97 towarzystw, z tego wykazanych w roczniku „Związku“ 77 z ogólną liczbą 33.360 członków, a z tego znów 13.699 czyli 49·10% rolników; w końcu roku 1891 istniało już ogółem towarzystw 231, z tego wykazanych w roczniku „Związku“ 200 z ogólną liczbą 153.760 członków, a z tego znów 83.731 czyli 54·46% rolników. Gruntowna monografia Tadeusza Łopuszańskiego: „Żydowskie stowarzyszenia kredytowe w Galicyi“ [3], wykazuje istniejące w tej chwili w całym kraju towarzystwa zaliczkowe w ogólnej liczbie 252, z tego 140 chrześcijańskich, 112 żydowskich. Z 98 to-

[1] Nadto w toku jest przekształcenie pow. kasy pożyczkowej w Drohobyczu na pow. kasę oszczędności, oraz założenie pow. kas oszczędności: w Buczaczu, Kolbuszowy, Krośnie, Mielcu, Nowym Targu, Skałacie i Śniatynie, a miejskich kas oszczędności w Jarosławiu i Zbarażu. Wreszcie i rada powiatowa przemyska poleciła swemu Wydziałowi powiatowemu zwołać ankietę dla zbadania sprawy założenia pow. kasy pożyczkowej lub kasy oszczędności.

[2] „Towarzystwa zarobkowe i gospodarcze 1877“, przez d-ra Alfreda Zgórskiego *(Wiad. stat.)*. Statystyka stowarz. zarobkowych i gospodarczych za r. 1890, zestawił Wład. Terenkoczy. Lwów 1891. To samo za r. 1891 zestawił Konstanty Heinrich. Lwów 1892.

[3] Zeszyt styczniowy i lutowy 1893 *Ekonomisty polskiego.*

Tabl. **E.** **Wykaz miejskich kas oszczędności za rok 1891.**

L. p.	Powiat	Wysokość wkładek oszczędn. złr.	ct.	Wysokość wydanych pożyczek złr.	ct.	Fundusz rezerwowy złr.	ct.	Stan z końcem r. 1891 złr.	ct.
1	Biała	2,312.990	18½	2,076.319	96	36.821	60	2,356.102	14½
2	Bochnia	614.126	83½	589.236	75½	57.773	97	702 470	37½
3	Drohobycz	340.142	93	263.488	42	33.284	41	347.471	98½
4	Jasło	728.022	97	680.429	35	44.910	82	789.963	36½
5	Kołomyja	1,410.177	65	960.576	22	124.729	21	1,444.830	54
6	Przemyśl	2,323.843	50½	1,934.827	95	173.396	35	2,576.021	76
7	Rzeszów	848 527	09½	748.471	66	137.797	77	1,024.470	40½
8	Nowy Sącz	1,202.587	41	1,031.079	41	100.898	02½	1,329.812	15
9	Sambor	1,559.143	15	1,504.686	11	91.970	45	1,591.188	24
10	Stryj	284.522	34	192.194	22	28 571	08	315.976	78
11	Stanisławów	1,741.156	66	1,263.457	94	241 633	52	1,793.558	31
12	Tarnopol	1,849.483	63	1,038.506	75	214.555	11	1,904.914	62
13	Tarnów	3,150.887	02	2,770.550	92	227.123	67	3,493.120	43½
14	Żywiec	—	—	—	—	—	—	—	—
	Razem	18,365.611	38	15,053.825	66½	1,513.465	98½	17,876.342	80

Tabl. **F.** **Wykaz powiatowych kas oszczędności za rok 1891.**

L. p.	Powiat	Wysokość wkładek oszczędn. złr.	ct.	Wysokość wydanych pożyczek złr.	ct.	Fundusz rezerwowy złr.	ct.	Stan z końcem r. 1891 złr.	ct.
1	Bochnia	349.310	07½	351.561	80	9.146	47½	376.937	24½
2	Brody	—	—	—	—	—	—	—	—
3	Dolina	90.569	27	93.647	06	1.772	85	100.857	98
4	Kałusz	211.504	98	209.713	09	1.352	29	220.108	92
5	Kraków	1,907.802	78	1,471.088	03	61.884	05	2.013.551	27
6	Myślenice	—	—	—	—	—	—	104.517	—
7	Ropczyce	183.413	07	185.320	44	5.582	14	188.764	80
8	Sambor	52.662	82	54.159	27	1.097	67	55.213	42
9	Trembowla	163.907	07½	166.322	19	9.907	86	197.997	38
10	Wadowice	849.289	48½	796,714	95	73.782	05½	940.866	05
11	Wieliczka	545.391	92	407.020	50	24.683	65	577.199	52½
	Razem							4,876.013	59

warzystw zaliczkowych żydowskich, istniejących z końcem r. 1891— świeżych bowiem przybyło 14 w ciągu r. 1892 — przypadało 8 na okręg krakowskiego, 90 na okręg lwowskiego sądu wyższego. Kapitał własny stowarzyszeń zaliczkowych wynosił z końcem r. 1891 6,245.074 złr. 58 ct., wkładki na rachunek bieżący 14,631.017 złr. 68 ct., stan pożyczek udzielonych wynosił z dniem 31 grudnia 1891 r. 22,932.440 złr. 40 ct., kapitał obrotowy wynosił 25,318.652 złr. 80 ct. Towarzystwa te, zwłaszcza zaś należące do „Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych", ogółem działają zbawiennie; z drugiej jednak strony niejednokrotnie dla zwerbowania sobie klientów płacą wysokie dywidendy od udziałów, tudzież procenta wysokie od wkładek oszczędności, a przeto tem wyższe pobierać muszą procenta tak od eskontu weksli, jak od pożyczek hipotecznych; dalej wymagają przed udzieleniem pożyczki złożenia udziałów i niejednokrotnie dopełnienia kosztownych formalności, jak np. zeznania aktów notaryalnych, co dla włościanina zwłaszcza przy mniejszych pożyczkach jest zbyt uciążliwem. Koszta zarządu towarzystw zaliczkowych, wliczając w to płace, tantyemy, remuneracye, koszta syndykackie, druki, podatki i t. d są nietylko znaczne, ale wzrastają jeszcze coraz bardziej, tak, że w latach 1888—1891 na każde 100 złr. wydanej przez którekolwiek z chrześcijańskich stowarzyszeń zaliczkowych (prócz Towarzystwa wzajemnego kredytu) pożyczki, przypadała z tych kosztów kwota 131 centów, podczas gdy znacznie taniej administrowane stowarzyszenia żydowskie, wykazują w powyższych latach w rubryce tej kwotę tylko 81·9 centów. Przytem koszta zarządu stowarzyszeń tak chrześcijańskich jak i żydowskich wzrosły w latach od 1888—1891 o 21—22%, co oczywiście również ujemnie oddziałać musi na taniość i przystępność pożyczek[1]. Wreszcie zaś termin płatności długów w towarzystwach zaliczkowych nie zawsze zastosowany jest do okoliczności, iż rolnik kwotę pożyczoną na przednowku dopiero po żniwach, a więc po 8—9 miesiącach, niekiedy zaś — a mianowicie jeśli pożyczoną kwotę obrócił na spłatę sched spadkowych, zakupno

[1] Por. i w tym względzie wzorową pracę Łopuszańskiego j. w.

inwentarza i t. p. — po dłuższym dopiero czasie spłacić jest w stanie; przeciwnie termin płatności naznacza się w towarzystwach zaliczkowych, udzielających przeważnie kredytu wekslowego, zazwyczaj na trzy miesiące od dnia wystawienia wekslu, a choć przyznaje się regularnie prolongatę, to jednak pod warunkiem każdorazowej spłaty 10% dłużnego kapitału, oczywiście w równych każdym razem ratach, co jednak także istocie kredytu rolniczego nie odpowiada.

Ale i pod temi względami znaczne zaszły zmiany na lepsze. W r. 1877 tylko towarzystwa zaliczkowe w Busku i Mościskach rozdzielały dywidendę po 5%, w Tarnowie po 8%, podczas gdy u wszystkich innych dywidenda wynosiła 10 od sta lub więcej. Z końcem r. 1891 rozdzieliło 97 towarzystw dywidendę po $5^1/_2$% i niżej, 50 towarzystw po 6 od sta, 34 towarzystw ponad 6 do 8 od sta, a tylko 32 towarzystw, w tej liczbie 24 żydowskich, ponad 8 od sta.

W r. 1877 tylko stowarzyszenia zaliczkowe w Dąbrowej, Nowym Sączu, Przemyślu i Stanisławowie wyrobiły u siebie praktykę zastosowaną do potrzeb ludności rolniczej. W r. 1887 ze 185 stowarzyszeń 65 udzielało także pożyczek *jednorocznych nie na weksle i bez żądania spłat ratalnych* [1], a w chwili obecnej zapewne więcej jeszcze towarzystw zaliczkowych stosuje ten sam proceder.

W r. 1891 stopa procentowa od pożyczek udzielanych członkom przez 199 towarzystw zaliczkowych i kredytowych, omówionych w „Statystyce Związku“, przedstawiała się, jak następuje:

do	12	%	pobierało	1	towarzystwo	czyli	0·50%	ogólnej liczby
„	11	%	„	2	„	„	1·00%	„ „
„	10	%	„	24	„	„	12·06%	„ „
„	9	%	„	35	„	„	17.59%	„ „
„	$8^1/_2$%		„	5	„	„	2.51%	„ „
„	8	%	„	73	„	„	36·69%	„ „
„	$7^1/_2$%		„	6	„	„	3.02%	„ „
„	7	%	„	31	„	„	15·58%	„ „
„	$6^1/_2$%		„	3	„	„	1·51%	„ „
„	6	%	„	9	„	„	4·52%	„ „

[1] Por. d-ra Stefczyka: „O spółkach systemu Raiffeisena“. *Przegląd Polski*. 1890.

do 5 % pobierało	1	towarzystwo	czyli	0·50%	ogólnej liczby
„ $4^3/_4$% „	1	„	„	0·50%	„ „
niewykazało stopy proc.	7	„	„	3·52%	„ „

Podczas kiedy w latach 1874—77 12·8—15·4% wszystkich udzielanych przez towarzystwa zaliczkowe pożyczek oprocentowanych było po 12%, a 33—35% po 10%, od roku 1877 począwszy, udział pożyczek wyżej oprocentowanych z każdym rokiem się zmniejsza; i tak w latach 1888—1891 udział pożyczek 12%-owych w stosunku do ogółu udzielonych pożyczek, wynosi już tylko 0·1%, a udział pożyczek 10%, waha się między 1·8% a 2·9%. W tym samym stosunku wzmaga się udział pożyczek niżej oprocentowanych, wynosząc w r. 1891 po 9% 16·4%, po 8% 29·4%, niżej 8% 51·3% [1]. Ogółem rozpożyczyły towarzystwa zaliczkowe w Galicyi w latach 1874—1891 kwotę 458 milionów, z czego na same spółki żydowskie przypadało 92 milionów złr.

Z pomiędzy 221 towarzystw zaliczkowych i kredytowych, wykazanych w „Statystyce Związku“ za r. 1891 [2], najwięcej, bo 13 znajduje się w powiecie stanisławowskim, 12 w lwowskim, po 8 w husiatyńskim i kołomyjskim, po 7 w drohobyckim i buczackim, po 6 w czortkowskim i rzeszowskim, po 5 w kossowskim, krakowskim, przemyskim i śniatyńskim, po 4 w bialskim, brzeskim (3 towarzystwa, 1 w likwidacyi), brzeżańskim, przemyślańskim, rohatyńskim, sanockim i tarnowskim.

Tylko po jednem towarzystwie zaliczkowem znajduje się w powiatach: bóbreckim, bocheńskim, brodzkim, dąbrowskim, doliniańskim, grybowskim, jaworowskim (nadto jedno w likwidacyi), kałuskim, krośnieńskim, limanowskim, mieleckim, pilzneńskim trembowelskim i turczańskim.

Wcale niema towarzystw zaliczkowych w 5 powiatach: Bohorodczany, Nisko, Rawa, Horodenka i Wieliczka, a w pierw-

[1] Por. wyborne tablice w powołanej już pracy T. Łopuszańskiego.

[2] Statystyka ta wykazuje właściwie 222 towarzystw, liczy jednak osobno towarzystwa zaliczkowe lwowskie i powstały w jego miejsce Bank zaliczkowy, ja zaś nie liczę już nieistniejącego tow. zaliczkowego.

szych trzech niema wogóle żadnej powiatowej instytucyi kredytowej.

Towarzystw zaliczkowych, obejmujących więcej niż 50% członków rolników, zajmujących się więc przeważnie udzielaniem kredytu włościańskiego, jest w naszym kraju 82, a rozkład ich przedstawia się jak następuje:

Z 69 powiatów, w których wogóle znajdują się towarzystwa zaliczkowe, takich towarzystw, któreby przeważnie trudniły się kredytem włościańskim, zupełny jest brak w 18 powiatach, a mianowicie: bocheńskim, borszczowskim, brodzkim, brzozowskim, buczackim, czortkowskim, doliniańskim, gorlickim [1], husiatyńskim, jasielskim, kolbuszowskim, kołomyjskim [2], nadwórniańskim, staromiejskim, stryjskim, turczańskim, wadowickim [3] i zaleszczyckim.

W 27 powiatach, jakoto: Bóbrka, Brzeżany, Cieszanów, Dąbrowa, Drohobycz, Gródek, Kałusz, Kossów, Kraków, Krosno, Limanowa [4], Łańcut, Mielec [5], Pilzno, Podhajce, Rohatyn, Ropczyce, Sambor, Sanok, Skałat, Śniatyn, Tarnopol [6], Tarnów, Tłumacz, Trembowla, Żółkiew i Żydaczów, między istniejącemi towarzystwami zaliczkowemi znajduje się tylko po jednem, w którem rolnicy stanowią większość członków.

Po dwa takie towarzystwa znajduje się w 18 powiatach: Chrzanów, Dobromil, Jarosław [7], Jaworów, Lisko, Mościska, Myślenice, Nowy Sącz, Nowy Targ, Przemyśl, Przemyślany, Rudki, Rzeszów, Sokal [8], Stanisławów [9], Tarnobrzeg, Zbaraż i Żywiec.

Po trzy takie towarzystwa znajduje się w 5 powiatach: Biała, Brzesko, Kamionka Str., Lwów i Złoczów.

[1] Nadto Stowarzyszenie ochrony miejscowej własności ziemskiej w Bieczu (pow. Gorlice).

[2] Nadto Spółka rolnicza, będąca właściwie towarzystwem zaliczkowem w Kołomyi.

[3] Nadto Stowarzyszenie ochr. m. włas. ziem. w Wadowicach

[4] Nadto Stow. ochr. m. włas. ziem. w Limanowej.

[5] Nadto Stow. ochr. m. włas. ziem. w Mielcu.

[6] Nadto Spółka rol. w Tarnopolu.

[7] Nadto Stow. ochr. m. włas. ziem. w Jarosławiu.

[8] Nadto Spółka rol. w Sokalu.

[9] Nadto Spółka handl.-rolnicza w Stanisławowie.

Między 221 towarzystwami zaliczkowemi i kredytowemi znajduje się tylko 95 należących do „Związku“, podczas gdy 126 do „Związku“ nie należy. W szczególności nie należy do „Związku“ ani jedna ze spółek kupieckich, znanych w naszym kraju pod nazwą pospolitą „spółek żydowskich“.

Spółek tych jest ogółem 85, a różnią się od innych towarzystw zaliczkowych nietylko pod względem zewnętrznym, tj. że w skład rady nadzorczej i dyrekcyi wchodzą sami Izraelici, ale także pod względem wewnętrznym, tj. że nie trudnią się wcale (z małemi wyjątkami w Dobromilu, Glinianach, Kutach, Lisku, Przemyślanach, Złoczowie i Zbarażu) udzielaniem kredytu rolniczego, zasilając natomiast wydatnym kredytem własnych członków, po największej części kupców, handlarzy i kapitalistów, którzy otrzymane pieniądze dopiero dalej rozpożyczają[1].

W szczególności z 153.760 członków należących z końcem r. 1891 do 127 chrześcijańskich i 73 żydowskich towarzystw zaliczkowych, było włościan w stowarzyszeniach żydowskich 5289 na ogólną liczbę członków 30.015, czyli 17·55%; w stowarzyszeniach chrześcijańskich 80.142 na ogólną liczbę członków 123.745, czyli 64·81%; natomiast udział kupców, handlarzy, kapitalistów i właścicieli realności miejskich w stowarzyszeniach żydowskich wynosił 19.342, czyli na ogólną liczbę członków 30.015 64·4%; w stowarzyszeniach chrześcijańskich 11.150, czyli na

[1] Na zgubną działalność tych towarzystw zwrócił uwagę poseł Merunowicz jeszcze w r. 1883, podnosząc, że one wypłacają pożyczki nie gotówką, ale w formie t. zw. *Darlehensscheine*, które dłużnicy następnie zmuszeni są spieniężać z mniejszą lub większą stratą w kapitale. Nadto pobierają te spółki według Merunowicza, obok właściwego procentu od wypożyczonego kapitału, prowizyę dla dyrektorów, a prowizyę zwłoki tak obliczają, iż obciąża ona dłużnika dopłatą dochodzącą czasem do wysokości kilkuset procentów. Dalej bez względu na stopniowe umniejszanie się długu wskutek spłaty rat amortyzacyjnych, potrącają z góry procent od całej sumy wypożyczonej, obliczony od dnia przyzwolenia pożyczki do dnia spłaty ostatniej raty, przez co znowu pozornie oznaczony procent w rzeczywistości znacznie się podnosi. Wypada tu jednak dodać, że nietylko spółki żydowskie praktykują podobne obliczanie procentu, zdarza się to także u stowarzyszeń chrześcijańskich, nie należących do „Związku“.

ogólną liczbę członków 123.745 9·04%[1]. O jakiemkolwiek przeto pożytecznem oddziaływaniu w kierunku dźwignięcia kredytu włościańskiego ze strony owych spółek kapitalistów nie może być nawet mowy. Spółki te znajdują się prawie wyłącznie we wschodniej Galicyi, przeważna ich część zajęła całe podgórze karpackie od Żabiego u źródeł Czeremoszu po Lisko. Na Pokuciu, na obszarze kilkunastu mil kwadratowych operuje ich obecnie kilkanaście, a w powiatach husiatyńskim i czortkowskim czynnych jest obecnie 23 spółek żydowskich[2].

Kasy urządzone według systemu Raiffeisena są w Galicyi dopiero w zawiązku. Jest ich dotąd wszystkiego pięć: w Czernichowie (zał. w marcu 1890 r. przez prof. d-ra Franciszka Stefczyka), w Gaciu (pow. Łańcut, zał. 1891 r. przez włościanina Brożbara), w Wesołej (pow. Brzozów, zał. 1892 r. przez ks. Wojciecha Owoca), w Gdowie (pow. Wieliczka, zał. 1893 r. przez pana Eugeniusza Reinera) i w Bachorzu (pow. Brzozów, zał. 1893 r. przez ks. proboszcza Mazurka).

Wkońcu przystępujemy do omówienia t. zw. wspólnych kas sierocych, których pożyteczna, acz nie głośna działalność zasługuje tem bardziej na obszerną wzmiankę, że o instytucyach tych jak gdyby zapomniano u nas zupełnie.

W myśl § 194 ces. pat. z 9 sierpnia 1854 l. 208 dpp. wolno fundusze małoletnich między innemi fruktyfikować przez złożenie ich do t. zw. kas wspólnych sierocych *(cumulative Waisenkassen)*. W myśl §§ 25, 28—45 instr. minist. z 24 czerwca 1859 l. 123 dpp. tudzież §§ 196, 197 i 198 ces. pat. z 9 sierpnia 1854 l. 208 dpp. kasy sieroce mają obowiązek fundusze sierocińskie umieszczać na hipotekach za pupilarnem bezpieczeństwem i za pobraniem po 5 od sta w półrocznych z góry zapadających ratach. Kwoty kapitałowe muszą być podzielne przez dziesięć; obu stronom, tj. kasie i dłużnikowi, przysługuje prawo wypowiedzenia całego kapitału z tym skutkiem, iż płatność jego w pół roku potem następuje. Kasy sieroce czynią jednak regularnie użytek z tego

[1] Por. Łopuszański, jak wyżej.
[2] Por. Łopuszański, j. w.

uprawnienia tylko w razie potrzeby wypłacenia wypożyczonego kapitału doszłemu do pełnoletności pupilowi. Płatność kapitału natychmiastowa następuje ponadto i wówczas, jeżeli dłużnik najpóźniej w sześć tygodni po zapadłym terminie przypadających procentów nie uiści.

Wartość dóbr nieruchomych za hipotekę służących wypośrodkowuje się przez oszacowanie sądowe przy równoczesnem uwzględnieniu fasyi podatkowej i protokółu parcelowego.

Wartości domów zbudowanych z drzewa, gliny lub innego materyału nie ogniotrwałego nie wlicza się do ogólnego szacunku. Przy uiszczeniu każdej raty lub procentu, wykazać się winien dłużnik z poprzedniego zapłacenia premii asekuracyjnej w oznaczonej przez kasę sierocą wysokości. Przy wypłacie pożyczki potrąca się procent za pierwsze półrocze z góry. W razie, gdy fundusze kasy sierocej nie wystarczają do zadośćuczynienia żądaniom zgłaszających się o pożyczkę, wolno kasie za pośrednictwem prezydyum c. k. Sądu krajowego wyższego, w obrębie którego się znajduje, zaciągnąć na ten cel pożyczkę u innej kasy sierocej, a to w myśl rozp. min. spraw. z 28 listopada 1883 l. 19.529 i z 8 maja 1887 l. 18.606 ex 1886.

Oto zasady, według których urządzone są kasy sieroce w całej Austryi.

Dla uzyskania pożyczki z kas sierocych, zwłaszcza w obrębie c. k. Sądu krajowego wyższego w Krakowie (np. w sądzie powiatowym w Białej), nie potrzeba ponosić żadnych kosztów prócz stempli i należytości skarbowych. Ustne zgłoszenie się do kasy z prośbą o pożyczkę wystarcza. Akt oszacowania, szczególnie mniejszych posiadłości, spisuje urzędnik manipulacyjny według wzorów na ten cel ustalonych. Zwłaszcza przy mniejszych pożyczkach następuje podpisanie skryptu w sądzie; sąd też przyjmuje protokolarne prośby o intabulacyę pożyczki.

Takich kas sierocych było z końcem sierpnia 1891 [1] w obrębie c. k. Sądu krajowego wyższego w Krakowie 65, a miano-

[1] Wydział „Związku“ stowarzyszeń zarob. i gospodarczych odniósł się w czerwcu 1891 do Wydziału krajowego z prośbą o wyjednanie u c. k.

wicie: przy sądzie krajowym w Krakowie, przy sądach obwodowych w Nowym Sączu i Tarnowie, oraz przy sądach powiatowych lub miejsko-delegowanych powiatowych w Andrychowie, Białej, Bieczu, Bochni, Brzesku, Brzostku, Chrzanowie, Czarnym Dunajcu, Dąbrowie, Dębicy, Dobczycach, Dukli, Frysztaku, Głogowie, Gorlicach, Grybowie, Jordanowie, Jaśle, Kalwaryi, Kętach, Kolbuszowej, Krakowie, Krościenku, Krzeszowicach, Leżajsku, Limanowej, Liszkach, Łańcucie, Makowie, Mielcu, Milówce, Mszanie Dolnej, Muszynie, Myślenicach, Nisku, Nowym Sączu, Nowym Targu, Oświęcimie, Pilźnie, Podgórzu, Przeworsku, Radłowie, Radomyślu, Ropczycach, Rozwadowie, Rzeszowie, Skawinie, Sokołowie, Starym Sączu, Strzyżowie, Ślemieniu, Tarnobrzegu, Tuchowie, Tyczynie, Ulanowie, Wadowicach, Wieliczce, Wiśniczu, Wojniczu, Żabnie, Żmigrodzie i Żywcu.

Wbrew przepisowi § 25 rozp. min. z 24 czerwca 1859 l. 122 dpp., nie lokowały kapitałów pieczy ich powierzonych na hipotekach, ale zakupywały za nie obligacye publiczne, lub składały je do kasy oszczędności następujące kasy sieroce: Brzostek, Dobczyce, Dukla, Frysztak, Jordanów, Mszana Dolna i Wiśnicz.

Ogólna liczba dłużników pozostałych 58 kas, wynosiła z końcem 1889 r. 2914. Kasy te po koniec sierpnia 1891 udzieliły pożyczek na hipotekę w poważnej kwocie łącznej 1,141.209 złr. 24½ ct., a cały ich majątek wynosi około 1,400.000 złr. w. a.[1]. Na każdą kasę sierocą w zachodniej Galicyi wypada tedy przeciętnie dłużników hipotecznych przeszło 50-ciu, na każdego dłuż-

---

Sądów krajowych wyższych we Lwowie i w Krakowie dat dotyczących kas sierocych. Wydział krajowy prośbę tę udzielił prezydyom powyższych sądów, a wskutek tego we wrześniu 1891 nadeszły relacye, które Wydział krajowy odesłał „Związkowi“. Na datach w ten sposób zebranych, a przez „Związek“ łaskawie nam udzielonych, oparliśmy poniższe zestawienie.

[1] Kapitały lokowane na hipotekach . . . 1,141.209 złr. 24½ ct.
„ w książeczkach kasy oszczędn. 156.939 „ 77 „
„ w obligacyach publicznych . . 29.950 „ —
„ w gotówce . . . . . 4.213 „ 40½ „
do tego nie obliczone procenta od wkładek oszczędności i zaległe procenta od wierzytelności hipotecznych.

nika hipotecznego 391·62 złr., a na każdą kasę 19.676·01 złr. wypożyczonego na hipotekę kapitału.

W obrębie c. k. Sądu krajowego wyższego we Lwowie takich kas sierocych było 52, a mianowicie: przy sądach powiatowych i miejsko-delegowanych: Bohorodczany, Borszczów, Brzozów, Bukowsko, Busk, Chodorów, Delatyn, Dolina, Drohobycz, Gliniany, Gródek, Grzymałów, Janów, Jarosław, Jaworów, Kołomyja, Komarno, Kopyczyńce, Kossów, Kozowa, Lisko, Lubaczów, Medenice, Mielnica, Mikulińce, Mościska, Mosty, Niżankowice, Nowe Sioło, Olesko, Przemyśl, Przemyślany, Radymno, Radziechów, Sądowa Wisznia, Sambor, Sanok, Skałat, Skole, Sołotwina, Staremiasto, Stryj, Trembowla, Uhnów, Winniki, Wiśniowczyk, Wojniłów, Zbaraż, Zborów, Złoczów, Żółkiew i Żurawno.

Wbrew § 25 rozp. min. z 24 czerwca 1859 l. 123 dpp. nie lokowały kapitałów pieczy ich powierzonych na hipotekach, ale zakupywały za nie obligacye publiczne lub składały je do kasy oszczędności następujące kasy sieroce: Gródek, Komarno, Lisko, Mielnica, Niżankowice, Radziechów, Sanok, Trembowla, Wojniłów i Zborów.

Ogólna liczba dłużników pozostałych 42 kas wynosiła 562, czyli mniej niż piątą część dłużników kas sierocych w obrębie apelacyi krakowskiej; ogólna wysokość pożyczek hipotecznych wynosiła 234.060 złr. 48½ ct., czyli nieco więcej niż piątą część pożyczek hipotecznych, udzielonych przez kasy sieroce w obrębie apelacyi krakowskiej. Na każdą kasę sierocą we wschodniej Galicyi wypada tedy przeciętnie dłużników hipotecznych przeszło 13, na każdego dłużnika hipotecznego 416·47 złr., a na każdą kasę 5572·85 złr. wypożyczonego na hipotekę kapitału.

Wszystkich kas sierocych w całej Galicyi było z końcem sierpnia 1891 117, a mianowie: 3 przy sądach kolegialnych, 114 przy sądach powiatowych i miejsko-delegowanych powiatowych. Tylko 100 kas sierocych trudniło się wogóle udzielaniem kredytu hipotecznego i udzieliło go dotąd na łączną sumę 1,375.269 złr. 73 ct. Z kwoty tej wydzielić wypada sumę 31.802 złr. 50 ct. jako udzieloną przez kasy sieroce Sądu krajowego w Krakowie, oraz sądów obwodowych w Nowym Sączu i Tarnowie,

a otrzymamy 1,343.467 złr. 23 ct., jako wypożyczoną na hipotekę posiadłości miejskich, oraz średnich i drobnych wiejskich, położonych w obrębie 97 sądów powiatowych i powiatowych miejsko-delegowanych. Dalszego podziału niestety dla braku dotyczących danych przeprowadzić niepodobna.

Taki jest obraz dotychczasowych usiłowań w dziedzinie kredytu włościańskiego, usiłowań luźnych, nie związanych wspólną ideą, nieświadomych potrzeby złączenia się dla ogólnego i własnego dobra, niejednokrotnie uwieńczonych pomyślnym skutkiem, ale wszędzie dalekich jeszcze od ostatecznego rezultatu.

Nad wyzwoleniem ludu włościańskiego z monopolu lichwiarzy, pracują wkońcu kółka rolnicze i *Narodna Torhowla*, a choć nie zajmują się udzielaniem kredytu włościańskiego, to jednak czynią go niejednokrotnie zbędnym, przejmując na własne barki owe czynności handlu pośredniczącego, pod których pozorem lichwa najczęściej dziś występuje na zewnątrz.

Kółka rolnicze [1], powołane do życia w Galicyi dnia 18 listopada 1882 na wzór istniejących już w Wielkopolsce, zajęły się sprowadzaniem dla członków swych nawozu, nasion, narzędzi i maszyn rolniczych, szerzeniem różnych rodzajów przemysłu rolniczego lub domowego, wskazaniem racyonalnych sposobów uprawy, a przytem zakładaniem czytelń, rozdawaniem książeczek i pism ludowych. Ponadto zakładają one sklepiki wiejskie dla sprzedaży przedmiotów codziennego użytku włościanina, więc: mąki, kaszy, chleba, soli, nafty, słoniny, tytoniu, butów, płótna, perkalu, rzemieni, żelaza, igieł i nici, tudzież wyrobów miejscowych, cieszących się znacznym popytem, jakoto: robót tokarskich, szewskich, snycerskich, bednarskich, kowalskich i t. d.

Kółek rolniczych było z końcem r. 1892 825 w 1145 gmi-

[1] „Kółka rolnicze w Galicyi", przez Jadwigę z Szczawińskich Dawidowę. Odbitka z *Głosu*, Warszawa 1890. Sprawozdania z czynności Tow. kółek rolniczych. Sprawozdania zarządu głównego Tow. kółek rolniczych z odbytych lustracyj gospodarskich w gminach. „Przewodnik kółek rolniczych". „Zadania kółek rolniczych w Galicyi", napisał Kazimierz Lange. Kraków 1884.

nach, z liczbą członków 39.460, a doliczywszy 6 członków założycieli i 316 członków wspierających, z ogólną liczbą członków 39.780; z końcem czerwca 1893 roku liczba kółek doszła do 871 w 1193 gminach, a członków do 40.760. Sklepików posiadały kółka blizko 600, a dwa z nich: w Czernichowie („Bazar kółka rolniczego“) i Tarnobrzegu („Skład towarów kółek rolniczych“), uzyskały w r. 1891 wpis do rejestru handlowego, jako towarzystwa z ograniczoną poręką (odpowiedzialność jednokrotna). Szczególnie pomyślnym w rozwoju sklepików chrześcijańskich był rok 1892. Obrót w sklepikach wynosił od 1000 do 40.000 złr., a kapitał włożony obracał się do 80 razy rocznie. Niektóre kółka, posiadające większą ilość członków lub obejmujące większą przestrzeń, utrzymują równocześnie po dwa a nawet więcej sklepików. Sklepiki w powiatach: bialskim, jasielskim i mieleckim rozwijają się bardzo pomyślnie; to samo ma miejsce wogóle tam, gdzie kółka zostają pod kierownictwem powiatowych zarządów, których było ogółem 27. Natomiast w powiatach: szczerzeckim, jaworowskim, limanowskim i podhajeckim sklepiki wiejskie nie mogły w r. 1891 wytrzymać konkurencyi z kramarzami nieuczciwymi, dostarczającymi najgorszego towaru po cenach niższych[1]. W roku 1892 sprowadziły kółka rolnicze ogółem za sumę 14.699 złr. nasion pod zasiewy tudzież maszyn i narzędzi rolniczych, częścią za pośrednictwem zarządu głównego, częścią zarządu powiatowego w Krakowie. Od czasu powstania kółek rolniczych nabyli w ten sposób ich członkowie nasion i narzędzi rolniczych za 100.514 złr. 10 ct. Na własną rękę po koniec r. 1892 sprowadziły kółka rolnicze sztucznych nawozów za 111.200 złr. wedle wskazówek fachowych, udzielonych przez zarząd główny.

Wogóle ludność mieszkająca na wsi, a trudniąca się kupiectwem, rozpoczęła wszędzie przeciw kółkom pomiędzy ludem włościańskim szaloną agitacyę, która w rezultacie osłabić musiała znacznie działalność sklepików wiejskich, skutkiem czego kółka rolnicze rzadko dotąd i niedostatecznie zajmowały się przepro-

[1] Nr. 17 czasopisma *Związek* ex 1891.

wadzeniem reorganizacyi miejscowych (gminnych) kas pożyczkowych, zakładaniem nowych lub udzielaniem pożyczek bezprocentowych rolnikom na zakupno nasion, co również według statutu należy do zadań kółek.

Narodna Torhowla jest największem w kraju naszym towarzystwem spożywczem. Posiada ono oprócz magazynu centralnego we Lwowie, filie z własnemi sklepami w 10 miejscowościach: Stanisławowie, Przemyślu, Tarnopolu, Drohobyczu, Kołomyi, Stryju, Śniatynie, Samborze, Rohatynie i Brodach, tudzież sklepików wiejskich *(kramnyć)* 314. Zapas towarów reprezentował z końcem roku 1891, według inwentarza, wartość 163.705 złr., a suma obrotu kasowego wynosiła w całym interesie około milion złr. w. a.

Nadto istnieje w Lataczu od r. 1890 stowarzyszenie spożywcze *Narodnyj Bazar,* a w Sanoku istniało dawniej takież stowarzyszenie: *Okružnaja narodnaja torhowla,* obecnie znajdujące się w likwidacyi.

Sejm krajowy uchwalił na dniu 27 listopada 1890 fundusz pożyczkowy dla wspierania działalności handlowo-przemysłowej kółek rolniczych w kwocie 15.000 złr.[1], a z funduszu tego udzielił Wydział krajowy na wniosek zarządu głównego kółek pożyczki w wysokości od 100—500 złr. ogółem 16-tu sklepikom w łącznej kwocie 4650 złr.

Tymczasem z prywatnej inicyatywy zawiązał się w Krakowie „Związek handlowy kółek rolniczych“, który postawił sobie za zadanie zachęcać do zakładania sklepików wiejskich i ułatwiać ich powstawanie, istniejące zaś sklepiki rozszerzać i popierać. W tym celu „Związek handlowy“ sprowadza większe partye towarów do centralnego składu, sprzedaje takowe sklepikom wiejskim po cenach najumiarkowańszych, niemniej zaś skupuje od włościan po właściwych cenach wytwory miejscowe, sprzedawane dotąd zbyt tanio handlarzom wiejskim, tem samem

[1] Por. Sprawozdanie Wydziału krajowego za czas od 1 lipca 1890 do 1 października 1891, str. 67.

zaś zbliża na wszystkich polach producenta do konsumenta, niwecząc przez to dotychczasową zależność od pośredników, dyktujących ceny wygórowane.

Na ostatniem walnem zgromadzeniu kółek rolniczych, odbytem w Krakowie, uznany został w dniu 5 lipca 1893 roku „Związek handlowy“ za instytucyę centralną dla sklepików wiejskich Galicyi zachodniej, a zarazem uchwalono dążyć do założenia podobnej instytucyi we Lwowie.

(Dok. nast.).

Dr. Leopold Caro.

BAŚNIE I FAŁSZE W HISTORYI.

(Ciąg dalszy).

Przed kilkunastu laty ogłosił jakiś Bergenroth w znanem czasopiśmie historycznem [1], iż Karol V. kazał swą matkę wziąć na tortury. Na szczęście owo okropne odkrycie polega na złem zrozumieniu hiszpańskich słów: *dar la cuerda,* co znaczy „puścić cugle", zatem cesarz każe dać wszelką możliwą wolność swej obłąkanej matce. Śmierć jej w r. 1555, wedle Philippsona [2], spotęgowała melancholijne usposobienie Karola. Składa więc w następnym roku koronę i szuka spokoju w zaciszy klasztoru San Yuste. Nie wiódł tam wcale jednak życia zakonnego; miał swój dwór dość liczny, interesował się żywo polityką. *No quiero ser frayle* (nie chcę być mnichem), powtarzał przy każdej sposobności. Inscenizowane zaś przez cesarza egzekwie za życia, są bajką puszczoną w obieg, jak tyle innych o Karolu V., przez szkockiego dziejopisarza Robertsona.

Z wojny trzydziestoletniej wspominamy rozpowszechnione podanie o bohaterskiej śmierci burmistrza Deimlinga i 400 mieszczan pforzheimskich w bitwie pod Wimpfen r. 1622. Źródłem tej wieści jest pismo jednego z potomków owego burmistrza w 166 lat po fakcie publikowane. Z powodu dwóchsetletniej rocznicy tego wypadku, przedsięwzięte badania okazały, że Deimling wcale

[1] *Sybels Zeitschrift*, 1868, zeszyt 4.

[2] Flathes, *Allgemeine Weltgeschichte*, 46. Lief., str. 212.

nie był burmistrzem w Pforzheim, że jeszcze 1635 r. 20 lutego, wedle metryk, urodziło mu się ostatnie dziecko, że sam umarł na zarazę w tymże roku, że mieszczanie tego miasta nie zostali w bitwie w pień wycięci, że jakiś inny oddział wojska markgrafa Jerzego Fryderyka, t. zw. biały regiment, bronił się zaciekle do ostatniego tchu. — Zburzenie Magdeburga, 200 lat przypisywane Tilly'emu, było dziełem szwedzkiego komendanta i niektórych mieszczan magdeburskich, którzy nie chcieli, by warownia protestantyzmu stała się punktem oparcia dla wojsk ligi [1]. — Szczególniejszą sympatyą cieszy się po dziś dzień jeszcze w protestanckich sferach Gustaw Adolf, jako bohater i obrońca protestantyzmu. Znany *Gustav-Adolph-Verein,* mający propagandę protestantyzmu na celu, jest wyrazem tego śmiesznego pietyzmu dla króla szwedzkiego. Znakomity jego biograf Droysen, wykazał jasno, że „motywa politycznej natury, żądza zdobyczy na morzu Bałtyckiem i chęć włożenia korony cesarskiej na swą skroń, pchnęły tego nowożytnego Aleksandra do wojny z cesarstwem. Religijne względy dopiero wtedy w mowach i proklamacyach podnosił, gdy zauważył ogromne wrażenie, jaką ta szczęśliwie przeprowadzona rola wywołać mogła“ [2].

Podobnie i bohaterzy wojen szląskich, Fryderyk II. i Marya Teresa, są przedmiotem licznych dykteryjek, gawęd i baśni. O Fryderyku II. istnieje cały cykl podań i anegdot całkiem lub w części skomponowanych. Najwięcej znanym epizodem z życia Maryi Teresy jest chwila, kiedy zewsząd przez nieprzyjaciół uciśniona dziedziczka habsburskich posiadłości chroni się do Preszburga i tu z małym synkiem na ręku, prosi stany węgierskie o pomoc. Wtedy nieszczęściem i pięknością młodej władczyni wzruszeni i jej przemową porwani Węgrzy, mieli z zapałem nie do opisania oświadczyć swą gotowość do walki znanym wykrzyknikiem: *Moriamur pro rege nostro Maria Theresia.* Scena ta niezmiernie malownicza, była też ulubionym przedmiotem dla malarzy. W rzeczywistości jednak nie mogła królowa węgierska

[1] Ranke, *Geschichte Wallensteins,* 1872. III. Aufl. Str. 148 i 149.
[2] Droysen, *Gustav Adolph.* Leipzig 1869/70.

przedstawić się z małym następcą tronu, ani magnatom 7 września, ani obu Izbom 11 września, gdyż królewicz dopiero 21 września przybył do Preszburga. Nadto zgromadzeni posłowie odpowiedzieli na łacińską przemowę królowej: *Vitam nostram et sanguinem consecramus.* Słowa zaś: *Moriamur* i zwykłe przedstawienie tej chwili, zdaje się, pochodzą z jakiegoś romansu. Osławiony zaś list Maryi Teresy do metresy Ludwika XV., markizy Pompadour, rozpoczynający się od słów: *ma chère cousine* i cała korespondencya między nimi jest fabrykacyą znowu Fryderyka Wielkiego, któremu chodziło o skompromitowanie dworu cesarskiego i francuskiego [1]; faktem jest, że tylko minister cesarzowej, Kaunitz, napisał do Pompadour list pełen czołobitności i pochlebstw, by ten wpływowy czynnik pozyskać dla przymierza antypruskiego. Znane również jest opowiadanie, że cesarzowa podpisała dokument, dotyczący pierwszego rozbioru Polski, temi słowy: „*Placet,* ponieważ tylu i tak wielkich ludzi tego chce, lecz kiedyś po mej śmierci dowiedzą się, co z tego wyniknie". Być może, że Marya Teresa tak myślała i tak czuła, dowodów na to nie posiadamy, jak i na to, że miała łzy nad rozbiorem Polski wylewać.

Przesadnie bywa przedstawiany zapał, jaki ogarnąć miał ludność pruską w walce o niepodległość z Napoleonem. Dobrowolne składki patryotyczne, jakie miały głównie dostarczyć środków do wojny, wynosiły w pierwszych 3 miesiącach r. 1813 niecałe 100.000 talarów [2]; co zaś do ochotników, to każdy zdatny do broni, musiał iść do boju, na jego zapał nie czekano. Ostatnia bitwa z krwawego dramatu Napoleońskiego, bitwa pod Waterloo lub Belle Alliance, nie otrzymała tej ostatniej nazwy od połączenia się wojsk pruskich z angielskiemi, lecz od nazwy folwarku w pobliżu placu bitwy. Podziwiane słowa jenerała Cambronne podczas walki: *La garde meurt, et ne se rend pas,* okazały się wobec krytyki nieprawdziwemi, albowiem Cambronne nie

[1] *Geschichtslügen,* str. 573.

[2] Eugen Richter, *Das preussische Staatsschuldenwesen,* Breslau 1869, str. 29.

zginął, i sam się poddał. Wynalazcą tych słów był dziennikarz Rougemont [1]. Że legenda i w najnowszych czasach się tworzy, świadczy wersya o gburowatem zachowaniu się ambasadora francuskiego, barona Benedetti, wobec króla Wilhelma I., wersya z taką lubością powtarzana przez niemieckich pisarzy, w której jednak niema ani źdźbła prawdy. Benedetti spełnił swój obowiązek, przedstawiając królowi prowokacyjne żądania swego rządu. W nich był powód do wojny, nie w osobistem zachowaniu się ambasadora, które było najtaktowniejsze w świecie, jak opowiada biograf Wilhelma I. [2]. O ile żelazny kanclerz przez zmiany w depeszy emskiej zrobione przyczynił się do wybuchu wojny, trudno wobec zdań sprzecznych dziś osądzić. — Kończymy dzieje niemieckie ostatniemi słowy dwóch wielkich niemieckich mężów. Gete miał umierając zawołać: „Więcej światła"; Hegel zaś: „Z wszystkich uczniów jeden mnie tylko zrozumiał i ten mnie źle zrozumiał" [3].

Najdowcipniejszy z narodów, naród francuski, najbogatszy ma repertoar dowcipów historycznych. Wcześniej też niż gdzieindziej zabrano się tu do zbierania tych anegdotek, kłamstw i fałszów historycznych. Fournier w dziełku: *L'ésprit dans l'histoire*, i Barthélemy w swych: *Erreurs et mensonges historiques*, zebrali obfitą kolekcyę tej plewy historycznej. I tu się sprawdza ogólne spostrzeżenie, że najciekawsze, najbarwniejsze epizody, fakta, orzeczenia, anegdoty są zmyślone lub przekręcone.

Na cmentarzu paryskim, *Père la Chaise*, pokazują stary grób Abaelarda i Heloizy; czułe pary zwykły wieńcami zdobić grobowiec francuskich Romeo i Julii. Być może, iż mogiła paryska więcej jest autentyczna niż grób rodzinny Kapuletów w Weronie lub nasza mogiła Esterki, jednakże podziwiane i naśladowane listy miłosne Abaelarda i Heloizy, powstały niezawodnie po ich śmierci. Najstarszy rękopis ich, przechowywany w Troyes, spisany

---

[1] Fournier, *L'ésprit dans l'histoire*, str. 6.

[2] Oskar Meding, *91. Jahre in Glaube, Kampf u. Sieg*, str. 64.

[3] Świadkowie zgonu ich, tych słów nie słyszeli, podsłuchał je atoli dowcip historyczny, który w ten sposób krótko lecz trafnie działalność tych ludzi charakteryzuje.

jest około 1284 r., tj. 100 lat po śmierci Heloizy a 120 lat po zgonie Abaelarda.

Dwie rzezie w średnich wiekach noszą nazwę nieszporów. Nieszpory sycylijskie z dnia 30 marca 1282 r. nazwano tak, ponieważ, jak wiadomo, rzeź podczas nieszporów się rozpoczęła. Była ona dziełem przypadku więcej niż ukartowanego planu Jana Procydy, który wprawdzie spiskował na rzecz domu Arragońskiego, lecz nie miał ogólnej rzezi na celu. Gwałtowny wybuch nienawiści uciskanych Sycylijczyków, zgotował zgubę Francuzom. W ślad za tem, jakkolwiek niesłusznie, nazwano i rzeź Duńczyków w Anglii, dokonaną z rozkazu anglosaskiego króla Ethelreda II. r. 1002, również nieszporami.

Dziwne zjawisko dziejowe, jakiem jest wystąpienie Joanny d'Arc, było i jest przedmiotem licznych badań i najsprzeczniejszych sądów. Piękna postać oswobodzicielki Francyi, szczególnie w poezyi doznała spaczenia. Już Szekspir w swym Henryku IV., nie rozumiejąc wcale dziejowego znaczenia tej postaci, skoszlawił jej charakter, sfałszował jej historyę. W niecny iście sposób obryzgał błotem cześć dziewiczej Joanny, jej własny ziomek Wolter w swem cynicznem dziele: *La pucelle d'Orléans*. Szyllera zaś przedstawienie jest całkiem fantastyczne, a jakkolwiek ma być apoteozą „Dziewicy Orleańskiej", czyni, wedle słów jej francuskiego biografa [1], ujmę rzeczywistej Joannie d'Arc. Chcąc zrobić z niej bohaterkę romantyczną, poeta naprawdę zrobił lunatyczkę, zauważyła trafnie krytyka. Postać Dziewicy Orleańskiej, zdaniem naszem, pozostanie na zawsze zagadką dla racyonalistycznego pojmowania historyi. Nazwę jej d'Arc wywodzą od miejscowości Arc w dawniejszej ziemi Barrois, skąd jej dziadek pochodził a nie ona; jej miejscem urodzenia jest, jak wiadomo, wioska Domrémy nad Mozą.

Że Ludwik XI. nie był aniołem, to fakt. Podstępem i gwałtem łamał samodzielność i samowolę potężnych wasali. Dla zbudowania jednolitej monarchii nie żałował krwi możnych i opornych, jednakże owe straszne okrucieństwa, jakiemi się miał

[1] Wallon, *Jeanne d'Arc*. Paris. 2 éd. 1876.

splamić, w przeważnej części są zmyślone. Prawdą np. jest, że kazał księcia Nemours stracić, bajką atoli, że kazał dzieciom jego klęczeć pod szafotem, by je krew ojcowska zbryzgała. — Rycerski Franciszek I. miał po straconej bitwie pod Pawią r. 1525 i dostawszy się do niewoli, do matki swej list napisać, zawierający tylko te słowa: „Wszystko stracone prócz honoru". W rzeczywistości list ten nie był ani tak lakoniczny, ani taki rycerski. Pierwszy tę lakoniczną formę listu podaje, wedle Fournier'a, hiszpański biograf Karola V., Antonio de Vera[1], pisząc: *Madama, toto se ha perdido sino es la honra.* Gdy za zgodą króla francuskiego Karol V. przez Francyę do Niderlandów przejeżdżał i w Paryżu był oczekiwany, miał Franciszek I. ujrzeć swego błazna, Tribouleta, piszącego coś w kącie. Na pytanie, coby robił, miał błazen odpowiedzieć, że zapisuje do swego kalendarza błaznów nazwisko cesarza, ponieważ sam się w moc króla wydaje. „A jeżeli go puszczę?" — miał się król zapytać. „Wtedy, miał błazen odpowiedzieć, jego nazwisko wykreślę a twoje na jego miejscu zapiszę". Charakterystyczna anegdotka ta jest nieprawdziwa, gdyż Triboulet był rzeczywistym błaznem, zatem zbyt głupim na tak dowcipną odpowiedź, powtóre od pięciu lat spoczywał w grobie, gdy Karol V. w r. 1540 przez Francyę podróżował.

Często drobne wypadki w rzeczywistości, w czasach rozbudzonych namiętności, przedstawiane bywają w najpotworniejszych barwach. Tak, krwawą bójkę między orszakiem księcia Franciszka Guise a kalwinami z dnia 1 marca r. 1562, jeden z wielu powodów do wojen religijnych we Francyi, napiętnowano przesadnie jako rzeź w Vassy[2]. Tak samo starcie między Anglikami i Amerykanami z dnia 5 lipca 1770 r. w Bostonie, w którem tylko trzech ludzi zginęło, osławiono jako „mordy bostońskie". — Rzeczywistą rzezią była t. zw. „Noc św. Bartłomieja" w Paryżu r. 1572; jednakże w opisach tego wypadku tyle jest nieprawdy, tyle przesady, jak to wykazali: Ranke, Baumgarten[3], Hagenbach,

[1] *Vida y hechos de Carlos V.*, str. 123.

[2] Schmidt, *Geschichte v. Frankreich*, III. 57.

[3] *Vor der Bartholomäusnacht.* Strassburg 1882.

Baur, sami protestanccy pisarze, że z wielką ostrożnością należy je przyjmować. Przedewszystkiem zupełnie błędnem jest mniemanie, jakoby motywy religijne, a nie polityczne i egoistyczne, były przyczyną tej zbrodni. Sprawczynią jej była Katarzyna Medici, którą nuncyusz papieski w Paryżu posądza, że nawet w Boga nie wierzy [1]. Hugonoccy pisarze i artyści nie omieszkali całego wydarzenia ubarwić wytworami własnej wyobraźni, a tendencyjne przedstawienia takiego d'Aubigné, Langueta, Brantôma znajdują i po dziś dzień jeszcze wiarę w pewnych sferach, w których interesie leży podobne baśnie rozpowszechniać. Między innemi miał Karol IX. ze swego okna w Luwrze do hugonotów strzelać; tak twierdzą współcześni: Brantôme, d'Aubigné; obraz współczesnego malarza Dubois z Amiens przedstawia tę scenę, a komuna paryska uchwala 20 października 1793 r. „wystawić pręgierz na tem miejscu, z którego Karol IX. strzelał do ludu swego". Żaden jednak z tych sprawozdawców nie był wtedy w Paryżu. Karol nie mógł z Luwru strzelać przez Sekwanę, gdyż odległość za daleka, a odpowiednia część Luwru dopiero 20 lat po „Nocy św. Bartłomieja" zbudowaną została. Zresztą król znajdował się w największym niepokoju, i żałował że przystał na ten zamach. Nieprawdą zatem jest, jakoby Karol wysłał do gubernatorów rozkazy mordowania hugonotów. Przeciwnie, wedle świadectwa protestanta Schmidta [2], nakazał wszędzie pokój zachować. Jeżeli mimo to przyszło na prowincyi do mordów, to w tych miejscach, gdzie hugonoci poprzednio gwałtów się dopuścili, jak: w Orleanie, Lyonie i Rouen. Tu więc motłoch mści się za krzywdy doznane. W Nimes np. biskup Jan Hennuyer ujął się energicznie za hugonotami, jakkolwiek tu właśnie przed niedawnym czasem dali się oni katolikom straszliwie we znaki. Przesadne liczby zamordowanych redukuje najlepiej martyrologium kalwińskie z r. 1582 na 1000 ofiar; w szczegółowym obrachunku wylicza właściwie tylko 468 zamordowanych, z tych tylko 152 wymienia po nazwisku. W całej Francyi, wedle Cimber'a

[1] *Vor der Bartholomäusnacht*, str. 32.
[2] *Geschichte Frankreichs*, III. Str. 143, przyp. 2.

i Danjou [1], zginęło około 2000 kalwinów, wedle Papyre Masson, biografa Karola IX. [2], około 10.000. W Rzymie uważano mylnie wypadek ten za ostateczne zwycięstwo zagrożonego przez kalwinizm Kościoła we Francyi. Stąd owe *Te Deum* i medal z wizerunkiem klęski hugonotów i napisem w otoku: *Strages Hugonotorum.* Nieinaczej postępowali w podobnem położeniu protestanci.

Henryk IV. miał, wjeżdżając do Paryża, powiedzieć, że Paryż, czy korona, warta jest mszy, motywując tem swą zmianę wyznania. W rzeczywistości powiedział Rosny, ks. Sully, na pytanie króla, dlaczego z nim nie idzie na mszę: *Sire, Sire, la couronne vaut bien une messe.* Słynny plan Henryka chrześcijańskiej rzeczypospolitej jest płodem fantazyi Sully'ego, którego pamiętniki wogóle są źródłem bardzo wątpliwej wartości, jak to Ranke, Philippson i Ritter [3] wykazali. — Charakterystycznym wyrazem rządów Ludwika XIV. jest osławione: *L'État c'est moi.* Słów tych jednak Ludwik sam nie powiedział, przynajmniej nie w owej chwili, jak mu powszechnie przypisują, kiedy w 17 roku życia, miał, wpadłszy w ubraniu myśliwskiem do parlamentu, zakazać temuż krytykowania królewskich rozkazów. Cała ta wieść, zaczerpnięta z Woltera *Siècle de Louis XIV.,* jest anegdotką niczem nie potwierdzoną. W instrukcyi dla królewskiego wnuka ks. Burgundyi, z rozkazu królewskiego wiele lat później napisanej, czytamy na pierwszej zaraz stronie: *La nation ne fait pas corps en France: elle réside tout entière dans la personne du roy.* Bossuet zaś mówiąc o Ludwiku, powiada: *tout l'État est en lui.* Z tych dwóch ustępów wysnuto charakterystyczny frazes „króla słońca“ [4]. Znane również słowa Ludwika XIV.: *Il n'y a plus de Pyrénées,* wypowiedziane rzekomo w chwili, gdy wysyłał wnuka swego Filipa do Hiszpanii, nie polegają na prawdzie. W rzeczywistości powiedział przy tej sposobności hiszpański ambasador: *que ce voyage devenoit aisé et que présentement les Pyrénées étoient fondues.*

---

[1] Le Reveille, *Matin des Français* w *Archives curieuses de l'histoire de France*, I. Ser. VII. 533.

[2] Schmidt, III. 146.

[3] *Die Memoiren Sully's und der grosse Plan Heinrichs des IV.*

[4] Bent, *Short sayings of great men.* Boston 1882.

Listy fałszowane czy prawdziwe, w historyi odgrywały wielką rolę, że wspomnimy tylko podrobione listy kasetkowe Maryi Stuart. Szczególniejszego rozgłosu nabrały, jako pamflet przeciw Jezuitom, Pascala *Lettres provinciales*. Między innemi twierdzi to, z inicyatywy Arnaulda, naczelnika Jansenistów, napisane dzieło, że Jezuici od początku swego istnienia jednogłośnie i po wszystkich krajach uczyli, że symonia, bluźnierstwo, krzywoprzysięstwo, rozpusta, zabójstwo, kradzież, ojcobójstwo, samobójstwo, królobójstwo są dozwolone, jeżeli służą do celu. Wobec tego nie dziw, że i taki Bayle, którego nikt chyba o sympatyę dla Jezuitów nie posądzi, nazywa w swym *Dictionnaire* te listy: „przechodzącą wszelkie granice niesprawiedliwością, wstrętnemi oszczerstwami i haniebnemi kłamstwami". Wolter zaś w *Siècle de Louis XIV.* zwie je nieśmiertelnemi kłamstwami. „Autorowi, dodaje on, chodziło nie o słuszność, lecz o zabawienie ludu". A jednak te nieśmiertelne kłamstwa i dziś jeszcze bywają nawet u nas rozpowszechniane.

Francya jest ojczyzną rewolucyi i buntów; ruchliwość i popędliwość właściwa celtyckiemu szczepowi, zdaje się być tego przyczyną. Nigdzie też niema tyle różnych nazw na najrozmaitsze rebelie i ich naczelników. Już za czasów Dyoklecyana znany jest bunt chłopski w Gallii pod nazwą *rebellio Bagandica*. Więcej znany jest bunt chłopów z r. 1358, zwany *Jacquerie*, od przezwiska chłopów: *Jacques Bonhomme* (głupi Kuba). Buntownicy paryscy z r. 1382 noszą od młota ołowianego, jakim się w walce posługiwali, nazwę *Maillotins* lub *Maillets*. Podobnej broni, tj. żelazem okutych kijów, używa motłoch paryski 5 października 1789 r., gdy gwałtem uwozi rodzinę królewską z Wersalu do Paryża. *Cabochiens* nazwano rebelantów paryskich z r. 1413 od *caboche*, to znaczy łeb. Biała mycka była ich odznaką, którą tak samo król musiał przywdziać, jak kilka wieków później Ludwik XVI. jakobińską myckę czerwoną. Powstanie niezadowolonej szlachty przeciw Karolowi VII. z r. 1440 zwie się *Praguerie*, co stoi w związku niewątpliwie z Pragą, ogniskiem rozruchów husyckich. *Ligueurs* zwali się specyalnie członkowie ligi, za Henryka III i IV. przeciw hugonotom. Pod nazwą *Frondeurs*, tj. ciska-

jący kamieniami, znani są rokoszanie z czasów Mazarina. Nazwy tej powstanie przypisują dowcipowi jakiegoś Bachaumont, który miał oświadczyć, iż książę Orleański tak samo z parlamentem nie przyjdzie do ładu, jak policya z ulicznikami paryskimi, ciskającymi się nawzajem kamieniami i zwanymi dlatego *Frondeurs*. Wedle innych, porównywano wycieczki przeciw partyi dworskiej, zwanej *Mazarius*, z ciskaniem kamieni. Nazwa ta szybko w ustach ludu nabrała dobrego znaczenia i oznaczała „dzielnego męża". Podobnie i nasi rokoszanie, jak Radziejowski, Lubomirski i inni, dla swej opozycyi przeciw królowi zażywali dobrej sławy.

Początkiem wielkiej rewolucyi było zdobycie Bastylii 14-go lipca 1789 r. Wypadek ten obchodzi corocznie dzisiejsza Rzeczpospolita jako urodziny swej wolności, jako chwilę, w której naród otrząsł się z więzów absolutyzmu i jarzma tyranii. W rzeczywistości był to wybryk motłochu, splamiony krwią niewinnego komendanta i oficerów. O bohaterstwie przytem mowy być nie może, gdyż wobec bezradności załogi polegało ono na przecięciu łańcuchów mostu zwodzonego. Oswobodzono przytem siedmiu więźniów, między nimi dwóch obłąkanych i czterech fałszerzy weksli. I taki czyn święci się uroczystym obchodem narodowym!

Najskuteczniejszym środkiem do szerzenia zasad równości i wolności i zamknięcia ust opozycyi była, jak wiadomo, gilotyna. Gilotyny nie wynalazł jednak lekarz Guillotin, ani nie padł pierwszy jej ofiarą, co mimowoli przypomina miedzianego wołu Falarysa. Gilotyną, zwaną „mannaja", stracono już w r. 1507 dożę genueńskiego Demetryusza Giustinianiego. Guillotin polecił znaną już dawno maszynę w celu humanitarnym do tracenia zbrodniarzy, umarł zaś spokojnie dopiero 26 maja 1814 r.

Nie było może dynastyi, któraby tak upiększała swoje czyny i dzieła kosztem prawdy dziejowej, jak dynastya Bonapartów. Pierwszy i Trzeci Napoleon zarówno, dla podniesienia swej sławy umyślnie fałszowali historyę i utworzyli legendę, jaka przez więcej niż połowę naszego wieku dodawała dziwnego uroku napo-

leońskiemu imieniu. Dziś dzieła Charrasa, Barniego, Lanfrey'a [1] i Taine'a wykazały dosadnie, jak Napoleon I., a pod jego okiem Savary, ks. Rovigo, w swych pamiętnikach na wyspie św. Heleny pisanych, dalej Thiers i Napoleon III. pracowali nad legendą napoleońską. Między innemi miał się Bonaparte wedle legendy dnia 15 sierpnia 1769 r. urodzić, wedle aktów miasta Paryża, zawierających jego kontrakt ślubny z Józefiną Beauharnais, urodził się 5 lutego 1768 r. Napoleon chciał uchodzić za rodowitego Francuza i dlatego datę swych urodzin kładzie po okupacyi Korsyki przez Francyę, dokonanej w drugiej połowie roku 1768.

Bonaparte nie przekroczył Alp wśród zamieci śnieżnej na ognistym rumaku, jak to obrazy historyczne obstalowane przez niego przedstawiają, lecz wśród najpiękniejszej pogody na mule, poleconym mu przez przeora jakiegoś klasztoru jako najpewniejszym. — Pod Arcole nie prowadził Bonaparte swych żołnierzy z sztandarem w ręku wśród gradu kul na most, by go zdobyć. Był to Augerau, za którym jednak nikt iść nie chciał. Najważniejszą chwilą w życiu Bonapartego był zamach stanu z 18 *brumaire* (9 listop. 1799 r.). Chodziło o rozwiązanie rady pięciuset, obradującej w St. Cloud. Bonaparte bynajmniej nie okazał tej brawury, jaką później rozgłosił. Kiedy reprezentanci narodowi wchodzącego jenerała napadli, tenże z przestrachu omdlał, i tylko energicznem wystąpieniem swego brata Lucyana, który go przebić groził, zmuszony, dokonał zamachu. — Wszystkie dokumenty, jak wykazuje Lanfrey, dotyczące bitwy pod Marengo, zostały z rozkazu Napoleona z archiwów usunięte i zastąpione opisem fantastycznym, później zredagowanym. Podobnie i urzędowe buletyny Napoleona są źródłem bardzo niepewnem, gdyż, jak powiada pani de Remusat w swych pamiętnikach [2], lubił on dodatkowo w swych sprawozdaniach dla większego efektu różne okoliczności zmyślać. Niejednokrotnie dowiadywali się jego jenerałowie z buletynów o swym udziale w bitwach, jakich nie

[1] *Histoire de Napoléon.*

[2] Paryż 1880.

staczali, i o swych mowach, których nigdy nie wypowiadali. — Napoleon również nie powiedział: *Grattez le Russe et vous trouverez le Cosaque;* słowa te wyrzekł książę de Ligne. Słynny z dowcipów był Talleyrand, ten pod każdym rządem „możliwy“ kameleon polityczny; większa część tych konceptów jednak nie od niego pochodzi, lecz krąży pod jego etykietą, jakkolwiek nie był ich autorem [1]. Szowinizm istnieje odkąd ludzie istnieją, ojcem chrzestnym tego pojęcia jednak był Scribe w swej komedyi *le Soldat Laboureur,* gdzie występuje Chauvin, weteran pełen wspomnień z walk napoleońskich, marzący ustawicznie o tych bohaterskich zapasach i pragnący ich powrotu.

Anglicy szczycą się, że mniej kłamią od innych narodów. Być może, że są więcej małomówni i dlatego nie mogą tyle nakłamać, co gadatliwi południowcy, to fakt jednak, iż ze wszystkich narodów żaden tak oszukiwać i wyzyskiwać innych nie potrafi, jak ci nowożytni Fenicyanie. Stąd też w dyplomacyi *perfide* jest stałym epitetem Albionu. Sami też Anglicy wedle starodawnej recepty, danej przez Sir Henry Woltona (1568—1639), określają swych dyplomatów jako *men sent abroad to lie for the benefit of their country,* tj. ludzi wysłanych za granicę do kłamania dla dobra państwa. To też ci prawdomówni wyspiarze posiadają nie mniej i nie więcej kłamstw i fałszów historycznych, co inne narody. Pomijając całkiem legendarną postać króla Artusa, wspomnimy o niemniej sławionym Alfredzie Wielkim. Anglicy tak skąpi zresztą w szafowaniu zaszczytnemi przydomkami, dlatego tylko, wedle Buckla [2], anglosaskiego króla Wielkim nazwali, że tak mało o nim wiedzieli i że jemu, jak Likurgowi Spartanie, różne instytucye przypisywali, które dawno przed nim istniały. Słynny z wojen krzyżowych Ryszard Lwieserce otrzymał dla swej gwałtowności i chciwości od Sycylijczyków przydomek „Lwa“, w przeciwieństwie do łagodnego Filipa Augusta, króla francuskiego, zwanego „Agnus“. Dopiero późniejsze pokolenia nazwały Ryszarda „Lwiem sercem“. Piękna opowieść o wiernym

[1] Buchmann, *Geflügelte Worte.* Lisicki, „Talleyrand“, *Przegląd Polski,* marzec 1892 r.

[2] *History of Civilization,* II. 249.

jego pieśniarzu Blondelu de Nesle z Arras jest niestety legendą pochodzenia francuskiego, powstałą dopiero w XIII. wieku[1]. Brat Ryszarda, Jan, zawdzięcza swój przydomek „Bez ziemi“ ojcu, który mu pierwotnie żadnej dzielnicy nie przydzielił, później otrzymał i od ojca i od brata bogate wyposażenie, mimo to pozostał zawsze „Janem Bez ziemi“. Na tymże królu wymuszona w r. 1215 przez baronów *Magna charta libertatum* uchodzi po dziś dzień jeszcze za kamień węgielny angielskiego konstytucyonalizmu, a jednak sankcyę prawną otrzymał ten akt dopiero od Edwarda I. w r. 1297. Znaczenie, jakie mu pospolicie przypisują, że był rozejmem między koroną a narodem, jest co najmniej przesadne. Najważniejszym ustępem tego aktu jest rozdział XXIX. i brzmi w dosłownem tłumaczeniu jak następuje: „Żaden wolny człowiek nie ma być chwytany i więziony, swej posiadłości ziemskiej, swych wolności i zwyczai pozbawiony, nie ma być na banicyę lub wygnanie skazywany ani w inny sposób gubiony; nie chcemy go sądzić lub zasądzać, jak tylko wyrokiem prawnym lub wedle praw krajowych; nikomu nie chcemy praw i sprawiedliwości sprzedawać, odmawiać lub zwlekać“. Jakkolwiek pięknie brzmią te przyrzeczenia — podobnych nie brak w tym samym czasie i u nas[2] — to jednak despotyczne rządy następców Jana po wiek XVII. stanowczo nie pozwalają upatrywać w „Wielkiej karcie“ palladyum wolności angielskiej. W każdym razie w akcie tym nigdzie mowy niema o reprezentacyi narodowej i o przywileju tejże uchwalania podatków i t. d.[3].

Znany z Szekspira król angielski Ryszard III. nie był takim potworem, jakim go w stronniczej swej historyi, pisanej z polecenia Henryka VII., głównego przeciwnika Ryszardowego, Sir Tomasz More, a za nim głównie poeta uczynił. Nie był on ani tak fizycznie upośledzonym ani moralnie przewrotnym człowiekiem. Bajką jest, jakoby brata swego księcia Clarence kazał w beczce małmazyi utopić, to fakt jednakże, że książę zginął w Towerze tajemną śmiercią. Niektórzy, jak Walpole, wątpią,

[1] Pauli, *Geschichte v. England,* III. 252.

[2] Ob. *Kod. kat. krak.,* t. I, nr. 19, str. 27.

[3] Gneist, *Englische Verfassungsgeschichte.* Berlin 1882. Str. 253.

czy Ryszard kazał synów Edwarda udusić, a Baco wreszcie wielbi go jako mądrego prawodawcę, dbałego o dobro kraju[1].

Sprawa Maryi Stuart zbyt jest obecnie głośna, by ją dokładniej potrzeba było poruszać. Postać ta, przez przeciwników, „ludzi najgorszego rzędu, kłamców i oszustów, świętoszków kalwińskich, wiecznie spiskujących, jak Morton", przez oszczerczych pamflecistów, jak Buchanan, najniewinniej napiętnowana jako cudzołożnica i mężobójczyni, całe wieki za Mesalinę uchodząca — jako taką przedstawia ją między innymi i nasz Słowacki — dziś wobec gruntownej krytyki w coraz jaśniejszem występuje świetle; coraz bardziej wychodzi na jaw, iż główną przyczyną jej nieszczęścia i złej sławy było jej przywiązanie do Kościoła katolickiego, były jej niezaprzeczone prawa do tronu angielskiego. Przyznają to nietylko katoliccy pisarze, jak Cardanus[2] i Marcour[3], lecz i protestanci, jak Bekker[4] i Gerdes[5]. Wprawdzie w ostatniej chwili sprawa ta znów się zaogniła wskutek publikowanej przez Hendersona[6] deklaracyi Mortona z 8 grudnia 1568 roku o sposobie wynalezienia listów szkatułkowych, wprawdzie znów na tej podstawie protestanccy pisarze, jak Forst[7], oświadczają się za autentycznością tych listów i winą Maryi, jednakże poważne argumenta Philippsona[8] zbijają gruntownie te wywody, zmierzające do rehabilitacyi Elżbiety i jej doradców, a niewinności nieszczęśliwej Maryi bronią z pomyślnym skutkiem[9].

Sprawa autorstwa Szekspirowskiej poezyi niepokoi dziś jeszcze świat literacki. Argumenty za autorstwem lorda Bacona, przez imienniczkę filozofa, ekscentryczną Amerykankę Miss Delię Bacon, w r. 1856 podniesione, znalazły posłuch w poważniejszych

---

[1] Timbr, *Curiosities of History*, I, str. 221 i 232.
[2] *Historisches Jahrbuch*, III. 1882. Str. 479.
[3] *War Maria Stuart Gattenmörderin*. Frankfurt 1882.
[4] *M. S., Darnley, Bothwell*. Giessen 1881.
[5] *Gesch. der Königin M. S.* Gotha 1885.
[6] *Edinbourg Magazin*. 1889.
[7] *Sybels Histor. Zeitschr.*, LXVI, 241—270.
[8] *Revue historique*. 1891. T. XLVI, str. 161.
[9] Finkel, *Kwartalnik historyczny*. 1892. II. 451.

sferach, a sprawa cała po dziś dzień nie jest ostatecznie wyjaśniona.

Rewolucya angielska, podobnie jak francuska i każda zresztą, dała pochop do wytworzenia się szeregu baśni i fałszów. Słynny swego czasu memoryał pod tytułem εἰκὼν βασιλική (obraz królewski), w kilka dni po straceniu Karola I. publikowany, uchodził długi czas za dzieło króla w więzieniu spisane. Już jednak Milton wątpił o tem, dziś nie ulega wątpliwości, że autorem jego był biskup z Esceter. Dosadne bardzo i drastyczne są nazwy i przezwiska z czasów wielkiej rewolucyi, jak: okrągłe łby, kawalerowie, klub cielęcej głowy. Także i *Rumpparliament* do nich należy, co błędnie przetłumaczono na parlament kadłubowy. Angielskie *Romp* nie ma nic z *Rumpf* (kadłub) do czynienia, lecz oznacza kuperek, ogonek u ptaka; snadniej więc nazwać parlament ten pośladkowym lub kuperkowym, jak go też słusznie nazwali Francuzi *le croupion,* przez co właśnie ostrze szyderstwa wyraźnie występuje na jaw.

Znane nazwy Torysów i Whigów powstały wskutek bilu, wykluczającego katolickiego księcia York od tronu, odrzuconego jednak przez izbę lordów. W nowo wybranym parlamencie wytworzyły się dwa stronnictwa, przeciwników i zwolenników bilu. Pierwsi otrzymali wedle Macaulaya[1] nazwę *Tories*, co oznacza rabusiów w Irlandyi, a pochodzi od słowa *toree* (daj mi), ponieważ Stuartowie schronili się czas pewien do bagnistych okolic Irlandyi. Drugi obóz otrzymał przezwisko *Whigów* od szkockiego wyrazu *whey* (serwatka lub maślanka). Maślańczarzami zwano bowiem fanatycznych chłopów w Szkocyi. Wedle innych[2] ma wyraz ten pochodzić od nazwy miejscowości *Whiggammoor* w hrabstwie Lancaster. Tu bowiem mieszkańcy, zwolennicy Cromwella, powstali w r. 1648 przeciw Szkotom, ciągnącym na pomoc Karolowi I. i dopomogli późniejszemu protektorowi do zwycięstwa.

Rozpowszechniona bardzo jest anegdota, jakoby Newtona jabłko spadające z drzewa naprowadziło na odkrycie słynnego

[1] *History of England*, II.

[2] Schmitz Macaulay, *Kommentar.*

prawa grawitacyi. Współcześni nic o tem nie wspominają. Niewątpliwie pisma Kepplera lub Bouillauda, które Newton znał, a które myśl tę zawierały, „więcej mu pomogły do uzasadnienia słynnego prawa, niż cały worek jabłek, chociażby mu wszystkie razem były na głowę spadły“, powiada dowcipnie jeden z angielskich pisarzy [1].

Podobnie jak z jabłkiem Newtona ma się rzecz i z jajem Kolumba. Anegdotka ta zawdzięcza swe powstanie hiszpańskiemu przysłowiu, a pierwotnie odnosiła się do Brunelleschi'ego, zmarłego w r. 1444. Kolumba bohaterem jej zrobił dopiero Benzoni w swej *Historia del Mondo Nuovo* z r. 1565 [2].

Atutem z wielką predylekcyą wygrywanym przeciw Kościołowi przez sfery antykatolickie jest proces Galileusza, potępionego w r. 1636 przez inkwizycyę za głoszenie i bronienie systemu Kopernikańskiego. Że inkwizycya była w błędzie, nie jest dowodem przeciw nieomylności Kościoła, bo trybunał inkwizycyjny ani kongregacya indeksu nie jest papieżem, a sprawa Galileusza była kwestyą naukową, nie zaś wiary lub moralności. Że taką sprawę wniesiono przed forum teologiczne, tłumaczy się to tem, że upatrywano związek między nią a tekstem Pisma św., miano zaś w protestantyzmie odstraszający przykład dowolnego tłumaczenia Biblii. Przekonywających zaś dowodów na obronę Kopernikańskiego systemu Galileusz nie dostarczył, dostarczył ich dopiero Newton na podstawie pomiarów geodetycznych Picarda. Ówczesny świat naukowy, hołdujący bezwzględnie Arystotelesowej fizyce, najwięksi uczeni: Descartes, Baco Werulamski, Tycho de Brahe, oświadczyli się przeciw systemowi, który Arystotelesowi kłam zadawał. Ostatni nawet nazwał twierdzenia wielkiego naszego ziomka *deliria* i *paradoxa*. Jeżeli do tego rozważym, iż Galileusz otrzymał był tonsurę i beneficyum z łaski Urbana VIII. i nierzetelnie postępując, przed sądem zaprzeczał, jakoby system Kopernika uważał za prawdziwy, choć

[1] *De Morgan, a budget of paradosies.* Londyn 1872.

[2] Humbold, *Kritische Untersuchungen über die historische Entwickelung der geographischen Kenntnisse von der neuen Welt.* Tłum. Ideler. Berlin 1836. II, str. 394.

to z dzieł jego jasno wynikało [1], a wreszcie, że w dziele swem: „Dyalog o dwóch największych systemach“, pozwolił sobie zrobić wycieczki ukryte przeciw dobroczyńcy swemu papieżowi — zważywszy to wszystko, werdykt sędziów nie wyda się nam tak niesprawiedliwy. Kazano mu odwołać uroczyście błędy Kopernikańskie, co wobec kilkakrotnego oświadczenia Galileusza podczas procesu, że system Ptolemeusza ma za prawdziwy, nie może być uważane za pogwałcenie sumienia. Uczynił więc to spokojnie, nie tupając bynajmniej nogą i nie dodając znanego *E pur'si muove.* Głośny ten frazes pojawia się pierwszy raz dopiero w r. 1789 w *Dictionnaire historique*, wydanym w Caen, z dodatkiem jednak *on prétend que ect.* Współcześni nic o tem nie wiedzą, nie wiedzą również o torturach, jakiemi Galileusza miano dręczyć. Zatrzymano go tylko krótki czas w więzieniu, obchodząc się przytem z nim najłagodniej [2]. Postępowanie takie z genialnym astronomem tłumaczy się duchem czasu i nie może być Kościołowi katolickiemu za zbrodnię poczytane, najmniej zaś przez protestantów, gdyż Kepplera, gorliwego luteranina, tübingscy pastorzy gorzej nagabywali niż Galileusza w Rzymie, Kopernika zaś Luter po swojemu nazwał błaznem [3], a Melanchton system jego błazeństwem [4]. Kłamstwem wreszcie wierutnem jest, co niektórzy twierdzą, iż Giordana Bruno, zwolennika systemu Kopernika, skazano w r. 1600 w Rzymie na stos dla jego astronomicznych poglądów. Giordano Bruno, zbiegły z klasztoru Dominikanin, był ateistą lub raczej panteistą, wygłaszał zasady grożące przewrotem społecznym i dlatego przez inkwizycyę potępiony, zginął jako niepoprawny kacerz na stosie. Tylko szowinizm antyreligijny mógł takiemu człowiekowi stawić pomnik niedawno temu w Rzymie.

(Dok. nast.). *Dr. K. Krotoski.*

[1] Pieralisi, *Urbano VIII. e Galileo Galilei*, p. 197.

[2] Wohlwill, *Der Inquisitionsprozess des Galileo Galilei.* Berlin 1870. Str. 78.

[3] *Tischreden,* ed. Walch, Halle 1743. Str. 2260.

[4] *Init. doctrinae physicae.* Opp. t. XIII., 217, edit. Bretschneider.

WALKA SZKOŁY PANSTWOWEJ Z WYZNANIOWĄ

W AMERYCE.

Dolatują nas od niejakiego czasu z za Atlantyku sporadyczne wieści, zwykle telegraficznie przesyłane, więc ułamkowe, o jakichś sporach toczących się w sprawie szkoły wyznaniowej nawet między katolikami. Słychać, — bo Ameryka jest krajem dziwów i niespodzianek — że nawet biskupi obstają za szkołą rządową, bezwyznaniową, zamykają zaś katolickie. A gdy się dziwujemy, zamykają nam usta tem, że w Ameryce stosunki są tak odrębne od naszych, że nie możemy ich naszym łokciem mierzyć ani do naszych pojęć przystosować.

Prawda, w Ameryce stosunki są bardzo różne od naszych i nie powinniśmy się spieszyć ze sądem o nich; sprawa jednak obecnie poruszona jest tak ważną, tak zdaje się związaną z zasadami które wyznajemy, że zależy nam na tem niemało, aby ją sobie jako tako wyjaśnić. Dlatego zadaliśmy sobie pracę, żeby zasięgnąć z różnych stron dokładnych o tem informacyj, zawiązaliśmy cały szereg korespondencyj, tak z Amerykanami jak z obcymi w Stanach Zjednoczonych przebywającymi: i na tej podstawie próbujemy całą tę sprawę skreślić.

Walka między amerykańskimi republikanami a demokratami zeszła w ostatnich latach z pola zatargów świeckich, i wkroczyła w dziedzinę spraw kościelnych. Łatwo to można było przewidywać. Centralizm republikanów usiłuje na każdem polu rozszerzyć zakres władzy państwowej: więc nie mógł poprzestać

na tem, że zamierza zatrzeć miejscowe w pojedyńczych stanach różnice praw i obyczajów, wytworzyć jednolity naród z różnorodnych plemion, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, i tak na Indyanach, jak na Polakach, Niemcach i innych narodach, przybyłych z poza Atlantyku, wycisnąć jedną pieczęć: Amerykanina. Musiał dążyć do tego, żeby rząd na prawowitych Jankesów wychowywał młodzież i wywierał niepodzielny wpływ na umysłowy rozwój dzieci już w szkołach początkowych. Żeby usunąć ze szkół wpływ duchowieństwa, wyłączono naukę katechizmu z pomiędzy przedmiotów szkolnych. Rodziny katolickie, zwłaszcza przybyłe z Europy, szemrały na te szkoły, które miały wynarodowić ich dzieci i puścić je w świat bez zasad wiary: ich skargom dał wyraz p. Cahensly w słynnym memoryale, w którym z póręki „Związku św. Rafała“ prosił Stolicę Apostolską o opiekę nad szkołami, niezawisłemi od rządu a zakładanemi wdowim groszem wiernych, dbałych o to, żeby ich dzieci wcześnie poznawały swoją wiarę i pielęgnowały język ojczysty przy nauce przedmiotów, wykładanych w szkołach rządowych. Republikanie ze zgrozą nazwali Cahenslego zdrajcą sprawy państwowej i nawet między duchowieństwem znaleźli kilkudziesięciu zapaleńców, którzy tak gorliwie bronili państwowych praw wychowawczych, że szkołom niezależnym od rządu nie szczędzili nawet pogardy i obelg.

Rej między nimi wodzi arcybiskup z Saint Paul w Minisota, Jan Ireland. Rządowiec, jakich mało, nie ukrywał swoich zasad i poglądów: wolnomyślnych. Z nim szli ręka w rękę biskup Keane, rektor katolickiej wszechnicy w Waszyngtonie, razem z niektórymi jej profesorami, głównie d-rem Bouquillon i d-rem O'Gorman i wielu wydawcami pism imiennie katolickich. Mimo rozdziału Kościoła od państwa, torowali sobie drogę do wpływu na rząd i usiłowali zdobyć dla Kościoła stanowisko państwowe; obór prezydenta demokratycznego, Clevelanda, rozwiał ich nadzieje: postanowili torować sobie nowe drogi przez dziennikarski wpływ na umysły i krzewić mrzonki o zgodzie z innowiercami. Za swój obowiązek, jak sami głoszą, uważają zamerykanizować u siebie Kościół Powszechny, zatamować przystęp europejskim pojęciom i stosunkom, zamknąć usta szczególnie upartym Jezui-

tom i Niemcom, upaństwowić wszystkie szkoły, uśpić w umysłach pamięć o prawdach, które drażnią niedowiarków, np. o prawie do świeckiej władzy papieży; wyrobić, żeby Rzym zdjął klątwę z tajnych związków, także wolnomularskiego, i przedstawiać w mowach, książkach, dziennikach, nawet wydawanych przez innowierców, szczegóły nauki Kościoła, wyśmiewane przez jego wrogów, za drobiazgi, niegodne uwagi ani waśni, prawie za wymysły teologiczne, które nie powinny przeszkadzać powrotowi chrześcijan wszelkich wyznań na łono Kościoła Powszechnego. *The Northwestern Chronicle,* urzędowe pismo arcybiskupa z St. Paul, najgorliwiej powtarzała te hasła; za niem *Western Watchman,* wydawany w St. Louis. Sto z górą pism katolickich sprzyjało tym bredniom, a wolnomyślne biły im oklaski. Rzadko którego dnia nie dochodziły do Ameryki przedziwne nowiny z Rzymu. Miały pochodzić z amerykańskiego kolegiuma od m-gra O'Connella, rektora, i d-ra Rookera, wice-rektora, i donosiły, że Leon XIII., *the broad and liberal Pontiff*[1], sprzyja wolnomyślnemu duchowi, że wysłał kardynalski kapelusz dla arcybiskupa Irelanda albo przeznacza dla niego inne odznaki i dowody przyjaźni, że wyszedł na jaw straszny spisek niemiecko-jezuicki na życie arcybiskupa i kardynała Gibbonsa i t. p. Najwięcej pocisków spadało na „Związek św. Rafała" za prośbę o narodowych biskupów i opiekę nad szkołami niezależnemi od rządu, a wyraz *Cahenslyizm* służył za piętno zdrady stanu.

W ciągu tej walki przeciw tak zwanemu *cahenslyizmowi,* w czerwcu 1890 r. arcybiskup Ireland zwołał nauczycieli szkół państwowych na zjazd do swojej stolicy. W mowie, którą ich witał, rzucił te wyrazy: *Withered be the hand, that is raised against the state education of this country*[2]. Te słowa, uniewinniane przez jednych, jako zwrot krasomówczy, zgorszyły innych, jako podejrzany krok do przewagi państwowej nad wolnemi szkołami. Zatrwożeni donieśli o swoich obawach do Rzymu.

Papież zażądał ustnej obrony od arcybiskupa, ale ten zwle-

[1] „Papież szerokich i liberalnych poglądów".

[2] „Niech uschnie ręka, która się podnosi na wychowanie państwowe w naszym kraju".

kał z podróżą i nowej trwogi nabawił wiernych, kiedy oddał pod zarząd państwowy szkołę parafialną w Faribault. Hałas powstał niezmierny, ale arcybiskup tak samo postąpił niedługo potem ze szkołą w Stillwater. Wierni zaczęli natarczywie żądać sądu nad postępkami arcybiskupa: istotnie wszyscy inni arcybiskupi zapowiedzieli na koniec listopada 1891 r. zjazd w St. Louis, gdzie arcybiskup Ireland miał zdać sprawę ze swoich czynów i zamysłów.

Tymczasem kardynał Gibbons usłyszał, że profesor teologii moralnej na wszechnicy waszyngtońskiej, ks. Bouquillon, podziela zasady arcybiskupa Irelanda i broni ich na wykładach. Kardynał polecił profesorowi wydać drukiem swoje poglądy; miały wyjść w *Catholic Quartely Review,* czasopiśmie wydawanem pod przewodnictwem arcybiskupa Ryana z Filadelfii. Ale wydawcy nie przyjęli obrony arcybiskupa Irelanda: więc musiała wyjść osobno i, co bardzo zastanawia, wyszła na dziesięć dni przed zjazdem arcybiskupów, jak gdyby umyślnie, żeby nikt nie zdążył na czas jej odeprzeć. Ale zawiodła nadzieja pokładana w pisemku d-ra Bouquillona. Arcybiskup Corrigan z Nowego Jorku znalazł ks. Holainda T. J., zdolnego teologa, który w trzy dni dał odprawę poglądom ks. Bouquillona w rozprawce pod napisem: *The parent first*[1]. W ten sposób zgromadzeni arcybiskupi mogli rozpatrzyć wszystko, co mogło przemawiać za oskarżonym albo przeciw niemu. Rozprawka *The parent first* więcej światła rzuciła na sprawę, niż pragnęli obrońcy Bouquillona: dlatego w parę dni znikła tajemniczym sposobem z półek księgarskich, dopiero dziś jej ponowne wydanie można znaleść.

Ireland rzeczywiście zdał tak sprawę ze swojego postępku w Faribaulcie i Stillwaterze, że co do tego szczegółu zadowolnił arcybiskupów; ale badany o dalsze swoje poglądy, zadowolnił chyba sam siebie i kardynała Gibbonsa. Ten następnie posłał do Rzymu opis całej rozprawy i zapewnił kardynała Simeoni'ego, że odpowiedzi Irelanda wypadły świetnie, jako jego *triumphant vindication.* Wkrótce usłyszeli o tym liście inni arcybiskupi: niezwłocznie siedmiu z nich pospieszyło donieść Ojcu świętemu, że

[1] „Ojciec nad ojcami".

wcale nie pochwalają zasad Irelanda. Ten nakoniec musiał powtórzyć osobiście swoją obronę w Rzymie, pod koniec r. 1891.

Jego obrona, wydana później w *The Sunday Democrat* z dnia 19 marca 1893, rzuca światło na sprawę sporną i wymienia dokładnie szczegóły, od których zależał sąd, wydany potem przez Kuryę rzymską.

Arcybiskup twierdzi, że nie zamierza wcale tykać sporu ogólnego o prawa państwa do szkoły, i wyłącznie zamyśla rozebrać szczegółowo swój postępek w dwóch miasteczkach swojej dyecezyi, Faribault i Stillwater, w stanie Minisota. Dalej opisuje stan majątkowy mieszkańców tych miasteczek i na nim oparty twierdzi, że nie mógłby od nich żądać wydatków na szkołę parafialną, bez niebezpieczeństwa, żeby ich przez to nie odstręczyć od Kościoła. Wobec tego widział tylko trzy możebne drogi: albo zabronić wiernym posyłać dzieci do szkoły, albo pozwolić dzieciom uczęszczać do szkoły państwowej, albo zawrzeć układ z radą szkolną, któryby dogodził i państwu i wiernym. Ustawy szkolne różne w różnych stanach określają stanowisko i obowiązki rady szkolnej i nauczycieli. W Faribaulcie i Stillwaterze arcybiskup żył w osobistej przyjaźni z członkami rady szkolnej; w obu tych osadach, jeszcze świeżych, wzajemne pożycie między członkami różnych wyznań daleko silniej ich łączy, niż gdzieindziej. Brak dostatecznych wygód i różne potrzeby, których nie można zaspokoić tak łatwo na pustkowiu, jak w wielkiem mieście, ścieśniają węzły między mieszkańcami: wszyscy chętnie w czemś ustępują drugim, kiedy nawzajem doznają ich pomocy. Z tych powodów innowiercy w Faribaulcie i Stillwaterze nie stawiali przeszkód radzie szkolnej do ustępstw, wymaganych przez arcybiskupa. Przepisy szkolne w Minisota ostro karcą nauczycieli za wszelkie wycieczki przeciw któremubądź wyznaniu, i wykluczają ze szkolnych książek tak Biblię jak każdy podręcznik pisany w duchu stronniczym. Dlatego zakonnice, które uczyły w szkole parafialnej, mogły używać państwowych podręczników do przedmiotów świeckich.

Takie stosunki ułatwiły ugodę, na mocy której szkoła parafialna przechodzi od 9-tej godziny z rana do pół do 4-tej po

południu pod zarząd państwowy. W innym czasie gospodarzem i zawsze właścicielem budynku zostaje parafia, ale już nie opłaca żadnych innych podatków, prócz zwykłego dolara do szkolnej kasy stanowej. Przed dziewiątą dzieci słuchają Mszy, a po rządowych godzinach Siostry uczą katechizmu.

Powyższy opis zabiera ledwo co więcej niż ćwierć całej obrony i poprzestaje istotnie na przeglądzie szczegółów i pobudek, dla których arcybiskup zmienił dwie szkoły parafialne na rządowe. Ale dalszy ciąg obrony odchodzi już od opisu szczególnego postępku arcybiskupa, żeby rozwinąć poglądy daleko donioślejsze.

Na wstępie do tych poglądów oświadcza arcybiskup stanowczo: „Dobrze jestem znany w Ameryce z tego, że sprzyjam stopniowemu zamerykanizowaniu narodów zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych. Powody do tego mam następne:

„Najprzód: wierzę, że prawu przyrodzonemu to zupełnie odpowiada.

„Powtóre: póki katolicy zachowują narodowe zwyczaje i odrębny język, póty Amerykanie uważają ich za niebezpieczną osadę cudzoziemców, nie za prawowitych obywateli Rzeczypospolitej.

„Po trzecie: póki panuje ten rozdział, póty katolicy nie mogą wejść w bliższe stosunki, czy to małżeńskie, czy towarzyskie albo społeczne z Amerykanami bez straty wiary, uważanej tutaj za coś obcego i antyamerykańskiego.

„Po czwarte: duchowieństwo katolickie pozwala dzieciom uczęszczać do szkół państwowych po odbytej pierwszej komunii: więc widać, że szkoły państwowe nie narażają wiary na niebezpieczeństwo. A wszelkie wysiłki jakiejbądź narodowości, niemieckiej, irlandzkiej, polskiej czy czeskiej, żeby utworzyć w Ameryce odrębną osadę cudzoziemców, zostaną bez skutku wobec liczniejszych krajowców: więc nie trzeba dzieci cudzoziemców uczyć zasad wiary w ich ojczystym języku".

Słowa, któremi sam arcybiskup wyłuszczył swoje zamiary amerykanizatorskie, mogły utwierdzić wiernych w obawie, że po układzie w Faribaulcie i Stillwaterze nastąpią inne podobne, sprzeczne z dotychczasowemi wyrokami zjazdów biskupich i szko-

dliwe dla innych dyecezyj i stanów, bo łatwo odstręczą od składek na szkołę parafialną rodziców, którzy mogą twierdzić, że u nich panują takie same stosunki, na jakich opiera swój układ arcybiskup w St. Paul.

Arcybiskup przewidywał ten zarzut i w swojej obronie z naciskiem zapewnia, że nie zamierzał wcale szkodzić wszystkim szkołom parafialnym wogóle, ale wyłącznie broni swojego kroku w dwóch szczególnych wypadkach, jako środka „miejscowego i tymczasowego", żeby pogodzić ustawę z potrzebami wiernych. Po tych słowach, często i dobitnie powtarzanych, przechodzi arcybiskup do jaskrawego opisu ubóstwa, jakie ciąży nad ogółem katolickich mieszkańców Ameryki. Do czegóż ten opis? Czy ma właśnie uspokoić czytelnika, że arcybiskup nie chce stawiać nikomu za przykład Faribaultu i Stillwateru? Ten ustęp obrony tak natarczywie nalega na ciężkie stosunki majątkowe katolików, jak gdyby wyraźnie zmierzał do tego, za co właśnie na niego powstała wrzawa: jak gdyby wprost zniechęcał do szkoły parafialnej. Utyskuje na ubóstwo, narzeka na brak zdolnych sił nauczycielskich, wytyka Siostrom, że chłopcy z ich szkół wychodzą mniej przygotowani na walkę życia, aniżeli ze szkół państwowych, uważa szkoły parafialne za niedość *high toned* (dostrojone), nakoniec zarzuca, że trudnoby znaleść gdziebądź szkołę parafialną, a w parze z nią nie spotkać rozwielmożnionej wojny domowej, bo rodzice wolą posyłać dzieci do szkół rządowych albo prowadzonych przez innowierców, a proboszcz za to nakłada kary kościelne, odmawia sakramentów, nie dopuszcza dzieci do nauki katechizmowej i pierwszej komunii. Takie stosunki zamiast łagodnieć, ciążą coraz dotkliwiej, a przeciwnie, szkoły państwowe, codzień doskonalsze, dzięki opiece bogatego rządu, budzą najpiękniejsze nadzieje.

Tutaj arcybiskup poświęca długi ustęp swojej obrony na pochwałę szkół rządowych i utrzymuje, że Amerykanie przepadają za niemi.

I cóż może wynikać z tego świetnego stanu szkół państwowych, wobec których szary obraz szkoły parafialnej wygląda tak nędznie? Arcybiskup zadaje to pytanie czytelnikowi, ale sam

bynajmniej nie szuka na nie odpowiedzi; przecież od razu zastrzegł sobie, że pragnie jedynie rzucić światło na własny postępek w szczegółowym wypadku: prawda, że nieznacznie odbiegł od rzeczy i, zapewne przypadkiem roztargniony, wymownie zestawił pomyślny rozkwit szkół państwowych z lichotą i niedostatkami szkoły parafialnej, żeby domyślnemu czytelnikowi nasunąć wniosek: czyżby nie lepiej już wszystkie szkoły oddać pod zbawienny wpływ rządu? Cóż przeszkadza? czy może słuszna obawa, żeby nie wywołać upioru wszechwładzy państwowej?

Tej obawy arcybiskup wcale nie doznaje; przeciwnie oświadcza, że drży przed innem niebezpieczeństwem, na które rzeczywiście rząd waszyngtoński naraża Kościół przez to, że nie czuwa nad nim!

Z tego wszystkiego wnosi arcybiskup: „Nieznośny i niewidzialny system szpiegostwa i fałszywych insynuacyj tutaj w Rzymie napastuje mię, czerni mój postępek i sprawia, że brzemię życia przewyższa moje siły; przesądy szczepowe, a nie chrześcijańska gorliwość, opanowały moich prześladowców. *Civilta cattolica* ogłosiła różne zarzuty na mnie, ale nie myślę odpowiadać; widoczna w tem zła wiara. Od dawna trwa współzawodnictwo między arcybiskupami baltimorskim i nowo-jorskim. Pierwszy nalegał, żeby dr. Bouquillon ogłosił swoje poglądy na wychowanie. Drugi polecił księdzu Holaindowi bronić przeciwnych poglądów. W oczach Amerykanina wychowanie służy za obronny szaniec ustroju tej krainy, której dobro polega, jak twierdzą, na rozsądnym użytku powszechnego prawa głosowania; a wychowanie musi dostarczać rozsądnych wyborców: więc od wychowania zależy byt tego kraju. Dr. Bouquillon spostrzegł siłę tego dowodu i na nim oparty sądzi, że państwo ma prawo wymagać wszystkiego, co utrwali jego byt, i wywierać na tej mierze konieczny wpływ na wychowanie. Ks. Holaind przeciwnie, nie uznaje, żeby wychowanie miało przynosić takie owoce. Amerykanie mówią, że brak wychowania przyniósł hańbę krajom katolickim i stąd kują broń przeciw Kościołowi. Ks. Holaind nie uważa za konieczne, żeby każdy umiał czytać i pisać. Nie roz-

strzygam sporu filozoficznego ze względu na prawo przyrodzone, ale ze względu na życie codzienne i ze stanowiska amerykańskiego.

„Przeto błagam o obronę przed moimi nieprzyjaciółmi, o sąd, który zada kłam przesądom i przywróci spokój w Ameryce, w tych szczególnie czasach, kiedy Ojciec św. idzie drogą zgody z duchem republikańskim.

„Proszę także o odpowiedź na pytanie: jak ma postąpić biskup, żeby zabezpieczyć wychowanie dzieciom, które nie mogą korzystać ze szkół parafialnych?“

Kardynał baltimorski poparł listem własnym tę obronę arcybiskupa Irelanda, nadmieniał, że w przeciwnym razie mogłyby wyniknąć złe następstwa i prosił, żeby Papież wyraźnie okazał, jak sprzyja „wielkiemu arcybiskupowi“ z Saint Paul.

Jednak jego sprawa szła oporem: półroczny pobyt w Rzymie niepokoił jego zwolenników, mimo telegramów o jego tryumfach. Nakoniec ostatni telegram doniósł w niewybrednych słowach: „Sprawa wygrana na przekór czartu, Niemcom i Jezuitom“.

I cóż to za zwycięstwo okryło chwałą stronnictwo, prześladowane przez piekło, Niemców i Jezuitów? Arcybiskup Ireland przywiózł z Rzymu dwa pisma: jedno zawierało odpowiedź na pierwszą część jego obrony, i w tej odpowiedzi kardynałowie nazwali osobisty postępek arcybiskupa „znośnym *(respondetur: tolerari posse)*, w szczególnym wypadku opowiedzianym“; drugie pismo zbiorowe do arcybiskupów w Stanach Zjednoczonych odpowiadało drugiej części obrony arcybiskupa Irelanda, która rozwijała jego ogólny pogląd na sprawę szkolną i stawiała wkońcu pytanie, jak trzeba zaspokoić duchowne potrzeby dzieci, które nie mogą uczęszczać do szkół parafialnych? Rzym tego pytania nie rozstrzygał sam, tylko wzywał arcybiskupów, żeby na najbliższym zjeździe roztrząsnęli je wspólnie i rozwiązali je według własnego sumienia.

To drugie pismo dawało oczywisty dowód, że kardynałowie mieli na oku wyłącznie szczególny przypadek w Faribaulcie i Stillwaterze, kiedy nazwali postępek arcybiskupa Irelanda „znośnym“, a nie myśleli wcale wydawać wyroku, że układ za-

warty w tych dwóch miasteczkach może służyć za ogólne prawo dla wszystkich szkół katolickich w Stanach Zjednoczonych.

Mimo to arcybiskup Ireland utrzymywał, że wyrok *tolerari posse* nazywa jego układ nietylko właściwie „znośnym“, ale także „zupełnie dozwolonym“ *(fully allowed)* i znaczy to samo, co „zupełna pochwała“ *(a full approval)* jego postępku, którą można przyjąć za ogólną wskazówkę i zastosowywać w podobnych wypadkach. Pogląd arcybiskupa znalazł obrońców w d-rze Bouquillon, d-rze O'Gormanie i wielu dziennikarzach i wydawcach czasopism, katolikach i innowiercach. Do nich wtenczas należał ks. Jan Conwey, wydawca *Northwestern Chronicle*, który pojechał do Rzymu bronić arcybiskupa Irelanda. Ale, jak donosi *Buffale Volksfreund* z 27-go marca b. r., jego namiętne rozprawy tak tchnęły duchem wolnomyślnym, że nakoniec w początkach marca b. r. musiał opuścić stolicę chrześcijaństwa, w której nie można było dłużej ścierpieć niespokojnego ducha. Ale przedtem już wydalony z własnej dyecezyi za różne sprawki, nie miał po co wracać do Ameryki, ku wielkiej uciesze wiernych, którym dużo krwi napsuł. Dziś po nim już ślady zaginęły.

Ich przeciwnicy oczekiwali gorączkowo, co orzekną inni arcybiskupi na zjeździe w Nowym-Jorku, którego czas nadchodził. Ale arcybiskup Ireland lubi psuć szyki nieprzyjaciołom. Jak przed zjazdem w Saint Louis znalazł pod ręką rozprawkę d-ra Bouquillon, która miała na jego stronę przechylić sędziów, tak przed zjazdem nowo-jorskim znalazł sposób, żeby zabezpieczyć sobie szalę zwycięstwa. Przewidzieć było łatwo, że wszyscy arcybiskupi jednogłośnie powstaną przeciw zamachowi na szkoły parafialne i stanowczo odrzucą wszelkie wnioski, któreby rozciągały zakres władzy państwowej nad wychowaniem dzieci. Ale arcybiskup Ireland za swojego pobytu w Rzymie zjednał sobie gorliwego poplecznika. Mgr. Satolli użył tam swojego wpływu, żeby Papieżowi, z którym miał żyć w zażyłej przyjaźni, przedstawić arcybiskupa Irelanda w korzystnem świetle. Zgodny głos uznaje m-gra Satollego za uczonego i pobożnego księdza, który wymownie wykładał naukę św. Tomasza, ale oczywiście nie zna bliżej miejscowych stosunków amerykańskich. Arcybiskup Ire-

land znalazł w nim powiernika swoich żalów na prześladowców i wiele liczył na jego obronę.

Przed samym zjazdem arcybiskupów mgr. Satolli zawinął do Nowego Jorku. Całą drogę odbył w towarzystwie Irelandczyków, którzy w podróży umieli przedstawić przeciwników swoich jako przeciwników m-gra Satollego, a nawet Leona XIII. Twierdzili, że Kościół nie ma szczerze sobie oddanych serc, chyba tylko między republikanami. Po przyjeździe zapowiadali, że przywieźli wysłańca apostolskiego na obronę arcybiskupa z St. Paul, że gromy czekają *Cahenslyizm*, że swoboda błyśnie dla duchowieństwa uciskanego przez „tyranię" biskupów, że głównie biskupa nowo-jorskiego Corrigana spotka gniew papieski, nastanie zgoda między duchowieństwem a obozem wolnomyślnym, Rzym podyktuje nowe prawa i zaprowadzi dla Kościoła w Ameryce odrębny *home-rule* w duchu postępowym i t. d., i t. d.

Mgr. Satolli stanął przed arcybiskupami z nieokreśloną władzą. Jedni utrzymywali, że przyjechał jako pełnomocnik apostolski, inni, że przedstawia Papieża na wystawie powszechnej w Chicago. W każdym razie aż do końca kwietnia b. r. nie pokazywał żadnego listu uwierzytelniającego i uczęszczał na narady arcybiskupów, jak było można myśleć, z grzeczności. Nagle wręczył zebranym arcybiskupom czternaście wniosków, które miały wyrażać myśl Ojca św. i ostatecznie rozstrzygać sprawę szkolną. Arcybiskupi zażądali czasu do namysłu, zbadali wnioski i znaleźli, że choć w żadnym z osobna nie można wytknąć nic przeciwnego wierze, jednak razem wzięte i uważane w obecnych stosunkach nie wyrażają nic innego, jak złagodzone trochę poglądy d-ra Bouquillona i arcybiskupa z St. Paul.

Arcybiskup Tache z St. Boniface zadał sobie pracę, aby zestawić razem wnioski m-gra Satollego z wskazówkami, dawniej przysłanemi z Rzymu od Piusa IX. i Leona XIII., i z uchwałami przyjętemi na trzecim synodzie baltimorskim. Z tej pracy krótko streszczonej widać, co miał sądzić zjazd arcybiskupów o wnioskach m-gra Satollego.

1. Co sądzić ogólnie o wychowaniu dzieci? Pius IX. uczył: nie można pozwolić na szkoły, które wykluczają religię i po-

bożność; nie bez pożytku biskupi szukają nauczycieli z zgromadzeń zakonnych.

Synod: Duch świata nie przebiera środków, byle tylko powierzyć wychowanie dzieci świeckim władzom, a odebrać je Kościołowi.

Mgr. Satolli: Kościół zastrzega sobie prawo uczenia prawd wiary i obyczajności. Jeżeli mówimy bezwzględnie i ogólnie, nic nie przeszkadza, żeby dzieci pobierały początkowe nauki, a nawet wyższe z różnych gałęzi wiedzy w szkołach publicznych, pod nadzorem państwa, o ile do państwa należy zaopatrywać, wspomagać i popierać swoich obywateli, kiedy idzie o ich dobro moralne, żeby spokojnie żyli ze sobą w dostatku doczesnym pod opieką praw, wydanych przez władzę świecką.

2. Co sądzić o szkołach międzywyznaniowych? Pius IX.: Rodziców, którzy na miejscu mają szkołę katolicką, odpowiednio urządzoną i zaopatrzoną, albo mogą dać dzieciom katolickie wychowanie w innem miejscu, a posyłają dzieci do szkół publicznych, bez dostatecznego powodu i troski o ich niebezpieczeństwa — jeśli trwają przy tem uparcie — nie można rozgrzeszyć przy Sakramencie pokuty.

Synod: Nader przykre doświadczenie uczy, że wychowanie wyłącznie świeckie stopniowo przechodzi w bezwyznaniowe i bezbożne, szkodliwe dla wiary i obyczajów... Z pożytkiem można tu przypomnieć słowa Leona XIII. do biskupów francuskich, że Kościół zawsze i jawnie potępia szkoły tak zwane mieszane albo obojętne, i przestrzega przed niemi ojców rodziny.

Mgr. Satolli: Kościół Powszechny wogóle, a szczególnie Stolica św. bynajmniej nie potępia szkół publicznych, ani nie spogląda na nie z daleka, przeciwnie pragnie, żeby za wspólną sprawą władzy świeckiej i duchownej powstawały w każdem państwie szkoły publiczne dla krzewienia pożytecznych nauk i wiadomości.

3. Co sądzić o potrzebie szkół wyznaniowych? Pius IX.: Wszyscy mniemają, że nic niema potrzebniejszego dla wiernych, jak mieć w każdem miejscu swoją szkołę własną, nie gorszą w niczem od państwowej.

Synod: Czujemy to głęboko i wyznajemy, że mamy obowiązek pracować i wglądać w to, żeby wierni mieli dla swoich dzieci szkoły dobre i nie gorsze od państwowych. Dlatego zgodnie wyznaczamy środki, które mogą udoskonalić szkoły parafialne... Głównie ich postęp zależy od zdatnych sił nauczycielskich. Więc postanawiamy, że odtąd nikt w nich uczyć nie będzie, kto nie zdał poprzedniego egzaminu: dlatego każdy biskup wybierze w przeciągu roku z pomiędzy swoich księży dyecezalny wydział egzaminacyjny.

Mgr. Satolli: Żeby zabezpieczyć postęp i wzrost szkołom katolickim, wypada ich nauczycielom nie poprzestawać na egzaminie dyecezalnym, ale posiadać także dyplom państwowy... Poznanie prawdy w każdym zakresie, ścisła sprawiedliwość połączona z miłością, rozkwit i szacunek sztuk wyzwolonych: to wszystko stanowi przedmurze Kościoła.

4. Co sądzić o wyjątkowych razach, kiedy dzieci uczęszczają do szkół państwowych? Pius IX.: Wierni mogą posyłać dzieci do szkoły państwowej, ale chyba tylko wtenczas, jeżeli biskup uzna powód słusznym.

Synod: Zostawiamy to sumieniu i sądowi miejscowego biskupa, czy w każdym szczególnym przypadku wierni mogą posyłać dzieci do szkół państwowych, ale muszą obmyśleć środki, żeby przynajmniej usunąć bezpośrednie niebezpieczeństwo zepsucia.

Mgr. Satolli: Jeżeli gdzie można poznać po mądrych urządzeniach władzy, albo przy czujnej opiece rady szkolnej, nauczycieli i rodziców, że ustaje niebezpieczeństwo dla wiary i obyczajów, tam ze spokojnem sumieniem mogą katolicy posyłać swoje dzieci do szkół rządowych.

Taki przegląd zasad arcybiskupa Irelanda, zestawionych z zasadami przed nim przyjętemi przez dostojników Kościoła amerykańskiego, wyjaśnia, dlaczego jedenastu biskupów zebranych w Nowym Jorku odrzuciło jednomyślnie wnioski m-gra Satollego. Zamiast nich uchwalili także jednogłośnie, za zupełną zgodą wszystkich biskupów, listownie spytanych o zdanie, następne dwa wnioski:

Postanowiono najprzód krzewić zakłady naukowe katolickie

tak, żeby w nich jak najwięcej dzieci katolickich mogło znaleść miejsce, a nawet zgoła wszystkie jeśli będzie możebnem, zgodnie z uchwałami trzeciego synodu baltimorskiego i wyrokami Stolicy św.

Postanowiono powtóre co do dzieci, które obecnie nie chodzą do szkół katolickich, że trzeba nadto zaopatrzyć ich potrzeby przez szkołę niedzielną i nauki dawane innego dnia albo jeszcze częściej w tygodniu; także trzeba nalegać na rodziców, żeby w domu uczyli dzieci zasad wiary. Duchowieństwo powinno bezpośrednio prowadzić te szkoły niedzielne i tygodniowe, z pomocą rozumnych nauczycieli świeckich, a gdzie tylko możebne z pomocą członków któregoś z zakonów wychowawczych.

Arcybiskupi nadto wymagali, żeby mgr. Satolli swoich wniosków nie ogłaszał, nim Ojciec św. nie pozna wyniku obrad; ale przyjaciele i doradcy m-gra Satollego wydali jego wnioski z następną uwagą:

Wszystko to, co poprzedza, przeczytano i rozważono na zjeździe arcybiskupów, trudności rozwiązano, żądane zmiany uskuteczniono, 17 listopada 1892.

Nadomiar złego, opis zjazdu, sporządzony pod okiem arcybiskupów, od końca listopada roku zeszłego aż do połowy lutego roku bieżącego, nie mógł dopłynąć z Nowego Jorku do Rzymu. Jakie burze miotały statkiem, który wiózł ten opis, do dziś nie wiadomo; wiadomo tylko, że żadne burze ani przeszkody nie wstrzymały po drodze gońca, wyprawionego przez stronników arcybiskupa Irelanda do Rzymu z nowiną, że zjazd powziął uchwały zgodne z poglądami arcybiskupa. Tę nowinę ogłosił *Moniteur de Rome*, uważany jeszcze wówczas za półurzędowe pismo papieskie. Na wiarę *Moniteur*'a powtórzyło ją z *Przeglądem Powszechnym* wiele pism europejskich, aż Amerykanie zdumieni piszą do Europy: „Skąd wiecie o pomyślnym dla Irelanda wyniku rozprawy szkolnej? My tu w Ameryce nic o tem nie wiemy!“... Oczywiście do Rzymu najprzód poszło to pytanie i już z początkiem r. b. Leon XIII. wiedział, że ani jeden arcybiskup nie podpisał wniosków, natchnionych duchem arcybiskupa Irelanda. Zaraz 3 stycz-

nia wezwał każdego biskupa i arcybiskupa w Stanach Zjednoczonych, żeby w opieczętowanym liście wprost na ręce papieskie doniósł, co sądzi o owych 14 wnioskach: *Quid et qua ratione sentiat?* Dwadzieścia ośm odpowiedzi doszło do Rzymu przed trzydziestym stycznia b. r.; z nich dwie żądały poprawek, a dwadzieścia sześć stanowczo odrzucały wnioski. Do 21 marca b. r. w tym samym duchu napisało 70-ciu biskupów. Obecnie wybrał Papież grono kardynalskie, które roztrząsa nadesłane odpowiedzi. Krąży pogłoska, że Papież sam wyda wyrok o całej sprawie w encyklice do amerykańskich biskupów. W marcu miał sam mgr. Satolli spostrzedz, że nie może szczerze ufać dotychczasowym swoim doradcom, przeciwnikom szkoły parafialnej. Póki nie umiał żadnego języka krajowego, nie mógł tego zauważyć; ale dzięki pilnej pracy, w kilka miesięcy po przyjeździe postąpił znacznie w niemieckim języku, a w angielskim na tyle, że zaczął kazać. Jedna z jego przemów, miana 26 marca do młodzieży parafialnej w Filadelfii, dowodzi, że *cahenslyizm* nie znajdzie w nim wroga, i owszem, może liczyć na jego pomoc. Najważniejszy ustęp tej przemowy znalazł natychmiast miejsce w katolickich pismach, przytacza te słowa także tygodnik polski, *Wiara i ojczyzna*, z 12 kwietnia b. r. najprzód w brzmieniu dosłownem, potem w przekładzie:

„Lepiej jest otrzymać dobre wychowanie do życia uczciwego, aniżeli tylko otrzymywać kształcenie w naukach. Co większa, dla nas katolików, w moralnem znaczeniu wychowanie, któreby nie było katolickiem, jest niemożliwem. Jest to właśnie najgłówniejszym powodem istnienia szkół parafialnych, a mianowicie takich szkół naszych, które oprócz uczenia wszystkiego, co jest potrzebnem do życia domowego i publicznego, uzupełniają je kształceniem moralnem i religijnem. Szkół, w których wcale nie uczą religii, nie można uważać za dobre, gdyż są one szkodliwe dla osób, rodzin i państwa. Dlatego to katolicy, którzy szanują urządzenia krajowe, mają swe własne prawa i własne szkoły i zasługują, ażeby opinia publiczna dla nich była korzystną, a spodziewają się słusznie, że wszyscy uczciwi ludzie ich poprą. Mamy powód spodziewać się, że lojalność obywateli

i ich poczucie sprawiedliwości nie dozwoli im uważać takich szkół za antyamerykańskie, gdyż wypełniają one wszystkie warunki, jakich żądać może wolne państwo".

Taki przebieg opisanej sprawy pozwala nam rokować nadzieję, że krzewiciele szkoły wyznaniowej nie znajdą już poważnych przeszkód w chwalebnem dziele. Pod tym względem można już uważać ich sprawę za załatwioną, choć jeszcze nie można oznaczyć chwili, w której odniosą ostateczne zwycięstwo. Widok ich dzielnej obrony przed ustawą bezwyznaniową może nam doda otuchy w podobnej walce o nasze szkoły.

Ks. K. Czaykowski.

ALEKSANDER LORENCOWICZ.

Studyum z epoki panegirycznej.

(Dokończenie).

III.

Wymowa kaznodziejska za czasów Lorencowicza nie była jeszcze tak spaczona, jak na początku XVIII. w., ale upadła już bardzo nizko. Najprostszej myśli nie wypowiadano bez ornamentyki panegirycznej. Wyobraźnia sili się na sztuczne porównania i niedocieczone alluzye, myśl pogmatwana ginie w subtelnych przenośniach i gubi się w drobiazgach. Ciągle utyka się na jakimś szczególe z historyi starożytnej albo cytacie klasyka rzymskiego. Najoryginalniejsze pomysły, nie krępująca się niczem fantazya, napuszystość i zupełny brak poczucia estetycznego, to mniej więcej cechy panegiryzmu.

Spaczenie smaku powoli się zaczynało, a zarody jego tkwiły już w wymowie drugiej połowy XVI. wieku. Synod gnieźnieński 1589 roku pomieszcza między przepisami dla kaznodziei także i ten, by strzegli się „w mówieniu baśni niedorzecznych, fraszek dowcipnych i żarcików, przystoi bowiem, aby na kazaniach słyszeć się dały raczej westchnienia i płacze, aniżeli śmiechy i wesołe szepty... Niech się kaznodzieje chronią zalotnej słów przykrasy i uwłaczających powadze kapłańskiej piększydeł“ [1].

Przestrogi synodalne niewiele snać skutkowały, bo ogół

[1] *Constit. Synodi prov. Gnesn. an. 1590*, str. 68.

kaznodziejów nie zmieniał metody wymowy, a nawet najlepsi kaznodzieje na początku XVII. stulecia, wykazują tu i ówdzie wady smaku, które im później tem bardziej spaczają wymowę. Już o Birkowskim mówi Makowski we wspomnieniu pośmiertnem, że „na lekkich i płochych konceptach się nie sadził, ale od niewoli drugdy mu to przychodziło, że musiał czem świeckim przysmaczyć. A któż był w te uczone fraszki pogańskie i poetyckie nad ojca Fabiana bogatszy".

Jeżeli już Birkowski musiał przysmaczać, żeby go chętniej słuchano, to cóż mówić o późniejszych kaznodziejach?

Przez półtora wieku niema żadnego, któryby mniej lub więcej nie zachwycił z panującej atmosfery, a kazań najlepszych mowców panegirycznych, tak jak są, nie możnaby dzisiaj powtórzyć z ambony.

Wszystkie błędy panegiryzmu grasują już za Starowolskiego; są i koncepta, fraszki, anegdoty, jest bombast, są cytaty klasyków:

„Słowo boże ubrane w bajki poetyckie, w ozdobne słówka retoryckie, w dyszkursy starych filozofów i przypowiastki żydowskich rabinów, jak w terepele jakie, abo kryzy niemieckie słuchaczom ukazujemy" [1].

Zwyczaj wychwalania rodów rozwielmożnił się na dobre, a wywody genealogiczne weszły w użycie.

„Biada wam kaznodzieje, — woła Starowolski — którzy miasto Ewangeliej, wyliczacie na kazaniach analogie rodów zacnych, przypochlebując się im w oczy, abyście po tym u nich byli w poszanowaniu; którzy miasto nauki Pisma św., nowe fabuły wymyślacie, nowe frazesy i słowa przynosicie, abyście nie urażali uszu słuchaczów waszych" [2].

Nie wynika z tego, żeby wszyscy kaznodzieje tak mówili, ale widocznie chwalców było niemało, a znaczna część mów pogrzebowych z tego czasu zaczyna się od wywodów genealogicznych. Między panegirzystami nie brakło takich, co „przy

[1] „Arka testamentu". *Pars hiemalis,* str. 319.
[2] „Świątnica Pańska", str. 572.

aktach pogrzebowych cnotom zmarłych dawszy pokój, około samej się tylko familii bawią, pierwsze *capitulum* Ewangieliej św. Mateusza czytając: *Abraham genuit Isaac*, ten urodził tego, owa owego“ [1].

Za czasów Lorencowicza skażenie wymowy stawało się coraz jaskrawsze. Opaliński, wyszydzający wszystko i wszystkich, nie pominął kaznodziejów, a o współczesnych sobie tak się wyraża:

... Teraz miasto nauk
Duchownych, powiadają bajki jakieś, albo
Historye żartowne i nie wiem co tylko,
Błaznują czyli każą, trudno i rozeznać.
Ot tylko uszy bawią, a gdy na kazanie
Przyjedziesz, stanieć za jedną szczyrą krotofilę [2].

Wymowa wchodziła na coraz gorsze tory, wad panujących ustrzedz się było coraz trudniej, to też usiłowania do jej poprawy zasługują na tem większe uznanie. Że Lorencowicz starał się o poprawę wymowy, widzieliśmy w przedmowie do kazań pogrzebowych, a że nie „nadziewał ich pochwałami domów rodowitych“, o tem przekonywamy się czytając kazania. Są w nich pochwały zmarłych, ale za żywot cnotliwy, owszem znajdujemy tu i ówdzie nieznaczną wzmiankę o ujemnych stronach zmarłego, czego u innych panegirzystów trudno się doszukać. Tak np. wspomina o popędliwości i gorącości Zadzika, ale ją tłumaczy staropolską prostotą; na pogrzebie wojownika z domu Jastrzębców potrąca o grzechy młodości: „ladajako żył ze zgorszeniem wszystkich, ale później pokutował i poprawił się“.

Inaczej ma się rzecz z poprawą smaku i stylu; znać tu wprawdzie różnicę między Lorencowiczem a innymi panegirzystami, ale spotykamy także wiele miejsc stycznych między jego wymową a panegiryczną swadą. Lorencowicz za mało miał talentu, żeby się otrząsnąć z naleciałości epoki i innych za sobą pociągnąć.

Oryginalności panegirzystów, koncepta, fraszki dziwne nam się dziś wydają, ale wówczas i najlepsi mowcy hołdowali bez-

[1] Aleksander a Jesu, „Niebieskie planety górnym oddane sferom“.
[2] „Na teraźniejsze w różnych zakonach obyczaje“.

wiednie zwyczajowi. Panujący zwyczaj ma zawsze to do siebie, że utrudnia czynność refleksyi, a skłonność do naśladowania jest w człowieku dość silną, by go pociągnąć tam, gdzie drudzy idą. Wchodzi coś w modę, przyjmuje się, rozpowszechnia, jakiś czas się podoba, wreszcie przeżyje się i ustępuje ze sceny.

Panegiryzm nie był tworem polskim, ale przybył z zagranicy, przeważnie z Włoch. Nastąpił po humanizmie i scholastyce; z pierwszego przejął w spadku erudycyę klasyczną i prawienie komplementów, z przekwitu scholastyki skłonność zaciekania się w subtelności. Kto pierwszy w Polsce uprawiał panegiryzm i drugich za sobą pociągnął, na to niełatwa odpowiedź. To pewna, że pierwsze przejawy panegiryzmu występują na schyłku XVI. stulecia, a na początku XVII. już się rozszerzył na dobre. To także pewna, że twórcami panegiryzmu nie byli Jezuici.

Birkowski i Starowolski nie wyszli ze szkół jezuickich, a przecież jedni z pierwszych wykazują symptomata panegiryczne; z późniejszych kaznodziejów znaczna część wychodziła ze szkół akademii, z seminaryów duchownych, albo ze szkół innych zakonów, mimo to nie lepiej mówili jak wychowańcy jezuiccy. Jezuici polscy uprawiali w swych szkołach panegiryzm, bo był przyjęty i wszedł w modę, ale nie czynili tego z planem powziętym z góry. Ani szerzenie panegiryzmu, ani walka z panegiryzmem nie była włożona w ustawy szkolne Jezuitów. Mogli być panegirzystami, mogli nimi nie być, i wielka szkoda, że znając Wujka i Skargę nie poszli ich torem; ale dlatego, że nie wytworzyli lepszej szkoły kaznodziejskiej, zwalać na nich winę za obniżenie wymowy, byłoby co najmniej przesadą.

Między długim szeregiem mowców panegirycznych spotykamy takich, którzy w jaśniejszych chwilach poznawali braki panegirycznej wymowy i chcieli się z nich otrząsnąć, mimo to popadali w błędy, na które powstawali. — Pomijając innych, przypatrzmy się najwybitniejszym: Birkowskiemu i Starowolskiemu.

W kazaniu na św. Ignacego Lojolę przyznaje się Birkowski, że popisywanie się erudycyą klasyczną nie odpowiada na ambonę. „Jako się zgodzi z psałterzem Dawidowym Horatius, z Ewangielią Maro, z Apostołami Cycero... Nie podoba się to

Panu Bogu". Mimo to spotykamy się w jego kazaniach z Herodotem, Pliniuszem, Plutarchem, Tacytem, Swetoniuszem, znajdujemy wyjątki z Horacyusza, Owidyusza, Seneki, Juwenala, Martialisa i t. d.

Mówi, że „wymowa kaznodziejska inaksza ma być od wymowy świeckiej, nie ma się z krasomowstwem popisować abo bryzy na się brać oratorskie: uczyć ma ludzie, nie piszczałkę jaką słodko brzmiącą ma mieć przy ustach, ale trąbę straszną" [1]; mimo to spotykamy u niego obok miejsc, w których istotnie głos trąby się przebija, także ustępy bardzo podobne do bryz oratorskich.

Gani kaznodzieję, „który tylo przestrzega filakteryjej dworskich, krasomowstwa i figurek pilnuje z retoryki, poniży wysokość słowa bożego i wrzuci je w przepaść marności, kwiatkami potrząsnąwszy" [2] a jednak zapożycza się chętnie z panegirycznej retoryki, nie gardzi figurkami, grą słów (z Husa robi gęsiora [huś] a później kruka piekielnego), wywodami etymologicznemi (chemię wywodzi od Chama, który mieszkał w Egipcie, skąd nauka chemii wzięła początek), opowiada anegdoty, barwi wymowę szczegółami z historyi naturalnej i powszechnej (o Kamillusie, francuskim kapitanie, który się odznaczył przy obronie Rzymu), rozbiera kwestye drobiazgowe i naiwne i t. d.

Gorzej rzecz się ma ze Starowolskiego planami reformy, bo bez porównania częściej od Birkowskiego wpada w błędy, które pierwej ganił. Pomijając liczne cytaty z prozaików i poetów klasycznych, natrafia się u niego nieraz na zboczenia rażące, koncepta i śmieszności różnego rodzaju, cudactwa z historyi naturalnej, np. o Aramaspach, ludziach o jednem oku, o drzewie Cikara, „rosnącem na nowym świecie, które jedno tylko jabłko na rok rodzi, ale takiej wielkości, że za tysiąc innych stanie, bo ma w sobie mniejszych jabłek około trzysta" i t. d. [3].

Spotykamy dyskusye na temat: czemu laska biskupia zagięta, czemu zakonnicy brody golą, dlaczego kozie mleko chło-

[1] Kaz. I. na Świątki.
[2] Kaz. na niedzielę czwartą adwentu, str. 57.
[3] *Pars Hiemalis*, str. 516.

dzi, czemu wino w Kanie z wody a nie z innego płynu wytworzone i t. d.

Dowiadujemy się o rzeczach ciekawych, np. że pierwszy z królów pił wino August, a z magnatów Jan Radziwiłł, który luterstwo sprosne w dom swój wprowadził, że Lucyper był pierwszym alchemistą, „bo w piekle jął się robić alchemiej, i dobrą monetę, człowieka od Boga stworzonego fałszować, merkuryusza dodając, aby zdał się być dobrym po wierzchu“[1].

Zboczenia podobne nie przeszkadzały, żeby Birkowski i Starowolski nie byli dobrymi kaznodziejami, ale świadczą, że w czasie kiedy smak ogólnie się psuje, bardzo trudno ustrzedz się panujących błędów, a tylko wybitny talent może zwycięsko z niemi walczyć.

Lorencowicz takiego talentu jak Birkowski nie posiadał, to też nie dziw, że mimo chęci poprawy dopuszcza się często przeciw smakowi wykroczeń.

Na jakich kaznodziejach głównie się kształcił, nie wiadomo. Skargę znać musiał, bo tradycya królewskiego kaznodziei była jeszcze dość żywą w czasie jego studyów retorycznych, ale w kazaniach dopatrzyć się wpływu Skargi trudno.

Przedmowa do „Kazań niedzielnych“ przypomina podobną przedmowę Skargi; kazanie na pogrzebie królowej ma podobny koloryt, jak kazanie na pogrzebie Anny z Rakuz, prócz tego za Skargą porusza kilka myśli z kazań sejmowych. Kazania Olszewskiego miał zapewne pod ręką, bo w jednem z kazań przywodzi z niego dwa całe okresy. Za Starowolskim powtarza czasami jakiś szczególik ciekawy a nieprawdopodobny z dziedziny nauk przyrodniczych. Młodzianowskiego każącego słyszał, bo spotykali się nieraz w jednych kolegiach, i dlatego nastrój i rodzaj wymowy Lorencowicza bardzo się zbliża do kazań Młodzianowskiego. Z tych wszystkich coś zaczerpnął, a chociaż plagiatów nie ma, mimo to znać ich wpływ, zwłaszcza ujemny.

Przeglądając stare druki kazań z czasów panegirycznych, spotyka się nieraz miejsca zakreślone, a obok nich wykrzykniki i dopiski: *pulcher locus, eximius locus.* Czytelnik dzisiejszy musi

[1] *P. Hiemalis*, str. 85.

ruszyć ramionami, bo zamiast pięknego miejsca natrafia na jakiś oryginalny koncept, na cudactwo z historyi naturalnej, na nie zawsze smaczną alluzyę lub anegdotę. Ustępy takie wypisywano, przywłaszczano sobie, tworzono nowe w tym samym guście i w ten sposób szerzył się zły smak, a tradycya panegiryzmu rosła.

Ile Lorencowicz zachwycił z atmosfery panegirycznej, i o ile wykazuje skażenie smaku? Przeczytawszy kilka kartek jego kazań poznać łatwo, że to płód panegirzysty. Smak zupełnie różny od dzisiejszego. Podział w kazaniach zarysowuje się wprawdzie, ale często zbyt zatarty, bo mowca nie panuje nad tematem, ale puściwszy wodze fantazyi skacze z jednej myśli na drugą i dopiero po długiem błąkaniu się wraca do myśli przewodniej. Czytelnik gubi się w epizodach, tu i ówdzie utyka na cytatach starych pisarzy, a po przeczytaniu kazania, pamięta tylko jakiś oryginalny szczegół, koncept, humorystyczne a często naciągnięte przystosowanie Pisma św. i t. d. Nie brak obok tego myśli podniosłych, zdrowych uwag, a nieraz siły uczucia; cóż kiedy przebijają się one z pośród ozdób makaronicznych, jak jasny promyk z gęstwy mgły jesiennej. Po tem poznać można każdego panegirzystę, poznać także kazania Lorencowicza.

Główną jego wadą, to drobnostkowość, pochodząca ze zbytniej skłonności do porównań. Uchwyciwszy się jakiejś myśli, stara się ją wyzyskać do ostatnich granic, a wskutek tego dochodzi do śmieszności. Drobiazgowość ta występuje przeważnie w mniejszych ustępach, w przeprowadzeniu jakiegoś porównania lub wykładzie tekstu Pisma św., prócz tego w dwu całych kazaniach: na pogrzebie wojownika z domu Jastrzębców i Białogłowy Senatorskiej.

Pierwsze oparte na zbyt wiotkiej podstawie, bo na wyszukanym i naciągniętym tekscie Pisma św.: „Izali mądrością Twą obrasta pierzem jastrząb, rozszerzając skrzydła swe na południe“. Powiedzieć mowę pogrzebową na ten tekst było niełatwo, ale kaznodzieja umie sobie radzić. Cokolwiek czytał lub słyszał o jastrzębiu, wciąga do kazania i stosuje do szlachcica Jastrzębca. Mówi więc we wstępie o poszanowaniu jastrzębi

w starożytności, wspomina, że Zoroaster kazał malować bogi z jastrzębiemi głowami, że Antyoch jastrzębiem się pieczętował, a Daryusz aż trzy jastrzębie kazał wyryć na swej tarczy. Mówi że „Bóg sprawuje się z ludźmi jako z jastrzębem, raz go pięknymi upierzy pióry, to drugi z tychże piór oskubie“, i dzieli kazanie na dwie części. W pierwszej mówi o upierzeniu jastrzębia, w drugiej o wypadnięciu piór, a wszystko przeplata szczegółami z życia Jastrzębca. „Gniazdo to stare i właśnie polskie, w ojczyźnie własnej od Boga fundowane, a tem też lepsze, jako o jastrzębach powiadają, że swojskie i gdzie się legą, lepsze. Ten herbowny jastrząb i familia zmarłego tuteczna, naszyńska, staropolska. Czytaj kroniki, obaczysz, że Jastrzębce prawie zarówno z królewskim orłem chodzą“. — Zmarły wojownik był jak jastrząb bitny i odważny:

„Nie zatrzymałeś go w męskim wieku jego przy domu, lubo szerokie i dostatnie były włości, żeby się na domowych kurach zaprawiał. Wyleciał daleko od swojej dziedziny; sam w osobie swojej do Moskwy piękne grono ludzi prowadząc i tam przez lat pięć bawiąc. A czego nie dokazował!

„Płaszał tak wiele razów ten Bogu oddany Jastrzębiec choć wielkie, dwójgłowiste, czarne orły moskiewskie“. Miał tę wyższość nad jastrzębiem, że nie był drapieżny i nie szukał swego tylko dobra. „Królowi swemu hołdował i poddawał wojska moskiewskie, kazańskie, astrachańskie, swoich pożytków odstępując, ani nagrody za to wszystko dochodząc; w konfederacye dlatego nie wchodził. Nie wspominam wierności jego pod rokosz, odwagi przeciw Kozakom, Skinderbaszy“.

W drugiej części mówi kaznodzieja, że człowiek im dłużej żyje, tem częściej uroni jakieś pióro ze swego upierzenia, aż wreszcie „wypadną tak bujnego jastrzęba malowane pióra, jak szare z kominnego wróbla“. Kazanie mimo wadliwego układu jest ładne; razi nas tekst wyszukany, ale to w czasach panegirycznych należało do dobrego tonu. Kaznodzieja, mający przemawiać nad zwłokami herbowego, wertował długo Pismo św., żeby wynaleść tekst odpowiedni, do któregoby mógł mowę nawiązać i wspomnieć zgrabnie o herbie zmarłego. Tak np. Bembus

na pogrzebie biskupa Andrzeja Opalińskiego zaczyna od słów: „Dni moje przeminęły, jako łodzie jabłka niosące“, żeby mógł coś powiedzieć o Łodzi Opalińskich; Łajszczewski na pogrzebie Lwa Sapiehy przemawia na tekst: „Sprawiedliwy jako lew śmiały bez bojaźni będzie“; jeśli w herbie były gwiazdy, zaczynano od tekstu o gwiazdach, jeśli strzała, to przytaczano tekst, w którym o strzale była mowa i t. p. Rozumie się, że kazania takie wypadały fatalnie, i raziły naciąganiem, ale wówczas imponowały, a rodzina zmarłego ogłaszała je drukiem i rozsyłała po świecie.

Rażąca pod względem układu i drobiazgowości jest mowa na pogrzebie Białogłowy Senatorskiej. Asumpt do niej czerpie kaznodzieja z pomnika Racheli wystawionego, przedstawiającego owcę. Na pierwszy plan w kazaniu występuje owca i jej przymioty: pracowitość, uległość, wierność, pobożność jako przykład naśladowania dla dobrej małżonki. Owca jest pobożna, bo była przeznaczona do ofiar i brała udział w obrzędach religijnych; owce są pracowite, bo gdzieś w dalekich Indyach wprzęgają je do dźwigania ciężarów i t. d. Naturalnie, że taka argumentacya musiała spaczyć kazanie, to też wypadło najfatalniej.

W drobiazgowość nie sam Lorencowicz popadał, możemy ją odnaleść w każdym prawie panegirzyście, a nawet u poprzednich kaznodziei. Już Wujek w kazaniu na św. Szczepana wpadłszy na tekst o kokoszy gromadzącej pisklęta pod skrzydła, rozbiera szeroko jej właściwości, jak się broni przeciw kani, jak szuka pokarmu, jak gdacze, jak ogrzewa pisklęta i t. d.

Birkowski w podobnem kazaniu przyrównywa św. Szczepana do koguta. Jak kogut śpiewa gdy zwalczy przeciwnika, tak wołał Święty: widzę niebiosa otwarte... Kogut straszny, gdy się pojedynkuje z wężami, kaniami, podobnie św. Szczepan.

Im później, tem gorzej. Drobiazgowość dochodzi do ostatnich granic, np. u Mijakowskiego „Kokosz na kolendę“, który całą mowę na temat rozmaitych kokosz wygłasza.

To też nie bez podstawy mówi Potocki we fraszce „Białe konie“:

Grzebiąc szlachcica, co się białym koniem
Pieczętował, siła ksiądz dyszkurował o niem.
Siła cnót, siła białej przypisywał sierci
Przymiotów...

Wada to była zbyt rozpowszechniona i zbyt rażąca.

Drugą panującą wadą to gonienie za oryginalnością i popisywanie się konceptami. W czasach, kiedy tyle mówiono, ten zyskiwał imię oratora, który z czemś nowem wystąpił, zaimponował słuchaczom oryginalnym konceptem, lub niezwykłym figlikiem oratorskim. Szerokiem polem do takich popisów było Pismo św., zwłaszcza alegoryczna jego strona. Im subtelniej zastosowano jakiś tekst do okoliczności, tem łatwiej zyskiwano poklask u słuchaczy. „Wolno każdemu według upodobania konceptować, ja powiem co mi na myśl przyszło", mówi Kochanowski [1]. Inni po rozbiorze słów Pisma, opartym na egzegezie, dodawali swój wykład, np. Olszewski w „Żałobie po śmierci Konstancyi królowy", przytoczywszy wyjątek z psalmu, mówi: „co się litery tycze, czytajcie tłómacze Pisma św., co allegoryjej, twój to opis Naj. Konstancyo". Zasadą tą kierowało się wielu i dochodziło do godnych podziwu rezultatów.

Oryginalnym bywał i Lorencowicz. Podobnie jak Młodzianowski lub słynny Abraham a St. Clara, deklinuje na ambonie, jak inni współcześni używa porównań bardzo trafnych, często dowcipnych, ale nie licujących z powagą mowcy kościelnego. Jak współcześni, obleka opowieści biblijne w polską szatę i zabarwia je rodzimym kolorytem. — Zobaczmy kilka przykładów.

W kazaniu o wychowaniu dzieci mówi kaznodzieja, że sama nauka bez bojaźni bożej nikogo dobrym nie uczyni. „Co pomoże młodemu gramatyka, kiedy go deklinować nauczy, jeśli wyżej nie postąpi, a bojaźń Boża inaczej go nie nauczy deklinować. Gdy Alvarus każe deklinować *per omnes casus et numeros: malum, furtum mendacium, superbia, luxuria, avaritia;* a ówdzie Duch św. i jego Doktorowie tylko deklinować uczą *in ablativo: declina a malo, furto, mendacio, nam caeteris casibus* powiada *carent. In nominativo:* kłamstwo i *turpiloquium nec nominetur in vobis* —

[1] „Mężna śmierć, mężnego żywota płód".

mówi jedna regułka gramatyki Bożej. *In dativo: filius comessationibus vacat et luxuriae et conviviis.* O jak szkaradny barbaryzm godzien ekskluzyi. *Lapidibus eum obruet populus universus et morietur! In accusativo furtum* nie godzi się, *non furtum facies. In vocativo* i jeszcze mniej: *O piger, o plene fallacia fili diaboli!* Uszy bolą kiedy tak mistrz mówi. Owo zgoła każde *malum* nie godzi się wedle praeceptów Bożych deklinować, tylko *in ablativo cum praepositione a, de.* W szkole bojaźni Bożej inaczej nie deklinują".

Być może, że koncept ten się podobał; czy był własny, czy może reminiscencya z cudzego kazania, nie wiadomo. Starowolski także mówi o gramatyce i narzeka, że ją czart pofałszował, ucząc ludzi, „by to słówko *Deus*, które *singulare est*, mógł deklinować *in plurali* i powiedzieć, że Bogów siła jest na świecie. *Eritis sicut Dii*" [1].

Do oryginalności Lorencowicza należą porównania zaczerpnięte ze śpiewu i muzyki. Kilka razy ich użył.

„Dobry *magister chori*—śmierć, i dobry ton—pamiątka i myśl o niej. Podniesieli kto wyżej niż trzeba, chce altem, sopranem śpiewać w eksystymacyi o sobie, niechże mu intonuje śmierć: Umrzesz, proch z ciebie będzie. *Quid superbis terra et cinis?* Opuścić niżej. A gdy zaś kto chce basem, nisko nazbyt abo *ex pusillanimitate*, abo z lenistwa nic nie chce począć, gnije, próżnuje: o! skoczyć, kiedy mu do serca śmierć tonem swym zaśpiewa: *Instanter operare. Non erit amplius tempus*" [2]. Myśl poważna, szkoda tylko, że owinięta w pstrociny panegiryczne.

Dowcip Lorencowicza polegał na zgrabnem przystosowaniu tekstu z połączeniem wymówki dla słuchaczy. Zastanawia się np., dlaczego Żydzi przed bitwą używali trąb baranich a nie innych. „Na cóż trąbić w baranie rogi? Jeśli na żołnierza, nie usłyszy żołnierz baranich rogów, rychlejby zwabił, kiedy żywe barany zabekną; usłyszy, pójdzie na taki głos, na bek barana, ale na róg barani, kiedy już barana nie masz, nie będzie dbał. Do tego niechby głośna była takowa trąba, jednak nie doda

[1] *P. Hiemalis*, str. 805.
[2] „Kaz. pogrz.", str. 132.

serca żołnierzowi, żałosna, smutna, rzewliwa, raczej zatrwoży i serce odejmie; będzie drugi rozumiał, że to barany cudze nań po śmierci beczą i przelęknie się, będzie się bał, by go Bóg za nie w potrzebie na wojnie nie pokarał, jako karać zwykł za inne zdzierstwa“ [1].

Albo inne miejsce. Chrystus po zmartwychwstaniu okazał się naprzód niewiastom, bo chciał, „aby głosiły tę nowinę apostołom, uczniom, domowym. Do tego są z natury dobre, nowiny roznosić, a czasem się trafi drugim i przyczynić, jako one co śpiewały tańcując o Saulu i Dawidzie, że jeden z nich poraził tysiąc Filistynów, a drugi dziesięć tysięcy, choć w rzeczy samej Dawid jednego tylko zabił, a Saul żadnego“.

Wadą panegirzystów było niepotrzebne popisywanie się erudycyą klasyczną, przeplatanie kazań przykładami z historyi starożytnej i anegdotami. Wykraczał w tym względzie także Lorencowicz.

Nie męczył jednakże uwagi słuchaczy przez uboczne fabuły, jak mu zarzuca Mecherzyński. Na 91 długich kazań, bo przeciętnie każde zajmuje 4 kartki foliowe, fabuł będzie najwięcej dziesięć. Wszystkie zaczerpnięte z pisarzy rzymskich, z wyjątkiem jednej o senatorze, który zasnął podczas narad sejmowych, a obudziwszy się podczas dyskusyi, zawołał: „Psy pobrać, a chłopa obwiesić!“

Trudniej obronić Lorencowicza od zarzutu zbytniej erudycyi, zwłaszcza w kazaniach pogrzebowych, w których niełatwo było ustrzedz się przyjętego zwyczaju. Prócz licznych tekstów z Pisma św., spotykamy u niego zdania zaczerpnięte z 90-ciu przeszło pisarzy klasycznych i kościelnych. Z klasyków najczęściej przywodzi Senekę i Plutarcha, których aforyzmy moralne nadawały się do kazań; kilka razy Cycerona, Arystotelesa, Juwenala, Martialisa, Laktancyusza, Owidyusza, Tucydydesa i Eurypidesa. Nie cytuje ich dosłownie i tylko dwa razy przytacza wiersze: epigram Martialisa i Antoniusza [2].

[1] „Kaz. niedz.“. II, 49.

[2] „Kaz. niedz.“ II, 127 i Pogrz. 40.

Prócz tego czytywał dzieła św. Augustyna i Chryzostoma, cytuje ich bardzo często, bo 50—60 razy, nadto przywodzi cytaty z dzieł św. Ambrożego, Hieronima, Bazylego, Grzegorza, Bernarda i innych. Nie posługiwał się więc częściej klasykami niż Ojcami Kościoła, bo ostatnich przywodzi bez porównania częściej. Za złe brać mu tego nie można, owszem zasługuje na pochwałę za znajomość pisarzy kościelnych — bo taka erudycya żadnemu kaznodziei ujmy nie przyniesie.

Z erudycyą klasyczną połączone i jej wynikiem są makaronizmy, grasujące już w XVII. wieku a dochodzące do ostateczności w XVIII. Pochodziły również z chęci popisania się, a dadzą się łatwiej wytłumaczyć, jeśli uwzględnimy niezbyt dawny jeszcze zwyczaj przeplatania wszystkiego francuzczyzną. W Polsce była łacina potrzebną w życiu publicznem, uczono jej się wiele, to też chętnie popisywał się każdy frazesami i zdaniami, których zbiór wynotował sobie na ławach szkolnych. U kaznodziei użycie łaciny było jeszcze naturalniejsze; Pismo św. umiał po łacinie, teologii po łacinie się uczył, to też mimowoli, zwłaszcza że taki był zwyczaj, wyrywały mu się z ust zwroty łacińskie. Byli i tacy, którzy potępiali makaronizmy, mimo to nadziewali łaciną swe mowy, bo tak chciał zwyczaj. „Żem łaciny niemało polszczyźnie przydawał — pisze biskup Jan Wydżga w pamiętnikach — dziwować się nie będzie ten, komu humor i styl teraźniejszego wieku wiadom, kiedy to weszło w zwyczaj haftować polski nasz język łacińskiemi wzorkami". Lorencowicz pod tym względem różni się od współczesnych. Spotykamy wprawdzie u niego wyrażenia łacińskie, ale są to po większej części utarte i znane zwroty, któremi posługiwał się w braku odpowiednich polskich, lub teksty Pisma św., które zawsze po łacinie przywodzi. Przytacza także kilka definicyj z filozofii scholastycznej, czem ściągnął zarzut Mecherzyńskiego, że się posługuje metodą scholastyczną w dowodach; zresztą język jego jest czysty, barwny i plastyczny. Mecherzyński nie powiedział za wiele, chwaląc jego polszczyznę za „tok właściwy, rządną budowę i nadobność przypominającą pisarzy Zygmun-

towskich czasów, za brak nadętości i przesady, przyrodzony wdzięk, łatwość i swobodę wymowy“ [1].

Styl, to główna różnica między nim a panegirycznymi mowcami. Jednym ze środków, żeby być jasnym i zrozumiałym, były u Lorencowicza porównania. Czerpie je po większej części z rzeczy najbliższych, z któremi w życiu codziennem na każdym kroku można się spotkać. Wymowa jego była wskutek tego popularną, a często humorystycznie zabarwioną. Obaczmy kilka przykładów.

„Jesteśmy właśnie jako dzieci — mówi np. o odkładaniu poprawy na później. — Da ociec abo matka, abo kto inny dziecku małemu grosz, szeląg i co niewiele, jako ono siła sobie za to chce nasprawować. Pani matka, kupię sobie za to kołacz, sukienkę, buciki, konika, magierkę; i będzie do tyla sobie rokował, powiadał, że kupuje, aż mu kto grosz weźmie, abo szeląg zgubi“ [2].

Albo inny przykład. Mówi, że namiętność zaślepia człowieka i powołuje się na miłość macierzyńską. „Rodzice że mają wielki afekt miłości do dzieci swoich, i radziby je widzieli jako najpiękniejsze, ten afekt tak im zaślepi oczy, że choć będzie dziecko złe, szpetne, brzydkie jak kocz[illegible]dan jaki, przecie mu matka będzie śpiewała: moja piękności, mój pelikanie, moja ozdobo“.

Chętnie przerabia i parafrazuje podobieństwo z Pisma św. „Człowieka młodego przyrównywa Pismo do kóz dzikich, co się po skałach i pustyniach i górach chowają, dlatego że póki krew wre, właśnie jako te bestyjki, młódź coś zawdy górnego myśli, wybija się wysoko, myślami buja, po górach skacze. Do tego oko jako u kóz tych bystre, ciekawe, dworne, nieuważne, często niem rzuca, gdzie nie trzeba, i mury przenika. Więc rzecz płocha, pierzchliwa, trudno ją Bogu do sieci nagnać!“

Albo inne miejsce: „Tak przesieję lud mój jako pszenicę rzeszotem — mówi Bóg. — Póki pszenice nie przesieją, abo szuflą nie przewieją chrustu, plew, prochu pełno — kiedy na rzeszoto przyjdzie, plugastwo dziurkami owymi wypadszy rozstrzela się

[1] „Historya wymowy w Polsce“, t. III, str. 268.
[2] „Kaz. pogrz.“ 81.

i z wiatrem po powietrzu rozwieje. Tak Bóg wszechmogący wziąwszy wszystkie ziemie za kraje, jako rzeszoto, od początku świata aż do końca przesiewa wszystkich, co się ich jeno urodziło“ [1].

Bardzo charakterystyczne są porównania i symbole wzięte ze starych malowideł. Spotyka się je już u Birkowskiego; u późniejszych panegirzystów są częste, zwłaszcza w kazaniach Aleksandra a Jesu i Olszewskiego. Ostatni przeszło 40 symboli ma w niewielkiej liczbie kazań. Jest to coś w rodzaju sztychów i inicyałów na starych książkach, przedstawiających gryfy, potwory i symboliczne postacie, trzymające wstęgi z rozmaitemi napisami. Czerpali je kaznodzieje z rycin na tytułach dzieł umieszczanych, ze starych obrazów, a najczęściej z ksiąg heraldycznych. Olszewski np. odwołuje się na Salomona a Carlano, Jakuba Typosiusza, Sodoleta i Reusnera. Najwięcej snać w symbolikę obfitowały książki hiszpańskie, bo na nie powołuje się Olszewski malując godła: „widywamy je na czas, na księgach które z Hiszpanijej przywożą“, a Aleksander a Jesu kilka razy powtarza symbole za jakimś imprezistą hiszpańskim. Niekiedy malują panegirzyści symbole według własnego pomysłu, np. Aleksander a Jesu maluje Stanisławowi Lubomirskiemu „Romulusa Jovi Feretrio łupy nieprzyjacielskie wieszającego z napisem: *Immolavi*“, a Olszewski Samuelowi Pacowi maluje na piramidzie chorągiew z litewską Pogonią, „bo cóż przyzwoitszego chorążemu jak chorągiew malować“, Władysławowi IV. maluje namiot wyborców, a nad nim napis: *Cor unum et anima una.*

Lorencowicz także lubuje się w symbolice, różni się tem od innych, że symboliczne znaczenie szerzej rozwija i stosuje do słuchaczy.

„Namalował jeden drzewo wielkie sosnowe tym kształtem, że na nie wielkie wiatry, wichry stąd i owąd wywarte pędem wielkim uderzywszy, na tą i na ową stronę obracają, a ona sosna się chwiejąc, na wszystkie strony nachylając skrzypi, szumy straszne czyni. Na wierzchu dał taką inskrypcyą: *Quid erit in*

[1] „Kaz. pogrz.“ 97.

pelago? co z nią będzie, gdy statek z niej urobiwszy, puszczą na burzliwe morze, pływać będzie po wierzchu niestatecznych wód, kędy wichry potężne między się wziąwszy, jako małą piłą dzieci, tam i sam rzucać będą". Podobnie człowiek, mówi kaznodzieja, jeśli się nie zahartuje w drobnych przykrościach, ugnie się i złamie w zawodach życia.

Niekiedy w symbolice przebija się alluzya do stosunków krajowych. „Widziałem niedawno obraz taki: Chciał wyrazić jeden królestwo nieporządne i do zguby swojej bieżące. Namalował górę wielką, a z niej na dół pędem ze wszystkiego skoku bieżą para koni, bez lejca, bez woźnice. Na wozie niemało ludzi rozmaitych, a młodych mianowicie się nasiadało, a oni nie myślą co się z niemi dzieje, jedni się swarzą, drudzy biją, trzeci dobrą myśl stroją. Jeden tylko abo drugi skoczywszy, wóz rozpędzony chcieli zatrzymać, ale nad nimi napisano: *Laudamus animos, sed irritus conatus*" [1].

Słabą stroną Lorencowicza jest brak silniejszego patosu. Kazania jego są raczej pouczające niż uczuciowe i przez to zbliżają się do homilij, a jeżeli gdzie przebija się uczucie, to tkliwe i rzewne, bez silnych wstrząśnień. Wymowa płynie spokojnie i rzadko wzbiera. Czasami tylko, gdy piętnuje wady narodowe, słychać w niej silniejsze oburzenie i gorycz satyry, przy tematach podniosłych nabiera siły i namaszczenia. Weźmy np. porównanie życia z morzem: „Jest człowiek jak morze wzburzone. Straszna bardzo pojrzeć na morze, kiedy się rozigra. Dopiero było ciche, równiusieńkie, aż w momencie nadmie się szkaradnie, pomiesza wszystko, fale powstaną, wały jedne za drugiemi bieżą jakby w pogonią się doganiając. Raz się podniosą aż do nieba nad Tatry i najwyższe góry, drugi raz spuszczą się, jakby do samego piekła przepadając. Okrętami i okrutnymi zamkami wodnymi, jak piłą dzieci ciskają po wodzie. Jedne wzgórę rzuci, drugie w przepaści pogrąży, huki, szumy czyniąc, jak z burzących dział, jakoby grożąc strasznie wszystkiej ziemi. Bieży z wałami, jak z uszykowanymi kornetami do brzegu, zda się, jakoby

[1] „Kaz. niedz." I, 57.

nietylko brzegi, ale i wszystek okrąg ziemie, z górami, skałami, miasty zalać, pochłonąć już już miało, aż ledwie brzegu dopędzi we mgnieniu wraz się rozbije. Obaczysz z onych gór srodze nadętych trochę jednej piany, którą lada wiatr po powietrzu rozwieje. *Posuit Deus arenam terminum mari.* Na wieki pochwalon bądź Boże nasz, wszechmocna siła Twoja co tą garstką piasku i ziemie uskramiasz tak zuchwały element z falami jego. Aleć niemniej pochwalenia godzien, kiedy poskramia człowieka i w nim wzburzone fale. Ni twoje oceany i morskie wały człowiek będzie, kiedy go wiatry pychy, ambicye opanują, gniew pomstą zapali, chciwość i łakomstwo porwą, abo tam inne passye nierządne w nim się zapalą. Jako to pohamować? Niech mu posypie Bóg piasku; ziemia, proch niech przed oczyma stanie, rzecze mu Bóg: *huc venies et amplius non procedes!* Jużeś doszedł kresu, te mogiły piasku, kopce to i granice twoje!“ [1]

„Pojrzyjcie na całe narody — mówi na innem miejscu — rodzaje, familie, domy, mijają jako procesye za sobą: wychodzą, ukazują się świetno, strojno, wielcy ludzie, sławni, z różnymi urzędy, wysokiemi tytułami, w koronach, infułach, z sceptrami, buławami, pieczęciami; drugie wchodzą, znikają, drugich ledwie co zajrzeć: własna procesya... jeno nie ma stacyi żadnych, ani na moment nie stanie, na kształt bystrych rzek, które idą do morza pędem, bez zatrzymania, ani na jeden punkcik czasu“ [2].

W kazaniach na pogrzebach żołnierzy wymowa się ożywia, nabiera werwy i zacięcia żołnierskiego, czuć w nich przytem współczucie z niedolą wojskowych. „Nie znajdziesz tam w żołnierskiem rzemieśle na moment czasu wolnego, chceli kto być doskonałym rycerzem, haru, haru, ustawicznie robić i pracować musi. Takim był i ten żołnierz, rycerz mężny, srogi jako niedźwiedzica, kiedy ją zabrawszy dzieci, podrażni i rozjuszy kto na pustyni. Tak i ten marcyalista od samego niemal dzieciństwa na rycerskiem rzemieśle chowany, od kilkudziesiąt lat z konia nie zsiadając, służył jak prędko jeno zdobyć się mógł na siłę, coby konia osieść, bronią władać i kopią złożyć na nieprzyja-

[1] „Kaz. pogrz.“ 131.
[2] „Kaz. pogrz.“ 136.

ciela mógł; był przykładem jaki ma być marcyalista, prawowierny uczeń Marsów a oraz Chrystusów"...[1].

Albo na innem miejscu: „Żołnierz przed niebezpieczeństwy nie ustępuje, ale ich sam dobrowolnie szuka i z własnej chęci bieży na nie. Śmierć następuje na nich, dybie na niegotowych, goni uciekających, porywa broniących się... Wszystko złe wytrzymać: na wczasiech, na swobodzie, na żywności, odzieży, mieszkaniu, wypocznieniu, zdrowiu, to profesya i twarda próba żołnierska. Koniec zaś, że weźmie wieniec z kwiecia abo liścia i koronę i tej się dobijając, przez miecz ma jej dostać. A jak mała to nagroda! Trochę wiatru sławy i od ludzi pochwały, która prędzej niż słabe kwiecie znika. Kęs chleba twardego na wystrzelane zęby, szpitalne opatrzenie na skaleczone nogi. Ale jak wielom i ten błahy wieniec z głowy spadnie, a co niemiara, którym go nie ukażą, samą służbą i garłowaniem kontentować się każą. Jak wielom przychodzi zadumać onę piosnkę żołnierską:

Boże, który masz na pieczy
Ludu rycerskiego rzeczy,
Chudy żołnierz prosi Ciebie
Zapłać mu tę nędzę w niebie" [2].

Z mów na pogrzebach młodzieży wieje jakieś ciepło; tkliwość i żal za przedwcześnie zmarłymi: „Każdać wprawdzie śmierć wszelakiego ludzi stanu żałosna jest; niemasz jednak żałośniejszej i częstszej nad śmierć ludzi młodych, skoro i w niedojrzałym wieku ze świata schodzących. Nader musi być żałosna patrzyć na człowieka, kiedy na kształt nowo rozwitego kwiatu, ledwie co kilkanaście lat w oczach ludzkich pokazawszy się, pięknemi z daru Bożego przymioty, jakoby wdzięcznemi farbami, wielkich czasu swojego owoców nadzieją swoich tylko rozłakomiwszy, przed czasem i nad prawa przyrodzone gwałtownie podcięty leży" [3].

Zmarłego młodzieńca przyrównywa do bluszczu nad głową Jonasza: „Piękna figura i wyobrażenie młodego człowieka, liściami

[1] „Kaz. pogrz." 35.
[2] „Kaz. pogrz." 47.
[3] „Kaz. pogrz." 105.

tylko, nie owocem się jeszcze popisującego. Nadzieję dać może wielkich niegdy pożytków, prędko się do góry wespnie, a prędzej jeszcze polęże. Prędko to zacne drzeweczko do góry się wzbiło, — mówi o zmarłym — i z wiela drzew choć starszych wyrównało. Liście szerokie już z siebie wydawało, a cień czynić mogło nadzieją, którą obiecywało. Chłodził się i cieszył spracowany na posługach ojczyzny, miły jego rodzic i spodziewał się ochłody, ale wola Boża nie dopuściła, a uschnąć mu kazała, w żalu Jonasza tego zostawiwszy“ [1].

Albo kazanie na pogrzebie Panięcia od Tatarów zabitego: „Tenże to tak tęskliwie od wszystkich pożądany powrót twój z wyprawy ukrainnej? To koniec odważnych kosztów twoich, do tego portu z wiernemi ojczyźnie usługami przypłynąłeś? Takąś odniósł nagrodę za mężne na sławę narodu twego prace, za zastawianie piersiami swemi wiary świętej i obronę? To rodzonej krwie twojej pociecha, z którą cię po bolesnem rozstaniu przywróconego wita?...

„Za nagrobek ci staną rycerskie obecnych i potomnych głosy, mężne twe serce, odwagę po chrześcijańskim i pogańskim świecie roznosząc. Za kolumnęć sama ojczyzna będzie, miłość twą przeciwko sobie, obronę, usługi wiecznemi po kronikach rozpisując czasy. Trumnę abo raczej skarbnicę uczyniąć z siebie uprzejmych przyjaciół serca. Naostatek wielkiej duszy twojej będziesz miał odpoczynkiem niebo i wieczną szczęśliwość“.

Przytoczyłem kilka przykładów stylu, bo pięknie odbijają od języka panegirzystów i świadczą o lepszym smaku Lorencowicza. W rozprawce całej cytatów może za wiele, ale dla poznania kaznodziei uważałem to za konieczne. Przywiodłem miejsca rażące i lepsze dla zestawienia i wyrobienia sądu.

Jakżeż więc ostatecznie przedstawia się wymowa Lorencowicza? Talent kaznodziejski posiadał, i gdyby był przemawiał w innych okolicznościach, stanąłby bez zaprzeczenia wyżej; ale i za to, że w czasie zepsutego smaku potrafił się zdobyć na lepszą swadę i ustrzedz się przynajmniej w części panujących

[1] „Kaz. pogrz.“ 121.

błędów, a przedewszystkiem za to, że widział jasno ujemne strony społeczeństwa polskiego i nie licząc się z wrażliwemi uszami słuchaczy, śmiało powstawał na szerzące się złe i starał się mu zaradzić, ile mu na to szczupły zakres kaznodziejski pozwalał — należy mu się uznanie i poczesniejsze miejsce między kaznodziejami okresu panegirycznego. Od Aleksandra a Jesu wytrawniejszy i bez porównania obfitszy — dorównywa Młodzianowskiemu w wymowie. Ma mniej ognia, siły uczucia i mniejszy talent jak Młodzianowski, ale za to rzadziej wykracza przeciw dobremu smakowi. Nie miał tak wybitnego talentu kaznodziejskiego, żeby ustrzedz się w zupełności panujących wad panegirzystów, ale ustrzegł się przynajmniej bombastu i napuszystości, przechował język stosunkowo dość czysty, nie zniżył się nigdy do schlebiania słuchaczom i dlatego jego kazania należą do najlepszych z drugiej połowy siedmnastego stulecia.

Józef Sas.

WELEHRADZKIE ZJAZDY.

W ostatnim tygodniu lipca otrzymałem krótkie ale stanowcze wezwanie następującej treści: „31 lipca i 1 sierpnia odbędzie się w Welehradzie na Morawii walne zgromadzenie Apostolstwa śś. Cyryla i Metodego; 1 i 2 sierpnia odbędzie się tamże pielgrzymka i akademia urządzona przez słuchaczów akademickich. Przybądź zatem koniecznie na te *slavnosti* nasze, dobry cel mając na względzie“. Pod listem podpisany był ks. Antoni Cyryl Stojan, proboszcz w Drażowicach, sekretarz Apostolstwa śś. Cyryla i Metodego.

Co to za „Apostolstwo“, co za akademicka pielgrzymka *na posvátny Velehrad*, jakiego rodzaju być mają owe *slavnosti*, na które sekretarz „Apostolstwa“ i, jak domyśleć się było nietrudno, główny organizator wszystkich tych uroczystości, tak energicznie zapraszał? Kilka drukowanych programów, parę broszurek do listu dołączonych odpowiadało choć w części na te pytania; wystarczało w każdym razie, aby wzbudzić aż nadto usprawiedliwione zainteresowanie się i pobudzić do postanowienia: „Nie wolno wezwaniu nie odpowiedzieć, należy do Welehradu pojechać“.

Istotnie, „Apostolstwo śś. Cyryla i Metodego“ tak ma wzniosłe i piękne cele, że najprostszym obowiązkiem każdego katolika Słowianina jest wedle sił i możności do urzeczywistnienia tych celów dopomagać. Powstało ono bardzo niedawno temu, przed dwoma zaledwie latami, aby w myśl papieskiej encykliki

Grande munus, jak czytamy w odezwie, ogłoszonej przez zarząd „Apostolstwa“ w różnych językach, między innemi i w polskim — „przyczyniać się do wzmocnienia świętej wiary wśród katolickich ludów słowiańskich, do rozwoju w ich łonie życia kościelnego, oraz do połączenia Słowian nie-katolików w jedność wiary, którego to połączenia rękojmię daje nam cześć wspólnie z nimi tym świętym Apostołom oddawana. Środkiem do tego celu jest modlitwa i jałmużna;... jedno i drugie dziać się ma w ścisłem porozumieniu z kościelnemi, przez Boga ustanowionemi władzami, z wyłączeniem wszelkich politycznych zamysłów... Apostolstwo śś. Cyryla i Metodego jako pobożne stowarzyszenie modlitwy nie jest nowością i miało już liczne wzory. Od lat wielu istnieje ‚Pobożne Stowarzyszenie śś. Cyryla i Metodego dla zjednoczenia z Kościołem katolickim Słowian schyzmatyckich‘, które założył w Styryi i Morawii książę biskup marburski Antoni Slomszek; jak również ‚Stowarzyszenie ku czci Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny, w celu pociągnięcia greko-rosyjskiego Kościoła do katolickiej jedności‘, utworzone pierwotnie w klasztorze Barnabitów w Paryżu... Apostolstwo śś. Cyryla i Metodego ma być nietylko apostolstwem modlitwy, ale za przykładem Stowarzyszenia św. Bonifacego w Niemczech, powinno się stać również gorliwem i czynnem Stowarzyszeniem misyjnem, a przez wspólną cześć Niepokalanej Boga-Rodzicy i świętych słowiańskich Apostołów spodziewa się wyjednać sobie powodzenie i obfite błogosławieństwo Boże“...

W statutach „Apostolstwa śś. Cyryla i Metodego pod opieką Najświętszej Maryi Panny“ [1] wyłożone są bliżej prawa i obowiązki członków. Oprócz pewnych krótkich modlitw, każdy członek składać ma miesięcznie najmniej jednego centa na cele Stowarzyszenia i wedle możności brać udział w dyecezalnych i powszechnych zgromadzeniach, mających popularyzować cele, przedsięwzięcia i wyniki Apostolstwa. Ponieważ statuta zatwierdzone zostały ministeryalnym dekretem dopiero

[1] Statut ten wyszedł również w polskim przekładzie w Krakowie, nakładem Stowarzyszenia, r. 1893.

w lipcu r. z., nie mogło się dotąd odbyć przewidziane niemi powszechne zgromadzenie; obrady pierwszego z rzędu rozpocząć się mają właśnie dziś wieczorem, 31 lipca, w „świętym Welehradzie“, do którego szybko mię niesie para pięknych, rosłych koni, wynajętych w najbliższej, o pół mili odległej kolejowej stacyi, „Węgierskiem Hradyszczu“ *(Uh. Hradiště; Ungarisch-Hradisch)*.

Welehradzki kościół i klasztor, ukryty w dolinie, nie wygląda z daleka imponująco. Przejeżdżamy małą wioskę, podobną do mnóstwa innych morawskich wsi-miasteczek, zdejmujemy kapelusz przed kaplicą św. Jana Nepomucena, dalej przed figurą Matki Boskiej, i otóż stanęliśmy już przed zabudowaniami klasztornemi. Teraz dopiero pokazuje się, jaki to ogrom; pokazuje się, że i dziś nie z tradycyi tylko, ale i z rzeczywistości ma prawo do nazwy wielkiego grodu. Po prawej stronie od wjazdu olbrzymia świątynia, największa na całej Morawii, a w której pomieścić się podobno może od ośmiu do dziesięciu tysięcy pobożnych. Dalej w podkowę ciągnie się klasztorny gmach, zamieszkały niegdyś przez Cystersów, zawiadowany następnie przez kapłanów świeckich, dziś, od lat trzech, zajęty przez Jezuitów. Właściwie nie gmach to, ale długi szereg gmachów, w których gubisz się i błąkasz, przechodząc z krużganku w krużganek, odnajdując coraz nowe dziedzińce, do nowych, nieznanych ci dotąd sal zaglądając, aż wreszcie zmęczony tą wędrówką, spoglądasz przez okno, aby zoryentować się, do którego punktu w tym labiryncie doszedłeś, i przekonywasz się ze zdziwieniem, że dotąd z prawego czy lewego skrzydła jeszcze się nie wydobyłeś, że jeszcze front, jeszcze całe przeciwległe skrzydło do zwiedzenia zostaje. Zresztą niema racyi zbyt sumiennie zwiedzać nieprzebytej tej fortecy. Pewną jej część stanowi właściwy klasztor; inna dla lokatorów odcięta; jak tu, tak tam podobne dziedzińce, sale i cele; jak tu, tak tam, po salach, po krużgankach mnóstwo łóżek, jeszcze większe mnóstwo materaców rozesłanych dla spodziewanych gości.

Wielu już ich przybyło, wielu księży, panów, pań zjeżdża się dopiero powozami i wózkami. Pod cieniem drzew, gęsto przed

kościołem rozsypanych, obraduje komitet Apostolstwa, zapisuje, wita przybywających, rozprowadza ich po przygotowanych kwaterach. W głębi, opierając się o frontowy budynek, wznosi się obszerna, pięknie a oryginalnie przyozdobiona trybuna dla komitetu i kilkudziesięciu znakomitszych gości; nad nią widne z daleka portrety Papieża i cesarza; z boku z desek sklecone podwyższenie dla chóru śpiewaków; przed główną trybuną paręset ławek w półkole ustawionych. Znać, że jak wielkie te gmachy, tak wszystko tu na wielkie rozmiary obmyślane, przygotowane.

Znajomości — za śmiało powiedziećby było: przyjaźnie — zawiązują się prędko; tyle mamy sobie wszyscy wzajemnie do powiedzenia, że choć polskie ucho nie może, w pierwszej zwłaszcza chwili, dokładnie ułowić i zrozumieć każdego czeskiego wyrazu, czeskie z mozołem za uchwyceniem polskich dźwięków pracuje; to przecież ożywiona gawędka o wspólnych naszych interesach, o naszych biedach, o czeskich walkach, o słowackich żalach toczy się nieprzerwanie dziś, jak toczyć się będzie jutro, pojutrze. Lekki, klasyczny „kapuśniaczek“ wtóruje mniej przyjemnie tym pogawędkom i wydłuża oblicza w posępny znak zapytania: „Jak to jutro będzie?“ Lecz po cóż martwić się przedwcześnie; i to dobrze, że deszcz nie leje jak z wiadra, tylko sączy się jak przez sito, że choć utrudnia, to nie uniemożliwia wiernego spełnienia dzisiejszego programu.

Szósta bije, więcej gości dziś nie przybędzie: przy komitetowym stole zwiększa się ruch, po całym rynku-dziedzińcu, po całym klasztorze rozlegają się głośne hasła; odzywają się poważne dzwony kościelne — a na ten znak wszystkiemi drzwiami, bramami, furtkami wysypują się gęste zastępy malowniczych strojów hanackich, wołoskich, arcy-niemalowniczych czarnych surdutów, zgrabnych czeskich czamarek, paryskich gorsetów i morawskich szpencerów — i płyną, płyną długą, niekończącą się rzeką ku stojącemu opodal na drodze krzyżowi czy figurze, od której rozpocząć się ma uroczysty pochód do budzącej tyle wspomnień, odświeżającej tyle najdroższych i najświętszych tradycyj w sercu każdego Słowianina-katolika, świątyni welehradzkiej. Z tysiąca ust rozlega się harmonijnie pieśń po-

witalna „morawskiego naszego, miłego Betleemu, gdzie się nam Pan objawił wszechmogący“:

Chwała twoja, święty nasz Syonie,
Po dalekim świecie zasłynęła,
Od ciebie ku nam zleciał promień złoty,
Z tobą ojczyzna żyła i zginęła [1].

Tak! słowiański to Syon, słowiańskie Betleem, stąd „promień złoty“, wiara chrześcijańska, zaszczepiona przez Cyryla i Metodego, rozeszła się po słowiańskich krajach; tu mieszkali i panowali dawni potężni morawscy książęta; tu Cyryl wystawił pierwszy na Morawii chrześcijański kościołek; tu umarł Metody, tu spoczęły święte jego zwłoki. A dziś gdzież są te święte szczątki? W r. 1881 sprowadzono z Rzymu relikwie św. Cyryla i złożono je z nadzwyczajną uroczystością w welehradzkim kościele; kiedyż dozwoli Bóg odszukać szczątki drugiego Apostoła Słowian, oddać jego kościom należną cześć? Pyta o to z silnych, majestatycznych w rzewne tony przechodząca pieśń:

Gdzież, ach! gdzież grób jest Metodowy?
Serce rwie się, żeśmy cię stracili!
Góry, doliny mówcie: która z was go chowa,
Gdzie ten pagórek, który przed nami go zakrywa? [2].

Procesya weszła do kościoła i wieńcem otoczyła ambonę, z której wita ją paru mowców, tłumacząc cele „Apostolstwa śś. Cyryla i Metodego“, zachęcając do jak najliczniejszego przystąpienia do Sakramentów śś. dla uproszenia od Boga błogosławieństwa w podjętej pracy. Nazajutrz, kiedy inne, świeżo przybyłe zastępy akademików i profesorów wypełniły świątynię, aby również modlitwą i pieśnią pobożną rozpocząć akademicki — właściwiej mówiąc — przez akademików zwołany

[1] Sláva tvoje, Sione náš svatý,
Po dalekém světě slynula,
S tebe proudil v národ pramen zlatý
S tebou žila vlast i hynula.

[2] Kde, ach! kde jsi, hrobko Methodova?
Stráta tvoje srdce prorývá;
Hory, doly rcete, kto ji chová,
Který pahrbek ji zakrýva.

wiec, odezwały się znowu od ołtarza podobne napomnienia, a odezwały się z niemniejszym skutkiem. — Jak dziś, tak jutro, późnym wieczorem, wczesnym rankiem, brzmią w kościele pobożne pieśni, mnóstwo pobożnych klęczało koło konfesyonałów; kto w tej chwili, nie wiedząc, co się święci, przyjechałby do Welehradu, ten z pewnością założyłby się bez wahania, że to jakiś odpust, jakaś wyłącznie kościelna *slavnost* ściągnęła tylu pielgrzymów. Nie! to nie odpust tylko, nie wyłącznie kościelno-religijna uroczystość; ale swoją drogą uroczystość to zarazem w najszkrupulatniejszem tego słowa znaczeniu, katolicka: wiec splata się w nierozerwalną całość z pewnego rodzaju odpustem, wiecownicy są jednocześnie pobożnymi pielgrzymami. Po długich wieczornych i rannych modlitwach, po przystąpieniu do Sakramentów śś., będą radzić, śpiewać, wznosić gromkie okrzyki na cześć swych słowiańsko-katolickich przywódców, gromkie: Hańba! wymierzone przeciw wrogom Kościoła, Słowiańszczyzny, cyrylsko-metodyjskich ideałów; — później znajdą się znowu wspólnie w kościele, kornie pochylą głowy przed błogosławiącym kapłanem i pieśnią na cześć słowiańskich Apostołów pożegnają „święty Welehrad". To ścisłe, najściślejsze złączenie pobożnej pielgrzymki z obydwoma wiecami wycisnęło na nich odrębną, bardzo charakterystyczną pieczęć; patrząc, jak dwa te żywioły zgodnie tutaj szły obok siebie, jak wzajemnie się przenikały, nasuwało się mimowoli natrętne pytanie: „Czy i gdzieindziej, czy i na innych katolickich zjazdach — zwłaszcza jeśli one mają być w pełnem słowa tego znaczeniu ludowe, wszystkie sfery i stany obejmujące — nie dobrzeby było pójść śladem wskazanym przez welehradzkie *slavnosti?*"

Ósma rano. Ostatnie dźwięki pobożnych pieśni, rozlegających się od czterech już blizko godzin, milkną w kościele, aby wnet zabrzmieć tem potężniej na kościelnym dziedzińcu. Rojno tu od kilkutysięcznego tłumu, skupionego koło trybuny, na której zasiedli dostojniejsi goście; cieszącego się i podającego sobie za szczęśliwą wróżbę, że niebo wczoraj czarne, zachmurzone, przybrało się dziś, jakby na przywitanie miłych gości, w naj-

piękniejsze swe lazurowe barwy. Czas już rozpocząć obrady; szepty milkną, wszyscy, niby na dany z góry znak, z miejsc swych się podnoszą, a z bocznej trybuny odzywają się proste, poważne, dziwnie jakoś do serca płynące tony „Hymnu świętego Wojciecha“:

Hospodine, pomiluj nás!
Jezu Kriste, ulituj nás!
Spasiteli všeho světa,
Spasiž nás i uslyšiž,
Hospodine, hlasy naše:
Dej nám všem, Hospodine,
Hojnost' a mir v naši zemi!
Kyrie, eleison!

Niełatwo streścić następujący długi szereg mów, wygłaszanych równie przez świeckich, jak duchownych uczestników zjazdu. Obracały się one głównie koło celów „Apostolstwa“ i konieczności rozszerzenia go po wszystkich ziemiach słowiańskich; koło świętych słowiańskich Apostołów: Cyryla i Metodego. Dawny welehradzki wikary, obecnie proboszcz w Żelechowicach, ks. Jan Vychodil, który mnóstwem wydanych przez siebie książek i broszurek niemało przyczynił się do zaznajomienia szerszych kół z Welehradem i jego pamiątkami, roztoczył wdzięczny obraz z dnia na dzień wzmagającej się znajomości i czci śś. Cyryla i Metodego po całej katolickiej Słowiańszczyźnie. O nas wspomniał krótko: „I Polacy mianują ich swymi Apostołami i cywilizatorami“; przeszedł kolejno różne inne słowiańskie szczepy, zacytował pisarzów, którzy specyalnie czci świętych Apostołów pióro swe poświęcili. Kilka serdecznych wierszów Lenartowicza, krótki ustęp z Sołowiewa wywołały burzę oklasków; ale oklaskom, entuzyazmowi nie było granic i końca, kiedy z mownicy padło w tłumy nazwisko Strossmayera. I później, ilekroć który z mowców potrącił choć najlżej i z daleka o Dyakowę, o dyakowskiego biskupa, rozlegały się natychmiast tysiączne oklaski, rozbrzmiewały entuzyastyczne okrzyki na cześć ulubionego, tu dopiero poznać było można, jak bardzo popularnego przywódcę południowych Słowian. Zresztą słuchacze nie żałowali wogóle rąk swych na oklaski, piersi na głośne:

Slava!, czy to kiedy prezes „Apostolstwa“, dr. Schneider, wykładał, dlaczego pobożny ten słowiański związek oddał się pod szczególną opiekę N. Panny; czy kiedy młody, pochodzący z Morawii, pracujący dla Czechów i Polaków misyonarz w Ameryce północnej, tłumaczył pół po czesku, pół po polsku, na jakie niebezpieczeństwa wiara w dalekich tych krajach jest narażona, ale zarazem jak katolicy mężnie, energicznie, głównie za pomocą mnóstwa bractw, związków i zjednoczeń, o religię się zastawiają; czy wreszcie kiedy sekretarz „Apostolstwa“, energiczny ks. Stojan, wezwał obecne gęste zastępy chłopców i dziewczynek, aby teraz już uroczyście obiecały, że później, gdy podrosną, będą wiernie pracować dla „Apostolstwa śś. Cyryla i Metodego“, będą wedle sił propagować i szerzyć „cyrylsko-metodyjską“ ideę. Miło było słuchać tych głośnych zapewnień, płynących z ust setek dzieci, ustawionych tuż obok głównej trybuny; niejednemu i od rzewnego wzruszenia ciężko było się obronić.

A jak Polakowi obronić się było od wzruszenia, kiedy nagle, po skończeniu jednej mowy, rozległy się dobrze znane dźwięki: „Boże, coś Polskę“? Wielu powstało, wielu pozdejmowało kapelusze; bliżsi cisnęli się do obecnego Polaka, aby go serdecznie za rękę uścisnąć.

Rano na klasztornym dziedzińcu odbywał się prawdziwy i w ścisłem słowa znaczeniu wiec ludowy; wieczorem w klasztornym refektarzu, rozpoczynał swe obrady, które przeciągnąć się miały przez cały dzień następny, katolicko-akademicki kongres. Śmiało powiedzieć można: akademicki, bo zjechało się nań około 500 akademików, przeważnie oczywiście czeskich i morawskich; między tą liczbą około 140 teologów, reszta reprezentowała wszystkie możliwe wydziały: filozoficzny, prawniczy, medyczny. Obok akademików, obok licznie zebranych księży, kupiło się znowu z 500 przedstawicieli wszelkiego rodzaju i nazwy t. zw. inteligencyi, tj. mężczyzn w czarnych surdutach lub czamarach, mniej więcej wykształconych, mniej więcej z patentami szkolnemi. Arystokracya słabo, gorzej niż słabbyła przedstawiona: reprezentował ją jeden, jedyny hr. Karol

Seilern, wybrany z wielkim aplauzem honorowym prezesem kongresu. Honorowym tylko, bo hr. Seilern, choć szczerze ze Słowianami sympatyzuje, wyraaż się z niejaką trudnością do czesku, a stąd właściwe prowadzenie obrad zdać musiał w ręce wiceprezesa — przypominającego niejednym rysem niezmordowanego organizatora katolickiego wiecu w Krakowie — również niezmordowanego, tryskającego humorem, pełnego energii księdza Stojana.

Wieczorne zebranie poświęcone było niemal wyłącznie powitalnym przemowom. Zazwyczaj nudna to dość i monotonna ceremonia, z którą każdy radby jak najkróciej i jak najprędzej się rozprawić; tu wyjątkowo nie nużyła ani na chwilę, bo też każdy czuł, że różne te *pozdravy* nie są tylko czczą ceremonią, lecz stanowią istotną część kongresu, dającą sposobność do wypowiedzenia wielu ważnych myśli, serdecznych uczuć, które gdzieindziej i skądinąd nie miałyby możności z poza zasłony milczenia się wychylić. Pierwszy — jak nie z wieku wprawdzie, ale z urzędu mu się to należało — powitał gości z innych słowiańskich dzielnic i podziękował, że tak licznie na wezwanie się stawili, młody prezes ołomunieckiej *Literárni jednoti*, kleryk Sušilovsky.

„Sława, — wołał, a wołaniu jego wtórzyli energicznie zebrani — sława najbliższym sąsiadom naszym, braciom Słowakom z Tatr drogich! Sława Polakom; całem sercem witamy ich: ‚Kochajmy się!' Sława Słoweńcom, Rusinom, Chorwatom, Łużyczanom w progach naszych, w Welehradzie naszym starodawnym, wspólnej kolebce naszych dziejów, naszej wiary! Znajduje się tu w kościele obraz śś. Cyryla i Metodego, wymalowany i ofiarowany przez sławnego polskiego mistrza Matejkę, a na ramach tego obrazu wyhaftowana złotemi literami dedykacya: ‚Słowianom'. Tak i my to nasze zebranie ofiarujemy, poświęcamy: Słowianom! — Raz jeszcze witajcie, sława Wam, bracia katolicy-Słowianie!"

Po teologu wstąpił na mownicę medyk, dziękując imieniem świeckich fakultetów za zaproszenie na piękną tę uroczystość: „Teolodzy, medycy, czy prawnicy, wspólnie idziemy do jednego

celu; te same przyświecają nam ideały; słuszna więc, abyśmy się wspólnie gromadzili i wspólnie wzmacniali ducha w dawnej siedzibie słowiańskich Apostołów".

„Dzięki Bogu, — rozwijał dalej piękną tę myśl następny mowca, poważany, wpływowy obywatel z Uherskiego Brodu — dzięki Bogu, świat lepszy dziś, niż niejednemu na pierwszy rzut oka się zdaje, a jeśli o dowód pytacie, to najlepszym dowodem ta nasza święta pielgrzymka do Welehradu, to nasze tutaj tak wspaniałe zgromadzenie. Zaczynamy widać rozumieć, dlaczego stworzeni jesteśmy, jaki nasz cel; jak wszystko, i najdroższego nawet owego skarbu: narodowości, nie wyjmując, jest i ma być tylko środkiem do tego najwyższego celu. Dążmy tylko do niego; bądźmy tylko dobrymi synami Kościoła, a będziemy i dobrymi patryotami; bo zawsze i wszędzie prawdziwy katolik, prawdziwym, najlepszym jest patryotą".

Młody Górnołużyczanin przyniósł pozdrowienie od duchowego przywódcy Łużyczan, od równie niemal znanego i popularnego na Słowaczyźnie, jak Strossmayer, najznakomitszego obrońcy, powiedziećby prawie można, wskrzesiciela języka i narodowości Łużyczan: księdza Michała Hórnika[1]. Słoweniec w ognistych słowach, z porywającą wymową zaręczał: „Kto Słoweniec, ten wszystko dać gotów za wiarę i ojczyznę; kto Słoweniec prawdziwy, ten tem samem gorący katolik, szczery patryota". Krótko przemówili Chorwat i Rusin, zaznaczając jedność myśli i pragnień z wszystkimi katolickimi Słowianami. Amerykański misyonarz witał od swych parafian: Słowaków i Polaków. Nieopisane wrażenie wywarły palące jak ogień wyrazy znanego w świecie słowiańskim historyka-Słowaka, wyrzuconego przez rząd węgierski z profesorskiej katedry, księdza Franciszka Wiktora Sasinka:

„Jaka to radość, że ten Słowak biedny, co w domu braci nie ma, ma wszędzie braci tam, gdzie dźwięczy język słowiański... Nie! niech mówią co chcą i niech robią co chcą: naród

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z maja 1888: „Obrońca języka i narodowości Łużyczan", przez S. Matusiaka.

nie umiera! Przyszliśmy tu na grób Apostołów słowiańskich — i z grobu czerpiemy życie!“

„Tak jest, — nawiązywał Polak swe powitanie do ostatnich tych wyrazów — i my z grobów Świętych naszych czerpiemy życie. Mamy w Krakowie święte szczątki: Stanisława, w Wilnie: Kazimierza, w dalekim Połocku: Boboli; na tych grobach rośnie i dla nas kwiat nadziei, nadziei dla biednego naszego kraju, dla ciężko prześladowanej w nim religii“.

Niepodobna kusić się o opisanie uroczystego nastroju, jaki w czasie przemówień tych panował; o zarejestrowanie grzmiących, niekończących się, wbrew wszelkim usiłowaniom przewodniczącego, to S l a v a! to znowu H a ń b a!, które towarzyszyły wybitniejszym, bardziej do wyobraźni, do przekonania trafiającym ustępom. Szkoda, szkoda niemała, że więcej Polaków tu nie było; przekonaliby się, jak bardzo Słowianie katoliccy bóle nasze i żale odczuć są zdolni; a jeśli może nie odczuwają i za mało współczują, to dlatego tylko, że niestety! niewiele, często nic o nich nie wiedzą; z Polakami mają wogóle nad wyraz niewiele styczności, a natomiast wiele mają styczności z ludźmi i pismami, które korzystnie ku nam uprzedzić ich nie mogą. Widocznem to było na samym zjeździe. Przy pierwszych słowach polskiego mowcy objawiało się na twarzach obecnych bardzo wyraźnie rysujące się zapytanie: „Co on nam powie? Z jakiemi zarzutami wystąpi? Jaką filipikę wytnie na temat panslawizmu, wojny z Rosyą, naturalnej hegemonii Polski nad resztą Słowiańszczyzny?“ Później ów znak zapytania przeszedł w wyraz zdziwienia: „Jakto, więc to nieprawda, co tyle razy słyszeliśmy i czytali, że Polacy dla innych Słowian zupełnie serca nie mają; że gdzie Polak zobaczy dwóch Słowian ze sobą rozmawiających, tam panslawizm wietrzy?!“ I jeszcze za chwilę, parę po prostu opowiedzianych faktów, sucho — z najnowszej doby — zacytowanych rozporządzeń, wywołało serdeczne, niczem niehamowane oznaki współczucia, oburzenia. Lody pękły. Kiedy w kilkanaście godzin później ten sam Polak ukazał się znowu na mownicy, to przyjęto go teraz ostentacyjnemi oklaskami; kiedy zwrócił się z prośbą do obecnych, a za ich pośrednictwem

i do nieobecnych, aby wiadomości o Polsce czerpali nietylko ze źródeł rosyjskich, a choćby francuskich i niemieckich, ale także i z polskich, jak tego przecież dobrze zrozumiana „wzajemność słowiańska“ koniecznie się domaga — natenczas zatrzęsła się sala od oklasków, prezes dzwonić musiał, aby położyć koniec gromkim okrzykom: „Kochajmy się!“

Tak! „Kochajmy się!“ ale na seryo, stale i czynnie, a nie przy pewnych tylko rzadkich uroczystościach; kochać się będziemy, jeśli gruntowniej i dokładniej poznamy wzajemne swe potrzeby i bóle. Niemiło to zapewne Słowianom słuchać gorzkich skarg na największy obszar, najsilniej w historyi świata dziś ważący kraj słowiański; ale trudna rada! jeśli kto, to katoliccy Słowianie nie powinni sobie oczu dobrowolnie zamykać, lecz znać, i to znać dobrze właściwy stan rzeczy, aby wiedzieli, skąd i czego mogą się sami spodziewać. Cyrylsko-metodyjska myśl, przez Leona XIII. opatrznościowo do życia wskrzeszona, zwyciężyć może, i da Bóg! zwycięży, ale jak każda myśl Boża, jedynie orężem prawdy; bo prawda tylko oswobadza, jej tylko ostateczna wygrana obiecana i zapewniona.

I znowu entuzyastyczne okrzyki bez końca we wszystkich słowiańskich językach były najlepszym dowodem, jak słowa te trafiają do serc i przekonań; okazywały, jaką w katolickiej Słowiańszczyźnie odegraćbyśmy mogli rolę ważną; jak dzieje nasze i losy staćby się mogły potężnem ostrzeżeniem i nauką dla braci-Słowian, gdyby mieli sposobność częściej i bliżej losom tym się przypatrzyć; gdybyśmy z nimi, oni z nami w bliższych, serdeczniejszych żyli stosunkach!

Przywitalne, pożegnalne przemowy gości, z różnych stron Słowiańszczyzny przybyłych, powinny były być wedle programu tylko ramami, w których mieściłyby się z góry przez akademików, profesorów, historyków z zawodu przygotowane odczyty i referaty; w praktyce okazało się, że ramy większą od obrazu miały wagę i żywszy budziły interes. Rzecz prosta, przemowy te dotykały spraw najaktualniejszych, kwestyj najbardziej piekących; akademickie rozprawy mniej uwagę przykuwały, mniej wy-

obraźnię i serce za sobą porywały, właśnie dlatego, że jak z założenia, tak z przeprowadzenia były „akademickiemi“. A przecież swoją drogą były to referaty ważne, piękne, wybornie opracowane, nieraz i wybornie wygłoszone. Młody kleryk z Berna odczytał ściśle teologiczną rozprawę: „Pismo św. a wiedza“. Kleryk z Ołomuńca, rodowity Polak, zachęcał po polsku do czci śś. Cyryla i Metodego. Czeski prawnik, w narodowej czamarze, poświęcił kilka bardzo gruntownych, nawskróś chrześcijańskim duchem przenikniętych uwag modnemu, szerzącemu się gwałtownie w królestwie św. Wacława socyalizmowi. Słuchacz wydziału filozoficznego, nie wiem już, na której wszechnicy, opowiadał bardzo niewesołe szczegóły o stanie kilku morawskich archiwów; błagał zwłaszcza obecnych księży, aby pilnowali parafialnych, mniejszych czy większych archiwów, jak źrenicy w oku; aby strzegli pilnie każdej znajdującej się po kościołach, po kaplicach pamiątki, a na poparcie swej prośby cytował rezolucye świeżo przyjęte przez katolicki kongres w Krakowie. Dr. Schneider zdawał i tutaj znowu sprawę o Apostolstwie śś. Cyryla i Metodego; ktoś inny zaznajamiał zebranych z dotychczasowym wynikiem poszukiwań przedsięwziętych za grobem św. Metodego; dwóch obecnych redaktorów skorzystało ze sposobności, aby pisma swe polecić uwadze i życzliwości obecnych; uczony profesor z Przerowa, dr. Náběl ek, wywodził obszernie, jaki wpływ wywiera filozofia na życie ludzkie. Długi to i nudny spis przemów, referatów, jak wogóle każdy spis; zaręczam, że słuchając ich, nikomu się nie dłużyło ani nie nudziło.

Czemuż tych dni parę tak prędko uleciało? Czemu koniec już welehradzkim *slavnostiom*, wznawiającym mimowoli pamięć dawnych chrześcijańskich agap? Czemu wciskają się znowu do ucha tak same w sobie miłe, teraz tęskne, bo pożegnalne dźwięki:

Hospodine, pomiluj nás!
Jezu Kriste, ulituj nás!

Trudno! — czas już, czas! — Czas na pociąg do Hradyszcza; czas, pokrzepiwszy się na duchu, wrócić do codziennych obowiązków, by w swym zakresie pracować praktycznie,

jak i gdzie Bóg da, nad wprowadzeniem w życie cyrylsko-metodyjskiej myśli.

„A na przyszły rok — słyszę wołania poza sobą — przyprowadźże nam więcej Polaków na nasz zjazd słowiański, katolicki!“

Dobrze, że wóz z miejsca już ruszył; nie potrzebuję odpowiadać, jak tylko ukłonem, uśmiechem.

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z poezyj i rymów.

Borys. Baśń starosłowiańska. Przez *T. I. z za Buga.* Wydał Feliks Wesołowski. Kraków 1893.

Borys, syn księcia Dacyi, uprowadzony po podbiciu swej ojczyzny przez Trajana, dostaje się w darze Flawii, wdowie po Domicyanie, kobiecie wyższego umysłu, wykształconej filozoficznie. Flawia należy do kobiet, których

> ... serca chciałyby szczerze
> Przed jakiemś drogiem bóstwem palić się w ofierze;
> Ale nic nie znajdując coby kochać warto,
> Są niemą złotą lutnią, pustą białą kartą —
> Bo nigdy nie spotkały tak mistrzowskiej ręki,
> By tę kartę zapisać i wydobyć dźwięki
> Potrafiła z tej lutni. Lutnia w sen zaklęta
> Przecież o utajonej swej sile pamięta,
> Śniąc o tem, że mogłaby pod artysty ręką
> Zabrzmieć wspaniałym hymnem lub śliczną piosenką,
> Ale sen to ułudny — niejasny i mglisty,
> Bo choć są złote struny, lecz niema artysty...

Znudziły ją „tryumfy, dymy hołdów“, chciała kraj kochać, ale Roma potężna, szczęśliwa, nie potrzebowała poświęceń, miłości; w bogów Olimpu wierzyć nie mogła, zajęcie się filozofią przyniosło jej zwątpienie i jest teraz

> chwiejnem widmem, bez wyjścia, bez celu.

Trajan prosi ją o rękę, ona się waha, prosi o zwłokę, każe mu przyjść za miesiąc po odpowiedź. Ten miesiąc wystarczył, aby Flawia stała się chrześcijanką za przykładem swej sługi Zoe i aby w chrześcijaństwie znalazła odpowiedź na swe zapytanie, ukojenie i zaspokojenie swego zwątpienia; ten miesiąc wystarczył, aby pokochała Borysa, swego niewolnika, w którym chrześcijaństwo kazało widzieć jej brata, sobie równego, a rozum człowieka wyższego nad tych, którzy ją dotychczas otaczali. Mają się połączyć, Flawia gotowa porzucić Rzym, dostatki, pójść za ukochanym do chaty dackiej, Borys gotów przyjąć chrześcijaństwo, ale rozbija się wszystko o najważniejsze prawo nowej wiary: przebaczenie wrogom. Borys Rzymowi klęsk swej ojczyzny, krwi braci, hańby niewiast dackich przebaczyć nie może. Udarowany wolnością wraca do ojczyzny, Flawia wyznawszy Trajanowi, przychodzącemu po odpowiedź, że jest chrześcijanką, ginie rozszarpana przez dzikie zwierzęta. W Dacyi młody wódz wszczyna po powrocie wojnę z Rzymianami. Walczy zacięcie, szarpie wrogów, gdzie i jak może, ale naród usiłowań jego należycie nie wspiera, młódź ginie, a starsi naglą do wychodźtwa z kraju. Grzebią zmarłych, poległych w ostatniej bitwie, składają ofiary bogom. Borys im jednak nie chce ofiarować żadnego daru: oni ojczyznę odstąpili, przeszli, jak wielu z narodu, na stronę nieprzyjaciół, bluźni bogom i pluje na nie. Wówczas matka jego dla ich przebłagania zabija się. Borys prowadzi naród za Karpaty. Na granicy Dacyi jednak żegna się z nim; ojczyzny swej nie porzuci, w niej chce złożyć swe kości. Wraca, rzuca się sam na oddział Rzymian i w walce z nim ginie. Pali go na stosie guślarz razem z żoną „Rzepką“, która męża przeżyć nie chciała.

Rzepka, wychowana razem z Borysem, po powrocie jego z niewoli przybrana za żonę, pielęgnuje męża, rozwesela, opatruje rany, nie zazdrości tej, która się w życie jego wplotła „tęsknem marzeniem, niby płonnem kwieciem“.

Oto krótka i bardzo sucha treść tej „Baśni“, którą odczytaliśmy z wielką przyjemnością. Pisana wierszem trzynastozgłoskowym, wierszem dobrym, świadczącym o wielkiej wprawie rymotwórczej, odkrywa nam autora o znacznym talencie, gorącem uczuciu, poważnym nastroju. Naturalnie, nie szukać w niej wiernego obrazu tej odległej przeszłości. Studyów autor nad nią nie przedsiębrał i tego mu za złe bardzo nie bierzemy, bo tytuł go od badań poważnych uwolnił. Dał nam w „Baśni“ rzecz śliczną, ładnie obrobioną, pod względem psychologicznym wierną. Jest w niej tendencya i to w dosyć znacznej mierze, są wycieczki

przeciw czasom teraźniejszym, nawet najnowszym, ale wcale zręcznie w tok opowiadania wplecione i skutkiem tego niezbyt rażące. Są w niej ustępy pełne siły, prawdziwego natchnienia, postaci niewiele, ale narysowanych doskonale, począwszy od epizodycznych, jak Trajan, Rzepka, matka Borysa, a skończywszy na bohaterach: Flawii, a szczególnie Borysie, w którego duszy jedno tylko uczucie: miłość ojczyzny, miłość namiętna, gwałtowna, poświęcająca wszystko i wszystkich, nie znająca układów z wrogiem, gardząca bogami, bo dobrej sprawie nie pomogli, pytająca, dlaczego „Bóg pokoju", „Bóg dobroci" pozwala, aby krew niewinnych płynęła. Dopiero w ostatniej chwili swego życia rozumie Borys plany Boga; konając, odzywa się do zjawiającego się ducha Flawii:

Ha! ty mówisz, że przemoc — to ostre narzędzie
Co z piersi ciemiężonych czystej krwi dobędzie
Na kąpiel wzmacniającą — i że w tej kąpieli
Duch narodu ze wszystkich plam się swych wybieli?...
Ty mówisz, że ciemiężca — to nóż ogrodniczy,
Który drzewo oczyszcza?... Że gdy twój Bóg zliczy
Owoce drzew — i widzi, że dobrych za mało,
Pozwala krzesać drzewo, by lepsze dawało?...
I ty mówisz, że kiedyś zgoi się ta rana,
Katowskim nożem skroni matczynej zadana —
I że zostanie po niej bohaterska blizna,
Od której wypięknieje cudownie Ojczyzna?...
Więc twój Bóg wie co robi?... Wie gdzie ziarno padnie,
Co zrodzi — jaki wzrośnie kwiat w przepaści na dnie?...

O rozumiem! o, widzę!... jak jasno!... jak pięknie!...
W piersi mej cisza... pokój... serce moje mięknie!...
I kocha... i przebacza!...

Kończy się „Baśń" pięknemi słowy:

Krzepmyż ducha! strzeżmy wiary, obyczajów, mowy,
By nas cienie ich poznały. gdy spadną okowy.
Krzepmyż ducha! stójmy pracą i żywotną siłą,
Bo to tylko zmartwychwstanie — co pod głazem żyło.
Bracia! dnieje! pora w drogę! do pracy! do pracy!
Jeszcze Dacya nie zginęła, póki żyją Dacy!...

Hiero. Pierwiosnki poetyczne. Warszawa 1890.

Kto to pisał? Odgadnąć trudno, ale chyba nie młody, nie wychowaniec naszych czasów, chyba te pierwiosnki — to zasuszone kwiatki, wyciągnięte z zapylonego zielnika, w którym bez szkody dla nas mogły były pozostać. Złośliwy mógłby się swą złośliwością przy ocenie tego zbiorku popisać. My poprzestaniemy na kilku przytoczeniach, bo chęć

wyśmiewania opuszcza nas, gdy widzimy poczciwy zamiar, szczere uczucie, skromność wielką, która chyba długo walczyć musiała z chęcią „być drukowanym".

Jak powiedzieliśmy, myśli w tym zbiorku najpoczciwsze, chęci najlepsze, nie brak nawet poetycznej wrażliwości. Autor należy do tych natur, z któremi nieraz się w życiu spotykamy: wrażliwy, skromny, chłonie poezyę, jaką ma w sobie przyroda, ludzie, odczuwa ją, widzi ją nieraz tam nawet, gdzie bystrzejsze oko spostrzega wcale niepoetyczne pobudki — ale cóż z tego, brak zręczności w obrobieniu obranego przedmiotu. Weźmie rzecz poważną, zrobi ją śmieszną, chwyci się wzniosłego, a staje mu się ono karykaturą. Czytając, żal nam się robi człowieka, bo podobnie jak recenzent z temi wierszami, obejdzie się z nim samym życie, ten bezwzględny krytyk wszelkiej poezyi, choćby najprawdziwszej, największej.

Rymuje Hiero, jak rymowano w początkach XVI. wieku, jak rymował ś. p. Rej; poczucie rytmiczne zawodzi go bardzo często, kłóci się z gramatyką, a nieraz ze zdrowym sensem. Poezya jego przypomina poetyczne utwory, rozczytanych w romantykach młodych gimnazyastów.

Na dowód prawdziwości naszych twierdzeń, przytaczamy:

Czem jest serce?

Serce bywa wulkanem, co rozpaczy lawą bucha,
Gdy zawody, cierpienia — pokarm, który daje życie;
Lawa ta pali szczęście, unicestwia siłę ducha,
Niszczy przyszłe nadzieje, burzy bytność w jej rozkwicie.
Czasem jednak wybuchy wstrzyma wulkan w sercu skryty,
Czasem zaświeci słońce — wśród pustyni wzrasta trawa,
Czyżby trawa nadziei?... O! zwodniczy blask, błękity,
Wkrótce wybuch się wznowi, bo w kraterze na dnie — lawa.

Rymów nieco. *Czesław Jankowski.* Kraków 1892.

Ta co iść przodem od wieków przywykła,
U czoła z wieńcem gwiazd, w klasycznej szacie,
Z oczu nam w zmierzchu bogów dawno znikła
I niepowrotnej daremnie szukacie;
Ale kto głos jej słyszy i rozumie,
I kogo szata zwierzchnia nie omami,
Ten ją dziś jeszcze w szarym dojrzy tłumie,
Wie, gdzie Poezya gości między nami.
(Poezya).

Ta, co przodowała wiekom, zniknęła, jej kapłani wymarli, ci co przychodząc na świat widzieli ją rozpływającą się w górze w świetlanej

aureoli, co pierwszym wysiłkiem płuc zachwycili jeszcze powietrza, którem mistrzowie oddychali, darzą nas skąpo drobnostkami, lub umilkli zupełnie. Nasze pokolenie patrzy w dwie przeciwne sobie strony, snuje z odmiennej przędzy; najmłodsi tego pokolenia chłoną w siebie z upragnieniem powiewy, płynące z dalekiego Zachodu, z Francyi, Belgii, przejmują się nietylko formą, przyswoić się sobie starają nietylko technikę obcych mistrzów, lecz lubują się także w tematach, przez tamtych poruszanych. Przedmiotem tej najnowszej poezyi są uczucia ogólnoludzkie, budzące się w każdej duszy skutkiem pewnego zbiegu wypadków, zawarunkowane danemi, wywołanemi właściwościami indywidualnemi i tylko indywidualnemi przedstawionego charakteru. Człowiek ich piórem rysowany może być równie dobrze Francuzem, jak Polakiem lub Skandynawczykiem, byleby był wykwitem nowoczesnej cywilizacyi, byleby pokosztował zatrutych jej owoców, byleby walką wewnętrzną poszarpał sobie nerwy, osłabił wolę...

Z ciekawością śledzi się ten nowy kierunek i pyta, na czem skończy, co z niego powstanie, dokąd dojdzie? Bo wszak to dopiero początek! U nas przedstawicieli tego kierunku, nazwanego symbolizmem, dotychczas bardzo mało. Będzie ich więcej, bo to nowa moda, a jako taka, ofiary swoje mieć musi. A co ciekawsze, jeżeli to tylko tak nazwać się godzi, że kierunek ten w inny sposób się u nas objawia i przyjmuje, niż dotychczas się działo w Polsce, ile razy Zachód obdarzał nas nowemi regułami sztuki. Braliśmy zawsze formę i oblekaliśmy nią nasze, narodowe postacie, pojęcia, których korzenie tkwiły gdzieś głęboko w organizmie narodowym. Teraz spostrzega się, że — nie powiedzmy za wiele — nasze ideały narodowe coraz mniej wywołują natchnień, że czci się naszą przeszłość, ale się do niej nie zapala, zdaje się, jakby zmalała w naszych oczach, że chyba jedynie przyroda ojczystego kraju nie utraciła dla nas wszystkich swych uroków. Cóż tego powodem, czy gonienie za oryginalnością, czy pewien kosmopolityzm w pojęciach, ogarniający swemi skrzydłami Europę, pomimo całego szowinizmu narodowościowego, objawiającego się w polityce? A może, może i analityczne nasze zdolności, rozwijane w nas przedwcześnie. Rozpisaliśmy się zbyt szeroko o tem, co właściwie do omawianej rzeczy nie należy, ale przedmiot ten raz poruszony, zmusza do zastanowienia. Tym najmłodszym przeciwstawiamy starszych, do naszego pokolenia jednak należących, w których przecież wpływu nowego kierunku nie znać, którzy się jemu albo świadomie oparli, albo w ich duszy i sercu nie znalazł się grunt podatny pod nowe ziarno. Ci widzą poezyę w „sza-

rym tłumie", widzą ją najwyraźniej, „gdziebądź się baczniej wzrok zagłębi w życie". I ci nie wywołują przed oczy nasze wielkich postaci, wielkich chwil, nie dają nam rozległych obrazów, nie przeprowadzają przed nami w tryumfalnym, błyszczącym pochodzie całych pokoleń, szerokich horyzontów objąć nie mogą. Nie mają potemu sił, ręka ich za słaba, wzrok za krótki, postać przygarbiona wyprostować się nie może, ani obfitości farb na ich palecie, ani umiejętności ich mieszania. Życie ciężkie, życie zarobnika gniecie ich i dusi, a w duszy niema świętego ognia, który się przynosi ze sobą na świat, który zdolen jest spalić wszystkie jady tej ziemi, który daje zapomnienie trosk, ożywia, ogrzewa... Brak sił, brak ducha Bożego w całej jego potędze, nie brak jego cząstki, brak wielkich pomysłów, nie brak drobnych, i oto poezya szarego tłumu, powszednich zdarzeń, smutnych i wesołych chwil życia.

Do takich należy Czesław Jankowski, którego „Rymów nieco" leży przed nami. Z niektóremi z tych „Rymów" spotykaliśmy się na kartach czasopism, niektóre z nich są naszymi dawnymi, dobrymi znajomymi, bo uskrzydlone muzyką kołysały nas nieraz do marzeń („Wędrowny grajek", „Piosnka o piosence" i t. d.). Największe wrażenie wywołują wiersze: „Święto", „Ojciec", „Jesienią", z „Arabesek" pieśń I. i III., bo tryska z nich prawdziwa poezya: poeta chwile, w których je pisał, może zaliczyć do najszczęśliwszych swej twórczości.

Oprócz powyżej wymienionych pieśni złożyły się na ten zbiorek rzeczy słabsze, jak te wszystkie Ballady i Balladiny, jak wierszyki humorystyczne, którym jednak pod względem formy, panowania nad językiem nic zarzucić nie można. Na końcu książeczki znajdujemy kilka przekładów, o których sądu, nie mając oryginału pod ręką, nie wydajemy. Czesław Jankowski jest poetą lirycznym, o żywej, chociaż nie bardzo lotnej wyobraźni, forma jego wierszy rozmaita, a zawsze doskonała, język, chociaż nie bogaty i nie obfitujący w figury, zawsze poprawny.

Dr. A. M. Kurpiel.

Przejażdżki po Wołyniu. Obrazki z przeszłości i teraźniejszości. Napisał *X.* Lwów. Z drukarni Władysława Łozińskiego. 1893. (II. 91).

W kilku listach właściciel Mizocza opisał główne miejsca historyczne na Wołyniu: Krzemieniec, Poczajów, Dubno i kilka mniejszych miasteczek i wsi, w których świetniejsza doba dziejów Polski zostawiła

po sobie cenne pamiątki. Swobodny tok pogadanki zapoznaje czytelnika ze stosunkami wołyńskiemi, z życiem towarzyskiem i obecnym stanem ekonomicznym. Niejedna anegdotka urozmaica opis pięknego kraju, a często wzmianka o jego kolejach w wiekach ubiegłych odkrywa przed okiem czytelnika mniej może znaną kartę z księgi dziejowej.

Czytelnik, ciekawy poznać każdą dzielnicę naszej ojczyzny, przyjemnie odbędzie z autorem przejażdżkę po Wołyniu i nie zechce złośliwie zwracać uwagi na niektóre błędy językowe albo na wyrazy użyte mniej należycie. Do błędów trzeba zaliczyć zwrot na str. 19: „jadąc powoli lasem, ukazały się nam pierwsze domki"; podobnie na str. 39: „wyjechawszy na pierwsze wzgórze za Werbą, cały ten tak obszerny krajobraz stanął nam przed oczyma". Do wyrazów niezwykłym sposobem użytych należy wyraz „samochcąc", który u autora znaczy „chcąc niechcąc"; tak na str. 6: „musieli samochcąc się temu poddać, choć być może z początku nie bardzo chętnie".

Podobno także nic nie stracilibyśmy, gdybyśmy nie widzieli szeroko opisanej od str. 25 do 29 hulaszczej pijatyki, chociaż autor dba o to, żeby pamięć o tej przygodzie nie zginęła dlatego, że z jej powodu założył kilka wsi starosta kaniowski, który, jak znów niepoprawnie wyraził się autor na str. 20: „przeszedł z katolicyzmu na obrządek unicki".

Drobne te zarzuty niechaj nikogo nie odstręczają od przeczytania pracy tej pięknej, pożytecznej i ciekawej.

K. C.

Z dziejów odkrycia Ameryki. Opowiadanie historyczne. Przez *C. Falkenhorsta*. Przekład z niemieckiego. Z 16 rysunkami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

W pięknym i czystym języku polskim wyszedł przekład książki niemieckiej, która może zająć uwagę czytelnika, mimo niektórych ustępów rozwlekłych, prostodusznych, przeplecionych niepotrzebnemi dyalogami.

Książkę składają trzy luźne urywki. W pierwszym opis Kolumba wypadł dość słabo: możnaby z niego wnosić, że odkrywca Nowego świata nie miał bardzo silnego charakteru ani nie umiał dać sobie rady z odniesionemi zdobyczami; możnaby wątpić, czy Kolumbowi bardzo leżało na sercu dobro chrześcijaństwa. W drugim dziale przedstawia się Kortez jako geniusz, jako człowiek bynajmniej nie okrutny; niemal

jako prawdziwy apostoł Meksyku. Trzeci urywek maluje chciwych złota okrutników, jak Pizarro i jego następcy w Peru.

Mimo niektórych bajecznych szczegółów, książka ta może pouczyć o dziejach odkrycia Ameryki i naprowadza na wniosek, że gdyby z Kolumbem nie Pizarro i zgraja jemu podobnych obieżyświatów stanęli pierwsi za Atlantykiem, tylko prawdziwi katolicy i misyonarze, to wyprawy ich przyniosłyby pożytek tysiąckroć większy i trwalszy; amerykańscy tubylcy doszliby szybko nietylko do zewnętrznej ogłady, ale i do przejęcia się chrześcijańskiemi zasadami.

K. C.

Wiarusy. Powieść w trzech tomach. Przez *Wacława Masłowskiego.* Lwów. Nakładem *Przeglądu.* 1893.

Kiedy „Wiarusy" wychodziły w fejletonach lwowskiego *Przeglądu,* zdarzyło mi się niejednokrotnie spotkać z prawdziwie entuzyastycznemi pochwałami powieści tej „zaciekawiającej i wzruszającej — po prostu znakomitej"; jej stylu jędrnego, przepysznego obrazowania. Jeden z najgorętszych wielbicieli tak się raz nawet zapalił, że bez ceremonii postawił „Wiarusów" o całe niebo wyżej i od „Potopu", i od „Wołodyjowskiego"; ba! o włos, że „Ogniem i mieczem" również nie padło ofiarą tego niczem niepowstrzymanego entuzyazmu. Za śmiały to zapewne i nieco zanadto ryzykowny zapęd; ale pochwały te, choćby bardzo przesadzone, są przecież dobrą wskazówką, jak dalece „Wiarusy" trafić umiały do społeczeństwa, jak — nie już kilkunastu, czy kilkudziesięciu wybranych, ale szerokie masy czytelników zdołały poruszyć; są tem samem dowodem, że powieść to, która ma już swe znaczenie, w przyszłości, przynajmniej najbliższej, z pewnością go nie utraci; że zatem rachować się z nią potrzeba.

Tło powieści samo już z siebie barwne i zajmujące: dagestańskie góry, skały i lasy, rojące się od czerkieskich plemion, toczących zacięte walki z dawnym, potężnym a chytrym wrogiem: z „Urusami", jak po dziś dzień Rosyan tam nazywają. Heroiczne to boje; występują w nich mężni, jakby z homerowskich jakichś czasów do życia przywołani rycerze; męstwo bez granic, ulisesowska przebiegłość, to znów dzikie okrucieństwo i łącząca się z niem czarna zdrada szerokie mają przed sobą pole do wielkich, do pamiętnych, do strasznych czynów. Między walczącymi, powiedziećby można, ponad nimi, znajduje się garstka twardym losem tu zagnanych polskich wiarusów; dziwne ich dzieje, romantyczne przygody, bohaterskie walki stanowią właściwą treść opo-

wiadania. Różni zeszli się tu ludzie, rycerze i awanturnicy, a każdy z nich przedstawia w sobie jakby wcieloną jakąś narodową cnotę lub wadę. Jest mężny, roztropny Dzik, wódz lechickiej gromadki; milczący, nie cofający się przed niczem, z charakterem jak z granitu; wyjątkowy to człowiek wszędzie, a u nas tem bardziej. Jest, temperamentem do ogółu Polaków bardziej zbliżony, rycerski pan Władysław, znany szeroko w Dagestanie pod nazwą Ass-bułata (Radość oczu), właściwy bohater powieści, który przez trzy tomy goni za swą Anulką przez ogień i wody, ponosi za nią więzienie, po tysiąc razy na śmierć się naraża, aż wreszcie szczęśliwie ją dogania. Obok sympatyczny litewski Tatar Bakłanowski, wzdychający do nadobnej Tyry; na dalszym planie stary wachmistrz Dauksza, kapłan i żołnierz ksiądz Brzeziński; a jeszcze dalej kilku warchołów, których niestety! nigdy w obozach naszych nie brakło; kilku praktycznych zwolenników starego *liberum veto* i garść gawiedzi, co słucha i idzie ślepo za tymi, którzy najgłośniej krzyczą.

Jakie ci rycerze toczyli boje, jakie ci krzykacze wyprawiali burdy, i jak starym zwyczajem rwali się do rokoszów i konfederacyj, jak wszyscy główniejsi bohaterowie wpadali raz po raz w objęcia śmierci i cudownie z nich wyrywali się — za długo byłoby to opowiadać, za długo w najzwięźlejszem nawet streszczeniu wyliczać dziwne przygody, niespodziewane awantury, i bardziej jeszcze — jeśli możliwa — niespodziewane zmiany losu, który w dzikiej, prawdziwie czerkieskiej gonitwie po Dagestanie, wciąż wyprawia szalone harce. Czy tych awantur, tych nadzwyczajnych przygód trochę nawet nie za wiele; czy nie za gęsto i nie za często niechybna zagłada już, już grozi i Władysławowi i Anulce i Dzikowi i wszystkim z kolei wiarusom; czy nie za dużo zostawiono miejsca cudowi czy przypadkowi? Najgorętsi wielbiciele „Wiarusów“ zaprzeczają stanowczo i z oburzeniem tym insynuacyom; mniej gorący, w pewnej przynajmniej części uznają ich słuszność. Czego i najgorętsi zaprzeczyć nie mogą, to że niektóre charaktery, epizody, pewne zwroty i wyrażenia przypominają do złudzenia podobne typy i zwroty z paru zbyt powszechnie znanych powieści, tak, że trudno aby podobieństwo to — choć ani wątpimy, że mimowolne — przejść mogło niepostrzeżone. Chasaga nasunąć musi na myśl koncepty Zagłoby; ucieczka z Anulką, oblężenie Kargułu, wysadzenie w powietrze Kamiennego Pnia, odświeżają mimowoli w pamięci bardzo zbliżone sceny z Sienkiewiczowskiej trylogii. Nawet język, czasem nawet szyk słów i zdań kaukazkich wojaków, jakby wykształcony na ulubionych wyrażeniach i zwrotach Skrzetuskich, Wołodyjowskich, Zagłobów...

A jednak choć to podobieństwo w ucho i w oko ci wpada; choć rozsądek zimny ostrzega: trochę za wiele tu awantur, za wiele dziwów i cudów; choć czasami masz ochotę ramionami wstrząsnąć i powiedzieć: „Ależ to już niemożliwe“, choć czasami powiesz to sobie nawet—książki jednak nie zamykasz, kartkę po kartce z pewną gorączkowością wzrokiem przebiegasz i nie spoczniesz, aż do ostatniej kartki przebiegniesz. Interes wciąż rośnie, a cieniowane lekko postacie bohaterów i nikczemników coraz wyraźniej się zarysowują; cudna kaukazka natura, mieniąca się w tysiącznych barwach pod poetycznem piórem powieściopisarza, ciągnie ku sobie i wiąże; ani się spostrzegasz jak i kiedy, zaczynasz współczuć z losami Władysława, Anulki, Bakłanowskiego, zaczynasz niemal gniewać się na pisarza, kiedy sympatycznym „wiarusom“ borykać się każe z coraz nowemi, i zawsze zdaje się, że już nieprzezwyciężonemi trudnościami. Wielki to tryumf dla powieściopisarza, który nie pisze przecież dla kilku krytyków, bawiących czy nudzących wciąż siebie i innych refleksyą i wyszukiwaniem prawdziwych i nieprawdziwych wad, ale dla szerokiego koła czytelników. A dla szerokiego tego koła „Wiarusy“ są i spodziewamy się, że będą na długie lata jedną z najchętniej czytanych, a jednocześnie najpoczciwszych, prawdziwie pouczających, krzepiących ducha powieści.

Ks. J. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Apologie des Christenthums vom Standpunkte der Sitte und Cultur. Durch *Fr. Albert Maria Weiss O. Pr.* IV. Band. Zweite Auflage. Sociale Frage und sociale Ordnung oder Institutionen der Gesellschaftslehre. In zwei Theilen. (XXIV, 1026). Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1892.

W zastępach obrońców chrześcijaństwa trudno znaleść umysł, któryby w różnych zakresach z równem szczęściem tropił prawdę i w jej obronie każdą bronią mógł władać. Ale dzieło ks. Weissa zdradza niezwykle bystry umysł i pisarza, zdolnego nie jednym tylko odłamem prawdy bogacić umysł czytelnika, ale ze wszystkich prawie stron zbierać jej skarby.

W poprzednich trzech tomach[1] zaglądał ks. Weiss w dziedziny

[1] Por. recenzye poprzednich tomów tego dzieła w *Przegl. Pow.* t. XXXI, wrzesień 1891 r., str. 412 — i t. XXXVII, luty 1893 r., str. 289.

filozofii, literatury i przyrodoznawstwa, żeby na każdem polu podnieść rękawicę rzucaną chrześcijaństwu, i zwycięsko wychodzić z walki. W czwartym tomie zajął stanowisko socyologa, i przedstawia potrzebę powrotu do chrześcijaństwa, jeżeli społeczeństwo ma znaleść odpowiedź na kwestyę socyalną.

Zaczyna autor książkę od uwagi, że osoby wpływowe nie wglądają w źródło kwestyi socyalnej i stoją nad chorem społeczeństwem z dwuwypukłem szkłem przed okiem, żeby szczegółowo oglądać każdy drobiazg w chorobliwych objawach, a kiedy ostremi środkami z wierzchu zaopatrzą rany, zadowolnieni nie myślą już o korzeniu raka, który godzi na życie chorego, choć niewidzialny na zewnątrz. Źródłem socyalizmu jest brak chrześcijańskiego ducha: tego dowieść zamierza autor swoją pracą.

W pierwszym rozdziale widzi czytelnik, jak zachodnia Europa, wypchnięta z równowagi chrześcijańskiej przez samowolę rządów wszechwładnych, z tej ostateczności znowu popadła w ostateczność bezrządu za czasów krwawego przewrotu we Francyi, sto lat temu; stąd przeskoczyła napowrót chrześcijański środek i doszła do wszechwładzy państwa mniej skrajnej, niż za pierwszym razem, bo umiarkowanej wolnomyślnemi zasadami; w niej także zaczyna braknąć równowagi temu wahadłu: znowu wraca na drugą stronę wolności chrześcijańskiej i dolatuje do socyalizmu, już dla chrześcijaństwa może niekoniecznie wrogiego w tym stopniu, jak była wielka rewolucya. Jeżeli ten ruch wahadłowy wygląda jakby słabł, gdzież ustanie?

Na to pytanie autor zaczyna odpowiedź w rozdziale drugim, w którym rozbiera prawa równowagi społecznej w chrześcijańskim ustroju, w którym mimo stosunków zwierzchnictwa i poddaństwa panuje wolność nie naruszona swawolą ani niewolą, przy różnicy stanów zachodzi równość wzajemnej czci, bez pogardy dla niższych, bez zazdrości dla wyższych, w braterskiej zgodzie żyją członkowie wielkiej rodziny, do której wchodzi najprzód ojciec, a potem jego synowie, wszyscy bracia, ale jedni starsi, drudzy młodsi.

Do tej równowagi potrzebuje społeczeństwo pojęcia o prawie, opartego ostatecznie na Bogu. Jeżeli w głębi pojęcia o prawie niema rdzenia teistycznego, wtenczas darmo mówi bezwyznaniowy filozof, że prawo jest sądem zdrowego rozsądku, który chwali sprawy zgodne z rozumną istotą człowieka, gani postępki przeciwne. Jeżeli to określenie wyklucza myśl o Bogu, nie wyraża nic stałego, bo Istota Boska stanowi ostateczną przyczynę, dla której ludzka przyroda w istocie swojej nie

ulega zmianom i stąd jej wiecznie odpowiadać muszą niektóre sprawy, inne nie mogą godzić się z nią, dlatego wiecznie istnieć musi konieczna różnica między dobrem a złem. Tego pojęcia o prawie, opartego na Bogu, nie stawiali sobie za prawidło przy układzie księgi ustaw samowolni wszechwładcy: dlatego rządzą podwładnych prawem własnej zachcianki. Nie miała tego pojęcia rewolucya, kiedy paliła kadzidło przed człowiekiem: dlatego nie krępowała jego chuci żadną ustawą. Wolnomyślne rządy pchają do tego Europę, pchną Amerykę, do czego doprowadziła Azyę wszechwładza satrapów, że, jak mówi Herbert, na nic, zgoła na nic nie może odwoływać się niczyje sumienie wbrew ustawie zatwierdzonej przez państwo. Więc kiedy sejmy zmieniają nieraz całą istotę ustaw, czy prawo, podległe takim zmianom, zdoła ludzkie stosunki doprowadzić do stałej równowagi? Nie mogą doprowadzić człowieka do równowagi ze samym sobą, odpowiada autor w trzecim rozdziale, a w następnych pokazuje, że bez chrześcijańskiego pojęcia prawa brakuje równowagi w rodzinie, w państwie i w stosunkach międzynarodowych.

Przy rozbiorze osobistych potrzeb człowieka, którym duch chrześcijański przywraca równowagę, autor głównie zwraca uwagę na potrzebę wyrobionego charakteru. Choć panteista twierdzi, że człowiek nie dąży do osobistego szczęścia, mimo to cały świat nie wyznaje panteizmu i każdy człowiek szuka własnemi czynami drogi do szczęścia osobnego dla siebie i pojmuje je jako jedno z dwojga, albo po epikurejsku, jako zbiór dóbr doczesnych, głównie przez władze zmysłowe używanych, bez żadnego hamulca innego, prócz względu na zdrowie, albo po chrześcijańsku, jako stan zaopatrzony w dostatek dóbr wszelakich, głównie przez władze umysłowe zbieranych po drodze do Boga.

Jeżeli każda władza nad sobą samym ma nosić nazwę charakteru, to i epikurejczyk powinien posiadać charakter, bo powinien hamować niewczesne porywy żądz, chociaż nie po to, żeby bez skazy postępować drogą do nieba, przynajmniej po to, żeby dłużej i skuteczniej sobie dogadzać. Oczywiście taka moc charakteru ostatecznie nie posiada władzy nad popędami, tylko przemyślnie je pielęgnuje i zachowuje od przedwczesnej zguby; epikurejczyk służy swoim zachciankom jak niewolnik, strzeże ich, jak więzień strzeże nory ciasnej ale wygodnej: więc panuje sam nad sobą tylko pozornie, prawdziwego charakteru nie ma.

Gdzie pod samowolnym mocarzem karłowacieje duch podwładnych, tam niema co w nich szukać charakteru: służalstwo zabija chara-

kter. W przeciwieństwie do czasów absolutyzmu, liberalny duch czasu szuka chluby w tem, że wyrabia ludzi z charakterem. Pewnie wobec całkowitego braku charakteru coś znaczy przynajmniej charakter pozorny; a tylko pozory bez treści wychodzą na jaw w charakterze wolnomyślnym, kiedy ten stanie do miary z chrześcijańskim charakterem.

Pod wpływem dowolnie obranych poglądów i systematów, pod wpływem zmiennych ustaw i wszelkich zamętów w dziedzinie myśli ludzkiej, wolno zmieniać liberałowi poglądy. Chrześcijański pogląd na całe życie zależy od wiary w słowo Prawdy niezawodnej. Wolnomyślny bohater liczy na zasób własnych sił, który jest skończony, więc zawsze zagrożony niemocą do czynów coraz trudniejszych. Chrześcijanin nie wyczerpie potęgi Boga, w którym pokłada nadzieję: stąd posiada świadomość siebie, którą autor nazywa *Selbstgefühl*, to poczucie na pozór dumne, a w istocie zupełnie słuszne, która każe chrześcijaninowi cenić pomoc Boską i stawać do czynów godnych uczestnika w Boskiej potędze. Kto tak ciasno pojął szczęście, jak bezwyznaniowy liberał, ten poza światem nie widzi nic, a poza sobą tylko źródła rozkoszy: więc zdoła doznać miłości tylko do siebie samego zwróconej; kochać się sam w drugich umie: poza tą miłością nie można liczyć na jego uczucia. Kto tak szeroko pojął szczęście, jak chrześcijanin, ten sam nie wystarcza sobie: o sobie nie pamięta na widok bliźniego w niedoli; nieszczęśliwego kocha, choć to obcy, choćby nawet nieprzyjaciel, choć milczy przyrodzone prawo uczucia. Nieugięta wola wydaje wtenczas chrześcijaninowi stanowcze rozkazy, zaprowadza w jego czyny nadprzyrodzony porządek, nakłada na niego jarzmo dobrowolne, radzi ustępować napastnikowi z drogi, bez uwagi na to, czy przez to wyrośnie na bohatera, czy na tchórza w oczach krótkowidzów; nakoniec powtarza, że lepiej dawać, aniżeli brać.

Skądżeż mają przychodzić na świat takie charaktery? Na to pytanie autor odpowiada czwartym rozdziałem, w którym rozbiera obowiązki rodziny, jej potrzeby i prawa i pokazuje cichą pracę chrześcijańskich rodziców nad rozwojem umysłu i serca w dzieciach: stąd wychodzą na świat obywatele dzielnie zaprawieni do czynów, na jakie nie stać wolnomyślny charakter. Głębokie poglądy, rozwinięte w czwartym rozdziale, prowadzą autora do wniosków słusznych i ważnych, ale nie stanowią głównego wątku jego dzieła, tylko torują drogę do rozdziału piątego, w którym czytelnik znajduje najważniejszą myśl całego dzieła: widzi obecne powikłanie stosunków, wywołujące dzisiejszą

kwestyę socyalną, i poznaje, że trzeba tylko, aby charakter chrześcijański przystąpił do ułożenia tych stosunków, a załatwi się cała kwestya pomyślnie.

W kwestyi socyalnej słychać skargę na właścicieli fabryk za to, że najprzód odebrali zarobek ręcznemu przemysłowi, a potem, kiedy rzemieślnik, rozżalony na nich, musiał rzucić własny warsztat, żeby ich maszynę obsługiwać, zatrzymują na swój dochód część jego zarobku. Stąd wnoszą socyaliści, że robotnicy powinni wywłaszczyć właścicieli machin, zabrać je na wspólną własność i przez to zabezpieczyć swój zarobek przed jego podrywem przez wielkich przemysłowców i zapobiedz niesprawiedliwemu podziałowi zysku z wyrobów na dochód właściciela i zarobek robotnika.

Socyalistyczna skarga na podryw zarobku przez maszyny milczy o wpływie wolnomyślnych zasad na stosunek właściciela machiny do rzemieślników, chociaż właśnie tym zasadom, a nie machinie samej, zawdzięcza rzemieślnik zgubne skutki z podrywu zarobku i w następstwie brak środków do życia. Jak liberał, tak samo sumienny chrześcijanin korzysta z wolności zarobkowania po to, żeby zabezpieczyć dobrobyt dla siebie i rodziny, i w tym względzie pełni ścisły obowiązek. Dlatego obaj według sprawiedliwości mają prawo fabrykę zakładać i prowadzić, choćby ubocznie przewidywali, że to narazi drobnych przemysłowców na utratę zarobku. Ale z drugiej strony miłość bliźniego wymaga, żeby dobroczynnością właściciel machiny nagradzał wedle możności cudzą szkodę, choć mimowolnie zadaną. Dlatego charakter chrześcijański, jak występuje zawsze z zasadą, że lepiej dawać, aniżeli brać, tak nie za łaskę ze swojej strony uważa, jeżeli otwiera rękę bliźniemu, którego pozbawił środków do życia, ale widzi w tem ścisły obowiązek miłości, czasem nawet ciężki; chociaż wobec ścisłej sprawiedliwości nie cięży żaden dług na bogactwie zebranem przez podryw cudzego zarobku. Wskutek tej miłości, wolność zarobkowania w chrześcijańskiem społeczeństwie nie wyda roboczej warstwy na łup właściciela machiny, i machina przyniesie pożytek, do jakiego przeznaczył ją wynalazca: tj. będzie narzędziem rozwoju przemysłu i postępu dobrobytu, uwolni robotnika od części mechanicznej pracy, przyspieszy jego powrót na spoczynek przy domowem ognisku, odda rodzinie ojca, a rozumnemu człowiekowi swobodną chwilę do pracy umysłowej. Gdzie nadprzyrodzona miłość nie przemawia do sumienia, tylko zimny głos ludzkiej ustawy rozstrzyga o tem, co cnota i czyn prawy i szlachetny, co postępek karygodny i zagrożony pozwem przed

kratki sądowe: tam prąd wolnomyślnych zasad uspakaja właścicieli machin, że w walce o byt nie mają obowiązku oszczędzać współzawodnika, a ostatecznie nie ich zdzierstwo mnoży liczbę nędzarzy, tylko złe obyczaje rozpowszechnione w niższych stanach. Takie to zasady zrobiły machinę posiewem nędzy, wywołującej kwestyę socyalną. Więc żeby zatamować źródło tych następstw, nie potrzebuje socyolog żądać zaboru machin na wspólną własność robotników, ani nie może podnosić skargi na podryw zarobku przez machiny bez wzmianki o właściwym winowajcy: o wolnomyślnym duchu, który przeszkadza chrześcijaństwu równoważyć stosunki przez rozkład ciężarów na wszystkie warstwy społeczne i przez wpływ miłości, z jaką majętni służą pieniądzmi ubóstwu, któremu zawdzięczają pomoc przy robocie, a niezamożni pracą służą bogactwu, któremu zawdzięczają dobrobyt. W tym duchu wzajemnej służby z miłości, potrzebuje tylko społeczeństwo chrześcijańskie ułożyć stosunki, a usunie powód do skarg na podryw zarobku.

Druga skarga socyalistów, na niesprawiedliwy podział zysku z wyrobu pomiędzy właściciela machiny a robotnika, wyrosła głównie z nasion, rzuconych przez naukę Adama Smitha, że praca stanowi jedyne źródło wydajności bogactw i pierwotną, najogólniejszą miarę cen wszelakich. Z tej nauki wniósł Ricardo zasadę, że bogactwo i praca wzajemnie czyhają na siebie, nietylko przypadkiem i przez osobistą chciwość zdzierców, ale z natury rzeczy stanowią dwa sprzeczne z sobą czynniki, że dochód właściciela i zarobek robotnika mają zawsze przeciwne interesa: im wyższy dochód, tem mniejsza korzyść z pracy, i odwrotnie.

Żeby streścić odprawę, którą daje autor tym poglądom socyalistycznym, można ją przedstawić na tle uchwytnych liczb, które ułatwią pogląd na sprawę zawiłą a ważną.

Bryła żelaza za 1 złr. służy w przemyśle do wyrobów o coraz wyższych cenach: przerobiona na podkowy, wynosi prawie 3 złr., na naczynia 45 złr., na igły 75 złr., na nożyki 700 złr., na drobiazgi zbytkowe 2000 złr., na sprężynki do zegarków od dziesięciu do dwudziestu tysięcy złr.: więc żelazo w postaci tego wyrobu posiada cenę kilkadziesiąt razy wyższą, aniżeli bryła złota, tego samego ciężaru, nieużyta na żaden wyrób.

Taki znaczny postęp cen żelaza może służyć pozornie socyalistom za dowód, że tu występuje na jaw wpływ roboty, która coraz więcej podnosi cenę samego żelaza: więc im bardziej wzrasta sprawiedliwa zapłata robotnika, tem mniej znaczy współudział właściciela z po-

wodu jego wkładu żelaza do przedsiębiorstwa. Jeśli teraz w tym przykładzie, zamiast żelaza podstawimy srebro lub złoto (zmieniwszy odpowiednio i wyroby z niego), okaże się dochód brutto niezmiernie większy, choć praca robotnika nie przyniesie mu w tej samej mierze powiększonego zarobku. Więc im większy jest całkowity zysk właściciela kruszcu, tem mniejsza część tegoż zysku dostanie się robotnikowi. Dlatego mniema Ricardo, że im wyższy dochód właściciela, tem mniejsza korzyść robotnika, i odwrotnie.

Na to staje do odpowiedzi ks. W. z zasadą, że dochód właściciela stanowi taką część ogólnego zysku ze sprzedaży wyrobu, jaką część wartości wyrobowi właściciel przyczynił przez swój udział w jego wytworze. Tę zasadę można tak przedstawić liczbami przy wyrobach z żelaza:

Cena podków wynosi prawie 3 złr., a żelazo do nich użyte miało pierwotnej ceny 1 złr. Więc zysk ze sprzedaży podków dosięga 2 złr. Ten zysk trzeba podzielić pomiędzy właściciela żelaza i kowala w stosunku ich udziału przy wyrobie podków. Udział właściciela wynosił cenę żelaza, tj. wkład kruszcu; czyli, 1 złr. stanowi udział właściciela: więc właściciel włożył w podkowy trzecią część ich ceny: stąd trzecia część zysku wypada na jego dochód, to znaczy trzecia część dwóch złr.: więc 67 centów. Zostaje 123 centów na zarobek kowala.

Dalej w wyrób naczyń włożył właściciel tę samą ilość żelaza, a wyrób doszedł do ceny 45 złr. Więc właściciel czterdziestą piątą część ceny wyrobu włożył w jego wytwór. Zysk ze sprzedaży naczyń daje 44 złr.: stąd dla właściciela wypada czterdziesta piąta część czterdziestu czterech złr., to znaczy 97 i $^{7}/_{9}$ centa. Ze współki z wykonawcą igieł ma siedmdziesiątą piątą część zysku 74 złr.: więc 98 i $^{2}/_{3}$ centa. Ze współki z nożownikiem ma siedmsetną część 699 złr.: tj. 99 i $^{6}/_{7}$ centa. Z wyrobów zbytkowych ma $^{1}/_{2000}$ część 1999 złr. $=$99 i $^{19}/_{20}$ centa: więc bez pięciu centów ma dochodu sto od sta. Ze sprężynek do zegarka może mieć $^{1}/_{20000}$ część 19999 złr. $=$ 99 i $^{199}/_{200}$ ct.: więc bez pół centa ma sto od sta.

Te liczby pokazują dobitnie, jak ze wzrostem cen przerabianego żelaza rośnie dochód właściciela, a przytem coraz większe ilości wypadają na zarobek robotnika: z podków ma 123 ct., z naczyń 44 złr. 2 i $^{2}/_{9}$ ct., z igieł 73 złr. 1 i $^{1}/_{3}$ ct., z nożów 698 złr. i $^{1}/_{7}$ ct., z drobiazgów zbytkowych ma 1998 złr. i $^{1}/_{20}$ ct., ze sprężynek 19998 złr. i $^{1}/_{200}$ ct. Mylnie więc twierdzi Ricardo, że im wyższy dochód, tem mniejsza korzyść z pracy, i odwrotnie. Tylko to prawda, że im większa

część zysku wypada na dochód właściciela, tem mniejsza jego część zostaje na zarobek robotnika, i naodwrót: to znaczy, że dochód właściciela i robotnika porównane ze sobą jako części zysku, stoją w odwrotnym stosunku; ale każda z tych ilości, uważana w sobie samej, bez względu na drugą, rośnie przy coraz droższym wyrobie.

Więc z istoty przedsiębiorstwa bogactwo i praca stanowią dwa zgodne z sobą czynniki. Właściciel wchodzi w spółkę z robotnikiem na obopólny pożytek, i ostatecznie, im wyższy zysk z wyrobu, tem większy dochód jednego i drugiego.

Stąd wnosi autor, że socyolog ma żądać sprawiedliwego podziału zysku pomiędzy bogactwo i pracę w stosunku do ich udziału przy wytworze wyrobu, a nie potrzebuje wywłaszczać właścicieli na korzyść robotników. Ta rada socyalistyczna nawet nie przyniesie żadnej przez się zdobyczy dla robotników, bo jeżeli dzisiaj właściciel z ich krzywdą zatrzymuje dla siebie część ich zarobku, to i w socyalistycznym ustroju zdołają tego samego dokazać urzędnicy czy nadzorcy, czy ktokolwiek dostanie do rąk ich wypłatę. Zmiana osób, które oddają robotnikom ich część zysku z wyrobów, nie zaradzi zdzierstwu póty, póki robotnik zależy od niesumiennych ludzi. Na to, zdaniem księdza W., powinny już dzisiaj baczyć rządy, czy według sprawiedliwej zasady obliczają przedsiębiorcy udziały wspólników, a ustanie powód do skarg.

Tem surowiej mają rządy potępiać obrót pieniędzy i zyski zbierane z niektórych rodzajów gry na giełdzie, obliczonej na żniwo dochodów bez siejby pracy, bez wkładu bogactwa w żadne przedsiębiorstwo, obmyślanej tak podstępnie, że mimo równych na pozór praw i nadziei każdego gracza, w istocie chyba przypadkiem uczciwy gracz wygrywa, jeżeli staje do gry z małą stawką, a prawidłowo wkładka kilku albo kilkunastu tysięcy przepada na korzyść wkładek krociowych, dla których już z góry sama istota gry zapewnia wygraną.

W zakresie władzy ustawodawczej leży naprawa stosunków, które przy przedsiębiorstwach wzbogacają właścicieli z krzywdą robotnika, a na giełdzie wydają ubóstwo na łup bogactwa. Mimo to, tej naprawy nie można oczekiwać po rządzie bezwyznaniowym, bo ten nie szuka w odwiecznym zakonie Boskim prawidła sprawiedliwości, podług którego mógłby rozsądzić sprawę między właścicielem a robotnikim, albo między szczęśliwym graczem na giełdzie a pastwą jego przewagi pieniężnej. Rząd bezwyznaniowy musi zależeć od ludzkich poglądów i brać wskazówki od ekonomistów, którzy umieją z przyborem głębokiej nauki nadać pozory prawdy zgubnym dla społeczeństwa zasadom. Jedni z pomię-

dzy nich pozwalają bogactwu zabierać choćby prawie cały zysk z wyrobu, jeżeli znajdą robotnika zadawalniającego się najmniejszą zapłatą, byle miał okruszynę chleba; drudzy podżegają robotnika do zaboru wszystkich bogactw właściciela, który powinien także stanąć do roboty, jeżeli chce utrzymać życie. Nie brak także mędrków, którzy umieją ubrać w pozory uczciwego zysku dochody z gry na giełdzie. W zamęcie pojęć nie zdołają rządy rozwikłać węzła, zaciągniętego nad ubogą warstwą społeczeństwa przez myślicieli nawet poważnych, jak np. Ricardo, ale narażonych na błąd, póki odwracają oczy od pochodni wiary: dlatego dzisiejsze państwo bezwyznaniowe musi socyalistów przywoływać do porządku z nabitą bronią w ręku, choć nie wie, jak długo jeszcze robocze warstwy dostarczą podatków na zakupno broni i wyrób naboi.

Tem mniej da radę rząd na podryw zarobku, póki wolnomyślnym zasadom pozwala bezkarnie uwalniać sumienia od nadprzyrodzonego obowiązku miłości bliźniego. Dlatego socyolog, kiedy zbada źródło, z którego płyną skargi socyalistów, musi żądać, żeby charakter społeczeństwa chrześcijański przystąpił do układu tych stosunków, a równowaga nastanie bez żadnych przewrotów.

Tę radę podaje autor nietylko jako lepszą od wykrzykników i haseł socyalistycznych, ale jako jedyną, bo tylko tą drogą może dojść społeczeństwo do równowagi przy różnicy stanów i majątków, którą autor uważa za konieczną. Owszem, autor stanowczo stawia pełną doniosłych następstw zasadę, że sam Pan Bóg ustanowił jakąś miarę i wzajemny stosunek między bogactwem a ubóstwem. Opiera tę zasadę na nauce objawionej w starym zakonie [1] i w słowach Ewangelii [2]: że ubogich zawsze będziemy mieli. Rozumowy dowód na to samo wyprowadza stąd, że gdzie wszyscy posiadają równy dostatek, tam nikomu ubóstwo nie dodaje bodźca do pożytecznej sobie i społeczeństwu pracy; ani też bogactwo nikomu nie dostarcza środków do zaspakajania potrzeb umysłu i podnoszenia poziomu oświaty. Gdzie socyalizm obiecuje powszechny dostatek, tam pospolicie ludzie żyliby w próżniactwie, i dlatego, zamiast ruchu i postępu, nastałby zastój, któryby cofnął społeczeństwo w czasy ciemnoty i naraziłby je na upadek. Więc przez zabór majątków osobistych na wspólną własność, albo ich podział na równe części dla każdego obywatela, mniej zyskałoby społeczeństwo, aniżeli

[1] Deut. xv, 11.

[2] Mat. xxvi, 11 i Jan. xii, 8.

straciłoby przez brak bodźca do pracy i środka do przedsiębiorstw, zakładów i dzieł postępowych. Co gorsza, socyalistyczna rada nie podniesie znacznie stanu majątkowego jednostek, bo krocie tysięcy ubogich pochłoną wszystkie skarby bogaczy bez widzialnego śladu, jak morze bez zmiany dostaje olbrzymie dopływy. Dlatego nie przeciw bogactwu i ubóstwu występuje chrześcijański duch: potępia tylko układ stosunków, w których wszechwładny pieniądz złoci życie wybrańców wygodą i przepychem, a skazanych na pracę przygniata nędza.

Ale wpływu nie wywrze chrześcijaństwo w całej pełni, jeżeli wolnomyślne rządy tamują życie podług praw Kościoła: stąd wypływa niezbędna potrzeba zgody państwa z Kościołem, o której rozprawia autor w rozdziale szóstym, a w siódmym i ostatnim, pod napisem: „Królestwo Boże", odsłania przed okiem czytelnika krajobraz, który przedstawia świat, o jaki walczy chrześcijaństwo, żeby ziścić sprawiedliwość na ziemi a w przydatku mieć wszystko, czego potrzebuje ród ludzki w stosunkach doczesnych.

Taką osnowę myśli podał ks. W. w czwartym tomie „Obrony Chrześcijaństwa", nadał im tok przystępnych odczytów i ujął je wątkiem potocznej pogadanki o najważniejszych zasadach chrześcijańskiego ustroju społeczeństwa. Dlatego jego dzieło może dojść do szerokich warstw średnio oświeconych czytelników, którzy bez zbyt natężonej uwagi mogą poznać owoce bardzo głębokiej pracy na polu nawet oderwanych pojęć. Prawda, że czasem zanadto widać, że autor woli szukać prawdy na drodze dedukcyjnej, aniżeli dochodzić do niej przez indukcyę. Mimo wielkiego przyboru wiadomości ścisłych i szczegółów dobrze ujętych, mimo języka łatwego, miejscami figlarnego, nie zawsze autor chodzi po ziemi pomiędzy ludźmi i z przeglądu ich stosunków wysnuwa zasady: nieraz z góry narzuca ogólnik, dowodzi zasady z rozbioru mglistych i nadzmysłowych pojęć, albo nawet opiera ją tylko na źródłosłowie wyrazu i tak buduje dowody, na które potem, co prawda, szczęśliwie rzuca światło z przykładów. Na szczęście rzadko zachodzi na te drogi, a nawet po nich prowadzi czytelnika wskazówkami bardzo jasnemi, które nie gubią jego myśli na niedościgłych bezdrożach i ułatwiają powrót na ziemię ze zdobyczą cennych uwag i zdrowych poglądów. Więc taki zakrój metafizyczny nie ujmuje znakomitemu dziełu zalet, dla których ta praca zasługuje na poważne miejsce w bibliotece socyologa.

Ks. K. Czaykowski.

Das Leben unseres Herrn Jesu Christi, des Sohnes Gottes, in Betrachtungen von *M. Meschler S. J.* Zwei Bände. Zweite vermehrte Auflage. Mit einer Karte von Palästina zur Zeit Jesu, aus R. von Riess' Bibel-Atlas. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. (I. Bd. XX. 640 S.; II. Bd. VIII. 578 S.).

Oto znów jeden więcej żywot Chrystusa Pana, złożony w harmonijną całość z czterech Ewangelij.

Ewangelie i życie Chrystusa Pana wykładano już tyle razy, że sam ks. Meschler postawił sobie we wstępie pytanie: po co ten nowy wykład i co ciekawego dać on może? Otóż, powiedzmy to z góry, dał on bardzo wiele, a autora, znanego już chlubnie z prac dawniejszych, postawił od razu bez żadnego zastrzeżenia w rzędzie najlepszych pisarzy ascetycznych obecnej doby. Powiedziałem: pisarzy ascetycznych, gdyż książka ks. Meschlera, jakkolwiek napisana z wielką nauką i z uwzględnieniem najnowszych badań egzegetycznych, nie ma jednak celu naukowego; w myśl autora ma to być książka pobożna i służyć jako środek pomocniczy do głębszego poznania Chrystusa Pana, do rozmyślania tajemnic Jego życia, słowem do zbudowania i modlitwy [1]. Wobec tego założenia odpaść oczywiście musiały wszystkie roztrząsania polemiczne i apologetyczne wycieczki, wszystkie rusztowania wyłącznie naukowe, egzegetyczne, a pozostała czysta, niczem niezamącona i w szczytnej swojej prostocie niezmiernie piękna i ujmująca budowa, o rysach prostych ale głębokich i wyrazistych, harmonijnie dostrojonych do głównego celu i zadania książki.

Dzieło w ogólnym zarysie tak się przedstawia:

We wstępie, stosunkowo dosyć obszernym (str. 1—14), obznajamia autor czytelnika z Palestyną, widownią ziemskiego życia Jezusa, opisując ją treściwie naprzód pod względem topograficznym, potem przedstawiając stosunki jej polityczne, religijne, społeczne i obyczajowe za czasów Jezusa. Po tym wstępie roztacza się w długim szeregu rozmyślań całe życie Boga-Zbawiciela. Nasamprzód wprowadza nas autor w życie Jego boskie na łonie Ojca, przed wiekami i w czasie Starego Przymierza (str. 21—72); następnie rozwija ziemskie życie Chrystusa w pojedyńczych jego tajemnicach i wydarzeniach, sharmonizowane, jak powiedziano, wedle czterech Ewangelistów, a ugrupowane w porządku chronologicznym; wreszcie zamyka dzieło końcową grupą pięknych i oryginalnych rozważań o tryumfalnem życiu Chry-

[1] Por. *Vorrede* VI.

stusa na prawicy Ojca i o mistycznem Jego życiu w Kościele aż do końca świata.

Nie mniej pobożny kapłan jak i głęboki myśliciel, gruntownie przytem wykształcony w teologii jak i we wszystkich umiejętnościach egzegetycznych, traktuje ks. Meschler każdy szczegół z życia Chrystusa z jednej strony z głębokim pietyzmem i rzewną pobożnością, z drugiej strony daleki od wszelkich przesad i forsownych naciągań — pewnym pisarzom ascetycznym właściwych — przedstawia każdą rzecz na gruncie ściśle przedmiotowym i we właściwem jej oświetleniu; w każdej sytuacyi trafnie się oryentuje i wyzyskuje świetnie wszystkie momenta czy to historyczne, czy psychologiczne, które do jej wyjaśnienia i właściwego zrozumienia są potrzebne. Cokolwiek, czy to z tradycyi katolickiej, czy z dzieł Ojców Kościoła, czy też ze starych mistrzów teologii, lub wreszcie z najnowszych badań biblijnych przydać się może do tego celu, jaki wytknął swej książce, wszystko to zna, uwzględnia i podaje w odpowiednich miejscach, ale krótko, skromnie i prawie niedostrzegalnie, unikając starannie wszystkich cytat, naukowych popisów i błyskotliwych efektów. Na pierwszym planie zawsze występuje Chrystus; widzimy jego czyny, słyszymy jego słowa, a to co mówi autor jest tylko domówieniem, zestawieniem, nigdy zaś prawie własną, choćby i głęboką spekulacyą, własnem, choćby i wzniosłem bujaniem autora po obszarach t. zw. wielkich myśli.

Każda tajemnica, podana zwyczajnie w trzech punkach, przedstawia odrębną, w sobie zamkniętą całość, ale w zupełności zrozumianą być może tylko w związku z poprzedniemi rozważaniami; jest bowiem jedną tylko częścią w organicznej całości, jednem ogniwem w długim łańcuchu objawień się Chrystusa na zewnątrz, w którym każde następne ogniwo jest krokiem naprzód w stopniowym rozwoju misyi mesyańskiej Zbawiciela.

Ponad całem życiem Chrystusa — w przedstawieniu ks. Meschlera — rozlewa się dziwny urok i wdzięk, mający swe źródło nietylko w treści dzieła, ale także w znacznej mierze w stylu i sposobie pisania autora, trafionym bardzo szczęśliwie, a zgodnym z naturą przedmiotu, który traktuje. Styl to nadzwyczaj prosty, a przytem treściwy, ożywiony ciepłem serdecznem, odznaczający się wszędzie spokojem i rzadką miarą, pełen powagi i namaszczenia.

Dla kogo w szczególności napisane jest to dzieło? Z tytułu zdawaćby się mogło, że służyć ma wyłącznie dla osób zakonnych, jako podręcznik do codziennych rozmyślań tajemnic z życia Syna Bożego. Tak

jednak nie jest; książka ta nie podaje gotowych punktów do rozmyślania w zwykłej formie, z aktami i zastosowaniami; oddaje ona jednak rozmyślającym znakomitą przysługę, wprowadzając ich w głębsze rozumienie Ewangelii i życia Chrystusowego, i dając im obfity materyał, który łatwo sobie mogą przy pewnem przygotowaniu w formę rozmyślania ująć; a nadto i tym, którzy rozmyślaniu się nie oddają, służyć ona może za kształcące i posilne duchowo czytanie. „Gdzie tylko jakieś serce — powiada autor pięknie we wstępie — wzdycha za tem, by poznać Jezusa, gdzie tylko jaka dusza do nóg Pana rzuca się w skupieniu, aby z ust jego usłyszeć słowa żywota... gdzie tylko ktoś pielęgnuje słodki zwyczaj modlitwy i toruje sobie przez nią drogę w górę do mocnego i żyjącego Boga — tam niech się ta książka zatrzyma, tam niech podaje i udziela każdemu z tego, co mieści w sobie“ [1].

Wszyscy czytelnicy wierzący, którzy w żywotach Chrystusa nie tyle szukają odpowiedzi na zarzuty podnoszone przeciw Kościołowi i wierze, ile raczej znajomości wcielonego Słowa Bożego, albo większego jej pogłębienia, zrozumienia charakteru Chrystusa Pana i umocnienia się w duchu i wierze: ci znajdą z pewnością w książce Meschlera to, czego napróżno po wielu innych książkach szukali.

Katolicka prasa niemiecka obydwa wydania Życia Jezusa Chrystusa przyjęła z takim zapałem i z takiemi słowami uznania, że obawialibyśmy się zarzutu stronniczości, gdybyśmy tu chcieli wszystkie te pochwały powtórzyć. Najzimniejszy jednak i najbardziej nawet bezstronny krytyk musi tę książkę nazwać w swoim rodzaju znakomitą i godną najgorętszego polecenia wszystkim bez wyjątku czytelnikom, w pierwszym zaś rzędzie Wiel. Duchowieństwu, dla którego ma jeszcze tę szczególną wartość, że znakomite oddać może przysługi w kaznodziejstwie, zwłaszcza ile razy chodzi o postawienie kwestyj ewangelicznych na właściwym gruncie i o należyte i zgodne z prawdą oświetlenie faktów i wydarzeń w Ewangeliach zawartych.

Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.

Drei Monate Fabrikarbeiter und Handwerksbursche. Eine praktische Studie. Von *Paul Goehre.* Leipzig 1891.

3½ Monate Fabrik-Arbeiterin. Eine praktische Studie. Von *Frau Dr. Minna Wettstein-Adelt.* Berlin 1893.

Socyalne studya, tak dzisiaj gęste, tak żywo wszystkich obchodzące, tracą bardzo często na powadze i znaczeniu, z powodu czynio-

[1] Por. *Vorrede* VII.

nego im ogólnie zarzutu: „To są teoretyczne wywody, spisywane przy stoliku przez ludzi znających życie fabryczne, biedę i potrzeby robotników bardzo niedokładnie, z książek, dajmy na to, z mniej lub bardziej szczęśliwej intuicyi, ale nie z życia“. Pewnej słuszności temu zarzutowi odmówić trudno. Kogo istotnie kwestya socyalna zajmuje i kto wedle sił do należytego jej rozwiązania przyczynić się pragnie, temu wystarczyć nie mogą same teorye choć najpiękniejsze i w sobie najsłuszniejsze; ten przyjrzeć się musi życiu, położeniu, potrzebom dzisiejszych robotników, wyrozumieć ich żądania i aspiracye. Wtedy dopiero będzie mógł zastosować teoryę do życia, i sprawiedliwą miarą ocenić, co jest złego i niesłusznego w socyalistycznych programach, co i ile zawiera się w nich prawdy, za którą walczyć winni wszyscy wyznawcy zasad chrześcijańskich, czy urzędowo zapisali się, czy się nie zapisali do stronnictwa „chrześcijańsko-socyalnego“.

Stąd wielka waga „praktycznych studyów“, odsłaniających nam w najdrobniejszych szczegółach sposób życia, pracę i zabawę, myśli, zasady, uczucia tego niezliczonego tłumu mężczyzn i kobiet, który codzienną ciężką pracą na chleb sobie zarabia. Dwie książki, których tytuły powyżej wypisaliśmy, oddały w tej mierze społeczeństwu rzeczywistą przysługę. Autor pierwszej, Paweł Goehre, luterski teolog i generalny sekretarz ewangelicko-społecznego kongresu w Berlinie, pracował przez trzy miesiące jako prosty robotnik w wielkiej fabryce maszyn w Chemnitz, najbardziej ożywionem mieście fabrycznem w królestwie Saskiem. Przez ten czas zastosował zupełnie swe życie do życia towarzyszów pracy; z nimi pracował, jadł, mieszkał, z nimi wyłącznie przestawał, a w ten sposób zebrane i pilnie późnemi wieczorami notowane doświadczenia i wrażenia urosły w nad wyraz interesujący pamiętnik. W ślady Goehrego, przykładem i powodzeniem jego zachęcona, poszła pani Wettstein-Adelt, pragnąc zbadać życie robotnic, jak pionier jej i poprzednik zbadał życie robotników. Siły nie odpowiedziały tutaj w zupełności zamiarom. Pracując w przeciągu $3^1/_2$ miesięcy aż w pięciu różnych fabrykach, nie mogła pani Wettstein-Adelt przypatrzyć się gruntowniej i dokładniej ani jednej; nie mogła przekonać się sama, a za nią i czytelnik wiedzieć i przekonać się nie może, czy wiele z podanych przez nią szczegółów są tylko smutnemi wyjątkami, czy wypływają z ogólnej normy. Ton buńczuczny, skromnością nie grzeszący; wplątane w tekst, co kilka kartek, odezwy do walki za emancypacyą kobiet, ostre, nienależące do rzeczy wycieczki przeciw zasadom i teoryom, które d-rowi Minnie nie mają się szczęścia podobać, nie

przyczyniają się także do zjednania szczególnych sympatyj dla autorki i jej książki. Pomimo jednak wszystkich tych wad i niedostatków, powiedzieć nie można, aby i z tem studyum nie było warto się zaznajomić; ma ono zwłaszcza wartość, jako pewnego rodzaju uzupełnienie wybornej pracy Goehrego [1].

Materyalne położenie robotników w wielkiej, zatrudniającej około 500 ludzi, chemnickiej fabryce maszyn, złem nazwać się nie może. Najmniej zdatni i używani do najgrubszej roboty, zarabiają tygodniowo od 12—15 mrk.; najsprytniejsi dochodzą do 40, czasami nawet do 50 mrk.; dziewczęta i kobiety dojść mogą do 10 mrk.; w najlepszym, zupełnie wyjątkowym wypadku do 18 mrk.; zwyczajny, przeciętny ich zarobek wynosi 5—6 mrk. Oczywiście inaczej mieszkają i żyją ci, którzy rozporządzić mogą rocznie około 2000 marek, a ci, którzy z biedą dociągają do 500, do 300 mrk. W domkach i pokojach zajmowanych przez pierwszych, panuje zazwyczaj nietylko porządek, ale nawet pewnego rodzaju zbytek; ogół robotników, zapewne nie najlepiej stojących, ale i tych, którzy skądinąd wcale nie mogą się skarżyć na zbyt skąpy zarobek, dusi się w ciasnych izdebkach, w których nieraz kilka rodzin założyło swą siedzibę, w których obok gospodarzów i długiego szeregu ich dzieci, znaleść się musi miejsce dla kilku dziewczyn, kilku parobków. Jedzenie przez parę dni po tygodniowej wypłacie jest zazwyczaj dostatnie i pożywne; w późniejszych dniach porcye maleją, tracą na wadze i jakości, aż wreszcie redukują się do kawałka chleba i sera. Dziewczyny znowu nakładają sobie dobrowolne, długo nieraz ciągnące się, a ani rozumne, ani zdrowe posty, aby za oszczędzonych parę marek kupić sobie jakiś gracik, módz się w niedzielę poszczycić nowym kapeluszem, zgrabnemi bucikami; gotowe cały tydzień zadowolnić się suchym chlebem, byle w niedzielę w modnym staniku, z modnym kapeluszem na głowie zasiąść mogły w restauracyjnym ogródku przed szklanicą piwa; — a w dodatku piwa wcale a wcale nie lubią, i piją je jedynie dla „dobrego tonu“.

Gorsze, daleko niestety! gorsze od materyalnych, są stosunki moralne. Wędrujący z miasta do miasta robotnicy oddani są nieraz nałogowemu pijaństwu; stale w Chemnitz osiadli zawierają mniej znajomości z wódką, piwem nie gardzą, ale upijają się zwykle tylko przy

[1] Nie robimy osobnych zastrzeżeń co do pewnych uwag i poglądów wypływających z protestancko-racyonalistycznego stanowiska Goehrego a racyonalistycznego *sans phrases* stanowiska pani Minny; — to samo z siebie się rozumie.

szczególnych okazyach, np. w czasie wielkiego dorocznego jarmarku. Prawda, że wtedy nie robią sobie z upicia się żadnego szkrupułu; raz, czy parę razy w rok się upić — wyznają z góry i bez ceremonii — to i cóż w tem złego? Podobnież nie robią sobie wielkich szkrupułów z niedzielnych pohulanek, które w wielu lokalach kończą się regularnie bitką, a prawie we wszystkich prowadzą do rozbratu z najprostszemi zasadami chrześcijańskiej moralności. Równie Goehre jak i p. Wettstein-Adelt prowadzą nas z kolei do różnych z pomiędzy tych lokalów; przedstawiają spotykane w nich najróżniejsze i najsmutniejsze typy. Pierwszy — skądinąd wcale przez zbyt czarne szkiełka na świat nie patrzący — zaręcza, że dzięki tym lokalom i ożywiającym je zabawom, trzebaby między robotniczą ludnością w Chemnitz szukać z latarnią młodzieńca lub dziewczyny, którzy, przeszedłszy mniej więcej siedmnasty rok życia, nie zakosztowaliby jeszcze z zatrutego owocu występku. Druga maluje również nad wyraz bolesny obraz; parę szczegółów, parę brutalnych napaści, które jej samej przypadły w udziale, dość jasno okazują, jak trudno biednej fabrycznej dziewczynie zachować niewinność, choćby nawet zachować ją chciała. A czy wiele ich chce, czy wiele wartość jej rozumie? „Wogóle towarzyszki moje, odpowiada autorka, brzydziły się niemoralnością prowadzoną jako interes, dla zarobku; zresztą pełne były wyrozumiałości i to w jak najszerszych granicach; mówiły bez zarumienienia się o nieślubnych swych dzieciach, o stałych swych kochankach, jako o rzeczy rozumiejącej się sama z siebie“.

Jakże-bo i dziwić się temu, do stanu zdziczenia dochodzącemu stępieniu zmysłu moralności, kiedy religia wygnana w tych kołach na dziesiąty plan, moralności nie zabezpiecza i nie podtrzymuje. Cała masa robotników w Chemnitz — a jak w Chemnitz tak dzieje się we wszystkich większych niemieckich centrach fabrycznych — przyznaje się głośno do zasad socyalno-demokratycznych, i niemi napojona, nasiąknięta sofizmatami, które słyszy raz po raz na rozlicznych zebraniach i zabawach socyalistycznych — o Bogu, o wierze, o grzechu, a tem bardziej o karze za grzechy nie chce ani wiedzieć ani słyszeć. „To wszystko głupstwo, tego nikt nie widział, w to dziś chyba stare baby wierzą, te dogmaty i kościoły dobre dla państwa, żeby za ich pomocą ludzi w więzach trzymać i do posłuszeństwa naginać“ — oto krótkie, ale wymowne *Credo* największej części robotników i robotnic. Przytaczane zwłaszcza przez Goehrego rozmowy i pogadanki o istnieniu Boga, o grzechu, kościele i t. d. rozdzierają po prostu serce. Gdyby w słowach

tych przebijało się gorzkie szyderstwo, nienawiść, gdyby wyrzucali je z siebie z zaciśniętemi pięściami, pocieszaćby się można, że to chwilowy obłęd lub dobrze wyuczona lekcya radykalnych zasad; ale nie! — mówią podobno spokojnie, nie popisują się z swą niewiarą i tylko wyzwani na zwierzenia, do niej się przyznają. Najniebezpieczniejsze to bez wątpienia i najsmutniejsze stadyum!

Ani trzechmiesięczny robotnik fabryczny, ani półczwartamiesięczna robotnica nie kuszą się o podanie gruntownej recepty na szerzącą się gwałtownie chorobę; prawda, że i podać ją nie bardzo łatwo. Zresztą przed napisaniem recepty trzeba najprzód stan chorego dokładnie poznać, i o to też wyłącznie chodziło obojgu autorom. Jak auskultacya ta, jak studyum to na czasie, jak stosunkowo dobrze i bezstronnie przeprowadzone, tego najlepszym dowodem, ogólne zainteresowanie, jakie wzbudziło, ogólne uznanie, jakie wywołało. Same tylko socyalistyczne organa, które z natury rzeczy i zajętej przez siebie pozycyi powinnyby były przyjąć te badania z największym zapałem i radością, przyjęły je właśnie nad wyraz chłodno, z widoczną niechęcią, że ktoś odważył się mieszać do ich interesu. Bo i dziwna to śmiałość; przecież żeby zajmować się sprawą robotników, trzeba wprzód przybrać się w socyalno-demokratyczny mundur; przecież — jak samaż prasa socyalistyczna bez ceremonii głosi — temu tylko wolno socyalną kwestyą się zajmować, kto urzędowo do partyi jest zapisany i ślepo rozkazów jej słucha.

Ks. J. B.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Podróżnik rosyjski o katolickim i prawosławnym klerze na Wschodzie. — Pierwsza deputacya polska u cara po roku 1863. — Agitacye antycelibatowe wśród duchowieństwa katolickiego w Kongresówce. — Projekt tworzenia osad razkolniczych tamże. — Prawosławne bractwo św. Trójcy i dzieci z małżeństw mieszanych. — Katedra prawosławna i nowe cerkwie w Warszawie.

W feljetonie najwpływowszego obecnie dziennika rosyjskiego *Nowoje Wremia* znajdujemy nadzwyczaj ciekawy artykuł, podpisany pseudonimem *Russkij Strannik*, pod tytułem: „Czem można sobie wytłumaczyć postępy katolicyzmu na Wschodzie?“ Wyjmuję z niego niektóre ważniejsze ustępy. Niema wątpliwości, — pisze *Russkij Strannik* — iż w ciągu ostatnich lat kilku katolicyzm może pochlubić się na Wschodzie olbrzy-

miemi postępami — katolickie klasztory, kaplice, szpitale, szkoły rozproszone na całym jego obszarze. Mnichom katolickim wielce pomaga ta okoliczność, iż w akcyi swej są zupełnie samodzielni, nie cofają się przed żadnemi przeszkodami, a śmiało zdążają do nakreślonego z góry celu, druzgocąc wszystko, co staje im w poprzek drogi. Mnisi katoliccy są tam politycznymi działaczami, kulturtregerami swego państwa. Wysyła ich na Wschód albo propaganda katolicka, albo rządy w celu specyalnym — szerzenia katolicyzmu i kultury swej ojczyzny. Oto dlaczego nie idą na Wschód mnisi katoliccy z małem lub wogóle niedostatecznem wykształceniem, a idą tylko uczeni: doktorowie i magistrowie teologii, a co najmniej osoby ze średniem wykształceniem; naturalnie, że mówi się tutaj o stanowiskach ważniejszych, a nie podrzędnych.

Tam, gdzie się pojawi mnich katolicki, za jego śladem, w głębi Azyi, powstają różne uczone towarzystwa, kompanie akcyjne budują koleje żelazne, zaczyna się rozwijać handel, a wkrótce potem znajdzie się i siostra miłosierdzia w swym białym kapturze, aby nieść pomoc cierpiącym.

Udając się na Wschód w celach kulturnych, zakonnicy katoliccy nie troszczą się o to, kto tam mieszka: prawosławni, mahometanie, czy poganie. Oni nie zwracają na to uwagi i troszczą się tylko o to, aby tam, dokąd idą, były żyjące istoty, obdarzone darem słowa, będące w stanie pojmować; tym to żyjącym istotom idą głosić słowo Boże, leczyć je z błędów moralnych i oświecać. Również nie wnikają i nie zastanawiają się nad tem, kogo im poprawiać i komu pomagać wypadnie: biednemu czy bogatemu, prawowiernemu czy heretykowi. I oto dlaczego propaganda katolicka wszędzie cieszy się powodzeniem, a kler katolicki może się obecnie pochlubić, iż zdobył na Wschodzie olbrzymie nabytki dla Zachodu.

Po przykłady nie trzeba iść daleko. Zwróćmy się po nie chociażby do stolicy Turcyi — Konstantynopola. Klasztory, kościoły, a przy nich szkoły męskie i żeńskie, gdzie się tylko nie zwrócisz; kilka ich na Perze; są one w Pankałdzie, w Galacie, w Top-chane, San-Stefano, Kadikioj, Eski-Darze i w wielu innych miejscach. Przed laty 30 lub 40 nic podobnego w Turcyi nie było: ani klasztorów katolickich, ani kościołów, ani szkół, lub też było zaledwie kilka w całem państwie.

Trzeba wiedzieć, że w katolickich i protestanckich szkołach Konstantynopola — masa uczącej się słowiańskiej młodzieży płci obojej. Najwięcej jej z Bułgaryi, co — według autora rosyjskiego — stąd głównie pochodzi, iż rodzice, chcąc usunąć swe dzieci z pod wpływu szkół

bułgarskich i wschodnio-rumelijskich, posyłają je do Konstantynopola, ale tam znajdują toż samo, co w swej ojczyźnie, to jest ducha wrogiego propagandzie panslawistycznej. Przy tej sposobności *Russkij Stranik* przypomina słowa d-ra Woshborna, dyrektora kolegium Roberta: „Co Rosya zdobędzie orężem, my obalimy szkołami".

Pierwszym i najważniejszym orężem w rękach mnichów katolickich — kościół, potem szkoła, a po nich, jako środek pomocniczy, szpital i handel. Mnich katolicki nie jest li tylko mnichem; on — kaznodzieja, adwokat, reprezentant różnych firm handlowych, księgarz, obrońca uciśnionych, aptekarz, kupiec i t. d., i t. d. Poparty wpływem przedstawicieli tego państwa, którego jest obywatelem, on w różnych procesach bierze w obronę miejscowych mieszkańców, którzy, dla swej ciemnoty, poniżenia i ubóstwa, nie mogliby dać sobie rady z wpływowymi łupieżcami. On objeżdża wsie i miasta, rozdaje bezpłatnie lekarstwa chorym, pożycza pieniądze na niezwykle małe procenta, agituje na korzyść tej lub owej firmy wiedeńskiej, sprowadza towar z pierwszej ręki, odwiedza więźniów po więzieniach, grzebie bez żadnego wynagrodzenia zmarłych, których miejscowe prawosławne duchowieństwo nie chciało grzebać bez pieniędzy i t. d.

Oto na czem polega znaczenie zakonnika katolickiego na Wschodzie! On nie poprzestaje na szczupłym zakresie życia w celi, lecz działa na wszystkich polach i wszelkiemi sposobami, troszcząc się jedynie o to, aby „rozszerzyć katolicyzm i wpływy swej ojczyzny". Pod jej osłoną i protekcyą, pod jej kierownictwem dziesiątki tysięcy dziatwy płci obojej pobierają corocznie nauki, aby po ich ukończeniu rozejść się po całym Wschodzie, głosić chwałę Kościołowi katolickiemu, szerzyć tam idee, zaszczepione przez mnichów i mniszki, pójść następnie w usługi propagandzie i energicznie walczyć przeciwko prawosławiu...

Czy państwa zachodnio-europejskie cel swój osiągają? — sądźcież sami; konstatuję tylko fakt, że „katolicyzm wypiera prawosławie na Wschodzie, a w swej istocie nie mając szans powodzenia, *quand même*, siłą faktów robi olbrzymie postępy".

Mnich prawosławny na Wschodzie nie może się wcale równać z mnichem katolickim. Zresztą i cele, do jakich dąży jeden i drugi, nie są identyczne. Mnich prawosławny udaje się na Wschód do miejsc świętych z pobudek osobistych, w jedynym celu pomodlenia się tam Bogu i szukania zbawienia duszy w surowem ascetycznem życiu, a nie w pracy misyonarskiej. Do tej ostatniej nie posiada on potrzebnych przymiotów. Przeważnie są to ludzie prości, zwyczajnie mało wykształ-

ceni, którzy z praktyki tylko wiedzą, gdzie jest Kijów i gdzie Athos, i w jaki sposób z Woroneża dostać się można do Konstantynopola. Z tego powodu mnich prawosławny żyje na Wschodzie tylko w sobie i wyłącznie dla siebie, dla swoich, a korzyść przynosi jedynie temu ciasnemu kółku, wśród którego żyje. Wyjątki dadzą się policzyć na palcach.

Wyznawców Kościoła wschodniego, żyjących dawniej życiem wspólnem, tworzących jakby jedno ciało, bez różnicy narodowości, toczy w ostatnich czasach nacyonalizm. Każdy naród wyosobnił się i żyje życiem odrębnem. Początek zrobili Grecy. Nigdy świecki Grek nie pojawił się w miejscach świętych, celem pomodlenia się Bogu i złożenia jakiejś ofiary na rzecz ubogiej braci; jeżeli tam zaglądał, to w celu innym, zwykle dla jakiejś spekulacyi: chcąc otrzymać sukcesyę po krewniaku-mnichu, lub wyżebrać posag dla swych córek od braci zakonnej... I tak wszelkie ofiary szły w całej pełni z Rosyi, a tylko częściowo z Rumunii, Bułgaryi i Serbii, podczas gdy szeroka dłoń greckich mnichów, zbierając hojne dary od dobrodziejów innych narodowości, używała takowych dla swych osobistych celów i wygód, lub na przeżytą ideę wskrzeszenia cesarstwa bizantyńskiego. A tymczasem bracia-Grecy starali się pozbyć braci innych narodowości z miejsc świętych, wyprzeć ich stamtąd wszelkiemi sposoby, lub poddać ich swej woli, uczynić swymi podwładnymi, opanować święty Athos, wyzyskać go, uczynić z tej świątyni przedmiot handlu. U wszystkich w świeżej jeszcze pamięci sprawa rosyjskiej pustelni św. Eliasza na górze Athos, gdzie mnisi greccy za kawałek ziemi, nie będący zresztą ich własnością, zdarli z pustelników rosyjskich 50.000 rubli, używszy do tego pomocy Turków, a tem samem wskazawszy tym ostatnim drogę do ciągłego mieszania się w sprawy św. Athosu.

Nader zajmującemi są wspomnienia o hr. Bergu, namiestniku Królestwa Polskiego, pióra D. Anuczina, zajmującego wysokie administracyjne stanowisko w Królestwie Polskiem po roku 1863. Wspomnienia te drukuje miesięcznik *Russkaja Starinà*. Wyjmuję z nich ciekawy, a u nas albo mało znany, albo już całkowicie zapomniany epizod przyjęcia deputacyi polskiej w Petersburgu w r. 1865, pierwszej deputacyi polskiej, przyjmowanej przez Aleksandra II. po wypadkach roku 1863. Urzędowym powodem jej wysłania była śmierć następcy tronu, w. księcia Mikołaja, z powodu której postanowiono wyrazić „uczucia wiernopoddańczej kondolencyi", jak się autor tych wspomnień wyraża.

Zdawało się, — pisze D. Anuczin — że zgoda, wyrażona w Pe-

tersburgu na przyjęcie deputacyi, nie wywoła żadnych komentarzy; lecz inaczej sądzili Polacy. Przy każdej sposobności, gdy się im pewne względy okazuje, oni widzą politykę i zamiar ich jednania. Tak było i w danym wypadku. Powiadano, że przyjęcie deputacyi stanowić będzie epokę w dziejach rosyjskich stosunków z Polską, że przeszłość pójdzie w zapomnienie, a rząd wróci do dawnych swych zamiarów i reform, niewykonanych wskutek zbrojnego powstania r. 1863—1864. „Lekkomyślni panowie — twierdzi D. Anuczin — łudzili się tęczowemi nadziejami i mówili otwarcie, że wrócić do dawnego kursu bardzo łatwo, a jeszcze łatwiej postawić krzyż na wszystkich pomysłach Milutina i towarzyszy, nie mających jakoby gruntu pod sobą".

Nie ulegało wątpliwości, — czytamy dalej — że podobne pogłoski zaprzątały umysły Warszawian. Polacy, którzy z doświadczeń życia niczego się nie nauczyli, ożyli na nowo. Wieści o tem doszły między innemi do Berlina, a kanclerz Bismark polecił jeneralnemu konsulowi w Warszawie, baronowi Rechenbergowi, aby udał się do Petersburga i bacznie śledził za wszystkiemi okolicznościami, towarzyszącemi przyjęciu deputacyi polskiej. „Bismark — opowiada autor — trzymał wówczas ostro swych poznańskich Polaków i obawiał się, aby w Petersburgu nie użyto jakichś niespodzianych środków i nie okazano niepożądanych dlań względów Polakom".

Do deputacyi polskiej przemawiał car po francusku. Tekst tego przemówienia przytacza p. Anuczin w oryginale. Spisał je natychmiast po oddaleniu się deputacyi polskiej z pałacu i tegoż jeszcze dnia przesłał tekst takowego do Warszawy, aby zapobiedz tam — jak powiada — fałszywym pogłoskom, jakieby mogły się rozejść od członków wracającej deputacyi. Podaję tutaj najistotniejszą część przemówienia carskiego, trzymając się jak najdokładniej tekstu francuskiego, podanego przez autora tych wspomnień o Bergu. Ton tego przemówienia był wogóle uprzejmy i łaskawy. Car przypomniał deputacyi, że jeszcze w r. 1856 oświadczył w Warszawie Polakom, aby nie dawali przystępu złudnym marzeniom; słowa wówczas wyrzeczone: *point de rêveries*, powtarza i teraz i sądzi, że Polacy nie ściągnęliby na kraj swój wielu nieszczęść, gdyby je mocno zachowali byli w pamięci. „Jednakowo kocham mych wiernych poddanych: — rzekł Aleksander II. — Rosyan, Polaków, Finlandczyków, Inflantczyków i innych; oni dla mnie zarówno drodzy. Lecz nigdy nie ścierpię nawet przypuszczenia myśli, iż Królestwo może być oderwane od cesarstwa i egzystować odrębnie. Ono było utworzone przez cesarza rosyjskiego i wszystko Rosyi zawdzięcza".

Po tych słowach, przedstawiwszy nowego następcę tronu, obecnie panującego Aleksandra III., rzekł: „On nosi imię cesarza, który niegdyś stworzył Królestwo. Spodziewam się, że potrafi godnie rządzić swą sukcesyą i nie ścierpi tego, czego ja ścierpieć nie mogłem".

Mowa ta — jak zapewnia p. Anuczin — wywrzeć miała wpływ potężny. Tejże chwili — powiada tenże — przybyli do mnie M. A. Milutin i baron Rechenberg. Byli już oni u hr. Berga, aby się czegoś dowiedzieć o wyniku przyjęcia deputacyi polskiej przez cesarza, lecz nie zastawszy go w domu, udali się do mnie. Nie ochłonąwszy jeszcze ze wzruszenia, natychmiast opowiedziałem im o wszystkiem, co zaszło, i odczytałem spisaną przeze mnie mowę monarchy. Po wysłuchaniu mego opowiadania i tekstu przemówienia, Milutin wpadł w zachwyt i nie mógł znaleść słów uznania dla słuszności i siły przekonań monarchy. Okazało się bowiem, że monarcha, pracując ostatniemi czasy dosyć często z Milutinem i sekretarzem stanu dla spraw Królestwa Polskiego, Płatonowem, ani jednem słowem nie wspomniał o deputacyi polskiej, ani o swym zamiarze przemawiania do niej. Żadnych informacyj w tej sprawie nie żądał i nikt mu ich nie dostarczał. Tem mniej oczekiwanem było wypowiedzenie przez monarchę „znakomitej" — według D. Anuczina — mowy, powstałej z jego osobistej inicyatywy.

Bogu niech będą dzięki — rzekł M. A. Milutin — kwestya polska stoi w myśli monarchy na niezachwianej podstawie; niema żadnej obawy, aby poglądy jego mogły się zmienić. Nader ważną jest okoliczność, że monarcha pogląd swój wypowiedział samoistnie i że przekazał go cesarzewiczowi; kwestya zamknięta na lat wiele i miejmy nadzieję, że na zawsze.

Baron Rechenberg również był zadowolony z rezultatów przyjęcia deputacyi polskiej i oświadczył, że słowa monarchy wywrą wpływ niezwykle uspakajający w Berlinie.

W tychże „Wspomnieniach o hr. Bergu" znajdujemy jeszcze jeden ciekawy szczegół, na który winniśmy zwrócić uwagę naszych czytelników, a pozostawić jego sprostowanie tym, którzy bliżej znają ówczesne stosunki kościelne w Królestwie. P. Anuczin opowiada, iż za jego rządów gubernią radomską, w siódmem dziesięcioleciu, wśród kleru katolickiego dyecezyi sandomierskiej, było wiele osób, które zasadniczo odrzucały celibat, jako wynik zarządzenia papieskiego, niezgodnego z prawami kanonicznemi i z tradycyami Kościoła. Razu pewnego 15-tu księży wniosło na jego ręce oświadczenie, iż mają zamiar wstąpienia w związki małżeńskie, jeżeli rząd ochroni ich przed ściganiem ze strony

władz sądowych. Według bowiem wyjaśnienia petentów i osób przeciwnych celibatowi duchowieństwa, w ustawie obowiązującej w Królestwie Polskiem nie było do roku 1836 żadnych ograniczeń co do prawa osób stanu duchownego wstępowania w związki małżeńskie. Celibatu rzymsko-katolickiego prawo ówczesne nie brało w obronę, a sądy za jego naruszenie nie pociągały do odpowiedzialności. Lecz wydane w r. 1836 dla Królestwa Polskiego „prawo o małżeństwie“ po raz pierwszy wzięło w obronę bezżeństwo księży, to czysto kościelne rozporządzenie, któremu „nie wszyscy nawet katolicy przyznają moc prawa kanonicznego“. Artykuł 27 prawa o małżeństwach wyraźnie zabrania osobom stanu duchownego, mającym święcenia kapłańskie, wstępowania w związki małżeńskie. Wprowadzenie tego artykułu do obowiązującego kodeksu cywilnego stworzyło taki stan rzeczy, przy którym — jak mniema autor — do walki z Rzymem na tym punkcie przyjść nie może, albowiem pierwszy lepszy prokurator, otrzymawszy wiadomość o małżeństwie księdza, ma obowiązek pociągnąć go do sądowej odpowiedzialności. Możność walki z Rzymem — ubolewa p. Anuczin — usunięta w tym względzie na zawsze, a przepisów Grzegorza VII. bronią prawa miejscowe.

Zwolennicy zniesienia celibatu rozpoczęli wówczas starania o usunięcie artykułu 27 z prawa o małżeństwie. Dałoby się z łatwością — powiadali oni — uskutecznić nowe wydanie prawa o małżeństwie, z pominięciem tego artykułu, to jest z przywróceniem dawniejszego tekstu z przed roku 1836. Wówczas będą oni mieli ręce wolne i, nie obawiając się już władz sądowych, rozpoczną walkę z Rzymem.

P. Anuczin, jako gubernator radomski, sprawę tych 15-tu księży z dyecezyi sandomierskiej przedłożył namiestnikowi Królestwa, a ten ministrowi spraw wewnętrznych. Ale ani hr. Berg, ani D. A. Tołstoj nie mieli wcale ochoty mieszać się do tej sprawy, uważanej za zbyt drażliwą, mogącą wywołać nowe komplikacye stosunków z Watykanem, wskutek czego podanie owych przeciwników celibatu wśród duchowieństwa polskiego pozostawiono bez skutku.

Ze wspomnień D. Anuczina o hr. Bergu dowiadujemy się jeszcze o nieudałym pomyśle rządu rosyjskiego utworzenia w Królestwie Polskiem osad rosyjskich z razkolników czyli odszczepieńców Kościoła prawosławnego, żyjących poza granicami Rosyi. Kilka osad razkolniczych istniało od dawna, od wieku przeszłego, w byłej gubernii augustowskiej, a obecnie suwalskiej. Zachowanie się ich w roku 1863 było ze stanowiska rosyjskiego nienagannem, przeto jenerał-gubernator wi-

leński M. Murawiew, którego władzy poddano czasowo dawniejszą gubernię augustowską, pozwolił im na odbudowanie domów modlitwy, przyznał na ten cel zapomogę rządową i przysłał dzwon w darze. Okoliczność ta zrodziła pomysł ściągnięcia do Królestwa Polskiego razkolników rosyjskich z Prus i Austryi. Z razkolnikami pruskimi, na których czele stał wówczas Paweł Pruskij, obecnie archimandryta jednego z monasterów prawosławnych w Moskwie, rozpoczęto natychmiast układy. M. Milutin i kniaź Czerkasskij, członkowie komitetu urządzającego, pomysł ten przyjęli z wielkim entuzyazmem, licząc na wytworzenie w Królestwie Polskiem całej sieci osad rosyjskich, powstałych z ludzi nadzwyczaj twardych w zachowywaniu swej narodowości. Okoliczności — sądzi p. Anuczin — pomysłowi temu sprzyjać się zdawały: wówczas właśnie była w toku sprawa kasaty klasztorów katolickich i sekularyzacyi dóbr kościelnych, na których zamierzano osiedlić razkolników. Namiestnik podzielał najzupełniej w tym względzie zdanie Milutina i Czerkasskiego i marzył już o podkopaniu wpływów bukowińskiej Białej Krynicy (Fontina Alba) przez ściągnięcie pewnej przynajmniej części tamecznego duchowieństwa na dobra poduchowne którejś z gubernij polskich. Autor tych wspomnień entuzyazmował się również dla tego pomysłu: „Myśl ściągnięcia razkolników zakordonowych do kraju Przywiślańskiego godną była najtroskliwszej uwagi: bez wszelkich wkładów pieniężnych przyszlibyśmy do posiadania ludzi szczerze rosyjskich, trzeźwych, pracowitych i mających znaczne zasoby". Z tych jednak pomysłów — kończy p. Anuczin — rezultatu nie było żadnego, a nie było go jedynie dlatego, iż hr. Berg był innowiercą. Jest to, przy obecnym nastroju przeważnej części publicystyki rosyjskiej, zwykły dziś sposób tłumaczenia wszelkich niepowodzeń polityki rosyjskiej, zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej, jeżeli tylko pomiędzy jej przedstawicielami znajdzie się nie-Rosyanin, czy też nieprawosławny, co dziś tam prawie na jedno wychodzi. Osady rosyjskie rolnicze nie znajdą nigdy gruntu w Królestwie Polskiem, gdzie i kultura rolna stoi znacznie wyżej i gęstość zaludnienia o wiele większa, jak w Rosyi właściwej, bez względu na to, czy jenerał-gubernator będzie wyznania prawosławnego, czy luterskiego.

Niejednokrotnie już zwracałem uwagę na bractwo prawosławne św. Trójcy, które zajmuje się w Królestwie specyalnie wyszukiwaniem dzieci z małżeństw mieszanych, celem wychowywania tychże w wierze prawosławnej i narodowości rosyjskiej. Niektórzy naczelnicy powiatów, dla przypodobania się swym przełożonym i zwrócenia uwagi na swą

żarliwość w wierze prawosławnej, odbywają z własnej woli istne obławy na dzieci z małżeństw mieszanych. Tak np. uczynił w roku bieżącym naczelnik powiatu grojeckiego (gub. warszawska), który odszukał w swym powiecie około 70 sierót, pochodzących przeważnie z małżeństw mieszanych, które „nie mają najmniejszego wyobrażenia ani o swej wierze, ani o narodowości". Bractwo św. Trójcy wysłało 100 rubli na święta wielkanocne z poleceniem zebrania wszystkich tych sierót do Grojca, aby mogły przygotować się do spowiedzi i komunii św. u popa i odbyć w cerkwi wszystkie nabożeństwa wielko-tygodniowe i wielkanocne. Za tym przykładem pójdą zapewne i naczelnicy innych 85 powiatów Królestwa Polskiego.

Bractwem św. Trójcy zajmuje się gorliwie obecny archijerej chełmsko-warszawski Flawian, jako kurator tej instytucyi. Liczba członków w ciągu jednego roku podwoiła się, a dochód roczny wynosił w r. 1892 5323 rubli, przyczem z wkładek i ofiar członków wpłynęło do kasy bractwa 3226 rubli. Kapitał żelazny wynosi obecnie 14.000 rubli. Pomimo iż w Warszawie jest wielu Rosyan, posiadających aż nazbyt tłuste posady, najhojniejszym dotychczas ofiarodawcą na cele bractwa był szwajcar domu archijerejskiego w Warszawie, który zapisał mu swój mały dworek, gdzie zarząd bractwa zamierza urządzić ochronkę dla dzieci. Dotąd bowiem bractwo św. Trójcy nie miało własnej ochronki, a sieroty swe, w liczbie 25, umieszczało za osobnem wynagrodzeniem w ochronkach towarzystwa „Czerwonego Krzyża" i rosyjskiego Towarzystwa dobroczynności na Królestwo Polskie.

Rosyjska kolonia w Warszawie otrzyma wkońcu katedrę prawosławną, o której od tak dawna publicyści pewnej barwy marzyli i pisali, pobudzając zelotów prawosławia do akcyi w tym kierunku. Jenerał-gubernator Hurko, pod wpływem swej małżonki, głośnej Maryi Andrejewny, dopóty czynił przedstawienia w Petersburgu, dopóki wkońcu nie otrzymał zezwolenia sfer decydujących na budowę katedry prawosławnej w Warszawie, czego jakoby wymagała godność Rosyi i powaga Cerkwi prawosławnej, jako panującej. Cały ciężar materyalny tej budowy spadnie oczywiście na wcale obecnie niezasobny skarb państwa. Na ten cel przeznaczył już rząd 900.000 rubli, płatnych ratami w ciągu lat 18, po 50.000 rubli rocznie. Reszty dopełnić mają składki pobożnych i patryotycznych Rosyan, którym na tem zależeć będzie, aby wojskowo-urzędnicza kolonia rosyjska, nieodznaczająca się wcale gorliwością w wierze, jak to zresztą powszechnie wiadomo, miała w stolicy dawnej Polski więcej cerkwi, niż ich potrzebuje. Na placu Ujazdowskim, z inicyatywy

naczelnika kraju, buduje się obecnie cerkiew garnizonowa, której budowa ma być ukończoną w ciągu roku 1894; istnieje także zamiar wystawienia w Warszawie cerkwi dla rosyjskiej uczącej się młodzieży płci męskiej przy pierwszem gimnazyum męskiem, do którego przeważnie uczęszcza młodzież wyznania prawosławnego. Dziewczęta zaś wyznania prawosławnego mają już swą cerkiew parafialną przy pierwszem gimnazyum żeńskiem. Potrzeby zatem religijne przybyszów prawosławnych są w Warszawie należycie zaspokojone; budowa katedry jest niewątpliwie luksusem dla zaspokojenia miłości własnej i narodowej rosyjskiej. Obaczymy, jak woboc wezwania do ofiar na budowę katedry zachowa się ogół rosyjski. Dotąd na wezwanie jenerał-gubernatora Hurki odpowiedział ofiarą 1000 rubli tylko znany filantrop, protojerej Jan Kronsztadzkij, który z równąż pochopnością ofiarował niedawno prawie takąż kwotę na odbudowanie zniszczonej pożarem synagogi w jakiemś miasteczku litewskiem. O innych ofiarach prywatnych dotąd nic zgoła nie słychać. Katedra prawosławna stanie na placu Saskim, w pobliżu pomnika wystawionego siedmiu jenerałom, rzekomym ofiarom wierności dla cara Mikołaja.

(Dok. nast.).

A. Szarłowski.

Rozmaitości.

Szczyt dokładności bibliograficznej.

Wiadomo czytelnikom *Przeglądu,* że nie tak dawno temu Polak ks. Tomasz Wall zrobił w Starejwsi w Galicyi nową edycyę poezyj Sarbiewskiego. O tej książce pisano recenzye między innemi także we Francyi, przy czem podawano dokładnie miejsce druku i nawet adres wydawcy. Za to jedno z naszych pism warszawskich umieściło o tej książce następującą wzmiankę:

„I poezya, po wsze czasy nad sercami moc mająca pani, nie jest zaniedbaną w dzisiejszej Francyi. Świadczy o tem bardzo rozpowszechnione wydanie Sarbiewskiego *ad usum alumnorum,* dokonane staraniem O. Wall'a. Krytyka kompetentna wysoko podnosi nietylko ogólnie uznany talent poetyczny Sarbiewskiego, lecz i klasyczną poprawność wydania".

W. P.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Francuskie skandale. — Zwycięstwa papieskiej polityki. — Galicyjscy eksperci w Wiedniu o święceniu niedzieli. — Nowe prawa w Rosyi i Belgii przeciw pojedynkom. — Zdanie *Nowej Reformy* o ustawie belgijskiej.

FRANCUSKIE SKANDALE. Zwyczajnie letnie miesiące sprowadzają pewne uciszenie w polityce; sprowadziły je wogóle mówiąc i tego roku, wyjąwszy jednej Francyi, gdzie błotny strumień najróżniejszych skandali, skandalistycznych odkryć i rewelacyj, na chwilę, zdawało się, po przygnieceniu sprawy panamskiej w biegu wstrzymany, zerwał wszystkie tamy i nie zważając na upały, na parlamentarne ferye, pędzi naprzód szalonym pędem. Czy broszura Dupas'a zawiera w sobie prawdę i li tylko prawdę; czy istotnie rząd paryski, udając, że ściga Artona z całą usilnością, w gruncie rzeczy, lękając się dla siebie skompromitowania, ułatwiał mu ciągle ucieczkę? czy i o ile oparte są na rzeczywistych podstawach mnożące się z dnia na dzień rewelacye o przekupstwach, oszustwach, podłościach bez nazwy najwyższych dostojników rzeczypospolitej? Jakakolwiek odpowiedź na te pytania wypadnie, to pewne, że Francya przechodzi znowu przez ciężką wewnętrzną kryzys, tem straszniejszą, że nie pierwszą, że prawdopodobnie nie ostatnią; to pewna, że musi skupić wszystkie siły,

wszystkie niezgangrenowane żywioły, do wspólnej pracy zaprządz, aby wydobyć się raz wreszcie stanowczo z tego błota, do którego ją wtrącili stojący zbyt długo u steru rządów „Panamczycy".

ZWYCIĘSTWA PAPIESKIEJ POLITYKI.

Ludzie myślący i bardziej miłujący Francyę, niż stronnictwo, w którego szeregi popchnęło ich własne przekonanie, lub rodzinne tradycye, wiedzą o tem dobrze i dlatego nie przestają prosić i napominać: „Wszyscy, co miłujemy Kościół, co naprawdę miłujemy ojczyznę, przestańmy się kłócić między sobą, a trzymajmy się, teraz zwłaszcza wobec zbliżających się wyborów, ściśle, najściślej bez ograniczeń i zastrzeżeń programu papieskiego. Taki plan działania nakreślił, również bez ograniczeń i zastrzeżeń, prymas akwitański, kardynał Lécot, w rozmowie z jednym z redaktorów *Figara*, który pytał go, do jakiej granicy sięgają papieskie wskazówki; gdzie leży prawda, czy i jaki obowiązek, wskazówkami temi nałożony, cięży na katolikach?

— Gdzie prawda? — czy i jaki obowiązek? — powtórzył zadane sobie pytanie zdziwiony kardynał. — Obowiązkiem naszym zupełne posłuszeństwo Papieżowi. Jak nie może być, wedle wyrażenia jednego z wielkich naszych biskupów, prawa przeciwko prawu, tak też nie może być prawdy stojącej w sprzeczności ze słowami Ojca św.; obowiązku walczącego z jego rozkazami. Równie miłość, jak i cześć synowska nie bardzo godzą się z obelżywemi wątpliwościami, z bizantyjskiemi dysputami nad kwestyą, o ile encyklikom winniśmy wiary dawać, do jakiego stopnia ścisły obowiązek posłuszeństwa na nas nakładają. Przedewszystkiem czytać je trzeba po prostu, z zupełną szczerością; wtedy, kto tylko naprawdę zechce, nie doświadczy trudności w zastosowaniu do nich swego postępowania, bo Leon XIII. wyraża się z całą możliwą jasnością... Ojciec św. nakazał nam przyjąć istniejący dziś rząd. Niektórzy, analizując ten nakaz, wmówić w nas pragną, że co innego znaczy ‚przyjąć', co innego ‚przyłączyć się', i że Papież myślał po prostu o zgodzeniu się na czysto materyalny fakt. Wedle doktorów tych przyjąć należy rzeczpospolitą, jak się np. przyjmuje... cegłę spadającą na głowę...

Mojem zdaniem, wszystkie te i tym podobne subtelności, są po prostu dziecinne, do niczego nie prowadzące. Rzeczpospolitą przyjąć powinniśmy, a przyjąć ją stanowczo. Swoją drogą w rzeczypospolitej znajduje się niejedno, na co zgodzić się nie możemy, jak tylko prowizorycznie.

— Prawa szkolne i wojskowe — wtrącił reporter.

— Tak jest; o te prawa głównie tu chodzi. Tutaj przyłączenie się zupełne nie może być dozwolonem, tem mniej nakazanem, bo zasada, na której prawa te opierają się, jest w sobie złą. Ale prowizorycznie przyjąć je musimy, bo bunt przeciw prawom zawsze jest potępienia godny, wyjąwszy oczywiście, gdyby kiedy posłuszeństwo prawu ludzkiemu postawić nas miało w konieczności popełnienia grzechu.

— Jeżelim dobrze zrozumiał, to rozróżnienie między tem, co przyjąć powinniśmy stanowczo, a tem, co jedynie prowizorycznie przyjąć nam wolno — odpowiada rozróżnieniu, które stawia sam Leon XIII., pomiędzy rządem a prawodawstwem.

— Bez kwestyi, nic innego nie miałem na myśli.

Nie co innego również miał na myśli głośny pisarz M. de Vogüé i były minister Juliusz Roche, w mowach wypowiedzianych na jednym z prowincyonalnych zjazdów, mających przygotować teren do przyszłych wyborów. „I jakież nieszczęścia spaśćby mogły na naszą ojczyznę, pytał pierwszy, gdyby księdzu dozwolono przekraczać próg szkolny, gdyby ludzie noszący sutannę, spełniać mogli urząd nauczycieli?“ „Nikt już nie myśli, tłumaczył drugi, o walce przeciw rzeczypospolitej. Trzeba więc zawrzeć pokój! Trzeba nam rzeczypospolitej dla wszystkich otwartej, prawdziwą tolerancyą odznaczającej się; rzeczypospolitej, która zebraćby mogła pod swym sztandarem wszystkie dzieci Francyi bez wyjątku, jeżeli pragniemy istotnie, aby kraj nasz był szczęśliwym, aby zajmował między innymi narodami należne sobie, pierwszorzędne miejsce!“

Prawda, że obok tych głosów odzywają się i inne, wręcz im przeciwne. „Dziś głównym nieprzyjacielem, — ostrzega pan Ranc w *Le Matin* — to biskupi, kardynałowie, mieszający się otwarcie do naszych spraw politycznych. Dajmy na to nawet,

że wszyscy ‚pojednani' postępują sobie z nami szczerze, że wszyscy wybornymi są republikanami i z rzeczy i z imienia, nie wyjmując pana de Mun, de Mackau i kardynałów świeżo kapeluszem ozdobionych. Tylko — trudno chyba na to ze mną się nie zgodzić — biskupi i kardynałowie myślą na pierwszym planie o interesach Kościoła; tylko — i to znowu niewątpliwa — cały ten ruch ku rzeczypospolitej ma na celu uformowanie wielkiego stronnictwa konserwatywnego, stronnictwa wstecznego, które z rzeczypospolitej pozostawiłoby nam jedynie nazwisko, etykietę. I dlatego powiedzieć sobie pozwalam po prostu: Wrogiem naszym w tej chwili, to ‚pojednani' i wszyscy ci, którzy ich wspierają".

W słowach tych, dość jasnych z samych siebie, przebija gniew i większy jeszcze strach; dobre to i pouczające symptomata, jak z drugiej znów strony pouczającemi symptomatami są gniewy i żale starej daty monarchistów, lamentujących w głos, że grunt z pod nóg im się usuwa. Niektóre organa, jak: *La Gazette de France* lub organ Cassagnac'a *L'Autorité*, przekraczają w tych zirytowanych lamentach wszelkie możliwe granice, jęczą nad nieszczęściem chrześcijanizmu, zdradzonego przez następców apostolskich; oskarżają księży i biskupów o czarną zdradę, o włos, że nie rzucają klątwy na samego Papieża. „Byliśmy psami — woła, jakby o litość prosząc Paweł de Cassagnac — psami, które dobrze szczekały i gryzły w obronie Kościoła, w obronie rzeczy i osób Kościołowi na służbę oddanych. Zużyliśmy głos i zęby w waszej służbie, a wy pozostawiacie nas obecnie opuszczonych, bez przytułku, zmuszonych spać pod gołem niebem, szczekać na księżyc i nadszarpywać wasze sutanny, kiedy sposobność do tego się nastręcza". — „Niezłe to, zgrabnie dobrane porównanie — odpowiadają *Les Débats*, w samo jądro kwestyi trafiając. — Tak! były to psy, ale które polowały na własny rachunek, a Kościół miał za nie płacić podatek; wreszcie sprzykrzyła mu się niewdzięczna ta rola i wycofał się z niej. Czyż nie miał do tego prawa, czyż nie leżało to w jego interesie?... Z jakiejże więc racyi p. de Cassagnac i jego przyjaciele wywodzą teraz tak gorzkie skargi przeciw Kościołowi?"

GALICYJSCY EKSPERCI O ŚWIĘCENIU NIEDZIELI.

Zwołana przez rząd do Wiednia ankieta przemysłowa, a mówiąc dokładniej, cały szereg ankiet z różnych krajów monarchii, z kolei obradujących, zastanawiała się pomiędzy innemi, na kilka zawodów, nad kwestyą odpoczynku niedzielnego. Liczni mowcy podnosili z naciskiem, że dzisiejsze prawodawstwo w tym kierunku nie odpowiada ani uczuciom religijnym, ani potrzebom ludności; szczególnie galicyjscy delegaci żywo ważną sprawą tą zajmowali się. W pierwszem posiedzeniu galicyjskich ekspertów, brało udział dziesięciu przedstawicieli rozmaitych cechów krakowskich i wszyscy bez wyjątku oświadczyli się za ścisłem i dokładnem przeprowadzeniem już nietylko spoczynku, ale chrześcijańskiego święcenia niedzieli. Przecież, powtarzano, Austrya jest krajem katolickim, bez porównania większa część mieszkańców należy do Kościoła katolickiego i z pewnością życzy sobie innego, lepszego niż dotąd święcenia niedzieli; byłoby więc wstydem, nie dać i tutaj temu tak powszechnemu a tak słusznemu żądaniu jak najsilniejszego wyrazu. W podobny sposób na dalszych posiedzeniach wyrażali się inni delegaci polscy i ruscy; wyjątek stanowił dr. Olszewski, przedstawiciel krośnieńskiej spółki tkackiej „Prządka“, który dość oryginalnie dowodzić usiłował, że ścisłe święcenie pewnych dni poświęconych Bogu na służbę, leżeć musi w krwi, — czego przykładem Żydzi, tak szkrupulatnie przestrzegający szabas — a za pomocą prawodawstwa nie da się w życie wprowadzić. Żyd Epstein żądał dla prawowiernych Żydów, obserwujących szabas, dyspensy od urzędowego spoczynku niedzielnego; liberalni Żydzi niechaj sobie święcą niedzielę! Seip z Krakowa zwrócił uwagę na zdziczenie chłopców i terminatorów; jednym z ważnych środków przeciw temu zdziczeniu byłoby zaprowadzenie dla nich obowiązkowego uczęszczania do kościoła pod nadzorem i odpowiedzialnością wydziałów cechowych. Paru innych ekspertów skarżyło się jeszcze, przytaczając konkretne fakta, na ciągłe obchodzenie przez Żydów obowiązującej ustawy o spoczynku niedzielnym; we Lwowie np. pracują Żydzi w niedziele tuż obok kościołów, w Tarnopolu zamykają wychodzące na ulicę drzwi sklepowe, ale boczną furtką wprowadzają do sklepu bez przeszkody całe tłumy

kupujących, owszem same nawet organa policyjne wskazują nieraz przechodniom tę furtkę i przez nią ich do handlu puszczają. Rzeczy to niestety znane, publicznie praktykowane, i to nietylko we Lwowie lub Tarnopolu; ale dobrze, i prawdziwa wdzięczność za to galicyjskim delegatom się należy, że wydostały się raz wreszcie na publiczną, szerszą widownię. Może skłoni to nakoniec publiczne władze do szczerszego zajęcia się tą sprawą; do usunięcia choć niektórych najbardziej w oczy bijących, zrozumieć trudno, jak, dlaczego, na mocy jakiego przywileju bezkarnie dotąd uchodzących nadużyć.

PRAWA PRZECIW POJEDYNKOM. Rządy i sądy patrzyły wogóle dotąd na pojedynki nader pobłażliwie, starając się nie widzieć i nie wiedzieć, co wszyscy wokoło widzieli i wiedzieli. Dzięki, w znacznej części, właśnie tej pobłażliwości, manja pojedynkowa takie przybrała rozmiary, że w paru krajach, w szczególności w Rosyi i Belgii, uznano wreszcie niezbędną potrzebę użycia przeciw tej chorobie pewnych przynajmniej środków zaradczych.

W myśl projektu, opracowanego, jak donosi petersburski *Kraj*, przez rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości, zabójstwo popełnione w pojedynku, karane być ma sześcioletniem więzieniem lub twierdzą; zranienie przeciwnika, więzieniem trzechletniem. W razie bezkrwawego wyniku, obaj pojedynkujący się podlegać będą aresztowi, nie przenoszącemu sześciu miesięcy. Podżegający do pojedynku ulegną karze więzienia od sześciu tygodni do trzech miesięcy i karze pieniężnej w kwocie 100 rubli; również i na sekundantów wymierzone być mają pewne kary.

Belgijski projekt do prawa przeciw pojedynkom, wypracowany pierwotnie przez senatora br. de Coninck, nadzwyczaj był surowy i zabójstwo w pojedynku kładł zupełnie na równi z rozmyślnem, skrytobójczem morderstwem. Senat skreślił lub złagodził niektóre najostrzejsze postanowienia; ale pomimo tych skreśleń, nowe prawo, przez senat bardzo znaczną większością głosów już przyjęte, stanowi nową, bardzo szczęśliwą erę w smutnej historyi pojedynków, i spodziewać się można, że w Belgii stanowczy koniec im położy. Samo już wyzwanie na pojedynek

pociągać będzie odtąd za sobą karę od jednego do trzech miesięcy więzienia; obelga, która wyzwanie sprowadziła, karę więzienia od dwóch do sześciu miesięcy. Kto przeciwnika w pojedynku zabił, skazany być może na pięcioletnie więzienie i 10.000 fr. grzywny. W pojedynkach bez śmiertelnego wyniku, podlegają pojedynkujący się: 2—6 miesiącom więzienia i 400—1000 fr. grzywny, jeżeli nikt zraniony nie został; 4 miesiącom, do roku, przy lekkiem zranieniu; 6 miesiącom do dwóch lat przy ciężkiem zranieniu; rok do trzech lat przy zranieniu, które pociąga za sobą ciężkie kalectwo lub nieuleczalną chorobę. Kary te odnoszą się w zasadzie nietylko do cywilnych, ale i do wojskowych; choć w praktyce zostawiono tym ostatnim pewne furtki do częściowej, a nawet zupełnej bezkarności. Pułkownik, który zniewoliłby swych oficerów do pojedynku, ma być ze służby wydalony, a nadto odpowiedzialnym jest przed sądem za dalsze następstwa swego kroku. Bardzo też słusznie zwraca się ostrze nowej ustawy przeciwko sekundantom i dziennikarzom, rozsławiającym bohaterskie czyny zapaśników. Pierwsi mają w perspektywie — i to bez względu na ostateczny rezultat pojedynku — rok więzienia i 1000 fr. grzywny; drudzy 500—2000 fr. grzywny.

„NOWA REFORMA“ O USTAWIE BELGIJSKIEJ.

Nie wiem, bardziej zabawne, czy bardziej charakterystyczne, dziwnie czasem niekonsekwentne były uwagi o tym projekcie, a bardziej jeszcze o pierwotnym projekcie barona de Coninck, kilku naszych polskich dzienników. To żaliły się na „drakońską“ ustawę, łzy wylewały „nad wnioskiem krwią pisanym“, ostrzegały, że „liczyć się trzeba z potęgą tradycyi, z żelazną częstokroć presyą zawikłanych stosunków i kolidujących obowiązków“; to znowu, zapominając co napisały przed kilkoma dniami, winszowały Belgii śmiałości, z jaką występuje do walki z „średniowiecznemi, barbarzyńskiemi przesądami“. Co właściwie sądzić należy, jakie z belgijskiego projektu należałoby i gdzieindziej i u nas wyciągnąć konsekwencye, to ostatecznie po paru niezdecydowanych macaniach, napisała wyjątkowo dobrze krakowska *Nowa Reforma*. Przytaczamy tu z całą przyjemnością odnośny ustęp, bo bierzemy

wszędzie prawdę, gdzie ją tylko znajdujemy; z zasady bowiem jesteśmy przeciwnikami arcynieliberalnej, a zbyt bodaj często przez liberalne organa, przez *Nową Reformę* w pierwszym rzędzie, praktykowanej zaściankowej teoryi, przemilczania tego co piękne, co dobre, dlatego jedynie, że w innym obozie się zrodziło:

Dążność państwa do obrony czci obywateli za pomocą surowych, a faktycznie wykonywanych ustaw, które mają zastąpić barbarzyński i brutalny sposób rozwiązywania kwestyj honorowych za pomocą pojedynków..., uważać należy za doniosłą i zbawienną dla ludzkości. Anglia była pierwszem z państw europejskich, które ustawami wyrugowało pojedynki i przekonała doktrynerów, że państwo potrafi skutecznie bronić czci obywateli. Pojedynki w Anglii—zmalały *ad minimum*, a przecie poczucia honoru i własnej godności Anglikom odmówić nie można. Teraz Belgia wstępuje w ślady Anglii, jej przypada w udziale zaszczytne uznanie, że pierwsza na horyzoncie podjęła hasło walki ze zgubną i tysiąckrotnie dziś wypaczoną zasadą krwawej rozprawy w obronie honoru.

Wobec tych cywilizacyjnych usiłowań państw zachodu, ciekawie wygląda zasada, postawiona w niedawno wydanej broszurze majora Dzbańskiego w Wiedniu. Autor żąda uprawnienia pojedynku przez ustawy, a tylko ustanowienia surowych przepisów celem zachowania odpowiedniej formy przy odbywaniu tychże. Autor zapomina, że rozprawa z bronią w ręku nie daje najczęściej żadnej gwarancyi stronie pokrzywdzonej. *A* spotwarzył *B*, ten ostatni go wyzywa, ale *A* strzela doskonale, wskutek czego *B* ginie w pojedynku.

Gdzież tu prawda, gdzie zwycięstwo słusznej sprawy? Należy się spodziewać, że wkrótce w ustawodawstwie innych państw europejskich pojawią się odpowiednie projekta i reformy ustaw przeciw pojedynkom w epoce rozwielmożnionego militaryzmu bardzo przez obywateli państw pożądane.

Ks. Jan Badeni.

Pola dyamentowe Indyj Wschodnich.

Że dyamentowe pola Indyj Wschodnich znane były od najdawniejszych czasów, na to mamy pełno dowodów. *Puranas* (księgi święte Indyj) ośm miejscowości wymieniają jako dyamentodajnych, a z tych trzy identyfikują się z trzema wielkiemi dyamentorodnemi polami, w których po dziś dzień dyamenty dobywają. Pola te dyamentowe są następujące: 1) Matanga (Kistna i Godavery); 2) Paunda (Chota Nagpur); 3) Vena Gunga (Wairagarh). Tereny dyamentodajne Indyj, o ile je po dziś dzień znamy, rozleglejsze są, aniżeli wszystkie znane tereny dyamentorodne całego świata razem wzięte, a $^9/_{10}$ sławnych klejnotów jest bez wątpienia indyjskiego pochodzenia. Koh-i-Noor, Nizam, Wielki Mogoł, Regent, Wielki Stół i Austryacki Żółty, są to klejnoty historycznego znaczenia, a pochodzą z Indyj. Mierzyć się z niemi mogą tylko: Matan z Borneo, Gwiazda Południa z Brazylii i Porter-Rhodes z przylądka Dobrej Nadziei. Że kopalnie indyjskie produkują jeszcze po dziś dzień kamienie znacznej wielkości i najczystszej wody, na to mamy dowód w prześlicznym klejnocie, zwanym Gor-do-Noor (Gordon Orr), niedawno temu przywiezionym do Londynu przez firmę Orr & Sons z Madras.

Kamień ten waży $213^1/_3$ granów *(grains)* i odznacza się świetnym blaskiem i pięknym jasnym kolorem. Odkryto go podobno w polach dyamentowych Kistny, zwanych Matanga w księgach świętych *Puranas*. W Indyach dyamenty znachodzą się w zwirach napływowych albo też w skale pierwotnej w złożu właściwem. Skały te (górotwory) należą do wyższego i niższego rzędu Vindhyan'u (formacyi sylurskiej) i składają się z grup łupków, wapieni i piaskowców, poprzecinanych gęsto przez wybuchowe skały trapowe i zmieszanych z niemi często.

Gatunek zlepieńca (konglomeratu) składający się z kimberlitu (peridotitu) oliwinowej skały ogniowej z wrośniętemi kulami jaspisu, serpentynu, kwarcu i piaskowców, stanowi matrycę, w której dyamenty się znachodzą. Gdy ten konglomerat jest wystawiony na działanie powietrza, jak to się dzieje w płytkich robotach, wtedy ma rdzawo-brunatną barwę i jest bardzo kruchy, tak że łatwo bardzo złoże skruszyć się daje i za pomocą wody wypłókać; po tej operacyi pozostają kule, które są białego, czerwonego, niebieskiego i zielonego koloru. Ładunek złoża wydaje około kwarty okrągłego zwiru, a jeśli z kwarty tej ma-

teryału wydobędą karat ($3^1/_3$ granów) wagi w dyamentach, kopalnię uważać można za opłacającą się.

Konglomerat dyamentorodny przykrywają ławy twardych piaskowców i łupków, które przebić trzeba, zanim się do złoża dyamentorodnego dostać można. W głębokich kopalniach złoże to jest niezmiernie twarde, zwięzłe, barwy niebiesko-zielonej. Potrzeba działania powietrza przez całe miesiące i częstego zlewania wodą, zanim matryca dostatecznie skruszeje, by z niej można wydobyć zaokrąglone bryły i bryłki zwiru, bez pokruszenia ich. Wszelkie usiłowania skruszenia matrycy bez równoczesnego zniszczenia zawartych w niej dyamentów, dotychczas pełzły na niczem, a proces wietrzenia jest tak powolny, że krajowcy rzadko kiedy tylko odbudowują konglomerat, chyba że znajduje się w stanie zwietrzałym i zmiękczonym przez wpływ atmosfery.

Kule zwiru są powszechnie wielkości orzechów włoskich lub tureckich i nieprzezroczyste. Zielone kule serpentynu uważane są przez górników-krajowców jako pomyślny znak.

Kopalnie w napływowych warstwach powszechnie znajdują się nad brzegami rzek i strumieni, gdzie grunt powstał ze zburzonej masy skał Vindhyanowych. W czasie suchej pory roku odprowadzają wodę z płytkich miejsc rzeki Kisny, gdzie się spodziewają dyamentów, zwir leżący na dnie rzeki zbierają i takowy następnie uważnie badają. Czynnością tą zajmują się młode kobiety i dzieci. Zwir wydobyty nasamprzód rafują (przesiewają), ażeby usunąć zeń zbyt wielkie i zbyt małe części, następnie rozpościerają go na matach i pilnie w świetle słonecznem rozpatrują.

Światło słoneczne o 9-tej z rana i o 3-ciej po południu uważają za najlepsze. Przez długą wprawę dzieci od razu umieją odkryć drogie kamienie, chociaż te pokryte są, jak to u indyjskich dyamentów bywa, barwą szkła na proch startego.

Indyjskie dyamenty sławne są ze swej piękności i białości. Przeważna część kamieni znalezionych jest biała, ale żółte i ciemne także się znachodzą. Niebieskie i czerwone dyamenty należą do najrzadszych. Dyamentów zwanych Bort [1] i Carbonado [2] nie napotkano dotąd w indyjskich polach dyamentowych.

Hindusowie dzielą dyamenty wedle ich zabarwienia.

---

[1] Połowicznie skrystalizowane dyamenty. Nazwa Bort oznacza wszystkie dyamenty nie nadające się do rznięcia i szlifowania.

[2] Czarne, nieprzezroczyste.

Białe uważane są za najprzedniejsze i nazywają się *Braminami*, żółte znane są pod nazwą *Kshatris*, ciemne pod nazwą *Vaishyas*, a kamienie ze skazami i pęknięciami pod nazwą *Sudras*. Handel dyamentami znajduje się przeważnie w ręku Marwarysów, szczepu ludu, z którego pochodzą główni bankierzy i lichwiarze Indyj. Ludzie ci doskonale obeznani są z fosforescencyą i elektrycznemi własnościami dyamentów; nie obcą im jest także nadzwyczajna stałość ciężkości gatunkowej dyamentów.

Gotujący się rozczyn pewnej soli cynkowej, zwanej przez krajowców *Tutenagum Baspam*, mający ciężkość gatunkową 3,5, używany jest przy próbie opartej na ciężkości gatunkowej. Do tego rozczynu wrzucają kamienie, które badaniu poddać zamierzają. Te które pływają na powierzchni, odrzucają precz jako nie dyamenty, bo Marwarysowie wiedzą doskonale, że ciężkość gatunkowa dyamentów wynosi 3,52. Następnie rozpoczyna się badanie kamieni, które opadły na spód. Większe sztuki pocierają chustą jedwabną, ażeby wywołać zjawisko elektryczności, przytykając je po potarciu do lekkich materyj, np. małych kawałeczków jedwabnego papieru. Dyamenty w ten sposób potarte, łatwo przyciągają lekkie substancye. Fosforyczne zjawiska wywołują w ten sposób, że wystawiają kamienie na działanie promieni słonecznych, a następnie przenoszą je do ciemnego pokoju. W ciemności wydają dyamenty ze siebie światło. Najużywańszą próbą jest próba twardości, bo dyament jest najtwardszym z wszystkich kamieni. Rznięte kamienie, zbadane w sposób powyżej podany, rozpatrują potem chłopcy specyalnie do tego przyuczeni, którzy sortują je wedle barw i skaz, i rzadko się zdarza, aby ci malcy popełnili omyłkę, tak wprawiony wzrok mają w odkrywaniu skaz i odcieni koloru; klasyfikowanie wedle wielkości jest rzeczą starszych.

Chociaż pola dyamentowe Indyj są ze wszystkich znanych najrozleglejsze i chociaż większość wielkich dyamentów historycznych pochodzi z tych pól właśnie, Europejczycy jednak nie podjęli dotąd trwałych usiłowań, celem dobywania ich na wielką skalę. Wiele przyczyn składa się na ten pozorny brak przedsiębiorczości ze strony Anglików, dzierżących władzę w Indyach.

Z wyjątkiem wielkich miast portowych, nieurzędnicza część ludności europejskiej Indyj jest mała, bardzo mała; niedorównywająca liczbą ilości mieszkańców czwartorzędnego miasta Wielkiej Brytanii. Europejski żywioł ześrodkowywa się w stannicach wojskowych, tj. w pobliżu wielkich arsenałów i fortyfikacyj angielskich. Maksymy starej

wschodnio-indyjskiej kompanii jeszcze tu głęboko zakorzenione i każdy Anglik nie będący urzędnikiem uważany tu jest przez rząd jako podkopujący handel, którego trzeba trzymać zdala od tego kraju.

Jest to dziwne a jednak prawdziwe zjawisko, że górnictwo dyamentowe po dziś dzień praktykuje się tylko w tych częściach Indyj Wschodnich, które nie są bezpośrednio podległe Anglikom. Jedyną częścią Indyj, gdzie się górnictwo dyamentowe nie w napływowych ale *in statu* znajdujących się jeszcze górotworach dyamentorodnych praktuje dzisiaj jeszcze na większą skalę, jest Panna w Bundelkhand, a Radża tej krainy ma znaczne dochody płynące z pewnej daniny od tych kamieni.

W krainie Chota Nagpur górnictwo dyamentowe w warstwach napływowych praktykuje się na szerszą skalę, ale trudno dowiedzieć się o prawdziwych rezultatach tegoż górnictwa, gdyż handel dyamentami w tamtych stronach znajduje się w ręku Greków i Ormian, którzy z przyczyn łatwych do zrozumienia, tranzakcye tyczące się drogich kamieni w ścisłej trzymają tajemnicy.

W Panna znajduje się jedno z takich okrągłych zagłębień albo lejkowatych gardzieli złoża dyamentonośnego, które uczyniły kopalnie dyamentowe w Kimberley w Afryce tak sławnemi. Kapitan Franklin opisuje znachodzenie to jako wielkie zagłębienie, podobne do odwróconego stożka, na 100 łokci szerokie, w $^2/_3$ wypełnione mułem zielonym, zawierającym w sobie materyę wapienną, którego pokrycie stanowi tuf wapienny. Dyamenty znachodzą się tu w mule zielonym, a krajowcy, których przyrządy i narzędzia pierwotne nie pozwalają im na zapuszczenie się głębiej jak do stóp 50, powiadają, że dyamentów z głębokością przybywa. W Kimberley podobne znachodzenie odbudowywano aż do głębokości 800 stóp i skonstatowano, że materyału drogocennego przybywało w miarę, jak się posuwano w głąb ziemi.

Modest Maryański.

San Francisco — Kalifornia.

Żydzi w Palestynie.

Rzecz ciekawa i uderzająca, że Palestyna jest jednym z krajów najmniej zaludnionym przez Żydów. W roku 1891 konsul amerykański

w Jerozolimie, robił staranne dochodzenia statystyczne co do Żydów zamieszkujących ten kraj, i według *Chambers'-Journal,* podał liczby, które uważać można jako zupełnie dokładne. I tak: w samej Jerozolimie mieszka Żydów 25.322; w Jafie 2700; w Tabriyeh 2900; w Safed 6126; w Hebronie 1200; w Hajfa 1640; w Akrze 200; w Ramleh 166; w Nablusie 99. Razem w miastach 40.353. Nadto w jedenastu osadach wiejskich mieszka 435 rodzin, które liczą głów 2175. Wszystkich Żydów w Palestynie w r. 1891 było 42.528. Ta nader nieliczna liczba tem bardziej jest zadziwiającą, że wszyscy żydowscy mieszkańcy Palestyny otrzymują stałe zasiłki pieniężne. Po dziś dzień dzieje się to samo co za czasów apostolskich, kiedy to św. Paweł zbierał jałmużny po świecie i sam je zanosił ubogim chrześcijanom Jerozolimy. Dzisiejsi Żydzi całego świata w miarę swej zamożności i hojności ślą corocznie datki na ręce rezydującego w Jerozolimie komitetu, który zajmuje się ich rozdzielaniem. Wsparcie, *haluka,* jakie otrzymuje każda rodzina żydowska w Palestynie, nie jest, rozumie się, wysokie, zabezpiecza ją jednak od nędzy, a nawet wystarcza na jej utrzymanie.

Różnemi czasy bogaci Żydzi europejscy łożyli znaczne koszta na sprowadzanie emigrantów żydowskich do Palestyny; starania te nie odniosły zamierzonego skutku z różnych powodów. A najprzód rząd turecki obawiając się wielkiego napływu i możebnych następstw politycznych, wydał firman zakazujący osiedlać się Żydom z pod panowania rosyjskiego. Ten zakaz utrudnił napływ, ale nie byłby go odwrócił, albowiem wobec wszechmożnego wpływu *bakszyszu,* tj. łapówek urzędników tureckich i sprytu żydowskiego, można było obejść to prawo, podszywając się pod nazwę Żydów niemieckich. Inna przyczyna, istotniejsza, a zarazem dosadnie charakteryzująca to plemię, tamowała napływ Żydów do Palestyny.

Od wieków wszyscy Semici mieli wielką żyłkę handlarską: Fenicyanie zasłynęli z tego przed światem, a mało co ustępowali im Żydzi pod tym względem. Za Salomona okręty żydowskie szły do Ofiru, Arabii i Indyj, za czasów Chrystusa Pana wszystkie miasta Grecyi i całego niemal ówczesnego państwa rzymskiego ludne kolonie żydowskie w swych murach mieściły. Po wsze czasy Żydzi przywiązani byli do ziemi „płynącej mlekiem i miodem", ale chętnie osiedlali się wśród Goimów, wśród ziemi płynącej srebrem i złotem; tak też dzieje się i dzisiaj. Żydzi platonicznie wzdychają do Jerozolimy, ale

nie mają całkiem ochoty w niej osiadać — niema tam „geszeftu“, mieszkańcy jej są ubodzy. Lat temu kilka wzmógł się był wprawdzie ruch żydowski do gromadnego osiedlenia Palestyny, ale nie trwał długo. Kiedy zaprojektowaną została kolej żelazna z Jafy do Jerozolimy, spekulanci żydowscy rzucili się do zakupowania placów w mieście, sądzili, że rozpocznie się ruch budowlany, a stąd że zrobią dobry interes na placach. Nadzieja zawiodła; odtąd nietylko nie przybywają emigranci żydowscy, ale nawet Żydzi od dawna tam osiedleni, wynoszą się do Europy.

Druk ukończony 28 sierpnia 1893 r.

SPIS RZECZY

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica

Związek ludowy przeciw socyalizmowi w Niemczech. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 46

Wrażenia z wiecu katolickiego w Krakowie. (Dodatek). Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . . . . 1*—14*

Walka szkoły państwowej z wyznaniową w Ameryce. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 352

Welehradzkie zjazdy. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 388

Artykuły naukowe i literackie.

Lichwa na wsi w Galicyi. Przez *d-ra Leopolda Caro.* 1 161 308

Hedenstierna i Kipling. Przez *T. W.* 23 210

Baśnie i fałsze w historyi. (Ciąg dalszy). Przez *d-ra K. Krotoskiego* 63 335

Aleksander Lorencowicz. Studyum z epoki panegirycznej. Przez *Józefa Sasa T. J.* 81 185 368

Referat o szkole katolickiej. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 153

Stronnica.

Echa wiosenne z Sarbiewskiego. Przez *ks. Wł. Piątkiewicza T. J.* 233

Opowiadanie wyznawcy. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 299

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Mikołaja Reja z Nagłowic: Krótka rozprawa między trzemi osobami, panem, wójtem a plebanem. R. 1543. Wydał Roman Zawiliński. *(Romuald Koppens T. J.)* 103

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. w. Przez W. Bogusławskiego. Tom II. *(Rusin z Pokucia)* 105

Reforma wyborcza. Dr. Bronisław Łoziński. *(S. K.)* 112

Записки Тов. Им. Шевченка. Частина I. впорядкував Др. Ю. Целевичь. *(Ks. Pl.)* 114

Niebo. Kamil Flammarion. Przekład z francuskiego d-ra M. Stefanowskiej. *(J. N.)* 118

Na około ziemi. Przez Karola hr. Lanckorońskiego. *(M.)* . . . 240

Pisma Seweryny Duchińskiej (Pruszakowej). Tom I. *(Aleksander P.)* 244

Sylwetki historyczne. Dr. Antoni J. Serya VIII. 247

Z poezyj i rymów. *(Dr. A. M. Kurpiel.)* 402

Przejażdżki po Wołyniu. Obrazki z przeszłości i teraźniejszości. Napisał X. *(K. C.)* 407

Z dziejów odkrycia Ameryki. Opowiadanie historyczne. Przez C. Falkenhorsta. Przekład z niemieckiego. *(K. C.)* . . . 408

Wiarusy. Powieść w trzech tomach. Przez Wacława Masłowskiego. *(Ks. J. B.)* 409

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Die Elementarstructur und das Wachsthum der lebenden Substanz. Von Dr. Julius Wiesner. *(J. Nuckowski T. J.)*. 119

St. Joseph. Dargestellt nach der heiligen Schrift. Akademische Vorträge. Von Dr. Joseph Schindler. 123

Moralphilosophie. Eine wissenschaftliche Darlegung der sittlichen, einschliesslich der rechtlichen Ordnung. Von Victor Cathrein S. J. Zweite, vermehrte und verbesserte Auflage. 2 Bände. 248

Stronnica.

Der Wucher. Eine socialpolitische Studie. Von Dr. Leopold Caro 248

Звукове, лирически стихотворения отъ Ивана Вазовъ. (Dźwięki, utwory liryczne Jana Wazowa). *(Tytus Sopodźko)*. . . . 252

Apologie des Christenthums vom Standpunkte der Sitte und Cultur. Durch Fr. Albert Maria Weiss O. Pr. IV. Band. Zweite Auflage. Sociale Frage und sociale Ordnung oder Institutionen der Gesellschaftslehre. In zwei Theilen. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)*. 411

Das Leben unseres Herrn Jesu Christi, des Sohnes Gottes, in Betrachtungen von M. Meschler S. J. Zwei Bände. Zweite vermehrte Auflage. Mit einer Karte von Palästina zur Zeit Jesu, aus R. von Riess' Bibel-Atlas. *(Ks. Włodzimierz Piątkiewicz T. J.)*. 421

Drei Monate Fabrikarbeiter und Handwerksbursche. Eine praktische Studie. Von Paul Goehre. — $3^1/_2$ Monate Fabrik-Arbeiterin. Eine praktische Studie. Von Frau Dr. Minna Wettstein-Adelt. *(Ks. J. B.)*. 423

Z prasy prawosławno-rosyjskiej. *(A. Szarłowski)*. 427

Rozmaitości: Szczyt dokładności bibliograficznej. *(W. P.)*. . 436

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Niemieckie wybory. — Mowy le Say'a i Constansa. — Walka z socyalizmem. — Socyalistyczny skandal w Bernie. — Pielgrzymki jubileuszowe. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 124

Kilka dni na Elbie. Przez *Tytusa Sopodźkę* 134

Amerykański prospektor. Przez *Modesta Maryańskiego* 147

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Wybory niemieckie. — Centrum bawarskie. — Dalszy rozwój programu Leona XIII. we Francyi. — Zwycięstwa włoskich katolików. — Dwa pisma papieskie. — Kwestya powrotu zakonów do kolonij portugalskich. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 257

List z Anglii. Przez *Edmunda Naganowskiego* 267

Kilka dni na Elbie. (Dok.). Przez *Tytusa Sopodźkę* 283

Korespondencya Redakcyi 298

Stronnica.

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Francuskie skandale. — Zwycięstwa papieskiej polityki. — Galicyjscy eksperci w Wiedniu o święceniu niedzieli. — Nowe prawa w Rosyi i Belgii przeciw pojedynkom. — Zdanie *Nowej Reformy* o ustawie belgijskiej. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 437

Pola dyamentowe Indyj wschodnich. Przez *Modesta Maryańskiego.* 445

Żydzi w Palestynie. 448

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.